PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY SZOSTY.—TOM CIII.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1909.

KRAKOW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1909

W SPRAWIE ŚW. STANISŁAWA.

DYSKUSYA.

CZĘŚĆ DRUGA.

Penny-wise, pound-foolish. Tak nazywają Anglicy nierzadki typ gospodarza, który umie pogodzić drobiazgową oszczędność w groszowych wydatkach z »szalonem« marnotrawstwem w szafowaniu funtami szterlingów. Coś podobnego wydarza się niekiedy i w pracy naukowej, u nas więcej niźli gdziekolwiek: ścisła i drobiazgowa sumienność szczegółowych dociekań obok nieokiełznanej, ryzykownej śmiałości w syntetycznej konstrukcyi. Najwybitniejszym przedstawicielem takiego typu był Piekosiński, niepospolity badacz, erudyt, jakich mało w całej rzeczypospolitej naukowej, nie tylko u nas; obdarzony bystrością zdumiewającą — zarazem twórca fantastycznych teoryi, które dla siebie samego konstruował, bo nikt nie wierzył w te twory bujnej imaginacyi. Był w tem brak szkoły. Autodydakt w najlepszem znaczeniu tego słowa, posiadł niezwykłą moc pozytywnej wiedzy w zakresie polskiej paleografii, sfragistyki, numizmatyki, w klasyfikacyi piśmiennych materyałów i filigranów — wreszcie w heraldyce, na polu, na które z początku wkroczył jako sfragistyk, a później był rzeczywiście pierwszym pionierem umiejętnej uprawy tych zachwaszczonych zagonów. Wśród drobiazgowych dociekań za-

ostrzył zmysł krytyczny, z natury niepospolity, i własną pracą zdobył doskonałą metodę, która mu wystarczała w ścisłych, filigranowych badaniach, a wiodła na manowce, ilekroć ich odbiegał, by pomknąć w »dzikie pola« karkołomnych hipotez o szerszem, syntetycznem znaczeniu. Snuł je z tego samego wątku pozytywnych faktów, w którego rozpoznaniu nikt mu nie dorównywał bogactwem wiedzy: z nadzwyczajnego znawstwa polskiej heraldyki, z cennego materyału, który sam przez się nie wystarczał do rozwiązania szerszych zagadnień o pierwotnej budowie polskiego społeczeństwa, ale mógł był posłużyć za doskonałe w tym przedmiocie narzędzie, gdyby niem kierowała trzeźwo przezorna, umiejętna metoda. Wysnuł oryginalne, niezwykłym blaskiem lśniące domysły, do których naginał potem skąpe teksty piśmiennych źródeł, pomiatając nielitościwie naczelnemi przykazaniami krytyki historycznej. Takimi domysłami bez żadnych źródłowych podstaw wypełnił próżnię przedhistorycznej doby, wiek VIII i IX — bez żadnej szkody, bo w jego wielką, wojskowo zorganizowaną, przedhistoryczną Polskę nikt nie uwierzył. Hipotezy Piekosińskiego mogły stać się jedynie odstraszającym przykładem zboczenia niepospolitej bystrości i erudycyi; były nim też istotnie do pewnego stopnia, nikt bowiem już jego śladem nie próbował bezpłodnych wycieczek w tę ciemnicę, gdzie on zmarnował tyle energii z heraldycznym swym aparatem, jak przed laty Bielowski z filologicznym. Historya wycofała się ze straconego posterunku, oddając go lingwistyce i archeologii, w ręce, lepiej bądź co bądź uzbrojone. Nie tylko tam jednak, nie tylko za granicami połowy X wieku, godziłoby się, dla zaszanowania naszych sił naukowych, wypisać ostrzeżenie: *Ignorabimus!* Zbyt często powtarzają się w naszem dziejopisarstwie daremne próby rozwiązania zagadki, gdzie próżnia dla braku źródeł musi próżnią pozostać, i pochłania jedynie, pożera wszelkie zwrócone na nią promienie światła, drogocennego światła, co skierowane gdzieindziej tą samą ręką, rozjaśniłoby wiele ważnych zagadnień naszej przeszłości, żywotnych a zaniedbanych.

Nikt chyba nie pomyśli, że te uwagi stosuję do czcigodnego autora »Szkiców historycznych XI wieku«. Na bogaty dorobek

naukowy Wojciechowskiego składają się, co prawda, same studya nad tematami, w których dewinacyjna przenikliwość badacza walczy zwycięsko z ubóstwem źródeł i wydobywa z nich tyle razy, ku powszechnemu zdumieniu, istne klejnoty albo niezbitej prawdy, albo wielkiego prawdopodobieństwa, albo przynajmniej takich »możliwości«, że błysk ich rozświeca mroki, toruje innym drogę do trwalszych naukowych zdobyczy, z pomocą nowo odkrytych źródeł lub nieużytych dawniej środków badania. Bez przesady istotnie i bez zamiłowania w frazeologii metafor, godzi się z klejnotami porównać rezultaty misternych dociekań Wojciechowskiego, prawdziwie drogie kamienie do odbudowy najstarszych naszych dziejów. Począwszy od »Chrobacyi«, aż do ostatnich »Szkiców«, mnoży się zasób tych rzetelnych wartości, ilekroć promień rzadkiej przenikliwości i erudycyi pada n i e w p r ó ż n i ę, ale na skąpe choćby i ułamkowe źródła, zwłaszcza zaś, gdzie w zbiornikach późniejszej tradycyi wydziela ziarno prawdy, przez nikogo niedostrzeżone, z plewy, z pyłu, z mizernych naleciałości.

Pierwsze lata po zagadkowej katastrofie r. 1079 — to właśnie taka p r ó ż n i a, której dla braku źródeł nie wypełnią największe wysiłki dewinacyi. Milczy o nich nasz Gallus [1], milczą

[1] Że Gallus milczy, nic w tem niema dziwnego. Wojciechowski tłumaczy to w następujący sposób: »Nie zwrócono uwagi na to, że (Gallus) w dalszym ciągu« (t. j. po wzmiance o »królu« i o »biskupie«) »pominął też milczeniem całą pierwszą połowę panowania Władysława Hermana« ... »Mniemam, iż dlatego, że to były dzieje haniebne, których nie dałoby się skoloryzować jakąbądź frazeologią«.., (l. c. str. 317, 318). Znów wyrządzono tu Gallowi, mojem zdaniem, i za wiele zaszczytu i za wiele krzywdy. Czyż on tylko »haniebne dzieje« pomijał w swojej kronice, mianowicie przed urodzeniem Krzywoustego? Nie wspomniał przecież ani słowa o tak chwalebnym a blizkim fakcie, jak koronacya Bolesława Śmiałego w r. 1077. Nie wspomniał, ponieważ polityczne znaczenie tego aktu nie przemawiało do wyobraźni Galla; nie było to nic w rodzaju wojennej przewagi. Od urodzenia Krzywoustego rozpoczyna dopiero pragmatyczne mniej więcej opowiadanie o czynach swojego bohatera, właściwy przedmiot całego dzieła, poprzedzony jedynie luźnemi wspomnieniami o głośniejszych czynach dawniejszych władców Polski; por. wyżej P. P. II. 443. Z zupełną świadomością takiego założenia, określa jasno cel swojej pracy we wstępie do III księgi: »Nam (sicut) sancti viri bonis operibus et miraculis celebrantur, ita mundani reges et principes bellis triumphalibus et victoriis sublimantur; et sicut vitas sanctorum et passiones

postronne źródła, czeskie, niemieckie, ruskie. Wojciechowski przypuszcza, że w kronice Kozmasa z Pragi musi być jakaś luka w tem miejscu, godna pożałowania, inaczej bowiem trudnoby zrozumieć, dlaczego ten wyborny czeski kronikarz, o tyle dokładniejszy od Galla, pominął milczeniem »fakta«, które przenikliwość dzisiejszych polskich badaczy stara się wydobyć na jaw, »fakta« niemniejszej wagi dla Czech jak dla Polski, i to równie chwalebne dla Czech, jak »haniebne« dla Polski. Przyjmując jednak nawet to przypuszczenie, niewiadomo, co począć z r. 1086, gdzie nie może być mowy o uszkodzeniu czeskiej kroniki Kozmasa, ponieważ jej opowieść płynie tam barwnie i potoczysto, a przecież niema w niej ani słowa, któreby potwierdzało domysły na

religiosum est in ecclesiis praedicare, ita gloriosum est in scholis vel in palatiis regum ac ducum triumphos vel victorias recitare; et sicut vitae sanctorum vel passiones ad religionem mentes fidelium instruunt in ecclesiis praedicatae, ita militiae vel victoriae regum atque ducum ad virtutem militum animos accendunt in scholis et capitoliis recitatae«... Jeżeli trafne jest domniemanie Wojciechowskiego (l. c. str. 291), że Gallus był wychowawcą Mieszka, syna Bolesława Śmiałego, i z nim przybył do Polski z Węgier, to możnaby uzupełnić ten słuszny domysł dalszemi przypuszczeniami. Może z »mentora« Mieszka został »mentorem« Krzywoustego; wszak i o jego dziecinnych latach umie wiele opowiedzieć i jego czyny stanowią właściwy przedmiot kroniki Galla. Po r. 1112 lub 1113, kiedy rozpoczynał III księgę, najstarszy syn Krzywoustego skończył już właśnie 6 lat; może po Mieszku i Krzywoustym miała przyjść kolej na »mentorstwo« przy trzecim Piastowicu, ówczesnym następcy tronu. Zrozumiała byłaby w takim razie historya Chrobrego w sensie Cyropedyi (P. P. II. 444), zrozumiałe też przytoczone powyżej wyrazy *in scholis vel in palatiis regum* (w przeciwieństwie do *in ecclesiis*). Oto rzecz, na którą nie zwrócono dotąd uwagi; nie należy o niej również zapominać przy rozważaniu wykrętnej wzmianki Galla o św. Stanisławie, a mianowicie w związku przytoczonego ustępu z następującem bezpośrednio zdaniem: »Oportet enim Dei ministros in his, quae Dei sunt, Deo spiritualiter oboedire, et in his, quae sunt Caesaris, honorem et servitium mundi principibus exhibere«. Wracając zaś do siedmiu chudych lat 1079—1086, należałoby dziwić się raczej, gdyby Gallus rozpisał się o nich szerzej, gdy te lata nie należały jeszcze do właściwego przedmiotu jego dzieła i nie były zresztą wypełnione żadnymi głośnymi czynami wojennymi. Według założenia jego dzieła, nie miał o nich nic do powiedzenia. Inna rzecz z Kozmasem. Gdyby to były właśnie lata tryumfu Wratysława nad Piastami, lata upragnionego odwetu — jak mniema Wojciechowski — dlaczegóżby o nich Kozmas milczał? Jego milczenie jest tu istotnie wymowne. I Kozmas, ze swojego znów stanowiska, nie miał widocznie nic do pisania.

szych historyków o przełomowym jakoby roku 1086. Dziwi to nawet Wojciechowskiego (l. c. str. 330).

Jedyną podstawę hypotezy o bezpośrednich następstwach katastrofy r. 1079, stanowi oryginalna interpretacya 28 rozdziału I księgi Galla, a mianowicie pierwszych słów tego rozdziału, o skażonym niestety tekscie, który bez należytej emendacyi nie daje dobrego sensu. Nie szczególny to materyał na fundament dalszych domysłów; bez tego zaś fundamentu trudno im będzie się ostać. Jeżeli chodzi o sumienną emendacyę lub tylko interpretacyę takiego tekstu (o ile można się obejść bez emendacyi), pierwsza rzecz: trzymać na wodzy pokusę subjektywnych przypuszczeń, żeby czegoś nie wtłoczyć, co nie da się usprawiedliwić przedmiotową krytyką tekstu, natomiast zaś popiera czyjś osobisty domysł, nie co do brzmienia tekstu, lecz c o d o r z e c z y, co do dalej sięgających kombinacyi. Aby nie narazić się na to niebezpieczeństwo, pominę tymczasem pięć słów (I, 28), w których tekst rękopisów jest zepsuty lub przynajmniej niezrozumiały, a przetłumaczę zresztą cały rozdział na polskie [1]. Może odsłoni się przez to prawdopodobny związek pomiędzy tem jedynem niezrozumiałem zdaniem, czy też wymagającem koniecznie rekonstrukcyi, a jasnym zupełnie sensem całego zresztą 28 rozdziału, co będzie najlepszą wskazówką do rozwikłania trudności: jak należy interpretować pięć wyrazów o spornem, niepewnem brzmieniu albo znaczeniu.

Bezpośrednio przed rozdziałem, który przytaczamy w przekładzie, znajduje się u Galla znany, po wielekroć już cytowany ustęp: »Neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus, sed hoc in medio deseramus, et, u t i n U n g a r i a r e c e p t u s f u e r i t, d i s s e r a m u s«.

»Gdy Władysław usłyszał, że Bolesław przybywa, poniekąd cieszy się z przyjaciela, poniekąd pozostaje miejsce na gniew

[1] Staram się o dosłowny, ile możności, przekład, nie dbając o wszelkie stąd wynikające niepoprawności stylu a nawet i języka; uzupełnienia, dodane dla lepszego uwydatnienia sensu (który mógłby ucierpieć na ściśle dosłownym przekładzie) pomieszczam w nawiasach.

(obok radości); poniekąd cieszy się mianowicie z przyjęcia (że przyjmuje) brata i przyjaciela, lecz ... (tu następuje 5 wyrazów skażonego, czy też tylko niezrozumiałego tekstu)... Nie przyjmuje go, jak każdy zwykł przyjmować obcego, czy też gościa albo równy równego, ale jak, według prawa, wassal obowiązany jest przyjmować swojego pana lennego, albo książę króla albo też król Cesarza. Bolesław nazywał Władysława swoim (podwładnym, przez siebie ustanowionym) królem (chyba nie: »królem świń«!), Władysław uznawał, że przez niego królem został (że jemu zawdzięczał królestwo). Ale w Bolesławie jedno (to pierwsze?) należy przypisać próżności, co wielce jego dawniejszej dzielności zaszkodziło (co go zgubiło mimo dzielności, jaką dawniej się odznaczał). Gdy bowiem jako wygnaniec wjeżdżał do obcego królestwa, i gdy (nawet) żaden chłop nie chciał wygnańca słuchać, Władysław, jako mąż pokorny, pospieszał na spotkanie Bolesława i jego nadjeżdżającego (dosł. zbliżającego się) oczekiwał z daleka, zsiadłszy z konia dla okazania mu czci. Przeciwnie zaś Bolesław nie baczył na pokorę dobrotliwego króla, ale podniósł serce do zuchwalstwa zarazę niosącej (zabójczej) pychy. »Tego wychowanka (mojego) ja w Polsce wyhodowałem, ja go na Węgrzech ustanowiłem królem. Nie przystoi, żeby on mnie jako równego sobie uczcił, ale niech mnie siedzącego na koniu ucałuje, jak (wassal) którego z książąt (t. j. swojego pana lennego, lub księcia stojącego nad lennym panem)«. Słysząc to Władysław, zraził się tem cokolwiek, i z drogi zboczył, polecił jednak oddawać mu usługi po całym kraju dość wspaniale. Później zaś w zgodzie i w przyjaźni zeszli się z sobą jak bracia. Węgrzy jednak silniej (dosł. wyżej) i głębiej zapisali to (sobie) w sercu, czem ściągnął na siebie wielką nienawiść Węgrów, i wskutek tego, jak opowiadają, dosięgła go rychlej ostatnia godzina« (dosł. ostatni dzień) [1].

---

[1] »Cum audisset Wladislaus Boleslavum advenire, partim gaudet ex amico, partim restat locus irae; partim ex recepto quidem fratre gaudet et amico, sed... Non eum recipit, velut extraneum vel hospitem vel par parem recipere quisque solet, sed quasi miles principem vel dux regem vel rex Imperatorem recipere iure debet. Boleslavus Wladislavum suum re-

Może to był jedynie brutalny wyskok szalonej pychy barbarzyńskiego króla, może jednak coś więcej. Ciekawa anegdota dałaby się pojąć, w literalnem znaczeniu, ale z pewnym odcieniem, któryby bezrozumne zuchwalstwo Bolesława przedstawiał w nie tak rażącem świetle. Nie bez znaczenia są podobno przeciwstawione sobie wyrazy *par parem — miles principem,* dalej zaś *ut aequalem — ut quemlibet de principibus.* Także *iure debet* wskazuje, że Gallus mówi tu nie o gościnności, osobistej grzeczności, ale o ścisłym ceremoniale w stosunku wassala do suzerena. Pamiętajmy, że on wyszedł z feudalnego świata i wysłowienie swoje stosował do panujących w nim pojęć. Otóż Bolesław Śmiały nie przybył przecież na Węgry w tym jedynym celu, żeby wyrządzić obelgę królowi, którego przed dwoma laty osadził tam na tronie [1]. Jeźli istotnie domagał się takiego ceremoniału, do którego pan lenny miał prawo w stosunku do wassala, nie przestałoby to być wielką arogancyą w położeniu króla-wygnańca, ale nie byłoby jedynie szczytem bezmyślnej pychy, jak wydaje się dzisiaj z oddalenia 800 lat. Wygnali go buntownicy; jeżeli

---

gem appellabat, Wladislaus se per eum regem cognoscebat. In Boleslavo tamen unum ascribendum est vanitati, quod eius pristinae multum obfuit probitati: nam cum regnum alienum fugitivus introiret, cumque nullus rusticorum fugitivo oboediret, obviam ire Boleslavo Wladislavus, ut vir humilis, properabat, eumque propinquantem eminus equo descendens ob reverentiam exspectabat. At contra Boleslavus humilitatem regis mansueti non respexit, sed in pestiferae fastum superbiae cor erexit. Hunc, inquit, alumnum in Polonia educavi, hunc regem in Ungaria collocavi. Non decet eum me ut aequalem venerari, sed equo sedentem ut quemlibet de principibus oscularі. Quod intendens Wladislavus aliquantulum aegre tulit, et ab itinere declinavit, ei tamen servitium per totam terram fieri satis magnifice commendavit. Postea vero concorditer et amicabiliter inter se sicut fratres convenerunt. Ungari tamen illud altius et profundius in corde notaverunt, unde magnam sibi Ungarorum invidiam cumulavit, indeque citius extrema dies eum, ut aiunt, occupavit«. — *Citius* należy tu zapewne rozumieć: rychlej, niż można było oczekiwać; widoczna aluzya do pogłosek *(ut aiunt),* że Węgrzy zgładzili Bolesława Śmiałego.

[1] Stoimy tu — rozumie się — wyłącznie na gruncie tekstu Galla, nie wchodząc w to zgoła, o ile rzeczywiście interwencya Bolesława Śmiałego była jedynym czynnikiem w wyniesieniu Władysława na tron węgierski. Co do Galla zaś, wyraźne brzmienie I. 27 i 28 nie pozostawia żadnej wątpliwości, jak on sobie tę rzecz wyobrażał.

osadzony przezeń król węgierski był jego wassalem, to nie z samej przyjaźni, z dobroci serca, ale z obowiązku wassalskiej wierności winien był mu dopomóc do poskromienia buntu i odzyskania utraconego tronu [1]. Dlatego też Władysław wybaczył Bolesławowi, powodowany wdzięcznością i przyjaźnią; Węgrzy nie wybaczyli. Władysław gotów był z własnego popędu przyjąć go z ceremoniałem, należącym się zwierzchnikowi; może to była delikatność wobec położenia, w którem znajdował się wygnany król polski; ze względu na to położenie, wszelkie obawy niepożądanych konsekwencyi były zbyteczne. Gdy jednak Bolesław zaakcentował znaczenie tego ceremoniału w tak wyzywający sposób, Władysław usunął się z drogi, na której go oczekiwał, nie bez względu zapewne na własnych poddanych. Później Bolesław zaniechał aroganckich żądań, wskutek czego *postea concorditer et amicabiliter inter se convenerunt.* Na tem tle jednak łatwo zrozumieć śmiertelną urazę Węgrów, którą Bolesław — jak opowiadano — aż przedwczesną śmiercią przypłacił.

Tak czy inaczej, ciekawa anegdota wydobyła Galla z drażliwego położenia. Nie miał ochoty pisać o dalszych losach wygnanego króla, a musiał przecież wspomnieć o jego śmierci, bo należało raz już wprowadzić na widownię Władysława Hermana, następcę Bolesława Śmiałego, ojca Krzywoustego. Wymagało tego całe założenie rozpoczętego dzieła. Zabawił więc czytelnika barwną anegdotą i utopił w niej mimochodem wzmiankę o zagadkowej śmierci Bolesława.

Niezrozumiałe wyrazy, które opuściliśmy w tłumaczeniu, opiewają w rękopisach: *sed deferre Wladislavo facto dolet ini-*

---

[1] Pocałunek *(osculum)* należał do znaczących symbolów feudalnego ceremoniału, o różnorodnem znaczeniu, które zależało właśnie od rodzaju pocałunku, od sposobu, jak go składano. Pomiędzy rozmaitemi znaczeniami tego wyrazu, Du Cange podaje w osobnym artykule: *osculum = nude homagium praestitum cum osculo.* Co do znaczenia pocałunku w ceremoniale, którego Bolesław wymagał, nie może być wątpliwości wobec kontekstu: »Non decet eum me ut aequalem venerari, sed equo sedentem ut quemlibet de principibus osculari«. Jeśli pocałowany miał siedzieć na koniu, a całujący stać pieszo, żądanie staje się wymownem; cf. Du Cange: *osculum manuum, o. pedum, o. genuum.*

inico. Można też czytać *fato.* Tak czytają Finkel i St. Kętrzyński; zamiast *deferre* kładą konjekturę *de terrae* (co wymaga tylko zmiany *f* na *t*, ponieważ rękopisy używają zawsze *e* zamiast *ae*); wreszcie poprawiają *Wladislavo* na *Bolezlavi.* Wszystko to daje razem odmienną znacznie od tekstu rękopisów wersyę: »de terrae Bolezlavi fato dolet inimico« (boleje nad nieszczęsnym losem ziemi Bolesława, Polski), co byłoby sympatycznym dla nas rysem w żywocie węgierskiego świętego. Nie mogę pogodzić się z taką próbą emendacyi, która też wogóle nigdzie nie spotkała się z uznaniem. Za wiele w niej dowolności, nie liczy się zresztą wcale z sensem poprzedniego zdania i następnych. Wszak dwa przeciwstawione sobie zdania (»partim ex recepto quidem fratre gaudet et amico, sed ... dolet inimico«). mają widocznie służyć do objaśnienia dwóch poprzednich, również przeciwstawionych zdań (»partim gaudet ex amico, partim restat locus irae«), co uwydatniono ich połączeniem zapomocą *quidem* — czemu też dalej odpowiada najzupełniej orzeczenie: *dolet.* Cóż zaś znaczy *restat locus irae* w przeciwieństwie do *gaudet ex amico?* Co gniewało Władysława? To niezawodnie, o czem Gallus dalej opowiada szczegółowo — to, c o w ł a ś n i e s t a n o w i p r z e d m i o t a n e g d o t y, wypełniającej cały rozdział 28. Pierwszy okres nie jest chyba niczem innem, jak introdukcyą do całego rozdziału, wstępem do tej anegdoty. W ten sam sposób Gallus wprowadza po tyle razy nowy przedmiot na początku niejednego rozdziału, zaznaczając niejako z góry, o czem będzie mowa[1]. Tak też należy pojmować treść pierwszego okresu w 28 rozdziale; zaznaczono tu radość Władysława, że mógł ugościć krewnego i sąsiada, któremu zawdzięczał koronę, a równocześnie gniew i żal, że mu ten gość w tak wyzywający sposób uchybił; nawet u tak »po-

[1] Por. na wyrywki poprzednie rozdziały I. 26, I. 25 (od Adnectendum), I. 23 (introdukcya do rzeczy, o których mowa w rozdz. 23—26), oraz zaraz dalej I. 29; przedtem I. 7, I. 9; w dalszym ciągu II. 6, II. 11, II. 16, II. 23, II. 35, II. 36 i t. d. i t. d. Stara to reguła *artis dictandi,* słuszna zresztą, że w każdym ustępie, stanowiącym pewną zaokrągloną całość, powinien być wstęp i zakończenie; wstęp powinien objaśnić czytelnika, o czem autor zamierza mówić.

kornego« króla, obok uciechy, musiało znaleźć się miejsce na gniew *(restat locus irae)*, musiało go zaboleć postępowanie Bolesława *(dolet)*.

Od orzeczenia *dolet* zależy inf. *deferre*. Jest to słowo o rozmaitych w klasycznej łacinie znaczeniach; w późniejszej, mianowicie u Ojców Kościoła, wybija się na wierzch jedno znaczenie, na które nie znajdzie chyba przykładu u autorów klasycznych: szanować, okazywać należne komuś względy. W średnich wiekach takie znaczenie słowa *deferre* staje się zupełnie pospolitem i góruje nad wszelkiemi innemi, jeżeli ich zupełnie nie uchyla. Du Cange, nie wspominając zgoła o jakiemkolwiek innem znaczeniu, objaśnia *deferre* francuskim wyrazem, pochodzącem właśnie od tegoż łacińskiego słowa: *déférer, avoir de la déférence*. Nie mógłbym przytoczyć tekstu, gdzieby *deferre* było w tem znaczeniu użyte na określenie wzajemnego szacunku, a zwłaszcza czci, jaka należy się wyższemu od osoby w niższem położeniu. Natomiast jest w *deferre* (jak franc. *déférer*) wybitny odcień, wyrażający protekcyonalne względy wyższej osoby w stosunku do niższej. Silnie uwydatnia się ten odcień w dykcyi Jana z Salisbury, autora XII stulecia, który należał do najwięcej czytywanych średniowiecznych pisarzy. Np. *Vita s. Anselmi* (Patrol. lat., tom 199, kol. 1032): »Quantum vero Anselmo Paschalis (papa) detulerit et contulerit tempore suo, liquet ex multis... ei namque primatum Britanniae confirmavit, hoc quoque personaliter privilegium dedit«[1]... W dalszem rozwinięciu tego znaczenia, *deferre* służy do określenia łaski, połączonej z wyraźnym odcieniem szacunku, a nawet do wyrażenia litości; może nawet znaczyć wprost: litować się nad kimś, jeźli litość wypływa z motywów szacunku, na który przedmiot ulitowania się zasługuje (jak w polskiem:

[1] Ten oraz niżej podane cytaty z Jana z Salisbury zawdzięczam uprzejmości prof. Miodońskiego, który mi je łaskawie zakomunikował, nie dołączając do nich żadnego komentarza, jedynie jako uzupełnienie cytatów, pomieszczonych u Du Cange'a. Mam sobie za obowiązek to zaznaczyć, ponieważ nie wiem, czy prof. Miodoński za uzasadnione uzna wnioski, które na tych cytatach opieram. Mniej jaskrawo ale wcale wyraźnie uwydatnia się ten sam odcień semazyologiczny w paru poprzedzających ustępach żywotu św. Anzelma, blizko przytoczonego miejsca, np. (tamże kol. 1027): »Pagani

uszanować, zaszanować). Du Cange tłumaczy: *parcere honoris ergo*. Jasno uwydatnione to znaczenie w dwu przytoczonych przezeń przykładach: 1) »Muros cum turribus evertit... templo tantum et turri David detulit«; 2) »Et quia, in quantum poterimus bono modo, vobis parcere volumus et deferre, gratum habemus«...

W znaczeniu »uszanować, okazać względy, wyświadczyć łaskę«, nadaje się *deferre* najzupełniej do tekstu, o którym mowa; wszak cały rozdział, od początku do końca, opowiada o spotkaniu dwóch królów, z których jeden uważa się za kreaturę drugiego; można śmiało wyrazić się tak wobec słów Galla: »se per eum regem (factum) cognoscebat«. Wskutek tego, w zależnej od *dolet* konstrukcyi acc. cum inf. należy domyślać się podmiotu *Bolezlaum* lub (według poprzednich słów) *fratrem et amicum*, co zresztą wynika z samego sensu. W trzecim przypadku trzeba szukać osoby, do której odnosi się to »okazanie względów«. Jest też bezpośrednio po *deferre* dat. *Wladislavo*. Może to, co prawda, wydawać się rażącem, że Gallus powtarza imię własne, gdy ono jest niewątpliwie domyślnym podmiotem orzeczenia *dolet*. Wystarczyłby tu najzupełniej zaimek. Właśnie jednak ten zaimek należał do słabszych stron Galla; nie dalej jak w poprzednim rozdziale (I, 27) użył *sibi* w znaczeniu *ei*: »Illud enim multum sibi nocuit«. Jeźli więc miał tę świadomość, że nie umiał należycie rozróżniać między *ei* a *sibi*, już to samo mogło go spowodować do powtórzenia *Wladislavo*, żeby nie pozostawić wątpliwości, do kogo odnosi się *deferre*. Zresztą nie należy zapominać, że dla rytmicznej kadencyi potrzebował w tem miejscu koniecznie wyrazu o czterech zgłoskach, z akcentem na pierwszej i na trzeciej sylabie, do czego doskonale nadawał się dat.

---

quoque, qui duci in eodem exercitu militabant, magis deferebant Anselmo, optantes ei prospera et precantes«...; tamże kol. 1027: »Siquidem archiepiscopus (Lugdunensis) et comprovinciales sic ei (Anselmo) deferebant in omnibus, acsi Cantuariensis ecclesiae suffraganei essent«... W drugiem miejscu mowa o prymasie Galii, który mógł uważać się za coś lepszego od arcybiskupa kantorberyjskiego; poganie zaś, którzy tyle względów okazywali św. Anzelmowi, nie poczuwali się też do niższości względem niego.

Wladislavo. Gdyby tu położył *eum* (fratrem et amicum) *sibi* (Wladislavo), byłby dopiero zagmatwał znaczenie całego zdania, a nadto użyłby wysłowienia wątpliwej poprawności.

Pozostawałyby zatem tylko dwa jeszcze wyrazy: *facto* (czy *fato*) *inimico*, niewiadomo: w trzecim przypadku czy w szóstym— tak i tak niezrozumiałe. Raczej wypadałoby upatrywać tu ablat., służący do objaśnienia, w jaki sposób król gość uszanował króla gospodarza, *opifex suam creaturam*, że użyjemy słów Kadłubka w ustępie, opartym na tej opowieści Galla. Otóż w tem jednem miejscu ośmieliłbym się proponować konjekturę, która będzie chyba zupełnie usprawiedliwiona zarówno przez cały kontekst jak i przez sposób wysłowienia, właściwy kronikarzowi: *fastu* zamiast wątpliwych *facto* czy *fato*. Kilka wierszy dalej używa bowiem Gallus tego rzeczownika, mówiąc właśnie o zachowaniu się Bolesława: »in pestiferae fastum superbiae cor erexit«. Dość więc przypuścić w słowie *deferre* pewien nieznaczny odcień lekkiej ironii[1], a wyjaśni się zupełnie sens niezrozumiałych pięciu wyrazów. Ten zaś odcień lekkiej ironii będzie tu chyba zupełnie usprawiedliwiony orzeczeniem głównego zdania *dolet;* można tu raczej mówić nie tyle o ironii, co o retorycznym zwrocie, który Gallowi podyktowało współczucie dla zbolałego i »pokornego« króla, »jakiego Węgrzy nie mieli« ani przedtem ani potem. Jeżeli trafne są przypuszczenia Wojciechowskiego o »mentorstwie« Galla przy synu Bolesława Śmiałego, funkcya ta byłaby dowodem szczególnego zaufania, jakiem król Władysław obdarzał naszego kronikarza i świadczyłaby w każdym razie, że Gallus nie był mu

[1] Myślę tu mianowicie o takim odcieniu ironii, jakiego używa się właśnie w uczuciu boleści, wskutek doznanej niesprawiedliwości, czy to mówi sam człowiek, tą przykrością dotknięty, czy ktoś blizki mu i z nim współczujący, np. »Ot, dorobiłem się!« (= mimo gorliwej pracy doznaję ciągłej nędzy) — »A to cię uczcili, biedaku!« (= należał ci się wyraz szacunku, a doznałeś poniżenia). W tem samem znaczeniu mówi się: »poczęstować« impertynencyą, »uraczyć« obelgami. Nie zaszkodzi zresztą i tu pamiętać, że Gallus był zawsze krępowany w wyborze wyrazów rytmiczną kadencyą, w tem zaś miejscu potrzebował słowa w inf. o trzech sylabach, z akcentem na drugiej zgłosce. *Deferre* nadawało się doskonale do spełnienia tej funkcyi rytmicznej, nie mógł natomiast użyć np. *detrahere*.

obcym. Nic dziwnego nie byłoby w tem, jeźliby żywiej odczuwał boleść Władysława. A co bolało dobrego króla? *Fastus pestiferae superbiae.* Był do żywego dotknięty arogancyą *(fastu)* »brata i przyjaciela«, objawem takiej brutalności, jakiejby chyba od wroga należało oczekiwać. Dlatego też przymiotnik *inimicus* przy rzeczowniku *fastus* zupełnie zrozumiały [1].

[1] Prof. Miodoński nie poczyta mi za złe, że nadmienię tu o naszej korespondencyi, co do tej konjektury, którą mu zakomunikowałem, bez szczegółowego uzasadnienia związanej z nią interpretacyi. Miło mi, że co do samej konjektury, mogę zasłonić się powagą tej miary: »Konjektura *fastu* byłaby sytuacyą i analogią Gallusowej dykcyi bardzo uprawdopodobnioną«. Natomiast nie zataił mi prof. Miodoński swoich wątpliwości, czy można interpretować cały ten okres, tak, jak to czynię: »Trudno bowiem zaprzeczyć, że w zdaniu *restat locus irae* wyrażone jest to uczucie, jakie obudziło się w królu węgierskim, w chwili dowiedzenia się o przybyciu Bolesława (cum audisset advenire), a więc jeszcze przed samem spotkaniem«. Niech mi będzie wolno, dla wyjaśnienia rzeczy, zastanowić się nad tym zarzutem, jakkolwiek wypowiedziano go prywatnie i z zastrzeżeniem, że niepodobna wyrzec stanowczego sądu o interpretacyi, nie znając jej szczegółowego rozwinięcia. Odpowiadając na uczyniony zarzut, umotywuję może właśnie moją interpretacyę. Otóż zapytałbym przedewszystkiem, dlaczego przypisywać tyle wagi znaczeniu gramatycznemu plusquamperfectum *audisset,* nie zważając o wiersz dalej na gramatyczną funkcyę part. perf. »ex recepto fratre gaudet et amico«, co tłumaczone ściśle, świadczyłoby, że tu jest mowa o przyjęciu Bolesława jako o dokonanym już fakcie. Czyż plusquamperf *audisset* musi oznaczać: gdy usłyszał, że Bolesław przybywa w granice węgierskiego królestwa? Czyż nie może odnosić się do momentu, poprzedzającego bezpośrednio chwilę spotkania królów, o którem opowiada cały rozdział? Jeśli tak, to możnaby tłumaczyć: gdy usłyszał, że Bolesław przybywa t. j. zbliża się; odpowiada temu dalsze: »eumque propinquantem exspectabat«. Niema — zdaje mi się — żadnej konieczności, odnosić aroganckie słowa Bolesława do samego momentu spotkania, skoro potem powiedziano wyraźnie: »Wladizlavus ab itinere declinavit«. Raczej należałoby chyba wnosić z tych ostatnich wyrazów, że Władysław odjechał z miejsca, gdzie oczekiwał gościa, zanim Bolesław tam przybył. Wszak oczekiwał go już z daleka *(eminus)* zsiadłszy z konia. Mógł zatem odjechać *(ab itinere declinare)* albo na wiadomość, że Bolesław domaga się brutalnie takiego ceremoniału, jak wassal obowiązany jest przyjmować swego zwierzchnika, albo też wreszcie w momencie przed samem już spotkaniem, gdy król polski, zobaczywszy z daleka węgierskiego króla, w wyzywający sposób wyraził swoje zadowolenie z należącego mu się jakoby ceremoniału. Węgrzy, wysłani na spotkanie zbliżającego się króla polskiego, mogli Władysławowi przynieść te obraźliwe wyrazy; dziwićby się raczej, gdyby tego nie uczynili. Bądź co bądź bowiem, była jeszcze pewna różnica między postawą, w której Władysław

Komu nie spodoba się ta interpretacya, niech łamie sobie dalej głowę nad konjekturami, któremi dałoby się wprowadzić jakiś sens do przytoczonego zdania [1]. Nie będę upierał się przy niej, nie mam też zgoła zamiaru budować na niej żadnej hipotezy. Nie wartoby z pewnością poświęcać tyle miejsca i czasu tym pięciu wyrazom Galla, gdyby Wojciechowski nie wyczytał z nich swojego senzacyjnego »odkrycia« [2], z którego, jakoby ze stwier-

---

pieszo oczekiwał gościa, a tem, czego Bolesław się domagał: *equo sedentem osculari*. Stoimy tu naturalnie tylko na gruncie tekstu Galla, ponieważ chodzi o to, żeby zdać sobie jasno sprawę, jak on wyobrażał sobie przebieg całego faktu i jak stosował do tego introdukcyę, objętą w pierwszym okresie rozdziału. Biorąc rzecz w tem znaczeniu, jak to czyni prof. Miodoński (P. P. II. 45), folguje się może mimowolnej suggestyi, jakoby Władysław musiał być oburzonym na Bolesława za zabicie biskupa, jakoby zatem do tego uczucia odnosiło się wyrażenie: *restat locus irae*. Pamiętajmy jednak, że to dzieje się w XI wieku; Władysław mógł łatwo nic nie wiedzieć o krwawem zdarzeniu w Krakowie, gdy doszła go wiadomość o wygnaniu Bolesława i o jego przybyciu do Węgier. I później jeszcze mógł mieć o umęczeniu św. Stanisława bardzo mętne wiadomości, tylko z otoczenia Bolesława. Nie trzeba mierzyć ówczesnej sytuacyi miarą nie tylko dzisiejszej notoryczności wydarzeń tego rodzaju, ale nawet miarą łatwości, z jaką fakt o podobnem znaczeniu musiałby był stać się notorycznym np. w Rzymie, w I, II lub. III wieku po Chr. czy przed Chr., jeśliby wydarzył się niedaleko od granic rzymskiego państwa.

[1] Próbowano rozwiązać tę łamigłówkę na rozmaite sposoby, poza hazardowną konjekturą Finkla i St. Kętrzyńskiego (ob. wyżej str. 424). Co do tych, w ogólności niezadowalniających prób, ob. P. P. I. 198, II. 45.

[2] Należy tu zacytować dosłownie tę osobliwą interpretacyę (l. c. str. 253 n.): »Gdy Władysław, wymieniony w pierwszem zdaniu, jest Władysławem węgierskim, to wymieniony przy końcu jest Władysławem Hermanem, a wtedy okaże się myśl Galla taka: cieszył się Władysław węgierski na przyjazd Bolesława, jako brata i sprzymierzeńca, ale chowa też w sercu gniew, bo trudno mu wybaczyć Władysławowi (Hermanowi), że stał mu się wrogiem«. Przy tem odsyłacz, u dołu zaś przypisek »Cfr. Du Cange: deferre = excusare. W ostatniem wydaniu kroniki Galla zastąpiono cały ten ustęp konjekturą, nie tylko że nad miarę dowolną, ale i arcyniefortunną: sed de terrae Boleslavi fato dolet inimico«. Może istotnie tylko »niefortunna« konjektura wydawców Galla odegrała tu rolę silniejszego impulsu, żeby tę łamigłówkę lepiej rozwiązać; może była pierwszym kamykiem, który poruszył następnie całą lawinę domysłów Wojciechowskiego?... Nie nasza rzecz w to wglądać. Pozostańmy przy tej jedynej w swoim rodzaju interpretacyi. Niechby nawet *per inconcessum* odnieść dat. *Wladislavo* do Hermana; niechby zamiast *deferre allicui* podstawić *excusare aliquem*, to i tak nie-

dzonego faktu, wysnuł różne domysły, sięgające daleko i wstecz i naprzód, w czasy przed zagadkową katastrofą r. 1079 i dalej aż po rok 1086, a tem samem zbudował z niego główną podstawę wszystkich domniemań o nieznanym przebiegu starcia biskupa z królem. W niniejszej dyskusyi uznano jednomyślnie tę osobliwą interpretacyę Wojciechowskiego za rażący błąd metodyczny. Otóż powyższa analiza całego rozdziału I. 28 Galla — czy kto zgodzi się czy nie zgodzi na jej rezultat — dostarczy w każdym razie pewnych przyczynków do sumiennego, przedmiotowego sądu o szczególnej interpretacyi Wojciechowskiego. Jeżeli przez to jeszcze jaskrawiej uwydatni się bezzasadność dalszych jego wniosków, nie pójdzie może na marne cierpliwość czytelnika, ponieważ na tym kruchym fundamencie wspiera się całe jego »Faktum biskupa Stanisława«; i »grzeszna zdrada« nawet (P. P. II. 421), to już tylko ornament wzniesionej na nim budowy.

Mniejsza o szczególną konstrukcyę tego osobliwego unikatu w dziedzinie hermeneutyki, gdzie każde ogniwo argumentacyi jest oczywistą omyłką. Dość zastanowić się nad zasadniczą myślą tego »odkrycia«. Cały przecież rozdział Galla I. 28 poświęcony królowi Władysławowi; o nim też Gallus mówi i w poprzednim rozdziale, bezpośrednio przed wykrętnymi frazesami o wygnaniu

---

podobnaby zrozumieć, jak można wyczytać powyższy sens ze słów: »Sed excusare Wladislavum factum dolet inimicum«. Król Władysław został wprawdzie kanonizowany. I świętych to nieraz kosztuje niemało przezwyciężenia, jeżeli wybaczają nieprzyjaciołom, zwłaszcza gdy są królami. Żeby jednak Gallus mógł użyć o takim cnotliwym czynie św. Władysława wyrazu *dolet* (boli go), tego już w żaden sposób nie można pojąć, co innego bowiem »usprawiedliwiać kogoś« *excusare* (przed kim? przed sobą samym?) a co innego »wybaczyć« komuś. Bądź co bądź, dla uzasadnienia tej oryginalnej interpretacyi o tak doniosłych konsekwencyach, wypadało zadać sobie więcej trudu. Nie wystarczał tu cytat: »Cfr. Du Cange: deferre = excusare«, choćby nawet nie był oczywistą pomyłką. Du Cange bowiem nie podaje (II, 1369) przy *deferre* tego jakoby synonimu *excusare*. Wojciechowski cytował tu widocznie z pamięci, a pamięć go zawiodła. Takie postępowanie przy interpretacyi tekstów możnaby nazwać impresyonizmem w hermeneutyce. Autor kieruje się wrażeniem, jakie pewien tekst na nim sprawił, nie dbając ani o cały rysunek zdania ani o uzasadnienie wniosków, polegających na tem wrażeniu.

Bolesława Śmiałego. Tam już czytamy: »Ipse quoque Salomonem regem de Ungaria suis viribus effugavit et in sede Wladislaum, sicut eminentem corpore sic affluentem pietate collocavit. Qui Wladislaus ab infantia nutritus in Polonia fuerat et quasi moribus et vita Polonus factus fuerat. Dicunt talem nunquam regem Ungariam habuisse, neque terram iam post eum fructuosam sic fuisse«. Nic to wszystko nie znaczy. Według interpretacyi Wojciechowskiego, dat. *Wladislavo* (sed deferre Wladislavo i t. d.) musi oznaczać Władysława Hermana, choć Gallus będzie o nim mówić dopiero w dalszym ciągu kroniki. Na Hermana zatem gniewał się król Władysław, do Hermana czuł żal. O co? Że stał mu się nieprzyjacielem *(facto inimico)* t. j. że przeszedł do obozu jego nieprzyjaciół. Stąd zaś tryskają z niepowstrzymanym pędem imaginacyi wszystkie dalsze domysły, każdy o pierwszorzędnem znaczeniu. Autor »Szkiców« będzie się gniewać, że mówię tu o domysłach; on widzi w swojem odkryciu pewny, udowodniony fakt, o którym nie wolno wątpić. Bezpośrednio po ustępie, zawierającym interpretacyę tych pięciu wyrazów Galla, zaczyna się nowy ustęp od słów: »Mamy więc teraz przed sobą wiadomość pewną, że sprawcą upadku Bolesława był Herman i że skazanie biskupa Stanisława nie było powodem ani początkiem buntu« i t. d. Czytelnik zechce sprawdzić, że nie pomyliłem się w cytacie; te słowa znajdzie rzeczywiście na str. 256 »Szkiców historycznych XI wieku«.

Oto zaś dalsze domysły Wojciechowskiego. Skoro Herman stał się nieprzyjacielem węgierskiego króla — cytujmy jednak i dalej dosłownie, żeby nas o przesadę nie posądzono — »znaczy to oczywiście, że w ówczesnym układzie, a lepiej powiedzieć, rozłamie środkowej Europy na dwa główne obozy, stronników i przeciwników Henryka IV, Herman stanął po stronie przeciwnej Węgrom, czyli, że jego działania i przymierza postronne były inne aniżeli Władysława, i rozumie się, inne aniżeli Bolesława, bo ten był owszem sprzymierzeńcem węgierskim. Aleć o Władysławie wiemy dokładnie, że był nie tylko sprzymierzeńcem ale i zięciem antykróla Rudolfa, i że popierał czynnie panów niemieckich przeciwko Henrykowi. Odkrywa się zatem nowy fakt, po-

wiedzmy raczej nowy pogląd: że kiedy Herman strącał Bolesława, skoro właśnie przez to stał się wrogiem króla węgierskiego, więc widocznie działał w tem na rzecz Henryka IV. Nie dość, można rozumieć, że działał w porozumieniu i z pomocą króla niemieckiego, albowiem o własnych siłach nie byłby się porwał na Bolesława. I tu dopiero dochodzimy do jądra rzeczy«...

Tak, rzeczywiście: tu jądro rzeczy. *Rien n'est sacré* dla erudyta, gdy go hypnotyzuje trafna, jak mniema, interpretacya zawiłego tekstu, nad którym długo łamał napróżno głowę. Tu jądro całego błędu. Bez niego, autor »Szkiców« nie zboczyłby ze szlaków ścisłego badania na grzązki grunt bezpodstawnych wniosków, nie byłby o nich pisał z tak niezachwianą wiarą, jak gdyby każdy z urojonych faktów mógł poprzeć pozytywnemi świadectwami wiarogodnych źródeł.

Znów Gallus nie zasłużył na tyle honoru, żeby z jego frazesu, z pięciu jego słów, wyprowadzać tak ważne wnioski o zasadniczym zwrocie w postawie Polski wobec »rozłamu środkowej Europy«. Nie zasłużył jednak i na to, by go posądzać o takie niedołęstwo, tam gdzie dbał pewnie więcej o dobrą opinię, niż co do oryentacyi w materyach politycznych. Czy uczył się w Leodyum czy w innej jakiejś, nie tak rozgłośnej szkole, był niezgorszym stylistą i tem się szczycił. Mógł mylić się w użyciu *ei* lub *sibi*, mógł stracić nieco wprawy w »sztuce pisania«, nie mając wzorów i przewodników (III. epist.), mógł czasami popełnić jakiś polonizm, odkąd przyswoił sobie nasz język; nikt jednak nie wskaże u niego podobnej indolencyi wysłowienia, jak to istne *curiosum* stylu, które weń wmawia interpretacya Wojciechowskiego. Wszak zaraz w następnym rozdziale wprowadza na widownię obydwu Władysławów, z precyzyą wyrażenia, której nic nie można zarzucić (I. 29). Jednego nazywa *rex Ungarorum*, drugiego *dux*, a nadto jednem jeszcze określeniem usuwa wszelką wątpliwość co do osoby Władysława Hermana, jakby pragnął zapobiedz nieporozumieniu: »Placuit patruo suo Wladislavo duci puerum in Poloniam revocare«. Podobnie dalej II. 4: »Unde multum Wladislavus indignatus et Setheus ira nimis inflammatus, Wladislavum Ungariae regem... in auxilium sibi

contra Wratislavienses mandaverunt, unde plus dedecoris et damni quam honoris et proficui habuerunt. Nam Setheum rex Wladislavus vinctum secum in Ungariam transportasset, ni pro salute cum parvulo Bolezlavo transfugisset«... Kilka zaś wierszy dalej, znów jakby chciał zapobiec nieporozumieniu: »dux Wladislavus ad urbem Wratislaviensem accedebat«... choć tu jasno już z samego kontekstu wynika, że nie może być w tem miejscu mowy o królu węgierskim, ale tylko o księciu Władysławie. Nim więc jeszcze czytelnik zapoznał się z księciem Władysławem (Hermanem), mógłbyż Gallus napomknąć o nim w tak osobliwy sposób, jak to wynikałoby z interpretacyi Wojciechowskiego? Mógłbyż dopuścić się tej niezgrabności w rozdziale o królu Władysławie, bez żadnej zgoła potrzeby? Tak, bez żadnej potrzeby, o tem bowiem nikt przecież nie będzie wątpić, że go mało obchodził »ówczesny układ a lepiej powiedzieć rozłam środkowej Europy na dwa obozy«. Chybaby oględny stylista dopuścił się umyślnie tej niezręczności, dla zaciemnienia sensu — nie dla wykrętu, jak w poprzednim rozdziale — ale tylko w tym celu, żeby po ośmiu wiekach erudyci mieli w tem miejscu tak twardy orzech do zgryzienia. I tu zatem nie waham się powtórzyć: przeciw tego rodzaju interpretacyi nauka musi założyć protest; w ten sposób można ze skąpych źródeł wszystko wyczytać, według upodobania. Każdy może się mylić w tłumaczeniu zawiłych tekstów. Autor »Szkiców« miał jednak najpełniejszą świadomość, że wyjaśnienie sprawy św. Stanisława, to nie byle jaki szczegół antykwaryczny. Wyznał otwarcie (str. 249): »Ten szkic jak i następny, mogą być przykre do czytania, z powodu ustępów, jakie czytelnik tu znajdzie o św. Stanisławie. Zapewne, że nie było mi łatwo pisać je; oprócz trudności rzeczowych niepokoiła obawa, czy się nie jest oszczercą, który kala narodową świętość. Czytelnik osądzi«. Wypowiedział te słowa z najlepszą wiarą, a nie zdał sobie sprawy, że cały gmach urojeń, które tak ciężko było mu konstruować, oparł jedynie na ryzykownej interpretacyi niejasnych pięciu wyrazów, i że przez szkła takiego naukowego hazardu decyfrował wykrętne napomknienie Galla: *traditorem episcopum, pro traditione*. Tak silnie wierzył w rzetelną wartość rzekomego »odkry-

cia«, że miał sobie za obowiązek: wprowadzić jak największą harmonię między tą rewelacyą a wzmianką Galla o »biskupie-przeniewiercy«. Ileż to razy sam Wojciechowski podkreśla najlojalniej wątłość niektórych własnych, nazbyt śmiałych domysłów, i w »Szkicach« i gdzieindziej; tu nie poczuwał się do żadnego w tym względzie obowiązku, przeciwnie podał za prawdę, za rzecz pewną, domysł wysnuty z oczywistej omyłki [1].

Za to, w rozpędzie imaginacyi, odsłonił najsłabszą stronę swoich »konstrukcyi«, w niebacznych słowach: »Odkrywa się nowy fakt, powiedzmy raczej nowy pogląd...« Nie na miejscu tu wyraz: »raczej«; jeżeli *lapsus calami*, to znamienny. Poglądy, to nie fakta; o to chodzi, o nic innego. Wyrąbać prawdziwe fakta z surowych materyałów, które przeszłość potomności pozostawiła — to zadanie krytyki historycznej, na dwóch najniższych szczeblach dziejopisarskiej pracy. Na pierwszym interpretacya tekstów stwierdza sumiennie istotne ich zna-

[1] W ciągu tej rozprawy po kilka razy wytknęliśmy rozmaite »omyłki« czcigodnego autora »Szkiców historycznych XI wieku«, które nawet uważamy za dość rażące ze stanowiska metodyki historycznej. Wobec tego mamy sobie za obowiązek sumienia naukowego, zapobiec z góry pewnemu nieporozumieniu, które mogłoby stąd łatwo powstać. Niefachowy czytelnik byłby może skłonnym podzielać pewnego rodzaju zdziwienie, jakie zapanowało w niefachowych kołach, gdy Akademia Umiejętności odznaczyła »Szkice historyczne XI wieku« nagrodą im. Barczewskiego »za najlepszą pracę historyczną«. Gdyby tego nie uczyniono, naruszonoby bezwzględnie statut i wyraźne, jasne warunki zapisu fundacyjnego. Na ostatnią bowiem książkę Wojciechowskiego złożyło się dziewięć różnych naukowych rozpraw — jak autor nazwał: »szkiców« — z których trzy ostatnie tyczą się wprost lub pośrednio katastrofy r. 1079. I w tych trzech rozprawach nie brak trafnych spostrzeżeń lub konstrukcyi (np. o pochodzeniu i rodzie św. Stanisława). Co do innych zaś, w tej książce pomieszczonych rozpraw (I—VI), pełno tam prawdziwych pereł bystrości i niezwykłego daru kombinacyi niedostrzeżonych dotąd przez nikogo, drobnych, a dopiero w umiejętnem zestawieniu wymownych »faktów«, w rzetelnem znaczeniu tego słowa. Komitet, który wypracował (drukowane zresztą) sprawozdanie w przedmiocie odznaczenia »Szkiców« nagrodą Barczewskiego, nie mógł w r. 1906 uczynić innego wniosku bez naruszenia statutu. Oświadczono jednak wyraźnie: »Członkowie Komitetu uważają za konieczne zaznaczyć, że głosując jednomyślnie za przyznaniem nagrody temu dziełu, nie godzą się bynajmniej na wszystkie rezultaty dociekań zasłużonego autora« (Rocznik Akademii Umiej. w Krakowie, 1905/6, str. 131).

czenie, według ścisłych prawideł semazyologii i hermeneutyki, *sine studio*, bez wszelkich ubocznych celów, bez zezowania w stronę jakiejkolwiek »konstrukcyi«. Dalej, na drugim szczeblu, przedmiotowa krytyka źródeł ocenia wartość każdego ich świadectwa, stosując do nich probierz ogólnych właściwości danego źródła, które wprzód musi dokładnie zbadać; oczyszcza każdy szczegół z mętów złej informacyi, uprzedzeń czy tendencyi, a tak z surowej rudy zdobywa metal faktów. Metal to rozmaitej wartości, z różnymi odcieniami prawdopodobieństwa, aż do niezbitej prawdy. Tu też szczególnie, w miarę odrębnych cech materyału, zdrowy krytycyzm winien trzymać na wodzy dowolność wnioskowania, jeśli ubóstwo źródłowych świadectw nie pozwala z bezwartościowej rudy dobyć metalu pewnych, stwierdzonych faktów. A poglądy? Jeśli poglądy operują czem innem jak pewnymi faktami, niczem innem nie będą, jak złudną grą wyobraźni. Poglądy — to w każdym razie wyższy dopiero szczebel dziejopisarskiej pracy, przedzielony od tamtych, mniejszym lub większym szeregiem szczebli, według przedmiotu i obfitości faktów. Na tych pośrednich szczeblach, stwierdzone fakta łączą się w grupy, w uogólnienia pokrewnych znamion czy też objawów, przy świetle coraz dokładniejszego, z postępem badań, znawstwa epoki, jej właściwości i cech znamiennych. Ponad tem wszystkiem, na wyższym jeszcze szczeblu poglądów, nie pora na odkrywanie faktów. Jeśli więc »fakt« i »pogląd« staną się odcieniami tego samego pojęcia o zatartych konturach, a nadto ryzykowna interpretacya paru wyrazów zawiłego tekstu będzie »odkrywać nowe fakta, powiedzmy raczej poglądy« — historya wycofa się z rzędu nauk, w sferę fantazyi. Co najmniej cofnie się u nas, spadnie na poziom dyletantyzmu, skąd ją dźwignęły umiejętne badania ostatnich dziesiątków lat, *quorum magna pars* Wojciechowski.

(Dok. nast.).

Stanisław Smolka.

MAŁEGO FRANKA WIELKA TROSKA.

NOWELA.

Biurko mamusi! Czy jest w świecie coś bardziej zajmującego? W każdym razie Franek o niczem takiem nie wie. Jest to najstarszy przedmiot studyów jego. Nie pamięta siebie bez biurka mamusi. Świadomość jego raz pierwszy właśnie przy owem biurku się obudziła.

Był jeszcze bardzo maleńki. Łapką obejmował jedną z nóżek biurka (nietęgo się jeszcze bowiem trzymał na własnych), paluszkami drugiej wodził wzdłuż, ciesząc się miłem wrażeniem, jakie czyniło wygięcie nóżki, zmuszając paluszki do zboczenia mimowolnego, co go tak cieszyło, iż co chwila wybuchał głośnym śmiechem. Gdy mu to spowszedniało, podniósł główkę do góry i zobaczył nad sobą nizkie sklepienie (był to spód stołu), tak go to zaintrygowało, że, aby lepiej się przypatrzeć, zadarł nosek co sił w karku. Zachwyt ten zawrócił mu jednak głowę... zachwiał się i byłby runął, gdyby nie troskliwa ręka mamusi, która znalazła się blizko w krytycznym owym momencie. Od dnia tego, w towarzystwie kosza na papiery, przesiadywał często pod biurkiem, uważając je za wyłączny swój pokój, zastosowany do wzrostu. Czuł się tam najbardziej u siebie.

Gdy podrósł tak, że nosek znalazł się na poziomie blatu, zmieniły się trochę rzeczy. Najprzód, mamusia protestowała coraz częściej. To zrazu miało tylko taki skutek, iż włażąc pod stół

wzdychał głęboko mówiąc do siebie półgłosem: »A mamusia tyle lazy mówila, ze nie mozna!« — wzdychał, ale pchał się jednak naprzód. Wkrótce atoli zaczęły przemawiać, jako praktyczne argumenta popierające wolę mamusi, coraz częstsze guzy, mnożące się w miarę przybywającego wzrostu. Wreszcie miał ich dosyć. Wycieczki pod stół robiły się coraz rzadsze, wreszcie ustały.

Teraz przekonał się raz pierwszy w życiu, że cnota (w tym wieku ma ona jedynego reprezentanta: posłuszeństwo) bywa jednak czasem w życiu nagradzana. Odkrył bowiem z chwilą tą na biurku królestwo czarów nowe, piękniejsze od pierwszego pod biurkiem.

Najprzód więc czarowały go cztery kule kryształowe, tworzące całość i służące za przycisk. Kule te miały cudowną własność: same były przeźroczyste, bez koloru, jak woda — natomiast mieszkały w nich wszystkie kolory: czerwony i niebieski, i żółty, i fioletowy i zielony. Gdy słońce świeciło na kule, wybiegały te śliczne kolory jeden za drugim ze swego domku. Nie można ich było nigdy naraz wszystkich widzieć, ale kiedy się wolniusieńko przesuwało główkę od prawej strony ku lewej, lub przeciwnie, wybiegały kolejno. Franek długi czas je liczył, jak umiał (jeden, dwa, pięć, dziewięć), czy też którego im zabraknie i z zadowoleniem kończył rewię, widząc, że są wszystkie na stanowisku. A potem próbował, czy też jaki nowy nie przybędzie — ale nie! zawsze te same! To go trochę drażniło: gdybyż choć jeden nowy!

Teraz był już tak duży, że bródka jego sięgała o parę centymetrów nad stół. Wiele też nowych przedmiotów dostarczyło przez ten czas biurko czujnej jego obserwacyi.

Siedział na biurku maleńki chłopczyk srebrny. Przedtem go Franek nigdy nie zauważył, bo był to maleńki gracik i dopiero z czasem rozpoznał w nim chłopczyka. Często mu się przyglądał. Chłopczyk miał pyzatą twarzyczkę i kręcone włoski, trzymał przy uchu muszelkę i słuchał — ciągle słuchał...

Franek sam nieraz to robił. Dawniej leżała na biurku także i muszla taka sama, tylko daleko większa... »sto razy większa!« od całego chłopczyka — jak Franek obrazowo powiadał... nic

dziwnego, bo chłopczyk tamten miał maleńkie ucho. Frankowi na nicby się nie przydała taka malutka muszelka.

Muszla mamusi zato! Ach ta muszla!... Była ona duża i tak ciężka, że ją trudno jedną rączką podnieść. A ślizka przytem!... To też wywędrowała na wysoką półkę, gdzie jej niesposób dostać. A Franek tak lubił nią się bawić. Była śliczna, biała i różowa, gładka przytem i chłodna i miła w dotknięciu. Ale najmilej było przytknąć do niej ucho i słuchać. Tak dziwnie szumiało. I szum ten zawsze w niej był, choćby nie wiem jak prędziutko przyłożyć ją do ucha! Ledwo ją przytkniesz, już jest!

— Co to tak szumi nianiu! Co to tak szumi? — niania nie umiała wytłumaczyć.

Anula, cioteczna siostrzyczka Franka, wytłumaczyła mu, że to morze, bo:

— Mamusia mówiła, że muszle w morzu żyją.

— Co to morze? — pyta Franek.

— To taka wielka woda, która zawsze szumi.

Franek w zamyśleniu utkwił oczy przed siebie, a potem skinął głową. Dawniej myślał, że to czas. Zauważył bowiem, że gdy go wieczór położyli spać i odeszli, a on jakoś zasnąć nie mógł, a było wokoło bardzo cicho, bo Janek już spał, słyszał czasem szum zupełnie do tego podobny.

»To czas płynie« — myślał wówczas, uzmysławiając sobie wyrażenie, które słyszał »czas płynie«. Ten czas płynący ciągle i morze, »wielka woda, która zawsze szumi«, zlały się odtąd w pojęcie jedno, w pojęcie czegoś bardzo wielkiego, nieokreślonego.

Na biurku obok chłopczyka i na jednej z nim podstawie srebrnej leżał lak. I ten także stanowił źródło radości. Lubił Franek stać obok mamusi, gdy ta pieczętowała listy. Płonący lak padał kroplami wielkiemi, paląc się jeszcze na kopercie. Wtedy mamusia brała chłopczyka srebrnego za głowę i przyciskała go z całej siły do laku. Franek z płonącymi oczyma śledził póki wszystkie pieczątki nie zostały odciśnięte. Z końcem ostatniej wzdychał głęboko, jak po męczącej, wytężającej pracy.

Na biurku stał jeszcze kałamarz porcelanowy, malowany w śliczne kwiatki — i węże, które stojąc sztucznie na skrętach

ogona, trzymały w paszczach świece... Od tygodni paru zwrócił też Franek uwagę na coś jeszcze. W prostej ramce z ciemnej skóry stała fotografia. Jakiś pan z wąsem zawiesistym, z marsem na czole, patrzał z niej trochę ostro na Franka, oczyma, które jednak przypominały mamusi słodkie oczy. Ile razy Franek był nieposłuszny, bał się spojrzeć na niego, bo mu się wzrok ten wydawał groźnie, a uparcie patrzący. Natomiast gdy się zdarzył dzień dobry, Franek lubił się w te oczy równie śmiało patrzeć, jak one na niego patrzyły.

Dziś był właśnie taki szczęśliwy dzień. Franek klęczał swoim zwyczajem na krześle przed biurkiem i odbywał ogólny przegląd skarbów. Nóżki jego nie tracąc czasu, biły w powietrze rytmicznym ruchem. Główkę wsparł na rączkach, a łokcie na stole. Wzrok jego napotkał tego pana z dużymi wąsami, utkwił w oczach jego śmiało, Franek uśmiechnął się przytem leciutko.

— Mamusiu, a kto to jest, mamusiu?

Mamusia siedziała w głębi pokoju nad robotą.

— Dziadunio twój, Franeczku, mój tatuś.

W głowie Franeczka mignęło, że panna Julia mówiła kiedyś, że tatuś mamusi umarł, ale nie wiedział co to znaczy.

— A gdzie on jest?

— Oj, daleko, Franeczku.

— A czy Franek go zobaczy, mamusiu?

— Jak będzie grzeczny, to zobaczy.

— Ale gdzie on jest, mamusiu? gdzie on jest?

Mamusia po chwilowem milczeniu:

— W niebie, Franeczku.

— Czemu on w niebie?

— My wszyscy, jeśli dobrzy będziemy, pójdziemy tam.

— Kiedy, mamusiu?

— Kiedy nas Pan Bóg zawoła.

— A to słychać, mamusiu, jak Pan Bóg woła?

— Tak, Franeczku.

— Którędy to się idzie do nieba? — i znów, nie otrzymując odpowiedzi:

— I tatuś pójdzie do nieba?

— I tatuś.

— I mamusia?

— Jak Pan Bóg da, to i mamusia.

— I Janek i Franek.

— Ale tak, Franku, wszyscy jeśli będą grzeczni.

Franek odczuł wahanie.

— To może lepiej nie idźmy, mamusiu! Frankowi tam nie trzeba wcale! Albo nam tu źle? — i znów po chwili:

— Czy tam ładnie, mamusiu?

— O ładnie bardzo! Pan Bóg taki dobry i kocha nas, tyle ślicznych aniołków!

— A aniołkowie to będą się ze mną bawić?

— Pewno, Franeczku!

— I w konie?

— No, nie wiem...

— A Pana Boga to tam widać, mamusiu?

— Tak, Franeczku! wszyscy w niebie będziemy widzieć Pana Boga.

— I ja, mamusiu, i ja także? Bo tutaj to Franek wszystko widzi i duże i małe, a Pana Boga to coś wcale zobaczyć nie mogę.

— Bo Pan Bóg nie ma ciała.

— A jak Pan Jezus maleńki był, to Pana Boga widać było?

— Pan Bóg naumyślnie wziął ciało, by się ludziom dać poznać.

Tu Franek znów zawrócił do przerwanego toku myśli.

Podczas tej rozmowy zeszedł był z krzesła, teraz znalazł się przy swojej mamusi nachylonej nad robotą i opierając się o jej kolana, stłumionym trochę głosem mówił:

— Ale Franek z mamusią razem tam pójdzie, mamusiu! razem! Franek nie chce iść sam.

Mamusia spuściła robotę na kolana i spojrzała na twarzyczkę dziecinną o wielkich oczach, patrzących z niemą, dojmującą prośbą. Pogładziła go po jasnej, ciepłej główce, szukając w macierzyńskiem sercu odpowiedzi. Była to może słabość z jej strony, ale śmierci w rozmowach z Frankiem poruszać nie chciała.

— A mamusia wie, którędy się to do nieba idzie? — pytał znów, bardzo go to obchodziło.

— Wiem, Franeczku, wiem... jak Franek będzie grzeczny, to i Franek zobaczy którędy się idzie.

— Franek był grzeczny, mamusiu! doprawdy był grzeczny!

— Tak, Franeczku, tak zawsze grzecznym być trzeba! — Rada była temu zwrotowi. — Nie wiesz, co się dzieje z Jankiem?

Co się dzieje? nic się nie dzieje! Cóż się ma dziać! Franek milczał i patrzał zdziwiony.

— Gdzie on jest?

— A w naszym pokoju, mamusiu, z panną Julią.

Bo i gdzieżby miał być? Czemu mamusia się o to pyta? przecież na spacer nie poszedł, taki śnieg pada!

* * *

W parę miesięcy potem nadszedł dzień wiosenny. Daty określić nie potrafię, ale epokę w życiu Franka stanowił on: po całem przedpołudniu biegania w błyszczącem słońcu, po błyszcząco zielonym gazonie, za błyskającymi, jak iskierki latające, motylami, wracał do domu na obiad. Gdy drzwi otworzył z rozpaloną twarzyczką i błyszczącemi, słońca pełnemi jeszcze oczyma, uderzył go miły chłód.

— W pokoju zimniej, niż na dworze! — skonstatował z entuzyastyczną radością i dumą niejaką.

To więc odkrycie stanowiło epokę w jego życiu, znaczyło bowiem: Skończona zima, zaczęło się lato. Zima to epoka, którą się znosi (prócz tych chwil gdy można saneczkami się wozić), lato to epoka, w której się żyje pełnią życia — to jest słońcem, świeżem powietrzem, lataniem do utraty tchu, po którem następują chwile odpoczynku, gdy człowiek, rzuciwszy się na gazon, gdzie ćwierkają świerszcze, ma nad sobą ruszające się wolno jak olbrzymie wachlarze nizkie gałęzie brzostu, z poza których błyszczy błękitne, głębokie niebo.

Lato się zaczyna i będzie trwać w nieskończoną ilość tych cudownych, rozpalonych słońcem długich dni. Skończona zima poza nim i już! na zawsze skończona! Świat Franka to nie jest

ten świat uregulowany, nasz, w którym po każdem lecie, znów wraca zima. Lato trwa. Po niem przygodnie bywa zima, z d a r z a się zima.

A, że był dumny z tego, że na świecie »już cieplej, niż w pokoju«, jakby się przyczynił do bohaterskiego czynu jakiego?... On zawsze był dumny z przejawów nadzwyczajnych aury... Gdy zimą mróz dochodził do 30 stopni poniżej zera, czy gdy termometr latem pokazywał do 30 stopni (w cieniu!) powyżej zera. Czy, że topola srebrna przed domem tak gruba, że ją trzy dorosłe osoby ledwo obejmą... czy że »my mamy takiego konia, co ma dwadzieścia pięć lat«, czy że »staw Stadnicki ma trzy wiorsty długości«, czy że »złapano szczupaka, co był tak długi, jak Janek«, czy że »piorun uderzył prosto w stajnię«. To wszystko go dumą napełniało.

Dlaczego? Przypuszczam, że czuł się obywatelem świata i miał patryotyzm wszelkich dziwów, a tych było bez liku! Mówiąc o nich zaciskał piąstki i robił groźne oczy pod marsem na czole. Zresztą tem samem uczuciem napełniało go to, że przeszłej zimy: »Ja miałem czterdzieści stopni gorączki«.

Otóż szereg tych dni letnich, błyszczących i gorących, doprowadził chwytną duszkę Frankową do środka czerwca — bywały wprawdzie wśród nich i dni słotne, ale te były poza programem, więc optymizm Franka nie brał ich w rachubę.

Było popołudnie. Pod drzewem, gdzie siedzieli z boną, chłodno i mrocznie w łagodnych zielonych refleksach od gęstwi zielonej nad niemi. Na świecie, objętym powodzią ostrego światła, upał opadał powoli, bo wieczór był niedaleki.

Dzieci bawiły się spokojnie. Nawet ich upał pokonał!

Janek z Wojtkiem bawili się piaskiem. Od czasu do czasu rozlegał się ostry głosik Wojtka, usiłującego nadaremnie myśli swe wypowiedzieć mową ludzką. Franek siedział opodal, bawiąc się machinalnie biczykiem, zmęczony upałem, półsenny.

Do bony przyszła »na minutkę« panna Helcia z garderoby, była mowa o szwaczce, o jakichś sukienkach do przerobienia, o szwaczce tej, która je przeszłego roku szyła.

Do świadomości Franka dochodził od czasu do czasu jakiś oderwany urywek rozmowy. Usłyszał wreszcie:

— Ktoby to myślał! takie to młode było, a już ją wynieśli na cmentarz!

Bona spojrzała ukradkiem na Franka, a widząc go pogrążonego w obserwacyi biczyka, którym starał się trafiać listki walające się na ziemi, mówiła zniżonym głosem:

— Ha, no cóż, trudno, każdemu umrzeć sądzono!

— Tak, tak, ale żeby to panna Julia widziała te płaczące robaczki sierotki! chłopiec siedmioletni i tycie dziewczątko nad grobem, do którego ich matkę spuszczają... a te grudki ziemi co na trumnę padają! Ojciec stoi z odkrytą głową, a ludzie sypią ziemię łopatę za łopatą... a tam w trumnie...

— Tst! panno Helciu... ten chłopiec... pani nie kazała...

— Br... śmierć! wzdrygnęła się jeszcze panna Helcia i umilkła. Jej twarz wiecznie śmiejąca się, stała się nagle poważną.

— Bóg nad nami! westchnęła panna Julia.

Franek bawił się dalej bacikiem.

* * *

W dziecinnym pokoju zmrok. Okno otwarte, ciepły, letni wieczór. Powietrze przez okno płynie łagodne i słodkie, pełne zapachu rezedy, której grządka wygrzewała się na słońcu dzień cały. Wojtek już śpi, zacisnąwszy piąstki po swojemu. Nad oknem świergot jaskółek układających się w gniazdku do snu, gdzieś daleko ćwierka świerszcz w trawie... jak codzień wieczór. Wiatr chwilami zaszumi w wierzchołkach drzew starych, ze wsi słychać pieśń prastarą Kupajłową, podnoszącą się i opadającą, jak poszum wieczorny w wierzchołkach starych drzew, zapach słodki lip, jak codzień w ciepły, słodki, czerwcowy wieczór.

Jak codzień wieczór leży też Franek w łóżeczku swojem jesionowem. Ale Frankowi ciężko — ciężko jak nigdy nie było.

To nic, że złajali go dziś przy kolacyi, »bo Franek zawsze kapryśny i dziś znów jeść nie chciał«; to nic, że się spłakał tak, że dotąd pali go twarzyczka; to nic! to i lepiej, bo mu potem trochę ulżyło. Ale ta panna Helcia, co ona mówiła?

Mamusię chwileczkę tylko widział, bo goście przyjechali, więc dzieci do salonu poszły powiedzieć dobranoc. Nie było sposobu nic mamusi powiedzieć.

— A może ten pan z dużymi wąsami, ten tatuś mamusi... co to o nim mamusia mówiła, że poszedł do nieba...

Janek coś dzisiaj także zasnąć nie może. Stara niania Olana nadaremno mu śpiewa i śpiewa:

Śpijże mój Janeczku!
Śpijże mój koteczku!

A bieguny kołyski chodzą tędy i tamtędy, jak ten stary zegar na ścianie, którego wahadło chodzi w prawo, to w lewo, ciągle, ciągle — Janek nie zasypia.

— Może to i jego zabrali i ponieśli na cmentarz i włożyli do dołu i zasypali ziemią?... — idzie za myślą swoją Franek.

Bieguny kołyski chodzą i chodzą, a zegar gada i gada. Franek już nieraz myślał, siedząc na podłodze w dziecinnym pokoju i patrząc w białą twarz zegara, co zegar gada? — co w zegarze gada właściwie? Jest w nim gruby głos, który ciągle to samo powtarza, jest drugi cienki i piskliwy, który czasem głośniej, czasem ciszej, ale ciągle jakby się czemuś wypraszał.

— Mamusia mówiła, że on poszedł do nieba... Franek bardzo lubi niebo! takie błękitne, ładne... ale to może tamto... tamto nazywa się umrzeć?

A zegar gada i gada.

Franek nagle zrozumiał: ten jeden gruby głos powtarza ciągle: »tak, tak — tak, tak« — a ten cieńszy (sprężyna zardzewiała) prosi się ciągle i wyprasza: »ale nie! ale nie!«

Niania Jankowi śpiewa:

I kureczki poszły spać i koteczki poszły spać!
Śpijże mój Janeczku! śpijże mój koteczku!

A półsenny głos Janka podpowiada:

— I wlóbelti posly spać!

— I wróbelki poszły spać — śpiewa niania.

— I motylti...

I motylki poszły spać!
Śpijże mój Janeczku,
Śpijże mój koteczku!

— Pewno, że tak... umrzeć, to kiedy człowieka zabiorą i wywiozą i zasypią ziemią!

— Tak, tak — tak, tak — powiada zegar.

— Ale nie! Ale nie! — piszczy sprężyna.

— Każdy musi umrzeć — powiedziała panna Helenka — wpada w zgorączkowaną główkę Franka.

— Tak, tak — tak, tak — mocno twierdzi zegar.

— Ale nie! ale nie! — prosi słabnący głos sprężyny.

— I chmulecti posly spać! i gwiazdecti posly spać!...

— Ależ Janeczku! któż widział? gwiazdeczki nie idą spać przecie — perswaduje niania.

— I gwiazdecki posly spać — prosi Janek z dziecinnym uporem.

— Ach jaki ten Janek głupiutki! — myśli Franek, na chwilę odszedłszy myślą od dręczącej go zmory — kiedy one przecież nie chodzą spać! Ale czemu to tak? czemu jak ludzie idą spać to one dopiero wychodzą na niebo? onby chętnie się im przypatrzył... Cóż, kiedy w lecie, nim wejdą, on musi iść spać — a nim wstanie już ich niema! a w zimie to nikt przecie po dworze nocą nie chodzi, chyba sam furman Petro, bo ten się niczego nie boi.

— Posly! posly! — sprzecza się Janek — posly spać! — i rozespany głosik przechodzić zaczyna w minorowy ton, zaraz płakać zacznie.

— No, poszły już! poszły! cyt! cyt!... I gwiazdeczki poszły spać. — Cichnie z wolna piosnka: »Śpijże mój Janeczku!« i prawie niedosłyszalnie kończy się: »śpijże mój koteczku...«

Bieguny coraz wolniej, wolniej chodzą i — umilkły.

— A jak każdy, to i moja mamusia także!... pot zimny pierwszy raz w życiu wystąpił na czoło Frankowi.

— Tak, tak — tak, tak — gada wciąż zegar.

— Ale nie! — ale nie! — zmaga się z nim sprężyna.

— Franku! co się tak rzucasz? łóżeczko rozwalisz! — szepnęła niania. — Janka zbudzisz! ledwom go uśpiła... a ty czemu nie śpisz? co tobie? — otulała go kołdrą.

Franek odwrócił się do ściany. Olanie nie powie nic! coś

jak wstyd i duma serce mu ścisnęło. Cały wysiłek zwrócił ku temu, by leżeć spokojnie... Niania postała chwilkę i odeszła, myśląc, że usypia.

I rzeczywiście, sen korzystając z chwili przymusowego spokoju, począł podkradać się, krążyć koło Franka. Zaczyna mu się mącić w główce, ale myśl dręcząca nie opuściła go, sen nadaje jej złudzenia prawdy, dotykalności.

Oto on i Janek i malutki Wojtek, stoją nad dołem, a tam mamusia, a na mamusię sypią ziemię łopatę po łopacie... raz, dwa — raz, dwa — a tatuś stoi z odkrytą głową.

— Tak, tak — tak, tak! — mówi zegar.

— Ale nie! ale nie! — to głośniej, to ciszej, jakby tracąc siły, prosi się zardzewiała sprężyna.

Franek się porwał na łóżeczku, chwycił go lęk za ramiona i zatrząsł nim.

— Mamusiu! mamusiu! — wybuchnął krzykiem.

I drzwi przyległego pokoju otwarły się cicho, za smugą światła, co wbiegła z sąsiedniego pokoju, wsunęła się mamusia. Cicho, a prędko przesunąwszy się obok śpiącego Janka, nachylona nad Frankiem szeptała, sama przerażona nagłością krzyku dziecinnego.

— Co ci jest, Franku? cicho! no cicho już! co ci jest?

Franek chwycił się konwulsyjnie jej szyi i nowym zaniósł się płaczem, a poprzez płacz wołał tylko:

— Ale nie! ale nie! mamusiu ale nie! mamusię zabrali!... Ale nie! mamusiu! ale nie!...

— Cicho, Franeczku, cicho! przyśniło ci się coś... nie! nie! już nie! — uspakajała go łagodnie, odejmując z wolna rączki jego zaciśnięte kurczowo — nie, synku! nie! nie... cicho już, cicho! cyt...

Ułożyła zmęczone dziecko na poduszce i gładziła łagodnie po główce rozpalonej.

Leciutko, nie dotykając prawie czoła, naznaczyła na niem maleńki znak krzyża. Odgarnęła mu wilgotne włoski z czoła i złożyła na niem delikatny pocałunek, w którym coś było z uszanowania, jakie odczuwała zawsze, nie wiedząc nawet czemu, patrząc na to dzieciątko swoje.

— A toż spotniało biedactwo! — uśmiechnęła się trochę smutno — biedactwo!

Nie wiedziała jednak, jak głęboko czuł się on dziś i dlaczego »biedactwem«. Franek pod ręką mamusi leżał cichutko, czasem tylko echo szlochu wstrząsnęło nim, uspokajał się.

Nie zabrali mu mamusi!

— Mamusia posiedzi przy tobie, ot, tak! — Franek rączkami uczepił się jej ręki. — Zmówimy Zdrowaś Marya... Jak straszno, najlepiej się pomodlić. A potem zaśniesz... chcesz?

I zaczęła cichym głosem, by Janka nie zbudzić:

— Zdrowaś Maryo, łaskiś pełna, Pan z Tobą...

Mówiła wolno, z pamięcią chwil ciężkich, przez które ją te słowa przeprowadziły. Słowa padały poważne, pełne słodyczy. Każde miało dla niej moc swoją, twarz swoją.

— Błogosławionaś Ty między niewiastami... i błogosławion owoc żywota Twego Jezus...

Zatrzymała się chwilę przy tem Imieniu.

— Święta Maryo, Matko Boża...

Zniżała głos, pochylając się troskliwie nad Frankiem, śledząc sen, schodzący półuśmiechem na mokrą od łez twarzyczkę.

— Módl się za nami grzesznymi teraz...

Franek już spał. Delikatnie rozchyliła paluszki dziecka uczepione jej dłoni i wysunęła swą rękę.

— ...i w godzinę śmierci naszej...

Paluszki śpiącego dziecka instynktownie zamknęły się... ręki matczynej już w nich nie było.

— Amen... — dokończyła szeptem.

Krystyna Saryusz Zaleska.

PRÓBA WSTĘPU DO KRYTYKI POZNANIA.

(Ciąg dalszy).

IV. Rzeczywistość.

Kto się zabiera do pisania krytyki poznania, ten jest chyba dobrze tego świadomy, że ma mówić, pisać, a choćby i filozofować, o środkach, źródłach, sposobach, normach, kryteryach i t. d. poznania, a więc poznania czegoś. Niktby nie pisał chyba krytyki poznania, gdyby poprzednio nie stwierdził tego, że jest coś, od czego poznanie iść może. To coś, coby miało być poznane i o czego poznawaniu ogólną naukę podaćby się chciało, najogólniej pojęte nazywamy rzeczywistością. Nie daję tu jeszcze ścisłego określenia (jeżeli wogóle ono dane być może) tej tak najogólniej pojętej rzeczywistości, poprzestaję na razie na zaznaczeniu, że, jeżeli się mówi o poznawaniu, to mówi się tem samem o poznawaniu czegoś, a to coś rzeczywistością najogólniej się nazywa.

Pojęcie poznania jest wyżej (w rozdziale zwłaszcza II) już dane. Widzieliśmy, że istota poznania polega na stwierdzaniu rzeczywistości, jest wspólna z istotą doświadczenia, i podobnie jak doświadczenie wtedy dopiero się iści, kiedy się rzeczywistość jakąś wykrywa, stwierdza, konstatuje, tak i poznanie dochodzi do skutku dopiero wtedy, kiedy się jakąś rzeczywistość spostrzega, znajduje, stwierdza.

A zatem niema poznania, jeśli niema rzeczywistości, o ile się ją stwierdza czyli poznaje. Poznanie bez poznawa-

nej rzeczywistości jest nonsensem: byłoby to poznawanie czegoś, co i o ile byłoby nie poznane. Albo jest jakieś poznanie, albo go niema: jeśli niema, to także niema mowy o poznawanej rzeczywistości; jeśli jest, to o tyle jest, o ile poznana jest jakaś rzeczywistość. Niedorzecznością byłoby poznanie niczego: nic poznane, to jest tyle, co stwierdzona rzeczywistość niczego, co jest sprzeczne w sobie [1].

Poznaje się coś, jakąś rzeczywistość, albo wcale się nie poznaje: jeżeli więc mówi się o poznaniu, o krytyce poznania, o teoryi poznania, to zawsze domyślać się należy wyrazu sens uzupełniającego — »rzeczywistości«. Sam tytuł pracy, do której się zabiera przyszły autor krytyki poznania, już zatem stwierdza, jako warunek, bez którego tytuł sensuby nie miał, jako postulat doświadczalny, przeświadczenie autora o jakiejś rzeczywistości poznawanej czy mającej być poznaną.

Uwagi powyższe brzmią może trywialnie, ale rezultat przez nie zamierzony jest pierwszorzędnej doniosłości dla krytyki poznania i dla krytyki kursujących od czasów Kanta różnych teoryi poznania. Jeżeli tylko wtedy poznaje się, kiedy się po-

---

[1] A zatem tylko przenośnie może być mowa o poznaniu niczego, i tylko według tej przenośni należałoby brać zwroty takie w językach, nie dodających przeczenia do słów poznanie oznaczających i do przedmiotu gramatycznego »nic« się odnoszących. Pod tym względem o wiele logiczniejszy i ściślejszy jest zwyczaj, właściwy niektórym językom, między innymi naszemu, dodawania do podobnych zwrotów przeczenia »nie«. Mówi się po polsku: nie widzę nic, nic nie wiem, nic w tem nie spostrzegłem dziwnego i t. p. (naturalnie, do tej samej kategoryi przykładów należą te same zwroty, w których zamiast 4-go przypadku użyto 2-go, kiedy więc niektórzy wolą mówić: »Niczego nie widzę« zamiast »Nic nie widzę« i t. p.); bo nic widzieć jest niemożliwością psychologiczną i logiczną, a nic nie widzieć jest prostem wyrażeniem tego, że się czego (albo wogóle czegokolwiek) nie widzi; więc ten zwyczaj mowy nie wchodzi w konflikt z zasadą prawdomowności, bo nie pozwala na wypowiadanie tego, czego się nie stwierdziło; owszem, każe w mowie wyrażać to niestwierdzenie. Mniej szczęśliwy jest zwyczaj takiego np. języka niemieckiego: kiedy się mówi »Ich sehe nichts«, wchodzi się w pewien zatarg z prawdomownością, bo przez się wyraża się w tym zwrocie akt widzenia, w którym się nic nie spostrzega w polu widzenia, a ze zwyczaju mowy odnosi się taki zwrot także do zaznaczenia, że się wcale nie patrzy, że więc wcale się aktu widzenia nie miało.

znaje jakąś rzeczywistość, to tem samem upada wiele pytań, których rozwiązywanie zajmowało i zajmuje wiele umysłów filozofującej ludzkości. Przedewszystkiem upada wtedy rozumny sens podstawowego pytania wszelkiej teoryi poznania; czy nasze poznanie ma wartość przedmiotową? — Wartość przedmiotowa poznania nie daje się kwestyonować, jeśli nonsensem jest mówić o poznaniu niczego, jeśli rzeczywiście niema poznania bez poznawanej w niem rzeczywistości. Poznanie bez przedmiotowej wartości nie jest żadnem poznaniem, pytanie o przedmiotową wartość poznania jest równoznaczne z pytaniem o samo poznanie, a chęć rozwiązania tych pytań już jest oznaką, że przystępujący do ich rozwiązywania jest jednak przeświadczony o rzeczywistości (czy przedmiotowej wartości) tego poznania, które go do odpowiedzi na te pytania ma doprowadzić.

Rzeczywistość poznania czyli przedmiotowa jego wartość jest więc nowym, prócz poprzednio wyliczonych, postulatem doświadczalnym krytyki poznania, który się stwierdza zaraz na samym do niej wstępie. Jeśli się go nie stwierdza jako takiego, t. j. jako warunku empirycznej krytyki poznania, jeśli, co gorsza, podaje się go w wątpliwość, jeśli jego zakwestyonowanie robi się przedmiotem badań teoryopoznawczych: to postępuje się n i e k r y t y c z n i e, bo się nie uświadamia sobie swoich własnych założeń. Kto wątpi o rzeczywistości poznania, ten — póki wątpi — nie rozwiąże swej wątpliwości — chyba przez niekonsekwencyę.

Jakąś rzeczywistość stwierdza się w każdym jakimkolwiek akcie świadomości. A ponieważ czynność świadomości jest — jak to starałem się wykazać w poprzednim rozdziale — także jednym z doświadczalnych postulatów krytyki poznania, przeto także i z tego powodu wypada we wstępie do krytyki poznania zdać sobie sprawę dokładną z tego, czem jest ta rzeczywistość wogóle i na czem polega.

Przejdźmy w myśli najprzód różne przykłady, w których potoczna mowa używa wyrazu »rzeczywisty« i pochodnych od niego wyrazów.

R z e c z y w i s t y m i nazywamy przedewszystkiem p r z e d-

mioty materyalne, pod zmysły podpadające, których się dotykamy, które »czujemy«, widzimy, słyszymy i t. d. O »rzeczywistości« w tym sensie rozumianej przekonywamy się przybliżając się do przedmiotu, którego rzeczywistość chcemy stwierdzić, dotykając się go i doznając jego oporu, nacisku i t. p.

W tym sensie rzeczywiste jest nasze ciało: jego rzeczywistość, materyalną rozciągłość i materyalną pobudliwość odczuwamy mniej lub więcej żywo, mniej lub więcej dotkliwie.

W tym sensie, rzeczywisty jest każdy przedmiot, który przez materyalne zetknięcie ból nam (t. j. w naszem ciele) sprawia, ziębi nas, parzy, łechce, ciśnie i t. p. O rzeczywistości np. mroźnego wiatru przekonywamy się kiedy nas w twarz szczypie.

Ponieważ z doświadczenia wiemy, że przedmioty w powyższym sensie rzeczywiste są rozciągłe, zajmują pewną przestrzeń, przeto zajęcie przestrzeni przez przedmiot jakiś bierzemy za oznakę rzeczywistości tego przedmiotu. A i samo zajmowanie przestrzeni właśnie dlatego jest czemś dla nas rzeczywistem, i to tak wtedy, gdy przestrzeń jest zajmowana przez ciało przez czas dłuższy (kiedy ciało jest w »spoczynku«) jak i wtedy, kiedy zajęcie pewnej przestrzeni trwa przez krótki przeciąg czasu (kiedy ciało jest w ruchu).

Sam ruch jest dla nas czemś rzeczywistem, bo rzeczywistem jest to, co się porusza, przedmiot w ruchu będący. Owszem, oznaką rzeczywistości jakiegoś przedmiotu jest dla nas także to, że ten przedmiot się porusza.

Ponieważ rzeczywiste zjawiska odbywają się w czasie, jest i czas dla nas czemś rzeczywistem. Można filozofować nad tem, co jest istotą czasu; można przefilozofować rzeczywistość czasu. Ale zwykli śmiertelnicy, przez filozofię jeszcze niezepsuci, patrzą na czas miniony, jako na coś rzeczywistego i za rzeczywistość bardzo poważną czas ten uważają.

Nie tylko te przedmioty nazywamy rzeczywistymi, które zmysły nasze pobudzają, nie tylko te przedmioty są dla nas rzeczywistymi, które są powodem naszych radości, smutków naszych, ale także rzeczywistymi nazywamy same te najrozmaitsze fakty naszej świadomości, wszystkie te nasze wrażenia, czu-

cia, uczucia, afekty, których doznajemy. Rzeczywiste są dla nas same nasze smutki, radości, przyjemności, troski, obawy, nadzieje, myśli nasze (t. j. akty myślenia), co nam »głowę rozsadzają«, sądy nasze, nasze rozumowania i t. d.

Rzeczywistymi nazywamy te wszystkie fakty dziejowe, o których nas uczy historya wieków i czasów minionych. Rzeczywistemi są dla nas te wszystkie nieszczęścia i klęski dziejowe, których następstem rzeczywistem są nasze obecne warunki polityczne i społeczne.

Rzeczywiste są dla nas i te kraje, których nie widzieliśmy, a o których istnieniu uczy nas geografia lub świadectwo wiarogodnych podróżników.

Rzeczywiste są dla nas i te osoby, o których istnieniu dowiadujemy się dopiero od osób drugich lub ze świadectwa dziejów.

Rzeczywistym jest dla nas i ten Bóg, o którego istnieniu dowiadujemy się dopiero na podstawie rezultatów stwierdzonych w najrozmaitszych rodzajach doświadczenia. Rzeczywistą jest dla nas istota tego absolutnego Boga osobowego, bo jej rzeczywistość stwierdziliśmy na podstawie naszych doświadczeń i przez ścisłe nasze rozumowania.

Kiedy przekonywamy się o czem, powiadamy wtedy: tak jest rzeczywiście. Wyrażamy przez to pewność naszego przeświadczenia o tem, że to jest rzecz stwierdzona, spostrzeżona, zbadana, a rezultat tego stwierdzenia, spostrzeżenia, zbadania jest taki jak go wypowiadamy.

W tym ostatnim przykładzie rzeczywistość przeciwstawiamy pozorom, złudzeniom, pomyłkom, mniemaniom, przypuszczeniom, przewidywaniom, domysłom it. d. Tak jest rzeczywiście — powiadamy, kiedy chcemy wyraźnie zaznaczyć, że wypowiadamy to i tak, co i jak stwierdziliśmy, poznaliśmy (doświadczalnie).

W takiem zaznaczeniu rzeczywistości tego, co stwierdziliśmy, albo wyraża się rzeczywistość przedmiotów poznania, nazwijmy je elementami poznania, albo rzeczywistość związku pewnego, zachodzącego między elementami poznania.

Jeśli mówimy np.: »To jest rzeczywiście cukier«, — to wy-

rażamy rzeczywistość pewnego, jakiegoś przedmiotu i stwierdzamy pewne jakieś rzeczywiste jego cechy, już nam znane z poprzednich doświadczeń, wykonanych na innych przedmiotach o tej samej chemicznej budowie, nazwanych cukrem. W tym przykładzie wypowiada się zatem rzeczywistość pewnego elementu poznania. Jeżeli zaś mówimy np.: »Ten kawałek cukru waży 5 gramów«, — to wyrażamy rzeczywistość związku, jaki zachodzi między masą tego kawałka cukru, a siłą, z jaką on naciska na szalkę wagi. Wyrażamy tu więc związek rzeczywisty między rzeczywistymi elementami poznania (bo i masa cukru jest rzeczywista i jego ciężar).

Nieraz jednak zaznaczamy w takich wypowiedzeniach rzeczywistość związku zachodzącego między abstrakcyjnymi elementami poznania. Jeśli np. mówimy: »Rzeczywiście 7 razy 8 jest 56«, — to tutaj stwierdzamy rzeczywisty związek (nie mniej rzeczywisty od związku między masą ciała pewnego fizycznego a jego ciężarem) między n i e r z e c z y w i s t y m i elementami poznania (liczbami).

Podobnie wyrażamy się o innych związkach matematycznych. Wyraźnie zaznaczamy ich rzeczywistość, niewzruszoną i niezachwianą, chociaż nierzeczywiste są koncepcye[1], między któremi te związki się stwierdza.

---

[1] Oczywiście, w innym sensie liczby dodatne i ujemne w algiebrze nazywa się rzeczywistemi — dla odróżnienia od liczb t. zw. urojonych. Te tak zwane liczby urojone, których wprowadzenie do matematyki oparte jest na określeniu $(\sqrt{-1})^2=-1$, tak samo są u r o j o n e, jak tak zwane liczby ujemne, wprowadzone do matematyki przez określenie $-1+1=0$. I tak zwane liczby urojone i tak zwane liczby ujemne i tak zwane liczby dodatne są k o n c e p c y a m i matematycznemi, a ich nazwy polegają na dowolnych umowach, podobnie jak i dowolne były umowy wprowadzające same te koncepcye do matematyki jako przedmioty badań tej nauce właściwych. Jak te liczby, tak wszystkie inne wielkości matematyczne, wszystkie koncepcye, funkcye, utwory matematyczne są w istocie swojej nierzeczywiste, bo są abstrakcyami, sposobami pojmowania, myślowymi tworami. Tak np. koło matematyczne to jest abstrakcya, nierzeczywisty utwór myślowy, nie zaś rzeczywistość w jakiemś doświadczeniu przyrodniczem stwierdzona: Koła matematycznego niema w przyrodzie, podobnie jak niema w niej matematycznych brył, matematycznych powierzchni, podobnie jak niema w niej liczb matematycznych, funkcyi matematycznych i t. p., chociaż są w przyrodzie rzeczywiste podstawy do utworzenia wszystkich tych matematycznych pojęć.

Podobnie jak rzeczywiste są związki między nierzeczywistymi elementami poznania i doświadczenia matematycznego, tak także rzeczywiste są związki logiczne, zachodzące między nierzeczywistemi, bo także tylko myślowemi, koncepcyami logicznemi. Związek np. rzeczywisty zachodzi między tak nierzeczywistymi elementami poznania, jak w takiem »rozumowaniu«: jeśli słońce jest zwierzęciem, to albo jest ssakiem albo ssakiem nie jest. Fikcyjne jest przypuszczenie, fikcyjne są zatem elementy poznania: słońce-zwierzę, słońce-ssak, słońce-niessak; ale o rzeczywistości związku w tym warunkowym sądzie wyrażonego nikt nie wątpi. Jest ten związek tak rzeczywisty, jak rzeczywisty jest związek w rozumowaniu: wieloryb albo jest ssakiem albo nie jest ssakiem, jedno z dwojga.

Zastanówmy się uważnie nad powyższymi przykładami i zapytajmy się samych siebie, co jest dla nas istotną cechą tej rzeczywistości, którą w takich i w podobnych do nich przykładach wyrażamy, zaznaczamy, stwierdzamy. Zdaje mi się, że uważne zastanowienie się nad powyższem pytaniem doprowadzi nas do następnego wyniku:

Rzeczywiste jest wszystko to, co nie jest zależne w istocie swojej od naszego poznawania, doświadczania, stwierdzania, myślenia, rozumowania.

Poznanie rzeczywistości zależy oczywiście od naszego poznawania: bez aktów bowiem poznania niema poznania. Ale samą rzeczywistość, poznawaną w aktach poznania, spostrzegamy, znajdujemy, stwierdzamy, a zatem w istocie swojej rzeczywistość poznawana dopiero wartość nadaje (krytyczno-poznawczą) naszym aktom poznawczym. Poznanie więc danej rzeczywistości zależy i od poznawania naszego i od tej rzeczywistości. Rzeczywistość zaś poznawana jest, taka jaka jest, niezależna od poznawania.

Niezależność rzeczywistości od poznawania jest postulatem doświadczalnym tak krytyki poznania, jak i wszelkiego poznania. Zadanie i cel poznania jest przecież poznać, a nie wymyślać, wykombinować, wyrozumować. Myślenie, kombinowanie, rozumo-

wanie i t. p. jest środkiem, sposobem, nie celem, nie zadaniem poznania. Poznaje się to, co jest i jakie jest, więc stwierdza się, nie zaś konstruuje, tworzy. Zatem doświadczalnym warunkiem wszelkiego poznania jest to, aby było co stwierdzać, znajdować, spostrzegać, a więc aby było coś rzeczywistego do poznania, aby była jakaś rzeczywistość. Nie pozna się rzeczywistości, jeśli jej niema. Zaprzeczenie wszelkiej rzeczywistości, od poznawania niezależnej, jest równoznaczne z zaprzeczeniem możliwości wszelkiego jakiegokolwiek poznania.

Filozofowie przez filozofowanie swoje nad poznaniem i nad t. zw. teoryami poznania zaciemnili pojęcie rzeczywistości, jak i cały szereg pojęć z pojęciem tem się wiążących. Wskutek tego zaciemnienia powstały różne pytania, przez teoretyków poznania stawiane, które dla empirycznej krytyki poznania ani wielkiego interesu ani nawet wiele sensu nie mają. Jednak w samej krytyce poznania może się znaleźć miejsce do załatwienia się z temi pytaniami. We wstępie do krytyki poznania wypada je tylko o tyle poruszyć, o ile zdawałyby się obalać niewzruszoność wyżej wymienionego postulatu doświadczalnego o rzeczywistości poznania, od poznawania niezależnej.

Z postulatem naszym sprzeczne jest pojmowanie przedmiotu poznania w sposób idealistycznej teoryi psychologiczno-poznawczej, według której nie poznajemy samych rzeczy, lecz tylko nasze o nich wyobrażenia czy pojęcia. W myśl takiej teoryi, oczywiście, niema rzeczywistości niezależnej od naszego poznawania, albo przynajmniej nic o niej nie wiemy ani wiedzieć nie możemy. Tak, ale to jest przecie teorya, niedoświadczalna, apryoryczna koncepcya, dowolna, bo doświadczalnie nie stwierdzona, ani jako rezultat doświadczenia ani jako doświadczalny postulat poznania. Wobec doświadczalnej krytyki poznania, opartej na doświadczalnych podstawach psychologicznych, podstawa psychologiczna każdej takiej idealistycznej teoryi poznania, jest przesądem, apryoryczną interpretacyą faktu poznawania.

Pytanie, jaką jest rzeczywistość sama w sobie (klasyczne kantowskie Ding an sich), nie ma sensu ani nawet interesu dla empirycznego krytyka poznania, bo o rzeczywistości

przecież jakiejkolwiek tyle tylko wiemy, ile doświadczalnie stwierdzamy, a więc o ile ją poznajemy, o ile jej jesteśmy świadomi. Pytanie w teoryi poznania, jaką byłaby rzeczywistość, gdybyśmy jej nie poznawali, sensu niema żadnego, bo odnosi się do czegoś, o czem nic a nic nie wiemy: można tylko rozumnie pytać się o rzeczy, które się w jakikolwiek sposób poznaje, o których się choć cośkolwiek wie.

Jeżeli rzecz jakąkolwiek poznajemy, to tem samem stwierdzamy jakąś jej rzeczywistość od naszego poznawania niezależną. Ale to jej poznanie jest takie, że samo od wielu zależy czynników, między innymi od poznawanej rzeczywistości. Nie rzeczywistość zależy od jej poznawania, ale od niej zależy jej poznawanie i poznanie.

Sensu także dobrego nie ma pytanie, co jest rzeczywiste, czy phaenomenon czy noumenon. Nie to rozstrzyga o rzeczywistości, czy rzecz jakaś się zjawia czy nie, czy jest przez zmysły poznawaną czy nie; ale o tem, czy jest coś rzeczywistem, rozstrzyga jedynie doświadczenie najogólniej pojęte: to jest rzeczywiste, co w doświadczeniu (najogólniej pojętem) jest znalezione, odkryte, zauważone, spostrzeżone, stwierdzone, poznane. Rzeczywiste są i noumena i phaenomena, jeżeli i o ile są stwierdzone, nie zaś wymyślone.

O rzeczywistości tyle tylko wiemy, o ile ją stwierdzamy. To stwierdzanie dokonywa się w aktach świadomości, i tylko w nich. Niema stwierdzenia rzeczywistości bez aktów świadomości. Rzeczywistość, w aktach świadomości stwierdzana, albo jest rzeczywistość samych tych aktów albo rzeczywistość, której w nich jest się świadomym. Obie te rzeczywistości stwierdzane są w każdym akcie świadomości, obie nie są zależne od tego ich stwierdzania.

I każda abstrakcya, konstrukcya, koncepcya myślowa jako akt świadomości jest rzeczywista, nierzeczywista jest jako sposób pojmowania, przedstawiania sobie jakiejś rzeczywistości.

Przykład. Kiedy myślę o górze Elbrus, której nigdy nie

widziałem, chyba na rysunku, wystawiam ją sobie, robię sobie jej wyobrażenie myślowe. Te akty myślenia i wyobrażenia sobie góry są rzeczywiste, bo to są pewne fakty, czyny świadomości, (zależne wprawdzie od poprzednich aktów poznania i myślenia, ale) niezależne od siebie samych czyli od tych właśnie obecnych aktów myślenia. Dalej w aktach tych jestem świadom jakiejś rzeczywistości, łączę w swej myśli jakieś pojęcia i wyobrażenia poprzednio urobione na podstawie dawniejszych poznań doświadczalnych: o ile stwierdziłem poprzednio te jakieś elementy rzeczywiste w owych poznaniach dawniejszych, o tyle obecnie świadom jestem w obecnych aktach rzeczywistości tych samych elementów. Co jest ponad to, t. j. ponad obie wyżej wymienione rzeczywistości, nie jest rzeczywiste, jest tylko wymyślone, skonstruowane: wystawiam sobie Elbrus nie takim, jakibym poznał patrząc na niego z odpowiedniej blizkości, ale takim, jaki go sobie w myśli wytworzyłem, wykombinowałem, wymyśliłem. Rzeczywisty jest akt wyobrażenia tej góry, nierzeczywisty jest sposób wyobrażania jej sobie. Rzeczywiste są elementy doświadczalne (których rzeczywistość była stwierdzona w poprzednich poznaniach, jak kamienie, lody, śniegi, wzniesienia i t. d.), nierzeczywista jest kombinacya tych elementów myślowa, tworzenie z nich obrazu Elbrusa.

Inny przykład. Mam pojęcie liczby ujemnej, np. —3, potrzebne mi ono jest do wykonywania działań na liczbach algebraicznych. Co w tem pojęciu jest rzeczywistego a co czysto myślowego, nierzeczywistego? Rzeczywisty jest naprzód sam ten akt świadomości, w którym myślę o danej liczbie ujemnej, sam akt pojmowania, pojęcie uważane jako mój czyn psychiczny. W tym akcie jestem świadom rzeczywistości tej umowy, która liczby ujemne wprowadza do matematyki i uprawnia nas do wykonywania na nich działań matematycznych: otóż rzeczywistość tego faktu, tej zrobionej rzeczywiście umowy, to jest ta druga rzeczywistość, obok rzeczywistości aktu myślenia o koncepcyi przez tę umowę ustalonej, której jestem świadomy w akcie pojmowania liczby ujemnej. Nierzeczywistą zaś jest sama ta myślowa koncepcya, bo ona nie jest zależna od naszego pojmowania i myślenia, owszem,

ona jest właśnie wytworem naszego myślenia, abstrakcyą myślową. Rzeczywista jest umowa, liczbę —3 konstytuująca: umawiamy się, żeby przez liczbę —3 rozumieć taką liczbę, którąby dodana do liczby 3 dała sumę równą zeru. Rzeczywistość tej umowy już nie jest zależną od wszelkich aktów myślenia i poznawania następnych. Ale przez tę rzeczywistą umowę wprowadzona do nauki koncepcya od samego początku była nierzeczywistą i nierzeczywistą zostaje.

Opierając się na powyższych uwagach i przykładach, zdajemy sobie sprawę ze znaczenia rzeczywistości dla krytyki poznania i stwierdzamy podwójną funkcyę rzeczywistości jako istotnego warunku wszelkiego poznania. Te obie funkcye rzeczywistości stanowią jakby dwa postulaty doświadczenia, najogólniej pojętego, na których między innymi oprzeć wypadnie empiryczną krytykę poznania. Oba te doświadczalne postulaty są zarazem doświadczalnymi warunkami, bez których uświadomienia i stwierdzenia sensu niema zabierać się do pisania krytyki poznania. Te dwa postulaty są:

a) Poznanie tylko wtedy się iści, kiedy się stwierdza coś rzeczywistego, jakąś rzeczywistość.

b) Rzeczywistość w aktach poznania stwierdzana jest od nich niezależna.

Rzeczywistość, o której jest mowa w obu powyższych postulatach jest: albo rzeczywistość elementów poznania, albo rzeczywistość związków między elementami poznania.

Rzeczywistość elementów poznania jest:

1) albo rzeczywistość samych aktów poznania;

2) albo rzeczywistość, której w tych aktach poznania jest się świadomym.

Rzeczywistość związków, w aktach poznania stwierdzanych, zachodzi:

1) albo między rzeczywistymi elementami poznania;

2) albo między nierzeczywistymi elementami poznania.

V. Zdolność poznania rzeczywistości.

Kto chce pisać krytykę poznania rzeczywistości, w samym tym swoim zamiarze okazuje przeświadczenie własne o tem, że stać go na poznanie krytyczne rzeczywistych podstaw poznania wszelkiego, rzeczywistych źródeł, rzeczywistych kryteryów, rzeczywistych norm, rzeczywistych warunków, rzeczywistych postulatów doświadczalnych poznania rzeczywistości. Inaczej sensu nie miałby ten jego zamiar pisania krytyki poznania.

Nadto autor krytyki poznania, pisząc swą książkę dla swoich czytelników, przypuszcza w nich także zdolność zrozumienia własnych jego wywodów, a zatem przypuszcza w nich zdolność krytycznego poznania rzeczywistych podstaw poznania wszelkiego rzeczywistych źródeł, kryteryów, norm, warunków, postulatów empirycznych poznania rzeczywistości.

Rzeczywiste podstawy poznania, rzeczywiste jego źródła, rzeczywiste kryterya i normy, rzeczywiste warunki, doświadczalne postulaty poznania są jakąś r z e c z y w i s t o ś c i ą, o której stwierdzenie właśnie idzie w krytyce poznania rzeczywistości. A więc zdolność poznania tej rzeczywistości, o której stwierdzenie idzie w krytyce poznania, jest warunkiem rzeczywistym, bez którego pisanie krytyki poznania byłoby przedsięwzięciem nierozumnem i n i e k r y t y c z n e m.

Ale nie tylko tę rzeczywistość zdolen jest poznać autor — według swego przeświadczenia — wraz ze swoimi domniemanymi czytelnikami, którą dopiero co wymieniłem, jako rzeczywistość podstaw poznania i wszelkich jego warunków doświadczalnych: chcąc krytykować poznanie rzeczywistości jakiejkolwiek, trzeba samemu tę rzeczywistość umieć poznać, trzeba więc być zdolnym jej poznania. Krytyka byłaby sprzeczna sama w sobie, gdyby kto krytykował poznanie rzeczywistości, którejby sam nie był zdolen w jakiś sposób stwierdzić, poznać. I znów tę zdolność przypuszcza autor u swych czytelników, bo inaczej nie mógłby być przez nich rozumiany, inaczej nie pisałby dla nich swej książki o krytyce poznania r z e c z y w i s t o ś c i.

Tak pojmowana zdolność poznania rzeczywistości, stanowi inny postulat doświadczalny krytyki poznania obok postulatów, w poprzednich rozdziałach wymienionych. Wynika on już z postulatów poprzednich, zwłaszcza z postulatów ludzkości poznania, ale stawiam go jako osobny postulat doświadczenia krytyczno-poznawczego, bo przez teoretycznych filozofów poznania w rozmaitych formach był on zaprzeczany lub w wątpliwość podawany.

Nie tylko zaprzeczanie tej zdolności, ale samo nawet podawanie jej w wątpliwość jest grubym błędem dogmatyki teoryopoznawczej, bo odbywa się bez krytycznego uświadomienia sobie własnych swoich filozofowań, od których zaczyna się owo podawanie w wątpliwość zdolności poznania. Z natury więc rzeczy takie p o d a w a n i e w w ą t p l i w o ś ć z d o l n o ś c i p o z n a n i a jest dowolnym apryoryzmem, znamionującym niekrytyczny i niedoświadczalny d o g m a t y z m t e o r y o p o z n a w c z y.

Podawanie w wątpliwość zdolności poznania rzeczywistości otwiera także szerokie wrota do otchłani beznadziejnego s c e p t y c y z m u d o g m a t y c z n e g o. Kto przystępuje do filozofii bez stanowczego zdania sobie sprawy krytycznej z własnej zdolności poznania rzeczywistości, a z góry podaje ją w wątpliwość, ten k o n s k w e n t n i e (jeśli może być mowa o konsekwencyi w takiej filozofii) wątpić już winien o rzeczywistości wszelkich związków przez siebie w swoich filozofowaniach wykrywanych i tylko przez wielką niekosekwencyę może się wyratować z pod przekleństwa sceptycyzmu dogmatycznego.

Przeciw naszemu postulatowi, wyżej określonemu, protest podnoszą filozofowie antymetafizycznie usposobieni. Wypada załatwić się, choć krótko w samym wstępie do krytyki poznania, z tym protestem, bo inaczej mogłaby się komu wydać zachwianą niewzruszoność postulatu naszego. Metafizyka nie jest możliwa — powiadają antymetafizyczni filozofowie — więc umysł nasz nie jest zdolny poznania rzeczywistości, od naszego poznawania niezależnej. Zastanówny się nad tym zarzutem.

Podstawą zarzutu przytoczonego przeciw zdolności poznania jest niemożliwość m e t a f i z y k i. Co tu trzeba rozumieć przez metafizykę?

Pojęcie metafizyki tak jest różne w różnych systemach filozoficznych, że rozumnie wtedy tylko można wyrazu tego używać, kiedy ze związku mowy zupełnie jest jasne, w jakiem znaczeniu, w sensie jakiej filozofii bierze się ten wyraz.

Krytyka poznania ma przed sobą i to ważne do spełnienia zadanie, aby krytycznie zbadać różne sposoby określenia metafizyki i różne stanowiska filozoficznych systemów wobec metafizyki zajmowane. We wstępie do krytyki wypada się ograniczyć do pokazania której z różnych metafizyk, jakie występują w dziejach filozofii, nie można odrzucić, jeśli istotnie zdolność poznania rzeczywistości jest doświadczalnym postulatem krytyki poznania. Jeżeli kto odrzuca metafizykę czysto apryoryczną, na dowolnych koncepcyach i konstrukcyach zbudowaną, ten wcale tem samem nie odrzuca innej jakiejkolwiek metafizyki, nie dowolnej, nie czysto apryorycznej, nie ontologicznej [1]. Ale też ze zdolnością poznania *rzeczywistości* w żadnym nie jest konflikcie odrzucanie metafizyki apryorycznej. W duchu naszych postulatów doświadczalnych poznania, w tym wstępie wykazywanych, należy, owszem, odrzucić wszelki dowolny apryoryzm konstrukcyom myślowym rzeczywistość przypisujący, czy on się nazywa metafizyką, czy jakkolwiek inaczej. Zdolność poznania rzeczywistości, od poznawania niezależnej, nie daje się tylko pogodzić z odmówieniem prawa bytu metafizyce, jako nauce o najogólniejszych i najwyższych zasadach rzeczywistego bytu.

Z dwu, np. metafizyk, przez *Kanta* nazwanych *transcendentną* i *transcendentalną*, tylko pierwszej odrzucić nie wolno, jeśli się nie chce wejść w otwarty konflikt tak z postu-

[1] Wyraz »ontologiczny« nie pochodzi od »ontologii«, części metafizyki, lecz od »ontologizmu«, błędu przeciw rozumowaniu logicznemu, polegającemu na przypisywaniu rzeczywistości własnym abstrakcyom, koncepcyom, konstrukcyom. Typowym takim błędem przeciw logice jest tak zwany *ontologiczny* dowód istnienia Boga. Dlatego, że ktoś ma akt psychiczny tej konstrukcyi myślowej, jaką jest pojęcie istoty nieskończenie doskonałej (myślowej naturalnie, dopóki nie stwierdzi się rzeczywistości tego pojęcia, t. j. dopóki nie udowodni się *istnienia* tej istoty), wnioskuje się: zatem jest przyczyna tego aktu, a tą przyczyną może być tylko właśnie ta istota nieskończenie doskonała, której pojęcie się *skonstruowało*.

latem zdolności poznania, jak i z poprzednio stwierdzonymi empirycznymi warunkami krytyki poznania. Odrzucenie metafizyki transcendentalnej zupełnie się godzi ze wszystkimi naszymi postulatami empirycznego poznania rzeczywistości, bo metafizyka transcendentalna kantowska ma być nauką o apryorycznych pojęciach transcendentalnych, a empirycznej krytyce wolno ignorować wszelkie apryoryzmy. Ale postulat zdolności poznania domaga się uznania metafizyki transcendentnej (w sensie Kanta) jako nauki o najwyższych zasadach rzeczywistości, byle ta nauka wolną była od ontologizmów.

Wiadomo, że Kant, właśnie na odwrót, przyjmuje do swego systemu filozoficznego metafizykę transcendentalną, a odrzuca stanowczo wszelką metafizykę transcendentną, i to nie tylko ontologistyczną, w czem ma słuszność, ale także wszelką metafizykę ontologiczną, naukę o rzeczywistości od poznawania niezależnej, w czem się fatalnie pomylił.

Możliwość metafizyki jako nauki o najogólniejszych i najwyższych zasadach rzeczywistości, rzeczywistego bytu jest doświadczalnym postulatem nauki o najogólniejszych i najwyższych zasadach poznania rzeczywistości, doświadczalnym postulatem krytyki poznania rzeczywistości. Jeśli niemożliwą jest metafizyka, to niemożliwą jest także krytyka poznania, jako podstawowa nauka filozoficzna.

(Dok. nast.)

S. Kobyłecki.

DZIEJE FILOMATÓW W ZARYSIE.

(Ciąg dalszy)

Utwory poetyckie.

»Wiersz na pożar«, »Duma nad mogiłami Francuzów pod Wilnem«, »Kupała«, »Elegia na śmierć szpaka«, »Myśl o Bogu«, »Nawałnica«, »Safo«, scena liryczna, »Wiosna«, »Prośba do Litwinek i Polek o kontusze« — Jana Czeczota.

»Przechadzki miejskie«, »Zywila«, »Kartofla«, »Warcaby« — Adama Mickiewicza.

»Bromir, Ludomił, Dobrosław i Włodek«, sielanka, »Powrót Wisbora«, sielanka — Onufrego Pietraszkiewicza.

»Polowanie«, »Odjazd Likony«, »Powieść o Seraku«, »Wiersz na odjazd P. O. F. K.«, »Dwa tryolety«, »Wiersz do Stefana«, »Wiersz Forteca do Józefa«, »Twardowski«, ballada, »Pochwała miodu«, »Podróż do Markuć«, — Tomasza Zana.

Cały wyżej wymieniony dorobek literacki wskazuje, że, obok poważnej pracy naukowej, której wyrazem są liczne, lecz znane nam zaledwie z urywków rozprawy, referaty i krytyki, rozwija się w Towarzystwie twórczość poetycka, a płody jej nacechowane żywą wyobraźnią a częstokroć prawdziwym talentem, stanowią ozdobę i główną chlubę archiwów wydziałowych.

Wśród szczupłego szeregu prac, które rąk naszych doszły jedno z pierwszorzędnych miejsc zajmuje niewątpliwie »Duma nad mogiłami Francuzów pod Wilnem«, utwór Jana Czeczota, rzewny śpiew, pełen wspomnień bolesnych nad minioną przeszło-

ścią, miłości ojczyzny, nienawiści względem jej wrogów, a uwielbienia dla mniemanych zbawców — Francuzów. Z mogił żołnierzy napoleońskich, poległych w 1812 r. wieje duch smutku i melancholii, spotęgowany grobowem tchnieniem chłodnych dni jesiennych. Z wyrazem rozpaczy woła poeta:

Ja, nieszczęśliwy nędzarz, Polakiem nie jestem!
Ja w własnej ziemi brząkam moskiewskiemi pęty
A moich zbawców leżą tu nieczułe szczęty!
. . . . . .
Dziś ci... któż to? następcy Tatarów poddaństwa,
Szczątki wymknięte z kneblów dzikiego tyraństwa.
O hańbo! o sromoto! naszych krain zdzierce,
Co pełznąc klęczkiem krymskie podarli kobierce...

Wzywa pomsty niebios na wrogów:

Pomnij, rodzie morderczy, że Ten niepojęty,
Co skonał na Golgocie, na krzyżu rozpięty,
Zstąpi na wielką ziemię ogniami strawioną...
Drżyj! bo oto już zemsty zawołały cienie!
Głos wzywających pomsty matek, żon i dzieci
Ze łzami przed tron Boga sprawiedliwy leci!

Znów zwraca się do poległych:

O cienie! ja, co dźwigam kajdany niewoli,
Choć nie brząkam tu niemi, serce jednak boli.
Darujcie, że spokojność pomieszałem waszą,
Jęki moje ptaszęta od grobów odstraszą,
Które usiadłszy, smutne może zimą blizką,
Ożywiają tych mogił nieczułych zwalisko.

Niemniej piękne ze względu na pełną patryotyzmu myśl przewodnią są i inne utwory Jana Czeczota, jak »Wiersz na śmierć szpaka«, »Safo« a zwłaszcza »Prośba do Litwinek i Polek za kontuszami«, żywy wyraz tęsknoty za strojem narodowym:

O wy, nadobne Litwinki,
Wy ich rodzone, Sarmatki,
Obojga narodów dziewki,
Obojga narodów matki!
Bóstwa nasze, nasze panie,
Co nam rządzicie wdziękami,
Błagam was, co głosu stanie,
Przemówcie za kontuszami!

Przemówcie do naszej młodzi,
Niech się zbędzie obcej szaty,
Niech w takiej odzieży chodzi,
Jaką Lech jaśniał przed laty.

Wyrazem głębokiego lecz cichego patryotyzmu bez gwałtownych wybuchów uczucia jest piękna sielanka Onufrego Pietraszkiewicza »Bromir, Ludomił, Dobrosław i Włodek«, gdzie, podobnie jak niegdyś w »Śpiewie o Lechu«, autor wspomina przeszłość Polski, widzi symbol jej chwały w orle białym, opiewa błogosławione rządy Piastów:

A gdy się orzeł lotnem skrzydłem wzbije,
Trwałego szczęścia pasmo nam uwije.

O Piaście mówi:

A choć był królem, często pyszne grody
Mienił na wczasy spokojnej zagrody
Słodki rząd dowiód, że Piast tronu godny,
Kraj był zamożny i wieśniak swobodny.

Podobnież odzywa się o Kazimierzu Wielkim:

Kiedy na tronie Piast zasiadł ostatni,
Wzmogły się miasta, i wieśniak dostatni
Zapomniał nieszczęść, choć do nich nawykły.
Za Kazimierza nadużycia znikły:
Siał rolnik, pewny obfitego żniwa,
Żadna odłogiem nie leżała niwa;
Pasterz spokojny wiódł trzodę na trawy,
Wojennej pod nim nikt nie słyszał wrzawy.

Odmienną zupełnie pod względem myśli i treści jest ballada Tomasza Zana p. n. »Twardowski« oparta na znanem podaniu o sławnym czarnoksiężniku.

Osobny znów dział stanowią liczne wiersze okolicznościowe, pełne werwy i humoru, wyraz wesołych przyjacielskich zabaw. Każde imieniny, święto uroczyste, wyjazd lub powrót towarzysza — pociągały za sobą obchód, przygotowywany w tajemnicy przed bohaterem chwili. Wprowadzony niespodzianie, mógł on podziwiać pomysłowość a rozrzewniać się serdeczną pamięcią kolegów. Rozbrzmiewały huczne toasty, w transparencie przeświecały jego cyfry, tytuły prac i inne symbole; wiersze powitalne, pełne życzeń, powinszowań i miłych wspomnień, prze-

chodziły nieraz w humorystyczne dyalogi i krotochwile, gdzie, obok treści anegdotycznej, spotyka się częstokroć myśl poważną, głęboką, hołd złożony talentowi, nauce i cnocie. Na jednem z takich zebrań, 31 grudnia 1818 roku, objawia się po raz pierwszy talent improwizatorski Mickiewicza, gdy w ulotnym wierszu dziękuje on towarzyszom za przygotowaną niespodziankę. Oni też wcześnie uznają jego wyższość, oddają mu do oceny swe prace, a wesoły wierszyk Tomasza Zana, na cześć Mickiewicza ułożony, wskazuje jasno, że cała twórczość poetycka Filomatów rozwija się pod bezpośrednim wpływem przyszłego wieszcza, nosi ślady jego pióra i cechę jego talentu:

Twym dekretem okrągła niejedna sielanka,
Wpół wodnym przekreślana ostro atramentem.
. . . . . .
A cóż mówić »Kupało«, »Dumania grobowe«,
Twojem wyprane mydłem, zdały się być nowe!
I biednej »Tabakiery« ów twój rylec ostry
Wyprostował krzywizny i wytrzepał kostry.
I wszystko, co tu leży, jaki szpargał chwycim,
Wszystkie twory poetów, jakiemi się szczycim,
Wszystkie wiersze, co w tece zrzucone na pował,
Wszystkieś ty wyszlifował, albo wyheblował.

Przedstawiona powyżej działalność naukowa i poetycka, kształcąc umysł członków i rozwijając ich zdolności przyrodzone, łączy obowiązki Towarzystwa z obowiązkami wieku i powołania i, obok ogólnej, przynosi czysto osobistą korzyść. Natomiast kierunek pracy tej, powierzony członkom czynnym, stanowi jeden z głównych przedmiotów posiedzeń administracyjnych i wymaga już prawdziwego poświęcenia sił i czasu. Tu omawiają się sposoby, jak drogą stopniowego wpływu nadawać cechę gruntowną i moralną pismom nowoprzyjętych kandydatów; tu decyduje się ich przyjęcie lub odrzucenie; tu wreszcie rozstrzyga się kwestya, jak wprowadzać w czyn instrukcyę rządu, który dokłada wszelkich starań, by wlać zapał w młode serca i zwrócić je na drogę pracy społecznej. »Przez takie działanie, mówi w jednej ze swych odezw Franciszek Malewski, zdołamy uiścić cel, mający za sobą naszą wiarę w cnotę i honor, przez nie zdołamy związek ustalić, przez nie tylko wspomnienie Towarzystwa Filomatycznego

będzie się łączyło ze wspomnieniami prac i usiłowań ważnych, skierowanych ku szczytom«.

Wyrazem pracy tej, pierwszem ziarnem rzuconem na szeroką niwę społeczną stać się ma zaprojektowane przez Towarzystwo pismo peryodyczne, jako rzecznik jego zasad, myśli i dążeń.

Towarzystwo i pismo mają jeden cel i jedną zasadę,— stąd działalność ich musi rozwijać się równomiernie: pierwsze obmyśla plan postępowania, drugie jest jego posłem i reprezentantem przed społeczeństwem, narzędziem wypełniającem cząstkę wielkiego celu, pracy dla dobra kraju; ono bada opinię publiczną, stara się kierować nią w myśl przedsiębranych projektów, zapewniać im uznanie i poparcie. Towarzystwo działa w tajemnicy; podobnież i pismo cel swój właściwy ukryć musi pod zręcznie obmyślaną szatą, któraby pociągała publiczność i zachęcała ją do czytania artykułów, siejących zbawcze ziarno. Wydawnictwo pisma składa się w ręce osobnego komitetu, który ma zająć się całym układem, śledzić pilnie zrobione wrażenie, uważać co, kiedy i w jakiej formie pomieścić należy. Żeby zaś praca ta rozwijała się zgodnie z duchem i zasadami Filomatów, komitet złożyć muszą ludzie doświadczeni, godni zaufania, a przytem niezależni pod względem materyalnym, zdolni poświęcać bezinteresownie czas swój i pracę.

Tu jednak położenie ekonomiczne członków musiało zaważyć na szali; okazało się, że nie każdy, pomimo nauki, zdolności i zalet charakteru może zająć miejsce w komitecie. To też i cała organizacya przeprowadzona w teoryi, w praktyce uległa nieograniczonej zwłoce, zwłaszcza, że okoliczności zewnętrzne zwróciły uwagę Towarzystwa w inną stronę, tam, gdzie wpływ jego okazał się sprawą, niecierpiącą zwłoki.

Duch czasu, duch potajemnych stowarzyszeń, ogarniając powoli Uniwersytet zwraca w tę stronę myśli i dążenia młodzieży; pragnie ona związkowości, garnie się do niej, tworzy projekty oraz pierwsze próby różnych gron i kółek. Ruch ten, skierowany na drogę haseł filomackich, mógł stać się ich wyrazem i krzewicielem; zaniedbany i objęty prądem zepsucia, ateizmu, bezowocnej a niebezpiecznej polityki groził bankructwem zasadom Towarzystwa wobec usuwającej się z pod jego wpływu młodzieży.

Jak ogarnąć wpływem swym wszelkie związki? jak przekształcać je, a w razie potrzeby niszczyć? — oto główny przedmiot rozpraw rządu i podstawa jego dalszych planów.

W myśl powziętych zasad starają się Filomaci zebrać pewne dane o każdem nowopowstałem towarzystwie, a następnie za pośrednictwem swych delegatów kierować niem zdala i nieznacznie. Delegaci ci wchodzą w stosunki ze związkowymi, a gdy w charakterze członków zajmą miejsce w ich gronie, starają się zwracać powierzoną swej pieczy młodzież na drogę pracy naukowej, moralnej, a wreszcie społecznej szerokiej organizacyi, gdzie rozrywka połączona z nauką pociągałaby liczne koła młodzieży, a te, działając na pozór zupełnie samodzielnie, tworzyły rodzaj klasy wstępnej, sposobiącej przyszłych członków Towarzystwa filomatycznego.

Ci, co pragnęli zostać kierownikami społeczeństwa i w tym celu rozpoczęli już pracę nad sobą, ludzie młodzi wiekiem, lecz dojrzali umysłem i wolą, nie mogli przyjąć do grona swego młodzieńca, który, obok nauki i innych zalet nie okazał iskry zapału, poświęcenia, gotowości do wszelkich ofiar dla dobra Ojczyzny. Lecz umysłów wyjątkowych mało mamy w naszem społeczeństwie, ze zwykłych jednostek składa się przeważna część młodzieży o zacnych nieraz skłonnościach, lecz chwiejnych poglądach i niewyrobionym charakterze. Tę właśnie młodzież pragną złączyć Filomaci w osobny związek, który, zostając pod ich tajemnem kierownictwem, szerzyłby oświatę, zasady moralne, miłość kraju; kto zaś okaże tu umysł wyższy, serce gorętsze, stanie się kandydatem na członka Towarzystwa filomatycznego.

Projekt ten, w czyn wprowadzony, daje początek nowemu związkowi, otworzonemu 19 kwietnia 1819 roku pod nazwą K l u b u P r z y j a c i ó ł.

Celem jego jest zabawa przyjemna i pożyteczna, a środkiem ku temu wiodącym: posiedzenia co tydzień odbywane, na których czytane są pisemka wierszem lub prozą przeważnie lekkiej treści. Zastrzega się ścisłość w pełnieniu przyjętych obowiązków i tajemnica przed obcymi; kto przestąpi zakaz ten — wyklucza się

ze związku, poczem jednak napowrót przyjęty być może; powtórne przekroczenie wyklucza go na zawsze.

Urzędnikami Klubu są prezydent i administrator, obierani większością głosów, pierwszy na miesiąc, drugi na trzy miesiące. Prezydent utrzymuje porządek na posiedzeniach i czuwa nad pełnieniem ustaw; administrator spisuje protokóły, prowadzi korespondencyę z nieobecnymi, przechowuje archiwum. Obaj potwierdzają wszelkie czynności i decydują o przyjęciu nowych kandydatów nawet po pomyślnym wyniku ogólnego głosowania. Nowowstępujący podpisują ustawy, a zgodę swą na podane prawidła stwierdzają słowem honoru.

Obok tej jawnej organizacyi istnieje druga, ukryta, oparta na instrukcyach rządu, przesyłanych Filomatom w skład związku wchodzącym. Oni wzbudzają dyskusye w kwestyach poważniejszych, podają tematy wypracowań, zachęcają do uwag nad niemi, przedstawiają projekty dalszych, szerszych działań, starając się w ten sposób poznać współkolegów, zaszczepić w nich swe zasady i zwrócić na drogę poważnej pracy naukowej. Do Klubu wchodzi zawsze znaczna ilość Filomatów, potrzebna do przeprowadzenia wniosków, zgodnych z celem Towarzystwa, zwłaszcza zaś dla wyboru administratora, już przedtem przez rząd naznaczonego.

Delegowani z Towarzystwa, Czeczot, Kowalewski, Łoziński, Mickiewicz, Pietraszkiewiecz i Zan złożyli 19 kwietnia 1819 roku pierwsze posiedzenie P r z y j a c i ó ł, obrali zarząd i rozpoczęli poszukiwania odpowiednich towarzyszy. Stanowisko prezydenta objął Tomasz Zan, administratora, a zarazem głównego kierownika, Onufry Pietraszkiewicz; inni Filomaci pozostali w charakterze członków, a liczba ich w przeciągu dwu miesięcy przedwakacyjnych urosła w trójnasób. Przybyli tu: Wincenty Budrewicz, Wincenty Giecołd, Ignacy Domejko, Kazimierz Piasecki, Jan Sobolewski, Dominik Pietkiewicz, Jan Hanusowicz i Stanisław Golicki.

Krótka tegoroczna działalność nowego związku stanowi pierwszy krok na drodze ścisłego zbliżenia Filomatów z młodzieżą uniwersytecką, lecz we względzie rozwoju wewnętrznego i postępu pracy naukowej nie pozostawia jeszcze żadnych ciekawszych wy-

ników. Niemniej sam fakt powstania Klubu, stanowi czyn ważny i doniosły; jest to bowiem pierwsza próba praktyczna skierowana ku osiągnięciu wielkich planów przyszłości. Towarzystwo zyskało już wpływ pewien nad garstką studentów, a rozszerzający się widnokrąg jego myśli i celów, odsłania poza uczącą się młodzieżą i poza granicami Wilna, inne warstwy narodu, liczne zastępy synów tejże Ojczyzny również potrzebujących oświaty i moralnego kierunku. Tu powstaje myśl szerokiej organizacyi, któraby pokryła kraj cały siecią związków filomackich, urządzonych wzorowo i rozklasyfikowanych na kilka stopni tak, aby każdy z nich podlegał wyższemu, a ostatni dopiero stykał się bezpośrednio z Towarzystwem najwyższem, czyli Rządem. Główną rolę gra tu zasada, że, im sztuczniej skombinowane Towarzystwo, tem byt jego pewniejszy, im więcej będzie poszczególnych części, tem trudniej odkryć główny mechanizm; związki niższe, dośledzone i zniszczone, nie powinny zdradzać wyższych, które nawet w razie katastrofy, pozostaną dalekie, nieznane i będą mogły dalej prowadzić swą tajemną działalność.

Prócz podziału administracyjnego projektuje się w przyszłym ustroju Towarzystwa niezależny od niego podział na pięć klas naukowych: I) przyrodniczą, II) matematyczną, III) filozofii, IV) statystyki i prawa, V) literatury i sztuk pięknych. Klasy te organizują się w każdym stopniu, i odpowiadając ściśle kursom akademickim, winny dopełniać ich braki i wyjaśniać to, co w wykładach zostało źle lub niedokładnie zrozumiane; tu zdobywa się gruntowną znajomość elementarnych zasad wiedzy, poznaje się praktyczne zastosowanie nauk, ich stosunek pomiędzy sobą, oraz bliższe i dalsze pożytki. Każda klasa stanowi odrębną całość, członkowie jej mogą pracować w raz obranym kierunku, nie wchodząc w zakres obcych sobie zatrudnień, a zjednoczona praca staje się środkiem do osiągnięcia pomyślności i szczęścia kraju.

Szukając sposobów, jak projekt powyższy w czyn wprowadzić, proponuje Jeżowski, by czterej członkowie Rządu, a zatem on, Mickiewicz, Pietraszkiewicz i Malewski, oraz najbliższy kandydat na radcę, Tomasz Zan, objęli w zasadzie stanowisko kierowników pięciu projektowanych klas i zajęli się ich podziałem

administracyjnym na wyższe i niższe stopnie. Względy praktyczne wykazały przecież wkrótce, że projekt ten może wejść w życie wtedy dopiero, gdy cała młódź uniwersytecka, a przynajmniej znaczna jej część skupi się pod hasłem zasad filomackich. Tymczasem należało przysposobić do nowych działań tych, co w chwili stanowczej stanąć mieli w pierwszym szeregu, należało nadać ogólnym ustawom Filomatów cechę pracy cichej, ostrożnej, a obejmującej szeroką niwę społeczną przez zakładanie wszędzie pod osłoną głębokiej tajemnicy poszczególnych gron i kółek.

Dzięki usiłowaniom rządu powstaje w krótkim czasie ogólny plan przyszłej organizacyi Towarzystwa, które dzieli się tu na cztery stopnie administracyjne: wstępny, czyli związki na wzór klubu Przyjaciół; filomacki, złożony z dzisiejszych członków czynnych i korespondentów; naczelniczy, skupiający przewodników klas; władnący, czyli właściwy Rząd, radcy aktualni z prezydentem na czele. Z jaką ostrożnością przyjmowano nowych członków do rządu dowodzi długie wahanie w sprawie przypuszczenia do tajemnicy nowej organizacyi Tomasza Zana, który dopiero w maju 1819 roku mianowany zastępcą radcy, zajął miejsce w Rządzie.

Pierwsze dwa stopnie dzielą się na projektowane przez Jeżowskiego klasy naukowe, odpowiadające dzisiejszym wydziałom; ostatnie, jako złożone z kierowników pozostają niepodzielne. Względem działań na prowincyi powstaje myśl organizacyi klubów z rzemieślników i kupców oraz związków z uczącej się młodzieży. Kieruje niemi podwydział, złożony z oddalających się z Wilna Filomatów, lecz czyni to nieznacznie, członkowie bowiem klubów i związków nie powinni domyślać się, że mają w swem gronie członków podwydziału.

Wstępując na drogę reform prawodawczych w myśl potrzeb chwili, Rząd we względzie klasy wstępnej poprzestaje na istniejącym już Klubie Przyjaciół, główną uwagę zaś zwraca na kwestyę wstępu do właściwego Towarzystwa, gdzie obok naukowej rozpoczyna członek pracę społeczną, a kształcąc dalej umysł, serce i charakter, musi przykładem swym i wpływem zwracać innych

na drogę postępu i udoskonalenia. Pomimo, że Klub Przyjaciół przysposabia już poniekąd do wyższych działań, daje zgłębić charakter i zdolności kandydata, troskliwość o dobro Towarzystwa nie pozwala uczynić go od razu jednym z kierowników klasy wstępnej i odsłonić całą nić urządzeń administracyjnych. To też choć w klasie Filomatów usuwa się nazwa korespondentów, nowowchodzący podlegają trzymiesięcznej próbie i biorą przez ten czas udział wyłącznie w naukowej pracy Towarzystwa. Dla nich redaguje się osobny dział u s t a w o g ó l n y c h, gdzie, prócz prawideł postępowania i obowiązków naukowych, podaje się krótką wiadomość o rządzie, prezydencie, posiedzeniach administracyjnych, dostateczna, by przyszły członek powziął ogólne wyobrażenie o wewnętrznym ustroju i nie czynił przedwczesnych dociekań w tym względzie.

Sam proces wyboru ulega tu znacznym obostrzeniom. Wydział nie zadawalnia się szczegółową wiadomością o życiu, zajęciach i wykształceniu kandydata, lecz wymaga bliższych informacyi we względzie jego charakteru, zdolności, poglądów narodowych i moralnych. W tym celu wyznacza się z Towarzystwa delegat, który zręcznie i ostrożnie stara się wybadać proponowanego, jak zapatruje się on na stowarzyszenia uczniów uniwersytetu, czy nie widzi potrzeby wyższego związku między nimi? jaki cel pragnąłby temu związkowi naznaczyć i jaką zaprowadzić organizacyę?

Odpowiedzi, uzyskane na piśmie, oddaje się pod sąd wydziału, ten zaś, o ile uzna je za zadawalniające, żąda pisma konkursowego; przyjęte większością głosów otwiera ono ostatecznie wstęp do Towarzystwa, gdzie nowy członek, uczestnicząc przez trzy miesiące wyłącznie w zajęciach naukowych, przejmuje się panującym charakterem pracy i cnoty, zgłębia ducha ustaw i wielki cel służby ojczyźnie; wreszcie, wprowadzony na posiedzenie administracyjne staje się działaczem na szerokiej niwie społecznej.

Ustawy ogólne, przez rząd ułożone i zatwierdzone, podane zostały do wiadomości powszechnej 25 czerwca 1819 r. i niezwłocznie z małemi zmianami przez ogół członków przyjęte. Po rozstrzygnięciu w ten sposób najbardziej palącej kwestyi, wstępu do Towarzystwa, kodeks członków czynnych pozostawiono na

czas powakacyjny, jak również ustawy klasy naczelniczej i władnącej. Pierwsza właściwie nie istniała jeszcze wobec szczupłej liczby wydziałów, których naczelnicy wchodzili w skład rządu; drugą, czyli towarzystwo najwyższe, prawodawcze, tworzył rząd, kierujący całą wielką machiną, wszystkiemi stopniami i związkami Filomatów.

W jego to rękach, jak widzimy z wyżej skreślonego przebiegu czynności, spoczywa cały ster działań i zarówno wewnętrzny jak zewnętrzny ich rozwój: on kreśli projekt pisma peryodycznego, on stwarza Związek przyjaciół, on wreszcie podaje zarys przyszłej organizacyi i opracowuje główne jej szczegóły. Praca wydziałów ogranicza się na zajęciach naukowych i pełnieniu instrukcyi rządu we względzie wpływu wywieranego na klub Przyjaciół. Lecz członkowie ulegli rządowi nie tracą przecież charakteru dawców władzy, prezydent zdaje przed nimi sprawę z wszelkich czynności, oni sądzą, czy urzędnicy zasługują na rozsądne posłuszeństwo i nie zawodzą położonego w nich zaufania.

Zmiany w ustroju wewnętrznym Towarzystwa obejmują w wydziale II nominacyę nowego naczelnika, w wydziale I bolesną utratę jednego z członków.

Onufry Pietraszkiewicz wyniesiony w kwietniu 1819 r. na stanowisko radcy aktualnego i administratora związku Przyjaciół opuszcza posadę przewodnika wydziału II a miejsce jego zajmuje Tomasz Zan. Towarzyszą mu objawy wdzięczności i żalu ze strony kolegów oraz serdeczna podzięka prezydenta.

Niemniej ceniony i kochany przez towarzyszy Adam Mickiewicz, pozostając do końca roku na stanowisku naczelnika wydziału I, urzędowanie swe musiał zaznaczyć smutnym faktem, koniecznością wniesienia skargi na jednego z członków i poddania go pod sąd Towarzystwa. Nie pomogły upomnienia prywatne; Bruno Suchecki nie chciał brać działań z poważnej strony, nie miał ani tego uszanowania dla ustaw, ani ścisłości w ich pełnieniu, jaka cechowała jego towarzyszy; lekceważenie zasad pociągnęło zdradę tajemnicy bytu związku, a oburzeni Filomaci wyrokiem z dnia 26 czerwca 1819 r. wykluczyli niepowołanego ze swego grona. Młodzieniec ten o płytkim umyśle nie mógł długo

pozostać wśród ludzi również młodych, lecz nad wiek poważnych, głębokich, przejętych zasadą pracy społecznej.

Usunięcie Sucheckiego spotyka się z datą wprowadzenia nowych ustaw i przerwą w czynnościach na czas wakacyjny. Obok powagi działań, ostatnie w tym roku chwile wspólnego pożycia urozmaicają najliczniejsze w maju i czerwcu obchody imieninowe, wyraz szczerego humoru, serdecznej miłości i przyjaźni. Za miastem, wśród gór i lasów, w tajemnicy przed solenizantem wznoszono szałas, pleciono cyfry z kwiatów i zieleni i wprowadzano go na skromną ucztę urozmaiconą śpiewem i deklamacyą. Ostatnia wycieczka przed wakacyami 29 czerwca 1819 r. upamiętnia chwilę rozstania i daje wyraz serdecznym, braterskim uczuciom, które tak silnym węzłem złączyły umysły i serca Filomatów. Zbliżający się wypoczynek cieszy ze względu na wyjazd do stron rodzinnych, lecz pożegnanie wspólnych zebrań, wspólnej pracy, wspólnych trosk i radości wywołuje smutne, melancholijne uczucie. Dźwięczy ono wyraźnie w wierszu pożegnalnym Tomasza Zana, odzywa się tęskną nutą w niektórych tonach wesołych zresztą rymów Jana Czeczota:

A miłe nas miejsce wzywa
Te niejeden zwiedzi chatki,
Gdzie życia począł przędziwa,
Gdzie u łona urósł matki.
Tam dawne jemu zabawy
Przypomną brzozy, topole,
Których cień krył mu łaskawy
Przed drogim ojcem swawole.
Liczne, o bracia, pieszczoty
Czekają nas w naszej chacie,
Ale, tam pędząc wiek złoty
Cóż słyszę? jeszcze wzdychacie!
Drużby nam miłej nie staje,
Towarzysze, w innej stronie,
Kiedy zgoda nowe daje
Życie na przyjaźni łonie.
A wielkie nas łączą cele,
Cnoty duch przewodzi nami,
A cnotliwi przyjaciele
Największymi kochankami.
Och! i nam smutne rozstanie,

Ale związki nasze pewne,
Stalsze, niż kobiet kochanie.
Niech się nie leją łzy rzewne.
Każdy z nas jedno ma czucie,
Myśląc o lubej ojczyźnie
I o jej swobód powrocie...

Wiersz Adama Mickiewicza pełen jest znów dowcipu i humoru, jak np. w ostatniej zwrotce:

Czyjeż dziś imieniny? Nastawiono flaszek?
Dzisiaj świętego Piotra — jedno co Pietraszek.
Więc dzisiaj imieniny są Pietraszkiewicza.
Lecz każdy jego święta już miesiąc przelicza.
Przeto, niech Towarzystwa każdy zdrowie pije,
Niech po wieki, po wieki towarzystwo żyje!

Majówka pożegnalna poprzedza uroczyste posiedzenie powszechne, które, zamykając okres działań tegorocznych, wskazuje cały ich rozwój i postęp. Już w pierwszych miesiącach egzystencyi Towarzystwa widzimy, jak zasada pierwotna, doskonalenie się własne i pomoc wzajemna w naukach, przybiera rozleglejszy zakres, obejmując w nowych ustawach pracę nad oświatą i moralnością uczącej się młodzieży. W następnym roku Towarzystwo stara się zastosować teoryę do praktyki, szuka sposobów i środków, jak ogarnąć wpływem swym szkoły i uniwersytet, a wyrazem pracy tej, prócz postępu na polu naukowem, są liczne projekty we względzie pisma peryodycznego, otwarcia klubu Przyjaciół, a wreszcie zarys nowej organizacyi, sięgającej poza obręb zakładów wychowawczych, zdolnej szerzyć oświatę i dobrobyt wśród szerszych warstw społecznych. Jak ująć w ręce swe kierunek nad ogółem młodzieży? jak zwrócić naród do pracy ekonomicznej i oświatowej? jak ratować ojczyznę i wzbudzić miłość ku niej w sercach wszystkich jej dzieci? oto pytania nurtujące umysły Filomatów. Rozwiązanie ich, wskazanie środków postępu i dróg, któremi kroczyć należy — stanowi odtąd pole dalszych działań Towarzystwa.

Rok trzeci. 1819—1820.

Rok trzeci działalności Towarzystwa filomatycznego obejmuje pierwsze kroki na drodze urzeczywistnienia wielkich planów, zakreślonych w projektach z maja i czerwca 1819 roku. Myśl organizacyi, ogarniającej kraj cały, powstała wśród członków rządu; oni pracowali nad ujęciem jej w pewne określone formy, w ich też rękach spoczywa i nadal cała władza prawodawcza i kierownicza. Prezydent — Józef Jeżowski, trzej mianowani w roku zeszłym radcy aktualni — Franciszek Malewski, Adam Mickiewicz i Onufry Pietraszkiewicz, oraz zastępca radcy — Tomasz Zan, stanowią owe Towarzystwo najwyższe, które prowadzi całą klasę Filomatów, opracowuje dalszą organizacyę, przyjmuje raporty oraz wysyła instrukcye we względzie wewnętrznych i zewnętrznych działań; ono określa postęp pracy w wydziałach a zarazem przepisy, jak kierować klubem Przyjaciół i na wzór jego zakładać inne związki, jak ogarniać wpływem swym wszelkie stowarzyszenia, przekształcać je według potrzeby i zwracać ku coraz wyższym celom.

Pierwszą czynnością rządu w nowo rozpoczynającym się okresie było dopełnienie ustaw klasy Filomatów, zredagowanie kodeksu członków czynnych. Zawarte tu punkty obejmują szczegółowe przepisy we względzie administracyi, to jest obioru członków i wynoszenia ich na czynnych, korespondencyi z nieobecnymi i procesu kryminalnego. Dawne prawidła zostają ujęte w ściśle określony system, a cechę znamienną stanowi zbliżenie Filomatów z rządem przez udział ich w obradach nad projektami nowych praw lub zmiany dawnych, nad organizacyą wydziałów, podwydziałów i klubów, oraz we wszelkich kwestyach, dotyczących rozwoju Towarzystwa.

Przyjęte na wiosnę »Ustawy ogólne« wraz ze zredagowanym obecnie »Kodeksem członków czynnych« określają ostatecznie nastrój wewnętrzny klasy Filomatów. Ponad nią stoi rząd czyli klasa najwyższa, władnąca; pośrednia zaś, w projekcie naczelniczą nazwana, pozostaje tymczasem w teoryi, wobec małej liczby wydziałów, których kierunek obejmują członkowie rządu.

Duch urządzeń pozostaje bez zmiany, oparty na niemal nieograniczonej władzy prezydenta, bezpośredniej zależności Filomatów od klasy wyższej i posłuszeństwa względem instrukcyi z rządu przesyłanych. Lecz kierownictwo złożono dobrowolnie w ręce prezydenta, on za powszechną zgodą mianował radców i naczelników; ustawy rozważyli i przyjęli wszyscy członkowie. To właśnie nadaje Towarzystwu cechę rzeczypospolitej, opartej na zasadach liberalnych lecz ściśle określonych, zamkniętych w granicach karności porządku.

Klasa wstępna poza Towarzystwem nie przedstawia jeszcze obrazu dokładnego ani ostatecznej organizacyi, składa ją bowiem klub Przyjaciół oraz inne związki, istniejące dopiero w teoryi. Formowanie ich, zrzeszanie młodzieży stanowi w tym roku główną pracę rządu i Filomatów.

W noworozpoczynającym się okresie działań lukę pewną stanowi dalszy pobyt w Białymstoku Zygmunta Nowickiego oraz wyjazd na wieś Dominika Chodźki. Miejsce ich jednak zajmują wkrótce nowi członkowie, wybrani ze związku Przyjaciół: Kazimierz Piasecki i Michał Bukiewicz w wydziale I, Ignacy Domejko, Jan Sobolewski i Wincenty Budrewicz w wydziale II. Oni tylko z 20 proponowanych kandydatów podali przy badaniu zgodne z duchem Filomatów odpowiedzi i zadawalniające pisma konkursowe, poczem wprowadzeni do Towarzystwa zrazu jako uczestnicy pracy wyłącznie naukowej, po upływie oznaczonego terminu otrzymali stopień członków czynnych; Budrewicz tylko, przyjęty dopiero w maju 1820 r. nie mógł być przypuszczony przed wakacyami do zatrudnień administracyjnych.

Dotkliwiej niż wyjazd Nowickiego i Chodźki czuć się daje brak jednego z kierowników i głównych działaczy, Adama Mickiewicza, który, obejmując posadę nauczyciela w Kownie, czynnego udziału w rozwoju działań wziąć nie może i tylko z dala radami i projektami stara się zasilać Towarzystwo. Obowiązki naczelnika w wydziale I obejmuje po nim Franciszek Malewski, w wydziale II pełni je dalej Tomasz Zan; miejsce Malewskiego jako sekretarza rządu przypada w udziale Onufremu Pietraszkiewiczowi, który pozostaje jednocześnie administratorem Przyjaciół.

Pod względem ustroju wewnętrznego, wobec stosunkowo szczupłej liczby członków, projekt podziału na 5 klas naukowych pozostaje i nadal w teoryi tylko; natomiast praca wydziałów, zakreślona na szerszą skalę obejmuje studya głębokie, gruntowne, a zarazem więcej różnorodne niż w latach ubiegłych. Poważne źródło wiedzy stanowi tu prenumerata kilku pism peryodycznych jak *Hermes, Journal des Savants* i inne prywatnie przez członków dostarczane, oraz bogaty księgozbiór, zebrany dzięki składkom miesięcznym, a złożony z poważnych dzieł polskich, łacińskich i francuskich, przeważnie historycznej treści. Stąd czerpią się tematy do rozpraw i wiadomości naukowych, które, obok licznych utworów lekkiej treści, krytyk i dwóch robót powszechnych (przekładu »Fizyki Biota« oraz »Dykcyonarza sztuk pięknych Sulcera«), stanowią w tym roku czysto naukową część bogatego archiwum Towarzystwa i przedstawiają się w następującym porządku.

Rozprawy.

Józefa Jeżowskiego: »Filozofia umysłu ludzkiego«, »Komentarz do księgi I pieśni lirycznych Horacyusza«.

Józefa Kowalewskiego: »Życie Tezeusza z Plutarcha«, »O przyzwoitości, jaką mowca i poeta zachować powinien«, »Tłumaczenie z historyi Herodota«, »Zarys dziejów literatury i sztuki u starożytnych Rzymian«, przekład z dzieła Ruperta Gottingen.

Dominika Chodźki: »Tablica systematycznej historyi Grecyi«, przekład z dzieła Szela.

Franciszka Malewskiego: »Listy o powołaniu prawników«, »Uwagi nad gustem i delikatnością«, »Przekład listu Cycerona do Sulpicyusza i odpowiedzi Sulpicyusza«.

Kazimierza Piaseckiego: »Uwagi nad procesem kryminalnym«, »O tworzeniu się i wzrastaniu władzy najwyższej na Litwie«, »O Żydach«.

Michała Bukiewicza: »Krótkie uwagi nad polityką Filipa, króla macedońskiego«.

Teodora Łozińskiego: »Porównanie dzieł o geometryi

traktujących«, »Uwagi z podróży na Wołyń i Ukrainę«, »O polaryzacyi światła«.

Jana Sobolewskiego: »Wyliczenie niektórych układów mineralogicznych«, »O amoniaku i pierwiastkach w skład jego wchodzących«, »O elektryczności«.

Ignacego Domejki: »O barometrach«, »Wykład sposobów rozwiązywania zrównań nieoznaczonych«.

Dyonizego Chlewińskiego: »O stanie teraźniejszym logiki«.

Wincentego Budrewicza: Wyciąg z mechaniki Franceveur'a o prawidle Guldyna«.

Tomasza Zana: »O arytmetyce«.

Utwory poetyckie.

Jana Czeczota. »Elegia Owidyusza«, przekład; »Elegia do łóżeczka«, »Ballada Bekiesz«, »Anakreontyki«, »Małgorzata z Zębocina«, operetka; »Aryon«, ballada.

Adama Mickiewicza: »Dziewica Orleańska«, pieśń V, przekład z Woltera; »Rękawiczka«, przekład z Szyllera; »Początek ballady Tukaj«, »Oda Horacyusza«, przekład; »Elegia Owidyusza«, przekład; »Świteź«, ballada.

Onufrego Pietraszkiewicza: »Kupało«, sielanka; »O bieleniu płótna«, wiersz; »Włodek i Wawrek«, sielanka.

Tomasza Zana: »Elegia do Feli«, »Nerys«, ballada.

Zbiór prac Filomatów dopełnia 17 krytyk przez wszystkich członków podawanych, oraz 23 wiadomości naukowe o współczesnych wypadkach i odkryciach, czerpane po większej części z dzienników krajowych i zagranicznych. Większość pism tych, niestety, zaginęła bez śladu, a o wartości najpoważniejszego działu dać tylko mogą pewne wyobrażenie dwie przechowane rozprawy Kazimierza Piaseckiego: »O tworzeniu się i wzrastaniu władzy najwyższej na Litwie« i »O Żydach«.

Pierwsza zawiera oparte na gruncie prawniczym poglądy na pochodzenie Litwinów i rozwój w ich kraju urządzeń państwowych. Uważając despotyzm za naturalną formę rządu u ludów

ciemnych, przywykłych do rozbojów i łupiestw, autor widzi początek jego upadku w chwili, gdy naród, w miarę postępu na drodze rozwoju umysłowego sam przychodzi do zrozumienia idei wolności, własnem doświadczeniem uczy się ją cenić i do urządzeń państwa stosować. Piasecki przypuszcza, że państwo litewskie powstało drogą najazdu dzikich hord mongolskich i że tu właśnie rozpoczyna się władza nieograniczona książąt; następnie rozwija ideę despotyzmu i wolności w rozmaitych jej fazach, powołuje się na znane przykłady historyczne i dzieląc władzę na prawodawczą i sądowniczą, wskazuje kiedy i w jakich warunkach przechodziła ona z rąk monarchy w ręce narodu. Błąd zasadniczy całej organizacyi widzi w braku zupełnym trzeciego rodzaju władzy, władzy wykonawczej, która zarówno w Polsce jak na Litwie prawie nie istniała, ścieśniona wpływem możnych panów; stąd lekceważenie praw, samowola, bezkarność i ostateczny upadek kraju. Przyczynę złego upatruje Piasecki w ciemnocie narodu, który nie wskutek własnego uświadomienia, lecz wskutek wypadków zewnętrznych zrzucił jarzmo despotyzmu, w Polsce dzięki osłabieniu władzy książęcej po podziale kraju przez Krzywoustego, na Litwie przez połączenie z Polską. Stąd błędy w prawodawstwie, stąd niezrozumienie własnej korzyści i uznanie jej za jedno z bezwzględną swobodą i swawolą.

Wnioski Piaseckiego można uważać za mniej lub więcej racyonalne; niepodobna im odmówić głębokiej logiki i poważnego zastanowienia, z jakiem traktuje każdą kwestyę.

Druga jego rozprawa »O Żydach«, zawiera poglądy na sprawę żydowską w ogólności, a zwłaszcza na stanowisko Żydów w Polsce odnośnie do stosunków i urządzeń miejscowych. Autor zwraca uwagę na ucisk i pogardę, której przedmiotem był naród żydowski przez długie wieki w całej Europie, a wychodząc z założenia, że w porządku moralnym własne szczęście osiąga się przyczyniając do szczęścia innych, uważa pomyślny stan naszego społeczeństwa za niemożliwy, dopóki posiada ono w swem łonie składnik uciśniony, zimny, obojętny, nienawistny i nienawidzący, a zrodzony na naszej ziemi i zamknięty w jej obrębie. Jedyny środek zaradczy w tym względzie widzi w zrównaniu Żydów

w obliczu prawa, w pracy nad ich oświatą i zniesieniu odrębności kahałowej. Wtedy dopiero, zdaniem Piaseckiego, Żyd uczuje się członkiem społeczeństwa i zrozumie, że jego własna pomyślność zależy nie na szkodzie chrześcijan, lecz na wspólnej pracy dla dobra i szczęścia kraju.

Z kilku przechowanych utworów poetyckich pierwsze miejsce zajmują niewątpliwie mistrzowskie przekłady Adama Mickiewicza, a wśród nich »Pieśń V Dziewicy Orleańskiej« Woltera, gdzie w zwrotach dosadnych, pełnych werwy, żywości, a zastosowanych artystycznie do mowy polskiej, tłumacz oddaje myśl autora we wszystkich jej najsubtelniejszych odcieniach. Przytaczamy urywek ze wstępu, który zawiera rodzaj moralnej nauczki, nacechowanej przecież w niektórych wyrażeniach szyderstwem niewiary wolterowskiej.

Żyjcie po chrześcijańsku, przyjaciele moi!
Ach! tego nam oburącz trzymać się przystoi,
Przystoi karku nagiąć w obowiązku cnoty.
Trzpiotałem się za młodu, znam już, co są trzpioty;
Każdy z nich leci oślep, gdzie żądza powoła,
Zawsze gotów na balik, nigdy do kościoła.
. . . . . .
Cóż wkońcu? Śmierć niestety, babsko krzywonose,
Już wietrzy żartownisiów, już naostrza kosę.
Biegną przodem chromając, gorączki — jej kumki,
I drobne w trzpiocich główkach plątają rozumki.
Wraz przy łóżku Bernardyn i adwokat stanie:
»Żegnaj się!« »Pisz testament!« »Mów pacierz, mospanie!«
Późna wtenczas z ust sinych odzywa się skrucha,
Późne już: »W imię Ojca i Syna i Ducha.
Święty Wincenty! Jacku! módlcie się za nami!
Święta Klaro! Ufszulo cna z towarzyszkami!«
. . . . . .
A djabeł siedzi sobie na rogu poduszki,
Ostrzy szpony, nieszczęsnej oczekuje duszki,
I zaledwie ta z trupa zimnego uciekła,
Natychmiast capie za nią i mczy[1] na dno piekła.

Pełne swobody i artyzmu są też inne przekłady Mickiewicza, jak oda Horacego *Nullus Argento* wysławiająca pogardę

[1] Mczyć.

ziemskich bogactw i zaszczytów, oraz elegia Owidyusza *Si qua meis*, wyraz tęsknoty poety za przyjaciółmi i krajem rodzinnym:

Jeśli błędy spotkają błędów w pieśni wiele
Przez wzgląd słuszny darujcie błędom, przyjaciele!
Za pociechą wygnaniec nie za sławą goni,
Pieśń dźwiga myśli w gorzkiej grążące się toni,
Tak pieje kopacz więzień i pieniem bez kształtu,
Ujmie trudu robocie, ujmie troskom gwałtu!

Operetka Jana Czeczota p. n. »Małgorzata z Zębocina«, osnuta na tle historycznem XI wieku, ma za wątek znane opowiadanie o Małgorzacie, żonie Mikołaja z Zębocina, która napastowana i zmuszona do powtórnego wyjścia za mąż podczas pobytu małżonka przy królu Bolesławie Śmiałym w Kijowie, zamknęła się na wieży, gdzie przetrwała cztery lata, aż rycerstwo wróciło i pokój w kraju zapanował. Rzecz ta, piękna i interesująca pod względem treści, według krytyki Adama Mickiewicza ma zamało skomplikowany węzeł intrygi, nie zaostrza ciekawości widza, a sam układ wypadków i charakterystyka osób wiele pozostawia do życzenia. Natomiast recenzent przyznaje autorowi duży talent liryczny w scenach pełnych prostoty i żywości; zwłaszcza pełne melodyi są niektóre arye Małgorzaty, oraz śpiew Mikołaja w chwili powrotu na ziemię rodzinną:

Co za rozkosz po żyłach moich się rozchodzi!
Ileż ojczysta ziemia czułych uczuć rodzi!
Pamiętasz, gdyśmy, ruskie pominąwszy łany,
W kraj nasz stopą szczęśliwą wstąpili kochany.
Padliśmy na kolana, całowali ziemię,
I tameśmy trosk naszych porzucili brzemię!
O jakże jeszcze słodziej, gdy na własnej niwie
Nieba łaskawe dały stanąć nam szczęśliwie!

Niemniej piękne ustępy poetyckie zawiera ballada Czeczota p. n. »Aryon«, oraz sielanka Onufrego Pietraszkiewicza p. n. »Kupało«, osnuta na tle święta Sobótek, urozmaicona opisem gry na flecie i tańców dokoła płonącego stosu, oraz śpiewem chóralnym na cześć boga Kupały:

Tyś w zieloność odział łany,
Przez cię pąk strzela z gałęzi,

Przez ciebie i kłos nalany
I drzewa pełne zawięzi.
Niech prac nadzieja się ziści
Dotknij pól swojemi stopy,
Niechaj bujnych plonów kiści
Zżęte oracz zwiąże w snopy.
Niszczące grady z nawałą
Oddal od naszej osady
Wysłuchaj modłów, Kupało,
Ocal pola, ocal sady.
Bujnemi trawy pastwiska
Niechaj dłoń twoja przyściele,
Kędy zdrój żywy wytryska
Wypleniaj zjadliwe ziele.

Osobny dział pism filomatów stanowią prace dotyczące nauk ścisłych, a mianowicie: »O rozwiązywaniu zrównań nieoznaczonych« Ignacego Domejki, »O arytmetyce« Tomasza Zana i »O logice« Dyonizego Chlewińskiego; zawierają one pierwsze próby studyów, jak dane gałęzie wiedzy wykładać należy, jak zaszczepiać w umysłach uczących się ich pierwotne zasady w sposób jasny, gruntowny, dokładny.

Czując własne braki w tym względzie, skutki wadliwego systemu wykładów szkolnych, Filomaci postanawiają wznowić przedstawiony przez Jeżowskiego projekt podziału na klasy naukowe i, biorąc tymczasem w uwagę wyłącznie praktyczną jego stronę, zaprowadzić w towarzystwie metodę nauczania się wzajemnego. W tym celu każdy z członków postara się zbadać dokładnie przedmiot, któremu się z powołania oddaje, określić jego zasady podstawowe, i rozpocząć przystępne wykłady, zrazu w gronie towarzyszy, następnie wobec coraz szerszych kół młodzieży akademickiej. Kursy wyłożone starannie i ocenione krytycznie przez samych słuchaczy, podadzą materyał do układania dobrych podręczników szkolnych, a wypróbowany system nauczania Towarzystwo postara się upowszechniać w zakładach niższych i średnich, upatrując odpowiednią chwilę i środki działania.

Organizacya kursów dla bezpieczeństwa repetycyami nazwanych, prócz ułatwienia studyów uniwersyteckich i zaszczepienia gruntownych wiadomości w dziedzinie każdej nauki, ma

na myśli wpływ moralny nad garnącą się młodzieżą, zwrot jej na drogę ścisłej oceny własnego charakteru i uzdolnień. Tu młodzieniec powinien nauczyć się myśleć i zastanawiać, by w wyborze przyszłego powołania nie kierował się ślepym trafem, lecz po obliczeniu się z siłami zdał sobie dokładnie sprawę, czy na obranem polu będzie mógł spełniać obowiązki obywatela kraju, pracować nie tylko dla własnej korzyści, lecz dla pożytku całego społeczeństwa.

Wobec braku potrzebnych źródeł, w roku bieżącym projektowana szkoła ogranicza się do prowadzonych wewnątrz Towarzystwa wykładów geografii astronomicznej, języka niemieckiego i arytmetyki, opracowanych przez Łozińskiego, Malewskiego i Zana. Dla umożebnienia zaś dalszego rozwoju działań w tym względzie uchwala się zakup całej seryi podręczników szkolnych, zagranicą używanych, a mogących ułatwić studya nad sposobami wpajania w umysły młodzieńcze pierwszych zasad nauk, fundamentu przyszłej wiedzy.

Zwłoka w przesyłce zamówionych książek nie pozwoliła w tym roku rozszerzyć kursów naukowych i zakreślić ich na szerszą skalę. Natomiast czas i uwagę ogólną pochłania w znacznej mierze inny dział pracy pedagogicznej i oświatowej, kwestya zebrania wiadomości o istniejących w kraju szkołach, ożywiającym je duchu i sposobie wykładu nauk. Na tej podstawie ma powstać plan reformy dotychczasowego systemu.

W roku ubiegłym tylko członkowie rządu podawali projekty we względzie szerszego zakresu działań i wpływów wywieranych na społeczeństwo; obecnie zajmuje się tem cała klasa Filomatów, a liczne ich pisma, treścią bardzo zbliżone, omawiają znaczenie systemu wychowawczego, zastanawiają się, jak zebrać materyały potrzebne przy układzie programu nauk i prawideł postępowania we wszelkich zakładach naukowych.

Cnota i rozsądek obywateli są podstawą szczęścia narodu; przymioty te zaszczepia wychowanie oparte na zasadach instrukcyi publicznej: stąd stanowi ona w każdem państwie cywilizowanem szczególny przedmiot uwagi i starań rządu. U nas, gdzie sprawa oświatowa i pedagogiczna leży dotąd odłogiem, a opłakane wa-

runki paraliżują wszelką prywatną inicyatywę, Towarzystwo, opierając cel swój na służbie dla kraju, nie może pozostać głuchem na głos uczuć najświętszych, nie może zaniedbać pracy nad oświatą młodych pokoleń. Instrukcya krajowa podaje prawidła, jak młodzieżą kierować należy, ona zaszczepia miłość nauki i cnoty, na jej łonie wychowuje się prawy człowiek, gorliwy patryota, uczciwy urzędnik, dobry nauczyciel, a w zasadzie pożyteczny członek społeczeństwa. Polepszenie bytu naszych ziomków zależy zatem od poprawy i udoskonalenia instrukcyi.

Towarzystwo reformy tej dokonać nie jest jeszcze w stanie; członkowie, skrępowani politycznem położeniem kraju, przyciśnięci troską o chleb powszedni, działać mogą tylko bardzo powoli i ostrożnie, poświęcając każdą chwilę swobodną, korzystając z każdej okoliczności, i postępując o tyle o ile uparta wytrwałość postąpić jest zdolna. Podstawą pracy tej jest ocena krytyczna istniejących szkół, środkami pomocniczymi są raporty członków zajmujących posady nauczycieli, wspomnienia z lat dziecinnych, korespondencya z nauczycielami, obywatelstwem, księżmi, a zwłaszcza główne źródło informacyjne, raporty wizytatorskie o szkołach i gimnazyach, składane w kancelaryi uniwersytetu. W nadziei, że protekcya rektora ułatwi dostęp do tego cennego archiwum Towarzystwo zajmuje się tymczasem określeniem punktów, według których zebrane wiadomości układać należy. Punkty te, obszerniej lub pobieżniej przez członków rozważane, zwracają uwagę na potrzebę doniesień mniej więcej następującej treści:

Jaka jest historya założenia szkoły? jej fundusze, położenie, odległość od uniwersytetu, miasta, kościoła? Nazwiska przełożonych, nauczycieli, ich wiek, liczba? gdzie nauki pobierali i jak dawno publiczne dają lekcye? Jak wykładają nauki? według jakiej metody i z jakich podręczników? Podać liczbę uczniów, ilość celujących, jak prowadzą się, gdzie mieszkają? Stan gabinetu, biblioteki? czy uczniowie starają się z tych pomocy korzystać? którzy nauczyciele umieją wykładem swym pociągać słuchaczy? Jaki jest stosunek uczniów do nauczycieli i nauczycieli pomiędzy sobą? Jaki duch wśród nich panuje? Jakie stanowisko względem szkoły zajęli obywatele i duchowieństwo? Czy bywają na popi-

sach? Czy w okolicy znajdują się biblioteki i wogóle zbiory prywatne mogące być użyczone szkole? Co myślą duchowni i świeccy o oświacie w kraju? Gdzie znajdują się szkółki parafialne i Lankastra? czy włościanie i mieszczanie chętnie tam dzieci swe oddają? Czy zdanie nauczycieli ma wpływ na umysły gminu, i czy wogóle cieszą się oni poważaniem?

Na kogo sposobią szkoły wychodzącego z nich ucznia? czy ma zaszczepione zasady moralne? Jakie braki są w każdej szkole?

Już w r. bieżącym Towarzystwo rozpoczyna pierwsze próby pracy statystycznej, obowiązując członków nieobecnych Mickiewicza i Nowickiego do doniesień o szkołach w Białymstoku i Kownie zarówno pod względem ich urządzenia i pomocy naukowych jakoteż ducha ożywiającego uczniów i nauczycieli. Od Dominika Chodźki, w tym roku mieszkańca wsi, związek żąda wiadomości o stanie moralnym i ekonomicznym obywateli i ludu wiejskiego. Największe znaczenie mają tu informacye Mickiewicza, pomimo, że stan zdrowia i męczące obowiązki stają nieraz na przeszkodzie notatkom statystycznym; dwaj pozostali członkowie traktują rzecz z więcej obojętnego stanowiska, zresztą brak planu i wskazówek powstrzymuje systematyczny postęp działań.

Tymczasem w Towarzystwie obok pracy nad instrukcyą krajową rozwija się druga, niemniej żywotna, a ściśle z nią związana, wydawnictwo projektowanego pisma peryodycznego; ono to, dopełniając wychowania szkolnego, stać się ma wobec społeczeństwa rzecznikiem zasad filomackich, krzewicielem nauki, cnoty, poczucia obowiązku, a zarazem wskazówką, jak obowiązki te pełnić należy, jaką drogą pomnażać w kraju dobrobyt, oświatę zaszczepiać miłość ojczyzny i dobre obyczaje.

Dla zebrania materyału potrzebnego przy układzie planu pisma, Towarzystwo podaje szereg uwag, co do jego celu, układu i przeznaczenia, uwag, które oświetlają sprawę wszechstronnie, dając wyraz różnorodnym, mniej lub więcej racyonalnym poglądom. Stawiąc w założeniu cel główny — służbę Ojczyzny, każdy szuka dróg dostępnych i praktycznych, każdy projekt swój wylewa na papier, a zebrane punkty zasadnicze stanowią całość, ciekawą pod względem myśli i treści. Tu stawi się jasno kwestya

zniesienia poddaństwa, omawia się obszernie nędza moralna i materyalna ludu roboczego; tu porusza się sprawa, jak podnieść kulturę rolną, przemysł i handel krajowy, jak wpłynąć na liczną rzeszę obywateli, którzy życiem bezmyślnem a zbytkownem, niszczą majątki rodzinne i oddają je w ręce wrogów.

Pismo musi nauczyć społeczeństwo myśleć i zastanawiać się logicznie, wskazać drogę oświaty, a z nią pomyślności krajowej: stąd dwa cele i dwa działy — fizyczny i moralny. Pierwszy obejmuje kwestye czysto praktyczne, polega na podaniu najprostszych i najoszczędniejszych środków polepszania bytu, a wchodząc w zakres nauk ścisłych stara się stosować je do potrzeb życia codziennego. Tu zwraca się uwagę na postęp kultury rolnej, jako źródła bogactw krajowych, tu podaje się wiadomości z przyrody, mogące służyć za drogowskaz w sprawie zasiewów polnych, ogrodnictwa, hodowli bydła i innych gałęzi gospodarki; obok opis machin i narzędzi rolniczych niekosztownych a pożytecznych; dalej artykuły o przerabianiu surowych płodów na produkty i przedmioty codziennego użytku, a także informacye o różnych rękodziełach. Rozprawy z dziedziny botaniki i mineralogii winny wskazywać nieznane zioła, krzewy, oraz minerały w łonie ziemi naszej ukryte; chemia nauczy, jak ciągnąć korzyści ze świata minerałów i roślin, architektura znaleźć musi zastosowanie przy budowlach ludu wiejskiego, który traci zdrowie i siły w chatach zimnych i zadymionych.

Obok nauk dających się ściśle zastosować do gospodarki krajowej pomieści się treściwy poradnik, jak traktować matematykę, fizykę, fizyologię i jaki mieć z nich praktyczny użytek.

(C. d. n.)

Stanisława Pietraszkiewiczówna.

OLYMPIA.

Ciąg dalszy.

W południowo-zachodniej stronie Gaju świętego, tuż pod stopami Kronosowej góry zatrzymał się Dörpfeld na ruinach jakiejś obszerniejszej świątyni. Obstąpiliśmy go wszyscy, by nie stracić ani słowa.

— Stoimy na zwaliskach Herajònu — mówił — zdaje się, że pierwotnie był to główny przybytek boży w Olympii, a Zeus odbierał w nim zrazu cześć pospołu z Herą. Wszak Pausanias, opisując ów posąg prastary, tutaj właśnie stojący, stwierdza, że przedstawiał on brodatego Zeusa w hełmie obok siedzącej małżonki. Później dopiero, gdy w V wieku zbudowano wielką świątynię Zeusa, ta mniejsza stała się Hery wyłączną własnością. Co więcej, Herajon jest niezawodnie najstarszą świątynią grecką, jaka nas wogóle doszła.

U Pausaniasa czytamy, że »istnieje u Elejczyków podanie, jakoby Skyllunlyjczycy świątynię tę zbudowali byli mniej więcej w ośm lat potem, jak Oxylos panowanie zdobył sobie nad Elidą. Oxylos ów zaliczał się do Heraklidów, których mytyczny powrót wypadałby, według starożytnej rachuby, na 114 rok przed erą naszą. Herajon byłoby zatem zbudowane około 1096 roku przed Chr. Przekonamy się, czy można polegać na tej dacie. Lecz pierwej rozpatrzmy się w tem, co nam pozostało z odwiecznej tej świątyni.

W przeciwieństwie do świątyń doryckich dojrzałego już

typu, stoi ona nie na trzechstopniowem podmurowaniu, lecz na jednym tylko stopniu, jak atheński Hekatompodon. W porównaniu z późniejszemi świątyniami budynek ten był stosunkowo znacznie dłuższy, a zarazem o wiele węższy, co także musiało się wyraźnie odbić na kolumnadzie zewnętrznej: wzdłuż obu krótkich ścian liczy ona wprawdzie zwykłą ilość kolumn, czyli po sześć, ale za to na długich ścianach zamiast kolumn trzynastu, było szesnaście, podobnie jak w najstarszych kamiennych świątyniach syrakuzańskich, gdzie liczba kolumn dochodzi do siedemnastu.

Co więcej i kolumnada Herajonu przedstawiała zrazu nierozwiązalną zagadkę. Przypatrzcie się panowie sami, czy są tu choćby dwie kolumny zupełnie jednakie?

To rzekłszy, wiódł nas dokoła świątyni od kolumny do kolumny. Co prawda, parę z nich tylko sterczało jeszcze samotnie; większość leżała na ziemi, ale z każdej prawie pozostała na miejscu część dolna, z której można wnosić o wymiarach całej kolumny. Rzeczywiście: co jedna inną miała średnicę, co jednę składały kamienne kręgi odmiennej wysokości; dwie były wykute całe z jednego głazu. Nawet liczba rowkowanych pręg nie wszędzie była ta sama. Niemniejszą rozmaitość okazują i głowice kolumn. Możnaby na nich — jak mówi Dörpfeld — wykładać rozwój doryckiej głowicy: od najstarszej, na której *echinos* rozszerza się pękato nakształt przypłaszczonej misy, aż do najpóźniejszych, gdzie rysuje się liniami prostemi niemal bez wypukłości. Płyta między misą a belkowaniem, zwana *plintha* czyli *wiekiem*, u tych dawniejszych kolumn jest niepomiernie wielka, u nowszych zaś bywa tak mała, że ledwie narożami wystaje poza średnicę misa.

Jak wytłumaczyć różnice tak dziwne? Skąd w jednej budowli kolumny z tak różnych czasów?

— Zajrzyjmy do Pausaniasa — jął dalej mówić Dörpfeld — u niego znajdzie się klucz tej zagadki. Zaznacza on mimochodem, że jedna z dwóch kolumn w opisthodomie świątyni za jego czasów była z dębowego drzewa. Stąd wynika chyba, że kolumny wszystkie musiały być pierwotnie dębowe i że w miarę jak z biegiem lat próchniała która, wymieniano je kolejno na kamienne. Pierwotna, dębowa kolumnada musiała w całości trwać przez kilka

wieków, zanim pierwsza jej kolumna wypowiedziała służbę. Nic w tem niema niezwykłego; przecie na północy nawet, w klimatycznych warunkach o tyle gorszych, stoją do dziś dnia budynki na pewno datowane z początków XVI wieku. Między założeniem świątyni a wymianą pierwszej kolumny dębowej na kamienną śmiało liczyć można lat czterysta. Najstarsze z kolumn kamiennych archaicznym swoim typem odpowiadają niewątpliwie VII stuleciu, co dodawszy do tamtych czterystu lat, otrzymujemy w XI jako czas powstania Herajonu zgodnie z datą podaną przez Pausaniasa.

Megaron z doby heroicznej, którego typ najwyraźniejszy mamy w Tirynsie, posłużył za punkt wyjścia najdawniejszym budownikom świątyń doryckich *in antis*. Jak w megaronie, tak i tu między ścianą wchodową a bocznemi wydłużonemi w t. zw. *anty* powstaje *pronaos*, przedsionek otwarty z przodu z dwiema kolumnami naprzeciwko drzwi świątyni. Ten sam układ powtarza się od tyłu, z tą jedynie różnicą, że tam drzwi niema i obie kolumny stoją naprzeciw pełnej ściany. Tak powstaje na tyle trzecia — opisthodomos — trzecia — obok *naos* i *pronaos* część składowa świątyni. Jest to nowość, megaron bowiem składało się z dwóch tylko części: z otwartego przedsionka i sali. Kolumnada, czyli *peristyl*, to druga nowość, odróżniająca świątynię taką, jak Herajon od dworzyszcza homerycznych czasów.

Niemniejsze znaczenie dla budownictwa greckiego — ciągnął dalej Dörpfeld — mają ściany Herajonu. Pozostał z nich, jak panowie sami widzicie, tylko cokół kamienny, zbudowany w trzy warstwy ze sporych ciosów, jak to widzieć można od wewnętrznej strony muru, na zewnątrz bowiem, dla tem większej trwałości, osłaniają cokół wielkie, pięknie obrobione, pionowo stojące głazy *orthostatami* zwane. W najwspanialszych świątyniach greckich, jak w Parthenonie, ściany wznoszą się na cokole, zbudowanym w taki sam sposób.

Wysokość jego tutaj, w Herajonie, wynosi trzy stopy greckie (około 90 cm.). Zachowała się doskonale. Na górnej powierzchni jego nigdzie ani śladu niema tych otworów, które są koniecznie potrzebne do osadzenia jednej warstwy ciosów kamiennych na

drugiej. Dowodzi to niezbicie, że ściany, wznoszące się na cokole, nie mogły być z kamienia. Były z niewypalanej cegły, suszonej tylko na słońcu, jak świadczył znaczny pokład gliny, którym zasute było całe Herajon, gdyśmy je odkopali. Za niepaloną cegłą przemawia również i grubość cokoła na 1.18 m.; podmurowanie przeznaczone pod ścianę drewnianą wystarczyłoby nawet o pół węższe, natomiast czterostopowa szerokość muru z niepalonej cegły odpowiadała rzeczywistej potrzebie, jeśli ściany miały być dostatecznie trwałe i dość mocne do dźwigania belkowań.

Rozumie się, iż belkowanie to z kamienia być nie mogło, skoro wspierało się na kolumnach drewnianych i na ścianach z gliny. Że było drewniane, to nie ulega wątpliwości, zniszczało bowiem doszczętnie, z trwalszego zaś materyału znalazłyby się były choćby jakieś okruchy. Dach początkowo był może płaski, jak w przedhistorycznych megaronach i jak dotąd trwa na Wschodzie; później zastąpił go dwuspadowy, dachówką kryty, zdobny gejsonem i simą z terrakoty malowanej.

Naos, czyli główna, środkowa część budynku między przedsionkiem a opisthodomem przedstawia jedną jeszcze osobliwość, której pominąć nie mogę. Od samych drzwi aż do tylnej ściany biegną równolegle do siebie dwa szerokie progi kamienne. Widzicie panowie na każdym z nich po ośm kół zarysowanych w kamieniu. Koła te rozmieszczone są w regularnych odstępach i najściślej odpowiadają kolumnom peristylu. To jasne, że w tych miejscach musiały stać kolumny i że progi owe służyły im za fundamenty. Mamy zatem dowód niezbity istnienia już w Herajonie kolumnady wewnętrznej, która dzieliła naos na trzy nawy: dwie boczne bardzo wązkie i środkową szerszą. Stańmy teraz w którejkolwiek nawie bocznej. Oto w poprzek niej od podnóża ściany do fundamentu kolumnady wewnętrznej, przechodzą cztery progi kamienne. Oczywiście są tu również fundamenty. Za ich pośrednictwem łączy się ze ścianą co drugi krąg, na którym stała kolumna. Pytanie, jakie znaczenie i przeznaczenie mogły mieć te fundamenty poprzeczne? Odpowiedź nasuwa się tylko jedna: budownik nie dowierzał widocznie ścianom glinianym, przeto ciężarowi belkowania podstawił wewnątrz kolumnadę, rozumie się, także

drewnianą, a nadto co drugą jej kolumnę związał ze ścianą poprzecznym przymurkiem, zbudowanym tak samo na kamiennym cokole z niepalonej cegły. Choć tedy nie każdy, to przynajmniej co drugi tram belkowania spoczywał bezpiecznie, podparty na długiej przestrzeni. Boczne obie nawy podzielone więc były na cztery niewielkie nisze, niby kapliczki, dostępne jedynie z nawy środkowej, a przed każdą taką niszą stała wolna kolumna. Później, prawdopodobnie już wtedy, gdy w peristylu otaczającym świątynię przeważna część kolumn była z kamienia, także i wewnętrzne kolumny drewniane ustąpiły miejsca kamiennym. Wówczas oczywiście niepotrzebne już były zgoła poprzeczne przymurki, zajmujące tyle miejsca; zburzono je więc i ślad po nich tylko pozostał, ślad niezmiernie cenny ze względu na historyę powstania wewnętrznej kolumnady w świątyniach greckich. Może który z panów był już albo jeszcze będzie w arkadyjskiej świątyni Apollona w Bassaj pod Figalią; tam dowodnie można się przekonać, iż tego rodzaju poprzeczne ścianki, zakończone kolumnami, nie obce bywały budownictwu helleńskiemu z najświetniejszej nawet epoki.

Na te słowa Dörpfelda p. Stanisław uśmiechnął się do mnie znacząco: namawiam go bowiem nie od dzisiaj na wspólną wycieczkę we dwójkę przez Messenię i Arkadyę do świątyni owej, która ma być istnem arcydziełem i leży w najcudniejszej górskiej okolicy. Właśnie gdzieś w tamtej stronie dalekie szczyty messeńskie czy arkadyjskie płoną teraz różaną zorzą zachodu na tle przeczystych wieczornych meliosów. Z ciemnej gęstwy lasu na zboczach Kronosowego wzgórza, zda się, iż wypełzają mroki nocne i powoli rozwłóczą po całej dolinie Alfeja, przesłaniając Olympię i otulając jej ruiny sinawym całunem.

Niedziela 7 kwietnia.

Wczoraj zapowiedział nam Dörpfeld przyjazd d-ra Karo. Wybitny ten znawca i historyk rzeźby greckiej przyjeżdża umyślnie z Athen, aby mieć dla nas w muzeum wykład o rzeźbach olympijskich. Mamy zatem dzisiaj pod przewodnictwem tak wybornem zwiedzić główną salę muzealną, gdzie są wielkie grupy

posągów, zdobiące niegdyś trójkątne szczyty świątyni Zeusowej, obejrzymy jej słynne metopy a nadewszystko Hermesa Praxitelesowego. To też późno w noc nie gasły światła w naszych pokoikach: rozczytywaliśmy się w ustępach, które Pausanias poświęca tym wszystkim rzeźbom.

Rano mieliśmy już wychodzić do muzeum, gdy nas dole ciały zrazu dalekie, potem zbliżające się coraz bardziej śpiewy chóralne, wysokich, dziecięcych głosów. Pieśń to była kościelna, w uroczystym, byzantyjskim charakterze i szeroko płynęła rozlewnym, przeciągłym rytmem. Śpiew zbliża się i rośnie. Zbiegam na dół; z werandy naszego *xenodochionu* bujnie oplecionej różą jerychońską, widać uszykowane czwórkami gromady dzieci: miarowym krokiem idą po gościńcu naprzemian oddziały chłopców i dziewcząteк, wyśpiewując głośno i czysto. Nasz gospodarz, smagły, zasuszony Greczyn, objaśnia: — »To dzieci szkolne do kościoła idą, bo dziś u nas wielkie święto Panagii Bogarodzicy«. Dochodzimy już do muzeum a śpiew srebrzystych sopranów brzmiał jeszcze za nami coraz ciszej, aż rozpłynął się gdzieś w oddali.

I oto mamy przed sobą rzeźby z obu przyczołów świątyni Zeusowej; dziesiątki posągów ogromnych, o pół większych ponad zwykły wzrost ludzki, ciągną się w długich szeregach u ścian wielkiej sali. Z ich paryjskiego marmuru długowieczna poniewierka zdarła wszelką świetność, pogruchotała im członki, pokaleczyła twarze; stoją tak, żelaznemi podporami podtrzymane i zdają się widmami raczej tego, co było, niźli żywemi dziełami sztuki. Mimo wszystko była w nich ta żywiołowa, młodzieńcza jakaś moc, którą w płody swoje tchnąć umie tylko prawdziwa twórczość. Ale dopiero, w miarę jak wiedza takiego Kara czy Dörpfelda uzupełnia stopniowo to, czego brakuje, objaśnia to, co pozostało, podkreśla szczegóły i odtwarza całość, dopiero wtedy w oczach poczynają się człowiekowi zrastać posągi te zniszczone, aż powstaną w całym dawnym blasku.

Do rzeźb we wschodnim, frontowym przyczole dostarczyło wątku miejscowe podanie olimpijskie o śmiertelnym wyścigu pomiędzy królem Ojnomaosem a Pelopsem. »Obie strony przygotowują się właśnie do gonów — jak powiada Pausanias. — Na środku

przyczoła wyobrażony jest wizerunek Zeusa. Od Zeusa na prawo jest Ojnomaos w hełmie na głowie a przy nim jego żona, Sterope; ona też była jedną z córek Atlasa. Myrtylos, który końmi powoził Ojnomajowi, siedzi przed końmi. Koni jest cztery. Potem przychodzą dwaj mężowie; ci nie mają imion, lecz im także była zdana piecza nad końmi Ojnomaosa. Zupełnie już na końcu leży wyciągnięty Kladeos... Po lewej od Zeusa jest Pelops i Hippodameja i woźnica Pelopsa i zaprząg i dwóch ludzi, widno stajennych Pelopsowych. I znowu tam, gdzie ścieśnia się pole szczytowe, umieszczony jest Alfejos...

Posągi, aczkolwiek uszkodzone, zachowały się co do jednego w liczbie u Pausaniasa podanej. Zdawałoby się, że niema nic łatwiejszego, niż ugrupowanie ich należyte, skoro mamy tak dokładny opis w książce Pausaniasa, w istocie jednak ustawienie tej grupy nastręczało poważne wątpliwości: dość powiedzieć, że istnieje dwadzieścia różnych rozwiązań tej zagadki, począwszy od najdawniejszej próby według pomysłu Curtiusa. Z nowszych układ opracowany przez Treua najwięcej ma zwolenników: ruchy, wyraz i wzajemny stosunek figur najlepiej się w nim tłumaczą; całość kompozycyi nabiera w liniach szczególniejszego rytmu i życia. Treu opiera swój sposób ugrupowania na ścisłem badaniu każdej figury do najdrobniejszych szczegółów i z nieubłaganą logiką wyznacza jej miejsce w przyczole.

Rozmiary szczytowego trójkąta, według obliczeń Dörpfelda, są bardzo znaczne. Podstawa jego, równa bez mała szerokości świątyni, wynosiła 80 stóp greckich (=26.40 m.), wysokość stóp 10 (=3.50 m.), głębokość dochodzić mogła do 3 stóp (=1 m.)

W środku Zeus. Rzeźbiarz nadał mu w stosunku do innych postaci rozmiary nadludzkie. Bóg stoi nagi do pasa, od bioder obciśle owinięty płaszczem, którego rąbek podtrzymuje palcami prawej ręki; lewa, poniżej łokcia przyrzucona końcem draperyi, dzierżyła berło z pozłacanego spiżu. Głowa nie zachowała się wprawdzie, lecz jak świadczą mięśnie szyi, zwrócona była na prawo, ku Pelopsowi na znak łaski, szczęścia i zwycięstwa; odwracała się zaś od pisatyjskiego tyrana. Żaden z przeciwników nie widzi Gromowładcy, który stanął wśród nich oczom śmiertelnym zakryty.

Pelops kształtny i smukły stoi w całym blasku młodzieńczej nagości. Hełmem czubatym głowę osłonił. Znalazły się szczątki tarczy jego krągłej, która zwieszając mu się u lewego łokcia ramię całe zakrywała. W prawicy podniesionej trzymał tuż u grotu włócznię, końcem jej drzewca wsparłszy się o ziemię. Twarz jego młoda, bez zarostu, skłania się ku dołowi, jakby w zadumie i zwraca się ku stojącej przy nim Hippodamei. Niewielkie otwory na jego biodrach i piersi tem jedynie dadzą się wytłumaczyć, że ktoś, może z pobożnych czcicieli, sprawił później bohaterowi zbroję z pozłacanego spiżu, którą dodatkowo przytwierdzono metalowymi kołeczkami. Mógł w tem tkwić artystyczny zamiar, by zbroicą poszerzyć tors Pelopsa młodzieńczy, który nie stanowił dostatecznej przeciwwagi do barczystych kształtów Ojnomaja.

Ten hardo stanął po drugiej stronie Zeusa, w bok prawą dłonią podparł się wyniośle, a w lewej tak samo dzierży włócznię trz poniżej grotu, jak jego przeciwnik. I on też hełmem okrytą ma głowę, a za całe odzienie krótką chlamydę, której końce przerzucone ku przodowi, spadają mu z obu ramion. Dusza rogata wyziera mu z oczu ponuro patrzących przed siebie a z pod rozchylonych warg błyskają zęby, jeszcze bardziej potęgując wyraz okrutnej srogości.

Przy nim Sterope, małżonka jego dostojna stoi, odziana surowym doryckim chitonem. W ciężkich, pustych fałdach, podobnych kanchirom kolumn, spływa jej do nóg staroświecka owa szata, której górny płat zwisa na pierś i schodzi aż do pasa. Majestatycznym ruchem lewej ręki podjęła królowa górny kraj chitonu, podciągając go na ramię; prawicę wyciągnęła naprzód i trzyma w niej może czarę ofiarniczą, z której lać będzie objaty.

Po stronie przeciwnej, za Pelopsem Hippodameja stojąc w zamyśleniu, rękę wstydliwym ruchem podniosła ku szyi a głowę skromnie zwiesiła, jakby zmieszana spojrzeniem oblubieńca. Twarz jej uległa wprawdzie zniszczeniu, lecz w całej postawie przebija się nieśmiałość prostego dziewczęcia. Obu kobiecym postaciom i matki i córki daleko jeszcze do wytwornego typu kobiecego, co rozkwita w dojrzałej sztuce greckiej, zwłaszcza pod ręką mistrzów atheńskich, brak im wykwintnej szlachetności kształtów,

brak czarownego wdzięku, ale jest w nich ujmująca szczerość i naiwna prostota, jest godność i powaga.

Zeus i z obu stron jego stojące dwie owe pary stanowią środkową część grupy. Dalsze miejsca zajmują do jazdy już gotowe zaprzęgi obu przeciwników. Ze spiżu były same wozy, nie dziw przeto, że zniknęły bez śladu. Zostały tylko dwie czwórki rumaków, greckim zwyczajem w jeden rząd zaprzężone. Budową i rysunkiem przypominają one typ koni na czarnofiguralnych wazach dojrzałego stylu. Artysta nie lada miał trudność, by w ciasnocie pomieścić cztery konie, stojące rzędem obok siebie. Wybrnął z tego zadania, przedstawiając tylko skrajnego w pełnej rzeźbie a trzy dalsze w głębi, jak gdyby zlepione razem, wykuł płasko z jednej wspólnej bryły. Woźnice — według opisu Pausaniasa — na ziemi siedzieć mają przed końmi. W układzie Treua, Myrtilos, woźnica Ojnomaosa istotnie usiadł przed swoim zaprzęgiem. Głowę od pana swego ku rumakom odwrócił; rzekłbyś, iż w obawie, by mu król z oczu nie wyczytał zdrady. Niestety cała dolna połowa jego twarzy zniszczała zupełnie; można się jednak domyślać, że patrzył w górę na konie i że ruchem obu rąk podniesionych nieco porządkował lejce, zwisające zwierzętom od pysków.

Inaczej woźnica Pelopsów, którego przewodnik olympijski Pausaniasowi nazwał Killassem. Jego zaprzęg już gotów do biegu, więc nie przed końmi siadł, ale za wozem przykląkł na jedno kolano i czeka dzierżąc wodze w obu garściach; poza nim stajenny pachołek równa jeszcze wyciągnięte rzemienie. Przed końmi natomiast posadził Treu młodego niewolnika, który widno założywszy rumakom wędzidła nie ma już nic do roboty, więc u stóp Hippodamei, przyszłej swojej pani, przysiadł zgarbiony w postawie żywcem wziętej z natury: nogę jedną podwinął pod siebie, drugą skurczył silnie tak, iż kolano prawie dotyka piersi.

Za wozem Ojnomaja dla przeciwwagi z Killasem rozsiadł się na ziemi poważny starzec. Postać to może najżywsza i najgłębiej odczuta w całym tym przyczole. Nagi, od pasa tylko płaszczem okręcony, wsparł na kolanie łokieć a brodę na dłoni, jak gdyby się zadumał ciężko nad ludzką dolą i nad różnem

przeznaczeniem obu tych mężów, co za chwilę ruszą w pęd na śmierć i życie. Łysiejąca czaszka, bruzdami zorane czoło, smutek wijący się koło warg i to spojrzenie, które w przyszłość zdaje się przenikać, nadają wagę niezwykłą temu posągowi. Odgrywa on tu rolę podobną, jak chór w tragedyi greckiej. Kornie zgięta za jego plecami klęczy młoda dzieweczka, snać niewolnica Steropy: głowę zwiesiła, jak gdyby w przeczuciu, że wnet razem z panią przyjdzie jej w żałosny lament uderzyć nad zwłokami króla. W samych narożnikach trójkąta leżą dwie męskie postaci. Mniejsza o to, czy mają to być olympijskie bóstwa rzeczne, Alfejos i Kladeos, jak ich zowie Pausanias, czy tylko widzowie śmiertelni. Całem ciałem wyciągnięci, podnoszą się na łokciach i śledzą przebieg wypadków z ciekawością lecz bez żywszego współczucia.

Jak na wschodnim szczycie naczelne miejsce zajmował Zeus, tak w zachodnim przyczole, ponad opisthodomem, panuje w samym środku wyniosła postać Apollona. W Olympii, słynącej wyrocznią, bóg delficki doznawał czci niepośledniej: wróże i kapłani olympijscy należeli przecie do przesławnego rodu Jamidów, a praojciec ich Jamos miał nawet być Apollona synem z Eadny, córki Posejdona i wychowanicy Ajpyta, władcy arkadyjskiego. VI Olympionika Pindara zawiera śliczny ustęp o narodzinach Jamosa i założeniu przezeń olympijskiej wyroczni. Euadne poczuła się matką:

EPODON.

Nie ukryła przed Ajpytem, chocia mu swój płód
Długo zataiła boski.
On do Pytho brał się jechać, na dnie serca zgniótł
Srogi gniew i żrące troski:
Chciał wyroczni się poradzić w przygodzie takowej
Dziewka tedy odpasała swój pas purpurowy,
Ołożyła srebrny kruż
Pod mrocznymi drzew namioty
Syna rodzić jęła już,
W którym boża wiedza żyje;
W pomoc jej Kędziornozłoty
Możny słał i Elejthyję...

STROFA.

Gdy na światło z jej żywota
Hoży Jamos wyszedł snadnie
Taka zdjęła ją zgryzota,

Że poniechawszy, dziecię na ziem kładnie;
Dwa zielonookie smoki
Pszczół niewinnymi karmiły je soki,
Bo tak uradzili bogowie.
Skoro z Pytho kamienistej król powraca władny,
Wszystkich doma wypytuje o dziecię Euadny
I synem Fojbosa go zowie.

ANTISTROFA.

Dla śmiertelnych że na ziemi
Zeń ma wyróść wróż nielada,
Że na wieki się rozpleni
Jego potomstwo — to król przepowiada...
Nikt nie wiedział o dziecięciu,
Acz urodzone od dni było pięciu.
W sitowiu i chróstach dokoła,
Pod fijołków równiankami na ciałku różanem
Leżał synek — przeto wziętem od fijołków mianem
Odtychczas już matka nań woła.

EPODON.

Nieśmiertelne owo imię!... Skoro już do rąk
Cudna młodość w złotym wianie
Owoc mu swój dała źrały — w pośród kwietnych łąk
Nad Alfeja brzegiem stanie
W noc gwiaździstą Posejdona błaga, swego dziada
I Łucznika co na Delos bogorodnej włada
Cześć by zlali mu na skroń,
Z czego ludziom dobro spłynie.
Głos Rodzica zabrzmiał doń:
— »Pójdź, o synu, za rozkazem
Głosu mego ku dolinie
Wspólnej wszystkim ludom razem!«

STROFA.

I ku stromej przyszli skale,
Kędy pagór jest Kronosów,
Skarb tam wieszczy wziął w udziale
I słuch otwarty dla niemylnych głosów;
Gdy z Alkidów krwi spłodzony
Wsławion trudami przyjdzie Herakles w te strony
Założyć na cześć rodzicowi
Te uroczystości tłumne i wielkie zapasy —
Zasię Jamos przy ołtarzu Zeusa w owe czasy
Wyrocznię tam ustanowi.

Tak za sprawą Apollona powstała wyrocznia w Olympii; należało mu się przeto na głównej świątnicy miejsce bardzo poczestne, tem bardziej, że jest on także władcą wszelkiej harmonii, opiekunem porządku moralnego, stróżem ładu i zgody. Wszelakim ludom zgromadzonym na igrzyska miał on tu przypominać *ekethejrije*, międzynarodowy pokój boży w czasie uroczystości. W tej myśli widocznie przedstawia go zachodni przyczół, jako mściciela pogwałconych praw gościnności, gdy ukazuje się podczas walki Lapitów z Kentaurami.

Na świątyni Zeusa przedmiot ów spotykamy po raz pierwszy rozwinięty w takich rozmiarach; później rzeźba grecka powraca doń wielokrotnie: na Thezejonie, Parthenonie, na figalijskim fryzie.

Myt o potwornych konioludach thessalskiego był pochodzenia. Do Peloponnezu przynieśli go prawdopodobnie Pybijczycy. I w Elidzie nie był on obcy: przedhistoryczny bowiem władca jej Forbas i potomkowie jego Angeas i Aktor wywodzili swój ród od Lapithów. Co więcej epopeja homerycka potrąca nieraz o to podanie, a przygodę, która zażegła waśń między Kentaurami a Lapithami rozniosła po całej Helladzie Odysseja:

Winem spity Eurytion, Kentaur w świecie głośny;
U Pejrithoja w domu szał go uniósł sprośny:
Przybył tam do Lapitów i winem się zalał
Zaraz też w Pejrithoja doma się rozszalał,
Co widząc bohatery skoczyli jak wściekli
I wywlekszy pijaka mieczem mu odsiekli
Nos i uszy . . . . . .
Z tego wojna się wszczęła Kentaurów z Lapithy...

Homer mimochodem potrąca tutaj o podanie pełne dramatycznych rysów. Syn Ixiona, Pejrithoos, władca Lapitów na ślubne gody swoje sprosił mnogie króle i bohatyry. Przybył i Theseus atheński, Pejrithoja druh umiłowany. Z Kentaurami swymi stawił się i Eurytion. Zrazu wszyscy biesiadowali w zgodzie. Zwada wszczęła się dopiero przy puharach.

Kentaury, wonie zwęszywszy wina,
Co słodsze miodu, z nóg mężów ścina,

Białe mleko rękoma
Potrącali ze stoła;
Przyszła na nich oskoma
I pijąc srebrnymi dzbany
Oszołomili się zgoła [1].

Eurytion odurzony, zapłonął nieokiełznaną chucią ku młodej żonie Pejrithoja i rzucił się, by ją porwać i w lasy unieść na grzbiecie; w ślad za nim inni Kentaurowie skoczyli na białegłowy i dziewki lapickie. Wszczął się bój: Lapici z królem swoim i Theseusem na czele wydarli konioludom niewiasty i rozpromienionych napastników precz wygnali.

Tę właśnie chwilę najgwałtowniejszej walki przedstawia zachodni przyczół. Ogromny, wyniosły, sam jeden w zamęcie nieruchomy, stoi w pośrodku Apollo. Nagości jego nie przesłania szata na tył niedbale z bark opadająca. »W dal rażący bóg dzierżył zapewne łuk w lewicy wolno zwieszonej. Oblicze zwrócił na prawo i prawe ramię groźnie wyciągnął, jak gdyby na zagładę skazując gwałcicieli ładu i zgody. Z obu stron, niby z pod opieki boga rwący się do boju, nacierają na Kentaurów Pejrithoos i Theseus. Widno, że obaj nagle skoczyli do broni, opadły z nich bowiem szaty i zsuwają się im z bioder i kolan ku ziemi. Pejrithoos, posłuszny rozkazowi bożej prawicy, mieczem zamierzył się tak potężnie, iż łokieć aż ponad głowę mu sterczy, a w garści lewej, silnie wstecz odchylonej, ściska pochwę. Ostrze miecza już już padnie na łeb Eurytiona. Cios to będzie nie pierwszy: na łysej czaszce Kentaura widać już głębokie cięcie. Ale brodaty koniolud nie zważa na nic, byle unieść Deidameję nowo zaślubioną królowę Lapitów. Pochwycił ją w lubieżne objęcia i przednią końską nogą co sił ją ku sobie garnie. Ona dzielny opór stawia, łokciem odpycha z całej mocy potworny łeb dziwego napastnika, rękoma uwolnić chce od jego dłoni swe biodra i piersi. Po drugiej stronie Apollona Theseus podniósł oburącz nad głową topór ofiarny; jeszcze mgnienie, a spuści go z okrutnym rozmachem na Kentaura, co drugą Lapitkę porywa. W poskoku, przedniemi nogami obłapił ją w pół a ramieniem kibić jej opasał. Dziewczyna wy-

[1] Pindar: Fragmenty.

rywa mu się rozpaczliwie i wyciągniętemi ramiony odpiera go ze wstrętem. W kudłatą brodę i w kręte kędziory na jego skroniach zatopiła palce i targa bez opamiętania.

Te sześć figur i siódmy w pośrodku Apollo, to główna część grupy. Dalej, z obu stron szamocą się konioludy z młodzieńcami, których także pragnęliby porwać. Za Dejdamią Kentaur zwalił się na przednie kolana w zapasach z młodym chłopcem, który snać podczaszego służbę spełniał przy biesiedzie. Młodzieniaszek osunął się był na jedno kolano, lecz na nowo zrywa się z klęczek i uwalniając się z objęć napastnika, zawiesza się nań oburącz gwałtownym ruchem podniesionych ramion. Po stronie przeciwnej młody siłacz Kentaurowi na kark zarzucił krzepką prawicę i przego tak silnie ku ziemi, że aż konny stwór przysiadł na cztery nogi, lecz rozjuszony zęby wściekłe wbił w ramię chłopaka. On strętwiał z bólu i rękę pokąsaną wyrwać chce z paszczęki potworu.

Ku zwężającym się końcom szczytowego trójkąta przesila się walka i przechodzi w pogrom Kentaurów o ziemię powalonych. Jeden beznadziejnym wysiłkiem zatrzymuje dziewkę, a z rąk mu się już niemal wydziera, z tyłu bowiem na pomoc jej przypadł Lapitha: prawą ręką za czub włosów pochwycił Kentaura i głowę przygiął mu na dół, a lewą pod pachę jego zręcznie wśliznął i miecz w piersi mu pogrążył. Tam znowu, drugi młodzieniec, nabytym w palajstrze sposobem, zmaga konioluda: splecione dłonie założył mu na głowę i ciągnie go ku sobie straszliwą mocą; dziwadło leśne runęło na przednie nogi, wsparło się na prawej ręce i tylko jeszcze lewicą poza się wyciągniętą trzyma za włosy klęczącą dziewczynę.

W każdem narożu leżą po dwie niewielkie postaci. Tuż poza plecami walczących stare jakieś wiedźmy podnoszą się z legowisk biesiadnych i wystraszone oczy wlepiły w ten splątany kłąb ciał końskich i ludzkich. Kto one? Jedni widzą w nich matki konioludów z synami przybyłe na ucztę, inni, z większą bodaj słusznością — stare szafarki, niezbędne przy biesiadnym stole. Za niemi, wciśnięte w samych już kątach leżą dziewczęta młode. Miano je za nimfy leśne. Zdaje się jednak, że są to po prostu

Lapitki, co Kentaurom uszedłszy z ukrycia bezpiecznego przyzierają się bitwie. Przemawiałaby za tem odzież ich w nieładzie jeszcze rozchełstana, którą na ramionach starają się pospinać.

Niewiele dzieł greckiego dłuta wywołało tyle sprzecznych sądów, jak te szczytowe rzeźby świątyni Zeusa. Spotyka je zarzut niedbalstwa w wykonaniu; włosy naprzykład bardzo często przedstawiają masę jednolitą podobną do czapki, widocznie bowiem pendzel dopowiadać miał to, czego nie wykończyło dłuto. Pobieżność owa tak dalece jest posunięta, że posągi od strony muru z gruba tylko są wyciosane lub nawet pozostały zupełnie surowe. Rzeźbiarze nie zawsze umieli poradzić sobie z ruchami nazbyt śmiałymi, a trudność rozwiązywali nieraz kosztem anatomicznej prawdy. Błędów i nieudolności można im wytknąć wiele, zwłaszcza w draperyach, które zamiast uwydatniać, przesłaniają ruch i budowę ciała. Grupa w szczycie wschodnim grzeszy poniekąd martwotą i sztywnością: figury jej środkowe stoją przy sobie rzędem, »nakształt kręgli«, jak się wyrażono złośliwie. Za to w przyczole zachodnim wszystko tak się szamoce w dzikiej bijatyce, że nadmiar gwałtownego ruchu graniczy niemal z chaosem, a często przechodzi w nieokrzesaną brutalność.

Zaprzeczyć jednak nie można tym rzeźbom zalet pierwszorzędnych. Śmiałość i nowość pomysłów, acz nie zawsze rozwiązanych szczęśliwie, zmusza do podziwu. Potężna, zuchwała była ta wyobraźnia, która stworzyła owo mnóstwo postaci tak prawdziwych, tak szczerze odczutych i ujęła je w rytm obustronnej symetryi. Nazbyt ogólnikowy charakter wykonania wynagradzała szerokość dekoracyjnego stylu, który nie gardził pomocą środków malarskich. Artyści liczyli się ciągle z widzem, patrzącym z dołu na rzeźby umieszczone w znacznej wysokości, to też lekko zbywali niejeden szczegół, który dziś oglądamy z blizka, razić może brakiem staranności. Rysy podpatrzone żywcem z natury, pełne jędrnego realizmu, stanowią cechę tych dzieł tak zdumiewających. Dosadna charakterystyka Ojnomaosa, starzec poza jego wozem siedzący i z portretową ścisłością przedstawiony, lub chłopiec przed końmi Pelopsa siedzący w postawie tak dziwnie naturalistycznej, to zjawiska w sztuce greckiej niezwykłe. W szczycie

wschodnim zwierzęce postaci Kentaurów, co chwytnym ruchem kopyt garną ku sobie ciała niewieście, albo wspinają się na zadzie szalonym rozpędem, ich twarze tchnące dziką chucią, istoty łyse albo zarosłe czupryną podobną do kudłów na czole byka, ich uszy końskie i cały organizm ich mieszany; to znowu po kątach czające się stare szafarki z piętnem grozy na zwiędłych obliczach — wszystko to świadczy o bogatej fantazyi, zarówno jak o przejęciu się naturą.

Pausanias, idąc za wskazówkami pertegetów olympijskich, przypisuje rzeźby w szczycie wschodnim Pajoniosowi z Mende; w zachodnim — Alkamenesowi. Daty życia tych artystów i styl inne dzieła ich znamionujący, przeciwią się temu twierdzeniu, które też obecnie żadnych prawie nie ma zwolenników. Nie rozwiązano jednak dotychczas pytania, jakiej szkole rzeźbiarskiej przysądzić należy przyczoły olympijskie. Jedni dopatrują się w nich podobieństwa z kierunkiem sztuki argiejskiej, drudzy chcieliby je odnieść do działalności rzeźbiarzy kwitnących na wyspach w połowie V wieku, inni wreszcie usiłują dowieść ich pochodzenia od szkoły attyckiej. Zagadka wszelako pozostała zagadką.

(Dok. nast.)

Lucyan Rydel.

OBJAWIENIE I DOGMAT

W TEOLOGII KATOLICKIEJ A W TEOLOGII MODERNIZMU.

(Ciąg dalszy).

Nieodłączna od ludzkiego poznania krótkość duchowego wzroku i ciasnota umysłowego horyzontu, bywa przyczyną dość pospolitego w świecie myśli zjawiska. Odnosimy nieraz wrażenie, że zupełna prawda nie jest bardzo daleka od wielkiego błędu. Jak fizycznemu oku zbiegają i zlewają się linie dalekich przedmiotów, tak w odleglejszych problemach czy wiedzy czy wiary, gdy mgła oddalenia zasłoni przed okiem duchowem wyraźne kontury fałszu i prawdy, zdają się prawie zbiegać i pokrywać linie przeciwnych sobie teoryi.

Zjawisko to, znane każdemu teologowi z dawnych sporów o Trójcę i Wcielenie, o łaskę i wolną wolę, powtórzyło się świeżo w sporze z modernizmem i to tem bardziej, że modernizm z pełną świadomością rozbił swój obóz na tych właśnie polach różnych gałęzi wiedzy, do których wzrok duchowy nie sięga już z całą jasnością.

Bo nie można powiedzieć inaczej: przynajmniej na niektórych punktach, linie myśli modernizmu zdają się biedz niezbyt daleko od linii prawdy. Tem zresztą tłumaczy się fakt, że mimo bezdenną fałszywość swych doktryn, mimo bezpodstawność swych twierdzeń i wewnętrzną sprzeczność systemu, zdołał on na nie-

jednym umyśle zrobić wrażenie teoryi przynajmniej po części prawdziwej.

Dlatego też i w sposobie zwalczania modernizmu nie uważamy za rzecz wskazaną zestawiać same jego rezultaty z summarycznie naszkicowaną nauką katolicką. Nie przedstawia to oczywiście żadnej trudności nakreślić grubymi, prostolinijnymi rysami kilka elementarnych zasad filozofii lub teologii szkolnej, by potem konkludować. Jest to łatwe, bo kontrast obu systemów ogromny, ale mniej skuteczne, bo pozostaje w umysłach pewna aprehensya, niewykorzeniona przez tego rodzaju argumentacyę, że jednak w tym modernizmie coś dźwięczy nutą szczerości i prawdy.

Zdaje się lepiej prowadzi do celu inna ścieżka lubo mniej prosta i mniej uczęszczana. Lepiej zejść na teren, na którym modernizm powstał i operował, na grunt mniej abstrakcyjnej a bardziej historycznej, a tem samem psychologicznej teologii, by na tym gruncie pokazać, że linie myśli modernistów, chociaż gdzieniegdzie do prawdy zbliżone, przecież zasadniczo od niej się różnią. Na tej drodze i łatwiej zdać sobie sprawę, jak zeszedł modernizm na te smutne manowce i łatwiej się przekonać, że wszystko, co w nim zdaje się dźwięczeć prawdą, jest tylko echem pełnego tonu prawdy brzmiącego w nauce katolickiej.

Pozostając oczywiście w ramach powyżej zakreślonego przedmiotu, spróbujemy na tej drodze rozprawić się po krótce z błędami modernistów.

Zacząć nam wypada od tego punktu, w którym najbardziej rozmijają się z prawdą, od pojęcia objawienia.

»Wy sobie wyobrażacie«, tak mówią do teologów katolickich, »że Bóg objawiający przemówił kiedyś z nieba do ludzi, jak nauczyciel podający im gotową lekcyę. To przecież gruby antropomorfizm, którego myśl współczesna nie zniesie! Bóg nie wkracza z wewnątrz w naturalny bieg światła; objawienie musiało się iścić w głębi dusz ludzkich przez to, że człowiek interpretował coraz doskonalej Boże na duszę działanie«.

Postawmy kwestyę jasno.

Czy istniał kiedykolwiek teolog, któryby brał na swój rachunek wzmiankowany wyżej antropomorfizm — tego nie wiem.

Podobno nie istniał indziej, jak w wyobraźni modernistów [1]. Pytam się jednak: czyż nie są możliwe inne alternatywy? Czy koniecznie stoimy przed dylematem: albo Bóg gdzieś z chmur odzywa' się do ludzi albo, żeby użyć słów Loisy'ego, »objawienie iści się w głębi dusz, pracowitym wysiłkiem myśli ludzkiej«? Przecież pozostaje cały szereg dróg innych, których Bóg różnymi czasy rzeczywiście używał. Czasem, gdy chodziło o dobitne wpojenie ludziom krótkiej a ważnej prawdy słyszany był i głos fizyczny (I. Mojż. 3, 9, 22, 11. I. Król. 3, 4 i nn. Mat. 3, 17. Jan 12, 28 i t. d.); czasem widziane były znaki piśmienne w nadprzyrodzony sposób utworzone (2. Mojż. 31, 18. 32, 16. Dan. 5, 5); kiedyindziej przedstawiały się oczom lub wyobraźni proroka widzialne symbole (Jerem. 1, 11. 13. Am. 7, 8, 9 i t. d.); częściej jeszcze dokonywało się objawienie przez wizyę czystò intelektualną (św. Tom. 2a 2ae q. 173, a. 2) albo przez inne jeszcze dary nadprzyrodzone np. przez charyzmat skrypturystycznego natchnienia [2].

Że tych wszystkich sposobów Bożego na duszę wpływu nie potrafimy całkowicie psychologicznie wytłumaczyć — to pewna. Że im dajemy nazwy przeważnie przenośne, gdy mówimy o »oświeceniu«, »wlaniu« wiedzy, »otwarciu zmysłu« (Łuk. 24, 45) i t p.— to równie niewątpliwe. Mimo to jednak wiemy, że te nadprzyrodzone działania Boże są możliwe; wiemy, że Bóg za ich pośrednictwem potrafi podać człowiekowi prawdę tak, by on ją należycie zrozumiał i wyraził; mamy o tych działaniach Bożych jakieś odległe, analogiczne pojęcie. Dlatego, jeśli modernistom się

[1] Niektóre opisy księgi Rodzaju zdają się nasuwać myśl, że Bóg w tych czasach widzialnie okazywał się patryarchom i fizycznym głosem objawił im swą wolę. Jednakże 1-o zgodne zdanie Ojców i teologów przemawia za tem, że sam Bóg nie ukazywał się nigdy przed wcieleniem w widzialnej postaci, tylko używał do tego aniołów; 2-o nawet i te zjawienia anielskie były zapewne rzadkie. Przeważna część słów Bożych do patryarchów może się rozumieć o słowach wewnętrznych, działających na rozum lub wyobraźnię, co np. wyraźnie zaznacza św. pisarz 15, 1.

[2] Natchnienie skrypturystyczne nie jest zawsze połączone z objawieniem ze względu na samego autora, który rzecz może wiedzieć skąd inąd; księga święta pod natchnieniem spisana, jest zawsze objawionem słowem Bożem dla nas, dlatego wśród sposobów objawienia wymieniamy i charyzmat inspiracyi biblijnej.

zdaje, że te sposoby objawienia obalili zarzutem »mechanizmu«, »antropomorfizmu«, »extrynsecyzmu« i t. p.; jeśli dużo deklamują na temat niemożliwości, by Bóg wlewał gotowe idee, lub w inny sposób podawał ludziom gotową naukę — zarzuty te odrzucamy jako czysto subjektywne uprzedzenia.

Owszem, więcej jeszcze powiedzieć musimy. Musimy powiedzieć, że ich pojęcie objawienia absolutnie nie wystarcza.

Bo w ich pojęciu Bóg żadnem bezpośredniem wkroczeniem z zewnątrz, ani przez swoje słowo, ani przez ten objaw swej mocy, który nazywamy cudem, nie przerywa naturalnego wątku dziejów świata. W ich pojęciu Bóg tylko z wewnątrz, powolnem działaniem na pojedyńcze serca i ludzkość całą, przeprowadza swe plany i objawia swe myśli dopiero w końcowym deseniu przędzy dziejów ludzkości. Modernistom, jednem słowem, podoba się Pan Bóg współczesnej niechrześcijańskiej myśli o wybitnie panteistycznym pokroju, co nie z zewnątrz[1] dźwiga ku sobie człowieka przez objawienie i łaskę, ale z wewnątrz, jakby rodzaj siły żywotnej, pędzi go i prze do rozwoju.

Zapominają jednak, że z tem pojęciem Boga chrześcijańskie objawienie obsolutnie upada. Bo chrześcijanie wierzą wprawdzie, że Bóg działa w każdym człowieku i w całej ludzkości, wierzą z tego powodu, że jest rodzajem objawienia księga dziejów, jak jest rodzajem objawienia sama już księga przyrody — ponadto jednak wierzą i wierzyć muszą, że właściwe, nadprzyro-

[1] Twierdząc, że objawienie chrześcijańskie musi pochodzić z zewnątrz, oczywiście nie mamy na myśli, jak to teologom katolickim podsuwają Laberthonnière i Tyrrell »un dehors local ou spatial«. Zdajemy sobie sprawę, że Bóg niczemu nie jest, ściśle mówiąc, zewnętrzny, bo we wszystkiem jest, wszystko przenika i we wszystkiem działa. Teza zewnętrzności objawienia zawiera trzy twierdzenia: 1-o mówimy, że Bóg objawiający jest bytem swoim istotnie różny od bytu naszego mimo, że w nas jest i pracuje; 2-o mówimy, że poza nami, w czasie i przestrzeni leży ten organ, przez który Bóg do nas przemówił i od którego doszło do nas objawienie drogą ludzkiego świadectwa; 3-o powiadamy, że objawienie jest darem wyłącznie dobroci Bożej, bo niema nic takiego w naszej naturze, coby objawienia koniecznie żądało. Objawienie naturę bardzo dźwiga i udoskonala, ale i bez niego miała wszystko, co było jej koniecznie potrzebne, by żyć właściwem sobie życiem i iść drogą właściwego rozwoju.

dzone objawienie chrześcijańskie było i być musiało tem bezpośredniem wkroczeniem Bożem, którego kilka sposobów opisaliśmy powyżej.

Te sposoby wszakże bynajmniej nie są jedyne. One w dziejach objawienia podrzędne zajmują miejsce i dlatego dotknęliśmy ich tylko mimochodem. Historya świata zna inne wkroczenie Boże, daleko dziwniejsze od wizyi proroczych, od głosów słyszanych z nieba. Objawienie, które tworzy samą treść i główną podstawę naszej wiary, to słowa, które padały z ust ludzkich, ale były najrzeczywiściej słowami Boga. »Jednorodzony Syn, który jest na łonie Ojcowskiem, On opowiedział« (Jan 1, 18). Bóg stał się człowiekiem i z pełnej Bożej wszechwiedzy napełniwszy wiedzą umysł swój ludzki, ludzkimi usty, w ludzkich pojęciach podał światu naukę Bożą. A czego On nie dopowiedział, to po Jego wniebowstąpieniu objawił apostołom, zesłany przezeń Duch święty, który wedle obietnicy miał ich »wprowadzić we wszelką prawdę«. (Jan. 14, 26. 15, 26. 16, 13. Dziej. 2, 4. 1. Piotr. 1, 12).

Tak więc istotnie, nie »od Boga z chmur przemawiającego«, ale od Boga w ludzkiem ciele chodzącego po ziemi, przyjął świat »gotową« naukę objawioną; nie było mowy o jej powolnem tworzeniu w głębi dusz ludzkich »pracowitym wysiłkiem myśli« [1].

I z tem otrzymaliśmy już punkt wyjścia zasadniczo różny od punktu wyjścia modernistów. Po wniebowstąpieniu Chrystusa i śmierci ostatniego z apostołów mamy już złożoną na ziemi, objawioną przez Boga prawdę, prawdę Bożą, lecz przyobleczoną w ludzkie pojęcia i słowa.

---

[1] Nie tajno nam, że moderniści zaprzeczają możliwości rozumowego historyczno-filozoficznego dowodu, że Pan Jezus był w rzeczy samej organem Bożego objawienia. Wydaje się im, że krytyka tekstualna i rzeczowa, potrafi z pod grubych warstw późniejszych naleciałości wydobyć »historycznego« Chrystusa, Chrystusa, który doszedł powoli do samowiedzy messyańskiej, który życie całe spędził w illuzyach co do swej osoby i swego zadania, Chrystusa, który był zwykłym człowiekiem, bez dziewiczego narodzenia, bez zmartwychwstania. Uznając z modernistami, że Boskie posłannictwo Chrystusa powinno istotnie być przedmiotem, nie wiary, ale ścisłego dowodzenia — przeczymy jak najenergiczniej temu, by moderniści jakkolwiek osłabili dowody używane w szkołach katolickich. Rzekome zdobycze ich krytyki Nowego Testamentu są zbiorem czystych fantasmagoryi i sztuczną

To był krok pierwszy, na którym mieliśmy do czynienia z zupełnym fałszem. W dalszym ciągu drogi, gdy idzie o sposób pojęcia prawdy objawionej w pierwszej jej fazie, linia myśli modernizmu robi dość znaczny zakręt ku linii prawdy.

Aż do ostatnich czasów, gdy jeszcze przeważał sposób pojmowania dogmatu czysto abstrakcyjny i objektywny, zajmowano się głównie depozytem wiary samym w sobie, to znaczy pytano, co wchodzi, co nie wchodzi w skład nauki objawionej, co jest, co nie jest z nią w koniecznym związku. Jak wyglądała ta nauka objawiona uważana psychologicznie, na różnych fazach historycznych rozwoju myśli kościelnej — o to troszczono się mało; owszem dosyć łatwo ulegano złudzeniu, że nauka objawiona istniała po wszystkie czasy w świadomości katolickiej, nie tylko całkowicie — to przyznaje każdy wierzący — ale i w tem wykończeniu formy, jakie wyniosła ze szkół średniowiecznych.

Modernizm, nie rozpoczął wprawdzie, ale posunął naprzód badania nad subjektywnymi fazami dogmatu, na różnych szczeblach jego rozwoju.

Na pytanie, jak mógł ten dogmat wyglądać w fazie pierwszej t. j. w chwili, gdy po raz pierwszy przez Chrystusa i apostołów złożony [1] został w sercu Kościoła, na to pytanie odpo

kombinacyą subjektywnych wrażeń. Nie mamy na razie czasu, by zapuszczać się w to rozległe pole, nie możemy jednak nie wyrazić żalu, że tylu katolików da się po prostu tumanić suggestywnym a płytkim biblijnym studyom modernistów. Na autentyczność i historyczność ewangelii, nie wyłączając św. Jana, posiadamy dowody najzupełniej pewne; że Pan Jezus był Bożym do ludzi posłem i Bogiem prawdziwym, że objawienie przyniósł, jego prawdziwość udowodnił, przez założenie nieomylnego Kościoła, wierne przechowanie jego zabezpieczył — to wszystko apologetyka katolicka niezbicie udowodnia.

[1] Trzeba bardzo dobrze rozróżniać dwie fazy dogmatu lubo bezpośrednio po sobie następujące, ale głęboko różne: dogmat w świadomości samych apostołów i dogmat w świadomości Kościoła po-apostolskiego. Apostołowie nie tylko mieli charyzmat nieomylności osobistej, ale mieli pełne poznanie prawdy objawionej, przez Ducha św., w szczególniejszy sposób sobie danego. Stąd w ich myśli mogło jeszcze braknąć teologicznego rozczłonkowania i wykończenia systemu — w tem sami czynili postępy — samo jednak ich poznanie dogmatu było bardzo doskonałe, doskonalsze od wszystkich na

wiadają zgodnie: »Objawienie nie było jeszcze w tej chwili kompleksem abstrakcyjnych zdań, nie było rodzajem małego podręcznika teologii *(une théologie rudimentaire)* ani nawet katechizmu; chrystyanizm był wtedy bardziej ‚żywą rzeczywistością' niż spekulatywną wiedzą; wiara była bardziej przylgnięciem serca do odkupienia danego w Chrystusie, niż aktem zgody rozumowej na jakiś symbol«.

Otóż w tem wszystkiem, lubo w innem znaczeniu niż chcą moderniści, jest spora doza prawdy [1].

Bo ani Pan Jezus ani apostołowie nie opowiadali dobrej nowiny w formie sprecyzowanych zdań dogmatycznych, a tem mniej w formie jakiegoś, choćby elementarnego systemu objawionej prawdy. Sposób nauczania Pana Jezusa dość dokładnie znany z ewangelii; sposób nauczania apostołów znany jeszcze dokładniej i z Dziejów i z ich listów. Otóż w całej tej spuściźnie nie napotkamy a n i n a j e d n ą, krótko, jasno, dobitnie sformułowaną dogmatyczną prawdę, np. że Bóg jest jeden we trzech osobach, że siedem jest sakramentów, że Kościół jest nieomylny, że łaska Boża potrzebną jest do zbawienia i t. p. [2]. Pan Jezus

świecie teologicznych teoryi. K o ś c i ó ł p o - a p o s t o l s k i wprawdzie też nie mógł zbłądzić w zbiorowych aktach lub dekretach papieża — ale n a w e t z b i o r o w o, nie koniecznie posiadał ową pełność apostolskiej wiedzy i doskonałość dogmatycznego poznania. Stąd Kościół, jak naucza sobór Watykański, istotnie czyni postępy w r o z u m o w a n i u objawienia, nie tylko w jego systematyzacyi.

Powtóre zauważyć musimy, że to »złożenie« dogmatu przez apostołów w Kościele dokonywało się częściowo, na różnych miejscach i w różnych czasach. Po śmierci ostatniego apostoła wszakże żyła już w Kościele c a ł a prawda objawiona i to żyła tak, że mogła i musiała zdobyć sobie powszechność, dochodząc we wszystkich pojedynczych Kościołach do jednego niejako poziomu.

[1] W innem znaczeniu — bo u nich te wyrażenia wykluczają zupełnie sam najogólniejszy charakter p r a w d y, a robią z depozytu wiary kompleks czuć i wrażeń. U nas te same wyrażenia nie naruszają charakteru p r a w d y w nauce objawionej, tylko określają sposób jej istnienia w świadomości kościelnej.

[2] Niektórzy teologowie przypuszczają, że Pan Jezus był bardziej systematycznym w tych rozmowach z uczniami, których nam nie przechowały ewangelie. Są tego przekonania, że zwłaszcza po zmartwychwstaniu, gdy

głosi naukę przedewszystkiem moralną, poza którą od czasu do czasu odsłania głębokie tło dogmatyczne; apostołowie w swych kazaniach i katechezach opowiadają przedewszystkiem życie i zmartwychwstanie Pańskie i odpuszczenie grzechów, które jest w imię Jego (Dziej. 10, 36—43) [1].

To też wyznanie wiary, jakiego żądają od pierwszych wiernych, mało co więcej nad tę prawdę zawiera, że Jezus Chrystus jest Synem Bożym, że umarł na krzyżu i powstał z martwych, że wierzącym w Siebie daje grzechów odpuszczenie i żywot wie-

---

ukazywał się apostołom przez dni 40 i opowiadał im o królestwie Bożem, wyraźnie im objawił różne artykuły wiary i instytucye kościelne. »Nam nisi de iis«, pyta trochę naiwnie np. Berti, »quae in ecclesia praecipua sunt ac plurimum necessaria, divinus magister postremis illis diebus sermonem habuit cum apostolis, paulo post ad fidem propagandam profecturis, de qua re putabimus confabulatum?« (*De theol. disc.* l. 30 cp. 8). Tego zapatrywania podzielać nie możemy. Że Pan Jezus w rozmowach nie zachowanych w ewangelii mógł tę i ową prawdę dorzucić — to pewna. Żeby sposób nauczania był inny w tem, co zapisane nie zostało — w to uwierzyć trudno. Bo i czemużby pisarze święci właśnie to byli opuścili, co było powiedziane jasno i systematycznie? Czemużby tych systematycznych pojęć zgoła nie znać było np. w listach apostolskich? Czem wytłumaczyć tę długą pracę odbywającą się w Kościele, nad systematyzowaniem elementarnych nawet rzeczy? I niema co się obawiać, że bez tej dokładnej, prawie szkolnej formy nauczania dogmat uszczerbek ponosi. I Bóstwo Pana Jezusa staje w tem pojęciu rzeczy w pełniejszem świetle, i dogmat się ukazuje w całej pełni swej żywotności i siły.

[1] Uzasadnienie tego krótkiego zdania mogłoby być przedmiotem całego studyum. Co się tyczy nauki Pana Jezusa, zwracamy uwagę np. na dwie najdłuższe ze znanych nam przemowy Chrystusowe: kazanie na górze i mowę w wieczerniku. Co do apostołów, którzy sami już swój urząd pojmowali jako urząd świadków zmartwychwstania (Łuk. 24, 48. Dziej. 1, 22. 4, 33 i t. d.), pierwsze ich kazania są prawie wyłącznie apologią zmartwychwstania (Por. np. Dziej. 2, 14 i nn. 3, 12 i nn. 4, 8 i nn. 10, 34 i nn. 13, 17 i nn. i t. d.), pierwsze ich katechezy były niewątpliwie opowiadaniem życia Chrystusowego dość podobnem temu, jakie się zachowało w ewangeliach synoptycznych (Por. Łuk, 1, 4. tekst grecki). Prócz tego zostawiali apostołowie Kościołom różne moralne przepisy i instrukcye o najważniejszych chrześcijańskich obrzędach. (Por. Żyd. 6, 1. 2.). »Nauka dwunastu apostołów«, która dość wyraźnie chce przedstawić sumę nauki apostolskiej, jest dosyć wiernem odbiciem tego, co bezpośrednio po czasach apostołów całkiem jasno się zawierało w świadomości Kościołów.

czny [1]. Najbliższe tych prawd znaczenie było mniej więcej jasne; na głębszą ich analizę nie pozwalała sama elementarna siła owego potężnego prądu ducha, który te rzeczywistości nadprzyrodzone w świat wprowadził i miejsce w życiu ludzkości wywalczyć im usiłował.

Tak więc depozyt wiary w tem pierwszem swem stadyum istotnie nie był jeszcze systemem twierdzeń teologicznych albo zbiorem przesłanek sylogizmów, do których wystarczyłoby dodać przesłanki mniejsze, by drogą rozumowania nowe prawdy z nich wydobyć. Cóż więc było w zbiorowej świadomości Kościoła? Na czem polegał depozyt objawionej wiary [2].

Było kilka prawd zasadniczych, wyrażonych językiem prostym, ale tak głębokich, że kryły w swem łonie całe działy późniejszej teologii; były w ręku księgi Pisma św. starego i nowego testamentu, a na ich kartach porozrzucane prawdziwe perły dogma-

[1] Jest mnóstwo miejsc bardzo charakterystycznych w Piśmie św. Nowego Testamentu, które pozwalają wnosić, że pierwsze wyznanie wiary ograniczało się bezpośrednio do elementarnych prawd, że Chrystus jest Synem Bożym i zwycięzcą śmierci. Przez uznanie tych prawd wchodziło się już w społeczność chrześcijańskiego życia, w której wnet nasiąknąć miał nowy uczeń całą resztą wierzeń i praktyk chrześcijańskich. Por. Dziej. 8, 35—38. 19, 3—5. Rzym. 10, 8. 9. I. Jan 4, 2. 15. 5, 1. i t. d. i t. d. Zresztą sam Skład apostolski w tej najstarszej swej formie, która sięga początków drugiego wieku, prócz wzmianki o Kościele, odpuszczeniu grzechów, zmartwychwstaniu ciał, nic prawie nie zawiera, tylko wpleciony w dogmat Trójcy, opis życia, zgonu, zmartwychwstania Chrystusowego.

[2] Jest to znów przedmiot całego studyum pokazać sposób, w jaki zawierają się potencyonalnie późniejsze prawdy w pierwotnych danych depozytu wiary. Tak, żeby krótko rzecz tę objaśnić, w słowach: »Tyś jest opoka...« mieści się cała nauka o prymacie i nieomylności papieża; w słowach: »To jest ciało moje«, zawiera się cała teologia eucharystyczna; w formule chrztu, tkwią zasadnicze punkta dogmatu Trójcy; w macierzyństwie Bożem Maryi kryją się wszystkie perły, któremi Kościół przez wieki ozdobił Jej koronę. W praktyce życia kościelnego dane były np. sakramenta, instytucye władz kościelnych i ich sfery działania. W zwyczaju dawania chrztu i małym dzieciom kryło się wyznanie wiary, że sakramenta działają mocą swej własnej dzielności a nie mocą przysposobienia tego, co je przyjmuje. W zwyczaju, że nie powtarzano chrztu danego przez heretyka zawierało się wyznanie wiary, że ważnie administruje sakramenta i niewierny i bezbożny kapłan. W modlitwach kościelnych nadzwyczaj jasno uznawano potrzebę łaski do dobrych uczynków lub Świętych obcowania i t. d. i t. d.

tycznych myśli, które ręka Ojców i teologów miała powoli zebrać, oczyścić, ugrupować; była praktyka pewnych obrzędów i instytucyi, pewnych sposobów postępowania i modlitwy, a w tej praktyce znów się mieściły potencyalnie całe szeregi prawd innych; był nadewszystko w pojedyńczych sercach i całym Kościele ten Duch, co miał wprowadzić Kościół we wszelką prawdę, Duch tak potężny, że pisze do wiernych apostoł miłości: »Nie potrzebujecie aby was kto uczył, bo pomazanie Jego *(unctio)* uczy was o wszystkiem i jest prawdziwe« (I. Jan. 2, 27). Z tym Duchem Bożym który w owych pierwszych czasach wezbranym korytem rozpływa się po Kościele, z tą niesłychaną samowiedzą prawdy i siły, z jaką rzuca rękawicę pogańskiej wiedzy i kulturze, ze swą wzgardą doczesności, a zupełnem skierowaniem ku temu co wieczne, był istotnie chrystyanizm pierwotny raczej żywą rzeczywistością, niż spekulatywną wiedzą. W tym potężnym prądzie duchowym jeszcze nie przyszło było wyraźne zróżniczkowanie na wiedzę i życie. Gdy heretycy żądają dowodów z pisma — »Moje argumenta«, woła św. Ignacy męczennik, »To Jezus, Marya! Moje niepokalane dokumenty, to Jego krzyż i Jego śmierć i Jego zmartwychwstanie, to wiara, która jest przezeń« (Philad. 8, 2). Dopiero z biegiem wieków, pod tchnieniem tego samego Ducha miało się rozwinąć to, pełne niesłychanej żywotności, ziarno chrystyanizmu, miało się zróżniczkować w instytucye, prawa, prawdy i na każdym z tych konarów mnogie wypuścić gałęzie.

Miało się r o z w i n ą ć. Wprowadza nas to pojęcie w doniosłą a trudną kwestyę o fakcie i prawach r o z w o j u d e p o z y t u w i a r y.

Że rozwój dogmatu był zawsze i jest i być musi — to oczywistość, na którą żaden teolog oczu zamknąć już nie może.

W czasie gdy się pisała wspaniała, pomnikowa *Histoire des variations*, Bossuet mógł rzucić w oczy kościołom protestanckim śmiertelny, jak się zdawało, zarzut: Wy nie jesteście w prawdzie, bo się zmieniacie, a prawda jest niezmienna!

Nie minęły dwa wieki, a inny potężny protestantyzmu przeciwnik daleko cięższe i głębiej pomyślane oskarżenie nań wnosił:

Wy nie jesteście w prawdzie, bo prawda musi żyć i rozwijać się, a u was niema rozwoju, tylko rozpadanie się i gnicie!

Dzisiejsza teologia przejmuje się coraz bardziej tym poglądem Newman'a, przejęli się nim bardzo silnie i moderniści. Jeżeli jednak na poprzednim stopniu, gdzie chodziło o pojęcie pierwszej fazy depozytu wiary, mogliśmy im przyznać pewną słuszność — tu musimy skonstatować, że droga ich myśli znów się krzywi i odbiega na manowce.

W teoryi ewolucyi dogmatu błądzi modernizm bardzo grubo, tak co do jej praw i granic, jak i właściwej natury

Opisując poprzednio pierwsze stadyum objawionej nauki w Kościele utrzymaliśmy mimo wszystko dla depozytu wiary charakter, nie czuć i wrażeń ale p r a w d y, czyli innemi słowy, jak samo objawienie, tak jego owoc, depozyt wiary, utrzymaliśmy w sferze intelektualnej. Dlatego też możemy mówić o r o z w o j u dogmatu, nie o jego n a r o d z e n i u.

Modernizm przeciwnie. Z chwilą, gdy przerzucił samo objawienie i depozyt wiary w sferę czuć i wrażeń, musiał przyjąć tę konsekwencyę, że w sferze intelektualnej zdolny jest dogmat rzeczywistego n a r o d z e n i a. Owszem ponieważ objawienie modernistyczne, jak to pokazaliśmy wyżej, nie było zamknięte w Chrystusie i apostołach, ale trwa nadal w ciągu wieków, dogmat modernistów i w tym sensie s i ę r o d z i, że powstaje nie zawsze z tych samych, ale z coraz nowych czuć nadprzyrodzonych przerabianych na rozumowe kategorye.

Głębsza jeszcze jest inna różnica.

Według katolickich, wyżej przedstawionych poglądów, z ust Chrystusa i apostołów usłyszeliśmy prawdę Bożą obleczoną w ludzkie pojęcia i słowa. Jak oddawały tę prawdę Bożą pojęcia i słowa ludzkie? Z pewnością niedoskonale, niezupełnie, ale w i e r n i e. W Chrystusie Panu pełność Bóstwa mieszkająca cieleśnie, w apostołach, dany im przez Chrystusa Duch mądrości, były gwarancyą, że formy ludzkie nie wypaczyły treści Bożej.

U modernistów, głęboko tkwiących w agnostycznych uprzedzeniach uchodzi za dogmat, że rozumowe pojęcie ludzkie, a bardziej jeszcze słowo, może być tylko odległym symbolem niepo-

znawalnej rzeczywistości Bożej, bo absolut nieda się wcisnąć w skończone pojęcia, że skutkiem tego w pojęciu czy formule nie przemawia do nas nigdy bezpośrednio Boża prawda.

To zapatrywanie polega na wielorakiem nieporozumieniu.

Przedewszystkiem, nie jest prawdą, żeby objawienie miało za wyłączny swój przedmiot Boga, czyli absolut. Mogą być i są rzeczywiście przedmiotem objawienia różne rzeczy stworzone np. aniołowie, Matka Najświętsza, Kościół, sakramenta, papież i t. p. [1]. Jest więc conajmniej grubą niedokładnością z tego, że absolut nieda się wcisnąć w pojęcie skończone, wnosić od razu, że wszystkie pojęcia dogmatyczne mają li tylko symboliczną wartość.

Powtóre — co znaczy ten frazes, że absolut nieda się skończonemi pojęciami ogarnąć?

Czy on ma znaczyć, że żadne pojęcie ludzkie nie wyczerpuje całej rzeczywistości zawartej w bycie Bożym? Jeżeli tak, to identycznie to samo głosi teologia katolicka. Owszem ona dodaje ponadto, że żadne zgoła stworzenie, nawet aktem bezpośredniej wizyi intelektualnej, nie wyczerpuje głębin Bożego bytu ona twierdzi, że doskonale poznaje Sam Siebie jeden tylko Bóg.

Czy może powyższem zdaniem chcą nam powiedzieć, że nie mamy pojęć o Bogu intuitywnych czyli bezpośrednich? Ależ i to twierdzi nauka katolicka! Ona szeroko rozwodzi się nad tem, że wszystkie pojęcia nasze zapożyczamy w tem życiu z rzeczy stworzonych, że skutkiem tego poznajemy Boga jedynie drogą analogii i to analogii dość odległej, jaka zachodzi między Nim a stworzeniami Jego ręki. Nauka katolicka twierdzi dalej, że tej analogiczności pojęć naszych o Bogu nawet objawienie nie

---

[1] Dla dokładności musimy tu dodać kilka odróżnień. Bóg 1-o o tyle jest przedmiotem całego objawienia, że każdą objawioną prawdę przyjmuje się dla powagi objawiającego Boga. Bóg jest, jak się mówi w szkole, *obiectum formale* każdego aktu wiary czyli aktu przyjęcia objawienia. Bóg 2-o jest t. zw. *obiectum attributionis* objawienia i wiary, to znaczy, że wszystko co jest objawione, objawione jest dlatego, że do Boga się odnosi. (Tyrrell nie całkiem źle to wyraża, gdy pisze: »Dieu est l'objet matériel et(?) central de notre foi, il est le thème fondamental de la Révélation). Bóg wszakże nie jest, jak powiedzieliśmy wyłącznym przedmiotem *(obiectum materiale)* objawienia i wiary, bo objawiono nam wiele prawd dotyczących i stworzeń·

usuwa, że ją usunie dopiero oglądanie Boga »twarzą w twarz« w świetle wiekuistej chwały [1].

Czy jednak koniecznem następstwem analogiczności pojęć naszych o Bogu ma być to, co zdaje się w gruncie zawierać powyższe zdanie modernistów, że my właściwie nic o Bogu wiedzieć nie możemy?

Tu trzeba nam założyć bardzo stanowczy protest.

Gdybyśmy poznawali samemi niezłożonemi pojęciami, możnaby jeszcze powiedzieć, że, gdzie niema bezpośredniego pojęcia, tam niema i poznania. Lecz u nas poznanie nie kończy się na pojęciu, owszem poznanie w sensie ścisłym zaczyna się dopiero w wyższej, niż pojęcia, kategoryi aktów rozumowych — w sądzie. Stwierdzenie lub zaprzeczenie, które tworzy właściwą istotę sądu, to jest dopiero to, przez co stykamy się prawdziwie z rzeczywistością i nadajemy jej w umyśle intencyonalne czyli myślowe istnienie. Otóż zapomocą sądu kombinując różne, z rzeczy stworzonych zaczerpnięte pojęcia, możemy dojść do pojęć złożonych, które, analogicznie wprawdzie i jakby przez mgłę, ale rzeczywiście dają nam poznać byt absolutny i różne jego przymioty [2].

Jest to z pewnością rodzaj neurastenii umysłowej, bardzo zresztą znamiennej dla modernizmu, dlatego, że nie można widzieć intuitywnie, z grymasem zniechęcenia lub irrytacyi powtarzać sobie, że nic nie wiemy. Najprymitywniejsze zastanowie-

---

[1] Ojawienie daje nam wprawdzie przeróżne wiadomości, do których rozum nie doszedłby nigdy o własnej sile, np. wiadomość o Trójcy, o wcieleniu, łasce i t. d. i przez to samo udoskonala różne nasze pojęcia filozoficzne np. pojęcie osoby, natury, przemiany i t. d. i t. d., ale nie daje nam pojęć całkowicie nowych, tem mniej pojęć intuitywnych, tylko nowe sądy. Wszystkie artykuły wiary w jakiejkolwiek fazie depozytu i są i były i będą wyrażane pojęciami zapożyczonemi z widzialnego świata. Dlatego nawet o poznaniu przez wiarę mówi św. Paweł: »Po części znamy i po części prorokujemy... widzimy przez zwierciadło i w podobieństwie... albowiem przez wiarę chodzimy, nie przez widzenie... Ale gdy przyjdzie co jest doskonałego, wonczas poznam twarzą w twarz, jakom i poznany jest«. 1. Kor. 13, 9—12. II. Kor. 5, 7.

[2] Tak np. pojęcie bytu, skombinowane przez negacyę z pojęciem materyi, posiłkowane pojęciami życia, siły, poznania, woli i t. d. daje nam złożone (urobione) pojęcie ducha. Pojęcie bytu skombinowane przez negacyę z pojęciem szczegółowych form istnienia ograniczających byt

nie nam powie, że coś poznajemy gdy twierdzimy, że Bóg jest wieczny, nieskończony, jeden we trzech osobach i t. d. Zdrowy i silny umysł będzie pracował nad tem, żeby przez różne dalsze kombinacye i porównania pojęć, zakres tego, co wiemy rozszerzyć i kontury tej wiedzy wyraźniej zakreślić [1]. Modernistom podoba się i tem dają dowód dziwnej słabości umysłowej — od tej częściowej wiedzy odwrócić się z niechęcią, i nazwać ją czystym symbolizmem a zwrócić się do czuć i wrażeń. Daremnie o tem rozmyślać *quand viendra le parfait*, darmo apelować do mistyków, darmo przystrajać *spleen* intelektualny w piękne pozory wzgardy dla rzeczy i pojęć doczesnych a zamiłowania tego, co wieczne. Zdrowy umysł liczy się z tem co ma i tem, co ma, operuje. Już zaś jest faktem, że o rzeczach Bożych mamy i mieć będziemy w tem życiu pojęcia li tylko analogiczne, więc z tem trzeba nam się liczyć i tem w miarę sił operować. Że zaś ta operacya pojęciami wplecionemi w objawienie nie jest i nie była w rozwoju depozytu wiary czczą zabawką, to zaraz pokażemy.

Wprzód jednak trzeba nam rozebrać inny jeszcze błąd modernizmu, mianowicie jego pogląd na stosunek objawionej prawdy do innych części ludzkiej wiedzy.

Dok. nast.

Ks. Jan Rostworowski.

---

do pewnych rodzajów i gatunków, zmienia nam się w pojęcie bytu absolutnego czyli nieskończonego. Pojęcie trwania, skombinowane przez negacyę z pojęciem zmiany i z wykluczeniem pojęcia zastoju, daje nam jakąkolwiek ideę wieczności. Pojęcie osobnika ludzkiego, wzmocnione pojęciem absolutnej niezawisłości bytu i negacyą zupełnej identyczności z naturą, daje nam jakiekolwiek pojęcie Bożej osoby i t. d. i t. d.

[1] Wymownym przykładem, jak można, wbrew dzisiejszym antymetafizycznym uprzedzeniom, czasem rozszerzyć a zawsze sprecyzować pojęcia przez ich porównanie i kombinacyę, jest św. Tomasz z Akwinu. Wierny swojej zasadzie, że »cenniejszy jest mały postęp w rzeczach wielkich, niż wielki w rzeczach małych«, cierpliwie, krok za krokiem obrabia i wydoskonala to trochę, co nam o Bogu wiadomo — aż dochodzi do wyników, zwykle bardzo głębokich, a prawie zawsze bardzo jasnych. Ta metoda, pełna zdrowia i siły, jest formalną antytezą modernizmu. Nic dziwnego, że św. Tomasz jest w takiej u modernistów pogardzie.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z historyi sztuki.

Dr. Stanisław Tomkowicz: »Wawel« — Graf Wilczek: »Meine Ansichten über Konserwierung und Restaurirung alter Kunstwerke«.

Wielkie dzieło o Wawelu dr. Stanisława Tomkowicza [1] opuściło prasę. Dawno oczekiwana publikacya spełniła pokładane nadzieje i dała pełny i niezmiernie ciekawy obraz historyczny rezydencyi królów polskich. Część druga znakomitego dzieła przedstawia dzieje budowy z epoki Odrodzenia i baroku i wreszcie opowiada o smutnych losach, jakie przechodził zamek od XVII wieku po chwilę obecną.

Przedziwnym był ów, zbudowany przez Zygmunta Starego, królewski pałac na Wawelu. Stawiał go król dla siebie i dynastów swoich, więc musiał być godnym wielkiego państwa, godnym potężnego władcy. I rzeczywiście zbudował Zygmunt pałac najpiękniejszy, jaki renesans stworzył na północy. Dumnym był z niego król, naród cały podziwiał, a obcy rymowane hymny uwielbienia na jego cześć pisali.

Zygmunt I od wczesnej młodości szczerze był zamiłowany w sztukach pięknych. Już jako królewicz, bawiąc na dworze węgierskim w Budzyniu, chętnie przebywał z artystami i już wówczas nosił się z myślą przeszczepienia renesansu do ukochanego Krakowa. On to

[1] Stanisław Tomkowicz: »Wawel«. Teka Grona konserwatorów Galicyi zachodniej. Tom IV. Część II, w wielkiej ósemce, str. XVII i 217—468. »Atlas planów, widoków i zdjęć architektonicznych« Król. folio. Tablic 74, K. nl. 3. Kraków 1908.

sprowadził włoskiego architektę i rzeźbiarza szkoły lombardzkiej imieniem Franciszka na Wawel i wspólnie z matką uczcił pamięć zmarłego Olbrachta renesansowym monumentem w katedrze; a potem wspólnie z królem Aleksandrem zbudował dla ukochanej matki Elżbiety pierwszy gmach renesansowy na Wawelu. Skoro po śmierci króla Aleksandra zajął tron polski, jął się niezwłocznie przerabiać i przyozdabiać stare gmachy. Przybył wtedy do Polski drugi Franciszek zwany Lori albo della Lora, mistrz niepośledniej miary, Toskańczyk, wykształcony na wzorach rozkwitłego renesansu florenckiego. Był to mistrz niezwykle wytwornego smaku, który umiał pogodzić w swojem dziele styl florencko-rzymskich pałaców z potrzebami lokalnej natury i warunkami klimatycznymi. Zakreślił wielki jednolity plan zamku o czterech skrzydłach ze wspaniałym dziedzińcem obwiedzionym wiszącymi na słupach galeryami, piętrzącymi się jedne na drugich i obiegającymi rytmicznie cały dziedziniec.

Przepiękna budowa jest pomysłem szczerego artyzmu i niezwykłego polotu z cechą oryginalności. Formy pałacu wawelskiego zdradzają tylko dalekie pokrewieństwo z Cancellerią Bramantego. Już nieco bliższe z pałacem Piccolomini w Pienzy Rosselina dziełem, które znów skopiowaniem było pałacu florenckiego Rucellai, stawianego także przez Rosselina, lecz według pomysłu Albertiego. Lori umiera w r. 1516 i zostawia wprawdzie pałac niedokończony, w znacznej jednak już części gmachy stały pod dachem i były zamieszkane. Wesele Zygmunta I z Boną w r. 1518, odbyło się w nowym pałacu. Jego trzy skrzydła były wtedy gotowe i z przepychem wewnątrz urządzone. Czwarte skrzydło było zaczęte.

Na Wawelu tymczasem pojawił się nowy rzeźbiarz i architekt równie Toskańczyk, któremu król zlecił był wybudowanie kaplicy Zygmuntowskiej, nazywał się Bartłomiej Berrecci. Początkowo nie był on naczelnym kierownikiem budowy zamkowej, zadanie jego ograniczało się na razie do robót kamieniarskich, do rzeźbienia marmurów i węgarów kamiennych. Mistrzem architektem, który kierował dalszą budową pomysłu Loriego był polski artysta Benedykt Sandomierzanin. Od początku r. 1524 pozostaje on przez szereg lat na żołdzie królewskim, ciągnie dalej budowę pałacu, stawia wieże i mury obronne. Z końcem r. 1529 ginie nagle wszelka wiadomość o Benedykcie, — zapewno umarł. Odtąd zdaje się, że główną rolę artystyczną przy dalszej budowie zamku odgrywa Berrecci, buduje jego południowe skrzydło. W roku 1534 stawia Berrecci rzeźbiony, kamienny portal

zewnętrzny sieni pałacowej i rzeźbi do niego kamienne kartusze z herbami królewskimi, tudzież posągi kamienne, które niegdyś zdobiły galeryę pierwszego piętra, a potem zniknęły bez śladu. Kiedy w połowie października 1536 r. wielki pożar na zamku zrujnował wielką część jego, wtedy Berrecci objął kierownictwo odbudowy, acz nie na długo, bo już 1 czerwca 1537 r. zginął z ręki mściwego Włocha. Po nim sterem robót kierował Mikołaj Castilione, którego następcami byli potem kolejno inni jeszcze Włosi. Teraz największą staranność i uwagę zwrócił król ku wewnętrznym urządzeniom komnat zamkowych, ku podniesieniu świetności zewnętrznego wyglądu. Mrowiło się na zamku od artystów-dekoratorów: Włochów, Niemców i Polaków. Malarze, a z nich najwybitniejszy Hans Dürer malują i złocą bogate fryzy ścienne i polichromują wspaniałe pułapy, rzeźbione kominki i odrzwia. Ściany krużganków okryły się również barwną polichromią, na której tle rysowały się ninie śmigłe kolumny i przepyszna koronka misternej rzeźby kamiennej. I myślał Zygmunt, że zbudował dla siebie i narodu najwspanialszy widomy pomnik swej chwały i potęgi, i z pewnością nie przeczuł strasznych kataklizmów, które przyjść miały i dopuszczeń Bożych, które groźnie zawisły na długie wieki nad państwem i nad Wawelem.

Panowania Zygmunta Augusta i Batorego przeminęły dla dziejów zamku bez donioślejszego znaczenia. Pożary wielkie zamku w r. 1595 za Zygmunta III, zniszczyły skrzydła północne i wschodnie aż po lubrankę i były przyczyną nowej przebudowy, tudzież wprowadzenia na zamek nowego stylu: Baroka. Restauracya Zygmunta III pod kierunkiem architektów Jana Trevano i Jana Babtisti Petrino, zmieniły do pewnego stopnia zewnętrzną fizyognomię zamku. Duże barokowe wieże miały odtąd flankować północne skrzydło. W miejsce kolorowej w deseń układanej dachówki Zygmuntowskiej, pokryto dachy czerwoną miedzią, która z czasem w szmaragdową zieleń przemienić się musiała. Wnętrza komnat uległy gwałtownej przemianie: ściany wykładano czerwonym marmurem chęcińskim, kamienne węgary odrzwi wymieniano na marmurowe z herbem Wazów, na pokojach budowano to olbrzymie kominki z różnobarwnych polerowanych marmurów, to znów z kafli sprowadzanych z Łowicza. W miejsce pułapów snycerskiej roboty przyszły sufity gładkie oramione listwami, lub sklepienia ozdobione wspaniałą bogatą sztukateryą i malowidłami sprowadzanemi przeważnie z Wenecyi. W odnowionej szacie zamek przedstawiał się tak wspaniale, tak błyszczała pompatyczność i świetność baroka, że

współcześni, patrząc nań w zachwycie, chwalili Zygmunta III, że uczynił zamek wspanialszym niż był poprzednio. Ludziom baroka nie wystarczał już idealizm renesansu, subtelność rysunku i koloryzacya uwydatniająca formę. Pragnienie zbytku i silnych wrażeń plastycznych stało się ich potrzebą; oko ich domagało się wrażeń silnych, kontrastów świateł i cieniów mocnych, materyałów błyszczących i barwnych, marmurów polerowanych i różnokolorowych, alabastrów, masy złota, gzemsów o potężnym wyskoku i splotów ornamentu, kwiatów i owoców zamaszyście wypukłych.

Z chwilą kiedy rezydencya królewska przeniosła się do Warszawy, poczyna się wolny upadek zamku świetności. Wojny szwedzkie, pożary, pustki w skarbcu królewskim, wszystko to staje się groźnem dla jego istnienia. Naprawy funduszami zbyt skromnymi i przeprowadzonymi przez podrzędnych budowniczych i przedsiębiorców były jedynie półśrodkami, które nie zaradzały radykalnie złemu. Najstraszniejszym ciosem dla budowy Zygmuntowskiej był najazd szwedzki z r. 1702. Wojska Karola XII po zwycięstwie pod Kliszowem zajęły Wawel i urządziwszy lazaret, lekkomyślnie rozkładały ognie na drewnianych posadzkach pokojów, wówczas to płomieniem zajął się gmach i pogorzał cały. Widok był straszny, opalone mury sterczały popękane od żaru, rozpadłe świeciły pustką, ruderą. Ocalały jedynie dolne sklepione izby i część skrzydła wschodniego, gdzie była sala poselska. Z tej ruiny zamek nie dźwignął się już nigdy całkowicie, czasy były nad miarę smutne i położenie rozpaczliwe. Województwo krakowskie i sejmiki prowincyonalne napróżno wołały o pomoc. Dopiero sejm grodzieński wyznaczył dwie roczne raty po 30.000 złp. na odbudowę dachu. Zajął się restauracyą, ograniczoną do najbardziej nieuniknionych zabiegów, biskup krakowski Szaniawski i dzięki jego energii i zasiłków z własnej szkatuły zamek ubezpieczony został od kompletnej ruiny. Niejakie, bardzo nieznaczne naprawy zamku miały jeszcze miejsce za panowania Jana Sobieskiego i Stanisława Augusta. Z chwilą rozbiorów Polski zaczęła się dla zamku epoka koszarowo-szpitalna, która bez mała objęła wiek cały.

Smutnym epizodem, który był zarazem oburzającym aktem wandalizmu, był pobyt załogi pruskiej na Wawelu (r. 1794). Żołdactwo pruskie i pruscy urzędnicy nie tylko włamali się do skarbca, zrabowali klejnoty i insygnia koronne, ale nadto plądrowali po całym zamku, złupili wszystkie sprzęty, szarpali obicia ze ścian, wyłamywali lustra,

drzwi, okna... i dzięki tej łupieżczej gospodarce zamienili pałac w pustkowie.

Rządy austryackie zadecydowały w r. 1809 zamianę pałacu wawelskiego na koszary. Było to wyrokiem śmierci dla starej rezydencyi monarszej. Motywem tej degradacyi był obok celów praktycznych, wojskowych, zamiar złamania wszelkich patryotycznych nadziei, usunięcia z przed oczu narodu widomego symbolu dawnej królewskości, dawnego bytu politycznego. Niszczono wszystko, co jeszcze ocalało, a tynkiem pokryto resztę ozdób i marmurów. Z siedziby królów zrobiono z całą rozwagą i planem istny grób pobielony! Fasady zmieniły swój wyraz, wydarto rzeźbione węgary okien weneckich i przemurowano na szczupłe otwory okienne. Zasługą pozytywną, aczkolwiek mimowolną było obmurowanie galeryi celem wzmocnienia arkad. W ten sposób dochowały się do naszych czasów, utopione w nowych murach zwietrzałe kolumny i przeźrocze balustrady.

W dalszym ciągu dr. Tomkowicz opowiada dzieje zakupna zamku na rzecz kraju, ofiarowania na rezydencyę cesarską i rekonstrukcyi kosztem kraju, Kasy Oszczędności m. Krakowa i prywatnej szkatuły cesarskiej. Dzieło dr. Tomkowicza posiada iście charakter pomnikowy, jest owocem długoletniej, mozolnej i wytężającej pracy i talentu. Wspaniały atlas i liczne doskonałe ryciny w tekście są materyałem ilustracyjnym pierwszorzędnego znaczenia. Dla historyi sztuki w Polsce przybywa jedno z najważniejszych ogniw, bo rzecz dziwna, zamek prawie, że nie posiadał swoich monografistów, były tylko rozprawy w małym zakresie raczej przypadkowe, niżeli systematyczne. To też konstrukcya historyczna wymagała ogromnego nakładu pracy, aby na podstawie obfitego, a dotąd niezbadanego materyału, wyprowadzić wnioski i związać je w całość. Tak więc dr. St. Tomkowicz istotnie nie zawiódł nadziei i dał nam pełne treści wielkie studyum o przeszłości Wawelu.

Skoro już mówiliśmy o Wawelu, jego przeszłości i przyszłości, nasuwa się na myśl sprawa zasad, jego restauracyi. W Wiedniu pojawiła się ciekawa broszura hr. Wilczka [1], która właśnie zajmuje się rozwiązaniem tego pytania. Asumpt do jej napisania dał odczyt francuskiego uczonego p. André Halays p. t.: *La Défense des monuments du passé.* Rzecz nie nowa, że na ruinach starej kultury nowa obiera

[1] Graf Wilczek: *Meine Ansichten über Konservierung und Restaurirung alter Kunstwerke.* Wien 1908, w 16, str. 23 z ilustracyami.

swoje podłoże, wznoszą się nowe gmachy, nowe pomniki sztuki i kultury. Wykopaliska Schliemanowskie dały nam tego najpełniejszy obraz. Perikles, zanim wzniósł nowe gmachy Aten, nieubłaganym był dla przeszłości. Takiemi były i następne wieki. Dopiero renesans, pogłębiając naukę starożytności, szanuje i konserwuje pomniki klasyczne. Na dworze papieskim najwięksi mistrze Odrodzenia dorabiają zagubione członki posągów greckich. Rozwój myśli renesansowej przenosi się z biegiem czasu na późniejsze style. W epoce XVIII w. zdumiewa oko dziwaczne amatorstwo budowli antycznych. Później przychodzi zamiłowanie do gotyku i innych stylów historycznych. Puryfikacya stylowa, która przyniosła tyle szkody pomnikom, w ostatecznym rezultacie doprowadziła do nowego pojęcia o zadaniach konserwatorskich i utrwalenia zasady, że nie mamy prawa do przeobrażania spuścizny przeszłości na modłę naszych pojęć, ale nieskażone naszemi poprawkami winniśmy dzieło sztuki przekazać potomnym.

Hr. Wilczek rzuca pytanie wywołane odczytem p. Halays: Czy dzieło sztuki nieszczęśliwym przypadkiem, umyślnem zepsuciem lub zębem czasu nadwyrężone, należy uzupełniać lub restaurować? Tu rozchodzą się zapatrywania. Hr. Wilczek nie godzi się na głoszone przez p. H. opinie. Po ich omówieniu konkluduje, że naszym obowiązkiem jest nie tylko odziedziczone stare zabytki sztuki w tym stanie, jak je obecna generacya przejęła oddać potomności, ale nadto winniśmy rozpadające się pomniki środkami zapobiegawczymi uchronić od grożącej zagłady. To jest zasada. W jakich zaś granicach ma być konserwacya przeprowadzononą, aby zabytek nie zatracił swego charakteru, swej wartości pomnikowej, rozstrzygnięcie należy do najtrudniejszych zadań konserwatorskich. Pomyślne rozwiązanie zawisło tutaj od znajomości rzeczy, sumienności i zręczności czynników współdziałających. Jakżeż bowiem niesłychanie trudno zrestaurować w ten sposób, aby patyna wieków nie doznała naruszenia. Tylko ludziom małej wiedzy wydaje się ta rzecz niezmiernie łatwą i w imię tej łatwości niszczą najciekawsze pomniki starożytne. Ozdoby ich porównuje hr. Wilczek do szminki, którą fryzyer farbuje policzki, usta i włosy sędziwego starca.

Francuski propagator idei »restaurować to znaczy burzyć« i jego zwolennicy idą tak daleko w swej manii antyrestauracyjnej, że wołają: »Każdy kamień wstawiony w stary mur jest fałszem«. Ba, gdyby przynajmniej powiedzieli nieuniknionem kłamstwem! Entuzyazm antyrestauracyjny wywodzi więc swój

rodowód z prawdy historycznej — ale zapomniał o jutrze. Jeżeli w słonecznym Egipcie setki wieków patrzy z piramid i obelisk, a na klasycznej ziemi greckiej czy włoskiej wielkie ruiny opierają się wiekom, to zasługa faktu leży w odmiennym klimacie i w odporniejszym materyale na wpływy atmosferyczne. W naszych warunkach klimatycznych, i w naszem otoczeniu pomnik pozostawiony sobie, bez opieki, znika w krótkim czasie z powierzchni ojczystej ziemi, pozostaje *tabula rasa*. Rzućmy tylko nieuprzedzonem okiem na nasze ruiny zamków: Lanckorony, Rytra, Przemyśla i tylu, tylu innych. Pozostało zaledwo wspomnienie o nich lub kupa rumowiska. Rozważając tę sprawę nasuwa się inna kwestya, a jest nią zadanie nowoczesnego restauratora, aby ten był rzeczywiście artystą, aby rozumiał, umiał poznać i połączyć świeży materyał budowlany w taki harmonijny i jednolity sposób ze starym, żeby nie przyniósł szkody patynie wieków, ale by gra kolorów i formy symfonicznie spływała się z całością. Rozwiązanie takiego zadania, jak słusznie powiada hr. Wilczek, wymaga najsubtelniejszego odczucia, godnego prawdziwego artysty.

Dodajmy, że podkładem najnowszego prądu idącego z Francyi jest nie tyle prawda historyczna, nieszminkowana czystość stylowa, co dążność do zachowania malowniczości, jaką posiada każda ruina. Zatem nie jest to nic innego, jak współczesny egoizm, pragnienie aby za każdą cenę, choćby kosztem zniszczenia i zagłady delektować się można było krótkotrwałem istnieniem malowniczości ruiny. W imię idei, że obowiązkiem naszym jest i będzie spuściznę przeszłości przekazać potomnym, o ile można w całości, walczyć musimy z nowym niezdrowym objawem przeczulenia.

Leonard Lepszy.

Stromata in honorem Casimiri Morawski. Cracoviae MCMVIII. (Księga jubileuszowa ku uczczeniu 30 letniej pracy prof. Kazimierza Morawskiego) str. 231 + 13 tablic światłodrukowych.

Piękny to zwyczaj, a nauki godny, bo z wielką dla niej jest korzyścią — ku czci uczonych mężów-jubilatów wydawać wspólnemi siłami uczone księgi pamiątkowe. Miła to rzecz dla samego jubilata wtedy zwłaszcza, kiedy księga jubileuszowa zawiera wartościowe prace z tej dziedziny, w której jubilat dorobił się sławy uczonego i wielkie położył zasługi. Bo leży w tem poza głębiej ukrytą chęcią solidaryzowania się z uczonym w jego umiłowanym przedmiocie, z jego kierunkiem naukowym, poglądem i metodą, także szczery a wyraźny

dowód uznania, hołdu i życzliwości. A jeśli nadto wydawcami takiej księgi są uczniowie jubilata, albo dawni uczniowie, a dziś koledzy na katedrach profesorskich, to doprawdy radości mistrza-jubilata już niczego nie dostaje — ta księga jest dlań nagrodą sowitą za wszystkie mozoły i trudy nauczycielskie, bo niezbicie świadczy o tem, że praca jego nie tylko nie poszła na marne, ale rychło wydała plon obfity.

Stromata są właśnie tego rodzaju księgą jubileuszową. Jak już sama nazwa wskazuje, treść jej jest bardzo urozmaicona. Złożyły się na nią i prace kolegów prof. Morawskiego i byłych uczniów, a dziś kolegów, profesorów uniwersytetu lwowskiego i Jagiellońskiego, a wreszcie prace obecnych uczniów jubilata. Mamy tam 15 drobnych prac z filologii klasycznej i humanistyki, oraz 11 rozprawek archeologicznych, objaśnionych światłodrukami na 13 tablicach. Dzieląc szkice dokładniej, możemy je ugrupować według siedmiu działów. Do działu literatury greckiej zaliczyć można przekład Homera Iliady p. II, w. 1—483, pióra p. W. Ogrodzińskiego (str. 155), pracę prof. L. Sternbacha: *De Gregorio Nazianzeno Homeri interprete* (str. 163—178), w której uczony autor, a przyszły wydawca dzieł Grzegorza z Nazyanzu, daje kilka próbek, jak Grzegorz znał i rozumiał Homera, wreszcie rozprawkę p. M. Parnesa: »Ajschylos w świetle krytyki Arystofanesa« (str. 115—133), pisaną z niemałym talentem, stylem szumnym, *grandiloquo saepe usque ad vitium*, bez należnego jednak pogłębienia rzeczy, bez uzasadnienia wielu śmiałych poglądów i bez ścisłości naukowej.

Z literatury rzymskiej klasycznej i późniejszej mamy prace: p. G. Przychockiego: *Observationes Ovidianae* (str. 13—24), prof. Miodońskiego: *Ad Flori epitomam* (str. 179—184), p. J. Sajdaka: *Apparatus Pseudocyprianei supplementum* (str. 1—12) i rozprawkę p. I. Ziemskiego: *De Romae epithetis quaestiuncula* (st. 37—42). W pierwszej bada autor stosunek erotyków Owidyusza do nowej komedyi attyckiej i wykazuje rzeczywiste pokrewieństwo myśli w trzech elegiach Owidyusza z wierszami Plauta, Terencyusza i Lucyana. Autor broni zdania, według którego Owidyusz drogą kryptomnezy naśladował raczej poetów greckich niż rzymskich naśladowców Menandra.

Prof. Miodoński przytacza do dawniej już opracowanych nowe dowody na to, że Florus pisał historyę za Hadryana cesarza.

Pan J. Sajdak porównywa Pseudo-Cypryanowy traktat: *De duodecim abusivis saeculi* z kodeksu krakowskiego (wiek XIV) z lekcyami kodeksu G, wydanego przez G. Hartla. Ta ważna dla krytyki Cy-

pryańskiego tekstu praca świadczy chlubnie o nabytej w ocenianiu rękopisów wprawie i zamiłowaniu do sumiennych a poważnych badań naukowych.

Pan J. Ziemski zebrał krótko przydomki, jakie Rzymianie, zwłaszcza poeci epoki augustowskiej, nadawali Rzymowi.

Z nagrobków rzymskich pozbierał p. S. Skimina przydomki i pochwały niewiast rzymskich i podaje ich zbiór obfity w rozprawce p. t.: *Quaenam virtutes mulieribus in carminibus latinis epigraphicis tribuantur?* (str. 25—36).

Charakterystycznem jest, jak to widać z okresów czasu, w których te napisy powstawały, że najstarsze epitafia odznaczały się wielką zwięzłością, prostotą i szczerością, że uogólniały zalety niewiast albo akcentowały te cnoty i przymioty, które w danym okresie należały do rzadkości, więc np. *suum maritum corde dilexit sub, domum servavit, lanam fecit* i t. p. Im więcej szerzyło się zepsucie obyczajów, tem częściej pisano pochwały tym żonom, które miłości i wierności małżeńskiej dochowywały. Czytamy więc napisy: *sobria, casta, simplex... dedita coniugi soli suo... conubii decus egregium... casta pudica pudens exemplum fidei coniugis atquedecus* i t. d.

A kiedy za rozwiązłością obyczajów poczęły szerzyć się rozwody, tak iż, według słów Seneki, szlachetnego i sławnego rodu Rzymianki już nie według konsulów, ale według mężów, co rok zmienianych liczyły lata nie dziw, że między pochwałami cnót niewieścich na pierwszem miejscu czytamy: *univira, uno contenta marito, uni devota marito* i t. p.

Rzadkością było w owych czasach, iżby żona pomagała mężowi w uprawie roli, większym nadto wyjątkiem było posłuszeństwo mężowi, to też pochwał za uległość ledwie się doczytasz. Jeden taki napis, chwalący chrześcijankę za liczne cnoty, a zwłaszcza za posłuszeństwo, kończy się słowy: ustąpcie już pochwały dawne i wszystkie małżonki; żaden czas nie wyda kobiety, któraby to, co ta czyniła.

Z innych epitetów dawanych kobietom, zasługują na wzmiankę nazwy: bóstwo domowe, życie, nadzieja; oddana świątyniom i przyjaciółkom bogów, męża nad siebie przenosząca, a Rzym nad męża i i. Szczególne pochwały, zwłaszcza w lekkomyślnej epoce cesarstwa, oddają mężowie żonom, które szczerze miłowały dzieci i starały się o ich wychowanie oraz tym, które niewolników otaczały opieką lub były dla nich wzorem pracowitości.

Nie brak też pochwał dla skromnych pobożnych dziewic, dla

córek oddających się pilnie naukom, trzymających się zdala od zgiełku i gwaru — stąd za chlubę dziewicy uważano przydomek *domiseda* i t. p.

Prof. Rozwadowski w rozprawce *Thracograeca* prowadzi nas w dziedzinę językoznawstwa, tłumacząc słoworód gór Hemu i Skardu oraz rzek Jantru i Hebru na obszarze trackogreckim.

Nowołacińską poezyą zajmuje się praca prof. Creizenacha: *De Abrahami Fransi comoedia* — i wykazuje, że komedya *Victoria* tego pisarza, zawisła jest także od utworu włoskiego komedyografa Ludw. Pasqualigi: *Il Fedele.*

Dwie prace poświęcono humanistyce polskiej: prof. Miodoński, przyszły wydawca poezyi Kallimacha, podaje w *Inedita cura Philippi Callimachi* (str. 185) dwie elegie tegoż humanisty, opatrzone aparatem krytycznym i uczonym komentarzem. Trzy wiersze Kallimacha, dotąd niewydane: *Ad sodales, De passere Fanniae, Ad Fanniam Suentocham* — umieszcza p. L. Piotrowicz z krótką przedmową pod nagłówkiem: *Philippi Callimachi carminum ineditorum particula* (str. 43).

Wpływ autorów klasycznych na literaturę polską badają i uzasadniają pp. Ogrodziński i Skimina. Pierwszy w rozprawce p. t.: Przyczynki do znajomości autorów klasycznych w Polsce w XVI i XVII wieku (str. 135) widzi ślady wpływu Antygony Sofoklesa i Herodota na dwa ustępy »Odprawy posłów« Kochanowskiego, nadto uważa »Siloret« Wacława Potockiego za zawisły od W. ks. 10. Metamorfoz Apulejusza.

Drugi, naszem zdaniem, mniej szczęśliwie, w rozprawce: »Echa klasyczne w Panu Tadeuszu« (str. 149) upatruje w kilku wierszach Metamorfoz Owidyusza, coś więcej nad blade i z natury porównania lub obrazu wynikające podobieństwa do niektórych ustępów w »Panu Tadeuszu«. Pomijając już oryginalność, pogłębienie w ujęciu i przedstawieniu rzeczy, pochodzące z nadzwyczajnego daru obserwacyi i rodzimą cechę genialnych opisów (np. Polowania, Matecznika i t. d.) naszego króla-wieszcza, wobec których najlepsze ustępy Owidyusza są tem, czem złoto sztuczne wobec szczerego, — tego rodzaju wyszukiwanie podobieństw, zwłaszcza w jednozwrotowych porównaniach, uważamy za psychologicznie nieuzasadnione. Powiedzieć tu można co najwyżej, że Mickiewicz, znając klasyków, naśladował ich chętnie w tem, że brał za ich wzorem narzucające się porównania z natury. Byłoby jednak z ujmą dla wieszcza tej miary co Mickiewicz, dowodzić, że wyrażając podobne jak Owidyusz porównania, miał wtedy w pa-

mięci blade obrazy Owidyusza, choćby owo wspomnienie było tylko kryptomnezą. Że nasz Adam znał wybornie klasyków, że tłumaczył szczęśliwie i przetapiał na polskie złoto Horacego, Wirgilego, Pindara, ustępy z Owidyusza, że miał zamiar spolszczyć w całości Metamorfozy Nazona, że w Lozannie na katedrze łacińskiej ku zadowoleniu i zadziwieniu Szwajcarów wykładał Katulla, Plauta, Terencyusza, Horacego, Juwenala, Prudencyusza o tem nowe, ciekawe rzeczy przynosi piękna rozprawka prof. Kallenbacha p. t. »Filologia Adama Mickiewicza« (str. 223). Uczony autor omawia tu działalność nauczycielską Mickiewicza w Kownie, źródła jakiemi się posługiwał, temata do egzaminu nauczycielskiego Adama, całość ilustrując próbkami przekładu poety z Horacego, Owidyusza i Pindara.

Następuje z kolei do omówienia 11 rozprawek archeologicznych, w których uczniowie seminaryum archeologicznego, prowadzonego przez prof. Bieńkowskiego, oceniają wiek kilkunastu zabytków w muzeum Czartoryskich przechowywanych, objaśniając znaczenie rzeźb na figurach i szkołę, która te zabytki wydała.

Poprzedza te szkice historya zbiorów, znajdujących się w muzeum, pióra prof. Bieńkowskiego.

Pan G. Przychocki dodaje nadto rozprawkę o torsie Minerwy, nie należącym do zbiorów muzeum Cz.—Przypuszczając, że te specyalne studya archeologiczne nie obudziłyby w sz. czytelnikach *Przeglądu* głębszego zainteresowania, poprzestaję na tej wzmiance.

Oto w krótkości podana treść księgi jubileuszowej. Treść rozmaita, jak rozmaita jest działalność znakomitego uczonego, pedagoga, pisarza i obywatela. Co więcej, prawie każda z tych tak specyalnych prac ma swoją bliższą lub dalszą analogię, a często i wzór w rozlicznych rozprawach jubilata, pisanych w języku łacińskim, polskim i niemieckim. Cenią je polscy uczeni wysoko, słyną też one zagranicą. Dowodem tego niech będzie głos znakomitego filologa monachijskiego Karola Weymana, który tak pisze o prof. Morawskim w berlińskiej *Wochenschrift für klassische Philologie* (nr. 23, str. 625 r. 1908). Nie chcąc osłabiać w tłumaczeniu szczerych pochwał, podajemy je w oryginale: »Seit nunmehr 30 Jahren entfaltet Professor Casimir von Morawski, der feine Latinist und hervorragende Kenner der römischen (insbesondere der kaiserlichen) Literatur an der Jagellonischen Hochschule, deren Geschichte er geschrieben hat, eine erfolgreiche Lehrtätigkeit. Weder »— aner«, noch »— ist«, allem Cliquenwesen und aller Reklame abhold, bescheiden bis zur aüsseren Ver-

leugnung seines Geburtsadels und — ein bekenntnistrener Katholik, hat er sich die Sympathie seiner Schüler und Kollegen in so hohem Grade erworben, dass diese seine akademischen tricemnalia nicht vorübergehen lassen wollten, ohne ihren Gefühlen nach Gelehrtenart Ausdruck zu geben«.

Ks. I. Nowakowski.

Ogród fraszek. *Wacław z Potoka Potocki.* Wydanie zupełne Aleksandra Brücknera we Lwowie 1907. T. I, XXXII + 586. T. II, XXVI + 549.

Zapowiadany i oczekiwany z zaciekawieniem »Ogród Fraszek« Wacława Potockiego pojawił się w wydaniu prof. Brücknera. Dla miłośników dawnej literatury polskiej, zwłaszcza dla tych, którzy, przez literaturę chcą przypatrzyć się lepiej epoce ówczesnej, uciecha wielka. »Ogród Fraszek« to istotnie nieprzebrana kopalnia wiadomości i świadectwo o tem, jak na pewnem terytoryum geograficznem, w pewnej epoce chronologicznej i w zakresie pewnej warstwy społecznej żył, myślał, czuł, cieszył się i żartował, smucił się i płakał dawny Polak. Z zachwytem też patrzy na to dzieło jego wydawca i komentator, z entuzyazmem niemal o niem się wyraża, przenosząc je nad wszystkie inne utwory Potockiego (jak samego poetę nad wszystkich jemu współczesnych), a sam rodzaj literacki fraszek wynosząc na czoło dawnej literatury polskiej, jako jej »najpiękniejsze i najbardziej swojskie, rodzime karty« (II, 450). Nie szczędził też trudu i pracy, sam wydawca i jego pomocnicy, aby to *specimen* literackie wyprawić w świat godnie, stosownie do jego wartości i znaczenia.

Czy te »Fraszki« znajdą dzisiaj wśród ogółu takie przyjęcie, jak np. onego czasu wśród przyjaciół poety, jak dzisiaj u ich wydawcy? Zdaje się, że chyba nie, że czasy ich wziętości minęły, że poza kołem (szczupłem) historyków, nie rozszerzą się, przynajmniej w chwili obecnej. W rozważaniu tej kwestyi nasuwają się poglądy na fraszki Potockiego stykające się na wielu punktach z poglądami prof. Brücknera, ale też na wielu, i to zasadniczych, od tamtego sądu odbiegające.

»Kto się weń wczyta, przezwycięży wszelkie trudności łatwo« (II, 478). »Kto ma zmysł historyczności, kogo pociągają dawni ludzie i dzieje, z lubością »Ogród« odczytywać, po zwalczeniu pierwszych trudności coraz chętniej do sympatycznej, głębokiej, poważnej treści, pełnej przytem żartów i przymówek, wracać będzie, jasną wizyą tych czasów i stosunków dziwnych, tego całego z martwych wskrzeszonego

świata staroszlacheckiego, się przejmie« (II, 448). Te poglądy zdają się być nieco optymistycznymi. Pomimo komentarza wydawcy, ogólnego (t. II, od str. 447) i szczegółowego (od str. 483). »Fraszki« Potockiego są i długi czas będą ogółowi za mało przystępne. Są one, mimo swej typowości polskiej, tak ściśle związane z pewnym czasem, z pewnemi miejscowościami i osobami, tak często są i tak bardzo nieraz aktualne, momentalne, dotykają takich drobiazgów ówczesnego życia prywatnego i publicznego, że trzeba wyjątkowej po prostu erudycyi w tej dziedzinie, aby je czytać i rozumieć z łatwością i z przyjemnością. Zwykła, przeciętna nasza znajomość świata staropolskiego tu nie wystarcza; na każdym kroku czytelnik o te trudności się rozbija, tak, że wkońcu lektura »Fraszek« staje się męczącą, a przez to oczywiście piękno i powab utworów nie stają się nam od razu zrozumiałymi i widocznymi. Zbyt wiele pracy czytelnik przechodzi, tak, że w chwili, w której wreszcie z fraszką się dostatecznie zżył i oswoił, jest już zbyt zmęczony.

Oczywiście wielbiciel poety może tu powiedzieć, że to wina czytelnika nie poety; że czytelnik winien się wznieść do poety, przenieść w jego epokę, wżyć w jego psychologię; że zjawisko historyczne musimy przecież brać historycznie. Zarzut zupełnie słuszny, ale też na razie nie dotykamy jeszcze bezwzględnej i względnej wartości »Ogrodu«; notujemy tylko, że tak, jak rzeczy dzisiaj się mają, »Fraszki« Potockiego na rozszerzenie się, na znajomość, o popularności już nie mówiąc, liczyć nie mogą.

Przypuśćmy teraz, że ów czytelnik wszystkie trudności pokonał, że więc faktyczna, materyalna strona »Fraszek« nie przedstawia dlań już niepewności i niejasności. To jednak i wtedy wyłonią się przed nim nowe szkopuły. Przeczytajmy większą nieco partyę »Ogrodu« i zwróćmy się potem do innego z autorów ówczesnych polskich. Jakże inaczej czytać będziemy Paska, Fredrę, Kochanowskiego, Morsztyna! A przecież, żeby ich zrozumieć i odczuć, również trzeba pewnej znajomości Polski wieku siedemnastego, również trzeba pewnego przygotowania, i również potrzeba niejednokrotnie komentarza. Widocznie poza tą stroną czysto rzeczową, poza realiami, jest jeszcze jakiś inny powód tego faktu, że Potockiego trudniej nam sobie przyswoić, aniżeli tamtych.

Jest to mianowicie artystyczna strona »Ogrodu«; artyzm zaś uważamy tu tak pod względem psychologicznym (dzieło jako odbicie

ducha twórcy), jak i pod względem technicznym (część formalna utworu).

»Wstaje przed nami obraz poważnego myśliciela, nie filozofa z zawodu, unikającego owszem każdą abstrakcyę (tak), co doświadczonym, wprawnym okiem ocenia ludzi i ich pobudki. Zrównoważony, wytrawny sąd jego, chociaż nie odsłoni ci wprawdzie żadnych finezyi psychologicznych, chociaż odwróci się dekadent czy nadczłowiek od tej banalnej obserwacyi; żywotna treść tych uwag, nieraz bardzo dowcipnych, odsłaniających znawstwo natury ludzkiej niepospolite, wolnych od wszelkiej hipokryzyi, ascezy zbytniej, nie obwijających niczego w bawełnę, uważnego czytelnika zawsze pociągać będzie«. Tak określa (w t. II, na str. 466—467) wydawca psychologię Potockiego, twórcy »Fraszek«. W tem określeniu jednak nastąpiło może małe pomieszanie różnych rzeczy: charakteru i umysłu, piękności duszy z jej głębokością i siłą. Piękności charakteru Potockiego, tak jak się on ku nam wyłania z »Ogrodu Fraszek«, przeczyć nikt nie będzie. Mamy do czynienia z człowiekiem niewątpliwie sympatycznym[1]. Ale ten fakt jest nam dość obojętny. My chcielibyśmy z »Fraszek« wyczytać, jakim był ich twórca, jako umysł i jako twórca. Nie chcemy wcale »finezyi« psychologicznych; chcemy tylko, obcując z duchem twórcy, aby ten duch czemkolwiek wzniósł się nad powszednią banalność, nad zwykłą linię. Otóż tego u Potockiego niema. Jest on typem bardzo a bardzo zwyczajnej przeciętności. Że ma wiele rozsądku, wiele zdrowego rozumu, wiele nauki praktycznej życia, płynącej z doświadczenia, dużo znajomości natury ludzkiej: to prawda, ale to jeszcze ponad zwykły poziom go nie wznosi. I znowu zaznaczmy,

[1] Chociaż i tu możnaby porobić pewne zastrzeżenia, co do sympatyczności mianowicie. Potocki jest nawet na swoją epokę zbyt rubaszny (w gorszem znaczeniu tego wyrazu). Prof. Brückner na tę stronę »Fraszek« silnie przymyka oczy; usprawiedliwia tem, że one »są rubaszne, jak cały wiek i otoczenie, są śmieszne, są prostackie, lecz nigdy śliskie, nigdy zmysłom nie schlebiają« (II, 472) Otóż, że nie są tak lubieżne, jak wiersze Morsztynowe, to prawda. Ale za to jakież są grube, plugawe, odrażające! Rej w »Figlikach« jest od Potockiego pod tym względem delikatniejszy. A jeżeli się mówi, że takim był cały ów wiek, to godzi się przypomnieć, że nie jest takim Pasek, nie jest takim Kochowski, tak zbliżony do Potockiego skalą i rodzajem życia, zajęć i t. p. Prostota u Potockiego zbyt często wyradza się w prostactwo. Nikt nie żąda od Potockiego salonowości klasyków z początku XIX wieku, ale ta doza sarmatyzmu, którą nas »Fraszki« raczą, jest trochę za silna.

że nie robimy z tego powodu zarzutów Potockiemu. Bierzemy go takim, jakim jest, i takim go badamy. Ale biorąc takim, jakim jest, nie przypisujmy mu atrybutów, na których mu schodziło, nie stawiajmy na wysokości, której nie dorósł. Czytając »Fraszki«, nie możemy ani na chwilę zapomnieć, że rozmawiamy z człowiekiem bardzo zwyczajnym.

Teraz znowu, co do czysto artystycznej strony »Fraszek«, co do ich formy, to tu wydawca »Ogrodu«, zaznacza wprawdzie jednostajność formy, która »razi i wadzi« (II, 468) i »szyk słów, nieraz zupełnie łaciński« (II, 469 — na tej samej stronie czytamy: »język przepyszny, tok staropolski«), ale też na tych wytknięciach poprzestaje, chwaląc za to energię i malowniczość języka, którą jeszcze wzmacniają liczne przysłowia, obrazy, przenośnie, nie wyblakłe, szkolne, lecz oryginalne i własne poety (str. 470); jest Potocki mistrzem języka polskiego, który wedle swej woli nagina, »zbogaca język, wydobywa z niego wszelkie możliwe tony — prócz pieszczonych wdzięczących się i przymilających; sarmacki to język, spiżowy, marsowy, poważny, a mimo to giętki i bogaty nadzwyczaj« (str. 470 – 471). Trzeba być bardzo zakochanym w Potockim, żeby w nim to wszystko widzieć, a równocześnie nie widzieć faktów, bardzo silnie przeważających szalę w przeciwną stronę. Mianowicie, jeżeli chodzi o formę w obszerniejszem znaczeniu: o wybór tematu, jego rozkład i układ, ugrupowanie części odpowiednie, uwydatnienie momentu najważniejszego i podporządkowanie temuż rzeczy mniej ważnych, o dobre opowiadanie faktu, o dowcipne opowiadanie facecyi czy anegdoty (dowcipne = żeby moment, skupiający w sobie cały dowcip, był odpowiednio uwydatniony), o bystre ułożenie epigramatu: tego wszystkiego Potocki przeważnie nie umie. Na sto jego fraszek kilka ledwie się znajdzie, któreby tym wymaganiom odpowiadały. A nie są to przecież wymagania przesadzone; nie jest to wykroczeniem przeciwko historycznemu traktowaniu rzeczy historycznych, gwałtownem naciąganiem do dzisiejszych naszych pojęć; są to przecież przymioty dzieła literackiego istotne i powszechne, niezależne od czasu i od miejsca; tak samo koniecznie w w. XX, jak XVII, jak V, żeby dzieło mogło się pod tym względem nazwać dobrem i pięknem. Jakże daleko odbiegliśmy z Potockim od mistrza polskich fraszek, od Kochanowskiego, a jak zbliżyliśmy się do »Figlików« Reja! Ani też język Potockiego nie zdaje się być tak pierwszorzędnym; jest to zwykły język siedemnastego wieku, więc od dzisiejszego żywszy, plastyczniejszy i naturalniejszy, ale np. z językiem

Reja równać się nie może, a zdaje mi się, że i Pasek w lepszych partyach »Pamiętników« chyba Potockiego przewyższa.

Tak mi się przedstawia psychologiczna i artystyczna wartość »Ogrodu«. Być może, że jest to wyobrażenie, przesadne w kierunku ujemnym, ale do takiego doprowadziło mię dokładne i usilne rozczytywanie się w tem dziele. Dotychczasowe studya prof. Brücknera o poecie obudziły wielkie nadzieje i wielką ciekawość na »Fraszki«; w stosunku do tych nadziei samo dzieło sprawiło pewien zawód.

Teraz dopiero, po załatwieniu się z kwestyami artyzmu, można spokojnie oceniać, co w »Ogrodzie« jest ciekawem i zajmującem, co daje mu tyle wartości i znaczenia. Nie forma, gorsza, ale treść. Tutaj istotnie Potocki nie ma sobie równego w dawniejszej poezyi polskiej, góruje nad wszystkimi współczesnymi. Tutaj najzupełniej można się zgodzić na wywody i określenia prof. Brücknera. Nie można sobie wyobrazić lepszego i pełniejszego świadectwa historycznego o Polsce XVII wieku, naturalnie w pewnym zakresie t. zn. w ograniczeniu, do pewnego terytorum, do pewnej warstwy społecznej i w ograniczeniu do zwykłego codziennego życia. Tutaj Potocki ukaże nam zwykłego szlachcica polskiego tej epoki we wszelkich możliwych sytuacyach życia codziennego, pokaże nam wszystkie jego codzienne myśli, pragnienia, uczucia, przedstawi nam wszystko, co go mogło zajmować i interesować, co cieszyć i smucić, cały zakres jego skromnego życia duchowego i fizycznego. Jako zwierciadło, jako odbicie swej epoki, »Ogród« ma znaczenie pierwszorzędne. I dlatego jego wydanie powitać należy z wielką radością, i życzyć sobie należy, abyśmy częściej mogli się cieszyć podobnemi wydawnictwami. Korzystać z nich będzie historyk umysłowości i kultury ówczesnej Polski. Korzystać będzie historyk literatury. Z »Ogrodu« zaś w szczególności korzystać może bardzo folklorysta: jakież mnóstwo opowiadań, facecyi, dowcipów, które dziś krążą wśród ludu, znajdujemy u Potockiego; do historyi naszej literatury tradycyonalnej »Ogród Fraszek« będzie na długo źródłem bardzo ważnem i wybitnem.

St. Dobrzycki.

Z piśmiennictw obcych.

Z belletrystyki angielskiej.

»Mid the thick arrows« by Max Pemberton. II vol. — »Sheaves« by E. F. Benson. II vol. — »Interplay« by Beatrice Harraden. II vol.

Jedna z tak częstych w literaturze angielskiej historyi bezwiednej bigamii, niezbyt moralna w tendencyi, czasem niedorzeczna w budowie, ale napisana z życiem i czytająca się z wielkiem zajęciem. Syn i dziedzic wielkiego fabrykanta stali, młody, piękny i dobry milioner Quentin Cawd poślubił panienkę z wysokiego ale zubożałego rodu. Lady Aline kocha go bardzo ale za przykładem matki i innych kobiet swojej sfery tonie w wirze światowym, topiąc w nim równocześnie kwiat swego domowego szczęścia. Tutaj pytanie: czy ten »wesoły świat« londyński, który obecni powieściopisarze tak stereotypowo opisują jedni po drugich (wypisując może j e d n i z d r u g i c h), może być istotnie tak w czambuł wzięty i w czambuł potępiony? Zbyt przywykliśmy u nas do tego rodzaju gremialnych sądów, aby im na ślepo dowierzać u drugich. Trudno np. dać wiarę, aby oszukiwanie przy grze i systematyczne ogrywanie panienek przez starsze osoby było na porządku dziennym wśród dam angielskich! Gabinety ich pono, ich budoary w starych historycznych zamkach zamieniają się wieczorami a raczej nocami w istne szulernie, do których płeć męska niema przystępu a przy tych damskich stolikach różnice gry liczą się na setki funtów, to jest na nasze tysiące. Uderza też w powieściach ostatnich lat brak ducha religijnego, którym się odznaczały jeszcze niedawno. Gonitwa za zabawą lub zyskiem, a czasem za zabawą i zyskiem zapełnia życie »wesołej« koteryi; u kobiet uczciwych miłość dla męża i dzieci zostaje w sercu ale nie śmie, z obawy śmieszności, wystąpić na pierwszy plan. Nie dziw, że w romansie p. Pembertona młody anglikański mnich O. Dominik zakłada w środku eleganckiej dzielnicy dom misyjny »dla nawracania bogatych«. Koncept jest niezły ale sądząc z powieści, nie bardzo obfity w wawrzyny. Mężczyźni pono mniej przedstawiają pola a raczej mniejszą potrzebę katechizacyi. Quentin Caird w *Mid the thick arrows* jest człowiekiem myślącym, sumiennym, tęskniącym za życiem rodzinnem a nie śmiącym narzucić go żonie, aby nie być oskarżonym o wyrywanie jej z przyrodzonego środowiska. Odczuwa wszakże, że świat wchodzi klinem pomiędzy niego a Alicyę

a odczuwa tem boleśniej, że prócz świata inny, gorszy klin w jego życie się wbija. Przed dziesięciu laty, gdy przed odziedziczeniem milionów, jako młodziutki chłopiec wędrował po Ameryce, zawarł był tamże nieoględny ślub z piękną Kreolką, która wnet porzuciła go dla teatru czy dla cyrku. Odtąd o niej nie słyszał do chwili, w której odebrał oficyalny dokument amerykańskiego konsulatu donoszący o jej tragicznej śmierci. Tysiące osób a między nimi dwóch znajomych Anglików widziało, jak Izabela Montanes, tańcząca pod nazwą »pięknej Esmeraldy«, spadła z ogromnej wysokości na twardą arenę, współczesne dzienniki przez dni kilka opłakiwały jej zgon. Quentin nie pytał więcej; przed zawarciem drugiego związku nie taił się z przeszłością, aliści teraz zdało mu się dwa razy rozpoznać twarz dawnej żony. Istotnie obawa okazuje się uzasadnioną; Izabela skorzystawszy z doznanego wypadku i fałszywej wieści o swojej śmierci, kazała wykraść dokumenta z biura konsularnego i posłała je mężowi, aby raz na zawsze pozbyć się możliwego z jego strony zbliżenia. Wiedziała, że jest bogatym, ale nie pożądała jego złota. Raz »na wozie« a raz »pod wozem« — pragnęła tylko wolności. Obecnie też nie pojmuje rozpaczliwego niepokoju Quentina; według niej ślub ich przestał być ważnym, skoro oboje zgodzili się na rozstanie. Inaczej się ma z Alicyą, inaczej z opinią świata, inaczej zwłaszcza z sumieniem Quentina. Ten, nie wiedząc gdzie obowiązek, rzuca się w objęcia O. Dominika; odbywa z nim rodzaj rekolekcyi, z których wychodzi z silnie wytkniętym kierunkiem: obowiązek jego jest przy pierwszej żonie; drugi związek nieważny. Rzecz byłaby prosta, gdyby autor nie był przeciwnego zdania i malując nam nieszczęście niewinnie cierpiącej Alicyi, zdał się mniemać, że właśnie opuszczenie jej było złem, wynikłem z przesadnych idei fanatyka. Nam bardzo prozaicznie wydaje się, że anglikański mnich miał słuszność. I on wszakże i Quentin burzący się pod twardem prawem mogli się wpierw byli przekonać czy owe pierwsze małżeństwo było legalnie zawarte.

Drugi tom zajęty jest opisem fałszywej pozycyi opuszczonej małżonki, złośliwości jednych, a obojętności drugich a zbytniej galanteryi trzecich, pragnących z jej rzekomej wolności skorzystać. O. Dominik próbował i ją posłać na rekollekcye do anglikańskiego klasztoru, ale Alicya zbudziwszy zakonnice przybyciem w automobilu w porę gdy już wszystkie spały, wytrzymuje zaledwie dzień jeden i czem prędzej do miasta powraca. Autor chcąc zyskać sympatyę czytelnika dla swej głównej postaci niewieściej powinien był przedstawić ją choć trochę

odmiennie. Alicya zaś to dobre i uczciwe dziecko o ptasim mózgu, na wskroś światowe, zajęte przeważnie sobą, nie dojrzewające ani nie uszlachetnione cierpieniem. Bardziej zajmującą już i mniej banalną wydaje się pierwsza żona, mniemająca, że oddała wolność mężowi, nie dbająca o jego bogactwa, ofiarująca mu nawet dla uproszczenia sytuacyi formalny rozwód, którego Quentin nie chce — nie wiadomo dobrze dlaczego — chyba na to, aby dać autorowi sposobność nakreślenia dwóch charakterystycznych rozdziałów: jeden z opisem straszliwej dzielnicy chińskiej w San Francisco a drugi — amerykańsko-hiszpańskiej idylli zakończonej dramatem, wśród którego Izabela, prześladowana przez dawnego oszalałego kochanka, umiera w samą porę, aby całą sytuacyę wygładzić. Czytelnikowi żal trochę Quentina, że powraca do dziecinnej żony, jej marnotrawnego brata, jej zwaryowanej matki i równie eleganckiej jak niesmacznej zgrai znajomych. Ale to jego rzecz. Wśród owej zgrai uderzającym jest jeszcze opis panien na wydaniu, zapraszających na własną rękę znajomych obojga płci na śniadanka w restauracyach lub podwieczorki w cukierniach, gdzie młodzi ludzie spijają ich szampan, zjadają pasztety, palą papierosy ale o poślubieniu ich ani pomyślą... i mają słuszność.

Rodzina Bensonów, których nie należy mięszać z Amerykanką tego nazwiska pisującą w *Revue des deux Mondes*, wydała trzech braci zaszczytnie znanych w literaturze angielskiej. Najmłodszy z nich ks. Robert Hugh Benson zasłynął w całym czytającym świecie swemi dziełami o polemiczno-katolickim typie, prostując szeregiem historycznych, znakomitych powieści fakta, które fanatyzm innowierczy skoszlawił i w fałszywem świetle pamięci ludzkiej przekazał. Starszy od ks. Roberta E. F. Benson jest mniej głębokim; z pism jego nie znać, aby był katolikiem. Odznacza je wszakże wielki wdzięk i czystość. Obecna powieść jest istną dla umysłu ochłodą. Tytuł może zapowiada więcej lub co innego niż się w treści znajduje; ma bowiem przedstawiać »Snopy«, zbierane z weselem przez tych, którzy siali ze łzami. W powieści zaś widzimy tylko wesele — jest wprawdzie mowa o łzach w przeszłości, ale autor nam ich nie ukazał. Te łzy były wylane przez piękną Edytę w ciągu szeregu lat nieszczęśliwego zamężcia; wtedy to »siała« wiernem spełnianiem ciężkich obowiązków i dzielnem znoszeniem męczarni, którym zgon męża nareszcie koniec położył. Edyta wyszła z ogniowej próby w 40 roku życia, jeszcze piękna bardzo, z całym niewyczerpanym zapasem młodości, którą dotąd nieszczęście

tłumiło, z umysłem żywym, głębokim i bardzo gorącem, a niewykochanem sercem. Taka jak jest wzbudza miłość w sercu przemiłego chłopca, który bez mała mógłby być jej synem, a którego uwielbienie dla niej wzrasta jeszcze, gdy się dowiaduje, iż autorem sztuki, która wstrząsa całym Londynem jest ona sama, ukryta pod męskim pseudonimem. Edyta odpłaca mu się równie gorącem, a może i gorętszem uczuciem — jest w niem bowiem i coś macierzyńskiego, pewien odcień rzewności, ślicznie przez autora skreślony. Daremnie siostra jej, która na Hugona patrzała niemal jako na rówieśnika swych dzieci przestrzega ją przed szaleństwem podobnego związku — choćby przez samą litość dla chłopca — ślub odbywa się cicho i po nim następują dni niezamąconej jasności. Pod słonecznym wpływem Edyty wszystkie zdolności i zalety Hugona rozwijają się, jego niezwykły głos i talent muzyczny udziela się światu i otacza go chwałą. On zaś patrząc w nią wciąż, jako w gwiazdę przewodnią nie przestaje czuć własnej, nieokreślonej niższości.

Edyta przestała pisać, bo serce jej opanowało umysł; jest nad wyraz szczęśliwą, zwłaszcza od chwili, gdy pierwsze swe dziecię mogła złożyć w objęcia młodego małżonka. Czuje się wszakże znużoną tą jego młodością; ciągła wesołość, przerzucanie myśli z przedmiotu na przedmiot, fizyczna elastyczność ruchu naturalne u męża, u niej wymagają ciągłego wysiłku, aż wkońcu stają się cierpieniem, które zwalcza z heroicznem zaparciem. Z obu stron zatem mimo najczystszej miłości stosunek staje się każdochwilowem poświęceniem. Przychodzi chwila, gdzie Edyta widząc Hugona goniącego się z jedenastoletnią swą siostrzenicą czyni uwagę, iż wiekiem bardziej jest do tej dziewczynki zbliżonym, niż do niej; próbuje jeszcze wziąć udział w zabawie, ale po chwili zatrzymuje się bo gorący strumyk krwi napłynął jej do ust. Następuje choroba i pobyt w Davos opisane mistrzowską ręką ze wszystkiemi odcieniami psychologii chorej i wiernie czuwającego przy niej męża, a wreszcie śmierć rozwiązująca dylemat przyszłości: Hugo wydoskonalony i rozwinięty ma przed sobą całe życie, w którem wspomnienie jej zawsze przyświecać mu będzie, ona umiera jeszcze szczęśliwa, ale ze świadomością, iż dni szczęścia były już i tak policzone. Warto zauważyć tu mimochodem zupełny spokój, z jakim Anglicy piszą o śmierci: podczas, co my z bijącem sercem błagamy o przebaczenie win dla naszych zmarłych, oni widzą ich od razu w niebiańskiej światłości, której zgon uczciwym ludziom otwiera wrota. Jest coś mahometańskiego w tem łatwem zadowoleniu

z przeciętnej cnoty. Wracając do książki należy zaznaczyć znakomite odrobienie charakterów drugiego planu, jak np. dobrej, czynnej, dzielnej, a nad wyraz wesołej siostry Edyty i nieco śmiesznego, acz poczciwego pastora i tegoż żony, którzy »nie posiadali własnej osobistości tak byli przesiąknięci cudzemi myślami, cudzymi sądami i cudzą nauką«. Takich automatów więcej chodzi po świecie, niż się wogóle zdaje. Każdy z nas, nie wyjąwszy p. E. F. Bensona ma w sobie dużo cudzego; chodzi tylko o to, aby ten pokarm duchowy módz należnie przetrawić i wyciągnąć zeń soki żywotne dla wydania własnego owocu, jak to autor sympatycznej powieści uczynił.

Nie chce się wierzyć oczom widząc na okładce tej książki nazwisko angielskiej autorki znanej czytelnikom z ładnych opisów Norwegii w *Katherine Frensham* i t. p.

W *Interplay* po raz pierwszy spotykamy się — nie już z gryzącą, a poniekąd skandaliczną satyrą »Rity«, ale ze spaczeniem pojęć na całej linii, bezwyznaniowością — co prawda bierną, ale tem bardziej zdradliwą. Nie jest to właściwie powieść, tylko dwutomowy obraz kilku typów; z tych zaś te, których przeszłość pozostawia do życzenia, przedstawione są w bardzo sympatycznem świetle, podczas gdy ludzie o życiu nieskazitelnem chromają na przywary, czyniąc ich cnotę nieznośną. Jest np. kobieta o usposobieniu żywem i artystycznem, króra wydana za złośliwego męża uciekła od niego — z kochankiem i żyła z tymże do jego śmierci, poczem na resztę życia podjęła się opieki nad jego bratem na wpół idyotą, a na wpół genialnym fabrykantem skrzypców. Mąż tej pani żyje rozwiedziony z nią i ożeniony z Amerykanką; ona zaś oświadcza wręcz, że nie żałuje niczego przyczem tak szlachetnie wygląda, iż czytelnik niecierpliwi się na przeszkody stawiane jej powtórnemu zamążpójściu przez bratową nowego pretendenta. Ten znów, okryty chwałą świeżej wyprawy polarnej, zacierającą liczne grzechy młodości, jest najmilszą osobistością całej książki co mu ułatwia nie tylko zwalczenie »przesądów« cnotliwej bratowej, ale i »oswobodzenie« z pod wpływu macierzyńskiego młodej swej bratanki. Ta powtarza, iż »mama musi się nauczyć faktu, że żyjemy w XX wieku!« i wkońcu, gdy ta mama zupełnie cugle z rąk wypuściła, wyraża się z uznaniem, iż uczyniła to z wdziękiem

Zebrania syfrażystek są tu na porządku dziennym; do kościoła chodzi się, a raczej wstępuje w dnie znojne i gwarne, pod wieczór dla zażycia chłodu i ciszy; ślub sympatycznej rozwódki z bohaterem

polarnym odbywa się w jakimś urzędzie; jedynem zaś duchownem czytaniem jest *Apocrypha*, jakby na wyśmianie dawnego kultu dla Biblii. Jest jeszcze rys bardziej znamienny: gdy jedna z głównych postaci powieści Margaret zapada ciężko na chorobę raka i ma przed sobą kilka miesięcy przedśmiertnych cierpień, lekarz kochający ją przynosi jej flaszeczkę trucizny, aby miała czem skrócić męczarnie... »Teraz widzę, że jestem na prawdę kochaną!« — woła z rozrzewnieniem Margaret. Wkrótce potem znajdują ją pewnego poranka nieżywą, flaszeczka lekarza jest przy tem nietkniętą bo ta »szlachetna istota« już się była wpierw zaopatrzyła w truciznę! Słowem, na każdym kroku znać spaczenie pojęć iście przerażające, tem niebezpieczniejsze, iż przedstawione w sposób sympatyczny, jakoby rzecz zwyczajna. Trzeba wpierw przeczytać tę książkę, nim się weźmie do ręki *The Lord of the World* B. H. Bensona, któremu niektórzy zarzucili, iż w zbyt czarnych barwach przedstawił duchową przyszłość obecnego społeczeństwa. Kult ludzkości zastępujący kult Boga — oto co mamy przed sobą w przeróżnych formach: pod postacią świeckich dzieł miłosierdzia, świeckiej czynności społecznej, świeckich stowarzyszeń »moralnych« czy też etycznych, według modniejszego dziś wyrażenia. Człowiek sobie przywłaszcza i przypisuje pierwiastek dobra, przykrawa go według własnej fantazyi i stąd rodzą się środowiska społeczne, podobne temu, jakie B. Harraden bez cienia nagany opisała w *Interplay*.

T. Wodzicka.

Grundzüge des kath. Kirchenrechts. Von *Dr. Theol. et Iur. Johann B. Haring*. Zweite Abteilung. Graz 1908. Moser. 8-vo, VII, 303—640.

Zwróciliśmy już uwagę czytelników *Przeglądu* na pierwszą część powyższego podręcznika. Podnieśliśmy wówczas z szczerem uznaniem jego gruntowność, nadzwyczajną przejrzystość i niepospolitą praktyczność. To nasze zdanie tylko powtórzyć możemy i o drugiej jego części, obejmującej naukę o prawie administracyjnem Kościoła katolickiego. Wierny swemu założeniu autor uwzględnia w niej obszernie i wcale wyczerpująco partykularne stosunki Austryi a przedewszystkiem prawo cywilne austryackie, przez co i ta druga część podręcznika nadaje się w pierwszym rzędzie do użytku kleru austryackiego. Między innemi szeroko omawia stosunki prawno-cywilne katechetów szkół ludowych i wydziałowych (str. 309—317) i stanowisko ustawodawstwa austryackiego wobec wyznań religijnych w państwie uznanych (str. 349—360).

Cenne są również wywody autora o prawie małżeńskiem międzynarodowem a w szczególności o zawieraniu małżeństw przez poddanych austryackich za granicą a w Austryi przez poddanych państw obcych (str. 517—521). Najnowsze ustawy i rozporządzenia Stolicy św. zostały przez autora skrzętnie zebrane i zużytkowane. W czasie druku książki zdołał autor jeszcze uwzględnić nową ustawę kościelną o zawieraniu zaręczyn i małżeństw, a uczynił to z właściwą mu gruntownością, ale zarazem z pewną przezornością i rezerwą, nie chcąc przesądzać kwestyi, w których inni odmiennego mogliby być zdania.

Przy przeczytaniu książki zauważyliśmy bardzo niewiele niedokładności, a z góry zaznaczyć musimy, że tyczą się one tylko kwestyi mniej ważnych. Na tem miejscu niech nam wolno będzie podnieść przynajmniej najgłówniejsze. Autor pisze na str. 416[2], iż nupturyenci należący do domów panujących wedle powszechnie panującego zwyczaju otrzymają dyspensę od ogłoszenia zapowiedzi; dość powszechne jednak jest dziś zdanie, iż na podstawie prawa zwyczajowego są wyjęci z pod odnośnej ustawy Soboru trydenckiego (por. Gaspari, *De matr.* n. 154; Wernz, *Ius decret.* IV n. 136 not. 17). Kwestya poruszona przez autora na str. 452[3], naszem zdaniem jeszcze przed ostatecznem jej rozstrzygnięciem przez św. Kongregacyę Soboru 1 lutego 1908 r., nie przedstawiała żadnych poważnych trudności. Sama bowiem osnowa odnośnego artykułu ustawy była dość jasna, a ewentualne wątpliwości zniknąćby musiały wobec stanowczości, z jaką w tej kwestyi wyrażają się materyały do dekretu *Ne temere*. Na str. 573[5] powinno być *römisch-katholisch* zamiast *katholisch*. Przedstawieniu wzajemnego stosunku pomiędzy obrządkiem łacińskim a wschodnim (str. 573 sq.) brak pożądanej precyzyi i jasności. Za decydującą w tej kwestyi uważamy tę ważną okoliczność, iż Konstytucya Leona XIII *Orientalium* posiada tylko dla Wschodu moc obowiązującą, zaś dla ocenienia stosunku prawnego obrządków oryentalnych znajdujących się na Zachodzie może służyć jedynie jako norma dyrektywna.

Ks. J. Roth.

Witelo, ein Philosoph und Naturforscher des XIII Jahrhunderts. *Dr. Clemens Baeumker.* (Beiträge zur Geschichte der Philosophie des Mittelalters. Band III. Heft 2). Gr. 8 (XXII u. 686). Münster 1908. Aschendorff'scher Verlag.

Wspaniałe to dzieło, godne wielkich trudów, jakie badacz, znany dobrze z wyśmienitych swych prac na polu historyi filozofii średnio-

wiecza, na nie łożył. Powinno i nas obchodzić; wszak Witelo sam nazywa się *filius Thuringorum et Polonorum;* i w rzeczy samej wielu uczonych Polaków uczonym tym ślązakiem się zajmowało. Całe dzieło składa się z dwóch części: pierwsza (str. IX—179) zawiera dziełko znane pod tytułem: *Liber de intelligentiis* (tekst i dodatek krytyczny) i części z pracy Witela *Perspectiva*, mające pewną wartość i znaczenie filozoficzne; druga obejmuje badania i refleksye. Po dokładnem roztrząsaniu i uzupełnieniu dotychczas znanych dat o Witelu, dochodzi Baeumker do wniosku, że autorem traktatu *De intelligentiis* jest najprawdopodobniej Witelo. Omawia potem bardzo obszernie znaczenie tego dzieła w historyi filozofii, również znaczenie »Perspektywy« Witela szczególnie dla historyi psychologii assocyacyjnej. Oryentacyę bardzo ułatwia potrójny spis osób i miejsc, indeks rzeczowy i porządkowy (ogólny).

W krajach położonych na pograniczu Niemiec i Polski spotykamy w dawniejszej epoce średnich wieków stosunkowo mało ludzi wybitnych na polu naukowem. Jedną z przyczyn, które to spowodowały, jest niezawodnie brak tradycyi; to pokazuje jasno los, jaki spotkał osobę i dzieła Witela.

Od czasów średniowiecznych cieszy się pewną powagą *Perspectiva* Witela, traktat który opierając się na dziele arabskiego pisarza Alhazena, wyprowadza prawa rozchodzenia i załamania się światła. Powołuje się na »Perspektywę« Occam, często wspomina Witela Mikołaj d'Oresem jak i włoski matematyk Luca Pacioli, da Borgo San Sepolcro, Jan Kepler pisze uzupełnienia do jego dzieła, Broscius, znakomity matematyk XVII wieku, uważa go za jedną z największych powag. Już w XVI w. drukowano »Perspektywę« Witela w trzech wydaniach. Szczególnie od połowy XVIII wieku bardzo wielu uczonych, a między nimi sporo Polaków, Witelem i jego »Perspektywą« się zajmowało. Dla historyi psychologii *Perspectiva* nie jest bez znaczenia; bo w XIII wieku daremnie szukalibyśmy np. kompletnej teoryi assocyacyi: *Perspectiva* Witela zaś ma w tym względzie dużo dobrych myśli o zabarwieniu niemal nowoczesnem. Przyznać jednak trzeba, że Witelo w tym punkcie zupełnie się opiera na Alhazenie, podczas gdy w fizyce często jest oryginalnym.

Dopiero w najnowszych czasach dowiedziano się o tem, że Witelo jest również autorem dziełka filozoficznego p. t.: *De intelligentiis*, które pokazuje, że w XIII wieku także neoplatonizm spekulacyą, acz w nieznacznej tylko mierze, zawładnął.

Co się tyczy życia Witela, Baeumker wyciąga ze źródeł następne pewne lub prawdopodobne wnioski: Witelo — nie Vitello, Vitellio lub Ciołek — narodził się koło 1230 r. na Śląsku gdzieś między Lignicą a Wrocławiem; ojciec jego należał do osiadłych w tych okolicach w tym czasie właśnie emigrantów niemieckich z Turyngii, matka zaś jego była Polką. Stąd Witelo udał się do Włoch; na wszechnicy w Padwie studyował filozofię, matematykę i nauki przyrodnicze. Niedługo potem bawił w Viterbo, gdzie utrzymywał blizkie stosunki z penitencyaryuszem Stolicy św., Wilhelmem von Moerbeke. Przerwał pracę nad dziełem p. t. *De gradibus entium,* aby dokończyć »Perspektywę«. Dzieło to dedykował wspomnianemu Wilhelmowi v. Moerbeke około 1270 r.; najprawdopodobniej sam należał do stanu duchownego; zdaje się, że niedługo po 1270 r. umarł.

Co do dzieł Witela, sam wspomina on w »Perspektywie« o kilku swoich pracach, których jednak do dziś dnia nie zdołano odnaleźć, np.: *De elementatis conclusionibus, Philosophia naturalis, Scientia motuum caelestium, Naturales animae passiones;* na pewno zaś nie jest autorem dziełka *De geomantia.* Natomiast prawie pewnem jest, że traktat *De intelligentiis* jest identycznym z dziełkiem *De ordine entium,* o którem jako swojem wspomina w przedmowie swej »Perspektywy«.

Zapomocą więc tych dwóch dzieł *De intelligentiis* i »Perspektywy« skreśla nam Baeumker obraz tego mało dotąd znanego filozofa i przyrodnika XIII wieku. Traktat *De intelligentiis* należy do kierunku filozoficznego, który w XIII wieku obok i wśród scholastyki teologicznej zyskuje pewną samodzielność jak w dyalektyce, tak i w metafizyce i psychologii, mianowicie do kierunku neoplatońskiego; chcąc określić istoty czysto duchowe, zaczyna od Boga, istoty najwyższej, i z tych wyżyn zstępuje do istot niższych, podczas gdy spekulacya Aristotelesowska od najniedoskonalszych jestestw postępuje do poznania Boga. Jednak z teologiczną scholastyką Witelo nie stoi w opozycyi. Unika motywów panteistycznych, ukrytych w neoplatonizmie. Właściwości zaś Witela należy szukać w jego metafizyce świetlnej i w jego teoryi poznania (poznaniem pomnaża się tam duch). »Perspektywa« wprawdzie w największej części jest dosłownem przetłumaczeniem Alhazena, jednak dedykacya tego dzieła wskazuje, że i matematyczno-optyczne wywody Witela w duchu neoplatonizmu brać należy.

Zaznaczyć też wypada, że Baeumker korzystał także obficie

z literatury polskiej o Witelu. Każdy, zajmujący się historyą filozofii, z wielką satysfakcyą i z niemałym pożytkiem dzieło to przeczytać może.

R. Malotta

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Historya powszechna na klasy niższe szkół średnich. Tom I: Historya starożytna. *Dr. Kazimierz Krotoski.* Kraków 1908.

Nowy ten podręcznik, zaliczony przez Radę szkolną krajową w poczet książek dozwolonych do użytku przy nauce historyi w niższych klasach szkół średnich i seminaryach nauczycielskich, został przyjęty z uznaniem przez fachowe koła nauczycielskie tak z powodu uwzględnienia nowszych wyników badań nad historyą starożytną, jak i wyzyskania doświadczenia pedagogicznego przy nauce tego przedmiotu. Dr. Krotoski, oparty na długoletniem doświadczeniu, nie trzymał się przy układaniu tego podręcznika metody wyłącznie biograficznej, ale uwzględnił także potrzebę systematycznego przedstawienia ważniejszych wypadków dziejowych, przez co materyał biograficzny nie tylko nic nie stracił, ale stał się bardziej przystępnym i zrozumiałym.

Historyę każdego kraju poprzedza autor przedstawieniem jego właściwości geograficznych w szerszym zakresie, niż w dotychczas używanym podręczniku, przedstawiając historyczne wypadki uwzględnia także najważniejsze sprawy ze stosunków wewnętrznych, nadto podkreśla dziejowe znaczenie wypadków najważniejszych, przez co podręcznik zyskuje więcej cech naukowych i więcej musi obudzić zainteresowania uczniów, zwłaszcza zdolniejszych. Jedną z zalet podręcznika jest jasny sposób przedstawienia rzeczy i przejrzystość w ugrupowaniu materyału historycznego. Do tej przejrzystości przyczyni się niewątpliwie rozczłonkowanie dłuższych ustępów z historyi starożytnego Wschodu przez odpowiednie nagłówki, a wyróżnianie historycznych okresów w historyi greckiej i rzymskiej, po których następuje krótki przegląd chronologicany najważniejszych wypadków omówionego okresu, ułatwi uczniom zoryentowanie się w zależności tych wypadków od siebie i przyczyni się do utrwalenia w pamięci ogólnego obrazu rozwoju dziejów starożytnych.

Zaletą podręcznika jest także nawiązywanie opowiadania do rzeczy już znanych uczniowi np. przy historyi starożytnego Wschodu do wypadków znanych z historyi biblijnej a przy historyi greckiej i rzymskiej zwracanie uwagi ucznia na odpowiednie ustępy historyczne w wypisach polskich i niemieckich. Dobrze także zrobił autor uwzględniając przy historyi cesarstwa rzymskiego w dłuższym ustępie historyę początków chrześcijaństwa, organizacyę pierwszych chrześcijan, rozrost chrześcijaństwa, działalność św. Pawła, Apostoła narodów, prześladowanie chrześcijan i ostateczny tryumf chrystyanizmu.

Podręcznik d-ra Krotoskiego jest

obszerniejszy od dotychczas używanego podręcznika (ma 186 stron tekstu bez rycin, dodanych przy końcu podręcznika na 16 stronach i 4 karty geograficzne) dlatego rzeczą będzie nauczyciela część materyału (np. materyał podaniowy lub niektóre ustępy o życiu wewnętrznem) ująć zwięźlej albo wyznaczyć na prywatną lekturę, jeśli tego potrzeba i wzgląd na poziom umysłowy klasy będą wymagały.

Ks. J. S.

Monumenta ecclesiastica petropolitana. *M. Godlewski.* Vol. 3. Petropoli 1909. Pag. 60.

Prof. Akademii duchownej w Petersburgu nie przestaje wzbogacać literatury historycznej dokumentami, dotyczącymi Kościoła katolickiego w Rosyi w epoce Siestrzeńcewicza. Najnowszy 3-ci zeszyt *Monumentorum* zawiera 9 dokumentów, odszukanych w archiwum głównem ministeryum spraw zagranicznych w Petersburgu. Na pierwszem miejscu podaje memoryał hr. Salderna z r. 1772, dotyczący urządzenia Kościoła katolickiego w ziemiach, otrzymanych po pierwszym rozbiorze Polski; następnie w tejże sprawie memoryał biskupa Siestrzeńcewicza z r. 1773. Te dwa memoryały nakreśliły plan, jakiego rząd rosyjski trzymał się następnie w sprawach urządzenia Kościoła. Następne 7 dokumentów odnoszą się do lat 1816 i 1817 i dotyczą stosunków rządu cesarstwa i Królestwa Kongresowego ze Stolicą św. Jest tu memoryał prezesa ministrów Kongresówki Potockiego o urządzeniu Kościoła w Królestwie; trzy instrukcye dane pełnomocnikowi rosyjskiemu Italińskiemu i jego pomocnikowi w sprawie zawarcia umowy z Rzymem; list Piusa VII do ceserza Aleksandra I, oznajmiający, że warunki rosyjskie są nie do przyjęcia; notatka o niegodnem życiu kanonika Łabuńskiego, przedstawionego przez rząd na godność biskupią, i wreszcie odpowiedź Aleksandra I papieżowi, oznajmującą w tonie kategorycznym, że rząd od swoich warunków odstąpić nie może. Rokowania te wkrótce uwieńczyły się nowem rozgraniczeniem dyecezyi w Królestwie i mianowaniem kilku nowych biskupów.

J. U.

The dazzling miss Davison by *Florence Warden.* Unwin's Library. I vol.

Fisher Unwin, to zda się nowy zakład wydawniczy, mający czynić konkurencyę starej a zasłużonej firmie Tauchnitza. Dziwnem jest, że choć książki jego można dostać w Lipsku, Paryżu i — Londynie, przecież przywóz ich do Anglii lub wszelkich posiadłości Wielkiej Brytanii jest formalnie wzbroniony. Format podłużny a okładka szara niezbyt nęcąca; coraz więcej autorów wszakże pod nią się garnie. Snać superprodukcya w belletrystyce angielskiej musi szukać ujścia na wszystkie strony. *The dazzling miss Davison,* to niezupełnie powieść, raczej długa nowela na ulubiony obecnie temat złodziei i detektywów. Różnicą tu i niespodzianką końcową dla czytelnika jest, że detektywem okazuje się być owa »świetna miss Davison«, pracująca na rzecz rządowej policyi. Odkrycie tego faktu oczyszcza ją z różnorodnych posądzeń, na jakie ją naraziły konieczne warunki jej zawodu; nieprawdopodobieństwo zaś łagodzi okoliczność, iż niezwykłe swe funkcye przyjęła dla podtrzymania rodziny z namowy starego krewnego, piastującego wysoki urząd policyjny. Pono i bez podobnych okoliczności istnieje w Anglii sporo kobiet wy-

kształconych i elegantek w usługach policyi.

T. W.

Driewniaja cerkowno-sławianskaja litieratura i jeja znaczenije. *A. Sobolewskij.* Charków 1908.

Praca wymieniona ma charakter popularnej pod każdym względem, powstała bowiem z odczytów, jakie autor wygłosił w Słowiańskiem Tow. Dobroczynności. Z tego też powodu, nie można jej czynić tych zarzutów, jakie należałoby koniecznie podnieść, gdybyśmy mieli do czynienia z rozprawą ściśle naukową.

Zastanowiwszy się nad powstaniem chrześcijaństwa w Bułgaryi i południowej Macedonii, skąd (*scil.* ze Solunia) bierze początek krzewienia się wiary św., przechodzi autor wraz z Konstantynem na Morawy. Co z literatury cerkiewnej zostało przetłumaczone wówczas, tego nie próbuje określić, jedynie domyśla się, zresztą najzupełniej słusznie, że tłumaczono nie tylko z języka greckiego, ale też z łacińskiego i że pomiędzy tymi przekładami żywotów świętych były przedewszystkiem tych, których otaczał Kościół zachodni czcią osobliwą, a kult których rozszerzył się już był wśród Morawian.

Co do rozmiaru wpływu działalności św. Metodego na Czechy można zgodzić się z prof. Sobolewskim w zupełności. Natomiast co się tyczy oddziaływania jego na Polskę, to jest ono nadzwyczaj wątpliwe i sporne. Wiadomości zaś aż nadto hipotetycznych nie godziło się szerzyć w wykładzie popularnym.

Z kolei przechodzimy do literatury cerkiewno-słowiańskiej w Bułgaryi, dokąd zbiegła część uczniów Metodego po upadku państwa wielkomorawskiego, a gdzie najwybitniej zaznaczył swoją działalność misyonarską biskup Ochrydy Klemens. Literatura ta jest wcale bogata, gdyż obok przekładów spotykamy rzeczy częściowo bodaj oryginalne. Charakterystyka jej jest krótka, ale dokładna mimo swojej zwięzłości, a zwłaszcza ten ustęp, w którym jest mowa o najdawniejszych utworach wierszowanych, powstałych w Bułgaryi.

Szkic kończy obszerna wzmianka o wpływie literatury staro-bułgarskiej na staro-ruską, opatrzona trafnem spostrzeżeniem, iż literatura ruska była już w samych swoich początkach więcej narodową, aniżeli bułgarska.

Dr. St. Zdz.

Lidově pověsti o puvodu tabáku. *J. Polivka.* (Osobne odbicie z dzieła »Zbornik u slavu Vatroslava Jagića«). Berlin 1908.

Niestrudzony czeski folklorysta obdarza rok rocznie literaturę fachową cennymi rezultatami swoich mozolnych studyów, odznaczających się przedewszystkiem niesłychanem bogactwem zebranego materyału porównawczego tak, że w tej mierze nie dorównuje mu żaden ze współczesnych uczonych słowiańskich.

Przedmiotem omawianego studyum jest rozpowszechniona zwłaszcza na Ukrainie legenda ludowa o pochodzeniu tytoniu. Główna osnowa, wspólna tym opowieściom jest następująca: Kiedy Judasz, dręczony wyrzutami sumienia, obwiesił się na gałęzi, wisiał tak długo, aż gałąź się złamała. Upadłszy tedy na ziemię, trup leżał nie pogrzebany, a z niego dobywał się smród tak wielki, że gdy ptak lecący powąchał go — ginął natychmiast. Na trupie tedy Judasza wyrosły trzy gatunki tytoniu.

O używaniu zaś tytoniu przez lu-

dzi opowiadają legendy, że gdy dyabłu zmarła matka, ludzie, którzy przyszli w odwiedziny do trupa, nie chcieli płakać. Rozgniewany tem czart starł na miał liście tytoniowe i częstował nim ludzi, którzy, kichnąwszy kilkakrotnie, poczynali płakać ku niepomiernej radości dyabła. Widząc to Salomon, nakrajał drobno liści tytoniowych, ponakładał do fajek i porozdawał pomiędzy ludzi, którzy paląc pluli na trupa matki dyabła. Stąd nawet powstało znane powszechnie ruskie przekleństwo: *Tfu, do czortowoji matery!*

Waryantów obydwu tych legend przytoczył autor sporo. Co do geograficznego ich rozmieszczenia, najwięcej zapisano ich na ziemiach ruskich, a zwłaszcza na Ukrainie. W właściwej jednak ojczyźnie tytoniu, w Ameryce, nie napotkano dotąd ani jednego waryantu. Fakt to zadziwiający!...

Dr. St. Zdz.

Geschichte der älteren südslavischen Litteraturen. *Dr. M. Murko.* (Die Litteraturen des Ostens in Einzeldarstellungen. Bd V; 2. Abteilung). Leipzig. C. F. Amelangs Verlag. 1908. (8-ka; str. X i 248).

Dzieło prof. Murki jest — oprócz przestarzałej dziś pracy Szafarzyka — jedynym podręcznikiem z tego zakresu. Zadaniem jego jest przedstawienie historyi literatury czterech plemion południowo-słowiańskich, t. j. Słoweńców, Serbów, Chorwatów i Bułgarów na szerokiem tle historycznem i społecznem.

Dzieli się ono na trzynaście rozdziałów. Z nich: pierwszy i drugi zajmują się etnografią, statystyką oraz najdawniejszemi dziejami i rozszerzeniem się chrześcijaństwa wśród ludów południowo-słowiańskich; w rozdziale trzecim jest mowa wyłącznie o działalności apostołów św. Cyryla i Metodego oraz o początkach literatury cerkiewno-słowiańskiej na Morawach i w Panonii. Właściwa literatura zaczyna się rozdziałem czwartym, tutaj bowiem opisane są najdawniejsze zabytki literackie. Rozdział piąty szkicuje w rysach ogólnych obraz pomników cerkiewno-słowiańskich w Bułgaryi, zaś szósty zajmuje się utworami takimiż, napisanymi w Chorwacyi, siódmy wreszcie zawiera pogląd ogólny na literaturę cerkiewno-słowiańską, t. j. mniej więcej do końca XIII stulecia. W rozdziale ósmym przechodzimy do tak zwanej literatury średnio-bułgarskiej, przyczem autor nie poskąpił wykazania nici, łączących ją z Rumunią i Serbią. Literaturą cerkiewno-słowiańską w Serbii od początku wieków nowych do chwili odrodzenia narodowego zajmuje się rozdział dziewiąty. W następnym mamy krótki rzut oka na piśmiennictwo bośniackie, zajmujące stanowisko przejściowe od serbskiego do chorwackiego. Rozdział jedenasty traktuje o literaturze cerkiewno-słowiańskiej u Chorwatów nad Adryatykiem, w dwunastym zajmujemy się średniowiecznymi wątkami romantycznymi w literaturach serbskiej i chorwackiej, w ostatnim wreszcie jest mowa o oddziaływaniu rządów tureckich na ludy południowo-słowiańskie, przyczem podano szkic o twórczości epicznej.

Całe dzieło kończą: uwagi do tekstu, dokładna bibliografia przedmiotu oraz słowniczki imienny i przedmiotowy, ułożone bardzo starannie i pracowicie

W. I.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z naszych spraw

I znowu jedna jasna chwila w szarej tkaninie codziennego życia: uroczystości lwowskie ku czci Bł. Jakuba Strepy z okazyi pięćsetletniej rocznicy śmierci Apostoła Rusi. Inicyatywa do tych uroczystości wyszła, rzecz jasna, od lwowskich arcypasterzy. Jeden z nich, ks. arcybiskup Bilczewski, w przepięknym, jak zwykle, liście, umiał rozentuzyazmować i pozyskać szerokie warstwy dla tego kościelnego święta a zapraszając do udziału biskupów ruskich, wykazał na nowo, że w duchu wiary i miłości Kościoła i Świętych możemy iść ręka w rękę przez życie. Gdyby ta wiara i miłość życie głębiej i silniej opanowały, na nicby się nie zdały wówczas wichrzenia, nie tylko jednostek z tłumu, ale i z wyższych sfer.

Drugi znowu arcypasterz, ks. biskup Bandurski, w przemawiającym do serca żywocie stawił przed oczy świetlaną postać Błogosławionego, wyrwał ją z mgły zapomnienia i tak również zagrzał dusze do większej miłości niebieskiego patrona i do tem uroczystszego obchodzenia jego święta. Liczny udział społeczeństwa polskiego w uroczystościach będzie dla obu czcigodnych arcypasterzy największą nagrodą i zapłatą, dla wszystkich zaś źródłem otuchy i nadziei, bo jeszcze nie tak źle z nami, gdy takich mamy patronów i tak ich czcić umiemy.

Bolesny za to cios spadł na Kościół pod zaborem rosyjskim: przedwczesna śmierć metropolity ks. Wnukowskiego. Pół roku zaledwie sprawował rządy olbrzymiej dyecezyi, a już Bóg odwołał go z posterunku, na którym, gdyby nie nieszczęsna choroba, dużo dla chwały Bożej i zbawienia dusz mógł był zdziałać. Nieznane nam i pełne tajemnic drogi Boże; w krzyżu nawet niosą zbawienie a w ciemnościach światło, żal jednak gorzki chwyta za serce, że tak w sile wieku odchodzą jeden po drugim ci, których Opatrzność woła na wysokie i odpowiedzialne stanowiska, nie pozwalając im równocześnie ujrzeć owoców swych prac i zabiegów. Ciężkie pewnie jeszcze chwile przejdzie archidyecezya, nim nowego powita pasterza; pociecha tylko i nadzieja w tem, że czujna i troskliwa zapobiegliwość papieża przeszkody zwycięży.

Kilka słów o katolickiej Belgii

Belgia przygotowuje się do nowych wyborów, które się w roku przyszłym odbędą. Rządy belgijskie spoczywają od kilku już dziesiątek lat w rękach katolickich i zaprzeczyć się nie da, że katolicy wiele dla kraju zdziałali. »Rządy prawicy, pisze wolnomyślny paryski *Temps*, zapewniły Belgii wspaniały peryod postępu. Podziw wywołują prawa socyalne, jak prawo kontraktu pracy, nietykalności zarobku, pracy kobiet i dzieci, ochrony pensyi i robotników, ustanowienie rad roboczych i przemysłowych, prawa wreszcie o wypoczynku niedzielnym i czasie pracy w kopalniach. Te wszystkie prawa głośno przemawiają na korzyść rządu«.

Sami nawet socyaliści, w chwilach szczerości, uznali wielkie tego rządu zasługi, przedewszystkiem na polu wychowania i nauki. Referent projektu ustawy o szkołach technicznych we Francyi, radykalny socyalista, Astier, zaznaczył w swym referacie, że rzadko jakaś ze szkół technicznych w Belgii nie odpowiada swemu zadaniu. »Pewną jest rzeczą, twierdzi, że postęp w tej dziedzinie był w ostatnich latach (a więc za rządów katolickich!), niesłychanie prędki. Liczba tych szkół niepomiernie wzrosła, poprawki w nich uczyniono bardzo wielkie. Organizacya, troska o to, by usunąć z nich wszystko, co jest tylko balastem, i niezwykle prak-

tyczny charakter tych szkół zjednały im uznanie rodziców... Czy tu nie leży odpowiedź, wyjaśniająca prędki ekonomiczny postęp, który się w Belgii od piętnastu lat datuje?«

Mimo jednak, że rząd katolicki postawił Belgię na pierwszem prawie miejscu pod względem dobrobytu i kultury, walka przeciwko niemu trwa zawsze i, — nie wolno się łudzić —, osiąga pewne rezultaty tak, że najbliższe lata mogą ostatecznie przynieść, przynajmniej na jakiś czas, niemiłe niespodzianki.

W Mechlinie np. odbyły się w niedzielę Palmową wybory nowego posła-zastępcy w miejsce zmarłego de Cocka. Kandydatura katolicka zwyciężyła wprawdzie, ale podczas gdy przy głównych wyborach zdobyli katolicy 38.760 głosów a radykali, liberali, socyaliści i daensiści razem 22.455, tym razem otrzymali katolicy tylko 34.581 głosów, a przeciwnicy 27.114 czyli prawie sześć tysięcy głosów więcej, jak dawniej.

Przyczyn tego nie bardzo pocieszającego objawu jest wiele. O ile liberalne stronnictwo w Belgii przeżyło już czasy swojej największej świetności i niebezpiecznem nie jest, o tyle więcej zagraża kartel całej opozycyi, która wszelkich używa sił, aby prawicę rozdwoić i z jej pomocą gabinet obalić. Takie rozdwojenie częściowo już się udało, gdyż w różnych kwestyach w parlamencie podniesionych, nie wszyscy członkowie prawicy są jednego zdania. Dodatnie wyniki akcyi ostatnich lat uśpiły trochę czujność katolików, opozycya znów nie próżnuje a wiadomo, że obietnicami, których nikt swoją drogą nie dotrzyma, łatwo sobie zjednać zwolenników; łatwiej też burzyć, jak budować.

A burzyć opozycya potrafi i wyzyskać najniższe instynkty do swoich celów, bo o te tylko chodzi. Stronnictwo katolickie postawiło np. w parlamencie wniosek, aby zakładanie seminaryów nauczycielskich przez zarządy prowincyi lub gmin zależało od uprzedniego zezwolenia rządu. Chodziło tu o to, aby tym seminaryom odebrać ich charakter materyalistyczny i ateistyczny i umożliwić uczciwe wychowanie przyszłych nauczycieli. Cel z pewnością dobry — wynajduje się w nim jednak od razu pogwałcenie wolności nauczania, urządza wiece i zgromadzenia, zbiera pe-

tycye protestujące i z wytartem czołem wyzyskuje całą sprawę do swoich celów i do zatuszowania własnych błędów i braków.

Kiedy np. na zgromadzeniu socyalistów w brukselskim *Maison du peuple* obrady weszły na tory dla socyalistycznych przywódców niebardzo przyjemne, i kiedy zaczęto zwracać uwagę na tę anormalność, że w związkach i cechach socyalistycznych ciężko pracujący robotnicy otrzymują 1200 fr. pensyi, a buchalterzy, kasyerzy i administratorowie 4—5000 fr. rocznie, Vandervelde przerzucił niebezpieczną dla siebie dyskusyę na pole szkolnictwa, zaznaczając, że nie warto zajmować się takiemi drobnostkami, lecz raczej stanąć trzeba w obronie zagrożonej wolności wiedzy. Rozumie się, że gdy się wbrew dobrej wierze i sumieniu podobne hasła rzuca, znajdzie się zawsze pewna część mniej intelligentnych ludzi, którzy na lep frazesów pójdą i dla katolickiego stronnictwa będą straceni.

Obecnie wyłania się znowu nowa kwestya, która swoją drogą nie tylko katolikom, ale i opozycyi dużo może zgotować trudności — kwestya języka. Językiem większości, bo czterech milionów z pośród mieszkańców Belgii, jest flamandzki; jest on też z francuskim równouprawnionym, choć tylko w teoryi. W praktyce uważa go się za podrzędny i drugorzędny. Urzędnicy np. pocztowi i telegraficzni w Brukseli w znacznej większości urzędują tylko po francusku, gdyż flamandzkiego zupełnie nie znają a jak odezwa Flamandczyków głosi, nawet tam, gdzie oni wyłącznie mieszkają, panuje w uniwersytecie, w gimnazyach i szkołach zawodowych jedynie język francuski. Podobno bowiem flamandzki nie nadaje się do badań i nauki, choć takie języki, jak bułgarski, serbski, rumuński i t. d. mniej znane i przez wcale nieliczne narody używane, swój cel w zupełności spełniają. Ta kwestya, która stanęła dzisiaj na porządku dziennym i popartą została także przez odpowiedni wniosek Coremansa, dużo jeszcze politykom napsuje krwi a wygra ten, kto ją dobrze zrozumie i wyzyskać potrafi.

Pewne niezadowolenie ze stronnictwa katolickiego wywołuje w szeregach katolickich taktyka tego stronnictwa. Przywódcy katoliccy, chcąc wzmocnić swoje wpływy, szukają poparcia tak

zwanych niezależnych, którzy reprezentują wielką siłę finansową i towarzyską. Otrzymali to poparcie w zamian za ustąpienie jednego ze swych mandatów z Brukseli na rzecz kandydata niezależnych, adwokata Theodora, który od razu swe katolickie przekonania tem zamanifestował, że razem z opozycyą protestował przeciwko wnioskowi Woestego o seminaryach. Ten błąd taktyczny z pewnością katolikom katolików nie zjedna; jedni mogą się powstrzymać od wyborów a drudzy, mniej intelligentni, gotowi pomyśleć, że chyba niewielkie to nieszczęście oddać swój głos na liberała lub radykała, skoro samo stronnictwo podobnych do nich kandydatów poleca. Trudności więc zewsząd powstają, a nie wiedzieć, jak się zwyciężyć dadzą.

Nie brak swoją drogą i jasnych chwil w życiu katolickiem Belgii. Do takich należał bezsprzecznie jubileusz wszechnicy w Lowanium. Założona w r. 1425 przez papieża Marcina V, zamknięta przez Francuzów w r. 1797, otworzona na nowo w 1834 w Mechlinie, a przeniesiona do Lowanium rok później, nie sprzeniewierzyła się ani na chwilę swym przekonaniom katolickim a równocześnie podtrzymywała wiedzę i naukę na wysokości wymagań i czasu. I dziś jeszcze, choć przez rząd nie popierana, liczy sama prawie tylu uczniów, jak inne trzy uniwersytety belgijskie razem. W r. 1908 udzielono w Belgii 572 tytułów doktorskich; z tych przypadło na wolnomularski uniwersytet w Brukseli 110, na uniwersytet w Siège 158, w Gent 70 a w samem Lowanium 208. Najwybitniejsi politycy i mężowie stanu, którzy w ostatnich dziesiątkach lat przyprowadzili Belgię do takiego rozkwitu, byli prawie bez wyjątku uczniami wszechnicy lowańskiej. To też uroczystości jubileuszowe sprowadziły delegatów najrozmaitszych uniwersytetów świata, dały katolikom poczucie ich siły i jeszcze raz wykazały, że będąc katolikiem można być równocześnie uczonym i iść krok za krokiem naprzód z postępem i kulturą.

Znaczenie wszechnicy w Lowanium podniósł jeszcze fakt, że jeden z długoletnich profesorów filozofii tomistycznej tamże, dzisiejszy kardynał Mercier, otrzymał nagrodę 10 tysięcy franków, udzielaną co dziesięć lat za najlepszą pracę filozoficzną w Belgii. Sędziami było pięciu profesorów: dwóch katolików z Lowa-

nium, dwóch liberalnych z Brukseli i jeden liberalny z Hasselt. Liberalnych profesorów znają jeszcze z tego, że są oni zdeklarowanymi przeciwnikami filozofii tomistycznej, a mimo to wszyscy jednogłośnie nagrodę kardynałowi przyznali. Więc i nauka katolicka na coś się przyda!

Ze stosunków katolickich w Bośni

Często zwracają się dziś oczy w stronę dwóch anektowanych krajów, wszystkich obchodzi jednak przeważnie polityczna strona rzeczy, rzadziej religijne położenie Bośni i Hercegowiny. Tą kwestyą zajął się austryacki Jezuita, Puntigam, który kilkanaście lat w Bośni przepędził, w małej broszurce *Unsere Zukunft in Bosnien.*

Na mniej więcej 1,800.000 mieszkańców Bośni, należy 782.851 do prawosławia, 602.200 do islamu a 400.081 do Kościoła katolickiego. Żydów liczy Bośnia 11.007, protestantów zaś 6.747.

Naturalnym wrogiem katolicyzmu jest prawosławie, które wyznaje trzecia część ludności, równocześnie nieżyczliwie dla Austryi usposobionej. Wrogiem jest także islam, panujący w Bośni od r. 1463, który w ciągu czterech wieków wszelkich używał środków, aby ducha katolickiego zgnieść i stłumić.

Mimo tych trudności liczba katolików stale wzrasta a różnica między stanem dzisiejszym a stanem z początków okupacyi wynosi około 200 tysięcy. Nie jest to jednak zjawisko, pobudzające do wielkich nadziei, gdyż ta nadwyżka powstała nie skutkiem ekspansyi samego katolicyzmu, lecz prawie wyłącznie skutkiem napływu obcych; za to położenie samo katolicyzmu jest dość groźne.

Bośnia i Hercegowina mają otrzymać własny sejm; o liczbie posłów decydować będzie stosunek wyznań a ponieważ katolicy tworzą tam tylko około 22% przeciwko 33% Turków a 43% prawosławnych Serbów, te więc wyznania rozstrzygać będą o losie katolickiego Kościoła w Bośni.

Tej sile katolicy siły równomiernej przeciwstawić nie mogą. Mają oni wprawdzie dzielnego arcybiskupa i zacny kler, brak im jednak najpierw intelligencyi świeckiej, któraby naród pod względem politycznym uświadamiać i jego interesy religijne popierać i skutecznie bronić ich mogła.

Ludność kraju uboga, stąd też rzadko tylko uczęszcza katolicki Bośniak do szkół średnich. W wyższem np. gimnazyum w Sarajewie znajduje się katolickich krajowych uczniów ledwie dziesięciu, w Dônja Tnzla tylko czterech; gorzej jeszcze przedstawia się sprawa ze studentami uniwersyteckimi. Tymczasem gimnazya są przepełnione młodymi Serbami, których z łatwością utrzymują bogaci rodzice i o których stara się rząd serbski. W ostatnich latach przed aneksyą rzucono przecież z Belgradu hasło: nie szczędzić pieniędzy dla Bośni. Skutkiem tego mogą Serbowie bez trudności osiągnąć swój cel: wyrobić i wykształcić sobie intelligencyę, opanować bardziej wpływowe stanowiska i urzędy i tym sposobem rozwinąć działalność destrukcyjną, skierowaną nie tylko przeciwko Kościołowi, lecz i przeciw Austryi. Tego niebezpieczeństwa nie rozumie jednak rząd austryacki. Kierując się zasadą przesadnej bezstronności, udziela on wprawdzie od czasu do czasu poparcia katolikom, w większej jednak mierze Serbom i Turkom. Na czterdziestu pięciu studentów, kształcących się w utrzymywanym przez rząd konwikcie bośniackim w Wiedniu, znajduje się tylko pięciu krajowych katolików. Brakowi więc katolickiej intelligencyi w Bośni niełatwo będzie zaradzić.

Nieświetnie przedstawiają się również stosunki w niższych sferach. Wielki odłam ludności zajmuje się przemysłem, mieszkając atoli po miastach, nie może wytrzymać konkurencyi z napływowymi elementami; brak mu potrzebnego wyszkolenia, brak techniki a przedewszystkiem środków. I znowu liche materyalne położenie nie pozwala rodzicom na lepsze kształcenie dzieci. W r. 1907 uczyło się w państwowej szkole przemysłowej w Sarajewie tylko 26 katolików a w Mostarze 13.

Tej młodzieży rzemieślniczej i przemysłowej a z nią wogóle robotniczej grozi równocześnie wielkie niebezpieczeństwo od stronnictwa socyalistycznego. Ruch socyalistyczny został przez Serbów do życia powołany i przez nich opanowany, a na celu ma on wielkoserbską propagandę. Jego hasłem jest: P r e c z z A u s t r y ą! i P r z e c i w A u s t r y i! Socyaliści umieli się zorganizować i, jak wszędzie, tak i w Bośni, terroryzują a przedewszystkiem walczą przeciwko religii. Skutkiem dziwnych czy dziwacznych stosunków

krajowych stoją wobec socyalistów bezradni sami chlebodawcy a już zupełnie prawie na łaskę i niełaskę zdani robotnicy a z nimi młodzież. Mimo ustawowego odpoczynku niedzielnego i mimo szumnych haseł o ośmiogodzinnym dniu pracy, zmuszają pracodawcy socyalistyczni terminatorów do pracy niedzielnej, nie pozwalają im, prawdopodobnie w myśl zapatrywania: »religia to rzecz prywatna« chodzić do kościoła, i tym sposobem zgubnie wpływają na młodzież robotniczą tak pod względem religijnym, jako też obyczajowym i patryotycznym.

Temu nieszczęściu mogłaby częściowo zaradzić szkoła wyznaniowa. O tę szkołę wyznaniową, choć prywatną, starały się też i starają różne narodowości zamieszkujące Bośnię. W czasie okupacyi posiadali Turcy 535 prywatnych szkół wyznaniowych, Serbowie 56 a katolicy 54. Dzisiaj posiadają ich Turcy 1033 z 43 tysiącami uczniów a Serbowie 69; liczba prywatnych szkół wyznaniowych katolickich spadła z 54 na 32, najlepszy dowód minimalnego wpływu szkoły na życie.

Na domiar złego Kościoł sam nie może wywrzeć całego wpływu na ludność. Brak mu wszystkiego. Brak kapłanów a i tych, którzy są, niepodobna utrzymać; brak zorganizowanych parafii i brak przedewszystkiem kościołów. Stare szopy, stajnie, stodoły zajmują często miejsce świątyń, które nie są nawet zaopatrzone w najniezbędniejszą kościelną bieliznę. Nieliczny więc kler, przeciążony pracą, obowiązkom podołać nie może i patrzeć musi na szerzące się zepsucie obyczajów, na zanikającą wiarę a nawet na odstępstwa.

Tylko ludzie dobrej woli i bracia po wierze mogą jałmużną i pomocą uratować niejedną duszę i ciężki los Kościołowi w Bośni choć trochę osłodzić.

Duma o zmianie wyznania

Z obowiązku umieszczamy tu także kilka słów o przyjętym przez D u m ę projekcie ustawy, dotyczącej zmiany wyznania; z obowiązku tylko, gdyż losy tego, duchem tolerancyi nacechowanego projektu, są bardzo jeszcze niepewne i budować na nich trudno. Najznamienniejszą część nowej ustawy zawierają następujące artykuły:

»1) Każdy po ukończeniu 21 lat życia posiada prawo przyłączenia się do wszelkiego innego wyznania lub nauki, o ile należenie do nich nie jest karane w drodze sądowo-karnej.

2) Niepełnoletnim, po dojściu do lat 14, prawo rzeczone (art. 1) służy jedynie za zezwoleniem rodziców lub opiekunów, kuratorów lub adoptujących.

3) Rodzice albo osoby opiekujące się niepełnoletnimi, określają ich wyznanie do skończenia 14 roku życia.

4) Przy przejściu, w porządku przepisanym przez prawo, na inne wyznanie lub naukę ustają wzajemne prawa i obowiązki pomiędzy kościołem lub gminą wyznaniową z jednej, a odpadającymi od nich z drugiej strony.

5) Wszystkie wnioski i podania, lub t. zw. papiery w sprawach zmiany wyznania uwolnione są od opłat skarbowych.

6) Przejście z jednego wyznania lub nauki na inne rejestrowane jest po dniach 40 od dnia złożenia podania. Termin ten nie jest stosowany w razie ciężkiej choroby zmieniającego religię.

7) Osobom, pragnącym przejść na inne wyznanie lub naukę, do których należenie nie jest karane kryminalnie, a tem bardziej na religię prawosławną nie powinien nikt pod żadnym pozorem przeszkadzać w wykonaniu tego zamiaru«.

Projekt ten został przyjęty po tak zaciętym oporze członków Synodu i rosyjskiej reakcyi, że aż *Petersburger Zeitung* pisała: »Piotr Wielki nie przypuszczał, że jego naród w dwudziestym wieku spierać się będzie o podstawowe zasady kultury zachodnio-europejskiej«.

Swoją drogą przyznać trzeba, że Duma wykazała sporo cywilnej odwagi, gdy w obecnych warunkach ten projekt przyjęła a odrzuciła różne poprawki Synodu, tę np. że prawosławny zmieniający wyznanie, ma przez czterdzieści dni odprawiać rekolekcye i zastanawiać się nad doniosłością swojego zamiaru. W każdym razie projekt, aczkolwiek przyjęcie jego przez Radę Państwa i ostateczna sankcya cesarza nie są bynajmniej pewne, jest jednak pierwszym krokiem na drodze do prawdziwej wolności wyznania prowadzącej.

Ks. Wiktor Wiecki.

Kronika irlandzka.

Nowe prawo gruntowe *(Land Bill)* uchwalono po drugiem czytaniu w izbie posłów; najprawdopodobniej zatem stanie się ono w najkrótszym czasie prawem obowiązującem dla ludu i magnatów irlandzkich. Będzież to rozwiązanie tak upragnione trudnej kwestyi agrarnej w Irlandyi? Zdania w tej mierze są podzielone. Wspominaliśmy w pierwszej kronice naszej, że oprócz kwestyi uniwersytetów i samorządu, sprawa nowego podziału gruntu zajmuje pierwsze miejsce w umysłach ekonomistów żądnych podniesienia kraju. Zwracaliśmy wtedy uwagę na ostatnią próbę, podjętą w 1903 roku za inicyatywą p. Wyndham: spodziewano się, że to będzie ostateczne uregulowanie tej piekącej kwestyi, a oto przekonano się niestety po pięciu latach próby, że te środki nie wystarczają. Projekt nowego prawa spoczywa jeszcze w parlamencie, przejrzymy potem jego główne motywy, ale że projekt dość jest skomplikowany, wypada naprzód zaznajomić się z obecnym stanem rzeczy. Lord Dunraven uważał taką oryentacyę za potrzebną nawet dla mieszkańców Anglii, tem bardziej będzie ona niezbędna dla ludzi z kontynentu. Niech to i nam wystarczy jako usprawiedliwienie, że rzucimy na chwilę okiem w przeszłość, a w obawie przed błędem pójdziemy śladami wielkiego lorda irlandzkiego. Oto główne fakty:

Praktycznie zakończyło się wykupno ziemi przez dzierżawców *(tenants)* już w roku 1901, przeto i odnośne dawne ustawy straciły moc obowiązującą, a kraj cały domagał się nowych i żywotnych praw, któreby zwróciły ludowi grunta będące w posiadaniu wielkich właścicieli *(landlords)*. Sprzeczne interesy tych dwóch klas obywateli starał się pogodzić »traktat pokojowy«, wyszły ze zgromadzenia delegatów obu stron, t. j. landlordów i tenantów. Traktat ten ratyfikowały i za prawomocny uznały wszystkie władze administracyjne i wszystkie prywatne towarzystwa irlandzkie, również oba wielkie polityczne stronnictwa angielskie, liberalne i konserwatywne. Przewódca irlandzkiego stronnictwa, p. J. Redmond, odezwał się w publicznej mowie: »Anglia może się spodziewać teraz, pierwszy raz od czasu unii (1880 r.) że zakończy wojnę agrarną, i to za cenę śmiesznie małą«.

Parlament poszedł za zdaniem tego posła, cieszącego się wielkiem poważaniem, i oświadczył, że »dobro państwa nakazuje korzystać

z wyjątkowej sposobności, jaka się nadarzyła skutkiem owego zgromadzenia *(Land Conference)* i zakończyć spory agrarne w Irlandyi; trzeba zatem przyjąć wnioski zaznaczone w mowie tronowej«.

Tak się też stało i w marcu 1903 r. p. Wyndham przedłożył swój *Land Bill.* Poddając go pod obrady parlamentu, sekretarz Irlandyi tak się wówczas odezwał: »Oświadczamy Irlandyi, że dla sprawy, którą wszyscy uważamy za żywotną dla jej dobrobytu, znajdziemy potrzebne pieniądze; skarb państwa zagwarantuje procent $2^3/_4$ od sta, czas wykupna będzie mógł się rozciągnąć na $68^1/_2$ lat. Gdyby nasze nadzieje nie miały się ziścić, wina nie będzie po stronie lordów irlandzkich, nie będzie też po stronie dzierżawców. Nie będzie też można jej przypisywać, śmiem za to ręczyć, wyborcom lub ich przedstawicielom na tem tu zebraniu, są bowiem w tej chwili przeświadczeni, a poznają to coraz jaśniej, że jest to sposobność, która nadarzyła się po raz pierwszy, a może się już nie powtórzy«. W imieniu ówczesnej opozycyi odezwał się p. Henryk Campbell-Bannerman w te słowa: »Życzymy sobie ujrzeć koniec tej walki społecznej, wojny agrarnej, która opóźniła i zatamowała dobrobyt i rozwój Irlandyi. I my też przyznajemy, że mogą być potrzebne w tym celu wysiłki i ofiary, nie tylko ze strony ludu irlandzkiego, ale i od nas (Anglików), a to nie tylko w interesach Irlandyi, ale w naszych własnych«. Po takich oświadczeniach czyż może się dziwnem wydawać, że projekt przyjęto przez aklamacyę w obydwu Izbach?

Również w Irlandyi zgoda była zupełna. Pan Redmond był tłumaczem powszechnej opinii, gdy mówił, że »prawo to miało na celu przeniesienie własności ziem wszystkich na lud, na dzierżawców, nie powiększając ich płacy ani o jeden szyling... Co więcej, mówił, skutek tej ustawy jest taki, że od pierwszej chwili zmiany własności wszelki czynsz ustaje, a procent roczny, jaki dawny dzierżawca płacić będzie przez szereg lat, będzie mniejszy od dzierżawy, jaką dziś uiszcza. Liga zjednoczonej Irlandyi *(United Irish Leagne)* powitała prawo jako »największe ze zwycięstw, odniesionych przez naród irlardzki w ostatnich wiekach, zwycięstwo rokujące nadzieję, że grunta Irlandyi wrócą w posiadanie ludności«. Uważano prawo jako »zapowiedź takich stosunków, w których każdy prawdziwy Irlandczyk bez względu na stanowisko swoje lub religię, byłby we własnym interesie naglony do wspólnej z innymi pracy, w obronie praw swego narodu i szczęścia swej ojczyzny«.

Celem tej ustawy było przeniesienia prawa własności z lorda

na dzierżawcę; w tej myśli ułatwiała ona dzierżawcy wykupno uprawianego przezeń gruntu pod określonymi warunkami. Przyjdzie nam wnet do nich powrócić.

Poprzednie wszystkie ustawy gruntowe, które obowiązywały przez ostatnich lat 22, doprowadziły do sprzedaży dzierżawionych gruntów za cenę ogólną 23,000.000 funtów szterlingów (około 520 milionów Koron); 72.903 dzierżawców kupiło uprawiane przez siebie grunta. Skutkiem zaś prawa z r. 1903, zatem w ciągu zaledwie pięciu lat, ogół kupna i sprzedaży przedstawiał obrót 77,000.000 funtów (ok. 1.750 milionów Koron), i 228.958 dzierżawców stało się właścicielami. Zatem w przeciągu czasu przeszło cztery razy krótszego nowe prawo spowodowało ruch trzy razy żywszy w tej dziedzinie i trzy razy więcej dzierżawców wykupiło swe grunta. Jest to oczywiście wielki postęp i niemałe powodzenie. Lordowie okazali się więc skłonni do sprzedaży, dzierżawcy skorzy do kupna. Dlaczegoż więc żądać nowego prawa?

Warunki ustanowione przez konferencyę i parlament dadzą się krótko tak sformułować: sprzedaż gruntów miała zapewnić wielkim właścicielom rentę, nie mniejszą od dochodu, jaki przedstawiała t. z. tenuta dzierżawna drugiego terminu [1]; kupno miało dochodzić do skutku w takich warunkach, by roczny procent, jaki płacić miał chłop-nabywca, stanowił prawdziwą ulgę w porównaniu do rat jakie przedtem panu musiał spłacać. Nadto przez odpowiednio obmyślane korzyści chciano doprowadzić do tego, by wielcy właściciele nie tylko sprzedawali swe majątki, lecz nadto, by nie opuszczali Irlandyi. Tak więc pieniądz, płacony im za majątki zostawałby w kraju, wychodziłby więc na korzyść społeczeństwa, a w szczególności na korzyść warstw pracujących.

Nadto ustawa przyznawała ulgę *(bonus)* dwunastoprocentową dzierżawcom w razie, gdy im władze ostatecznie przyznały prawo własności. Zazwyczaj i z reguły na tem się kończyło, t. j. faktycznie rząd opuszczał nabywcy 12% ceny kupna. Był to oczywiście wielki ciężar dla skarbu; to wystarczy do wytłumaczenia dążeń rządu, by stan rzeczy zmienić. W rzeczy samej rząd proponuje nowe prawo, by zredukowano tę ulgę do 3%, ale równocześnie p. Birrell żywi

[1] Tenutą drugiego terminu zwie się opłata, jaką uiszczają dzierżawcy w drugim terminie swej dzierżawy. Określały ją specyalnie w tym celu ustanowione instytucye.

nadzieję, że pomoc nadejdzie skądinąd, nie określając jednak ani źródła ani ilości tych nowych zasiłków. Jesteśmy więc w oczekiwaniu. Wszystko zatem wskazuje na to, że upadek prawa z r. 1903 jest skutkiem braku pieniędzy w skarbie państwa.

W następnej kronice, w razie przyjęcia nowego prawa, będziemy się mogli zastanawiać nad przyszłością gospodarzy irlandzkich. Tymczasem porzucanie uprawy i ruch emigracyjny do nowego świata i do Australii nie ustaje.

Oto jak się przedstawiają dotyczące daty statystyczne, na rok 1908, wyjęte z urzędowych dokumentów, wydawanych przez »Wydział uprawy roli i przemysłu dla Irlandyi«. Zestawiano je z datami roku poprzedniego:

a) zmniejszenie produkcyi zboża, zwłaszcza jęczmienia; ogółem różnica 33.329 akrów (24.090 morgów pol.);

b) zmniejszenie obszaru, przeznaczonego na uprawę kartofli (— 3768 a. = 2733 m.), powiększenie zaś uprawy rzepy (+ 3862 a. = 2590 m.) i buraków pastewnych (+ 4978 a. = 3598 m.);

c) znaczne zmniejszenie produkcyi lnu (— 12.738 a. = 9207 m.);

d) zwiększenie powierzchni łąk (+ 21.442 a. = 17.498 m.);

e) zwiększenie powierzchni pastwisk (+ 69.191 a. = 50.011 m.);

f) znaczne zwiększenie liczby bydła rogatego (+ 115.336 sztuk) i owiec (+ 313.014 szt.), również koni (+ 8.366 szt.), zmniejszenie zaś ilości nierogacizny (— 99.305 szt.) i drobiu (— 296.896 szt.).

Może nie bez pożytku będzie rzut oka na ogólne cyfry, przedstawiające stan uprawy roli w kraju: wszak ekonomia polityczna uczy, że podstawą przemysłu i matką jego to właśnie uprawa roli. Oto więc cyfry za rok 1908:

Oziminy	1,261.662	akrów	czyli	909.729	morgów	polskich
Jarzyny	1,008.794	»	»	729.156	»	»
Len	46.921	»	»	33.902	»	»
Owoce	12 129	»	»	8.767	»	»
Siano	2,302.760	»	»	1,664.435	»	»
Pastwiska . . .	12,502.286	»	»	9,036.652	»	»
Lasy	301.550	»	»	217.960	»	»
Nieużytków . .	2,914.623	»	»	2,006.690	»	»
Zatem na ogół . . .	20,350.725	akrów	czyli	14,607.291	morgów	polskich

więcej niż połowa obrócona na pastwiska; nie dziw więc, że mówią o wyspie szmaragdowej i o zielonej Irlandyi.

Ilość bydła wynosiła w roku 1908:

604.510	koni
30.349	mułów
241.183	osłów
4,791.829	sztuk bydła rogatego
4,129.623	owiec
1,217.763	sztuk nierogacizny
246.254	kóz
24,030,099	sztuk drobiu.

Cyfry te ukazują dobitniej niż wszelkie rozumowanie niedobory, jakim kraj podlega i dlaczego ludność coraz więcej skłania się do emigracyi. Niema roboty dla rąk żądnych pracy, robota w polu coraz mniej sił wymaga, przemysł zanika, a pastwiska coraz więcej się mnożą. A na nieszczęście polityka więcej zajmuje umysły ogółu, niż położenie ekonomiczne, gdy tymczasem młodzi ludzie w wieku od 17 do 25 lat, cała nadzieja narodu, uciekają i zwracają swe kroki do krajów dających im obfitą robotę i dobrą płacę. Od r. 1850 Irlandya straciła połowę swej ludności! A objaw ten stoi w rażącem przeciwieństwie do tego, co się dzieje w obydwóch innych krajach Królestwa. W roku 1841 Irlandya liczyła 8,175.124 dusz, Szkocya zaś 2,620.184; w r. 1906 ludność naszej wyspy spadła do cyfr 4,386.035, podczas gdy mieszkańców Szkocyi liczono na 4,726.070! A przyczyny nie należy szukać w zmniejszonej liczbie urodzeń; w rzeczy samej przeciętna rodzina w Szkocyi wynosi 4.62 osób (w r. 1906), w Irlandyi zaś 4.90 (w r. 1901). Odważni i silni, młodzi i zdrowi idą zatem szukać gdzieindziej szczęścia, zostawiając w kraju słabych i mniej odważnych. Ci stają się wnet pastwą gruźlicy i innych chorób zakaźnych, a do niechybnej przedwczesnej śmierci doprowadza ich powoli, ale nieubłaganie ich stan ogólnej słabości, a więcej jeszcze nadmierne używanie upajających trunków, któremu się oddają, aby mniej czuć głód, trawiący ich wnętrzności.

Walka przeciw gruźlicy, o której już dawniej wspominaliśmy, nie ustaje. A także prowadzi się dalej walka przeciw nadużywaniu trunków, a przewodzą w niej OO. Kapucyni. Dowódcą tej krucyaty antyalkoholicznej był niegdyś Kapucyn O. Mathen. Jego posąg stoi na jednej z głównych ulic Dublina, a na pamiątkę jego usług, jak opowiada legenda, pozwolono jego braciom zakonnym wychodzić ze swych klasztorów w swym tabaczkowym habicie. Są to zapewne je-

dyni zakonnicy, którzy występują publicznie w swym zakonnym stroju.

Skutkiem wymownych nawoływań tego kapłana, zawiązywały się w całej Irlandyi stowarzyszenia, które się zobowiązywały nie używać przez czas pewien napojów alkoholicznych, wielu nawet przyjmowało to zobowiązanie *(pledge)*, poręczone tylko obietnicą, nie przysięgą, na całe życie. Trzeba przyznać, że OO. Kapucynów wspierają energicznie w tem zbożnem przedsięwzięciu tak Bracia szkolni, jak i Ojcowie Towarzystwa Jezusowego. Pierwsi z nich dzierżą w swem ręku większą część szkół ludowych pierwszego a nawet i drugiego stopnia, a szerzą skutecznie w swych zakładach między powierzoną sobie młodzieżą abstynencyę całkowitą [1]. Corocznie odbywa się w Dublinie przegląd armii abstynentów. Pochód, przesuwający się przed okiem widzów nieraz przez godzinę przeszło, zwłaszcza gdy pogoda sprzyja, liczy tysiące mężczyzn wszelkich stanów i ze wszystkich części kraju. To sami abstynenci. Często, widza ogarnia wzruszenie na ich widok: wielu z wyglądu przemęczonych, słabych, zgłodniałych, nędzę można wyczytać na ich twarzy, a jednak mają hart woli potrzebny do wyrzeczenia się trunków, choć one dają chwilową ulgę nieszczęśliwym, co chcą na chwilę zapomnieć o swych cierpieniach.

Sumy wydawane przez Irlandyę na napoje przedstawiają ogromne kapitały. Według statystyki z lat ostatnich, mieszkańcy ze wszystkich trzech części królestwa wydali na upajające trunki w r. 1903 np. 174,445.271 funtów szterlingów czyli (4,012,241.233 K.) przeszło 4 miliardy! Część przypadająca na Irlandyę wynosiła 14,311.034 f. s. czyli 329,153.782 K., co przedstawia dla tego kraju wydatek roczny około 75 K. od osoby, czyli dla rodziny liczącej przeciętnie 5 osób stratę 375 K. rocznie. »Jakiego szczęścia i postępu, ilu ulepszeń przyczyną staćby się mogła ta suma!« – mówi kardynał Logue w swym liście pasterskim. »Gdyby użyto tych pieniędzy lub tylko ich części corocznie na wychowanie dzieci, na pomnożenie zasobów kraju, na ulepszenia gospodarskie, na podniesienie przemysłu krajowego, Irlandya wnetby się stała rajem na ziemi. Wyrastałyby w oczach naszych przyjemne i zdrowe domy dla ludności schludnej i zamożnej, i te pieniądze przyczyniłyby się tym sposobem, skuteczniej niż inne wszelkie sposoby, do zatamowania nieszczęsnej emigracyjnej fali, która ludność naszą

[1] W wielu dyecezyach dzieci przyjmują *pledge* w dzień św. Bierzmowania, i zobowiązują się aż do 21 roku życia.

w obie strony porywa«. Niech te kilka słów nam wystarczą na razie w tej kwestyi, wrócimy do niej może kiedyindziej. Dość powiedzieć, że zło niemałe, ale i walka przeciw niemu zacięta i nie bez skutków. Władze autonomiczne, duchowieństwo, szkoła, lekarze, wszyscy podają sobie ręce, by wykorzenić występek, który się stał wadą narodową. Nie zdaje się bowiem być prawdą, by Irlandya była skłonna do pijaństwa z natury, jak to nieraz już powtarzano. A jakkolwiekby się rzecz miała, kraj zdaje się dążyć do zadania kłamu tej opinii. Zapewniają nas, że w ciągu ostatnich lat sześciu 1133 wyszynków trunków czyli *public houses* musiały być zamknięte z powodu braku odbytu. Przyczynia się do tego jeszcze jedno stowarzyszenie abstynentów, założone w r. 1898 przez ks. J. Cullen'a T. J. pod wezwaniem Najśw. Serca Jezusowego. Jest to t. zw. *Pioneer Movement.* Zapisywać się doń mogą ci tylko, którzy dali już dowody abstynencyi i pragną zarzec się alkoholu na resztę swego życia, a tak swym przykładem oddziaływać na innych. Zwią się pionierami, mają mieć conajmniej 16 lat wieku, wstrzymywać się od trunków przynajmniej przez dwa lata przed zapisaniem się do stowarzyszenia i nosić jakąś odznakę widzialną: brelok, spinkę i t. p. z wizerunkiem N. Serca J. Liczba ich wynosi dziś już około 100.000. Wrócimy jeszcze później do dzieła ks. Cullen'a i do działalności Towarzystwa Jezusowego w Irlandyi.

Nie należy zatem oddawać się rozpaczy wobec narodu, który ma jeszcze tyle różnych środków ratunku. Spodziewajmy się, że Bóg wysłucha błagalnego okrzyku wypisanego na tylu sztandarach noszonych na publicznych obchodach: *God save Ireland* — Boże zbaw Irlandyę!

W polityce niema wiele nowego. Zgromadzenie narodowe[1] zebrało się niedawno temu; chodziło na niem przedewszystkiem o rozpatrzenie projektu prawa agrarnego. Niestety raz jeszcze stało się to zebranie powodem rozdwojenia i niepokojów. Zgromadzenie było tak burzliwe, takich używano argumentów, takich nadużyć dopuszczano się w słowach, że kilku członków nie mogło się nawet dostać do głosu, a władza wkroczyć musiała. Była to scena bardzo smutna i wszyscy żałowali... gdy już było za późno. Zdaniem wszystkich sprawa *Home Rule* może na tem tylko ucierpieć. Po tem zgromadzeniu, na którem znaczną większością głosów pochwalono prawo agrarne, poseł miasta Cork, p. William O'Brien, założył fundament pod osobne stronnictwo,

[1] Zgromadzenie narodowe czyli *national Convention* zwołuje *United Irish Leagne*, zatem kompetencyi »Ligi« nie przekracza.

mające na celu pracę nad odrodzeniem Irlandyi na podstawach zupełnie różnych od tych, na jakich opiera się tak stronnictwo narodowe jak i liga zjednoczonej Irlandyi. Nowe stronnictwo miało nosić nazwę »Wszystko dla Irlandyi« — *all for Ireland.* Skutkiem niezgody w łonie nielicznego stronnictwa poseł z Corku złożył swój mandat poselski. Pierwszego maja odbyły się nowe wybory. Stanęło dwóch kandydatów, obaj ze stronnictwa narodowego. Jeden zdaje się popierany przez *United Irish Leagne* i przez stronnictwo narodowe, drugi forytowany raczej przez miasto Cork. Z urny wyborczej wyszedł ten ostatni.

Dublin w maju r. 1909.

Ch. Schoonjans.

Listy z Warszawy.

Erazm Piltz o położeniu chwili obecnej — Rezygnacya p. Korwin-Milewskiego — Neoslawizm — Chciwość — Demoralizacya — Ciągle kabarety — Samobójstwa — Prowincya.

Likwidujemy powoli nasze marzenia polityczne ostatnich kilku lat, spuszczamy nos »na kwintę«.

Oto np. broszura Erazma Piltza p. t. »Polityka rosyjska w Polsce« (List otwarty do kierowników polityki rosyjskiej).

Kim jest Erazm Piltz, były redaktor petersburskiego *Kraju?*

Mówi on o sobie: »śmiem twierdzić, że nikt więcej i boleśniej odemnie nie doświadczył na sobie tego nastroju (najcięższe oskarżenia ze strony rozgoryczonej i rozdrażnionej opinii). Dwadzieścia kilka lat życia upłynęło mi w walce, którą toczyć musiałem z poświęceniem osobistego spokoju i szczęścia«.

Było tak w istocie. Nie było tego grzechu publicznego i prywatnego, któregoby nie zarzucono Piltzowi, potępiając nie tylko bez żadnych zastrzeżeń jego przekonania polityczne, ale obrzucając go także błotem jako człowieka.

I to za co?

Za to, że razem z Włodzimierzem Spasowiczem obmyślił nową metodę pracy politycznej, metodę »pokojowego rozwiązania kwestyi rosyjsko-polskiej«, że jest jednym z twórców t. zw. ugody.

Rzecz ciekawa, co taki *par excellence* ugodowiec myśli obecnie i mówi o swoim eksperymencie politycznym.

Zabrał się on do roboty metodycznie, oświetlił nasamprzód histo-

rycznie całą epokę popowstaniową, zanim wysnuł z faktów wnioski ostateczne.

Nie wesoły to bilans.

Wiadomo, że politycy rosyjscy tłumaczą swój system rządzenia w Polsce koniecznością reagowania na wrogie stanowisko Polaków względem państwa i narodu rosyjskiego i wymaganiami polityki państwowej, która musi być stosowana bez względu na takie lub inne zachowanie się Polaków. Piltz stara się w części historycznej swojej broszury przekonać polityków rosyjskich o niesłuszności ich pretensyi do narodu polskiego i o bezcelowości ich metody.

Kraj nie garnął się do Rosyan? Było tak, ale dlaczego? Bo »szkoła i biurokracya pracowały nad tem wytrwale, aby zaszczepić, i pielęgnować w sercu polskiem nienawiść do wszystkiego, co rosyjskie (potwierdził to swojego czasu sam jenerał Hurko), aby osłabić i zniweczyć poczucie wszelkiej solidarności z państwem«.

Począwszy od r. 1867, kiedy się kraj po ostatnim krwawym wysiłku zupełnie uspokoił, politycy rosyjscy kopali systematycznie, świadomie, przepaść między sobą a Polakami. Hr. Dymitry Tołstoj zniszczył całą organizacyę szkolną, nadaną Królestwu z woli cesarza Aleksandra II (w r. 1866), nie tylko usunął język polski, jako wykładowy, ale nawet wykład jego nakazał w języku rosyjskim. Wiadomo, jakimi środkami usiłował kurator Apuchtin zruszczyć dzieci polskie, czego nie pochwalali jenerał-gubernatorowie Hurko i ks. Imerytyński. Nie nauczycielami byli profesorowie rosyjscy, lecz działaczami politycznymi, nie przyjaciółmi dziecka, lecz jego wrogami.

»Rząd, wytężając i koncentrując wszystkie usiłowania (mówi Piltz) dla politycznego zwalczania społeczeństwa polskiego, nie miał sił i środków na to, aby mógł sam prowadzić robotę kulturalną, a społeczeństwa do tej roboty dopuścić nie chciał. Prowadząc politykę, która musiała wywołać w społeczeństwie rozgoryczenie i opór, rząd nie dopuszczał żadnych kulturalnych zrzeszeń, któreby wzmogły siłę społeczeństwa i dały mu możność rozwinięcia pracy kulturalnej i umoralniającej«.

Nie tylko szkołę zmienił w narzędzie polityczne, ale »strzegł także pilnie i zazdrośnie duszy ludu polskiego od wpływów intelligencyi« (Piltz). Urągali naszemu ziemiaństwu publicyści rosyjscy, że nie zajmuje się chłopem, zapominając, że »nie pozwalano mu na żadną pracę z ludem i dla ludu, ani oświatową, ani kulturalną, ani nawet ekonomiczną«.

Usunięto wszystkich urzędników polskich, wsuwając na ich miejsce rosyjskich, których jenerał-gubernator warszawski, ks. Imerytyński w memoryale swoim z r. 1897 przedstawia w bardzo niekorzystnem świetle, o których W. I. Hurko, syn marszałka, mówi w swojej książce *Oczerki Priwislenia* (Moskwa, 1897 r.): »niesumienność w wykonywaniu obowiązków służbowych, pijaństwo, drobne łapownictwo, wszystko to posiadają oni w wysokim stopniu, co jednak nie przeszkadza im domagać się opieki od władzy na tej jedynie zasadzie, że są Rosyanami«.

»Najgorszą szkołą dla urzędnika rosyjskiego — twierdzi Piltz — był brak praworzędności w postępowaniu rządu i idąca w ślad za tem urzędnicza samowola i bezkarność«.

Mimo takich warunków, wykluczających, jakby się zdawało, wszelkie próby jakiejkolwiek polityki ugodowej, znaleźli się w kraju działacze umiarkowani, usiłujący na tej drodze zdobyć jakieś ulgi. Mistrzem ich był Włodzimierz Spasowicz, głównym instruktorem Erazm Piltz, wykonawcami programu grupa publicystów i działaczów zgromadzonych dokoła warszawskiego *Słowa*. Ugodowcami ich nazwano. Za ich to przyczyną doznał nowy jenerał-gubernator warszawski ks. Imerytyński (w r. 1897) bardzo życzliwego przyjęcia, oni to głównie przygotowali niezwykle wspaniałe przyjęcie dla cesarza Mikołaja II, podczas pobytu cesarstwa w Warszawie.

»Zachowanie się społeczeństwa polskiego w pamiętnych dniach sierpniowych (Piltz), a także i nastrój prasy polskiej wskazywały, że kwestya zrozumienia potrzeby pogodzenia się z państwem na gruncie przyznania nam warunków kulturalnego i narodowego życia, zupełnie już w społeczeństwie polskiem dojrzała. Od rządu tylko zależało zrobić krok w kierunku zrealizowania tej idei politycznej. Czemu tego nie zrobił? Czemu ten moment tak wyjątkowej wagi nie tylko przeszedł bez żadnych dodatnich skutków, ale właściwie od niego zaczęło się znowu pogorszenie stosunków?«.

Taka rozpaczliwa uwaga pod piórem ugodowca *pur sang* nastraja bardzo pesymistycznie. Skarży się ona: wszystkośmy zrobić chcieli, aby sobie zjednać zaufanie polityków rosyjskich, a oni nie uważali nawet za potrzebne zwrócić uwagi na nasze usposobienia ugodowe. My swoje, oni swoje. Nawet ks. Imeretyński, człowiek dobry i krajowi życzliwy, w memoryale swoim (w styczniu 1898 r.) okazał się nieprzychylnym jakimkolwiek reformom, bo: »jeszcze nie nadeszła pora do reform, bo trzeba zaczekać, aż ostygną namiętności, aż stanowcza

polityka rządu otrzeźwi zapalone umysły«. Po ks. Imerytyńskim przyszedł jenerał Czertkow, który wyznawał i stosował zasady, że »Polaków trzeba traktować bez ceremonii, jako wrogów państwa«.

Spodziewali się bardzo słusznie, bardzo logicznie ugodowcy, że metoda ich, pożyteczna dla państwa, znajdzie u rządu poparcie w formie ulg i reform dla Królestwa, liczyli na to, że doraźne skutki, pozytywne owoce ich metody przekonają kraj o właściwości tej metody.

Tymczasem (oświadcza Piltz) nie tylko poparcia tego nie było, ale »rząd systematycznie odrzucał wszelkie starania ugodowców o zaspokojenie najskromniejszych nawet kulturalnych i narodowych potrzeb kraju«. W Petersburgu rozumiano warszawską ugodę po prostu jako »godzenie się na istniejący stan rzeczy«, nie chciano, czy nie umiano zrozumieć, że ugodowcy polscy, stojąc na gruncie jedności i solidarności państwowej, nie myślą wcale przestać być swojego społeczeństwa i jego interesów obrońcami.

Taki skutek polityki ugodowej nie mógł oczywiście poprzeć w opinii publicznej jej twórców, instruktorów i wykonawców, musiał ich obezsilnić, spopularyzować. Przyznaje Piltz, że »stronnictwo umiarkowane, którego przewodnicy popełnili niewątpliwie ten błąd, że w postępowaniu rządzili się zbytnio logiką, zostało rozbite; przerzedziły się jego szeregi, utraciło ono wpływ w kraju. Społeczeństwo polskie, jak człowiek chory, który zrywa w gorączce opaski z niezagojonych ran, dało upust swojemu rozżaleniu i otworzyło ramiona na przyjęcie idei, która mu nie grała hymnu zmartwychpowstania, ani pobudki do powstańczego czynu, ale niosła mu przynajmniej oderwanie od rzeczywistości, od wszelkiej polityki, zamknięcie się we własnych bólach, we własnej wewnętrznej i tajemniczej nad odrodzeniem narodowem pracy«.

Klęska ugodowców była tryumfem wszechpolaków, z których wykwitła narodowa demokracya. Rządy narod. dem. rozpoczynają się z r. 1897.

Jakiż rezultat tych »gorzkich żalów« ugodowca?

Piltz mówi, kończąc swój list otwarty do kierowników polityki rosyjskiej, »niewątpliwie znaleźć się musi formuła, godząca interesy państwa z interesami narodu polskiego — ale na taki program jeszcze zawcześnie«. Bo »jak tu mówić o szczegółowych warunkach pokojowego współżycia, jeżeli naokoło wre walka, walka nieubłagana i zacięta z naszą narodowością i kulturą, jeśli wiara w zbawienność represyjnego systemu nie osłabła, a rusyfikacya nie przestaje być dla

rządu realnym politycznym celem, widoczną pobudką jego czynów i natchnieniem jego najbliższych zamiarów? I dlatego, dopóki w świadomości rosyjskiej nie nastąpi przełom, dopóki nie utrwali się przekonanie, że nastrój społeczeństwa polskiego nie usprawiedliwia ucisku, bo jest w znacznym stopniu tego ucisku następstwem, że rusyfikacya Polski jest marą niedościgłą, a dążenie do niej nawet dla samego państwa szkodliwem, dopóty wszelkie roztrząsania na temat *modus vivendi* będą robotą daremną i próżną«.

Nasza polityka stanęła obecnie na punkcie martwym — kończy Piltz.

Czyby to była likwidacya dotychczasowej metody naszej polityki ugodowej? Tak to przynajmniej wygląda. Straszną rzeczą jest mylić się w polityce, nie umieć patrzeć w jutro, w dal. Takie omyłki mszczą się na całym narodzie, demoralizują go.

Broszura Erazma Piltza ma z dwóch względów znaczenie historyczne: raz zrzuca z ugodowców krzywdzący ich zarzut braku patryotyzmu, czego im przeciwnicy nie skąpili, powtóre jest dowodem, że ugodowcy ochłonęli z pierwszego entuzyazmu optymistyczno-ugodowego. Czy broszura Piltza osiągnie cel trzeci, dla którego była napisana, czy mianowicie przekona kierowników polityki rosyjskiej, okaże przyszłość.

Nasza polityka stanęła więc na punkcie martwym. Co robić dalej? Niech nad tem medytują politycy z zawodu. Są od tego.

I ugodowcy Litwy i Rusi, t. zw. krajowcy opuścili ręce. Jeden z ich głównych przedstawicielów, p. Korwin-Milewski, złożył mandat do Rady Państwa, oświadczywszy w liście do prezesa Rady, że, będąc członkiem Rady Państwa, »zmarnował trzy lata swojego życia nad pracami ogólno-państwowemi, nie przypuszczając, iż jego głos był zaledwie tolerowany, jako głos intruza«. Nowy projekt wypędza Polaków z Litwy i Rusi z Rady Państwa. Byliby więc tam istotnie intruzami.

I nasz neoslawizm ma rzadką minę.

Z jakim to entuzyazmem leciały zeszłego roku od nas tłumy do Pragi Czeskiej na zjazd słowiański, jakże tam toastowano, perorowano, ściskano się, całowano i t. d.? Dmowskiego noszono na rękach.

Tego roku zleciały się »jaskółki słowiańskie« w końcu maja w Petersburgu. Ale świegotały tym razem w tonie minorowym. Wobec sytuacyi, jaka się wytworzyła obecnie — mówił Dmowski — na długo nie może być mowy o rozległej polityce słowiańskiej. Obecnie pierwszem zadaniem jest, aby się każdy naród słowiański wzmacniał, pracując u siebie w warunkach jaknajlepszych, drugiem zaś — rozwój

idei neoslawizmu w krajach słowiańskich, co do tego jednak koniecznie potrzeba, aby podstawy tej idei zostały ściśle określone. Nie można się zadowolić okólnikiem rezolucyi praskich, które nie przeszkadzały członkom zjazdu praskiego głosować w Dumie przeciw dopuszczeniu Polaków w Królestwie Polskiem na posady rządowe. Polacy rozumieją — mówił Dmowski — że m o g ą l i c z y ć t y l k o n a s i e b i e s a m y c h.

Zapewne, że to zawsze i wszędzie najpraktyczniejsza polityka. Mają Niemcy przysłowie: *bist du Gottes Sohn, hilf dir selbst!* I pomagają sobie sami, na czem doskonale wychodzą.

Więc »klapa« na prawo i lewo, w ugodzie, w Dumie, w słowiańskości. Siła złego na jednego, za dużo tego złego na takiego biedaka, jak my. Ale uszu po sobie kłaść nie wolno, trzeba robić, co się da.

Trzeba wytężyć całą energię przedewszystkiem w kierunku moralnego odrodzenia kraju, naprawić to, co rewolucya zburzyła.

Zburzyła rewolucya naszą dawną uczciwość, »przewartościowała« wszystkie dawne »wartości«, nie umiejąc postawić na ich miejsce nowych.

Widzi się to na każdym kroku, we wszystkich kierunkach.

Warszawa słynęła dawniej z hojności, gościnności, z dobrego serca. Była raczej zbyt hojną, zbyt dobrą, aniżeli oszczędną i rządną. Dziś staje się chciwą, drapieżną.

W sklepach i sklepikach ogląda kupiec każdą monetę podejrzliwie, waży ją w ręku, gdzie może urwie kilka groszy, w restauracyach i cukierniach wciska służba w rękę klienta fałszywe pieniądze, wydaje rozmyślnie tak, żeby złapać jaknajwiększy napiwek — w winiarniach sprzedają bez zachłyśnięcia sfermentowane wino — rzemieślnicy narzucają wygórowane ceny — kamienicznicy zdzierają z lokatora skórę, — w redakcyach poobniżali honorarya i przeciągają wypłatę na długie terminy, albo nie płacą wcale — banki i stowarzyszenia pożyczkowe nękają poręczycieli bezustannemi egzekucyami. Żyrujesz komuś weksel, zapłacisz go z pewnością. Moją rzeczą było — oświadcza ci wystawca wekslu z całym cynizmem oszusta, wyzyskiwacza — wystarać się o twój podpis, twoją zaś rzeczą jest płacić. Hojna wkońcu dla ubogich Warszawa zaczyna mieć węża w kieszeni.

W takich warunkach staje się życie wprost przykre, nieznośne. Trzeba się ciągle oglądać na drapieżne ręce, wyciągające się po twoją krwawicę, nie można nikomu ufać. Odczuwa to głównie proletaryat

intelligentny, który dusi się w tych nowych »wartościach«. On to płaci za eksperymenty doktrynerów.

Że jakiś fabrykant stracił przez rewolucyę trochę grosza — niema go czego żałować. Krocie, miliony zgarnął na polskim robotniku, na jego pocie — może straty wytrzymać. Odbija on sobie zresztą teraz te straty, obniżając podwyżki robocizny, wymuszone bombami, browningami. Że kupiec nie robił podczas rewolucyi takich interesów, jak poprzednio, także nie wielka dla niego szkoda. Poradził sobie, podniósł ceny towarów. Tak samo wszyscy, ocierający się o handel, tak samo wszyscy rzemieślnicy. Wszystkie ceny poszły w górę o jedną trzecią. Że tego owego kamienicznika poturbowała rewolucya — nikt z nich nie zginął. Zmówili się teraz ci wszyscy »burżuje« i śrubują komorne do grzesznej wysokości.

Ale proletaryat intelligentny: lekarze, adwokaci, nauczyciele, literaci, chemicy i t. p.? Im nie podniósł nikt honoraryów, przeciwnie, poobniżano im wszędzie dochód. Zarobki ich zmniejszyły się, a życie stało się o jedną trzecią droższe. Oni biedni, nie posiadają środków do »odbijania« sobie strat, nie umiejący szachrować, wyzyskiwać, spekulować, bo nie uczono ich tej sztuki, dławią się w nowych warunkach, w nowych »wartościach«. Prawie cały nasz intelligentny proletaryat tonie w długach. A handel, wielki i mały, stał się tak bezwzględny, że nie chce czekać ani jednego dnia. Wyciąga chciwą rękę i woła, krzyczy, wymyśla: płać natychmiast! Proletaryusz intelligentny musi płacić za wszystko niezwłocznie, on zaś czeka na swoje honorarya miesiące, czasami lata.

Rubel, który nie był dawniej w Warszawie władcą, rozpanoszył się obecnie z całą brutalnością i bezwzględnością gruboskórnego parweniusza.

Razem z nim przyszła żądza używania życia w formie bardzo niewybrednej: lukulusowe biesiady (w domach bankierskich, przemysłowych i kupieckich) bezmyślny śmiech na farsach i operetkach, całonocne oklaskiwanie podkasanych *div* kabaretowych.

Żadne miasto w Europie nie posiada tyle i tak wykwintnie urządzonych kabaretów, jak Warszawa obecnie, i w żadnem mieście nie zapełnia kabaretów taka publiczność, jak u nas. Wszędzie są kabarety punktem zbornym studentów, rzemieślników, młodych wojskowych i przejezdnych cudzoziemców, którzy chcą oglądać wszystkie »osobliwości« danej miejscowości, ale żeby sobie *tout Paris, tout Vienne, tout Berlin* dawał *rendez-vous*, w takich szynkach artystycznych, nie

przyjdzie przecież nikomu na myśl. U nas widzi się w tych »budach« nie tylko intelligencyę, ale nawet »świat«, ocierający się najspokojniej o półświatek, o złodziejów i bandytów. Bo ku wielkiej uciesze i wygodzie policyi upodobali sobie złodzieje, bandyci i włamywacze szczególnie kabarety, do których zanoszą ukradzione, zrabowane pieniądze. Gdy policya szuka jakiegoś opryszka, znajduje go zawsze w jakimś »Momusie« albo »Renaissance'ie«.

Obliczono, że kabarety zgarniają u nas codziennie 15.000 rubli, czyli rocznie sześć milionów. Ale nasza opera i dramat robią bokami, nasza filharmonia ledwie zipie.

Są to pieniądze rozmaite, swoje i cudze. Już kilku kupczyków, subjektów sklepowych, którzy okradli dla zadowolenia *div* kabaretowych swoich pryncypałów, odebrało sobie życie w chwili wytrzeźwienia.

Samobójstwa stały się u nas od pewnego czasu tak częste, iż przestały ludzi dziwić. Codziennie czytamy w dziennikach wiadomości: zastrzelił się, powiesił się, utopił, najczęściej »otruła się«. Są to, prawdopodobnie ofiary wolnej miłości. I t. zw. *crimens d'amour*, z których słynie głównie Francya, doczekaliśmy się w Warszawie. W tych dniach znów strzelała jakaś dama, inżynierowa Dowiakowska, w hotelu do obywatela ziemskiego, Janiczewskiego, kobiety z ludu, z gminu stołecznego, nauczyły się już operować witryolejem, jak robotnice paryskie.

»Rozwydrzyła się« Warszawa. Jest to niewątpliwie zwykłe »rozwydrzenie« porewolucyjne, znane z historyi wszelkich rewolucyi, przejdzie ono oczywiście z czasem, jak przechodzą odry i różne gorączki, bo w takim stanie nie może istnieć długo żadne społeczeństwo, ale trzeba pomódz społeczeństwu wrócić do równowagi, do opamiętania.

Właściwie nie całemu społeczeństwu, lecz tylko Warszawie, która, jako obecnie miasto handlowe, straciła charakter polski. Trzykroć-stotysięcy Żydów, wielkie mnóstwo Rosyan i Niemców zatarły dawny koloryt Warszawy, zmieniły ją w mrowisko kosmopolityczne.

Ale kraj, prowincya, nie przestał być tem, czem był. Kraj nie podziela wcale upodobań stolicy, nie zachwyca się wolną miłością, nie oklaskuje »apostołów nowych idei« i geniuszów kabaretowych. Lublin, Płock, Częstochowa, Włocławek i inne miasta prowincyonalne nie wieńczą prelegentów warszawskich, nie spieszą na widowiska wędrujących kabaretów. Prowincya została polską. Z niej wyjdzie odrodzenie.

Trzeba Warszawie pomódz do powrotu do równowagi. Ale któż ma się podjąć tego dzieła? Nasze teatry służą bezmyślnie prądom chwili, nasza prasa zagrzęzła po same uszy w bezpłodnej polityce, w bezcelowej gadaninie, nasza literatura babrze się w wolnej miłości, w pornografii i prostytucyi.

Zostaje prasa katolicka. Ale ta prasa katolicka jest jeszcze tak słaba, materyalnie i ideowo, tak mało popiera ją świat katolicki, tak niewiele piór utalentowanych zaciągnęło się pod jej sztandar, iż nie posiada dotąd żadnego wpływu.

Trzeba więc czekać cierpliwie na nowy, świeży wiew orzeźwiający, na jakąś nową reakcyę idealistyczną, która przyjść musi. Starych idealistów, zwanych wstecznikami, nikt dziś nie słucha. Są oni zresztą na wymarciu. W dorastającem młodem pokoleniu cała nadzieja.

Teodor Jeske-Choiński.

Druk ukończono 7 lipca 1909 r.

RUCH KATOLICKI WŚRÓD SŁOWEŃCÓW.

W dali porwane łańcuchy Karawanek; bliżej zielone od traw i drzew wzgórza, na których szczytach, jak gwiazdy w noc letnią, w promieniach słońca błyszczą kościoły i kaplice, cel licznych, choć uciążliwych pielgrzymek, pobożnych Słoweńców; w bezpośredniem otoczeniu szmaragdowa plama rozległych parków *Tivoli*, poprzecinane mnóstwem wodnych wstęg torfowisko lublańskie, wyniosła góra zamkowa, gdzie przez dziesięć wieków wznosiła się warownia margrafów karynckich, dzisiaj więzienie, u stóp tej góry szerokim sierpem rozłożone miasto, przeglądające się w falach Sawy, skąpane w potokach światła, co gra na wieżach kościelnych, na placach i posągach, przekrada się przez korony drzew i na ziemię rzuca jeszcze smugi — tak w ogólnych rysach przedstawia się rzymska Hemona, obecna Biała Lublana, centrum katolickiego ruchu wśród Słoweńców.

Zalatuje tu powiew starożytności. Rzymską kolonię zmiotły z widowni ziemi wędrówki narodów; odrodziła się na nowo i w jedenastym wieku występuje na terenie dziejów już jako słowiańska placówka. W długich latach jej istnienia szalały nad nią burze węgierskie i czeskie; pławił się w jej krwi złoty półksiężyc islamu; niszczyły ją zacięte religijne walki; przelatywały nad jej górami i dolinami francuskie orły z czasów rewolucyi, a wkrótce potem na europejskim kongresie r. 1821 obradowali cesarzowie Austryi i Rosyi, król obu Sycylii i książę Modeny z licznem gronem

dyplomatów, jak stawić tamę szerzącemu się we Włoszech ruchowi narodowemu i wymyślili środek, który ten ruch jeszcze wzmocnił i spotęgował, bo ten właśnie skutek wywołało gwałtowne zniesienie konstytucyi w Neapolu. Na pamiątkę tego zjazdu nazwano jeden z piękniejszych placów Lublany »Placem kongresowym«; zdobi go pomnik feldmarszałka Radeckiego.

Zabytków przeszłości Lublana wiele nie posiada. Czasów przedhistorycznych sięga obejmujące 23 tysiące hektarów torfowisko lublańskie, którego osuszenie zainicyował Jezuita Gruber, kanalizując je r. 1780; dokoła góry zamkowej od strony kanału widać resztki rzymskich murów starej Hemony. Czasy tureckie przywodzą na pamięć przechowywane w skarbcu katedralnym ornaty, zrobione ze złotem tkanych szat bośniackiego baszy, Hasana; dziś jeszcze odprawiają w nich w katedrze 22 czerwca msze święte na pamiątkę zwycięstwa odniesionego w tym dniu przez wojska chrześcijańskie nad Hasanem. W przeszłość także prowadzi Muzeum krajowe ze swymi zabytkami, pochodzącymi we wielkiej części z torfowiska i ze starymi dokumentami.

W dawnym kościele jezuickim, dzisiaj św. Jakóba, wita polskiego wędrowca dobrze utrzymany ołtarz św. Stanisława Kostki, a na samotnej przechadzce w cienistych gajach w Tiwoli stanie mu może w pamięci obraz córki Łokietka, królowej Elżbiety, która w podróży do Neapolu w początkach czternastego wieku jakiś czas tu przebywała i dziełami miłosierdzia i dobroczynności na długie wieki wsławiła swe imię.

Jeżeli jednak mało rzeczy mówi tu o przeszłości, to bez porównania więcej świadczy o teraźniejszości. Lublana i jako miasto, i jako stolica, a więc przedstawicielka kraju, zrozumiała, jak nikt inny, dzisiejsze prądy i wymagania, oczyściła je, ile się dało, z niepotrzebnych a szkodliwych naleciałości i wprowadziła w życie. Stąd też stoimy w Lublanie wobec jedynego w swoim rodzaju zjawiska, tego mianowicie, że ruch narodowy, wychowawczy, oświatowy, socyalny i ekonomiczny, łączy się z ruchem katolickim w jedno ogniwo i stoi w zupełności pod jego egidą tak dalece, że historya dzisiejszej Lublany to najlepsza apologia owocnej działalności katolickiej wiary i katolickiego Kościoła. Ce-

lem niniejszej pracy będzie to, dla niejednego może niespodziewane twierdzenie, w krótkości uzasadnić.

Pisząc w poprzedzającym artykule o kraińskich katolickich zakładach wychowawczych, zaznaczyłem, że byt tych zakładów jest przez różne pobożne fundacye w przeważnej części zapewniony. Dokładnej statystyki tych fundacyi dzisiaj podać nie można, gdyż przy sekularyzacyi zakonów i bractw i przy upaństwowieniu szkoły, sekularyzowano równocześnie i zapisy, a ślady ich we wielu wypadkach tak zatarto, że obecnie już na nie wpaść trudno, a często i wprost niepodobna. Naliczyć można mimo to w Krainie samych katolickich fundacyi, mających na celu popieranie szkół, seminaryów nauczycielskich, zakładów dla sierót i ociemniałych, jako też ułatwianie nauk uczniom gimnazyów i uniwersytetów, sto pięćdziesiąt trzy; z tych zawdzięcza księżom swoje istnienie sto dwanaście, a katolikom świeckim czterdzieści jedna — katolikom nie z imienia, lecz z czynu. Kapitał ich wynosi 1,392.870 koron, a roczny dochód K. 69.600 [1]. Rzecz jasna! Nie wszystkie fundacye przynoszą już dziś namacalne korzyści; znajdują się jednak między niemi i takie, które wiele dobrego zrobiły i robią. Wystarczy tu wspomnieć np. o zapisie księdza Łukasza Knafelj, który rok rocznie udziela czterdziestu dwom studentom, pochodzącym z Krainy a kształcącym się na uniwersytecie wiedeńskim, po sześćset koron, aby zrozumieć, że w ciągu długich lat swego istnienia dał on setkom młodych ludzi sposobność do uczęszczania na wszechnicę a konsekwentnie do oddziaływania na moralny i umysłowy poziom kraju.

Z fundacyami łączą się różne związki i stowarzyszenia katolickie powołane do życia w tym celu, by bezpośrednio szkoły i szkolne kształcenie młodzieży popierały. Moralna i materyalna działalność tych związków i stowarzyszeń nie ogranicza się jednak tylko do Krainy, przeciwnie sięga ona daleko poza granice kraju, gdzie tylko Słoweńcom z pomocą iść może.

I tak lublańskie *Stowarzyszenie św. Cyryla i Metodego*, założone w r. 1885 z okazyi tysiącletniego jubileuszu Apostołów

[1] Cyfry w całym artykule podane odnoszą się, o ile rzecz w tekście nie jest inaczej wyraźnie zaznaczona, do początków r. 1906.

słowiańskich, utrzymuje dwie pięcioklasowe szkoły w Tryeście, jednej z najwięcej zagrożonych placówek słowiańskich, a pole swej działalności rozszerza coraz dalej. Celem tego stowarzyszenia jest zakładać szkoły przeważnie na kresach i umożliwić dzieciom wychowanie narodowe i religijne. Dlatego też kler bierze liczny udział w pracy *Stowarzyszenia* a zakonnice stoją często na czele szkół, ochronek i ogródków freblowskich; na nieszczęście w ostatnich latach niepożądana agitacya liberalna zaczęła wichrzyć i wywoływać zamęt w celu zeświecczenia *Stowarzyszenia* i jego zakładów.

Pripravniški dom, założony przez katechetę ks. Kržič'a, a liczący w r. 1906 około trzystu członków i 51 tysięcy koron kapitału, zdąża do otwarcia katolickiego seminaryum nauczycielskiego i drobniejszemi zapomogami idzie z pomocą ubogim kandydatom.

Slomškova Zveza, przypominająca swą nazwą niezapomnianego księcia-biskupa Slomšeka a powołana do życia w czasie drugiego katolickiego kongresu Słoweńców w r. 1900, postanowiła sobie »popierać obyczajowo-religijne, pedagogiczne i narodowe interesy szkoły na podstawie zasad katolickich i dążyć do materyalnego poprawienia doli nauczycielstwa«. Wspomaga te zadania *Związku* własny organ *Slovenski Učitelj* i filie w Gorycyi, Idrii i Kranje. Ponieważ jednak *Stowarzyszenie* tak w swoim organie, jako też i na wiecach, wyraźnie zaznaczało i zaznacza, że chodzi mu o katolickiego ducha we wychowaniu i kształceniu a szczególnie o pożyteczną katechizacyę, spotkało się, rzecz zwykła, z niedowierzaniem i brakiem poparcia ze strony rządu i z teroryzmem ze strony przeciwnego obozu; stąd też działalność jego była dotychczas zamkniętą w dość ciasnych granicach.

W dążności do pracy nad podniesieniem oświaty nie zapomniano i o uczniach wszechnic, choć tutaj chodziło w pierwszej linii o moralne poparcie. We Wiedniu zawiązała się katolicka *Danica Jutrzenka*, w Gradecu *Zarja Zorza*. Związki te skupiają katolickich studentów słoweńskich, podtrzymują w nich ducha religijnego i moralnego, a akademicka sekcya słoweńskiej *Leonova Družba* idzie z pomocą materyalną, udziela bezprocento-

wych pożyczek lub zwykłych zapomóg, ułatwia osiągnięcie zapisów i fundacyi, wspiera jednem słowem moralnie i materyalnie. To też z tych dwóch *Związków* młodzieży akademickiej wyszła już spora garść profesorów, lekarzy, prawników i urzędników, a usposobienie młodzieży gimnazyalnej każe się spodziewać, że wkrótce większość akademików słoweńskich stanie na gruncie pozytywnie katolickim.

Stowarzyszenie dobroczynnych dam dla popierania studentów, kuchnia studencka prałata Jerana i druga ks. dra Marinko posuwają również naprzód dobrą sprawę przez rozdzielanie wolnych obiadów i kolacyi, ubiorów i książek, płacę mieszkań itd.; w tym samym kierunku rozwijają dobroczynną działalność klasztory Lublany i innych miejscowości, gdzie znajdują się szkoły średnie. Uznają to roczne sprawozdania różnych zakładów i gimnazyów.

W tej zbożnej pracy nie pominięto i dzieci. *Katoliško društvo detoljubov* opiekuje się dziećmi opuszczonemi i stara o katolickie wychowanie w rodzinach i szkołach. Dwa tysiące pięćset członków liczyło *Društvo* w roku 1906, posiada własny organ *Krščanski Detoljub* i wydało już sporo książek dla dzieci, rozszerzonych w tysiącach egzemplarzy.

Nie chcemy tu bynajmniej twierdzić, że tylko katolicy w tym kierunku pracują. Zapuszczają na młodzież swe sieci liberali i socyaliści. Utrudniają oni przez to pracę katolicką, prowadzą mnóstwo młodzieńczych, zapalnych serc na manowce i rzucają ich przez pisma i stowarzyszenia w objęcia socyalizmu i radykalizmu. Nie przeczymy temu, chodzi nam tu jednak tylko o uwydatnienie działalności katolickiej, która na sześćset mniej więcej tysięcy mieszkańców Krainy jest chyba wcale znaczną i nie mija się z celem. Dowodem tego fakt, że ruch katolicki między młodzieżą szkół średnich i uniwersytetów się szerzy, znikają do katolicyzmu długotrwałe uprzedzenia, zawiązują się związki katolickie i kongregacye a byłoby jeszcze lepiej, gdyby władze szkolne w dobrze zrozumiałym interesie własnym, zajmowały wobec tego ruchu nie tak apatyczne a nawet i wrogie stanowisko. Proszeni ze strony kompetentnej o przemilczenie konkretnych objawów

tego ruchu wśród młodzieży przeważnie gimnazyalnej — o przemilczenie, ponieważ w wolnem państwie wolność nie wszystkich jest udziałem — ograniczamy się do tych kilku ogólnych uwag.

Nie na młodzieży jednak kończy się oświatowa praca katolicyzmu w Krainie; objęła ona całego człowieka tak dalece, że jak z słuszną dumą dziś mówią przywódcy Słoweńców, w Krainie niema prawie analfabetów, a umysłowy poziom ludności stoi bardzo wysoko. Bo też, w przeciwieństwie do sfer liberalnych Krainy, wszystkie warstwy katolickiej ludności mają swoje organa prasowe, powołane do życia i prowadzone przez kler tak dalece, że ich historya, powstanie i rozwój łączą się zawsze z nazwiskiem jakiegoś księdza.

Założony np. jako reakcya przeciwko liberalnym zakusom siedemdziesiątych lat katolicko-narodowy polityczny dziennik *Slovenec*, rozchodzi się w małej Krainie w mniej więcej sześciu tysiącach egzemplarzy we wydaniu codziennem i w tyluż egzemplarzach we wydaniu tygodniowem. Pierwszym jego redaktorem był ks. Klun, a i dzisiaj jeszcze do grona redakcyjnego należą duchowni, między nimi taki na całą południową Słowiańszczyznę głośny działacz, jak ks. Lampe. Ciężkie były losy pisma; żagrażała mu prokuratorya, osłabić się starała jego wpływ wroga agitacya przeciwnego obozu; niejeden z redaktorów, będąc równocześnie posłem na sejm lub do parlamentu, był zmuszony na czas rozwiązania sejmu czy parlamentu chronić się w obcych krajach przed niekoniecznie zawsze sprawiedliwie karzącą ręką władzy, co swoją drogą miało ten dobry skutek, że w takich niedobrowolnych podróżach redaktor czy współpracownik nabierał doświadczenia, rozszerzał horyzont swej myśli, zapełniał pracami na obczyźnie zrodzonemi swą tekę literacką lub lokal redakcyjny.

Slovenec jest pismem dla wszystkich; lud posiada między innemi tygodniki *Domoljub* i *Bogoljub*, o których wpływie i dobrej redakcyi świadczy fakt, że pierwszy liczy dwadzieścia cztery, a drugi osiemnaście tysięcy prenumeratorów.

Dla sfer inteligentnych wychodzi znany i u nas ze swej wykwintnej formy, pięknych illustracyi i urozmaiconej treści beletrystyczny miesięcznik *Dom in Svet* (około 3 tysiące egzem-

plarzy) i pod zdolną redakcyą uczonego profesora seminaryum duchownego w Lublanie, ks. Ušeničnik'a naukowy *Čas* o dobranej a różnorodnej treści.

Duhovni Pastir zaopatruje potrzeby kleru, *Slovenski Učitelj* nauczycieli, *Naša Moč* robotników, *Slovenski Obrtnik, Narodni Gospodar, Dolenjske Novice, Občinska Uprava* różnych warstw przemysłowych w najszerszym zakresie, *Vrtec* (Ogród) młodzieży, *Angelček* dzieci, *Zora* studentów, *Zlata Doba* abstynentów, który to związek, zorganizowany w dwa stowarzyszenia: świeckich i kleru, pod ręką ks. ks. Kreka, Kalana i znanego dobrze i u nas ks. Lenarda, prędko i dzielnie się rozwija; jego zgromadzenia we wielkiej sali związkowego, katolickiego hotelu *Union*, są zawsze licznie uczęszczane.

Działalność na tem polu mogła się rozszerzać przedewszystkiem dzięki założonemu przed dwudziestu laty przez ks. Jerič'a *Katolickiemu Związkowi prasy.* Znaczna ilość członków — w r. 1906 było ich 470 — i ich ofiarność umożliwiły założenie prowadzonej na wielką skalę własnej drukarni, introligatorni i księgarni, w której ku miłemu zdumieniu między autorami słoweńskimi nie rzadko spotkać można nazwiska Sienkiewicza, Prusa i innych polskich pisarzów. Na wszystkich też katolickich pismach słoweńskich widnieje firma *Katoliška Tiskarna.*

Przed dwoma laty, kierując się rozumną w tym wypadku zasadą centralizacyi, otworzono w nowo wybudowanym olbrzymim gmachu *Drukarnię związkową* z najnowszemi urządzeniami i z lokalami dla poszczególnych redakcyi pism. Jasno tam, świeżo i przestronno. Rozległa sala redakcyjna mieści w sobie pisma całego świata — mało niestety polskich; — cały gmach jest wzorem wyzyskania miejsca i ma tę wielką dogodność, że wszystko razem, a jedno drugiemu może iść z pomocą. Nie wiem, czy gdzie w Austryi znaleśćby można odpowiedni *pendant;* w każdym razie nie u nas.

W tej pracy szerzenia oświaty wśród szerokich warstw wspomagają prasę czytelnie, biblioteki parafialne, stowarzyszenia mające na celu dalsze uzupełniające kształcenie, a grupujące się koło *Słoweńskiego chrześcijańsko-społecznego Związku.* Takich

katolickich kształcących kółek, urządzających odczyty, przedstawienia i zgromadzenia towarzyskie, popierających katolicką prasę i utrzymujących równocześnie mniej lub więcej bogate biblioteki, posiadają Słoweńcy trzysta pięćdziesiąt. Centrala np. lublańska liczy trzy tysiące ośmiuset członków i urządza dla nich kursa socyalne, uczy języków: angielskiego, włoskiego, polskiego i rosyjskiego, wykłada buchalteryę, wygłasza odczyty, popiera pracę kobiecą i daje przedstawienia. Tu też wspomnieć jeszcze wypada o założonym świeżo, bo w r. 1906, dla młodzieży gimnastycznem towarzystwie *Orel*, które liczy obecnie pięćdziesiąt pięć sekcyi, a które w inne katolickie stowarzyszenia wprowadziło nowe życie i swoim sposobem do podniesienia poziomu oświaty nie mało się przyczyniło i przyczynia.

Biblioteki parafialne, pomijając biblioteki różnych kongregacyi maryańskich i Trzeciego Zakonu, znajdują się w kilkudziesięciu parafiach. Na ich czele stoją księża, a daty statystyczne wykazują jasno, że książki w nich zawarte, nie są martwym tylko balastem i inwentarzem, lecz idą w lud.

Książkami popularnemi co do treści i formy zalewa całą południową Słowiańszczyznę stowarzyszenie o wybitnie katolickim charakterze *Družba sv. Mohorja*. Siedzibą jego jest, jak to na tem samem miejscu już w roku zeszłym pisaliśmy, stolica Karyntyii, Celowiec; dźwignią jednak moralną i materyalną *Družby* jest Kraina. Pół miliona książek rzuca *Stowarzyszenie* rok rocznie w domy słoweńskie, a tak dobrze u Słoweńców zapisane nazwiska współpracowników, jak księża Krek, Bohinjec, Volčič lub Kalan, jednają *Stowarzyszeniu* coraz więcej sympatyi i dają mu coraz to większe poparcie. Nie dziw więc, że od r. 1852, w którym książe-biskup Marcin Slomšek *Stowarzyszenie* to założył, wydało ono przeszło jedenaście milionów książek o treści ascetycznej, religijnej, historycznej, gospodarczej i belletrystycznej.

Slovenska Matica za to i *Leonova Družba* mają na oku głównie klasy wykształcone. Pierwsza powstała przy wybitnej pomocy kleru, który też do ostatnich lat był prawie wyłącznym przedstawicielem *Maticy* na prowincyi, uprawia naukę i wydaje corocznie po kilka książek; między swymi współpracownikami

ma i miała *Matica* również nie mało księży, pracujących na polu belletrystyki (ks. Bohinjec), filozofii (ks. Fr. Lampe), historyi (księża Parapat i Koblar) i t. d.

Leonova družba zawdzięcza swe powstanie pierwszemu kongresowi katolików słoweńskich w r. 1892. Zorganizowana na wzór wiedeńskiej *Leogesellschaft* ogranicza się przeważnie do naukowych odczytów o bardzo urozmaiconej treści, w których bierze udział wszystko, co Kraina wśród swoich katolickich synów liczy wybitnego i do wydawania peryodycznego, apologetycznego pisma *Čas*, o którem już wyżej była mowa; rzadziej na razie zajmuje się innemi wydawnictwami, choć rozpoczęła przed kilku laty zakrojoną na wielką skalę publikacyę materyałów do historyi Słoweńców we wiekach średnich.

Jeżeli ponadto zwrócimy uwagę na *Związek św. Cecylii*, który nietylko zdąża do popierania muzyki i śpiewu kościelnego, lecz utrzymuje również szkołę organistów, — od r. 1877 wyszło z niej około dwustu wykształconych organistów; — na Związek dla popierania chrześcijańskiej sztuki, którego celem jest ochrona i odpowiednia restauracya zabytków sztuki; na różne stowarzyszenia literackie i filozoficzne, jak *Związek św. Cyryla, Akademia św. Tomasza;* na większe biblioteki, jak np. biblioteka seminaryum duchownego w Lublanie, a przedewszystkiem prywatna biblioteka lublańskich słuchaczów teologii, która liczy siedem tysięcy tomów z zakresu wyłącznie słoweńskiej literatury i historyi; jeżeli uwzględnimy i to, że historya literatury słoweńskiej złączoną jest na zawsze z takiemi nazwami, jak w siedemnastym wieku: ks. ks. Čandik, Kastelec, Poglovec, Ponlin; w dziewiętnastym wieku: ks. ks. Vodnik, Kumerdej, Japelj, Metelko, Zupan, Potočnik, Vrtovec, Ravnikar, Lampe, Jeran, których imiona w całej południowej Słowiańszczyźnie otoczone są aureolą talentu, owocnej miłości kraju i ducha katolickiego, to obraz oświatowej działalności Kościoła w Lublanie i Krainie przedstawi się w rysach ogólnych wprawdzie, mimo to dość plastycznych i pozwalających zrozumieć znaczenie Kościoła na tem właśnie polu oświaty ludowej.

W niemniej dodatniem świetle przedstawia się praca karytatywna Kościoła w Krainie, o której rzuciliśmy już także kilka

uwag w zeszycie czerwcowym *Przeglądu*. Obejmuje ona szpitale i kasy chorych; schroniska dla ubogich, zapisy dla tychże i stowarzyszenia; nie zapomina nawet o zmarłych.

Cztery wielkie szpitale kraińskie, jak np. główny szpital w Lublanie, który leczy dziennie 400 — 500 chorych, powołane zostały do życia przez koła duchowne; dwa zawdzięczają swoje powstanie osobom świeckim, lecz szczerze katolickim, gdzie z tego właśnie katolickiego ducha wypłynęła ofiarność; trzy otworzył kraj czy też gminy z okazyi jubileuszu cesarskiego; jeden założył świecki związek dam dobroczynnych; wszystkimi jednak bez wyjątku kierują i zarządzają członkowie katolickich zgromadzeń zakonnych.

Katolickich kas zapomogowych dla chorych liczy sama Lublana siedem; są między niemi i nie bardzo znaczne, są i takie, które rozporządzają kilkadziesiąt tysiącami koron (zapis np. Józefy Jolen 60 000 k.); inne miejscowości Krainy posiadają ich jeszcze jedenaście.

Domów i schronisk ubogich, założonych znowu przez sfery prawie wyłącznie duchowne, jest w Krainie siedem, a różnych fundacyi i zapisów sto siedemdziesiąt z kapitałem 797.800 i dochodem 39.890 k.

Wydatną działalność rozwijają konferencye św. Wincentego, których głównem dziełem jest ochronka dla sierót, *Kollegium Marianum* w Lublanie, złączona z pięcioklasową prywatną szkołą słoweńską; sześćdziesiąt sierót znajduje przytułek w schronisku. Takich konferencyi było w r. 1906 sześć, z tych w Lublanie cztery.

Związek pań chrześcijańskiej miłości zajmuje się ubogimi i schroniskiem sług *Iosephinum*.

Owocniej może pracuje dla ubogich dobroczynność nie zewszystkiem zorganizowana. Istnieje w Krainie zwyczaj, że w większe święta wygłaszają księża tu i ówdzie po znaczniejszych miejscowościach t. zw. »kazania ubogich« a wszędzie we większe święta zbierają na ubogich składki, które dają zwykle znaczne sumy. Znana i u nas instytucya *Chleb św. Antoniego*,

przynosi w kościele XX. Franciszkanów w Lublanie rocznie do 2 tysięcy koron, w Toplicach 200, w Planinie 400 i t. d.

Na dziesiątki tysięcy liczyć można w pieniądzach i rzeczach jałmużny, jakie katolicka szlachta i katolickie mieszczaństwo Krainy rozdziela co roku między ubogich kraju i z wielkiem uznaniem wyrażają się wszyscy o klasztorach katolickich, przedewszystkiem o OO. Kapucynach i Franciszkanach i PP. Urszulankach; w tych centrach miłości chrześcijańskiej olbrzymia ilość ubogich, a głównie studentów otrzymuje całodzienne, dla miłości Chrystusa, bezpłatne utrzymanie.

Dla zaokrąglenia tej części pracy dodać jeszcze trzeba, że różne bractwa i pobożne stowarzyszenia poświęcają się dla ubogich zmarłych, urządzają im pogrzeby, sprawiają trumny, starają się o odprawienie Mszy św., a jak wszędzie, tak i na tem polu, prym wodzą duchowni. W tym małym więc kraju miłość chrześcijańska wcieloną została we wielki czyn.

Gdzie jednak Kraina jest przykładem dla wszystkich i wywołuje zdumienie zrozumieniem potrzeb czasu i sposobem zaradzenia tymże, to na polu pracy socyalnej. Na kartach tej właśnie części historyi współczesnej Lublany zapisane będą na zawsze imiona biskupów Mahnič'a i Jeglič'a, adwokata Sustersič'a i księdza Kreka. Biskup Mahnič ruch ten zainicyował; książe-biskup Jeglič poświęca mu pracę i życie; adwokat Sustersič jest jego przywódcą w sejmie krainskim i parlamencie wiedeńskim i żal tylko, że jego ostatniej wielkiej myśli w Radzie państwa przeprowadzić się nie dało; organizatorem i duszą ruchu jest ks. Krek.

To osobistość niezmiernie popularna w Krainie; ale ten wielki mowca ludowy o szerokim horyzoncie a głębokiej myśli, o sprężystej ręce i zdolności ponad zwykłą miarę organizacyjnej, ten teoretyczny i praktyczny socyolog, jest równocześnie człowiekiem niezwykłej skromności, którego nie odurza poklask tłumu, ani mu zamyka oczu na to, czego jeszcze nie dostaje.

»Ot — mówił, wskazując mi w swym gabinecie pakę dzienników, między nimi jeden polski — leżą tu całe stosy dzienników. Nie czytałem ich nawet, bo wiem, że mówią mi tylko o tem, cośmy zrobili; a chciałbym, żeby nam raz także powie-

dziano, czegośmy jeszcze nie zrobili i jakbyśmy to, co jest, udoskonalić mogli«.

Jak każdy wybitny działacz, ma i ks. Krek swoich wrogów, którzy na widok jego istotnie zdumiewających czynów, krzywią się i głową kiwają. To mówi za wiele swoim zorganizowanym robotnikom o prawach, a za mało o obowiązkach; to znowu nie zwraca uwagi u swych protegowanych na ducha religijnego — te i tym podobne zarzuty świadczą albo o niezrozumieniu stanu rzeczy, albo nawet o niekoniecznie dobrej woli a może i małostkowej zazdrości, która nie mogąc się sama zerwać do czynu, i w innych ten czyn źle widzi i źle go tłómaczy. Dla Polaków przychylny i z wielką sympatyą o nich się wyrażający, czuje jednak pewien żal do posłów polskich, a żal ten po ostatnich zajściach we Wiedniu mógł chyba tylko jeszcze wzróść.

Nie naszą rzeczą zajmować się w tym szkicu polityczną działalnością katolików słoweńskich; ten szczegół historyi wymaga wytrawnego, zawodowego pióra. Trudno jednak pominąć zupełnem milczeniem głośną *Slovenska Gudska Stranka, Słoweńskie Stronnictwo Ludowe.* Opiera się ono na podstawie chrześcijańskiej, demokratycznej i narodowej a wyszło wzmocnione z powszechnego głosowania. Podczas kiedy *Słoweńska partya postępowa,* która pod wpływem uniwersytetów niemieckich powstała z młodzieży słoweńskiej i swym brutalnym programem, najniższego mianowicie rodzaju walką przeciwko religii i klerowi skupiła koło siebie, jako czynnik decydujący, urzędników, a w pewnej części także kupców i przemysłowców, to *Stronnictwo ludowe* objęło szersze warstwy, choć przeciwnicy wszystko robili, by je stłumić w samym zarodku. Nie udało się i kiedy już kandydat piątej kuryi, dr. Sustersič, otrzymał przy wyborach, gdzie cały kraj głosował, 36 tysięcy głosów, a jego przeciwnik nie całe 18 tysięcy, gdy potężnemu filarowi postępowych, Hribarowi, tak utrudniono wybór w Lublanie, że przyszło aż do wyborów ściślejszych, z których wprawdzie dzięki socyalistom wyszedł zwycięsko, lecz z wielkiemi trudnościami — już wówczas można było przewidzieć, że partya postępowa zaczyna powoli tracić na wpływie i znaczeniu. Dzisiaj jest dla wszystkich jasnem, że w nie-

długim czasie poza partyą katolicką innej wogóle w Krainie nie będzie, tembardziej, że ostatnie miesiące zgotowały postępowym nowy, bodaj czy ze wszystkich, nie najsroższy cios. Stronnictwo liberalne słoweńskie, afiszujące się zawsze swym patryotyzmem a odsądzające katolików, wzorem innych podobnych stronnictw, nie tylko od miłości ojczyzny, ale nawet od prawa do tej miłości, dopuściło się wobec sprawy narodowej sromotnej zdrady i ta zdrada przez Niemców wyszła na jaw. Burmistrz Lublany, zarazem szef postępowych, Hribar, widząc stronnictwo swoje chylące się ku upadkowi a chcąc je jeszcze ratować, nie szukał sojuszu i porozumienia z katolicką partyą słoweńską — zbrodnia bowiem katolicyzmu jest tak wielką, że dla jej zwalczania poświęca się nawet względy narodowe, — lecz zwrócił się, kosztem właśnie sprawy narodowej, do Niemców. Niemcy mieli liberalnym Słoweńcom dopomóc do uzyskania mandatów do Sejmu, do Wydziału krajowego i Krajowej Rady szkolnej; w zamian obiecał Hribar wprowadzić Niemców do Rady miejskiej w Lublanie, złożonej wyłącznie ze Słoweńców i do Izby handlowej, dać im pewną ilość miejsc w zarządzie krajowego Towarzystwa Rolniczego, odstąpić im szkołę wydziałową w Postojnie, postawić na równi ze słoweńskim teatr niemiecki i udzielić obydwom jednakich subwencyi. Ponieważ Hribar i jego stronnictwo tego, wszelkiej narodowej i wogóle wszelkiej etyce urągającego sojuszu nie mogli zachować, Niemcy sami całą sprawę do wiadomości publicznej podali i tym sposobem wpływ stronnictwa postępowego jeszcze więcej podkopali.

Stojącego z dala od całego ruchu w Krainie może to znaczenie i ta potęga politycznego stronnictwa katolickiego słusznie zadziwić; zagadka jednak przestaje być zagadką dla tego, kto bliżej stosunkom się przypatrzył. Ks. Krek powiedział kiedyś, że chcąc wogóle coś zdziałać, trzeba przedewszystkiem wychować sobie ludzi, bo nie programami, ale ludźmi idzie praca, a gdzie są ludzie, tam nie trzeba programów, gdyż sami dla siebie programem będą. Trzeba więc umieć skupić i zgromadzić ludzi czynu, żyjących nie dla siebie, lecz dla idei, idących odważnie i rozważnie w bój, nie cofających się przed niepowodze-

niem i nie opuszczających rąk, gdy już czegoś dokonali, pamiętających przeciwnie, że wiele jeszcze do uczynienia pozostaje.

Ks. Krek tę zasadę sformułował i przeprowadza ją konsekwentnie, zrozumieli ją jednak i wielcy działacze przed nim, jak ks. Kolping lub Vončina. Stąd zaczęto istotnie ludzi sobie wychowywać a środkiem do tego były organizacye wszystkich stanów, mające na celu nie tylko moralne, ale głównie może materyalne interesy rozmaitych sfer.

Zorganizowano więc kler w dwa stowarzyszenia religijne, działające przedewszystkiem moralnie, a mianowicie w *Sodalicyę N. Serca*, do której prawie cały kler kraiński należy i w *Stowarzyszenie wytrwania kapłańskiego*. Poza tem jednak założono w r. 1873 *Towarzystwo wzajemnej pomocy*, udzielające wsparcia na wypadek choroby, częstszego przenoszenia, niezdolności do pracy i t. p. W ciągu pięciu lat rozdzieliło *Towarzystwo* między potrzebujących kapłanów 17.213 koron. Ponieważ zaś, jak gdzieindziej, tak i w Krainie kler zwalczany często bywa przez wrogie pierwiastki oszczerstwem i potwarzą, powołano do życia w r. 1900 *Związek prawnej pomocy*, *Obrambno društvo*, które bada fakta, zmusza na podstawie ustawy prasowej do odwołania potwarzy i prowádzi, gdy tego zajdzie potrzeba, także procesy.

Zorganizowano rękodzielników w związki czeladników i terminatorów. Celem pierwszych przygotować wyćwiczonych w swem rzemiośle a stałych we wierze majstrów; celem drugich położyć posiew pod przyszłe organizacye czeladników. Jedne i drugie dążą do celu przez odczyty, wykłady, lekturę, zgromadzenia towarzyskie, pielęgnowanie ducha religijnego i przez zapomogi materyalne. Związek lubliański np. przyjął od czasu swego założenia w r. 1855 do r. 1906 przeszło 1960 czeladników.

Zorganizowano służbę, która bardzo tej pomocy potrzebowała, gdyż na całą Styryę, Karyntyę, Istryę, Kroacyę i Dalmacyę idą dziewczęta słoweńskie, a w swej pogoni za chlebem doszły nawet do Aleksandryi, gdzie utworzyły całą słoweńską kolonię i gdzie mają osobnego duszpasterza swej narodowości. *Iosephinum* w Lublanie i *Zavod sv. Marte* tamże istniejący,

przyjmują na mieszkanie stare, do służby niezdolne służące; za malenkiem wynagrodzeniem udzielają przytułku dziewczętom chwilowo miejsca pozbawionym; utrzymują szkołę szycia; pośredniczą w szukaniu miejsca; biblioteką i czytelnią dostarczają dobrej lektury; urządzają odczyty i godziwe zabawy. *Iosephinum* kierują zakonnice od św. Krzyża; *Zakładem św. Marty* same służące, Za sześć koron rocznej wkładki ma każda prawo do mieszkania w schronisku, które w przeciągu trzech lat przytuliło około 1600 dziewcząt. Trzeci kongres katolików w r. 1906 polecił także bardzo tworzenie dalszych schronisk i misyi kolejowej.

Zorganizowano robotników. Rozpoczęto tę pracę w r. 1894. Organizacya lublańska robotników przyjęła charakter polityczny i stała pod kierownictwem samych robotników; księża udzielali jej głównie moralnego poparcia. Pierwotna praca ograniczała się do zgromadzeń, kursów socyalnych, apologetycznych i politycznych, do zebrań w celach towarzyskich lub w celu dalszego kształcenia się; dopiero w r. 1904 wyłoniła się myśl założenia *Robotniczej Spółki spożywczej* i *Spółki budowlanej*. Pod sprężystą ręką ks. Kreka zbudowała *Spółka* w przeciągu pięciu lat dla robotników sto domów; każda rodzina otrzymała za małą cenę, która w ciągu 20 do 30 lat będzie umorzoną, osobny dom z ogródkiem. Jakiego znaczenia w krótkim czasie nabrała organizacya, świadkiem różne wybory ostatnich lat.

Organizacya robotników na prowincyi była raczej niepolityczna, służąca celom towarzyskim i zapomogowym; jej działalność nie była początkowo bardzo wydatną i dopiero roczne kongresy delegatów organizacyi ożywiły związki prowincyonalne; kongres np. r. 1906 przedstawiał sześć tysięcy robotników.

Pierwotny charakter religijny i polityczny tych związków ustępował powoli neutralnemu charakterowi zawodowemu. W roku 1906 liczyła Kraina osiemnaście organizacyi robotniczych, z tych dziesięć zawodowych.

Ta potęga była solą w oku stronnictwom socyalistycznym i liberalnym, wytężały też, choć bez rezultatu, wszystkie siły, by ją zwalczać. Stowarzyszenie jednak rozwijało się a *Związki*

zawodowe jeszcze więcej znaczenie i wpływ liberalny i socyalistyczny podcięły.

Organizacya robotnicza nie byłaby jednak tak silną, gdyby za podstawę nie miała organizacyi ekonomicznej całego kraju. W opozycyi do bezproduktywnego liberalizmu i więcej słowami, jak czynem działającego socyalizmu, zrozumieli przywódcy chrześcijańsko-społeczni, że trzeba naród pod względem ekonomicznym podnieść i wyrwać go z rąk lichwiarzy i żyjących krwią i potem ludu pijawek. Dlatego założono wiele spółek ekonomicznych, które wszystkie złączyły się w lublańskiej *Zadružna Zveza Związek spółek* i *Gospodarska Zveza Związek gospodarczy*.

Zadružna Zveza zakłada nowe spółki, udziela zapomogi i pożyczek, broni ich interesów, prowadzi rewizyę i kieruje kasą centralną. O jej znaczeniu mówią następne cyfry: w r. 1905 obejmowała ona 321 spółek, rozdzielonych na Krainę, Styryę, Kroacyę, Pobrzeże, Karyntyę, Istryę i Dalmacyę; w tem 158 kas Raiffeisena, 16 kas zaliczkowych, 61 związków rolniczych, 24 związków konsumcyjnych, 40 spółek mlecznych, nadto spółki winne i przemysłowe; liczyła 65.209 członków z 2,098.162 koron udziału i z obrotem 169,513.845 koron. W r. 1907 było tych kas i związków reiffeisenowskich, przemysłowych i produkcyjnych już 530, a wszystkie spółki i związki, rozsiane pod całej południowej Słowiańszczyźnie, są od centrali lublańskiej zależne.

Gospodarska Zveza jest środowiskiem ruchu kupieckiego i handlowego, kieruje eksportem handlowym i dostarcza prowiantu austryackiej flocie; roczny obrót w 1908 wynosił 17 milionów koron.

Żeby wpływ tych ekonomicznych spółek podnieść, założono w ostatnim roku pierwszą w całej monarchii *Szkołę związkową* w Lublanie; celem jej dostarczać kierowników i wodzów dla życia związkowego. W roku bieżącym kształciło się w niej dwudziestu czterech Słoweńców i Chorwatów.

Te cyfry i fakta dają tylko pobieżny obraz współczesnego ruchu w Krainie, ale wystarczają, żeby zrozumieć znaczenie stronnictw katolickich, ich wpływ i potęgę; głośno mówią, ile dobrego może zdziałać kler, boć kleru to wszystko jedyną za-

sługą; zbijają twierdzenie, że Kościół pociesza lud tylko nadzieją nieba, a z założonemi rękami każe mu tu cierpieć i znosić; pokazują również, jakie można osiągnąć owoce, jeżeli się umie wychować ludzi a z dobrą wolą łączy się ducha czynu i energii, nie upada w przeciwności i nie odpoczywa po osiągnięciu bezpośredniego, choć tylko częściowego celu, i jeżeli święty ogień, pchający do czynu, nie jest jedynie ogniem słomianym.

Historya dzisiejszej Lublany i dzisiejszej Krainy, to wzór i przykład dla wszystkich; krynica, z której każdy czerpać może i powinien, komu dobro Kościoła i ludu leży na sercu. Kto poznał dzisiejszą Lublanę z jej trudem i znojem, z jej walką i tryumfem, a przedewszystkiem z jej wodzami, ten dla niej i dla nich będzie miał tylko słowa uznania i uwielbienia.

Rozbudzają oni na nowo wiarę w człowieka; wskazują, jak bogatą w szlachetne pierwiastki kopalnią jest serce ludzkie — trzeba tylko umieć tę kopalnię znaleźć, otworzyć i wykorzystać.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z HISTORYI MISYI POLSKIEJ NA KRYMIE.

MISYA KS. PIOTRA BOROWSKIEGO T. J. (1743—1747).

Udział polskich Jezuitów w misyach zagranicznych był wogóle niewielki, a w porównaniu do prac misyjnych innych prowincyi zakonnych nawet bardzo mały. Złożyło się na to wiele przyczyn, wynikających po części ze stosunków i pola działalności Jezuitów w samejże Polsce, a po części z okoliczności od polskich Jezuitów niezależnych, mianowicie ze stosunków wewnętrznych Rzeczypospolitej i jej zagranicznej polityki, nie sprzyjających rozwojowi zagranicznych misyi na większą skalę.

Przez pierwszych kilkadziesiąt lat istnienia Zakonu w Polsce, nie mogli Jezuici poświęcać się pracy w krajach dalszych, bo mieli aż nazbyt szerokie pole działania w krajach Rzeczypospolitej, a niewielka stosunkowo ich liczba ledwie mogła podołać pracy w kolegiach i szkołach, jakoteż pracy do jakiej dawała sposobność wielka liczba różnowierców w Polsce, nie mówiąc już o bardzo szerokiem polu pracy misyjnej na tak zwanych misyach ludowych.

Dopiero od połowy XVII wieku, gdy i liczba Jezuitów polskich znacznie wzrosła i walka z różnowierstwem miała się ku końcowi, mogli byli i oni w wydatniejszej liczbie poświęcić się pracy na misyach zagranicznych i istotnie do tego dążyli, tylko że pod tym względem napotykali na większe przeszkody i znaj-

dowali się w gorszych o wiele warunkach, aniżeli Jezuici innych prowincyi.

Rzeczpospolita kolonii zamorskich nie miała, więc i Jezuitom polskim brakło właściwego terenu do zakładania własnych stacyi misyjnych, a do zakładania stacyi misyjnych w sąsiednich krajach wschodnich, czy to wśród schizmatyków, czy wśród muzułmanów brakło im silniejszego dyplomatycznego poparcia i ochrony ze strony rządu Rzeczypospolitej, — chociażby takiego poparcia i ochrony interesów misyjnych, jakie mieli np. Jezuici francuscy dla swoich misyi lewantyńskich za rządów Henryka IV i Ludwika XIV, ochraniani nie tylko przez reprezentantów dyplomatycznych Francyi, ale pobierający także stały zasiłek pieniężny po 150 guldenów na osobę, wypłacany przez posłów francuskich [1].

Co w danych warunkach mogli zrobić, to robili Jezuici polscy, zgłaszali się mianowicie do jenerała Zakonu z prośbą o misye na terenie innych prowincyi zachodnich, ale tylko w małej liczbie prośbom ich stawało się zadość, bo pomoc ich tamże była przeważnie zbyteczna. Nie potrzebowali ich pomocy Jezuici hiszpańscy, osiedli na wielkich obszarach kolonii hiszpańskich zwłaszcza w Ameryce i na Filipinach, gdzie dzięki poparciu rządu hiszpańskiego najwięcej posiadali stacyi i kolegiów misyjnych, w których np. około połowy XVIII wieku pracowało 2171 misyonarzy, w tem 1278 księży to jest prawie tyle, ile było wówczas wszystkich Jezuitów polskich, (w roku 1756 było ich 2261, w tem 1054 księży; w chwili kasaty było polskich Jezuitów 2359, w tem 1179 księży).

Jezuici portugalscy, do których należało terytoryum Brazylii, Indyi wschodnich, a po części Chin i Japonii, potrzebowali pomocy tylko dla swych misyi na dalekim wschodzie, zwłaszcza dla trudnych misyi chińskich, tam też najwięcej zgłaszało się w XVII w. Jezuitów z Polski i otrzymywało czasem na nie pozwolenie [2].

---

[1] »Listy różne ku chwalebnej ciekawości i chrześcijańskiemu zbudowaniu służące, z Azyi, Afryki, Ameryki... od misyonarzy Soc. Iesu pisane«, Warszawa 1767, str. 122.

[2] St. Załęski: »Jezuici w Polsce«, t. II, str. 585—603 i III, str. 892—94.

Za właściwe terytoryum misyjne Jezuitów polskich możnaby uważać jedynie Mołdawię, gdzie blizkie sąsiedztwo i wpływy Rzeczypospolitej, umożliwiły założenie kilku stacyi misyjnych z główną rezydencyą w Jassach, gdzie też aż do kasaty Zakonu z przerwami i nieraz wśród wielu trudności działalność misyjna mogła się rozwijać i rozwijała. Inne misye polskie miały charakter bardziej dorywczy, jak np. misya w Moskwie od 1604—1608 r., 1684—1718 r., misya w Konstantynopolu, na Krymie i w Persyi.

Z wszystkich tych misyi najwięcej widoków rozwoju miała misya perska, założona za czasów Władysława IV w związku z jego planami wojennymi przeciw Turcyi, a z funduszu królowy Maryi Ludwiki, która na utrzymanie misyonarzy 15.000 lirów złożyła. Misya ta należała wprawdzie do prowincyi francuskich, ale już zaraz z początku pracowali tam także Polacy, jak np. ks. Tomasz Młodzianowski w Ispahanie, gdzie francuscy Jezuici główną stacyę założyli, zbudowali ładny kościół i otwarli z czasem szkołę dla dzieci europejskich przybyszów, a dzięki protektoratowi Francyi mieli uprzywilejowane stanowisko wśród innych misyonarzy, bo mieli prawo używania dzwonów, podczas gdy w innych kościołach tylko grzechotek wolno było używać[1].

Później przybywało ich tam więcej, zwłaszcza od czasów króla Jana III, który dla polskich Jezuitów założył rezydencyę w Szamachi, nie bez widoków także politycznych, skoro misyonarze tej rezydencyi według aktu fundacyjnego mieli być kapelanami poselstwa J. K. M. króla polskiego i jako tacy mieli obowiązek towarzyszyć posłowi polskiemu w drodze do Ispahanu i przebywać z nim na dworze perskim przez dwa miesiące, dla ułatwienia mu oryentacyi w stosunkach perskich, z którymi osiadli misyonarze musieli być lepiej obeznani. Później dla oszczędzenia kosztów sami misyonarze czasem poselstwa te odprawiali jak np. ks. Jan Gostkowski i ks. Ignacy Zapolski za króla Jana III, albo przebywali dłuższy czas w stolicy szacha jako rezydenci Rzeczypospolitej, jak tenże ks. Zapolski, a po nim ks. Ignacy

[1] »Listy różne...« część IV, str. 137.

Wieczorkowski i ks. Tadeusz Krusiński za Augusta II, który dla Jezuitów polskich w Gandzie (Elizabetpol) w roku 1700 nową rezydencyę założył.

Ten wzgląd polityczny był przyczyną, że misya polska w Persyi otrzymywała od czasu do czasu także pieniężne zasiłki od króla [1], a w roku 1712 nawet szlachta wielkopolska na sejmiku średzkim uchwaliła 1000 tynfów dla tejże misyi [2].

Rozwój tej misyi został wstrzymany rewolucyą perską i wojną z Afganami. Ostatni misyonarz ks. Krusiński musiał na dłuższy czas opuścił misyę, a gdy wreszcie wybrał się do Persyi poraz trzeci w roku 1740, nie zastał ani śladu rezydencyi polskiej i wkrótce do Polski wrócił [3].

Jezuicka misya w Stambule, założona jeszcze w 1583 roku, obsługiwana była przez Włochów i Francuzów, pozostających pod opieką konsula francuskiego. Rozkwit tej misyi przypada na czasy Ludwika XIV, którego wpływ w Porcie był bardzo wielki, a wskutek tego stanowisko ambasadora francuskiego bardzo uprzywilejowane, co się między innemi tem na zewnątrz objawiało, że jedynie przy kaplicy poselstwa francuskiego dozwolone było używanie dzwonu, jak to opisuje kapelan poselstwa polskiego do Porty za Augusta II ks. Fr. Gościecki T. J. [4].

»Jeden francuski poseł ma moc bez sprzecznicy
Pozytyw mieć i dzwonek przy swojej kaplicy.
A że muzyk nie mają tutejsze kościoły,
Cichym szmerem pacierzy, jako jakie pszczoły
Wierni Boga błagają«...

W gościnie u Jezuitów francuskich zjawiają się w drugiej połowie XVII wieku także polscy Jezuici, dla których nie brakło

[1] Rkp. Czart. 478 p. 275, ks. Wieczorkowski do Augusta II.

[2] »Ojcom Jezuitom Missionariis do Persyi, Imci księdzu Krusińskiemu in vim eleemosinae na tysiąc tynfów IMCi Panu Marszałkowi Koła naszego z czopowego i szelężnego podatku zleciliśmy dać assygnacyą«. K. Jarochowski: »Z czasów saskich«, str. 69.

[3] Napisał historyę tej rewolucyi po turecku, potem przetłumaczył ją na łaciński język. Dzieło to, bardzo ważne dla stosunków perskich, zostało wkrótce przełożonem na język francuski i angielski. Estreicher: »Bibliografia polska«, tom XX.

[4] Poselstwo wielkie JW. St. Chomentowskiego, p. 286.

pracy zwłaszcza około jeńców z Rzeczypospolitej uprowadzonych, a także około Polaków osiadłych w Stambule i kupców ormiańskich, między którymi było wielu schizmatyków.

Stałą obsługę misyjną w Konstantynopolu obejmują Jezuici polscy dopiero od początku XVIII w., gdyż po pokoju karłowickim na podstawie VII artykułu traktatu z Turcyą, mieli misyonarze zapewnioną prawną egzystencyę, wolność posiadania kościołów i sprawowania bez przeszkody czynności kapłańskich [1], a prawie równocześnie mieli zyskali stałe utrzymanie z funduszu sufragana warmińskiego Jana Kurdwanowskiego (12.000 zł.) i z późniejszych składek zebranych w Polsce na tę misyę. Mimo intryg schizmatyków i innowierców praca misyjna w Stambule przynosiła wydatne rezultaty, a jeden z polskich misyonarzy, ks. Sadowski, w ciągu długiego tamże pobytu (od 1731—55), około 12.000 rodzin ormiańskich dla katolicyzmu pozyskał.

Okolicznością bardzo korzystną dla rozwoju misyi polskich na terytoryum tureckiem w XVIII wieku były przyjazne dyplomatyczne stosunki między Portą a Rrzecząpospolitą po pokoju karłowickim, zaznaczane nie tylko przez wzajemne poselstwa przy zmianach panujących, ale także oparte na pewnej wspólności interesów, mianowicie na potrzebie zbliżenia się wobec zagrażającej już wtedy obu państwom rosyjskiej przewagi.

Dzięki tym stosunkom otwarły się wówczas i dla trzeciej jezuickiej misyi, dla misyi krymskiej lepsze widoki na przyszłość.

Misya krymska napotykała dotychczas na największe trudności, mimo że pomoc polskich misyonarzy właśnie na Krymie była bardzo pożądana, chociażby tylko przez sam wzgląd na wielką liczbę brańców polskich, uprowadzanych tysiącami w jassyr [2].

---

[1] Religiosi christiani Romano-Catholici iuxta concessa ab Excelso Imperio edicta, ubicunque ecclesias suas habent, consuetas functiones suas sine impedimento exerceant, et pacifice vivant, et ulterius commissas sibi instantias de Religione extraordinarius ad Fulgidam Portam legatus ad imperatorium Solium exponat.

[2] W samych tylko dwu pierwszych latach wojen kozackich uprowadzono w niewolę blizko milion ludu z Rzeczypospolitej — jak świadczy ks. Młodzianowski na podstawie tego, co słyszał od Jerem. Wiśniowieckiego. »Kazania« II, 319

Zaniedbanana przez Rzeczpospolitą obrona kresów wschodnich, mimo powtarzanego często frazesu o przedmurzu chrześcijaństwa, narażała kraje kresowe na ogromne wyludnienie, uprowadzoną zaś w niewolę ludność na odstępstwo od wiary.

Zaniedbanie to polityczne wymagało przynajmniej zapewnienia tym nieszczęśliwym jakiej takiej duchowej opieki dla ulżenia ich losu i utwierdzenia we wierze, ale niestety i tego nie było. Nie brakło wprawdzie ochotnych do takiej pracy misyonarzy, ale do założenia stałych rezydencyi misyjnych dla Polaków na Krymie nie przyszło, bo brakło tym misyonarzom ochrony ze strony Rzeczypospolitej, chociaż ochrona taka dyplomatyczna nie przedstawiała zbyt wielkiej trudności, skoro i w sojusze z Tatarami Rzeczpospolita czasem wchodziła i wypłacała hanom roczne »podarki«, co oczywiście nastręczało sposobność do zapewnienia opieki tym, którzy z gorliwości o zbawienie dusz chcieli się pracy między niewolnym ludem z Polski uprowadzonym poświęcić.

Do takich należeli przedewszystkiem dominikańscy misyonarze. Pomni dawnych jeszcze stosunków z Krymem, kiedy to niektórzy z tego zakonu byli także biskupami w Kaffie, wybierali się od czasu do czasu ze swych klasztorów ukraińskich na misye krymskie, dopóki zawierucha kozacka ich ruskich klasztorów nie zniosła [1].

O założeniu polskiej placówki misyjnej na Krymie zamyślał także biskup krakowski, Bernard Maciejowski, i chciał ją powierzyć księżom świeckim. W tym celu wysłał na wiosnę 1602 r. na Krym z powracającym posłem tatarskim ks. Piotra z Borowna i ks. Walentego Bystrego z Doliny. Misyonarzy tych zaopatrzył hojnie na drogę i wiele się po ich misyi spodziewał, ale misya się nie udała, bo nie wiadomo dla jakiej przyczyny księża ci wrócili z drogi i na Krym się nie dostali [2].

O sprowadzeniu Trynitarzy do Polski pomyślano dosyć późno, bo dopiero za Sobieskiego po odsieczy wiedeńskiej. W ciągu osta-

---

[1] Ks. Sadok Barącz: »Rys dziejów zakonu kaznodziejskiego w Polsce«.
[2] Wielewicki: »Dyaryusz«, II, str. 32.

tniego stulecia Rzeczypospolitej założono dla nich 18 klasztorów, ale prócz wykupna jeńców o ich misyach nic nie wiadomo.

Pierwszym polskim Jezuitą, jaki dostał się na Krym był ks. Franciszek Zgoda. W rezydencyi Kamieńca Podolskiego zapoznał się on w 1612 r. z wracającym posłem hana tatarskiego, katolikiem, genueńczykiem z Kaffy i przez niego prosił Jezuitów francuskich w Stambule o gościnę na czas jakiś, żeby się do misyi krymskiej lepiej mógł przygotować.

Zanim odpowiedź nadeszła był już ks. Zgoda na Krymie i to niezupełnie z własnej woli, bo uprowadzony przez Tatarów w łykach po bitwie pod Sasowym Rogiem, gdzie się znajdował jako kapelan obozowy na wyprawie Stanisława Potockiego.

W niewoli nie długo przesiedział, bo odszukał go ów poseł hański, genueńczyk, wykupił za 19 złotych węgierskich i zabrał ze sobą do Kaffy, skąd ks. Zgoda wybrał się na wędrówkę misyjną po Krymie i trzy lata tamże około Polaków pracował.

Po ks. Zgodzie bawił na Krymie przez trzy lata ks. Jędrzej z Bierzanowa, a po klęsce cecorskiej sześciu innych Jezuitów zabranych w niewolę, którzy po złożeniu okupu przez cztery lata na Krymie pozostali. Po nich pracował tam czas jakiś ks. Wojciech Mogilnicki, zamordowany po powrocie do Polski w 1652 roku przez Kozaków [1].

Wszyscy ci misyonarze pracowali nie tylko około polskich brańców, ale także między Wołochami i Rusinami, których było sporo, czy to w niewoli czy na służbie u Tatarów. Punkt oparcia dla misyonarzy stanowiła Kaffa, mająca przeszło połowę mieszkańców chrześcijan. Z Kaffy wybierali się na wędrówki misyjne po osadach, gdzie więcej było katolików i w każdej takiej osadzie po kilka dni przebywali, ucząc katechizmu, słuchając spowiedzi, chrzcząc dzieci i usuwając różne zgorszenia. W osadach większych, a takich było kilkanaście, ustanowieni przez misyonarzy katechiści wyręczali ich częściowo, odprawiali zamiast kazania w niedziele i święta wspólne modlitwy, odczytywali ustępy

[1] Załęski: »Jezuici w Polsce« tom III, str. 892—900.

z książek pobożnych, chrzcili dzieci z wody, dopóki znowu po jakimś czasie misyonarz nie przybył.

Za Jana Kazimierza po pokoju z Tatarami 1654 praca misyjna była ułatwiona, zwłaszcza, że królowa Marya Ludwika jak na misyę perską i konstantynopolitańską, tak również i na krymską fundusz złożyła (4.343 zł.), a procent od tego kapitału wystarczał na utrzymanie jednego misyonarza. Pracowali wtedy na Krymie ks. Paweł Ulanowski, po nim ks. Paweł Kostanecki, który po pogromie Turków pod Wiedniem został z rozkazu hana wtrącony do więzienia a później wypuszczony pracował jeszcze lat dwa na misyi, dopóki znowu nie dostał się do więzienia, a nawet na śmierć skazany, której jednakże uszedł przy pomocy chrześcijan i do Polski wrócił.

Najdłużej bo przez 18 lat pracował na Krymie ks. Andrzej Zielonacki, popierany przez króla Sobieskiego i hetmana Jabłonowskiego. Z zasiłków, jakie od króla i hetmana otrzymywał, (50 dukatów rocznie) założył on około 1696 roku szpital dla Polaków na Krymie, wspierał ubogich i udzielał pomocy do wykupu z niewoli. Ze śmiercią króla i Jabłonowskiego ustał ten zasiłek pieniężny, a wkróte potem zabrakło i misyonarza, bo ks. Zielonacki zmarł w 1706 r. na posłudze zadżumionych w Bakczyseraju.

Odtąd zaglądali czasem na Krym misyonarze z Mołdawii, ale i te wycieczki ustały, wskutek przewrotów na Krymie, a zwłaszcza wskutek wojny rosyjsko-tureckiej. Wstępem do niej była wyprawa Münicha na Krym w 1736 r. Bez wielkich trudności sforsował on przejście przez półtorej mili długi »perekop« (kilkanaście łokci głęboki, a 12 szeroki, obronny wałem i 8 wieżami), zdobył broniącą go twierdzę Perekop, potem Kozłow i Bakczyseraj, splądrował i spalił inne większe miasta (z wyjątkiem Kaffy) przyczem dostało się i francuskiej jezuickiej misyi w Bakczyseraju, założonej w ostatnich latach Ludwika XIV, którą Kozacy złupili, przyczem zniszczyli także bibliotekę[1]. Następnego roku nowa

[1] Zinkeisen: *Geschichte des Osman. Reiches,* tom v, str. 683.

wyprawa rosyjska na Krym nowe Tatarom przyniosła klęski, bo jenerał Lascy przeszło tysiąc osad wtedy wypalił.

Wojna rosyjsko-turecka odbiła się także na wschodnich terytoryach Rzeczypospolitej, bo wojska rosyjskie, dążące na Mołdawię przechodziły przez polską Ukrainę, a Tatarzy uganiając się za Moskwą wpadli do województwa bracławskiego i znaczny jassyr zabrali.

Ten ostatni fakt przyczynił się pośrednio do wznowienia polskiej misyi na Krymie, bo Jezuici francuscy z Kaffy i Bakczyseraju nie będąc w stanie zaopiekować się polskimi jeńcami zwrócili się z prośbą do prowincyała ks. Tomasza Lichtańskiego, żeby im kogoś z polskich Jezuitów przysłał z pomocą.

Z pośród ochotników, jacy się na tę misyę zgłosili, wybrał prowincyał ks. Piotra Borowskiego i w roku 1742 na misyę krymską go wyznaczył. Ks. Borowski był ostatnim polskim Jezuitą na Krymie przed kasatą zakonu, a pierwszym, który się tam wybrał z fermanem od Wysokiej Porty, do której z listami króla Augusta III jeździł i zabiegi czynił o protektorat Rzeczypospolitej nad katolikami krymskimi.

Dla misyi krymskiej chciał zrobić więcej niż jego poprzednicy, bo próbował drogą dyplomatyczną byt jej ustalić, tymczasem właśnie te jego dyplomatyczne zabiegi naraziły go na rozmaite nieprzyjemności i podejrzenia, tak w Polsce jak i u hana krymskiego, a wskutek zbiegu różnych nieprzewidzianych okoliczności zamiast przyczynić się do utrwalenia i rozwoju misyi krymskiej, sprowadziły jej ostateczny upadek [1].

* * *

[1] O ks. Borowskim podał kilka i to bardzo niedokładnych szczegółów ks. Załęski, »Jezuici w Polsce« t. III, str. 852, 899. Wspomina o nim także K. Kantecki w swej książce »Stanisław Poniatowski«, t. II, str. 113. Kilka szczegółów o jego misyi zapisali superyorzy rezydencyi jezuickiej w Jassach: ks. Ręgarski i ks. Parzechowski w *Historia missionis Moldaviae,* ostatni także w ustępie *Persecutio Tartarica,* (rękopis w Archiw. prow. galicyjskiej). Prócz tego znajduje się w bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie trochę materyału do jego akcyi dyplomatycznej w Stambule, w tem kilka listów ks. Borowskiego, kilka zapisek i dokumentów urzędowych, jako też listy ówczesnego tłumacza Rzeczypospolitej w Stambule, Giulianiego, pisanych do Borowskiego albo w jego sprawach. Dokumenty te zebrane przeważnie w rękopisie nr. 619.

Ks. Piotr Borowski, pochodzący z Prus Królewskich, miał lat 34, gdy się wybierał na misyę krymską[1]. Po skończonych pomyślnie studyach zakonnych uczył kilka lat w różnych kolegiach retoryki, etyki, matematyki i teologii moralnej, następnie przez dwa lata a może i dłużej był misyonarzem ludowym na Ukrainie i Polesiu, przynależnym do rezydencyi w Owruczu[2]. Profesyę zakonną złożył 15 sierpnia 1740 r. w Stanisławowie. Posiadał język włoski i francuski, a gotując się na misyę krymską, zaczął się uczyć języka tureckiego.

Na Krym mógł się wybrać z posłem królewskim, Józefem Łopuskim, który miał domagać się od hana Selim Gereja satysfakcyi za ostatni najazd tatarski i zwrotu uprowadzonego z Polski jassyru[3].

Dlaczego ks. Borowski z nim się nie wybrał, nie wiadomo; wybrał się w drogę dopiero z początkiem 1743 r. i to nie wprost na Krym ale do Stambułu, gdzie chciał naprzód większej nabyć wprawy w języku tureckim, a może także spodziewał się zyskać u Porty protekcyę dla swej misyi przy poparciu posła królewskiego, Pawła Benoego, w którego orszaku chciał podróż odbyć. Benoe, instygator królestwa, wysłany do Stambułu, żeby ułagodzić niezadowolenie, jakie tam wywołały przemarsze wojsk rosyjskich przez terytorya polskie w czasie ostatniej wojny i poczynić przedstawienia przeciw wzmacnianiu tureckich załóg na granicach Rzeczypospolitej a zwłaszcza przeciw zamierzonym nowym fortyfikacyom Chocimia[4], przejeżdżał przez Jassy w listopadzie 1742 r. i miał audyencyę u hospodara mołdawskiego, co się Turkom bardzo nie podobało, jako wykroczenie przeciw zwyczajom dyplomatycznym[5].

W orszaku poselskim Benoego nie było jednakże ks. Borowskiego; zjawił się on w Jassach dopiero w lutym 1743 i to

---

[1] Urodził się w sierpniu 1708 r., wstąpił do zakonu 8 sierpnia 1722.

[2] *Catalogus person. et offic. Prov. Pol.* z lat 1737/38, 1738/39.

[3] Rkp. Czart. 590, str. 31. Na drogę wyznaczono Łopuskiemu 2.000 tal., podczas gdy dla posła do Turcyi i do Moskwy wyznaczono po 6.000 talarów »pro vialibus«. Rada senatu w maju 1742 przeznaczyła dla poselstwa krymskiego »pro donativis solitis« 4.000 złotych polskich.

[4] Benoe do kanclerza i do hetmana. Rkp. Czartor. 591, str. 80, 31, 37.

[5] Ks. Ręgarski w *Hist. mis. Mold.*

ku wielkiemu zdziwieniu tamtejszych Jezuitów, przebrany okazale w szlacheckie szaty, jako sekretarz poselstwa Benoego. Mimo perswazyi superyora rezydencyi jasskiej nie zamieszkał u Jezuitów, ale w jakiejś miejskiej gospodzie. W charakterze sekretarza legacyi polskiej przedstawił się też na trzeci dzień po przybyciu do Jass hospodarowi Konstantemu Maurocordato i na posłuchaniu wręczył mu jakiś podarunek, za co w zamian otrzymał złoty zegarek wartości 30 złotych.

Zaraz potem puścił się w dalszą drogę, ale za swe *incognito* omal że boleśnie nie odpokutował. Poznał go bowiem sekretarz hospodara, Deyma, Lwowianin greckiego pochodzenia, dawniejszy uczeń ks. Borowskiego i wygadał się z tem przed hospodarem. Ten oburzony mistyfikacyą ks. Borowskiego, nie rozumiejąc jej przyczyn, wysłał pogoń, żeby go przytrzymała i do Jass zawróciła. Na szczęście dla ks. Borowskiego pogoń się opóźniła i zwróciła z drogi na wiadomość, że Borowski już się za Dunaj przeprawił. Awantura skończyła się tem, że hospodar, który był życzliwym dla misyi, i nosił się właśnie wówczas z myślą założenia w Jassach konwiktu dla szlacheckiej młodzieży i oddania go Jezuitom, kazał donieść Borowskiemu, że byłby lepiej przyjęty i hojniej obdarzony, gdyby był we właściwej roli wystąpił [1].

W Stambule bawił Borowski przeszło trzy miesiące; miał zatem dosyć czasu i sposobności przypatrzyć się tamtejszym stosunkom i nawiązać znajomości czy to z obcymi posłami, zwłaszcza z posłem cesarskim i z rezydentem sycylijskim, który był bardzo pomocny poselstwu Benoego, czy to z wybitniejszymi dygnitarzami u Porty, co mu później ułatwiło akcyę dyplomatyczną, gdy w sprawie misyi krymskiej starał się o ferman sułtański. Być może że już wtedy próbował zyskać opiekę którego z dygnitarzy dla krymskiej misyi, bo został w Stambule po wyjeździe Benoego z kilku panami polskimi, co się nie bardzo temuż podobało, bo widział w tem jakieś dla nich niebezpieczeństwo [2].

Wkrótce po wyjeździe Benoego opuścił i Borowski Stambuł,

---

[1] *Hist. miss. Moldav.* luty 1743.

[2] Benoe do Giulianiego. Rkp. Cz. 619, str. 429.

złączył się z orszakiem poselskim i towarzyszył mu do Kilii nad Dunajem, skąd wybrał się na Krym [1].

Pierwszy pobyt ks. Borowskiego na Krymie trwał kilka miesięcy. Co robił w tym czasie, nie wiadomo; można przypuścić, że objechał przynajmniej niektóre dawniejsze osady katolickie, poczem, za poradą francuskich Jezuitów wybrał się do Polski, żeby w ich imieniu uprosić Augusta III o poparcie próśb katolickich mieszkańców Kaffy, na odbudowę kościoła zbudowanego tamże jeszcze przez Genueńczyków, a wówczas zupełnie zrujnowanego, — od Polaków zaś mieszkających na Krymie zanieść prośbę do tronu o stałą misyę polską i o przywrócenie dawnego polskiego szpitala w Bakczyseraju.

Z listami francuskich Jezuitów do króla, do hetmana w. k. Józefa Potockiego i kilku panów polskich wybrał się w drogę powrotną przez Mołdawię, zaopatrzony w listy polecające do hospodara od konsula francuskiego na Krymie.

Do Jass przybył w grudniu i zamieszkał tym razem kilkanaście dni na rezydencyi, przyjęty bardzo dobrze przez hospodara Jana Maurocordato, brata Konstantego, który już był wtedy na hospodarstwo multańskie przeniesiony [2]. Hospodar ofiarował mu w darze 100 leoninów (leonin miał wtedy wartość 6 zł. polskich), zapłacił rezydencyi 3 dukaty węgierskie za utrzymanie ks. Borowskiego z pachołkiem i jednym koniem, a następnie pocztą zwaną *hułak* do Polski wyprawił.

Poczta pozostawiała wiele do życzenia, zwłaszcza wóz zepsuty nie wytrzymałby dłuższej drogi, trzeba więc było postarać się o wóz kuty, który mu też wypożyczył sekretarz hospodara, zapłaciwszy zań superyorowi rezydencyi całe 3 złote [3].

Po powrocie do Polski krzątał się ks. Borowski bardzo gor-

---

[1] *Hist. miss. Moldav.* lipiec 1743.

[2] Konstanty Maurocordato odbywał takie przenosiny częściej. Od roku 1730—69 odbywał 10 razy ingres na hospodarstwo, z tego 6 razy w Multanach, 4 razy w Mołdawii, za każdym razem opłacając się na nowo Porcie, która w takich przenosinach utworzyła sobie wówczas nowe źródło dochodu. Xénopol: *Histoires des Roumains,* II, 197, 213.

[3] *Hist. mission. Mold.* grudzień 1743.

liwie około sprawy misyi krymskiej. Zyskał dla niej poparcie kanclerza, ks. biskupa Jędrzeja Załuskiego, poparcie hetmana Józefa Potockiego, a także minister hr. Brühl pomocy nie odmówił.

Sprawa poparcia u hana nie przedstawiała zresztą wielkich trudności, bo Tatarom po ostatnich klęskach w wojnie rosyjskiej zależało na przyjaznych z Polską stosunkach, a poselstwo ostatnie Józefa Łopuskiego na Krym w sprawie satysfakcyi za najazd zostało pomyślnie zakończone [1]. Zdaje się, że i w sprawie zwrotu jassyru poselstwo nie minęło bez skutku, bo Łopuski wracając przez Jassy, prowadził ze sobą wielu uwolnionych jeńców [2].

Także ówczesne stosunki wewnętrzne na Krymie zmuszały hana Selim Gereja do względności dla życzeń królewskich.

Dostał się on do rządu ponownie w r. 1743 po złożonym Selamet-Gereju, którego poseł do króla Hussein Gazi Aga nie zdołał się jeszcze uporać z poselstwem [3], gdy nadeszła wiadomość o objęciu rządu przez Selim-Gereja. Poseł dawniejszego hana czekał więc w Polsce na pełnomocnictwo od Selim-Gereja, a zanim to pełnomocnictwo na interwencyę hetmana Józefa Potockiego nadeszło [4], miał han nowy kłopot z krewnym swym Feti-Gerejem, który do Polski uszedł i o protekcyę królewską prosił.

Sprawą wysłuchania propozycyi hańskiego posła i jego odprawą miała się zająć Rada senatu 29 sierpnia 1744 r.; ta sama Rada senatu miała wziąć także pod obrady sprawę misyi krymskiej, którą ks. Borowski przedstawił w osobnym memoryale.

Przedstawił w nim krótko historyę misyi z ostatnich lat pięćdziesięciu; wspomniał o opiece króla Jana III i hetmana Jabłonowskiego nad Polakami na Krymie, o upadku misyi po śmierci ks. Zielonackiego, o niewystarczającej opiece duchownej ze strony Jezuitów francuskich na Krym wówczas sprowadzonych, zwłasz-

---

[1] Benoe, powołując się na relacyę o tem w *Gazecie warszawskiej*, starał się W. Wezyra dla swego poselstwa lepiej usposobić. Rkp. 591, str. 35.

[2] *Hist. mis. Moldav.* styczeń 1743: »Plurimis e captivitate Tartarica Polonis a se liberatis stipatus«.

[3] Ofiarował królowi dwa konie kirgiskie z bogatemi rzędami. Rkp. 619, str. 699.

[4] List hetmana do Selim Gereja z 7 marca 1744. Rkp. Cz. 591, str. 55.

cza że liczba Polaków po ostatnim najeździe tatarskim wzrosła tamże do 45.000. Między nimi byli i tacy, którym się dobrze powodziło, mianowicie kupcy i osiadli rolnicy, nie mający ochoty powrotu do Polski — ci potrzebowali tylko polskiego misyonarza i prosili o protekcyę Rzeczypospolitej; Polacy biedniejsi prosili nadto o przywrócenie dawnego polskiego szpitala; wszyscy zaś inni katolicy, zamieszkali na Krymie, prosili przez misyonarzy francuskich o interwencyę króla u hana, żeby mogli uzyskać pozwolenie na odbudowę zniszczonego przez Tatarów kościoła św. Piotra w Kaffie.

Przedstawiwszy te życzenia, prosił ks. Borowski dla siebie o dyplomatyczne poparcie w Stambule, gdzie miał się starać o ferman sułtański, prosił także o zasiłek pieniężny, potrzebny tak na drogę jak i na podarunki dla urzędników na dworze sułtana i hana, zwłaszcza że obawiał się przeszkód ze strony patryarchy schizmatyckiego, który mógłby większymi podarkami pozyskać ich dla siebie; dlatego też prosił wkońcu, żeby całą tę sprawę w sekrecie zachować [1].

Memoryał ks. Borowskiego odniósł pożądany skutek; między propozycyami od króla na Radę Senatu znalazł się pod l. 4 także jego postulat: »Misyonarz krymski ks. Piotr Borowski Soc. Jesu subsidium, viaticum i rekomendacyi do Stambułu i do hana o kościół dla katolików expetens, jak ma expediri?« [2] Postulat został załatwiony po myśli ks. Borowskiego: »Misyonarzowi krymskiemu, ks. Piotrowi Borowskiemu, pro subsidio viatico raczy J. K. M. wyznaczyć ze skarbu... (sumy niema wymienionej, bo pozostawiono ją do decyzyi króla) i listy instancyalne do Stambułu i Krymu kancelaryom swoim expedire zaleca«.

Ile król wyznaczył Borowskiemu na drogę i na sprawę misyi tego w zapiskach niema, są natomiast kopie listów królewskich »instancyalnych« do wielkiego wezyra i do hana tatarskiego, w których sprawę katolików na Krymie i samego misyonarza poleca ich względom.

---

[1] Rkp. 619, str. 665.
[2] Rkp. 590, str. 238.

Odsyłając Husseina Gazi Agę na Krym wystosował król z Warszawy 5 września 1744 r. list do hana, w którym po zwykłych komplementach i życzeniach dla Selim-Gereja z okazyi objęcia rządów, tak pisze: »Przy tej pierwszej odezwie naszej Wam Bratu i Przyjacielowi naszemu łączymy instancyę za wielebnym księdzem Borowskim, szlachetnego urodzenia, doskonałych cnót i nauk człowiekiem, usilnie żądając po Was Bracie i Przyjacielu naszym, abyś tak onemu jako i wszystkim naszej religii ludziom w państwie Was Brata i Przyjaciela naszego zostającym, stosując się do artykułu siódmego pokoju karłowickiego, protekcyę i łaskę swoją oświadczyć raczył« [1].

Bliższcze szczegóły, jak zaznacza dopisek na tym dokumencie, miał wyłożyć ustnie tenże poseł Hussein-Aga, któremu bardzo gorąco sprawę misyi polecał także kanclerz biskup Załuski i dla skuteczniejszego poparcia obdarzył bogatymi podarunkami, jak to opowiadał Jezuitom w Jassach prefekt milicyi nadwornej Jurkowski, który Husseina do granic Rzpltej odprowadzał [2].

Oprócz listu przytoczonego, który miał doręczyć hanowi Hussein Gazi Aga, otrzymał i ks. Borowski polecające pismo z datą 15 września, w którem król obszerniej sprawę misyi krymskiej omawia. Poleca protekcyi hana wszystkich katolickiej religii ludzi, którzy mieszkają na Krymie lub tamże dla kupiectwa przebywają, i prosi, żeby nie tylko mieli bezpieczeństwo odprawiania bez żadnej przeszkody nabożeństw, ale także możność »reparowania dawnych kościołów katolickich w różnych miastach Krymu a osobliwie w Kaffie«, dokąd najwięcej obcych przybywa. Domaga się tego na podstawie siódmego artykułu paktów karłowickich, i przytacza korzyści, jakie stąd dla samego Krymu wynikną, zwłaszcza wzrost handlu, gdy kupcy katoliccy będą mieli swobodę religijną, wreszcie powołuje się król na wzajemność, przypomina mianowicie hanowi, że w Polsce »mahometańskiej religii ludzie, Lipkowie, zaszczycają się wielą znacznemi wolnościami i meczet swój w stolicy W. Ks. Litewskiego mają«. Na tem oparty,

[1] Rkp. 619, str. 691. Oryginał z pieczęcią królewską, wystawiony przez Jana Ogrodzkiego, regenta kancelaryi w. koronnej.

[2] Persecutio Tartarica l. c.

wyraża król nadzieję, że han »ze samej łaskawości i protekcyi ludziom naszej religii ubliżać nie zechce« [1].

W innym nieco tonie i bardziej kategorycznym ułożony był list do wielkiego wezyra. Powołując się na stosunki przyjazne między Polską a Portą, żąda król interwencyi Porty w sprawie katolików na Krymie, między którymi znajduje się wielu Polaków osiadłych, wielu kupców i uprowadzonych ludzi z Polski. Wbrew paktom pozbawieni są oni wolności religijnej [2], bo nie pozwala im się na odbudowę kościołów, poniszczonych przez Tatarów w Bakczyseraju i w innych miastach Krymu a zwłaszcza w Kaffie, dokąd najwięcej katolików przybywa. W imię paktów karłowickich i w imię tej swobody, jaką Lipkowie cieszą się w Polsce, domaga się więc, żeby wezyr wpłynął na sułtana i wyjednał polecenie do hana i do baszy kaffeńskiego, iżby pozwolono katolikom stare swoje przez Tatarów poniszczone kościoły odbudować i bez przeszkody nabożeństwo odprawiać.

Prócz listów królewskich otrzymał ks. Borowski także różne listy polecające od hetmana wielkiego koronnego, Józefa Potockiego, które mu się mogły bardzo przydać ze względu na powagę hetmańską na Krymie i w Stambule.

Hetman, głowa ówczesnej opozycyi przeciw królowi i dawniejszy stronnik króla Leszczyńskiego, utrzymywał stosunki z Portą jeszcze od czasu konfederacyi w Dzikowie.

W czasie wojny rosyjsko-tureckiej stosunki te jeszcze się zacieśniły, bo hetman przeciw przewadze rosyjskiej w Polsce występował, a podczas rokowań o pokój w 1737 r. w zamku swym Niemirowie podejmował przez trzy miesiące z wielką wystawnością i gościnnością dyplomatów państw obcych, biorących udział w układach kongresu.

Gdy układy się rozbiły, zaczął hetman na własną rękę traktować z Turcyą, proponując zawiązanie konfederacyi w Polsce, pod warunkiem, że Turcya przyśle konfederatom na pomoc 50.000

[1] Rkp. 619, str. 709; 591, str. 170.

[2] Rkp. 619, str. 707: »Privantur beneficio, quod per solemnes pacis tractatus concessum est, religionem suam ibidem libere exercendi«. Rkp. 591, 172.

wojska tureckiego i tyleż Tatarów. Ponieważ w. wezyr nie bardzo wierzył w możliwość generalnej konfederacyi w Polsce, oświadczył posłańcowi hetmana Gurowskiemu, że pomoc pośle, jeżeli wprzód konfederacya stanie. Do konfederacyi jednakże nie przyszło, bo partya dworska potrafiła plany jej pokrzyżować a tymczasem Turcy ponieśli w sierpniu 1739 r. wielką klęskę w pobliżu Chocimia, wskutek czego tem mniej na ich pomoc można było liczyć.

Także pomoc Tatarów nie dopisała; od połączenia się z hetmanem miały hana odwieść zabiegi wojewody podolskiego Wacława Rzewuskiego, który, jak utrzymuje Leon Rzewuski wypłacił za to hanowi 600.000 zł., prócz srebra stołowego i drogich futer, za co otrzymał list pochwalny od papieża Klemensa XII[1].

Po nieudanych planach konfederacyi, pogodził się hetman z królem, ale już w 1741 nowe plany układał i zjazd do Zamościa zwoływał na 12 października[2], dążąc do aukcyi wojska Rzpltej, która to sprawa przy ciągłem zrywaniu sejmów w inny sposób nie mogła dojść do skutku.

Tym razem spotkał się hetman nie tylko z obojętnością ogółu, ale i z protestami przeciw konfederacyi na zjazdach szlachty małopolskiej i podolskiej, tej ostatniej pod wpływem agitacyi Wacława Rzewuskiego.

Wobec takiej obojętności w kraju, plany konfederackie Józefa Potockiego musiały ostatecznie upaść, tem bardziej że na pomoc obcą nie można było wówczas już liczyć; Turcya bowiem zajęta wojną perską nie chciała się narażać na nowe klęski ze strony Moskwy, a Szwecya, z którą także hetman miał porozumienie, niekorzystny pokój z Moskwą zawrzeć musiała (7 sierpnia 1743 r.).

Upadły więc na długo plany konfederacyi przeciw Moskwie,

---

[1] »Kronika podhorecka«, str. 25, list Clem. XII, na str. 190: »Stimulum addimus et suademus, ut ad communem salutem, ad Othomanorum nunquam non insidiosam amicitiam praecavendam, ad refrenanda turbulenta ingenia, quae isthic favere barbaris nemo unquam putasset, sedulo adhibeas industrias...«

[2] Punkta na konfederacyę. List do kardynała Lipskiego. Rkp. 590, str. 76.

ale podejrzenia przeciw hetmanowi zostały, a z tego powodu i protekcya hetmańska dla ks. Borowskiego, o ile przydała mu się bardzo w Stambule i na Krymie, o tyle naraziła w Polsce jego misyę na podejrzenie, a wskutek tego przyczyniła się niemało do upadku nie tylko planów misyjnych ks. Borowskiego, ale także dla istnienia misyi krymskiej okazała się fatalną.

Listy polecające hetmańskie noszą datę 13 września i wydane zostały w Józefowie. W najdłuższym do hana Selim-Gereja, powołuje się hetman na dawną przyjaźń, jaką mu okazywał przed dwudziestu kilku laty han Dewlet-Gerej, od którego będąc za granicą, »odbierał wielkie respekta« i otrzymał ferman, ażeby w miasteczku Zyburcy (?), gdzie katolicy kościółek mieli, ksiądz katolicki przebywał. W imię tej tak dawnej przyjaźni polecał ks. Borowskiego protekcyi Selim-Gereja i prosił dla niego o ferman na odbudowę kościołów katolickich na Krymie, także i w owej miejscowości Zyburcy, gdyby tego okazała się potrzeba [1].

Baszy chocimskiemu donosi, że ks. Borowski »jedzie z ekspedycyą od Najjaśniejszego Króla do Prześwietnej Porty« i prosi go, żeby był jak najprędzej dysponowany bezpiecznie do Stambułu, jak tego przyjaźń sąsiedzka wymaga.

Także hospodarowi mołdawskiemu polecił hetman ks. Borowskiego, jako misyonarza krymskiego i prosił dlań o szczególną opiekę. Podobnej treści list polecający otrzymał ks. Borowski także do wielkiego wezyra [2].

Zaopatrzony w listy polecające od króla i hetmana, a zapewne i w inne listy do osób wpływowych w Stambule, mógł się ks. Borowski z większą otuchą wybrać na Wschód jak w r. 1743, mimo że tym razem miał trudniejsze zadanie do spełnienia, bo jako oddawca królewskich listów musiał także poniekąd wystąpić w roli agenta dyplomatycznego.

(Dok. nast.)

Ks. Józef Sas.

---

[1] Rkp. Cz. 590, str. 175.

[2] Tamże str. 174, 176.

OLYMPIA.

(Ciąg dalszy).

Przyczołom pokrewne stylem i techniką są metopy, znajdujące się częścią w paryskim Luwrze, częścią tutaj, w Olympii. Przedstawiają one dwanaście prac Heraklesa. Przedmiot obrany był trafnie: jako mytyczny założyciel czy odnowiciel igrzysk, jako panhelleńskie ubóstwienie męstwa i siły atletycznej, a nadto jako syn Zeusa, nadawał się thebański bohater do uświetnienia przybytku swojego rodzica.

Ogromu świątyni olympijskiej nic lepiej nie uwydatnia, nad rozmiary tych metop. Są to marmurowe płyty, zbliżone bardzo do kwadratu, wysokie na 1·60 m. przy półtorametrowej szerokości. Umieszczone jednak wysoko w tryglifowym fryzie, znacznie małały dla widza, stojącego na poziomie kolumnady, o całe 12 m. niżej.

Runąwszy z takiej wysokości, niektóre metopy roztrzaskały się w drobne kawałki, z których zaledwie domyślać można się całości. Do najbardziej zniszczonych należy *walka z Hydrą Lernejską, schwytanie Łani Kerynityjskiej, wywleczenie z Hadesu Kerbera,* psa piekielnego i *zdobycie rumaków Diomedesa. Z łowów na Dzika Erymanthyjskiego* pozostała tylko postać Eurystheja, który na widok bohatera niosącego pojmane zwierzę, skrył się ze strachu do *pythosu* czyli kadzi wkopanej w ziemię. Niemniej ucierpiał *bój z królową Amazonek:* z tej sceny zachowała się jedynie głowa pokonanej rycerki, pełna bolesnego wyrazu.

W przybliżeniu można sobie z fragmentów odtworzyć ogólny zarys *walki z Lwem Nemejskim:* na grzbiecie zabitego potworu postawił nogę młodzieńczy, bezbrody jeszcze zwycięsca i czoło chyli w zadumie nad żałosną dolą swoją, która od urodzenia podała go w zależność od niegodziwego i niegodnego władcy. To podkreślenie psychicznej i etycznej strony i to na początku, przy pierwszej z dwunastu prób, czyni z Heraklesa nie prostego wyrwidęba z pospolitej baśni, lecz naprawdę wzniosłego herosa. Przy nim z obu stron stały opiekuńcze bóstwa Hermes i Athene, które i na innych metopach pojawiają się czasem u jego boku, zwłaszcza Pallada, ona bowiem już u Homera towarzyszy mu w najcięższych przeprawach. W Iliadzie sama uskarża się na Zeusa nie bez goryczy, iż

. . . . . Niepomny na to
Żem ocalała jemu syna przed zatratą
Raz po raz, gdy się w trudach giął u Eurystheja;
Żywemu niebu płakał, a któż jeśli nie ja
Od Zeusa słan był z niebios jemu ku pomocy...

Jakoż na metopach najlepiej zachowanych artysta przydał mu trzechkrotnie boską pomocnicę. Oto Herakles pochwycił okropne *stymfalijskie ptaki,* co dzióby i szpony miały spiżowe i pióra ze skrzydeł na kształt strzał wypuszczały na ludzi; przynosi je tedy Athenie, która na złomie skały przysiadłszy, ruchem wyrażającym ciekawość i onieśmielenie, zwraca się ku niemu i połów tak osobliwy z rąk jego przyjmuje. W postawie obu tych figur i w stosunku ich wzajemnym jest życie samo, naiwnie odczute i oddane z całą prostotą środków artystycznych.

Tutaj Athene, mimo, że odziana boską ajgidą, ma wdzięk jakiś bezwiedny wiejskiego dziewczęcia; inaczej w dwóch dalszych metopach, gdzie przeobraża się w majestatyczną niebiankę. Według podań, wyprawiony przez Eurystheja po *złote jabłka hesperyjskie,* uprosił Herakles Atlasa, iżby mu je przyniósł, a sam za niego tymczasem podtrzymać musiał na barkach niebieskie sklepienie. Tę chwilę przedstawia jedna z metop, wyjątkowo dobrze zachowana. Na zgiętym karku i na silnie podstawionych ramionach, syn Alkmeny dźwiga straszliwy ciężar, na głowę sobie po-

duszkę tylko podsławszy podeń. Pallada, — inni zowią tę postać Hesperidą — tknięta litością przystąpiła doń z tyłu i glob świata pomocną dłonią podpiera; z drugiej strony zbliża się już Atlas, niosąc jabłka złote. W obu ciałach męskich, obnażonych zupełnie, taka jest budowy szlachetność, taka doskonałość kształtów, że oczu nie chce się od nich oderwać. Atlas w ruchu swobodny, Herakles obarczony w naprężeniu wszystkich mieśni, obok nich dziewicza piękność Atheny czy Hesperidy, taka cicha, taka wyniosła w surowym chitonie doryckim — wszystkie te przeciwieństwa rzeźbiarz uwydatnić i wyzyskać umiał prześlicznie. Sąsiednia płyta przedstawia *uprzątnięcie stajni Augiasowej*. Ta właśnie praca Heraklesa, jedyna z wszystkich, wiązała się bezpośrednio z miejscowemi podaniami: wszak Augeas, syn Forbasa, władcą był niegdyś elijskim i tu, nad Alfejem, rozegrać miała się scena, wyobrażona w owej metopie. Artysta uniknął szczęśliwie trywialności pewnej, która tkwiła w samem założeniu: stert nieczystości już na zewnątrz wymiecionych można się tylko domyślać po rozmachu potężnym, z którym Herakles wyważa je precz długim drągiem. Nogi rozkroczył szeroko, całem ciałem naprzód się pochylił i oburącz pcha potężnie, pokładając się niemal w okrutnym wysiłku. Od takiej gwałtownej postawy bohatera, wyraziście odbija posągowy spokój Atheny. W okazałym hełmie i ciężkim doryckim chitonie stanęła za nim dostojna bogini, jakby mu chciała dodać otuchy przy tak zelżywej robocie; wyciągnąwszy włócznię, grotem jej na dół zwróconym ukazuje bohaterowi ziemię zanieczyszczoną, a w tym jej ruchu zarówno jak na jej obliczu, maluje się niewymowna odraza. Trudność nielada była w przedstawieniu walki z troistym Geryonem: dziwolągowi temu dają myty trzy głowy i trzy ciała od pasa w jedno zrośnięte. Z metopy zniszczonej bardzo właśnie Geryones ocalał, jak gdyby na świadectwo artystycznego poczucia i pomysłowości rzeźbiarza. Dwa ciała zabite już opadają ku ziemi, dwie głowy martwe zwisają bezwładnie, trzecia z podniesionemi ramiony porywa się jeszcze przeciw Heraklesowi; noga jego naprzód wysunięta, depcąca powalonego wroga i trzy tarcze Geryonowe rozmieszczone są tak zręcznie,

że zasłaniają potworne owo zrośnięcie, pod względem anatomicznym nieprawdopodobne, a w plastycznem przedstawieniu wstrętne.

Najpotężniejsza w pomyśle, układzie i stylu jest metopa, na której Herakles pęta *Kreteńskiego byka.* Całą szerokość płyty zajmuje olbrzymie cielsko buhaja; wspiął się na zadzie i zwalistym susem podrzuca się naprzód, lecz mocarny Alkida lewicą ze wszech sił targnął za powróz okręcony koło pyska i łeb zadziera mu w tył i całem ciałem rozparłszy się wstecz, osadza zwierzę na miejscu, a równocześnie zamierza się nań pałką w poddniesionej prawicy. Jak metopa z Atlasem góruje nad innemi ciał pięknością i skupieniem ducha w cichej męce, tak znowu ta godną jej stanowi przeciwwagę w prostocie i przejrzystości swojej, i w szalonym swym rozmachu.

Z grupami przyczołów mają metopy wiele wspólnych znamion: gdzieniegdzie trochę sztywności archaicznej, którą sowicie wynagradza śmiałość i świeżość pomysłów; szeroki, dekoracyjny styl, pomijający chętnie szczegóły, które uzupełnić ma pendzel i farba; i tu również, obok wyobraźni bogatej i lotnej, realistyczna skłonność do czerpania rysów z otaczającej rzeczywistości; i tu nagość lepsza i żywsza niźli draperye, które nie zawsze umieją kształty ciał uwydatnić. W dziejach rzeźby greckiej, metopy olimpijskie stoją na tym samym poziomie, co metopy z Herajonu w sycylijskim Selinuncie: jedne i drugie są poranną zorzą, która poprzedza wschód wielkiej, słonecznej sztuki...

Od pierwszej chwili, gdy przestąpiłem próg sali muzealnej, uciekały mi oczy ku wielkiemu posągowi, co stoi naprost wejścia; poznałem w nim słynną Nike Pajonaosa z Mende. Nie oszczędził jej czas, nie uszanowało barbarzyństwo ludzkie: cała twarz odłupana, ręce do łokci utrącone, skrzydła ubite, fałdzista szata, którą wiatr podwiewał, zdruzgotana do szczętu. A jednak od dzieła tego idzie tchnienie wspaniałej, nieśmiertelnej piękności: Teraz ta piękność, to sam już tylko polotny, lekki ruch, którym Bogini Zwycięstwa z nieba ku ziemi spływa; to jedno jej pozostało, lecz to jedno wystarcza, by ją wynieść między najczarowniejsze twory geniuszu greckiego. Co było niegdyś marzeniem nieziszczonem Archermosa i Mikkiadesa, gdy na Delos kuli swą niezdarną Nike,

co zda się klęczeć raczej, niż lecieć — to zdołał osiągnąć Pajonios. Jego zwycięska bogini lot miała prawdziwy i dziś nawet, choć tak zgruchotana, *e pur si muove*... leci!

Umieścił ją na trójgraniastym dziewięciometrowym słupie. Ukazanie w takiej wysokości, na tle powietrznego przestworza tej śmigłej, dziewiczej postaci z rozpostartemi szeroko skrzydły, samo już nadawać jej musiało lotność podniebną. Lecz Nike całą swoją postawą i ruchem szybuje przez wyżyny: nie z góry prosto na dół, jeno z niebieskiej gdzieś dali, wręcz naprzód, ku wodzowi stojącemu na ziemi, opuszcza się pędem. W rękach rozciągniętych dzierży obszerne himation, które poza nią wydęło się, wichrem napełnione jak żagiel. Powłóczysta szata, parta prądem powietrza, nieomal przywarła do ciała i cudne jego kształty powtarza wyraźnie, jakby ze mgły była tkana. Jej fałdy, porwane wiatrem, kłębią się i trzepocą w tyle. Poprzez ich osłonę przejrzystą rysuje się noga podana wstecz, druga zaś, obnażona, wysuwa się naprzód, śmiało i lekko depcąc nadobłoczne szlaki. Orzeł, którego lot krzyżuje się z lotem niebianki, wymyka się z pod jej stóp i muska piersią sam wierzchołek słupa.

Taka była. Skąd wiemy, że taka? Treu z mrówczą skrzętnością pozestawiał najdrobniejsze jej okruchy i z logiką żelazną wywnioskował z nich rysunek i układ uszkodzonych części. Pod okiem badacza, za jego wskazówkami odtworzył niemiecki rzeźbiarz Rühm całokształt arcydzieła Pajoniosowego. Nawet zaginione oblicze bogini dopełniono według starożytnej głowy, będącej własnością rodziny Hertzów w Rzymie; okazała się bowiem kopią dosłowną z Nike olimpijskiej. Mało która rzeźba grecka dała się wskrzesić z prawdopodobieństwem tak blizkiem pewności.

Ta, po wielkim twórcy puścizna wielka i jedyna, tak wspaniała i zuchwała w pomyśle, zdumiewa niemniej swojem wykonaniem. Artysta pełen głębokiej wiedzy rzeźbiarskiej, naprzód już obliczył o ile i w czem ulegnie perspektywicznemu skróceniu posąg na tak wysokiej podstawie stojący. To też Nike swą rzeźbił tak, aby z wyżyny słupa wywierała najsilniejsze wrażenie. Istotnie dla oka patrzącego na nią w równym poziomie cała postać wygląda jak gdyby chyliła się na dół, ku przodowi słaniała,

przyczem traci wiele z ruchu i polotu: dowód jak dalece Pausanias był świadom perspektywy i jak mądrze do jej wymagań dostosował swoje dzieło. W nowożytnej sztuce przed Mantegną i Melozzem da Forli nie było nawet mowy o figurach widzianych z perspektywy dolnej albo górnej. — A Pajonios! ten rzeźbiarz doprawdy godzien był żyć w epoce Fejdiasa...

Po południu.

Stoimy w Altis na zwaliskach świątyni Zeusowej. Dörpfeld objaśnia, że zbudowano ją na sztucznym nasypie, aby górowała nad wszystkimi gmachami Gaju świętego, z natury bowiem położenie miejsca wcale nie było wysokie i zniżało się ku południowi. To też od tej właśnie strony trzeba było najgrubiej nadsypać wzniesienie i wesprzeć je o mur, który w przedłużeniu stanowił pierwotnie południową granicę Gaju. Z nasypu wyrasta na $1^1/_2$ m. *stereobat* czyli trójstopniowe podmurowanie kamienne, dźwigające dopiero świątynię. Głazy stereobatu spojone są pomiędzy sobą klamrami żelaznemi, których niema jeszcze w Herajonie wcześniejszym o całe wieki.

Świątynia Zeusa pochodzi bowiem z połowy V stulecia przed Chr. Wznieśli ją Elijczycy, jak stwierdza Pausanias — »z wojennych łupów, kiedy zwyciężyli orężną mocą Pisatów i Periojków, którzy z Pisatami od nich odpadli byli«. Budowa rozpoczęta w 77 Ol. trwała do 81, przez lat mniej więcej 14 do r. 456. Materyałem, jak w Herajonie i wszystkich dawniejszych budowlach olympijskich, był poros, gruboziarnisty wapień, poprzerastany żwirem i muszlami. Dobywano go z gór okolicznych, a budynki zeń postawione powlekano cienką warstwą marmurowego stiuku.

Wyjątkowo świątynia Zeusa kryta była marmurem, a nie ceglaną dachówką i z marmuru miała simy z lwiemi paszczami, gejsony oraz wszystkie rzeźby przyczółów i metop. Lecz ogromem zwłaszcza wyróżniała się, jako przybytek ojca bogów. Dość powiedzieć, że kolumny jej o potężnej średnicy dolnej $2^1/_4$ m., mierzyły wysokości tyle samo, co w atheńskim Parthenonie, a dwa razy tyle co w Herajonie, czyli $32^1/_2$ stóp olymp. (= 10·43 m.).

Odległość między osiami dwóch sąsiednich kolumn wynosiła połowę tej wysokości (5·22 m.).

Świątynia trzymała się zasadniczego rozkładu, planu i stosunków zazwyczaj przestrzeganych w dojrzałym porządku doryckim. Więc kolumny wszystkie rowkowane o 20 żłobieniach, a kolumnada, obiegająca dokoła gmachu, liczyła na jego długich bokach po 13, a na krótkich po sześć kolumn. Podtrzymywały one architraw, jak zwykle, najzupełniej gładki, na którym spoczywał fryz tryglifowy. Metopy jego wcale nie były rzeźbione. W rzymskich czasach wypełniła je dopiero pokaźna, lecz zarówno smutna, jak i haniebna ozdoba: w r. 146 przed Chr. po zburzeniu doszczętnem i strasznej rzezi Korynthu, Lucius Mummius konsul rzymski posłał Zeusowi w dziękczynnej ofierze 21 tarcz bronzowych, które zawieszono między tryglifami od wschodniej strony i od południowej.

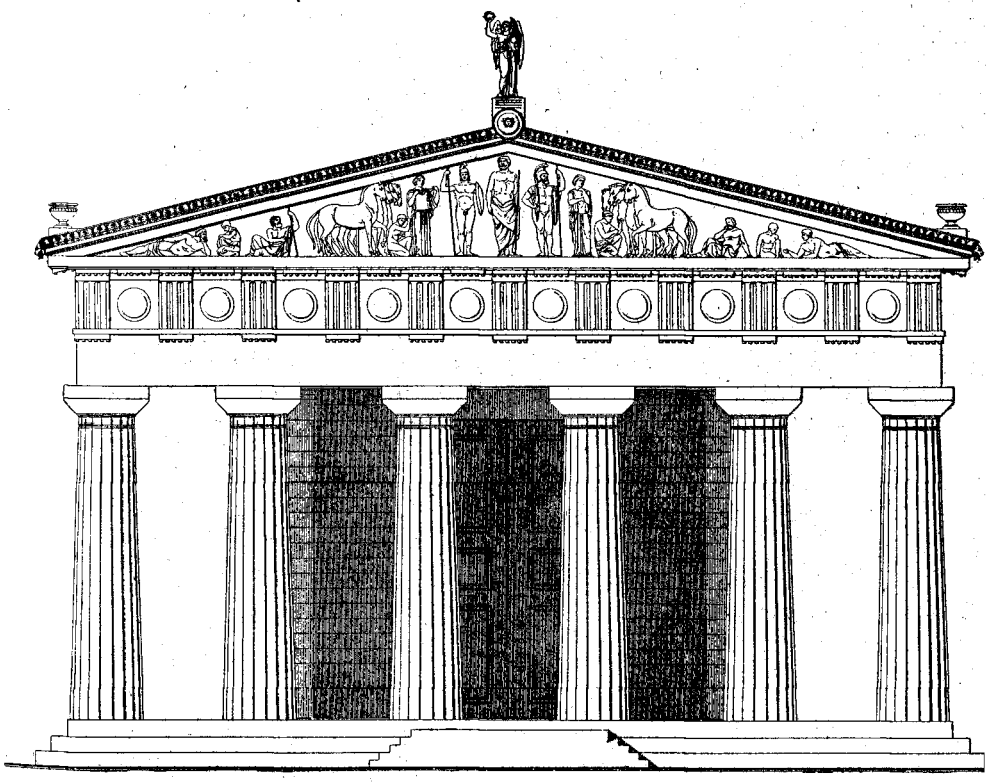

Cella — stosunkowo znacznie węższa niźli w Parthenonie — stanowiła typowy *amfiprostylos in antis*, którego najstarszym okazem jest Herajon: tak samo tedy dzieliła się na *pronaos*, *naos* i *opisthodom*. Część przednia i tylna miały pomiędzy antami po dwie kolumny, jako podpory belkowania wewnętrznego, które od zewnętrznego nie różniło się niczem. Tu dopiero we fryzie tryglifowym umieszczone były rzeźbione metopy z pracami Heraklesa; z tych sześć ozdabiało pronaos, a drugie sześć opisthodom. Dwuspadowy dach świątyni, jego pokrycie marmurowe, jego simy bogato rzeźbione i grupy umieszczone w przyczołach, poznaliśmy dokładnie w muzeum. Dodać należy chyba to jedynie, że na samym wierzchołku trójkątów szczytowych, widniały, jako główne akroterye, dwie Boginie Zwycięstwa, dzieła Pejoniosa, niezawodnie podobne do tamtej wielkiej. Pierwotnie naczelne akroterion nad wschodnim frontonem stanowiła po prostu wielka złota paiża, dar zwycięskiej Sparty po bitwie pod Tanagrą przeciw Atheńczykom i Argiwom. Później, aby uzyskać miejsce dla Niki tarczę zniżono tak, iż połyskiwała u nóg bogini.

Wewnątrz dwa rzędy kolumn — po siedem z każdej strony — dzieliły naos na trzy nawy. Między drugą parą kolumn, w poprzek nawy środkowej biegły kamienne szranki przeprute w środku dwuskrzydłowemi wroty. Takie same szranki oddzielały z obu stron środkową nawę od bocznych na przestrzeni pomiędzy drugą a piątą kolumną. Zabarwione zewnątrz na niebiesko szranki te, od wewnątrz pokryte były mytycznemi scenami, które malował Panajnos, brat Fejdiasów. Od piątej do siódmej kolumny już nie szranki, lecz ozdobne kraty spiżowe odgraniczały nawę środkową, której całą szerokość od kraty do kraty zajmował w tem miejscu niezrównany Zeus Fejdiasa, rzeźbiony ze złota i kości słoniowej. O jego nadzwyczajnym ogromie daje niejakie pojęcie podwalina jego szeroka na 6·65 m., a długa na 9·93 m. Tron i podnóżek siedzącego boga zajmowały ją całą. Przestrzeń pomiędzy posągiem a szrankami wyłożona była czarnym eleuzyjskim marmurem i obramiona dokoła progiem z białego, pentelickiego marmuru. Z tyłu za posągiem pozostawiono wązkie przejście, które łączyło nawy boczne. Kolumnady wewnętrzne były piętrowe; zapomocą krętych

schodków można się było dostać na krużganki ponad bocznemi nawami, by z blizka podziwiać arcydzieło Fejdiasowe.

Obszerny, drobiazgowy nawet opis u Pausaniasa dokładne daje wyobrażenie o Zeusie. Kolos w postawie siedzącej, głową dosięgał niemal stropu świątyni, musiał przeto mieć wysokości około 13 m. Ciało jego było z kości słoniowej, włosy i szata ze złota. Na nogach tronu wyobrażone były skrzydlate Boginie Zwycięstwa i sfinksy w zapasach z młodzieńcami, a na samym dole Apollo i Arthemida zabijający Niobidów. Poprzecznice pomiędzy nogami tronu służyły za podstawę trzydziestu posągom, które przedstawiały walkę z Amazonkami oraz inne czyny bohaterów mytycznych. Na oparciu, z obu stron głowy Zeusowej pląsały płasko rzeźbione Charyty i Hory,

Którym straż nad Olimpem i niebem zwierzona.

Niemniej świetnie zdobiony był podnóżek wsparty na lwach złotych. Cokół z czarnego marmuru eleuzyjskiego, dźwigający wszystkie te wspaniałości, tworzył pyszne tło dla głównych bogów Olympu, wyrzeźbionych płasko w złocie. Cała mytologia złożyła się więc na ozdobę i uświetnienie wizerunku Gromowładcy. Wobec ogromu postaci jego i tronu, dziesiątki figur, choć nawet przerastały miarę ludzką, mogły się swobodnie pomieścić, budząc wrażenie przepychu bez przeładowania. To też nie dziw, że cała starożytność rozbrzmiewa jednym głosem podziwu i zachwytu dla dzieła i twórcy. Z całego chóru pochwał, które płyną poprzez wieki, najwymowniejszy jest może dystych zachowany w *Antologii Poetów Greckich:*

Albo sam bóg, Fejdiasie, na ziemię zszedł k'tobie z niebiosów,
Alboś na Olymp wszedł ty, boga by ujrzeć twarz w twarz!

Nic jednak lepiej nie maluje piękności niewysłowionej tego dzieła, nad olympijskie podanie, w którem arcymistrz na widok posągu w świątyni ustawionego, jął w modłach prosić Zeusa, by objawił mu sam, zali tę pracę rąk śmiertelnych uznaje godnem odzwierciedleniem nieśmiertelnego swego bóstwa. I stał się cud: ojciec bogów i ludzi słowom rzeźbiarza przywtórzył z niebios — piorunem.

Wieczorem.

Wśród młodych jodeł, brzóz i jarzębin, przez kolczaste krze, podobne myrtom i rozmarynom, wije się w górę stroma ścieżka, wiodąca na szczyt Kronosa. Gdzieniegdzie nad pióropuszami paproci, woskową białością kwiecia, jaśnieją na wysokiej łodydze kiście asfodelów niby dziwnie wielkie tuberozy; ówdzie smukła ostróżka wyniośle patrzy z pod fioletowych kołpaków. Dech lasu wilgotny niesie zewsząd upajające zapachy.

Gęstwa przerzedza się na samej górze i odsłania szeroki widnokres oblany purpurą zachodu. Gdzieś za mną pochylona głowa słońca w ognistej aureoli słania się za czerniejące pagóry poblizkie. Przedemną, w dali, rozległym półkręgiem ciągnie się szczytów korowód skąpany w rubinowym odblasku zorzy; z poza nich wyzierają dalsze, całe różane i dalsze jeszcze topniejące w złotawem przeźroczu, a wyżej łbem ośnieżonym porze błękity olbrzym, Erymanthos. Zwały gorejących obłoków zawisły mu nad czołem i wloką się przez pół nieba. Ten szczyt, rozjarzony łuną wieczorną wydał mi się ogromnym jakimś całopalnym ołtarzem, który w przestworza bucha płomieniem i kłębami dymu. Podemną, dnem zielonej doliny wije się kręty Alfejos, na kształt miedzianego węża: wszystkie odbłyski zachodu skrzą się i łamią w jego płynnej łusce. Po tamtej stronie rzeki, na tryfilijskim brzegu czernią się grzbiety lesistego Fallonu rozemglone w słonecznej poświacie.

Cały ten obraz głęboki, rozległy — jest jak promienne widzenie okolone ramą drzew, co ku niebu wyciągają przejrzyste roznogi. Oto zachwiała się gałązka młodego klonu: wilga na niej usiadła, kołysze się i śpiewa słodkie pożegnanie zachodzącemu słońcu.

Powoli gasną zorze i na górach sinieją różowe światła. Dopala się jeszcze ofiarny stos Erymanthu na tle niebios zielonawych, a popioły jego po świecie rozwiane szarzeją w powietrzu i mrokiem zapadają w dolinę. Księżyc przez obłoki przerzyna się krzywym sierpem i z każdą chwilą nabiera mlecznej światłości.

. . . . . .

Miesięczny blask, na strugi srebrzyste rozbity,
Pada w mroczną głąb lasu poprzez drzew konary.
I strop leśny jest nakształt sklepionej pieczary,
A promienie księżyca — jako stalaktyty.

Kolumnady pni czarnych i powiewne kity
Paproci koronkowych cień rzucają szary...
Cisza — tylko w oddali grają gdzieś ogary
I echo przez bór leci srebrnym snem spowity.

Z ciemnych gąszczów Artemis wybiega dziewicza,
Na włosach krąg promienny, w ręku łuk ma giętki...
Wtem stanęła, śpiącego widząc Eudymiona. —

Patrzy ujęta czarem sennego oblicza,
Pochyla się nad śpiącym cała zapłoniona
I na ustach mu kładzie pocałunek prędki...

Poniedziałek 8 kwietnia.

I dzisiaj cały dzień spędziliśmy w Altis, gdzie Dörpfeld, prowadził nas od budynku do budynku i nieznużenie odtwarzał nam wszystkie świetności Olympii. Wędrówkę rozpoczęliśmy rankiem, od Pelepionu. Był to pięciokątny ogrojec, poświęcony czci bohatera. W murze obwodowym od południowo zachodniej strony otwierała się brama, zrazu prawdopodobnie drewnianemi kolumnami podparta. Na przełomie V do IV stulecia wzniesiono kamienne okazalsze wnijście, z którego ledwie szczątki pozostały.

Minąwszy Herajon wstępujemy na szeroką terasę wybraną w stokach Kronosa wzdłuż całej północnej połaci Gaju. Przed sobą mamy podwaliny jakieś niepośledniej budowli: to *Exedra* Herodesa Attika, tego samego sofisty i bogacza, który w II w. po Chrystusie, przyozdobił Atheny słynnym Odejonem u południowych zboczów Akropolu. Annia Regilla małżonka Heroda sprawowała podczas igrzysk w r. 153 zaszczytny urząd kapłanki Demetry Chamine. Attikus upamiętnił tę godność żony, obdarzając Olympię wodociągiem. Exedra jest owych akweduktów monumentalnem zakończeniem. Składała się z dwóch części: górna, dekoracyjna jedynie, stała na terasie, a kształt miała przez pół prze-

ciętej kopuły o rozpięciu z górą szesnasto i pół metrowem; dolną, już na poziomie Altis, tworzył wydłużony basen, z obu wązkich stron zakończony krągłemi świątyńkami. Woda rurami doprowadzona do części górnej, buchała z kilku lwich paszczęk do zbiornika dolnego, skąd inne rury dalej rozprowadzały ją po całej Olympii. Kopułę strojną w okładziny z różnobarwnych marmurów, stiukowe żebra dzieliły na kassetony. Ale największą Exedry ozdobą było mnóstwo posągów, rozmieszczonych półkolem pod kopułą. Stali tam parami oboje fundatorowie, ich potomstwo, rodzice i przodkowie. Naprzemian pomiędzy jedną a drugą parą członków domu Herodowego, wgłębiały się ozdobne nisze, w których stali cezarowie, Hadrian, Antonius Pius i Marek Aureli z małżonkami i dziećmi. W pośrodku, nad basenem widniał, jako symbol ofiary, ogromny byk marmurowy z napisem uwieczniającym imię Annii Regilli, a na dwóch końcach basenu w okrągłych świątyńkach mieściły się posągi Asklepiosa i Hygiei, czy może dwojga bóstw innych. Cała budowla, jakkolwiek olśniewająca bogactwem i rozmiarami pokaźna, miała już charakter epoki upadku: lichy rzymski materyał wstydliwie krył się za okładką marmurową, a rzeźby jak na swój czas niezłe, są świadectwem przekwitu sztuki.

Ruszamy terasą ku wschodowi, gdzie obok Exedry, tuż pod terasą stał *Metroon*, świątynia Kybeli, matki bogów. Obecnie są tam szczątki niewielkiej świątyńki zbudowanej z porosu w porządku doryckim. Kolumn, o średnicy 0.85, było na krótkich ścianach po sześć, a na długich po jednaście; cella składała się z przedsionka *in antis*, z właściwego przybytku i opisthodomu. Budynek, o ile sądzić można po stylu, pochodził z końca V albo samych początków IV w. W epoce rzymskiej uległ niezdarnym przeróbkom. Pausanias pobieżnie załatwiwszy się z Metroonem, stwierdza, że za jego czasów »nie było tam żadnego wizerunku matki bogów, tylko posągi Cezarów«.

Na terasie, począwszy od Metroonu ciągnęły się jedne za drugimi niewielkie budynki: to skarbce różnych miast helleńskich, przeznaczone do pomieszczenia darów składanych Zeusowi. Z dwunastu nie zachował się ani jeden skarbiec, mieszkańcy wsi by-

zantyńskiej porozbierali je bowiem na materyał. Z podwalin jednak odczytać można zarys tych budynków: trzymały się wszystkie najprostszego typu doryckiej świątyni in antis z dwiema kolumnami w otwartym przedsionku, lecz bez opisthodomu ni otaczającej kolumnady. Sykion, Syrakuzy, Epidamnos, Bysantion, Sybaris, Kyrene, Selinus, Metapont, Megara i Gela miały tu swoje skarbce. Najstarsze z nich, bo VI wieku sięgające, są skarbce Selinuntu, Megary i Geli, który wyróżniał się z pomiędzy wszystkich tem, że w V w. przybudowano mu przedsionek wsparty na ośmiu kolumnach. Z niektórych skarbców doszły nas pięknie malowane okruchy terrakotowych sim i gejsonów, z innych, jak z Megarejskiego i Kyrenejskiego, szczątki rzeźb, co wypełniały trójkąty szczytowe.

Wzdłuż terasy, poniżej skarbców, pokazuje nam Dörpfeld kilkanaście cokołów, na których stały niegdyś posągi Zeusa. Współzawodnicy do wieńców oliwnych, za złamanie jakiegokolwiek przepisu olympijskiego podlegali grzywnom, z których fundowano te »Zeusy«, w elijskiem narzeczu zwane *Zanes*. Umyślnie rozstawione były rzędem przy drodze wiodącej do stadionu, jako przestroga i groźba dla zapaśników. Spiżowe posągi nie zachowały się oczywiście, ale podstawy ich znaleziono na miejscu w liczbie szesnastu zgodnie z opisem Pausaniasa. Według niego najwcześniejsze Zanes pochodziły z 98 Ol., czyli z r. 388 przed Chr.; ostatnie sięgały II stulecia naszej ery. Pausanias podaje różne, wielce charakterystyczne rodzaje przekroczeń, ukaranych w ten sposób. W kilku wypadkach atleta za pieniądze pozwala się zwyciężyć drugiemu i wtedy zarówno przedajny jak przekupny skazani bywają na wzniesienie posągu. Innym razem Apollonios Rhantés, Aleksandryjczyk rodem, zapisany do walki spóźnił się na igrzyska, przeto sędziowie bez walki przysądzili wieniec Alexandridesowi, który miał się z nim potykać. Wymawiał się Apollonios niepomyślnym wichrem, iż go w żegludze powstrzymał, Alexandrides jednak zdołał udowodnić mu kłamstwo. I wydarzyła się rzecz niesłychana: rozjątrzony Apollonios, pięści okręciwszy sobie szermierskimi rzemieniami, wpadł na Alexandrida, który już wieniec miał na głowie i pobił go dotkliwie. Za

kłamstwo i dziki gwałt, musiał zatem postawić nowego Zana. Kiedyindziej ulegli tej karze dwaj zapaśnicy, którzy nie poprzestając na wieńcu oliwnym, o zakład pieniężny stanęli do walki na pięści. Lecz jedyną w swoim rodzaju, bo śmieszną i smutną zdobył sobie sławę niejaki Sarapion, co zapisawszy się do *pankrationu*, na widok przeciwników stchórzył i ze stadionu sromotnie uciekał; ten hańbę swoją na wieczne czasy przypieczętować także musiał Zanem.

Od Gaju świętego na wschód rozpościera się stadion. Jego siedzenia darniowe, spiętrzone amfiteatralnie, od północy wybrano w spadzistości Kronosa, z trzech zaś innych stron usypano w tym celu wały ziemne. Droga z Altis do stadionu, minąwszy ostatnie Zany, przebijała grubość wału między Gajem a stadionem i zapaśników prowadziła wprost na boisko gimnastyczne. Pierwotnie przejście to było niekryte, ściany tylko miało kamieniem omurowane, by zapobiedz osuwaniu się ziemi. Dopiero w ostatnim wieku przed Chr. albo w I. naszej ery, wały znacznie podwyższono w celu pomnożenia liczby siedzeń i wówczas to nakryto przejście owo sklepieniem kamiennem, a równocześnie od strony Gaju zamknięto je bramą zdobną w kolumny korynckie.

Całą niemal wschodnią połać Gaju zajmował portyk, blizko stumetrowej długości, wsparty na czterdziestu czterech kolumnach i dwóch antach, a uwieńczony simą rzeźbioną z marmuru w sploty roślinne i lwie głowy. Portyk ów, to wspomniana w Pausaniaszu *Stoa Echa*, zwana tak z powodu, że głos powtarzała siedmiokrotnie. Zbudowały ją czasy Filippa Mekedońskiego, po zburzeniu, czy zawaleniu się innego portyku, który stał w miejscu tem samem, tylko nieco głębiej ku wschodowi cofnięty, a nosił miano Portyku Barwnego, Stoa Pojkile, bo tylną jego ścianę pokrywały malowidła. Był on współczesny świątyni Zeusowej, czego dowodzą człony architektoniczne, wykonane widocznie do tej świątyni, a przy budowie odrzucone dla jakiejś niedokładności odrobienia — i tu do fundamentów użyte.

Na południe od obu tych portyków, znalazł się trzeci, znacznie od nich obu mniejszy, a poza nim w głębi, tuż za obrębem Altis, odkryto peristyl rzymskiego pałacu, który wzniósł był dla

siebie Nero, gdy przyjechał do Grecyi święcić osławione swoje tryumfy, jako woźnica w olympijskim hippodromie. Przy tej sposobności z Olympii wywiózł posągów bez liku, a podstawy ich wspaniałomyślnie zużytkował do budowy tryumfalnej bramy, przez którą miały odtąd wchodzić uroczyste procesye. Znajdowała się ona jednak już nie w dawnym murze granicznym, który zarazem od strony południowej podtrzymywał nasyp wzniesiony pod świątynię Zeusa, lecz w murze nowym, który postawiono w tych czasach przesuwając granicę Gaju świętego znacznie ku południowi, aż do Buleutoryonu czyli Radnicy. Gmachu tego ściana północna stała się teraz częścią nowego muru granicznego.

Radnica należała do najstarszych budynków olympijskich, pochodziła bowiem z V, a nawet częściowo z IV w. Jak sama nazwa wskazuje, była ona miejscem zgromadzeń rady Hellanodików, czyli sędziów helleńskich, którzy podczas igrzysk mieli nieograniczoną władzę. Do nich należał zarząd nad miejscem świętem, kierowanie pochodami i uroczystościami, rozdawnictwo wieńców. Buleuteryon składało się z kwadratowej sali obrad i z dwóch bocznych skrzydeł zamkniętych na końcu półkolistemi apsydami. Od frontu zwróconego na wschód, wszystkie trzy części związane były wspólną kolumnadą.

Mieliśmy już dalej ruszać, gdy zwróciłem się do Dörpfelda z pytaniem, gdzie właściwie za greckich czasów znajdowało się główne wejście do Gaju?

— Nie znaleźliśmy wprawdzie śladów takiej bramy — odrzekł — ale położenie jej da się oznaczyć z wielkiem prawdopodobieństwem. Frontony Buleuteryonu i świątyni Zeusowej są bowiem na jednej linii, którą przecina mur obwodowy; od tego miejsca w murze ciągną się z południa ku północy dwoma rzędami podstawy posągów i tworzą jak gdyby ulicę wiodącą prosto przed świątynię. W ten sposób nie stawiałby nikt posągów, gdyby środkiem pomiędzy nimi nie szła droga. Co więcej są to posągi niemałego znaczenia: oto cokół Zeusa ofiarowanego przez ludy helleńskie na pamiątkę bitwy pod Platajami; obok stać miały — według Pausaniasa — dwa inne Zeusy: jeden z daru Megarejczyków, drugi Hyblejczyków — i dwa czworokonne wozy spiżowe

świadczące o zwycięstwach odniesionych w Hippodromie przez Gelona syrakuzańskiego i przez Kleosthenesa. Tu stała Nike Pajoniosa: dotąd widać szczątki jej trójgraniastego słupa, dalej zaś, na północ wysunięty wznosił się potężny byk Eretrejczyków. Po lewej stronie — idąc ku świątyni, mijał pochód między innemi dziełami sztuki, ogromnego Heraklesa ze spiżu, dar Thasyjczyków. Posąg ten miał wysokości dziesięć łokci, a twórcą jego był Onatas Ajginata syn Mikona, ten sam, który na zamówienie szczepów achajskich wykonał tuż obok ustawioną grupę z dziesięciu figur. Przedstawiała ona dziewięciu bohaterów achajskich, co zgłosiwszy się do pojedynku z Hektorem, losują komu ta walka przypadnie w udziale; dziesiąty Hektor, mieszający losy w hełmie, stał naprzeciwko tamtych na osobnej podstawie. Takie dary, złożone z kilkunastu lub kilkudziesięciu postaci rzeźbionych nie były w Olympii niczem wyjątkowem. Opowiada Pausanias, iż Messeńczycy posyłali na każdy obchód olympijski, chór złożony z trzydziestu pięciu chłopców. Ale raz wydarzyło się nieszczęście: okręt zatonął i morze pochłonęło młodych śpiewaków. Messeńczycy, pragnąc uczcić pamięć nieszczęsnych dzieci, sprawili do Gaju trzydzieści pięć posągów chłopięcych, dodając nauczyciela i fletnistę, którzy także ponieśli śmierć w tej przeprawie. Nie określa wprawdzie Pausanias, gdzie stała ta grupa tak liczna, musiała wszelako być umieszczona gdzieś nieopodal bramy głównej, gdyż bezpośrednio potem wspomina o innych chłopcach spiżowych, których ofiarowało sycylijskie miasto Akragas czyli Agringent, a ci stali na murze obwodowym od południowej strony. Pod kolumnadą świątyni Zeusowej, zwłaszcza od południowej strony, znać do dziś dnia na najwyższym stopniu stereobatu stopy tak wielu spiżowych posągów, że pomiędzy niektóremi kolumnami przejście było zupełnie zastawione. Północną stronę świątyni zdobiły również drogocenne i mnogie wota. Tutaj zachowała się podstawa, na której wznosił się dar Mikythosa, jako podzięka za uzdrowienie syna. Mikythos ów, z prostego niewolnika u tyrana Rhegionu, Anaxilasa, po śmierci swego pana wyszedł na opiekuna jego dzieci i na zawiadowcę jego państwa. Z daru tego wymienia Pausanias piętnaście posągów podzielonych na dwie grupy; były

to przeważnie bóstwa, lecz między niemi stali także dwaj poeci Homer i Hesiod. Pausanias dodaje przytem wyraźnie, że część darów Mikythosa wywiózł był do Rzymu Nero.

W Olympii bóstwem najczęściej przedstawianem był oczywiście sam Zeus. Pausanias wymienia przeszło trzydzieści jego posągów. Z tych największy spiżowy kolos mierzący 27 stóp (więc około 8 m.) fundowany przez Elijczyków. Stał on w pośrodku Gaju, gdzieś między świątynią a Pelopionem. Bez końca, rozdział za rozdziałem, ciągnie się u Pausaniasa opis marmurowych i spiżowych posągów. Jedni przy drugich tłumem gęstym stali tam bogowie, bohaterowie mytyczni, zwycięscy olympijscy, pieszo, konno i na wozach. Z tego lasu dzieł rzeźbiarskich ustawionych pod gołem niebem, nic nas nie doszło krom podstaw niektórych częścią uszkodzonych, częścią rozwleczonych po całej Altis przez mieszkańców średniowiecznych. Podstawy te, zwłaszcza dawniejsze, wykowane były nie w Olympii, lecz w tych miejscowościach, skąd pochodziły same posągi, jak świadczy materyał kamienny, bardzo różnorodny, a w Elidzie nigdzie nie spotykamy. Da się to wytłumaczyć tem jedynie, że do napisów rytych na cokole, przywiązywano wagę niemniejszą prawie, niż do samych posagów, pragnęli więc ofiarodawcy dopilnować każdej litery. Wskutek tego dla nas — jak słusznie powiedziano — »stała się Altis kopalnią przeróżnych odmian marmuru i rodzajów kamienia, a także kopalnią wszelakich narzeczy i alfabetów greckich«.

(Dok. nast.)

Lucyan Rydel.

W SPRAWIE ŚW. STANISŁAWA.

(Dokończenie).

DYSKUSYA.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Błędny rysunek drobnego szczegółu, który widać pod mikroskopem, staje się nieraz źródłem długiego szeregu błędów, powiązanych misternie w harmonijną teoryę. Czasami taka teorya pokutuje w nauce przez całe lata, póki jej nie uprzątnie dokładniejsze sprawdzenie naukowego »faktu«, z którego się zrodziła. Możnaby myśleć, że rychłe sprostowanie popełnionego błędu powinno łatwiej ustrzec t. z. »ścisłe nauki« od dalszych następstw każdej mimowolnej omyłki, zwłaszcza zaś od trwalszego utwierdzenia mylnych teoryi. A przecież i w naukach, polegających na obserwacyi, »komedya pomyłek« utrzymuje się czasem długo przed kinkietami umiejętnych dociekań, mimo nieśmiałych lub niedość szczegółowo objaśnionych protestów, chociaż z nimi wystąpi niejeden badacz, nie mogąc w żaden sposób dostrzec tego wszystkiego pod mikroskopem, co wyrysował śmiały twórca teoryi. Działa tu niezawodnie często pewna suggestya, poddająca się nieświadomie powadze głośnej firmy naukowej, bo ten potężny czynnik w tajemnicach poznania odgrywa w nich o wiele znaczniejszą rolę, niźli to przypuszczamy w naszym krytycyzmie.

Podobnie bywa czasem z jakąś oryginalną interpretacyą tekstu w historycznem badaniu. Tu także nieraz jedna oczywista

omyłka może na długie lata zapełnić naukową stajnię Augiasza, póki jej nie opróżni — nie Herkules, lecz pierwszy lepszy robotnik o zwykłych siłach, jeśli się nie ulęknie ani mozołu tak niewdzięcznych zabiegów, ani autorytetu, na którym cięży wina popełnionej omyłki. *Felix culpa* niekiedy — o ile uprzątnięcie jej dalszych następstw opłaci się skutecznem ostrzeżeniem na przyszłość: Nie tędy droga do prawdy!

Pragnęlibyśmy szczerze, żeby nasze uwagi o 28 rozdziale I księgi Galla, może nazbyt rozwlekłe i drobiazgowe, stały się tem skutecznem na przyszłość ostrzeżeniem [1].

Zródła nic nam nie mówią o »nieprzyjaźni« między Hermanem a św. Władysławem; przeciwnie, gdzie nadmieniają o nich obydwu razem, świadczą raczej o trwałem między nimi przymierzu, które w spuściźnie po Bolesławie Śmiałym przeszło na jego młodszego brata. Widać to mianowicie z obu ustępów Galla (I. 29, II. 4), o których wyżej już nadmieniono. Słusznie domyśla się Wojciechowski, że Galla łączyły jakieś niezwykle blizkie stosunki z synem Bolesława Śmiałego, tym urodziwym, tyle nadziei rokującym młodzieńcem, któremu takie rzewne poświęcił wspomnienie Może był rzeczywiście jego wychowawcą, miał więc o nim dokładne wiadomości. Cóż mówi Gallus I, 29? »Illum enim puerum rex Ungarorum Wladislaus, mortuo patre, nutriebat eumque loco filii parentis gratia diligebat. Ipse nimirum puer coaetaneos omnes et Ungaros et Polonos honestis moribus et pulchritudine superabat, omniumque mentes in se futuri spe dominii signis evidentibus provocabat, unde placuit patruo suo Wladislavo duci puerum in Poloniam sinistro alite revocare, cumque Ruthena puella fatis invidentibus uxorare«. Znamy z annałów datę powrotu Mieszka, rok 1086, siedem lat po katastrofie roku 1079. W hipotezie Woj-

[1] Dalsze uwagi, które czytelnik znajdzie poniżej, zniewolą go może do zastanowienia się nad pytaniem, czy autor »Szkiców« nie uległ pewnej suggestyi nieuzasadnionych, domysłów innego zasłużonego historyka o nieznanych dziejach lat 1079—1086? Kto wie, gdyby krytyka uprzątnęła zawczasu bezpodstawne domysły ś. p. Anatola Lewickiego o wydarzeniach r. 1086 i ich genezie (»Wratysław II czeski królem polskim«, Przemyśl 1876, str. 23 nn.), może Wojciechowski nie byłby napisał »Faktum biskupa Stanisława«.

ciechowskiego jest w ciągu tych siedmiu lat dosyć czasu na rozmaite »fakta«: na opanowanie Krakowa przez Czechów, na zwrot w polityce (!) Hermana, na zbliżenie się jego do św. Władysława, na zdobycie Krakowa przez Węgrów i osadzenie Mieszka w odzyskanym przez nich Krakówie. Powtarzam: autor »Szkiców« sam dziwi się, że źródła milczą o tem wszystkiem. Zamiast dziwić się, lepiej czytać bez uprzedzenia jasny tekst Galla i wierzyć mu, że Mieszko wrócił do Polski, przywołany przez stryja; że Herman przygarnął młodocianego tułacza, gdy synowiec doszedł do 17 lat; że choćby nie czem innem, to tem dał dowód stryjowskiej nad nim opieki, iż wyszukał mu żonę w jakiejś ruskiej księżniczce nieznanego imienia [1]. Rok powrotu Mieszka (1086), to data urodzenia Bolesława Krzywoustego. Dzień urodzenia znany: 20 sierpnia [2]. Od końca ubiegłego roku (1085) spodziewał się więc Herman upragnionego potomstwa. Pragnął mieć syna, spadkobiercę tronu; choćby Gallus nie pisał o tem z naciskiem (I, 30), możnaby się tego »faktu« domyślać, bez obawy, że domysł będzie zanadto śmiały. Niewiadomo, czy Mieszko przybył do Polski przed 20 sierpnia, gdy jeszcze nikt nie wiedział, jakiej płci będzie upragniony potomek Hermana, czy po 20 sierpnia, kiedy następca tronu był już na świecie. Bądź co bądź, data powrotu młodego księcia nie bez znaczenia. Św. Władysław, wychowany na dworze Piastów, wiedział to przecież dobrze, że los juniorów, a zwłaszcza książąt z pobocznych linii bywał nie do pozazdroszczenia, o ile charakter panującego księcia nie dawał pod tym względem pewnej rękojmi. Kochał Mieszka jak syna, a przecież odesłał go na dwór stryja, skoro Herman powołał do siebie synowca, jak to Gallus wyraźnie stwierdza [3]. Jeźli zaś uczynił to właśnie w roku 1086, czy wkrótce

---

[1] Balzer: »Genealogia Piastów«, str. 111—113.

[2] Tamże, str. 119.

[3] Wojciechowski poszedł w swoich domysłach o wydarzeniach r. 1086 za impulsem danym przez Lewickiego w jego wyżej przytoczonej pracy p. t. »Wratysław II czeski królem polskim«. Przypuszczenie o rządach Mieszka w Krakowie jest uzupełnieniem konstrukcyi Lewickiego, który mniemał jedynie, że św. Władysław wymógł na Hermanie wojną powrót Mieszka do kraju, że to był warunek pokoju, zawartego po tej (powiedzmy: fikcyjnej) wojnie (l. c. str. 27). Sam Wojciechowski zaznacza wyraźnie, że rządy Mie-

przed urodzeniem następcy tronu w Polsce, czy wraz po urodzeniu, można widzieć w tem, niezawodny dowód zaufania, na tle stosunków XI wieku. Widocznie żył w przyjaźni z Hermanem, w dawnej, wypróbowanej przyjaźni; z nim przecież wychowywał się na Piastowskim dworze, jego, jak i Bolesława Śmiałego, miał za starszego brata[1]. Do tej przyjaźni odwołał się też Herman

szka w Krakowie, to tylko przypuszczenie (str. 332): »Że Mieszek Bolesławowicz, powróciwszy z Węgier, panował w Polsce nie gdzie indziej, jak w Krakowie — to rzeczywiście tylko postulat«. Ja powiedziałbym po prostu: wymysł. Gdyby taka wiadomość stała u Długosza, nazywałaby się »amplifikacyą« i nikt nie poważyłby się brać jej na seryo; niema jej u Długosza, więc może być »postulatem«, a gdzieindziej (l. c. str. 340) operuje się tym »postulatem«, jakby stwierdzonym faktem. Co prawda, Wojciechowski stara się uzasadnić ten »postulat« w następujący sposób: »Można go jednak oprzeć na tym fakcie, że w roczniku kapituły krakowskiej zapisano o Mieszku w przeciągu czterech lat trzy wiadomości: powrót, ożenienie i śmierć (1086—1089), zaś o Hermanie w tym czasie ani jednej. Innego dowodu niema. Tyle co do krytyki źródeł«. Otóż ze stanowiska krytyki źródeł należy zapatrywać się zupełnie inaczej na ten rzekomy dowód. Trzy te zapiski o Mieszku (z r. 1086, 1088 i 1089) znajdują się wprawdzie rzeczywiście w roczniku kapitulnym krakowskim z drugiej połowy XIII wieku, jak i w innych późniejszych kompilacyach annalistycznych, ale dwie z nich (1088, 1089) pochodzą z owego najstarszego rocznika, którego odpis, sięgający do r. 1122, zachował się w rękopisie (z końca XI i początku XII wieku) niegdyś świętokrzyskiego klasztoru, dziś Biblioteki cesarskiej w Petersburgu. Ob. M. P. H. II, 773, 796, 874. Ten zaś najstarszy rocznik (niewłaściwie przez Bielowskiego nazwany świętokrzyskim) nie ma zgoła żadnego lokalnego charakteru, o Krakowie zaś niema w nim żadnej wzmianki. Jedna tylko zapiska tego rocznika podaje datę śmierci krakowskiego biskupa Lamberta, następcy św. Stanisława (1101), jedna datę śmierci arcybiskupa gnieźnieńskiego Bogumiła (1092); nadto pod r. 1000 zapisano »ordinatio s. Gaudentii episcopi« (Gniezno). Pomiędzy r. 1016 (odkąd zaczynają się annalistyczne zapiski tego rocznika w ścisłem znaczeniu) aż do końca, t. j. do r. 1122, jest ich razem 29, na tę zaś liczbę składa się 11 zapisek o wojnach, 15 o faktach z historyi rodzinnej panującego domu (daty urodzenia książąt, śmierci, zgonu it. p. (nawet: 1026 *Kazimyr ad discendum traditur*). Jeśli więc w takim roczniku (można powiedzieć: dworskim, książęcym) pojawiły się najpierw dwie zapiski o Mieszku (1088, 1089) i stamtąd później przeszły do krakowskiego rocznika kapitulnego, nie można tego uważać przecież za dowód (a choćby nawet za jakąkolwiek wskazówkę), jakoby ten Mieszko panował w Krakowie!!

[1] Stały, niezachwiany nigdy sojusz między Hermanem a św. Władysławem uważam naturalnie tylko za rzecz wielce prawdopodobną, zarówno ze względu na sytuacyę, o ile o niej można wyrobić sobie jakieś wyobrażenie, jak i ze względu na źródła, które stwierdzają ich przyjaźń

po kilku latach (1093), wzywając Władysława na pomoc dla uśmierzenia buntu Zbigniewa (II, 4).

Słowem, nic nie popiera dowolnych kombinacyi, jakoby Herman podniósł bunt przeciw bratu, jakoby w tem był narzędziem czeskiego Wratysława i Henryka IV — nic a nic! Z czeską księżniczką ożenił się dopiero po upadku Bolesława Śmiałego; uznaje to sam Wojciechowski (str. 281). Przedtem nic nie łączyło go z czeskim dworem, chyba te dawne związki powinowactwa[1], które nie przeszkadzały Bolesławowi Śmiałemu być w nieprzyjaźni z szwagrem. Był w cieniu aż do wygnania brata; bezżenny, miał nieślubnego syna Zbigniewa. Czy żył na dworze brata, czy też miał wyznaczoną jakąś dzielnicę na utrzymanie? Wszak nie ja pierwszy wpadam na domysł o dziel-

---

a milczą o jakiemkolwiek zamąceniu przyjaźni. Władysław Herman — to właśnie jedna z tych niewielu postaci, które wcale plastycznie zarysowują się w kronice Galla. Jaskrawo uwydatnia się jego niedołęstwo bez granic, brak woli, posunięty do chorobliwych wprost rozmiarów (II. 16); zresztą *pius et mansuetus vir* (II. 21). I Wojciechowski — gdy zapomni o swoich »konstrukcyach« a pamięta o tekscie Galla — ma też Hermana za typowego safandułę bez woli. Pisząc o powtórnem ożenieniu Hermana z wdową po Salomonie, królu węgierskim, wyraża się nie bez humoru: »Tylko, że zamiast *ożenił się,* stosowniej o nim powiedzieć *ożeniono go*« (l. c str. 333). Jak można w takiej figurze (bez żadnej źródłowej podstawy) dopatrzeć się materyału na przedsiębiorczego buntownika, zawierającego dalekie sojusze, zmieniającego w lot całą oryentacyę polityczną, gdy spostrzegł stosowną chwilę — tego ja nie potrafię zrozumieć. Ani tego, że Wojciechowski ma Hermana za jakiś czarny charakter, za sprawcę »zbrodni rodzinnej, jedynej w domu Piastów« (l. c. 339), za wyrafinowanego mordercę młodocianego synowca! Gallus wyraża domniemanie, że Mieszko nie umarł naturalną śmiercią (I. 29), a używając znów w tem miejscu dość enigmatyczuych wyrazów, zwraca podejrzenie w dwie strony: 1) własnej żony Mieszka, niedawno poślubionej, 2) zawistnych ludzi, którzy lękali się pomsty za wygnanie Bolesława Śmiałego. Wojciechowski uważa pluralis *aemuli* za nonsens, »żona Mieszka mogła być chyba tylko nieświadomem narzędziem przy otruciu, zostaje więc — Herman«. Gallus zasłużył istotnie na więcej uszanowania.

[1] Świętosława, rodzona siostra Bolesława Śmiałego i Władysława Hermana, była drugą żoną czeskiego Wratysława; ob. Balzer: »Genealogia Piastów« str. 108. Z jej pasierbicą Judytą ożenił się Herman około r. 1080 (tamże str. 102). Może trafny jest domysł Balzera, że to Świętosława skojarzyła małżeństwo brata z pasierbicą. Ja zaś dodałbym jeszcze jeden domysł: może dla utwierdzenia niepewnego stanowiska Hermana po wstrząśnieniach, jakie Polska musiała odczuć wskutek katastrofy r. 1079.

nicach juniorów w państwie Bolesława Śmiałego, pod jego berłem i żelazną ręką: Hermana i młodszych braci, o ile nie pomarli w zanadto młodym wieku [1], żeby prawem juniorów posiąść książęce uposażenie. Z Galla możnaby właśnie wnosić, że Herman nie był księciem bez ziemi. Przystępując do właściwego przedmiotu swojego dzieła, pisze Gallus (I. 30): »Mortuo itaque rege Bolezlavo aliisque fratribus defunctis, Wladislavus dux solus regnavit«. To *solus* nie miałoby sensu (zwłaszcza w połączeniu z poprzedzającymi ablat. absol.), jeźliby Herman przedtem nie posiadał uposażenia w osobnej dzielnicy. Jak zaś było rzeczywiście, o tem Gallus wiedział dokładnie; nie rozpisywał się o tem, ponieważ uważał to za rzecz naturalną, która zresztą nie należała do przedmiotu dzieła. Nie upieram się przy tem spostrzeżeniu, choć możnaby je związać z domysłem Wojciechowskiego, jakoby Herman po wygnaniu Bolesława Śmiałego panował w Wielkopolsce, w Poznaniu (l. c. str. 271). Może i przedtem? A może na Mazowszu [2], gdzie tak chętnie przebywał w późniejszych latach, gdzie został pochowany; Gallus II. 6: »semper in sua Mazovia libentius habitavit«. W r. 1079 dosięgał już lat czterdziestu. Do tego czasu nie wszedł w legalne związki małżeńskie, odpowiednie dla stanowiska Piasta, choćby juniora. Powiedziano, że później, gdy nie miał nad sobą brata, dwa razy z rzędu »nie tyle się żenił, ile go żeniono«; może Bolesław Śmiały nie spieszył się z kojarzeniem małżeńskich związków juniora, które mogły być źródłem niepotrzebnych kłopotów.

Czy od razu po katastrofie brata objął po nim spuściznę? Trzymając się literalnie słów Galla (mortuo itaque rege Bolezlavo), należałoby sądzić, że co najmniej dopiero po śmierci Bolesława, w r. 1082 [3].

---

[1] Por. Balzer: »Genealogia Piastów« str. 108—110.

[2] Tak ostrożny badacz jak Potkański, tak mało skłonny do podawania wszelkich domysłów za pozytywne fakta, mówi o tem przypuszczeniu, jakby o pewnej rzeczy; ob. jego »Przywilej z 1086 r.«, *Kwartalnik historyczny* XVI, 21.

[3] Balzer: »Genealogia Piastów«, str. 97 skłania się raczej ku wcześniejszej o rok dacie rocznika kapitulnego krak. 1081. Sądzę, że t. zw. »rocznik świętokrzyski«, najdawniejszy, przepisany w r. 1122, powinien tu bez-

Według Wojciechowskiego, od roku 1079 do roku 1086 panował w Krakowie Wratysław czeski; dopiero po upływie tych siedmiu »haniebnych« dla Polski lat, wyparł go stamtąd św. Władysław i osadził na krakowskiej stolicy Mieszka, syna Bolesława Śmiałego. Domysł na domyśle, a na tym domyśle jeszcze jeden domysł. Czcigodny autor »Szkiców« poszedł tu za Lewickim, rozwijając jego domysły i nie tając zresztą wątpliwości, jakie w nim obudzała ta hipoteza. Co do najważniejszego jej punktu, stwierdził to najwyraźniej: »NB. historya roku 1086, jak ją tu przedstawiam, to przeważnie konstrukcya, na którą złożyli się Katona, Roepell i Lewicki[1]. Idę za nią i dopełniam, bo wydaje mi się jedynie możliwą« (l. c. str. 330). Że doskonale godzi się z domysłami o buncie Władysława Hermana, tego nikt nie zaprzeczy.

»Jedynie możliwą konstrukcyą« jednak nie jest to kruche przypuszczenie o czeskich rządach w Krakowie 1079—1086. Na dowód, *exempli gratia*, zaproponuję inną, nie tak misterną wprawdzie, zresztą — myślę — chyba nie gorszą, a w każdym razie nie sprzeczną z tekstami źródeł[2].

---

warunkowo rozstrzygać, zwłaszcza, że jest to zabytek o wybitnych znamionach nadwornej, oficyalnej analistyki; ob. wyżej str. 212, przyp. 3. Nie mogę zgodzić się z mniemaniem Balzera, że »późniejsza o jeden rok data rocznika świętokrzyskiego da się odnieść do otrzymanej później wiadomości o jego (Bolesława) śmierci«, niepodobna bowiem przypuścić, iżby te dwie zapiski polegały na dwóch odrębnych, niezależnych od siebie źródłach. Data roczn. kap. krak. z drugiej połowy XIII wieku jest oczywistą omyłką kopisty, jak w wielu innych razach.

[1] Dla niefachowych czytelników dodaję objaśnienie, że Stefan Katona, uczony Jezuita węgierski, umarł w r. 1811, Ryszard Roepell, prof. uniwersytetu wrocławskiego, w r. 1893, Anatol Lewicki, prof. uniw. Jag. w r. 1899.

[2] Mojem zdaniem, już same te wątpliwości, które Wojciechowski zaznaczył lojalnie l. c. str. 270—271, 330—332, wystarczają zupełnie do obalenia hipotezy Lewickiego o czeskich rządach w Krakowie po wygnaniu Bolesława Śmiałego. Do wątpliwości Wojciechowskiego możnaby dodać niejeden jeszcze argument, coby nas odwiodło zbyt daleko od przedmiotu. Niebawem zresztą ukazać się ma praca jednego z wybitnych znawców naszego średniowiecza, która — mam nadzieję — usunie do szczętu tę niepotrzebną fikcyę z polskiej historyi XI wieku. Co charakterystyczne jednak, to że Wojciechowski, pomimo wyrażonych l. c. wątpliwości, pisze na str. 281 (a więc

Jakby na urągowisko, jedyny punkt oparcia w tej próżni lat 1079 — 1086, to trzyletnie opróżnienie krakowskiego biskupstwa po męczeństwie św. Stanisława. Kto chce ten fakt tłumaczyć panowaniem Czechów w Krakowie, zapląta się w trudności nie do rozwikłania. Drugim bowiem, pośrednio do Polski odnoszącym się punktem oparcia, jest głośny czeski falsyfikat z tych czasów: dokument, podrobiony dla uzasadnienia ówczesnych roszczeń praskich biskupów do terytoryum krakowskiej dyecezyi (l. c. 267 n.). Produkowano ten falsyfikat na mogunckim synodzie w maju 1085, poczem Henryk IV obdarzył tytułem królewskim czeskiego Wratysława, a zarazem, jak mówi współczesny Kozmas, *tam Poloniae quam Bohemiae praefecit*[1]. Gdyby trzyletni wakans krakowskiego biskupstwa był w jakimś związku z tem wszystkiem, dlaczegoż Lambert został następcą św. Stanisława już w r. 1082[2], cztery lata przed fikcyjnem — powiedzmy — wypędzeniem Czechów z Krakowa? Natomiast zakończenie trzyletniego wakansu schodzi się właśnie z datą śmierci Bolesława Śmiałego; obydwa fakta zaszły w tym samym roku, istotne, pewne fakta.

---

pomiędzy dwoma wyżej przytoczonymi ustępami) jakby o pewnym, stwierdzonym fakcie: »Na stolicy krakowskiej zasiedli teraz Wratysław i Świętawa Kazimierzówna, i trzymali ją przez siedem lat, do roku 1086«. Główny punkt oparcia dla bezzasadnych domysłów o kilkoletniem panowaniu czeskiem w Krakowie stanowią, jak wiadomo, śmiałe wnioski, wysnute z ówczesnego falsyfikatu biskupa Jaromira r. 1085 czy 1086. Najzupełniej zgadzam się z opinią Wojciechowskiego (l. c. str 269): »Ostatnia reasumująca i jak mniemam stanowcza o tem rozprawa jest K Potkańskiego »Przywilej z 1086 r.«, *Kwart. hist.* 1903«. Zgadzam się, z zastrzeżeniem, że ostatnie słowo o tym przedmiocie (które zresztą nie zmieni zapewne rezultatów tej cennej rozprawy, ale może je uzupełnić) będzie dopiero wypowiedziane po dokładnem zbadaniu monachijskiego tekstu rzeczonego falsyfikatu, co sam Potkański akcentuje tamże str. 5. Wojciechowski nie liczy się jednak z trafnem zdaniem Potkańskiego (tamże str. 22) o rzekomem panowaniu Czechów w Krakowie. »Wobec milczenia tak ważnego źródła, jak Kozmas, prędzejbym sądził, że podówczas do faktycznego zajęcia Małopolski przez Czechów nie przyszło«... i t. d.

[1] Por. Potkański: »Granice biskupstwa krakowskiego« (*Rocznik krakowski* IV, 201—212); tenże: »Przywilej z 1086 r.« (*Kwartalnik hist.* XVII, 1—28.

[2] Roczn. kapit. krak., M. P. H. II, 796.

Może był jakiś między nimi związek? Może dlatego przez trzy lata niema w Krakowie biskupa po śmierci św. Stanisława, że nie było komu zamianować następcy [1]? Może legenda o pokucie Bolesława Śmiałego, w dalekim karynckim klasztorze, odwiodła

---

[1] Krotoski: »Św. Stanisław biskup i jego zatarg z królem Bolesławem Śmiałym« (Lwów 1905) str. 157—160, uważa czteroletnie opróżnienie krakowskiej stolicy biskupiej po śmierci św. Stanisława, za wskazówkę, że wówczas toczyła się w Polsce walka kościelno-polityczna na tle zasadniczych postulatów gregoryańskiej reformy, obostrzonych dekretami papieskimi 1078 i 1080 r. Autor nie przychyla się bynajmniej do mniemania, jakoby Herman należał do obozu przeciwnego Grzegorzowi VII; przeciwnie, zbija twierdzenia o zwrocie Polski w stronę Wibertyzmu po objęciu rządów przez Hermana. Uważa jednak dekrety Grzegorza VII z roku 1080 za niewykonalne w ówczesnym stanie rzeczy, a stwierdzając słusznie, że te dekrety spotkały się wszędzie z oporem panujących, wysnuwa stąd wniosek o konflikcie kościelno-politycznym w sprawie obsadzenia krakowskiego biskupstwa 1079—1082, ponieważ »nawet tak Kościołowi oddany, nawet tak słaby przedstawiciel władzy świeckiej, jakim był nasz Władysław Herman«... »nie mógł zgodzić się na tak daleko idące pretensye« papieża. Pozostawiamy czytelnikowi wybór między tem wyjaśnieniem krakowskiej sedyswakancyi 1079—1080, a naszem, chyba o wiele prostszem tłumaczeniem tego faktu. Właśnie dlatego, że dekreta 1080 r. napotkały wszędzie na opór, nie widzę powodu, dlaczegoby w oddalonej Polsce spowodowały naraz wybuch ostrego kościelno-politycznego konfliktu, wskutek którego krakowska stolica biskupia była opróżniona przez 3 czy 4 lata. Musiałem tu, ze względu na wyrażony powyżej mój domysł co do przyczyny tego faktu, dotknąć odmiennego zapatrywania d-ra Krotoskiego, jakkolwiek z jego pracą ani nie polemizuję ani też nie odwołuję się do niej celem poparcia mych własnych twierdzeń czy wywodów. Nie piszę bynajmniej historyi św. Stanisława, jak już zaznaczyłem to po kilka razy, ponieważ uważam takie zadanie za rzecz niewykonalną. Dlatego też rozprawianie się z obfitą literaturą tego przedmiotu ograniczam do punktów, koniecznie tego wymagających ze względu na tok mojej własnej argumentacyi; inaczej i tak przydługa moja rozprawa urosłaby do rozmiarów osobnego dzieła, bez żadnego dla rzeczy pożytku. Kładę na to wyraźny nacisk, ponieważ dr. Krotoski już podczas druku niniejszej mojej rozprawy objawił swój żal z powodu jakiegoś (jak mniema) »lekceważenia«, spotykającego cały szereg jego prac o kwestyi św. Stanisława (*Kwart. hist.* XXIII, 490). Pracom tym należy się szczere uznanie za wielką sumę mozołu badawczego, którą autor włożył w swoje poszukiwania, odznaczające się gruntowną znajomością obcej historyografii z drugiej połowy XI wieku i literatury, tyczącej się ówczesnych kościelno-politycznych walk na Zachodzie. Co do mnie, nie mam sądu o tym przedmiocie, ponieważ nie zajmowałem się nim bliżej; o ile jednak się nie mylę, w przytoczonej rozprawie d-ra Krotoskiego nie brak nawet niektórych spostrzeżeń, które zasługują na uwagę

historyków od trafniejszych domysłów, co z nim stało się po wygnaniu z Krakowa? Świadomy rzeczy Gallus mówi niewiele (I. 28): »magnam sibi Ungarorum invidiam cumulavit, indeque citius extrema dies eum, ut aiunt, occupavit«. Nie chciał widocznie mówić więcej. Może wygnany król zginął na Węgrzech, może gdzieindziej, z ręki Węgrów lub przez nich zdradzony, wy-

w literaturze t. z. sporu o inwestyturę. Szkoda tylko, mojem zdaniem, że autor utopił te spostrzeżenia w rozprawie o św. Stanisławie. Błędnem założeniem tej pracy jest z góry powzięte przekonanie, że należy wykazać związek pragmatyczny pomiędzy katastrofą r. 1079 a całym przebiegiem współczesnych kościelno-politycznych walk na Zachodzie. Są tam niezawodnie pewne punkta styczne, które słusznie uwydatnił Wojciechowski (l. c. 145—207) a w niektórych szczegółach wyraziściej wycieniował Krotoski (l. c. 116 nn.): punkta styczne, polegające na tem, że upadek tak potężnego przeciwnika Henryka IV, jakim był Bolesław Śmiały, nie minął bez zaważenia na szali współczesnych wypadków europejskich. Czy jednak był jakikolwiek związek między zasadniczą istotą ówczesnych walk kościelno-politycznych a zatargiem św. Stanisława z królem — o tem nigdy nie będziemy nic wiedzieć, dopókiby nie odkryły się jakieś nowe, nieznane źródła. Tego zaś chyba dziś nie można przypuszczać ani oczekiwać; wolno było jeszcze spodziewać się tego, dopóki archiwa watykańskie osłaniała tajemnica. Przytoczona praca d-ra Krotoskiego dowiodła, mojem zdaniem, jednej rzeczy z niezachwianą pewnością: że wszelkie wysiłki wyjaśnienia historyi św. Stanisława zapomocą gruntowniejszego poznania współczesnych kościelno-politycznych walk na Zachodzie nie doprowadzą do żadnego rezultatu, choćby w tę istną pracę Danaid włożono jak najwięcej erudycyi i znawstwa epoki. »Konstrukcya«, zapomocą której dr. Krotoski usiłuje wytłumaczyć czteroletnie opróżnienie krakowskiej stolicy biskupiej, może służyć za typowy przykład innych podobnych »konstrukcyi«, wykazujących rzekomo jakąś łączność między polskim zatargiem r. 1079 a współczesnymi wypadkami na Zachodzie; por. l. c. str. 122 nn. Może czytelnik pomyśli, że nie powinienem innym czynić zarzutów tego rodzaju, jeżeli sam nie powstrzymuję się od przypuszczeń, jaki mógł być przebieg wydarzeń w Polsce po katastrofie r. 1079. Aby więc z góry uchylić to nieporozumienie, jeszcze raz zaznaczam z jak największym naciskiem, że nie przywiązuję żadnej wagi do wyrażonych tu przypuszczeń, i ostrzegam nieustannie czytelnika, aby ich przypadkiem nie brał za »fakta«. Zaznaczam jedynie różne »możliwości«, ponieważ Wojciechowski twierdzi, że jego »konstrukcya« jest »jedynie możliwa«. W tem różnica. I Wojciechowski i Krotoski natomiast, w ciągu pracy nabywają nieuzasadnionej wiary w swoje »konstrukcye«, traktując je jako »fakta« i operują tymi rzekomymi faktami w popieraniu nowych »konstrukcyi«, które znów nabierają w ich oczach wartości faktów. To metoda, przeciw której należy się zastrzedz. Co do przytoczonej rozprawy d-ra Krotoskiego, wadliwości tej metody uwydatniają się, mojem zdaniem, najjaskrawiej w III rozdz., str. 48—74.

dany wrogom i t. p. To pewne, że nie sam przybył na Węgry, ale w orszaku wiernych rycerzy, z żoną i synem; trafne to spostrzeżenie Wojciechowskiego: spostrzeżenie, nie domysł (l. c. str. 283). Nie na to przybył do króla Władysława, którego przed dwoma laty osadził był na tronie — by go znieważyć przy pierwszem spotkaniu i pociągnąć gdzieś dalej. Władysław *aliquantulum aegre tulit* ten wybryk pychy, pewności siebie, ale wybaczył przyjacielowi; wkrótce się pogodzili. Czyżby Bolesław Śmiały, uszedłszy z Polski na czele garstki wiernych rycerzy, tak łatwo dał za wygraną? Czyżby się nie pokusił o ten »zdradziecki« Kraków, z którego był *eiectus*?[1]. Czyżby mu król Władysław

[1] Jedyny punkt oparcia, na którym zbudowano hipotezę o wojnie węgiersko-czeskiej r. 1086, o zdobyciu Krakowa przez Węgrów (i osadzeniu Mieszka na krakowskiej stolicy, por. wyżej str. 212) — to kombinacya wniosków, wysnutych z ówczesnego falsyfikatu biskupa Jaromira, i z mętnego świadectwa kronikarskiego z XIV wieku. *Cronica Marci,* węgierska kompilacya XIV stulecia (l. c. str. 330), wcześniejsza wprawdzie od naszego Długosza, mniejszej jednak bez porównania wartości, nadmienia o jakiejś wojnie św. Władysława z Polakami, w której zdobyto Kraków, poczem św. Władysław wtargnął do Czech. Niema tam żadnej daty, żadnej zgoła wskazówki, według którejby można tę zagadkową wojnę odnieść do r. 1086. To chronologiczne określenie jest już wyłącznie domysłem Lewickiego (»Wratysław II czeski królem polskim«, Przemyśl 1876, str. 24 n.); za nim poszedł Wojciechowski. Mimo wątpliwej wartości tak późnego świadectwa, można w niem jednak, mojem zdaniem, rozpoznać jakieś jądro starej tradycyi, które przechowało się podobno w podaniach o św. Władysławie, związane z jego osobą. Znamienny rys podania uwydatnia się mianowicie w anegdotycznym szczególe o zdobyciu Krakowa: Węgrzy oblegają go przez całe trzy miesiące, wreszcie sypią kopiec i pokrywają go mąką, na znak, że mają podostatkiem żywności; widząc to obrońcy Krakowa, zaprzestają oporu i poddają się. Z takiem samem uprawnieniem, jak do r. 1086, możnaby tę wojnę i oblężenie Krakowa odnieść do pierwszych lat po wypędzeniu Bolesława Śmiałego. W takim razie byłaby to interwencya węgierska celem przywrócenia Bolesława na tron, na krakowską stolicę, z której go strącono. Jeśli Bolesław próbował odzyskać utracony tron z pomocą węgierskich posiłków, może w ciągu tych zabiegów udało mu się chwilowo zdobyć gród wawelski, o nim bowiem może być przecież tylko mowa w drugiej połowie XI wieku. Trochę tylko popuścić jeszcze wodze wyobraźni, a można sobie wystawić Bolesława na zdobytym przez Węgrów Wawelu, z pozostawioną mu węgierską załogą, gdy Władysław pociągnął dalej przeciw Czechom. Węgrzy nienawidzili Bolesława, »indeque citius extrema dies eum, ut aiunt, occupavit«. Nie twierdzę bynajmniej, że tak było; to jedynie jedna

do tego nie dopomógł? Albo bierzmy na seryo opowieść Kadłubka o skrupułach św. Władysława w obcowaniu z wyklętym zabójcą biskupa, albo idźmy za Gallem. On nic nie wie o tych skrupułach, a natomiast wie o serdecznych uczuciach, jakie do końca żywił względem nieszczęśliwego »brata i przyjaciela«, potężnego jeszcze przed chwilą protektora, król węgierski, *mansuetus rex.* Widocznie wdzięczność przemogła, i ból, którego doznał wskutek obelgi w pierwszem spotkaniu z Bolesławem, i oburzenie na przyjaciela, że targnął się na biskupa, jeźli Władysław wogóle wiedział o tym okrutnym czynie[1]. Fantazując o katastrofie Bolesława Śmiałego, nie mogę dla niego znaleźć miejsca gdzieindziej po wypędzeniu z Polski, jak najpierw w gościnie u wychowanka,

---

z wielu »możliwości«, której źródła się nie sprzeciwiają; zbyt krucha podstawa, żeby na niej opierać jakiekolwiek domysły, nie kruchsza zresztą od podstaw hipotezy o czeskiem panowaniu w Krakowie i odzyskaniu Krakowa w r. 1086. Jeśli jednak przypadkiem taki był (albo podobny) koniec Bolesława Śmiałego, nie możnaby się dziwić, dlaczego Gallus ten fakt utopił w anegdocie o spotkaniu królów (ob. wyżej str. 8) a nie miał ochoty pisać o nim wyraźnie. To nie posłużyłoby *ad correctionem eis, qui dominis naturalibus fidem non servaverunt* (I. 19).

[1] Wojciechowski tłumaczy św. Władysława, dlaczego nie dopomógł przyjacielowi do odzyskania tronu (l. c. str. 283): »Spodziewał się pewno Bolesław, że za pomocą węgierską wróci do Polski i odbije; miał dopiero 35 lat (?); ale nie doczekał się; Władysław widocznie obliczył, że sam jeden nie dałby rady przeciwko czterem: Henrykowi, Wratysławowi, Hermanowi (?!) i Salomonowi«. Ten Salomon, to wyparty przez Władysława potomek Arpadów, który szukał poparcia u szwagra, Henryka IV. Czyż to wszystko nie trąci cokolwiek trójprzymierzem, trójporozumieniem i *splendid isolation* XX wieku? Jeśli już fantazować na ten temat, lepiej nastroić wyobraźnię na średniowieczną nutę. W takim razie, zamiast zbrojnego pokoju, rączej domyślać się wojenki, jakiej wiele w tych czasach, o charakterze tych bohaterskich wypraw Wratysława albo Krzywoustego, o których pisze współczesny Kozmas czy Gallus. W lot zapadały postanowienia o takich wojnach, bez obliczenia: jakie siły wystawi przeciwnik (w tym wypadku krakowscy *traditores*); czy dopiszą lub nie dopiszą zawarte przymierza; jak zachowają się domniemani sojusznicy nieprzyjaciela, którego trzeba było właśnie szybko uprzedzić, żeby nie miał czasu porozumieć się z nimi i t. p. i t. p. Do hufca, z którym Bolesław przybył na Węgry, dość było dołączyć parę węgierskich hufców — i dalej za Karpaty! Bolesławowi wprawdzie »zaszkodziło wielce« męczeństwo św. Stanisława, ale nie w tym chyba stopniu, żeby na nikogo nie mógł liczyć w Polsce, gdyby się zjawił na czele wojska po drugiej stronie Karpat.

na jego dworze (Gallus), a potem w krakowskiej ziemi, na czele własnego hufca i węgierskich posiłków, w utarczkach z buntownikami (domysł). Raz mógł być po tej, to znów po tamtej stronie gór, aż po trzech latach, znienawidzony przez Węgrów, zginął z ich ręki, czy może przez nich zdradzony. Tak czy inaczej, zginął tajemniczą śmiercią. Różnie o tem mówiono, jakby przepadł bez wieści. W sto lat po śmierci Bolesława Śmiałego, opowiadano w Polsce, że skończył samobójstwem, »męczony straszną chorobą, niesłychaną«, jakby otruty wolno działającym jadem czy też dotknięty okropnem cierpieniem, karą niebios za umęczenie św. Stanisława [1].

Wszystko to »możliwości« jedynie, nic więcej. Gdyby jednak istotnie wygnany król próbował odzyskać stracony tron, nie dziwiłbym się wcale, że Herman w takim razie stał na uboczu, z właściwą sobie, charakterystyczną biernością, *pius et mansuetus vir*. Nie dziwiłbym się również, jeźliby w takim razie nad jego biernością (czy neutralnością!) czuwała wówczas młoda małżonka, czeska księżniczka Judyta, nie pozwalając powolnemu mężowi mięszać się w walkę o Kraków. Nie mieli jeszcze dzieci; najbliższymi agnatami blizkiej wygaśnięcia dynastyi byli przyrodni bracia Judyty, czescy książęta, wnukowie Kazimierza Odnowiciela. I w osobistym więc interesie książęcej pary i w interesie czeskiej dynastyi, było wśród walki o tron w Krakowie zachować neutralność, nie zrażać sobie krakowskich panów, którzy zrzucili z tronu zabójcę krakowskiego biskupa; jeśli go rzeczywiście wspierał węgierski król Władysław, wróg Wratysława, ojca Judyty, Herman nie mógł tembardziej pomagać bratu. I może — znów może, nic więcej — może właśnie ta bierność Hermana skłoniła krakowskich wielmożów, że po śmierci Bolesława Śmiałego uznali go swoim panem — »mortuo itaque rege Bolezlavo aliisque fratribus defunctis Wladizlavus dux solus regnavit« (I, 30). Z objęciem rządów w Krakowie, jedną z pierwszych czynności Hermana mu-

[1] Taką wersyę podaje Kadłubek, II. 20, M. P. H. II. 299. Późniejsza tradycya (XIII wieku) zna dwie wersye, zosobna lub w połączeniu: okropny wrzód i obłąkanie, szaleństwo. Ob. *Vita s. Stanislai* M. P. H. IV. 283, Kron. wielkopol., tamże II. 489.

siało być obsadzenie opróżnionego biskupstwa, rzecz nagląca po trzyletnich wstrząśnieniach; »pius et mansuetus vir« (II, 21) miał to sobie zapewne za pierwszy obowiązek. Nie spieszył się na razie z przywołaniem synowca. Mieszko hodował się dobrze na węgierskim dworze, liczył dopiero 13 lat. Co innego po czterech latach, gdy uśmierzyły się namiętności, a syn znienawidzonego wygnańca nie tyle już raził zawziętych na ojca krakowskich panów. Skutek pokazał, że i to jeszcze było może za wcześnie. Po sześciu zaś dopiero latach, jeszcze przed rychłym zgonem młodocianego Mieszka, nadeszła wreszcie pora na ekspiacyę okrutnego czynu Bolesława Śmiałego: w r. 1088 odbyła się uroczysta translacya zwłok zabitego biskupa ze Skałki do katedry — akt, w którym według mojego pojmowania rzeczy, u »pobożnego a łagodnego« księcia ludzkie uczucie brata zabójcy, mogło łączyć się z przeświadczeniem o ciążącym na nim obowiązku ekspiacyi [1].

Nie twierdzę, by Bolesław kusił się o zdobycie krakowskiej

---

[1] Przywykliśmy uważać Hermana za przeciwnika Bolesława Śmiałego, za wroga, który go strącił z tronu; hipoteza Wojciechowskiego o buncie Hermana, o jego przymierzu z Henrykiem i Wratysławem, celem obalenia starszego brata, narzuca wyobraźni mniemanie o antagonizmie między synami Kazimierza Odnowiciela; może niejednemu czytelnikowi trudno na razie oswobodzić się od tego uprzedzenia, chociażby uznał, że w źródłach brak dla niego poparcia. Może też to wyda się dziwnem, że gotów jestem przypuszczać w Hermanie łączność albo kolizyę braterskich uczuć z przeświadczeniem o potrzebie ekspiacyi czynu Bolesława. Warto zwrócić uwagę, że Herman dał synowi, o którego narodzenie tyle się modlił, którego wyczekiwał z takiem upragnieniem, nie inne jak nieszczęśliwego stryja imię: Bolesław Symbolika imienia, wybranego dla narodzonego dziecka, miała niezawodnie inne znaczenie i siłę inną w XI wieku, niż dzisiaj. I dziś jednak, nawet w najbardziej racyonalistycznem środowisku, byłoby to szczególną rzeczą, gdyby młodszy brat dał upragnionemu pierworodnemu synowi imię znienawidzonego starszego brata, przeciw któremu podniósł bunt, którego strącił z tronu i wygnał, którego pamięć przeklinał! Może nie bez znaczenia jest wzmianka Kozmasa o śmierci Judyty Wratysławówny i o imieniu jej syna (Mon. Germ. h. SS. IX, 91): »Filius autem eius post in baptismate nomine sui patrui Boleslao vocatus«. Kozmas miał około 40 lat w roku urodzenia Bolesława Krzywoustego; był kapelanem na dworze jego dziada. O Bolesławie Śmiałym wcale prawie nie pisze. Wyrazy: *nomine patrui sui* są zatem podobno czemś więcej niż prostem stwierdzeniem tożsamości imion Bolesława Śmiałego i Bolesława Krzywoustego.

ziemi. To tylko jedna z wielu »możliwości«, której źródła nie przeczą, a z którą bez trudności można pogodzić mętne ich napomknienia o zagadkowej, tragicznej śmierci wygnanego króla. Jeźli tak było, nie wiem zgoła, czy Czesi przeszkadzali wygnańcowi w jego zabiegach, wspierając przeciw niemu małopolskich wielmożów. Moja imaginacya za słaba tu na domysły, a w źródłach nie znajduję żadnego w tym względzie oparcia, nic, coby wskazywało, że choćby jeden rycerz Wratysława pokazał się nad Wisłą pomiędzy r. 1079 a 1082 lub też w następnych latach. Wiem tylko, co stało się w trzy lata po śmierci Bolesława Śmiałego, w r. 1085, na synodzie w Moguncyi. Wratysław wystąpił tam ze staremi pretensyami Czech do Krakowa i małopolskich ziem. Odezwały się odwieczne tradycye, sięgające epoki pierwszych Piastów i dalej wstecz, aż jeszcze w czasy Świętopełka. Mógł chyba poprzeć te roszczenia niedawnym faktem: trybutem, który ojciec jego pobierał od Kazimierza Odnowiciela; oparł je na falsyfikacie stuletniego jakoby dokumentu. Może zabiegi Wratysława, uwieńczone pomyślnym skutkiem na synodzie moguncklm r. 1085, rozpoczęły się jeszcze przed paru laty, przed śmiercią Bolesława Śmiałego, gdy los krakowskiej ziemi nie był rozstrzygnięty. Bądź co bądź, w tem teoretycznem uznaniu rzekomych praw czeskiej dynastyi do Małopolski niema zgoła powodu upatrywać nieprzyjaznego kroku, zwróconego przeciwko Hermanowi; wartość tego aktu była widocznie obliczona na przyszłość, a jeszcze w maju 1085 r. bezdzietność Hermana i Judyty, od kilku lat trwająca, nie rokowała im nadziei potomstwa[1]. Może jednak te zabiegi

[1] Wiadomo, jaki nacisk kładzie Gallus na cudowne urodzenie Bolesława Krzywoustego po daremnem oczekiwaniu potomstwa przez tracących nadzieję rodziców (I. epist., epil., 30, 31). Herman ożenił się nie rychlej jak w r. 1080 (Balzer: »Genealogia Piastów«, str. 102), Krzywousty urodził się r. 1086; sześcioletnia zatem bezdzietność książęcej pary nie wytwarzała jeszcze tak beznadziejnego położenia, jak to Gallus przedstawia. »Cudowne« urodzenie bohatera kroniki przyczyniało mu niezawodnie pożądanego nimbu. Cokolwiekby jednak kłaść na karb tego motywu w tak silnem akcentowaniu »cudu«, zdziałanego za wstawiennictwem św. Idziego, sama opowieść Galla zasługuje najzupełniej na wiarę (votum, posty, modlitwy, poselstwo do Prowancyi) i świadczy w każdym razie o niepokoju książęcej pary, trapionej kilkoletnią bezdzietnością. Obok ludzkich motywów, odgrywały tu zapewne

teścia zaczęły wreszcie zięcia niepokoić, pomimo jego indolencyi, odkąd miał prawowitego syna; może też czuwał nad mogącem stąd urosnąć niebezpieczeństwem wszechwładny palatyn Sieciech, któremu podobno Herman zawdzięczał panowanie w Krakowie[1]. Dość, że po śmierci Judyty Wratysławówny, »pius et mansuetus vir«, dbając o święty spokój i bezpieczeństwo, poszukał sobie żony, której rodzinne związki mogły być skuteczniejszą tarczą przeciw czeskim zachciankom od koligacyi z czeską dynastyą. Pojął w małżeństwo siostrę Cesarza Judytę, owdowiałą po Salomonie węgierską królowę[2]. Czy dobrze na tem wyszedł jako małżonek, jako ojciec Krzywoustego — to jego sprawa. Miał jednak spokój, jeźli nie w domu, gdzie »królowa Judyta« wichrzyła

---

niemałą rolę czynniki polityczne. Domowi Piastów groziło wygaśnięcie; jedyną ostoją przyszłości domu był przygarnięty przez św. Władysława syn Śmiałego, którego widoki do odzyskania utraconego tronu przedstawiały się niezawodnie w dość niepewnem świetle, po niedawnem wypędzeniu ojca a może i po jego bezowocnych zabiegach o odzyskanie Krakowa. Można sobie wyobrazić, że położenie Hermana po objęciu rządów nie było bardzo pewne, pod bezpośrednim wpływem dopiero co minionych wstrząśnień. Niepewność położenia wobec bezdzietności książęcej pary nie przyczyniała się do utwierdzenia pozycyi Hermana. Na tem tle łatwo pojąć, jaką wagę przywiązywano do urodzenia męskiego potomka; niemniej zaś rozważenie tej sytuacyi ułatwia zrozumienie mogunckiego aktu r. 1085, którego wartość obliczona była niezawodnie na przyszłość. Uwagi te wydadzą się może zbytecznemi. Nie są jednak może tak jałowe, jakby można sądzić, jeżeli się o tem pamięta, że mylne pojęcie o znaczeniu mogunckiego aktu, jakoby zwróconego przeciw Hermanowi (wraz z mylnem jego datowaniem: 1086 zamiast 1085) posłużyło za podwalinę mylnych konstrukcyi o wydarzeniach r. 1086, o rzekomym zwrocie w polityce Hermana, o przerzuceniu się jego na stronę św. Władysława i t. p. Przytoczona powyżej rozprawa Lewickiego (»Wratysław II czeski« i t. d.), która cały ten łańcuch pomyłek wprowadziła do naszej literatury historycznej — to jedna z pierwszych prac tego nieodżałowanego badacza, odbijająca jaskrawo ryzykowną śmiałością domysłów od zrównoważonej trzeźwości jego późniejszych badań.

[1] Dawny to już mój domysł, ob. »Szkice historyczne« (Warsz. 1883) II. 24 n. Nie miał powodzenia; nikt, o ile mi wiadomo, nie zwrócił nań uwagi. Dopiero po wielu latach rozwinął go szerzej dr. Krotoski, l. c. str. 153.

[2] Salomon był rywalem św. Władysława; z Węgier wyparł go Bolesław Śmiały, osadzając Władysława na tronie. Nie próbowano, o ile pamiętam, przypisywać politycznego znaczenia małżeństwu Hermana z wdową po Salomonie, jakoby je należało uważać za nowy zwrot polityki Hermana przeciw św. Władysławowi, rywalowi pierwszego męża Judyty. I słu-

po swojemu, nastając wespół z Sieciechem na zgubę pasierbów, ale z zewnątrz przynajmniej, ze strony dawnego teścia, nie groziło mu niebezpieczeństwo czeskich pretensyi, Wratysława bowiem trzymał na wodzy nowy szwagier Hermana, Cesarz. Czy zaś Judyta, knując intrygi przeciw dwu młodym latoroślom Piastowskiego domu, miała może także na oku polityczny interes brata, czy też kierowały nią tylko osobiste pobudki niegodziwej kobiety, jaką była i w Polsce i przed przybyciem do Polski — o tem już nie potrafię wyrzec żadnych domysłów. Co do Cesarza wreszcie i jego stosunku do Polski, niewiele go chyba to obchodziło, jakich przekonań biskupi zasiadali na odległych stolicach Piastowskiej monarchii, Gregoryanie czy Wibertyści [1], byle na tron książęcy nie dźwignął się wojownik w stylu Bolesława Śmiałego, w którymby sprzymierzeńca znaleźli *traditores episcopi et principes Imperii.*

Ostatni ten punkt jedynie mamy za coś więcej niż za czcze przypuszczenie; zresztą, same to tylko domysły, nic więcej jak domysły. Czy gorsze jednak, czy mniej prawdopodobne od różnych śmiałych konstrukcyi, któremi wypełniono próżnię pierwszych lat

---

sznie, ponieważ Judyta żyła najgorzej z pierwszym mężem a raczej nie żyła z nim wcale, opuściwszy Salomona po wypędzeniu z Węgier. Najgorsza reputacya, jaką Judyta zdobyła sobie przed przybyciem do Polski, pogorszyła się chyba jeszcze podobno w jej drugiem małżeństwie. Por. Wojciechowski l. c. str. 222, 333, 336—337 oraz wyżej P. P. II. 442.

[1] O »polityce kościelnej« Hermana por. Wojciechowski l. c. str. 241 n., 322, 333—334, Krotoski l. c. 154 n., 168 n. Co do mnie, sądzę, że obaj autorowie chcą za wiele wyczytać z ułamkowych źródeł, pisząc o »polityce kościelnej« Hermana i o gregoryanizmie lub wibertyzmie ówczesnego polskiego episkopatu albo niektórych biskupów, o których zaledwie wiadomo (i to nie bez niejakich zastrzeżeń), że wogóle egzystowali w tym czasie. Dość przytoczyć np. następujące rozumowanie (Wojciechowski l. c. str. 334): »Żeby ci Niemcy mieli otrzymać katedry jeszcze za Bolesława, to nie da się przypuścić, bo ten obsadzałby jeżeli nie Polakami (jak Stanisław) to raczej Włochami albo Francuzami«. Przecież polityka Bolesława, zwrócona tak energicznie przeciw niemieckiemu imperyalizmowi, nie była bynajmniej jakimkolwiek bojkotem niemczyzny, a z książętami niemieckimi, świeckimi i duchownymi, rzadko Polska Piastowska pozostawała w tak ścisłych stosunkach (z jednym mianowicie ich obozem) jak za Bolesława Śmiałego. Nie obojętne przyczynki do sprostowania niektórych domysłów Wojciechowskiego w tym przedmiocie podaje Krotoski l. c. str. 154—157.

po katastrofie r. 1079 — niech o tem wyrokują kompetentni sędziowie. Dla mnie ten wyrok będzie obojętny, bo zastrzegłem się z góry, że wcale nie przywiązuję wagi do tych domysłów (str. 217—224). Chciałem tylko pokazać, *exempli gratia,* że nieznana historya paru lat po upadku Bolesława Śmiałego dałaby się rekonstruować *totaliter aliter,* niż to dotąd czyniono, bez pretensyi, co prawda, do ustalenia stwierdzonych »faktów«, ale też chyba i bez istotnych metodycznych omyłek. Gdyby kto zatem chciał poczytać hipotezę Wojciechowskiego o latach 1079—1086 za potwierdzenie jego bezpodstawnych domysłów o charakterze i o przebiegu katastrofy Bolesława Śmiałego, czy za środek sprawdzenia wartości tych domysłów — może uwagi o »możliwości« innej, odmiennej zgoła »konstrukcyi« dziejów tego siedmiolecia skierują myśl czytelnika ku refleksyi: co warte wnioskowanie *ab ignotis de ignotis,* jak kruche są wiązania, któremi nawzajem wspierają się historyczne »konstrukcye«, budowane z wątłego materyału domysłów, bez kitu stwierdzonych faktów.

Ignorabimus. Nie znamy i nie poznamy historycznego biskupa Stanisława, który zasiadał na krakowskiej stolicy od r. 1072[1] do 1079 i padł ofiarą zagadkowego starcia z królem Bolesławem. Pogódźmy się z tym faktem, że Polska XI wieku, a raczej ta mgławica, z której w następnych wiekach wyłoniła się Polska — to nie ówczesne Niemcy, Włochy, Francya lub Anglia. Luźne, niepowiązane z sobą, ale pewne, stwierdzone fakta naszej historyi XI wieku, rozstawione w szerokich odstępach czasu, przedzielone niekiedy całymi szeregami lat, nie złożą się nam nigdy na taki barwny a pragmatyczny i zrozumiały wątek dziejowy, jakim radzibyśmy wypełnić epokę Bolesławów. Zrezygnujmy. Historyczny biskup Stanisław pozostanie na zawsze nieznaną postacią.

Natomiast patron Polski, święty Stanisław, pierwszy Polak, którego Kościół zaliczył w poczet świętych, przedmiot czci siedmiu wieków i u nas i u obcych — to temat historyczny, wart monografii, w której przyszłoby raczej giąć się pod obfitością bogatych

[1] Roczn. kapit. krak. MPH. II. 795. Data pewna, pochodząca niezawodnie ze starych, zaginionych zapisek katedry krakowskiej.

materyałów, niż ubolewać nad brakiem źródeł. Wypełniłyby ją rzetelne, stwierdzone fakta, jędrne przyczynki do dziejów polskiej kultury, tak mało dotąd opracowanych — nie pajęczyna przypuszczeń i domysłów. W rozpięciu siedmiu wieków, od nieznacznych początków kultu św. Stanisława, aż do dzisiejszych, ku jego trumnie zdążających pielgrzymek, pośmiertne dzieje biskupa-męczennika, skreślone z ścisłą prawdą historyczną, będą wiernem odbiciem nastrojów polskiej duszy na tle następujących z kolei epok [1]. Warto rozpoznać, czem był dla Polski mistyczny nastrój XIII wieku, związany ściśle z kultem tej narodowej świętości, z rosnącą czcią własnego biskupa-męczennika. To źródło potężnych natchnień, które stworzyły »wiek polskich świętych«, z św. Jackiem na

[1] Co do początków kultu św. Stanisława, cenne przyczynki do tego przedmiotu znajdują się w dawniejszych pracach Wojciechowskiego: »O rocznikach polskich X—XV wieku« (Pamiętnik Wydz hist.-filozof. Akad. Umiej. w Krakowie IV. 167), »O życiu i pismach Wincentego z Kielc (tamże V. 30 n.), »Kościół katedralny w Krakowie« str. 130 nn. Trafne to spostrzeżenie (Pam. W. h.-f. A. U. IV. 167), że przy katedrze krakowskiej już w XII wieku był spis łask i cudów, które przypisywano orędownictwu św. Stanisława. Natomiast, co do mnie, nie sądzę, żeby już translacya ciała św. Stanisława w r. 1088 była wyrazem tak wczesnego zamiaru starań o kanonizacyę biskupa-męczennika, trudno bowiem do tego zamiaru odnieść przytoczone przez W. słowa Kadłubka (II. 20): »cuius translationis causam non ignoras«. Zgodziłbym się raczej z późniejszem zdaniem Wojciechowskiego, że jeszcze biskup krakowski Giedko (1166—1186) nie marzył nawet wcale o kanonizacyi swojego poprzednika (Kościół katedr. w Kr. str. 134). Z kultem św. Stanisława było zapewne nie inaczej jak zwykle; trafnie stwierdza to Wojciechowski co do kultu współczesnego św. Stanisławowi arcybiskupa Bogumiła (Szkice hist. XI w., str. 86 nn.). Tu i tam żywa, głęboka wiara ludu w świętość i w skuteczność orędownictwa uwielbionego pasterza utrzymywała się i wzrastała długo przed podjęciem jakiegokolwiek oficyalnego kroku władz kościelnych w sprawie zebrania dowodów, na podstawie których rozpoczynano starania o beatyfikacyę lub kanonizacyę. Co do św. Stanisława, sądziłbym, że pierwsza myśl zabiegów o kanonizacyę mogła właśnie powstać za rządów biskupich Giedki, w jego bowiem czasach zaszedł wstrząsający fakt zabójstwa Tomasza Becketa (1170). Wśród ludu utrzymywało się od dawna przeświadczenie o świętości zabitego przed stu laty krakowskiego biskupa; dowodem tego przeświadczenia: wiara w zdziałane za jego sprawą cuda, sięgająca głęboko w XII stulecie. Gdy więc, w dwa lata po zamordowaniu Tomasza Becketa, papież zaliczył go w poczet świętych, duchowieństwo krakowskie musiało zastanowić się, czy to nie grzech zaniedbania, że nie czyniono żadnych kroków w sprawie kanonizacyi św. Stanisława. Wówczas

czele, »jednym z najznakomitszych mężów, jakich wydała Polska« [1]. Godzi się stwierdzić, jak silną dźwignią zachwianej spójni, wpośród rozczłonkowania dzielnicowej epoki, był fakt kanonizacyi św. Stanisława i bezpośredni wpływ tego aktu na psychologię Polan, Kujawiaków, Mazurów, Sandomierzan, Ślązaków, którzy czuli się Polakami, połączeni z Krakowem w wspólnej czci ziomka, patrona Polski, za jego czasów niepodzielnej niegdyś i jednolitej. Pod wrażeniem kanonizacyi nabiera nawet podniosłego polotu oschły styl Wincentego z Kielc: »Bóg, świadom przyszłych rzeczy; On karci grzechy przodków aż do trzeciego i czwartego pokolenia potomków; On jeden wie, kiedy się ulituje nad polskim narodem i z ruin go podźwignie, i na to w skarbcu krakowskiej katedry (tu jest bowiem stolica dawnych królów) zachował królewskie insygnia aż do dzisiejszych czasów, koronę, berło i włócznię, póki się ten nie pojawi, dla kogo one są przeznaczone, od Boga powołany jak Aron« [2]. Mistyczna symbolika XIII wieku związała piękną legendę o cudzie nad zwłokami św. Stanisława z pragnieniem i nadzieją odbudowania rozczłonkowanej Polski: jak cudownie zrosło się ciało męczennika, tak i ojczyzna jego podźwignie się z rozbicia, odzyska utraconą godność królewską, po zadośćuczynieniu za krew świętego Patrona. Wyczytujemy dziś te myśli z pożółkłych pergaminów, gdzie spoczywały przez sześćset lat; u schyłku XIII stulecia tryskał z nich zdrój żywotnych sił, potęgowanych wiarą i serdeczną modlitwą: od ołtarzy i z ambon idea jedności narodowej wnikała w szerokie warstwy ludu i w jego przodowników, rodziła czyny, torując drogę budowniczym odradzającej się Polski, Przemysławowi i Łokiet-

---

też — jak to trafnie zaznaczył Wojciechowski — zaczęto spisywać świadectwa o cudach zdziałanych za wstawiennictwem rodzimego biskupa-męczennika, o których między innymi składał zeznania magister Benedykt, kolega Wincentego Kadłubka, późniejszego biskupa. Na tem tle łatwo też zrozumieć, że Kadłubek był tak gorącym szermierzem czci św. Stanisława i jej rozpowszechnienia. Na te czasy przypadła młodość Kadłubka.

[1] Tak nazywa św. Jacka Wojciechowski w rozprawie »O życiu i pismach Wincentego z Kielc« (Pamiętnik Wydz. hist.-filozof. Akademii Umiej. V. 32).

[2] »Vita S. Stanislai«, M. P. H. IV. 393.

kowi. I tak przez odrodzenie, przez utwierdzenie królestwa Piastów — przez Akademię Kazimierzowską, w której herbie jaśniała postać św. Stanisława, wsparta na tarczy z godłem odrodzonej ojczyzny — przez chrzest Litwy, przez wileńską katedrę pod wezwaniem Patrona Polski — przez Grunwald, Orszę, Chocim, Częstochowę, Wiedeń — przez Wysza i Zbigniewa, Kantego i Długosza, Kostkę, Hozyusza, Skargę, Bobolę — żywa wiara w orędownictwo św. Stanisława nie przestawała spuszczać obfitej rosy owocnych wzruszeń, podniosłych natchnień, w długim szeregu kilkunastu pokoleń, osadzając trwały ślad w życiu, w sztuce, w poezyi, lecz przedewszystkiem w czynach, wymagających męstwa i mocy charakteru. Zabrakło jej królowi, który na chrzcie otrzymał imię Patrona Polski, ostatniemu królowi i jego pokoleniu. Za to polscy biskupi szli do więzienia i na wygnanie z modlitwą o dar męstwa, na wzór Patrona rozdartej ojczyzny... A dziś ten sam grób męczennika, który przez sześć stuleci podtrzymywał na Śląsku wątłą, przygasłą iskrę polskości, jedyny przez długie czasy łącznik śląskiego ludu z Krakowem, ściąga zawsze liczne rzesze pielgrzymów z Górnego Śląska, choć im to nieraz grozi utratą chleba.

»Przy grobie Stanisława jest o czem pomyśleć«. Temi słowami kończy się książka Wojciechowskiego. Godzi się te słowa powtórzyć.

Ostatni nieprzyjaciel »biskupa Stanisława« nie przepuścił Świętemu w jego pośmiertnych dziejach. »Możnaby spierać się o to« — mówi — »czy idea takiego biskupa, jakim sobie wyobrażano Stanisława w XIII wieku nie była wtedy potrzebną dla dalszego rozwoju duszy polskiej. Byłaby to głębsza racya kanonizacyi. Ale trudno mówić o tem dowodnie, zwłaszcza, że w dziejach XIII wieku nie widać, iżby ta kanonizacya przyniosła jakąkolwiek korzyść moralną czy polityczną. Żywoty Stanisława spisane przez Kieleckiego, rozważone jako produkt dziejopisarski, to istotna nędza umysłowa. Ale gorzej, bo nie tylko umysłowa. Żeby przedstawić Stanisława świętym, trzeba było wymyślać na Bolesława potwarze takie obrzydliwe, że równie szpetnych nie spotkać w naszej historyografii. Ale niedość, trzeba było postawić taką tezę historyczną: że za jednego biskupa Pan Bóg sroży się

nad całym narodem przez długie pokolenia, karze zarówno winnych jak i niewinnych, odbiera koronę, rozdziera ojczyznę na kawały i rzuca ją postronnym na złupienie i t. d. Taką myśl przewrotną wypowiadali autorowie kanonizacyi uroczyście i śmiało, chociaż cała ich rzecz polegała od początku na zaniedbaniu i pomyleniu faktycznej prawdy. Przy grobie Stanisława jest o czem pomyśleć«.

Przyznaję, że nie rozumiem dobrze ani tej wzmianki o »pomyleniu faktycznej prawdy« ani też tego zgorszenia czy oburzenia, jakie w czcigodnym autorze »Szkiców XI wieku« budzą poglądy XIII stulecia. Kto włożył tyle trudu w badania średnich wieków, tyle zasług w nich zdobył, mógł był wynieść z tych studyów więcej wyrozumienia dla zapatrywań, których przecież nikt nie poczyta za osobisty pomysł skromnego O. Wincentego [1]. Nie znać też zgoła takiego niewczesnego zgorszenia w osobnem, monograficznem studyum o Wincentym z Kielc, które Wojciechowski przed laty (1885) poświęcił temu pisarzowi XIII stulecia. »Można spierać się o to«, czy ten gorący czciciel Patrona Polski »wymyślał obrzydliwe potwarze na Bolesława Śmiałego«, czy też to są jedynie »amplifikacye« żywych jeszcze naówczas podań o zabitym biskupie i o jego zabójcy. Może w samej tradycyi, wśród rosnącego kultu św. Stanisława, pasmo pięciu pokoleń przydało już niejeden wstrętny rys do postaci króla-tyrana, na której obraz i w współczesnem opowiadaniu Galla złożyło się niemało dość drastycznych szczegółów. Wyobraźnia nie próżnowała. Każdy wiek ma swój nastrój, swoje uczucia miłości i nienawiści, ma także swoje domysły i wymysły. I mniej dziwić się można naiwnym ubarwieniom biografów św. Stanisława, niż uczo-

[1] Warto z tym bezwzględnym sądem porównać przedmiotowe, na głębszem zrozumieniu oparte uwagi d-ra Handelsmana o tym samym przedmiocie (»Historya polskiego prawa karnego«, II. 72—73): »Średniowieczna, mistyczna Polska stworzyła legendę głęboką, stworzyła w niej ciekawą koncepcyę historyozoficzną. Wyniesiony potężnem uczuciem rozmodlonego ludu na stanowisko bohatera, uosabiającego losy narodu, biskup-zdrajca, »traditor« Gallusowy, przy[illegible] wszystkich męczenników średniowiecznych. Losy jego, to losy Polski i je[illegible]nie Kościoła. Jak krwawe człony ciała jego, tak z czasem zrosnąć się mają dzielnice Polski, rozstrzępione w rękach Piastowiców« i t. d. Por. tamże I. 240.

nym domysłom dzisiejszej erudycyi, opatrzonym w aparat krytycznego jakoby rozumowania. Jedno i drugie płynie z tych samych źródeł, z miłości, podnieconej zacnemi pobudkami, i z nienawiści, zawsze zaślepiającej — tylko że długi odstęp sześciu stuleci ku przeciwnym biegunom kieruje te uczucia.

Trzeba wmyślić się w psychologię zacnego erudyta, oddanego badaniom dalekich czasów, gdzie skąpe błyski stwierdzonych faktów migocą w ciemni długich okresów. Z zaparciem siebie, bo wyrzekł się poklasku, żyje zamknięty w kręgach swoich dociekań: *ne tangas circulos meos.* A przecież, Polak, świadom przeszłości, odczuwa żywiej od innych wszystkie bole narodu, dzisiejsze, szarpiące duszę, i dawnych wieków bole, zgojone, zabliźnione; czuje nerw, który je łączy; pragnąłby ten nerw uchwycić. Więcej niż z żyjącymi, obcuje z ludźmi minionych czasów; widzi w nich takich samych jak dziś szkodników lub budowniczych lepszej przyszłości; sięga w ich duszę wzrokiem imaginacyi. Im większy dar intuicyi, tem wyraźniejsze rysy czasów i ludzi odtwarzają się w wyobraźni, a blady tylko ich odblask wychodzi na jaw, bo pióro w ręku, bądź co bądź, trzyma na wodzy polot fantazyi. Ale w wewnętrznem życiu badacza drga żywość uczuć, o której nie sądzić drugim z oschłych dociekań, obciążonych balastem źródłowych cytat. Nie trzeba na to takich postaci, jak ks. Józef albo Kościuszko, czy też Poniński lub Radziejowski — nawet Bolesław Śmiały przemówi żywo do wyobraźni, poruszy do głębi duszę, jeźli kto z nim obcuje całymi miesiącami, z myślą ku niemu wyłącznie skierowaną, przetrząsając bez końca stosy foliałów, z daremnem często oczekiwaniem, że znajdzie w nich coś nowego. Bolesław Śmiały...! Błysnął ten meteor w mroku XI wieku blaskiem niby Chrobrego, prawego ojca Piastowskiej Polski, i zgasł, a przepaść, do której runął, pochłonęła na zawsze potęgę Bolesławów, odporność młodego państwa, chwałę, królewską godność. Przy koronacyi Bolesława Śmiałego, pod r. 1077, trudno powstrzymać lot wyobraźni: dokąd szła Polska, gdzie mogła dotrzeć, gdyby nie ten kataklizm, zagadkowy kataklizm r. 1079, i jego skutki, dwuwiekowe rozbicie. Nie bezpośrednie to wprawdzie, w całej swej rozciągłości, ale widoczne,

nieuchronne następstwo upadku mężnego króla. Niech przy tem zamajaczy błędny ognik »odkrycia«: kto winien, kto sprawcą tej katastrofy — a oburzenie na rzekomego winowajcę czy winowajców weźmie niepowstrzymany rozpęd, krocząc po szlakach zmylonej erudycyi. Rośnie w tym pędzie, wraz z domysłami, wyczytanymi z błędnej interpretacyi tekstów, pod wpływem podnieconej imaginacyi, której ubóstwo źródeł nie może pohamować; chwyta po drodze nie swoje domniemania, przez innych mimochodem rzucone, i przelewa się szumem fikcyi na temat »sądowego procesu«, »legalnej egzekucyi«, ku tem większemu zohydzeniu »skazańca« [1]. I za grób sięga, i tam nie szczędzi Patrona Polski, którego nieznana historyczna postać uchyla się niestety od krytycznych dociekań, w tym czy w innym kierunku — dla braku źródeł. Ten brak realnej podstawy do naukowych badań

[1] Do mimowolnych zapewne odruchów tej antypatyi (które jednak służą za środek zohydzenia św. Stanisława) należy zaliczyć charakterystyczne napomknienie (l. c. str. 299): »jako świecki ksiądz mógł być nawet żonatym, jak podówczas cała większość kleru białego« i t. d. Że »bardzo późno powiodło się Stolicy Apostolskiej ustalić w Polsce bezżenność księży«, to rzecz dawno znana i stwierdzona, mylne jest tylko zdanie autora »Szkiców«: »NB. nie zwraca się u nas na to uwagi«. Pomijając badania naukowe, które ten fakt dawno wyjaśniły, dość nadmienić, że nawet »Podręczna encyklopedya kościelna« ks. Z. Chełmickiego szeroko rozwodzi się o tem V/VI. 359—361, i to z obfitszym aparatem naukowym, niż w tej pobieżnej wzmiance »Szkiców« l. c. Mniejsza o to; mylne jednak a co najmniej wielce wątpliwe jest twierdzenie (l. c. 300), jakoby przed ustaleniem celibatu, i biskupi żonaci byli w Polsce zwykłem zjawiskiem. Wypowiadam to zdanie stanowczo, jakkolwiek Wojciechowskiemu wtóruje w tym przedmiocie nie tylko prof. Abraham (Kwart. hist. XVIII. 573) ale i autor przytoczonego artykułu »Podręcznej encyklopedyi kościelnej«, wobec czego możnaby mniemać, że to rzecz rozstrzygnięta w nauce. Nie imponuje mi przedewszystkiem cytat Wojciechowskiego (l. c. 300): *Monumenta Lubensia edidit Wattenbach. Breslau 1861, str. 11;* takich cytatów należałoby już raz na zawsze zaniechać. Pod tym tytułem wydał Wattenbach parę drobiazgów z rękopisów klasztoru lubiąskiego, między innymi także późny, z XIV wieku, katalog wrocławskich biskupów. W tym katalogu czytamy: »Anno Domini 1148 ordinatus est Waltherus episcopus nonus Wratislaviensis. Usque ad hunc dicuntur quidam episcoporum totius Poloniae uxorati fuisse et maxime chanonici et omnes sacerdotes facti generi ac soceri nobilium terrae«. Ciekawa tradycya, bez wątpienia. Za Waltera powstał klasztor lubiąski. Opowiadano sobie w Lubiążu, około r. 1319, kiedy tam spisano ten katalog, że w Polsce była niegdyś taka

i żywość uczuć w piersiach badacza, pod pozornym puklerzem zimnego krytycyzmu — to dwa składniki w Wojciechowskiego »Faktum biskupa Stanisława«.

Zmylona erudycya nie wyrządziła szkody, trwałej szkody przynajmniej. Raczej przeciwnie. Tyle pojawiło się bezowocnych prób wyjaśnienia katastrofy r. 1079, że nauka powinna była zaniechać ich od dawna dla uchronienia swej powagi od szwanku. Sam Wojciechowski osądził je surowo a sprawiedliwie (l. c. str. 254—255). Nie powstrzymało go to od nowej, równie bezuży-

---

dzicz, w dawnych wiekach, nim Bolesław Wysoki sprowadził z Niemiec pierwszych mnichów do Lubiąża. Śląsk XIV wieku był już czemś odrębnem od Polski; opowiadano o takiej dziczy w Polsce, której częścią składową był Śląsk przed założeniem lubiąskiego klasztoru; w wyrazach *totius Poloniae* nie należy kłaść nacisku na *totius*, jakby w tej dzikiej Polsce miało roić się od żonatych biskupów. *Quidam* wyraża wreszcie (obok następującego *et maxime*), że i w mniemaniu niemądrego mnicha XIV stulecia, autora katalogu, żonaci biskupi polscy nie byli pospolitem zjawiskiem. Był to zaś jakiś *frater* słabej intelligencyi; Wattenbach mówi o nim: *unglaublich schwache kritische Begabung;* taką powagą lepiej się nie zasłaniać. Zdarzają się w innych, wiarygodniejszych źródłach, w dokumentach XIII wieku i w wcześniejszych nekrologach, takie wzmianki jak *Andreas filius episcopi Cazlavi*, *Miroslavus filius archiepiscopi* i t. p. Właśnie jednak dlatego, że te wzmianki sięgają aż w drugą połowę XIII wieku, należy być ostrożnym w opartem na nich wnioskowaniu, ponieważ wówczas celibat w Polsce od dawna był ustalony (wyjątki w rodzaju sędziwego kanonika Trojana były białymi krukami), a »żonaty biskup« musiałby już uchodzić za niesłychaną monstrualność. Krytyczniej chyba rozważał te wzmianki przed 50 laty biskup Łętowski, mniemając, że ci biskupi, ojcowie Jędrzeja, Mirosława i t. p., biskupami co najmniej zostali dopiero po owdowieniu. Kto inaczej sobie to wyobraża, powinien wskazać jakąkolwiek analogię poza granicami Polski, nie już w XIII wieku, ale choćby przed Grzegorzem VII, choćby z sąsiednich Czech, gdzie ustalenie celibatu również szło oporem. Inna bowiem rzecz: tolerowanie małżeństwa księży (jak na Wschodzie), długo nawet po Grzegorzu VII — inna zupełnie: rzekome tolerowanie małżeństw biskupich, rzeczy i we wschodnim Kościele niesłychanej od r. 692. Niech kto chce i kogo na to stać, wyobrazi sobie legatów Grzegorza VII, którzy po przybyciu do Polski, obcowali tam z żonatymi biskupami — ja nie potrafię. Poza tem, co najmniej, niesmacznem napomknieniem, jakoby św. Stanisław mógł być żonatym, wszystkie inne uwagi autora »Szkiców« o rodzie jego i pochodzeniu, mają rzetelną wartość bystrych kombinacyi z cechami niemałego prawdopodobieństwa. Tu znów Wojciechowski znalazł się na swoim gruncie, znów wydobywa misterne spostrzeżenia z późniejszej tradycyi i oddziela jej ziarno od plewy. jak w tylu innych rozdziałach »Szkiców« (I—VI).

tecznej próby, ponieważ mniemał, że potrafił odgadnąć rzeczywiste znaczenie niejasnej wzmianki zawiłego tekstu w współczesnej kronice Galla (I, 28); zdawało mu się, że z tego rzekomego »odkrycia« wykrzesał nowe, a całą sprawę rozjaśniające światło. I dowiódł niewątpliwie, że »grzeszna zdrada biskupa Stanisława« nie da się stwierdzić bez naciągania i mylnej z gruntu interpretacyi źródłowych tekstów; że nawet badacz tej miary nie mógł ustrzec się tych uchybień, skoro niepomny losu tylu swych poprzedników, uległ ponęcie tego intrygującego tematu. Nauka musi to uznać, choć w pierwszej chwili ustalona powaga Tadeusza Wojciechowskiego pokryła rażące błędy jego argumentacyi; nie pierwsze to i nie ostatnie zjawisko tego rodzaju. Ale właśnie t a firma i t e n rezultat złożą się niezawodnie na skuteczniejsze w przyszłości ostrzeżenie. Trudno chyba o lepszy, radykalniejszy środek na stuletnią gorączkę, która po tyle razy odnawiała się w naszem dziejopisarstwie, wyprowadzając na jaw, za każdem powtórzeniem, coraz inne widziadła. Dla ozdrowienia, wystarczą jedno orzeczenie nauki: że *traditor episcopus* Galla nie uwłacza tak samo czci i pamięci Patrona Polski, jak *traditor regni* w uroczystym dekrecie 27 biskupów XI wieku nie czyni ujmy Grzegorzowi VII.

Stanisław Smolka.

DZIEJE FILOMATÓW W ZARYSIE.

(Ciąg dalszy)

Poza tym działem, zastosowanym do codziennych warunków życia, leży drugi, wkraczający w dziedzinę rozwoju umysłowego i pojęć moralnych. Tu znajdują swój wyraz poglądy na cel i godność człowieka, na oświatę i cnoty domowe; dalej teorya nauk przyrodniczych wyłożona jasno i zrozumiale, wiadomości o różnych odkryciach i wynalazkach, oraz matematyka jako jedna z gałęzi szeroko kształcących władze umysłowe. Polityka stanowi znów dział osobny z dwu stron rozważany: jako nauka ścisła, głoszona zagranicą z katedr uniwersyteckich, oraz jako artykuły dorywcze, oświetlające wszelkie kwestye społeczne na tle stosunków narodowościowych. Ściśle związany z nią jest wykład historyi i prawa: pierwsza przedstawia dzieje ludzkości w różnych ich fazach, rozwój oświaty, przyczyny i skutki wielkich przewrotów; wykazuje na podstawie znanych przykładów, co wolność czyni nienaruszoną, a co podkopuje ją i nawet oświecone ludy pod jarzmo despotyzmu wtrąca; prawo znów, tłumacząc stosunek monarchy do narodu i obowiązki wzajemne, pozwala wyprowadzać wnioski względem najlepszego ustroju mocarstw. Wiadomości z ekonomii politycznej wskażą, na czem polega bogactwo, dobrobyt, a zarazem własny interes; statystyka posłuży do poznania zwyczajów i obyczajów narodu. Na rozwój poglądów krytycznych i sądu o rzeczach wpłyną oceny utworów nowoczesnych,

poprzedzone obrazem naszej literatury i cywilizacyi z ostatnich lat kilkudziesięciu.

Wiadomości powyższe rozjaśnią niejedną kwestyę, sprostują niejedno błędne mniemanie, a opierając się na zasadzie, że prawdziwie cnotliwym może być tylko człowiek rozumny, usposobią młode umysły do owocnej działalności. Teoryę tę dopełniać i pogłębiać będą rozprawy moralne o celu i przeznaczeniu człowieka, przystępny wykład pedagogiki oraz etyki w formie rad dla uczniów i nauczycieli, wreszcie wyjątki z teologii i filozofii, której rozliczne systemata podane w streszczeniu zachęcą do studyów w tym względzie i studya te ułatwia pismo peryodyczne, w tym duchu redagowane, stanie się wyrazem zasad filomackich, elementarzem, na którym ziomkowie edukacyę swą rozpocząć powinni, a który zrastając się z życiem i potrzebami naszego społeczeństwa, rozżarzy ogień wewnętrzy narodu, wpłynie na zaprowadzenie nowej organizacyi w życiu publicznem, wskaże, jak młode pokolenie ma się uczyć gruntownie, unikać wszelkiego zgorszenia i zepsucia. Do celu prowadzi ofiara sił i pracy, a na drodze tej przewodniczą trzy hasła: ojczyzna, nauka, cnota!

Na podstawie uwag i poglądów, przedstawionych ostatecznie dopiero w czerwcu 1820 r., a streszczonych tu w głównym swym zarysie, powstaje wniosek ogólny — konieczność ścisłego i dokładnego planu, któryby wskazywał wszelkie traktowane materye, oraz porządek, w jakim ogłaszane być mają. Plan taki wymaga przedewszystkiem znajomości każdej nauki, jej zasad, stopnia rozwoju u innych narodów oraz dróg, jakiemi stopień ten osiągnęła. Praca ta, zakreślona na rok przyszły, obejmuje na wstępie encyklopedye wszystkich gałęzi wiedzy, czyli krótkie wiadomości o ich głównych zasadach oraz przystępną historyę odkryć, na tem polu poczynionych. Ze względu na różnorodność traktowanych przedmiotów cała praca dzieli się na pięć wielkich działów, które w zasadzie obejmują następujący członkowie: Łoziński i Sobolewski — przyrodę, Budrewicz — matematykę, Malewski — prawo, Mickiewicz i Zan — filologię, Jeżowski — filozofię.

Obok tej pracy naukowej i oświatowej, ściśle zamkniętej w obrębie Towarzystwa Filomatycznego, rozwija się jego dzia-

łalność zewnętrzna, skupiająca młodzież szkolną i uniwersytecką w drobne związki w celu zwrócenia jej na drogę nauki i pracy dla dobra kraju. Wśród stowarzyszeń tych pierwsze miejsce zajmuje klub Przyjaciół, który od kwietnia 1819 r. do maja 1820 r. liczy już 29 członków, włączając w to sześciu założycieli: Zana, Czeczota, Łozińskiego, Pietraszkiewicza, Mickiewicza i Kowalewskiego, oraz pięciu klubistów przyjętych do grona Filomatów: Domejkę, Rukiewicza, Sobolewskiego, Piaseckiego i Budrewicza. Wyłącznie do związku Przyjaciół należeli: Dominik Pietkiewicz, Jan Hanusowicz, Stanisław Golicki, Longin i Zygmunt Staniewiczowie, Ignacy Zan, Jan Michalewicz, Stanisław Kozakiewicz, Fortunat Jurewicz, Michał Kulesza, Jan Duszakiewicz, Kajetan Przeciszewski, Stanisław Morawski, Michał Wierzbiłowicz, Adam Dziewiątkowicz, Wincenty Giecołd, Stefan Wiszniewski i Paweł Janowicki. Ostatnich trzech, jako lekceważących obowiązki stowarzyszenia, uznano za wykreślonych z liczby członków nie przerywając wszelako z nimi stosunków towarzyskich. Dziewiątkowicz zaś, złożony ciężką niemocą, rozstał się przedwcześnie z życiem i przyjaciółmi. Świat żegna krótkim, pełnym smutku wierszem:

»Wiele wam chciałbym wyrzec lecz, o przyjaciele,
Czuję, że w krótkiej chwili z światem się rozdzielę.
Żal po was, co me serce uciska głęboki,
Nagrodźcie, przysypując ziemią moje zwłoki.
A choć śmierć sił żywotnych ostatki już zrywa,
Wyraz »przyjaźń« z ust skrzepłych jeszcze się dobywa«.

W dniu swego założenia 19 kwietnia 1819 roku klub składał się wyłącznie z Filomatów pod przewodnictwem Tomasza Zana i Onufrego Pietraszkiewicza naznaczonych od rządu prezydentem i administratorem. Dla zatarcia wszelkich śladów i domysłów zaczynających krążyć o Towarzystwie Filomatycznem ukryto je pod postacią nowego związku, który przyjmowanym członkom został przedstawiony jako istniejący od września 1818 r., lecz bez ścisłej organizacyi i piśmiennego prawodawstwa; to ostatnie przyjęto i zatwierdzono dopiero 19 kwietnia 1819 r. W ten sposób nowowstępujący znaleźli już gotowe prawa i ustalony porządek

nie domyślając się nawet wcale wyższej tajemnej organizacyi. Przy obiorze prezydenta, powtarzanym co miesiąc, administrator przedstawiał członków zdolnych zająć to stanowisko, podobnież przy końcu trzymiesięcznego urzędowania administratora nowych kandydatów mianował prezydent; stąd na czele Związku stali zawsze ludzie uznani przez Filomatów za odpowiednich i godnych zaufania.

W maju 1819 r. prezydentowstwo po Zanie objął Adam Mickiewicz, poczem urząd ten kolejno przechodził w ręce różnych członków; natomiast administracya pozostała i na następny kwartał przy Pietraszkiewiczu, a gdy ten po sześciomiesięcznem urzędowaniu prosił o uwolnienie, miejsce jego zajął Tomasz Zan, również dwa razy z rzędu większością głosów obierany; po nim obowiązki głównego kierownika przeszły za zgodą ogólną na Teodora Łozińskiego.

Zasadą i bóstwem opiekuńczem nowego związku jest przyjaźń, fundamentem cnota, celem — nauka pożyteczna i przyjemna. Tu młodzieniec w tej najważniejszej życia chwili, gdy z dziecka staje się człowiekiem, obiera zawód i wstępuje na drogę przyszłych obowiązków, znajduje pomoc i pociechę w niejednej okoliczności życiowej; tu serdeczne rady i przyjacielskie współzawodnictwo, zachęcają do prac piśmiennych, prostują sądy, uczą zastanawiać się nad sobą i kroczyć nadal ciernistą ścieżką przez powinność wytkniętą. Tu, według słów Mickiewicza, wiek młodzieńczy, nie znoszący despotyzmu chętnie zastosuje się do rad przyjacielskich, zwłaszcza jeśli znajdzie w nich bodźca, któryby siły umysłu wprawiał w ustawiczną czynność i doskonalił serce, zakładając fundament przyszłego szczęścia. Tu każdy, nieuciśniony grozą przesądów lub władzy, ma wszelką wolność mówienia i pisania, tu nie słucha absolutnej woli jednego, lecz ustaw, które sam za słuszne uznał; tu emulacya szlachetna do pracy pociąga, rada szczera omyłki i zboczenia naprawia, a przyjaźń okaże się najskuteczniejszym doskonalenia serc środkiem. Tu każdy, podpisując ustawy, przysięga tem samem kochać i szanować wszystkich, którzy kochają pracę i narodowość«.

Duszą związku jest praca naukowa nad przeszczepieniem

na ziemię ojczystą płodów obcej kultury, wykazanie jak daleko wstecz pozostaliśmy wobec postępu cywilizacyi na Zachodzie. Działalność ta opiera się przedewszystkiem na samokształceniu i samodzielnych próbach pióra, zarówno w dziedzinie rozpraw poważnych, jak też lekkich utworów literackich. Czytanie prac i ich recenzyi, dyskusya, oraz wyprowadzane stąd wnioski, stanowią główny przedmiot posiedzeń, co tydzień odbywanych. Tu członkowie starają się zastanawiać nad różnemi gałęziami wiedzy i przedstawiają wyniki swych badań w formie traktatów z dziedziny fizyki, matematyki, literatury, moralności, historyi i prawa krajowego. Prace te, z pominięciem tytułów znanych, (Filomaci przynosili po większej części pisma, czytane uprzednio na posiedzeniach naukowych wydziałów) przedstawiają się w następującym porządku:

Rozprawy.

Giecołda: »O exdywizyi«.

Hanusowicza: »Powstawanie wody w powietrzu«, »Przedmiot historyi naturalnej«.

Pietkiewicza: »O ciśnieniu atmosfery«, »O zrównaniach«, »O wzorze Newtona«.

Zygmunta Staniewicza: »Rozbiór geometryi analitycznej«, »O wzroście rządu arystokratycznego w Polsce«, »O summownym majątku«, »Niesprawiedliwość tortur«, »Szkody, jakie nam Żydzi przynoszą«.

Longina Staniewicza: »O stosunkach chemicznych«, »Historya astronomii w Egipcie« (wyciąg z dzieła Bayle).

Dziewiątkowicza: »Szczęście narodu od oświecenia i dobrych obyczajów zawisło«, »O sprawiedliwości praw polskich i litewskich«.

Michalewicza: »Skąd człowiek ma władzę nad zwierzętami«, »Jakie usposobienie potrzebne jest tłumaczowi klasyków«, »O karach kryminalnych w statucie litewskim«.

Kuleszy: »O architekturze«.

Kozakiewicza: »Historya religii w Polsce«, »Historya prawodawstwa w Polsce«, »O niesprawiedliwości sukcesyi według praw litewskich«.

Jurewicza: »Opisanie kilkunastu roślin zagranicznych«, »O kwasach i pierwiastkach kwaszących«.

Duszakiewicza: »Uwagi o wymowie«, »Uwagi o bajce«.

Ignacego Zana: »O życiu fizyologicznie uważanem«.

Przeciszewskiego: »O porywczości«.

Morawskiego: »O elektryczności«.

Domejki: »O wpływie światła na życie roślin«, »Historya matematyki«, »O naukach matematycznych u Arabów«, »Teorya ilości odjemnych«.

Sobolewskiego: »O sposobach mierzenia wysokości«, »Historya termometrów«, »O hodowli owiec«.

Piaseckiego: »O religii«.

Budrewicza: »O paralizie«, »O stosunkach w arytmetyce«.

Kowalewskiego: »O epopei«, »Uwagi ogólne nad tworzeniem się i kształceniem języków«, »Historya początku i postępu poezyi«.

Łozińskiego: »O obrzędach ludu wiejskiego w okolicach Żytomierza«, »O potrzebie towarzystw uczonych«.

Pietraszkiewicza: »O składzie i naturze kwasów«.

Tomasza Zana: »Początek i postęp poezyi dramatycznej u Greków«.

Wśród utworów poetyckich Przyjaciół na zaznaczenie zasługuje: »Alcyone«, scena liryczna Jana Sobolewskiego i »Oda« na 15 listopada 1819 r., Stanisława Golickiego. Zresztą mamy tu po większej części drobne sonety, erotyki, elegie, a także znane z posiedzeń Filomatów ballady i sielanki Mickiewicza, Czeczota, Pietraszkiewicza i Zana. Dział krytyczny obejmuje 20 recenzyi oraz dyskusye, zarówno w przedmiocie nauk ścisłych, jak wyzwolonych, obszerne i wyczerpujące, choć niezawsze zgodne z dzisiejszym postępem wiedzy. Poważne źródło informacyjne stanowi tu *Journal des Débats*, pismo zagraniczne, prenumerowane ze składek miesięcznych; stąd członkowie czerpią wiadomości w sprawie nowych odkryć, wynalazków, oraz oceny krytycznej dzieł, mogących interesować świat naukowy.

Poza streszczoną powyżej pracą samokształcącą dzięki wpływowi Filomatów w związku zaczyna się budzić powoli duch dzia-

łań społecznych, pragnienie pociągnięcia coraz szerszych kół młodzieży na drogę postępu naukowego. W tym celu Przyjaciele starają się wejść w skład organizujących się kół studenckich i tam zaszczepiać swe zasady; obmyślają środki, jak wzbudzić zapał do nauk i poczucie obowiązku wśród uczniów szkół niższych i średnich, a pierwszym wyrazem projektów tych są bliższe stosunki ze szkołą kowieńską i uczyniony dla niej dar kilku dzieł o treści ciekawej i pouczającej, w nadziei, że w ten sposób zachęci się młodzież do pracy nad literaturą i językiem ojczystym. »Śpiewy historyczne« i »Bajki« Niemcewicza, »Pielgrzym w Dobromilu«, »Dzieła Karpińskiego« i »Historya Bandkego«, zakupione ze składek miesięcznych, przesłane zostały na ręce prefekta szkół kowieńskich, jako bezimienny dar osoby szczerze interesującej się młodzieżą i jej postępem w naukach.

W dalszym ciągu powstaje w związku myśl stałej korespondencyi z członkami nieobecnymi oraz projekt szczegółowych informacyi o charakterze, usposobieniu i poglądach proponowanych kandydatów; wreszcie w miarę rozszerzającego się widnokręgu myśli i dążeń, budzi się potrzeba przejrzenia i uzupełnienia dotychczasowych ustaw, praca zaprojektowana na wniosek Tomasza Zana, lecz wobec zbliżających się wakacyi, zakreślona dopiero na rok przyszły.

Gdy tak Związek Przyjaciół, dzięki rozumnemu kierownictwu ustala się i wzrasta, rozwijając przytem chlubną działalność naukową i sposobiąc członków do Towarzystwa, rząd Filomatów zwraca baczną uwagę na inne związki, powstające wśród uczniów uniwersytetu, samodzielnie lub przy współudziale Przyjaciół. Z protokółów dowiadujemy się najpierw o trzech takich zgromadzeniach, a mianowicie: o stowarzyszeniu bezimiennem, założonem przez Filomatę, Dyonizego Chlewińskiego, o związku »Mężów znamienitych« i o »Towarzystwie literackiem wileńskiem«. Pierwsze trwało prawdopodobnie niedługo, prócz bowiem oznajmienia o jego zawiązaniu, nie spotykamy dalej żadnej wzmianki. Związek »Mężów znamienitych«, w skład którego wszedł drugi Filomata, Kazimierz Piasecki, miał zamiar pod pozorem śmieszności i krotochwil zwracać uwagę na obyczaje swych członków i dopomagać

im w pracy samokształcącej. Zapewne jednak nie doszedł do skutku lub rozchwiał się prędko, nikną bowiem wszelkie ślady dalszej jego egzystencyi i działań.

Towarzystwo literackie wileńskie powstało jeszcze w lipcu 1819 r. zrazu w celach wrogich Filomatom, założone przez kilka osób obrażonych, że nie zostały powołane do klubu Przyjaciół. Później jednak nowe Towarzystwo pierwsze uczyniło krok na drodze pojednania, wzywając do swego grona Teodora Łozińskiego. Doświadczony Filomata, wspierany instrukcyami rządu, zyskał swym rozsądkiem i taktem wpływ ogromny i gdy w grudniu 1819 roku w zgromadzeniu nastąpił rozłam i część jego rozpierzchła się, pozostali obrali Łozińskiego swym przewodnikiem, prosząc go przytem o zredagowanie stosownych ustaw. Korzystając z tak pomyślnej okoliczności, rząd Filomatów bierze Związek w opiekę i, nadając mu stosowny kierunek, stwarza organizacyę osnutą na tychże zasadach, na których powstało i rozwinęło się stowarzyszenie Przyjaciół. Ustawy opracowane przez Łozińskiego, przejrzane i uzupełnione w rządzie, przyjęte zostały przez dawny Związek literacki, który obecnie przybrał nazwę naukowego.

Całe urządzenie nowego Związku zbliżone jest bardzo do kodeksu Przyjaciół. Cel polega na kształceniu umysłu i serca, przyjaźń, pomoc wzajemna i najściślejsza tajemnica stanowią kamień węgielny całej budowy; posiedzenia wypełnia czytanie pism co miesiąc podawanych, dyskusya na temat ciekawych zagadnień naukowych, wreszcie tak zwane »rozmaitości literackie«, czyli wiadomości różnorodne, zaczerpnięte z pism peryodycznych lub nowych dzieł współczesnych. Urzędnikami Związku są: prezydent, wiceprezydent, sekretarz i kasyer; trzej pierwsi stanowią nić, łączącą Związek z Towarzystwem, to też nad obiorem ich pilnie czuwają Filomaci. Przyjęcie nowych członków, jeśli osoba proponowana dobrze jest znana związkowym, rozstrzyga się zaraz; w przeciwnym razie członek podający kandydata winien uzyskać pismo konkursowe, mające służyć za miarę jego zdolności. Nowowchodzący podpisuje zaręczenie, gdzie przysięga tajemnicę, obiecuje pracę i gorliwość; wystąpić ze Związku może na własne

żądanie, lecz przedtem winien ponowić przysięgę najściślejszego sekretu.

Że Związek naukowy rozwijał się pomyślnie widać z instrukcyi rządowych przesyłanych Łozińskiemu; całą jednak działalność jego pokrywa mrok zupełny, nie przechował się żaden ślad posiedzeń, zaginęły nazwiska członków i tytuły pism. Wpływ Filomatów utrzymuje tu Łoziński na stanowisku prezydenta a następnie sekretarza, który to urząd odpowiada zupełnie obowiązkom administratora Przyjaciół, to jest kieruje wszystkiem zręcznie i nieznacznie. W kwietniu 1820 r. rząd uznał za potrzebne delegować do Związku naukowego Czeczota i Domejkę jako współpracowników Łozińskiego w sprawie pomnożenia wpływu Filomatów. W czerwcu posiedzenia zostały zawieszone na czas wakacyjny, przyczem w instrukcyi od rządu czytamy zachętę do pracy naukowej podczas letnich miesięcy, oraz wezwanie Łozińskiego do obmyślenia środków wzrostu i rozwoju młodego Towarzystwa.

Obok Związku Przyjaciół, Związek naukowy stanowi drugi, młodszy zakład filomacki, gdzie młodzież kształci się i umoralnia. Poza tem, dzięki zabiegom Tomasza Zana, powstaje czysto naukowy Związek Naturalistów krajowych z organizacyą opracowaną w maju 1820 roku, przez Józefa Jeżowskiego. Cel moralny pominięty jest tu zupełnie, w założeniu zaś postawiona praca nad historyą naturalną, a zwłaszcza badanie płodów ziemi rodzinnej. Związek zakłada gabinet przyrodniczy, wzbogacany stopniowo okazami z dziedziny zoologii, botaniki i mineralogii: preparowanie okazów i systematyczne opisy stanowią główny przedmiot zajęć letnich; w zimie podają się rozprawy o sposobach zbierania wiadomości przyrodniczych, praktyczne wskazówki co do przechowywania okazów, doniesienia krytyczne o dziełach dotyczących historyi naturalnej, wreszcie opisy flory i fauny w różnych okolicach kraju. Związek posiada swego prezesa, kasyera i sekretarza; nowowchodzący, przyjęci większością głosów, przyrzekają ścisłe pełnienie obowiązków i tajemnicę przed obcymi; każdy może być uwolniony na własne żądanie.

Związek Naturalistów rozpoczął swe posiedzenia 13 czerwca 1820 roku. Prezesem został Tomasz Zan, pierwszymi członkami

Jeżowski, Malewski, Sobolewski, Łoziński, Jurewicz, Morawski i Ignacy Zan; pierwsi czterej z grona Filomatów, trzej ostatni ze Związku Przyjaciół. W protokółach filomackich niejednokrotnie spotykamy wzmiankę o raportach prezesa naturalistów, lecz raporta te, niestety zaginęły, z nimi zaś wszelki ślad pracy, nawet nazwiska członków.

»Związki idą jak zegarki«, pisze w tym czasie Malewski do Mickiewicza, a słowa te, wychodząc z ust, które zwykły surowo postęp własnej pracy sądzić, są chlubnem świadectwem gorliwości Filomatów. Poważny ten i głęboko pomyślany bieg działań nie wyklucza wszelako rozrywek młodemu wiekowi właściwych, a wolne chwile poświęcone na uczty i koleżeńskie zebrania cechuje rzadka swoboda, dowcip, wesołość i serdeczne uczucie wzajemnej przyjaźni. Taką jest feta Franciszka-Hieronima-Jarosza Malewskiego, obchodzona ku niespodziance bohatera dnia na Wszystkich Świętych, urozmaicona przesłanym przez Mickiewicza wierszem »Hej radością oczy błyszczą« oraz śpiewami, w których obok humoru dźwięczy serdeczna nuta patryotyczna:

»Dawnoli polskiej krainy
Z twardych letargów ocknione,
Pragnęły poczciwe syny
Wzmocnić jej siły zwątlone.
A znów dziś orły Lechowe,
Północnym się wiatrem chwieją;
Ach! wiatry te są niezdrowe,
Najsroższą zarazą wieją.
O Ojczyzny myślmy biedzie,
Jaroszu nasz ulubiony,
Niech, w które ty pójdziesz strony
Myśl ta smutna z tobą idzie.
Miłość Ojczyzny ogrzewa,
Stałość nas w zamiarach krzepi,
Choć czas piorunem upływa
Któż go spędzić zdoła lepiej«.

Podobną cechę noszą święcone na Boże Narodzenie obchody imienin Zana, Sobolewskiego i Mickiewicza, gdzie na szczególną uwagę zasługuje krotochwila Czeczota p. n. »Apollo po kolędzie«. Bożek w towarzystwie dziewięciu muz odwiedza ucztę filomacką,

składa hołd ich skromnej, cichej pracy, zachęca do postępu na tej drodze i wróży pomyślne plony.

»O wy, godne swych przodków znamienitych syny!
Znam ja wasze zamiary, znam ja wasze cele,
Rosną w was swobód waszych zgwałconych mściciele.
O, godni słodkiej chwały, samo przedsięwzięcie,
Sam śmiały zapał, tęgość, same dobre chęcie
Już wam zaszczyt przynoszą, choćby, brońcie bogi,
Odmówił szczęsnych skutków wyrok losu srogi.
Adamie i Tomaszu! wasze z tego grona
Jaśnieć będą najpierwej czcigodne imiona,
Wy pierwsi, poświęcając chwile swe zabawie,
Choć na niesilnej zrazu te gmachy podstawie,
W których miłość Ojczyzny, cnota i nauka,
Schronienia przed napaścią swoich wrogów szuka,
Wyście je założyli; teraz wspólne prace
Z trwałością i pożytkiem wdzięczą te pałace.
Niech Wam szczęścia niebiosa, niech pomyślność błoga
Dźwignie Waszą Ojczyznę, a potępi wroga!«

Za przykładem Apolla chór muz wysławia Filomatów:

»Mężnych przodków dobre syny
Bądźcie w zamiarach wytrwali,
Sława i my was w wawrzyny
Będziem świetnie przystrajali.
Lecz nie te łechcą nagrody,
Nie laurów was zdobycz znęca,
Ojczyzny waszej swobody
To was do trudów zachęca.
Wytrwajcie z równym zapałem,
Jaki was teraz ożywia,
A w życiu was niechaj całem
Przyjaźń, zgoda uszczęśliwia.
Pod ich świętą idąc wodzą
Dokonacie swe zamiary,
Przy niej męstwo, śmiałość chodzą,
Przez nią lżejsze są ciężary.
Oby w was, młodzieńcy mili
Ci Polacy zmartwychwstali,
Co żelazne słupy wbili
W nurty Ossy, Dniepru, Sali.
Niechaj, gdy kiedyś z mogiły
Ojczyzna wasza powstanie
Dzieci, co ją tak lubiły,
Wynagrodzi przywiązanie«.

Z nadejściem wiosny zabawy przyjacielskie z ciasnych mieszkań studenckich przenoszą się za miasto, w góry i gaje, a wesołe majówki filomackie pomnażają w tym roku członkowie obu niższych zakładów, Przyjaciół i Naukowego; tu młodzież, nieświadoma ukrytych celów zbliża się do swych kierowników, w ich zaś gronie rodzi się myśl nowa, myśl, która w czyn wcielona, staje się kamieniem węgielnym przyszłych związków. Potrzeba szerokiej, jawnej organizacyi, mogącej ogarnąć całą młodzież, od dawna zbudzona w umysłach Filomatów, zaczyna stopniowo przybierać kształty realne i znajduje pierwszy swój wyraz w projektach związków »Litewskiej młodzieży« i »Wzajemnej pomocy«, opracowanych przez Malewskiego i Zana. Lecz poważne założenie naukowe nie mogło liczyć ani na pobłażliwość ze strony władz uniwersyteckich, ani na poparcie studentów, po większej części młodzieńców pospolitych, o usposobieniu lekkiem i wesołem, nieprzyzwyczajonych zastanawiać się nad obowiązkami jednostki względem kraju, społeczeństwa i siebie samej. Tych należało zachęcić innem hasłem, hasłem rozrywki i zabawy, stworzyć organizacyę, któraby pociągała czemś urozmaiconem, niezwyczajnem a zarazem stanowiła szkołę pilności i dobrych obyczajów. Myśl ta powstaje i dojrzewa w umyśle Tomasza Zana, on staje się głównym jej rzecznikiem i twórcą, dziwacznej może nieco, lecz ciekawej ze względu na swą oryginalność teoryi promionków. Siła, która prowadzi człowieka ku dobremu, zostaje tu nazwana promionkiem, poznanie jego i ukochanie — promienistością, wyznawcy promienistości — promienistymi; na czele stoi założyciel i przewodnik, Arcy-promienisty lub po prostu Arcy — Tomasz Zan.

Pogłoska o promionkach, jawnie rozsiewana przez ich twórcę od razu zaciekawiła ogół, a wezwanie jego, by każdy, kto pragnie zostać wyznawcą, stawił się 6 maja o piątej rano za miastem na polu Jagiellońskiem (w okolicy cmentarza Rosy), znalazło wielu zwolenników. Oto jak sam Zan w liście do Mickiewicza opisuje tę majówkę:

»Dnia 5 maja wyleciały okrągłe bilety pomiędzy akademikami z napisem na jednej stronie: »Mleko i pocałowanie dnia

6 maja«, na drugiej »Pole Jagiellońskie o godzinie 5 rano«. Frejend (prawdopodobnie członek Związku Naukowego) napisał »Z rana« i za to został gramatykiem promienistym. Zaczem ukończywszy środowe zatrudnienia od godziny 7 po południu do 2 w nocy męczyłem pióro na jambiczno-promienistej przemowie. Jan swojemi trwogi straszy, Michał środki ostrożności podaje, Księdzycha (Chlewiński) ekonomiczne uwagi i obrzędy wyprowadza. Ja nie dbam, piszę i śpię, aż wreszcie, o godzinie 5 obudzon, wyszedłem na pole Jagiellońskie. Wnet stąd i zowąd tłumy ciągną, witają się palcami; ja się kilku tylko pokazuję. Zebrali się na promienistem miejscu; przychodzę w towarzystwie Szerokiego (Łozińskiego). Spotkali nas, wysłani od całego grona dla przeprowadzenia Żegota i Józef Chodźko; dalej dwóch drugich z deszczochronami. Okryli promienistą głowę od słońca a kapelusz z powagą niosą.

»Pokazałem się: szmer, ciekawość, potem cichość zrobiła się w licznem kole. O dwadzieścia kroków zaintonowałem »Hej radością oczy błysną«, wszedłem do koła, spojrzałem po twarzach, i jak natchniony jambować zacząłem. Między wiersze krotochwilne umyślnie wciskały się wyrazy dające do myślenia i mniej więcej wzruszające. Na wierszem ułożone pytania z krzykiem i radością odpowiadali. Bukiewicz bardzo dowcipnie ułożył »Pacierz«, Szeroki harangował wierszem, który mu się przedziwnie udał, wykładał bowiem, gdzie potrzeba zatykać uszy.

»Krzyknąłem: »Przystąpić do pocałowania« i rzucili się wszyscy i pięćdziesiąt głów ucałowałem. Wystaw sobie, do czego promionki przyszły. Po tym krótkim obrzędzie udali się wszyscy na mleko do chatki murowanej za Rosą. Różne mowy, różne domysły, różne radości, różne pytania, różne myśli, a wszędzie jeden zapał, jedno uwielbienie promienistości, jedne śpiewy. Pokazuje się, że młodzieżą naszą kierować można i na dobrą drogę wyprowadzić.

»Tam, przy mleku, położono seksternik i 45 imion, jedno po drugiem na kartę wlaziło. Szeroki i Długi (Piasecki) mlekiem traktowali, Wiernikowski wygłosił niezły wierszyk do szklanki z mlekiem, Orlicki wiersz promienisto-miłosny do Feminy, wszyst-

kim się podobał. Frejend gramatyk, anakreontyk uciął; Zdanowski mowca, przedni chłop, na pamięć jakiś psalm z Rousseau wykrzyczał, Józef Chodźko prozą i pocieszył i rozśmieszył i nauczył; Szeroki, delicya nasza, został woźnym i najmocniej krzyczał i śmieszył; Długi — podskarbim, bo, drugiego pocałowania żądając, nie chcieli, aby jeden mistrz tylko za każdym razem w mleku trzy ruble utopił. Po mleku przystąpili do mnie, ucałowałem głowy i swoją do pocałowania dawałem, poczem wszyscy odeszli.

»Różni różnie pojęli, różni różnie gadają, lecz wszyscy z ochotą do zabaw promienistych, do nauki i cnoty brać się postanowili i uwielbiać Tomasza. Czy kto był czy nie był na majówce, każdy gada o promienistości, wyraz promienistość po wszystkich biega domach. Nie wiem co dalej będzie? Drzwi od piątej do siódmej otwarte dla wyznawców; cisną się słuchać nauki, którą rozlicznie obracamy...«

W rzeczy samej nauka ta nie od razu przyjęła formy określone, nie od razu też, jak zresztą Zan wyżej przyznaje, wzbudziła zaufanie wśród poważnych kierowników filomatyzmu. Jeżowski niechętnie idzie na pierwszą zabawę, on i Malewski uważają odśpiewanie tu pieśni »Hej radością oczy błysną« za rodzaj profanacyi, Mickiewicz znów wyraża obawy co do jawnych działań. Lecz już po pierwszej majówce sam Jeżowski wielką nadzieję w promienistości pokłada i na niej opiera widoki na przyszłość.

»Związek promienisty«, pisze on, »stać się może jednym z najważniejszych skutków działań towarzystwa, bo naprzód jest to sposób jedyny i najskuteczniejszy, by zbliżyć do siebie uczniów uniwersytetu, połączyć ich węzłem pewnych uczuć i opinii, zaszczepić wzajemną miłość i szacunek, co, jeżeli da się uskutecznić, będzie już wielkiem i nieskończenie ważnem dziełem. Powtóre, można będzie łatwiej wyrozumieć sposób myślenia każdego i bezpieczniej wybierać członków do związków. Po trzecie, ponieważ dzieje się to publicznie prawie, gdy się uzyska pozwolenie rektora i gdy związek przyjdzie do pewnego urządzenia i porządku, stanie się wyborną awangardą naszą i niejako ścianą, o którą się będą odbijać pociski, jeżeliby jakie do nas rzucone

być mogły. Związek ten promienisty wyjdzie prawdopobnie na ową klasę lub towarzystwo jawne, które projektowaliśmy zawiązać i pod opiekę rządową pozornie oddać, a tym sposobem osłonić się przed wszelkimi atakami«.

W myśl tego projektu powstaje organizacya promienista, której krotochwilna szata zewnętrzna kryje głębszy cel naukowy i moralny. Nowym wyznawcom, zaciągającym się tłumnie na listę promienistych, cel związku określa Arcy w sposób następujący:

»Łączymy się dla wspólnych zabaw fizycznych i umysłowych, aby młódź zatrudnieniem szlachetnem od nieszlachetnych odrywać; lecz aby zabaw tych godzien był młodzieniec, musi wypełniać dokładnie swoje obowiązki, musi przez prawe postępowanie zasłużyć na dobre imię, musi znać historyę Polski, by naśladować cnoty a unikać wad przodków swoich; przytem, jako wyznawca otwarty i szczery, powinien zwracać uwagę na błędy swych przyjaciół, donosić o nich Arcemu lub prywatne przestrogi dawać; a jako szczerze się przestrogi dają, tak też bez obrazy mają się przyjmować. Przyjaźń nawiązuje się dla wspólnej rady, dla wspólnej pomocy w naukach i moralności. Witamy się pocałowaniem na znak połączenia; przed Arcym schylamy głowę, na znak, że jesteśmy powolni prawidłom przez ogół ustanowionym. Na majówce pijemy mleko, jako godło niewinności i prostoty, abyśmy pamiętali, że oszczędne używanie daleko lepiej służy zdrowiu fizycznemu i moralnemu«.

Zasady te znajdują swój wyraz w »Piętnastu prawidłach postępowania«, ułożonych przez Jeżowskiego a potwierdzonych przez rektora, który ze szczerą sympatyą powitał promienistość, widząc budujące zachowanie się młodzieży związkowej na wykładach i w kościele. Pod względem wewnętrznego ustroju stowarzyszenia Promieniści podzieleni zostają na sześć województw, których nazwy pochodzą od różnobarwnych parasoli, ocieniających na majówkach całe grupy młodzieży. Stąd województwa: Zielone, Różowe, Granatowe, Amarantowe, Błękitne i Białe. Każde składa się z »obywateli« i sześciu urzędników: wojewody, podkanclerzego, skarbnika, podwojewodziego, referendarza i stolnika.

Ponad województwami stoi dwór złożony z dziesięciu osób. Tu należą: Tomasz Zan, przewodnik zabaw czyli t. zw. Arcy, z władzą najwyższą; on mianuje urzędników i naznacza zebrania; Onufry Pietraszkiewicz, kanclerz wielki, przechowuje archiwum, złożone z prac na zebraniach czytanych i »dziejów związku«, które spisują podkanclerzowie; Teodor Łoziński, marszałek wielki, ogłasza wyroki i utrzymuje porządek; Michał Rukiewicz, marszałek nadworny, skupuje mleko, masło i bułki, na majówkach spożywane a wydzielane stolnikom; Kazimierz Piasecki, podskarbi, przyjmuje składkę. Ignacy Domejko, Napoleon Nowicki, Piotr Zdanowicz, Henryk Römer i Hipolit Drzewiecki mianowani szambelanami, komunikują członkom życzenia Arcego.

(C. d. n.)

Stanisława Pietraszkiewiczówna.

GENESIS.

POEMAT FANTASTYCZNY.

Confitebor... in toto corde meo... Magna opera Domini exquisita in omnes voluntates ejus.
Psalm 110.

I.

Przez gwiazd promienie, wskróś eteru ciszy,
Spieszy Cherubek do bożej stolicy...
Pomyka rączy — aż z pośpiechu dyszy;
Pilnując bowiem ogromnej mgławicy,
Spostrzegł, że czas już podążyć do Pana
I pytać, co ma dalej począć sobie,
Gdyż się z mgławicy już kula świetlana
Zrobiła wielka?... Wziął w rączyny obie
Trochę słoneczka, które z mgieł powstało,
By Pan osądził — czy dosyć stężało?...

II.

Nadął buziaczki i w piąsteczki dmucha...
Bo żar to wielki i rączyny parzy,
Lecz, że silniejsza snać potęga ducha,
Nie puszcza z rączki — ani się nie skarzy...
Potrząsa tylko, by drobne węgielki
I spieszy żywo nakształt chyżej racy...
A trud miał straszny — no i mozoł wielki,

Sporo przewlekłej i nudziarskiej pracy:
Nim się te mgiełki niesforne, rozbite,
Zbiły nareszcie w ciało jednolite!!

III.

Pan rad był z pracy swego Cherubinka.
Kiedy się stawił przed mistrzem stworzenia —
Uznał, że dobra słońca odrobinka...
Toż pogłaskawszy rączek poparzenia
I ukoiwszy anielskie cierpienie,
Spytał Cheruba: »A co jest wokoło
Słońca?« — »O! śliczne, ogromne pierścienie«!...
A Pan całując Cherubina w czoło,
Rzekł: »To idź, pilnuj tak długo pierścieni,
Aż się z nich każdy na planetę zmieni«...

IV.

W mig się obrócił ów pomocnik boży,
Nie utrudzony ni w pracy, ni w trudzie...
Nieba oracze zawsze w pracy skorzy
I nie leniwi, jako ziemscy ludzie;
Biegał więc pilnie i bez unużenia,
Aby się wszystko stało wedle planu...
Pilnował miary, kształtu i ciążenia...
Szumował czysto fale oceanu,
Murował góry z twardego granitu —
Moc więc miał pracy — od nocy do świtu...

V.

Spłukawszy ziemię, jak gosposia czysta —
Wymiótł wiatrami schludnie i gładziutko...
Pan Bóg przyjść może — rzecz więc oczywista:
Musi być w morzu i ziemi czyściutko...
Ani się spostrzegł, pracą zbyt przejęty,
Zamorusany aż po same oczy,
Jak został naraz żywo zagabnięty...

Patrzy... a Stwórca tuż, tuż, za nim kroczy:
»A cóż ty robisz, drogie moje dziecię?...
Właśnie potrzebne było mi to śmiecie!«.

VI.

Opuścił rączki Cherubek poczciwy,
Wodząc oczkami bardzo zdziwionemi
I dumał sobie: »Najdziwniejsze dziwy!
W niebie tak czysto — a tutaj na ziemi
Potrzebne śmiecie i Pan go strofuje
Za czystość właśnie!? Czy to nie dziwota??«
Patrząc w Cherubka — jak się wciąż dziwuje,
Rzekł Pan z uśmiechem: »O dziecino złota!
Wywiodłem niebo z światłości bez trudu —
A tu cud nowy wzniecę z tego brudu«...

VII.

Wierzy Cherubin, lecz zdziwiony cały,
Żywo napowrót znosi pył i błoto —
Rozkrusza głazy, kruszy góry, skały...
Ha no — Pan kazał, więc spieszy z robotą:
Oblepia, głaszcze stoki i wertepy:
Gliną i szlamem i czem tylko może;
Jako ten garncarz, gdy zlepia czerepy — —
Zlepił i czeka na rozkazy Boże,
A choć pracował z okrutną ochotą;
Lecz wciąż się dziwi — »na co Bogu błoto?!«

VIII.

Choć krytykować ani się nie waży —
Lecz mając niebo żywo przed oczami,
Czasem, cichaczem — ot tak — sobie marzy:
»Żeby miast błotem obsypał gwiazdami...
Każda z tych gwiazdek rosłaby promieniem
Barwnie, wysoko ponad okręg świata;
A nie, jak teraz, gdzie się światło z cieniem

Wieczyście kłóci, dławi i przygniata!!...
Aj! jaj!! jak cudnie wszystko by się lśniło!
Aj! aj!« aż klasnął w rączki z całą siłą...

IX.

Lecz i aniołom nie czas na marzenia!
A ty mi dumasz jak dziecina złota,
Co snując przędzę marzeń bez znużenia;
Radaby gwiazdą zasiać ziemi błota!...
O Cherubinie! Boży pracowniku
Spiesz się do Boga po nowe rozkazy...
A miast na gwiazdach spoczniesz na trawniku,
Który okryje szarej ziemi skazy
I cud zobaczysz wielki i bogaty;
Dziwniejszy od gwiazd — bo zobaczysz kwiaty!!

X.

Toż Pan mu włożył w piąsteczkę mikrobów
A w drugą pełno rozlicznego ziarna...
I rzekł: »Mam mnóstwo do życia sposobów —
Lecz żadna twórczość moja nie jest marna!
Nie sądź przed czasem, ale patrzaj końca,
Bo cud ochraniasz twoją drobną ręką;
Łatwiej mi przyszło stworzyć ogrom słońca,
Niż takie jedno drobniuchne ziarenko —
Rzuć te mikroby wraz z ziarnem do grudy
A wnet otrzymasz nagrodę za trudy!«

XI.

Cherub, co strawił wieków miliardy
Wśród ciągłej pracy, zanim się udało
Ten rozkiełzany mgławic żywioł hardy
W jedno ogromne uformować ciało;
Cóż więc dlań było tych tygodni kilka
Odkąd rozsypał ziarna w ziemskie łono?!
Cóż wiek dla niego? drobna ledwie chwilka —

A tu — się patrzy — wokoło zielono!
A te mikrobki — te liche stworzonka,
Wciąż różne strawy znoszą do korzonka!!

XII.

»Aj! aj! naprawdę, że dziecinnie śniłem,
Pragnąc gwiazdami obsiać ziemi błota —
Cóż są te gwiazdy wobec życia? — pyłem!!
A te roślinki? cóż to za śliczota!!«
Ledwie te słowa wygłosił radośnie;
Wodząc po ziołach rozjaśnione oczy...
A tu roślinka jak na drożdżach rośnie
A z pączka trysnął kwiatuszek uroczy...
Anioł aż klasnął drobnemi rączęty
I krzyknął błogo: »O mój cudzie święty!«

XIII.

»Naprawdę! słońce, to mała zabawka,
Wobec tych żyłek, wobec główki kwiata!
Aj! aj! od gwiazdki — toż dziwniejsza trawka!
A jak się cudnie wszystko razem splata:
Kształty, kolory i woni ponęty«...
Ukląkł i drżący jął całować kwiaty
I ciągle mruczał: »O mój Boziu święty!
Jakiś ty wielki, jakiś ty bogaty,
Że zdołasz zakląć nawet brud ten szary:
W takie cudności, w takie kształtów czary!!«...

XIV.

Niech nas nie dziwi ta radość anioła,
Bo my jak ślepi wzrok wodzimy tępy,
A patrząc na te ubarwione zioła,
Widzimy tylko ich piękności strzępy...
Tak małe dzieci, którym w rękę dano
Saskie figurki z cennej porcelany,
Nie widząc sztuki, z jaką je ulano,

Ni podziwiając tych ozdóbek plany;
Bawiąc się płocho, bezrozumnie tłuką,
To, co mistrz stworzył nadzwyczajną sztuką!

XV.

Ba! a tu kwiaty rosną i się mnożą...
A każdy trzeba mieć wciąż pod dozorem...
I by wypełnić dobrze wolę Bożą;
Trzeba wciąż latać swem skrzydełkiem skorem:
Strzepywać pyłki na słupeczki kwiata,
A dalej ziarna pilnować rozwoju...
Dość — że od świtu bez ustanku lata,
Skory Cherubek — aż upada z znoju...
Nie mógł podołać — znów więc w niebo zmyka
I prosi stwórcę, by dał pomocnika.

XVI.

Pan dobrotliwą spojrzawszy źrenicą,
Pytał z uśmiechem, głaszcząc Cherubinka:
»Toż dałeś radę sobie już z mgławicą,
A taki kłopot sprawia ci roślinka?
A możeś nie rad, żem ci dał mikroba,
Żem wywiódł kwiaty z ziemskich nieczystości,
Pewnie się tobie stwór ten nie podoba?«
A anioł krzyknął: »Boziu! to śliczności!
Właśnie dlatego błagam cię w pokorze:
Daj pomocnika, niech mi dopomoże!«

XVII.

Niech was nie dziwi, że krzyknął zdrobniale,
Że tak do Boga mówić nie wypada,
Ale... po pierwsze — wyrzekł to w zapale,
Drugie — że zwykle tak dziecina gada,
Trzecie — to ponoć Bogu wszystko jedno
Jakiem imieniem wielbi go uznanie...
Niema wyrazu! wszystkie słowa bledną...

Byle czuć było szczere ukochanie...
Zresztą i Cherub przeszedłszy koleje,
Wraz z życiem ziemi z czasem spoważnieje.

XVIII.

Pójdzie to prędko — jak to dobrze wiecie...
Długo ktoś żyje jak dziecina płocha,
I jak motylek ugania po świecie;
W tem go ból dotknie — albo się zakocha...
A wraz dziecinna pierzcha myśl figlarna...
Ucieka uśmiech — dziecinność ucieka,
Na twarzy siada myśl troską ciężarna
I człek od razu zmienia się w człowieka;
To jest, że w mig się staje bożym sługą...
Aż dziw, że o tem nie wiedział tak długo!!

XIX.

»No! mój Cherubku! kochasz więc rośliny...
A cóż tam w morzu?« — »Pustka Panie Boże!
Na dnie piaseczek, alko kamień siny...
Na lotnej fali cóż wyrosnąć może??
A szkoda wielkiej, niezmiernej przestrzeni
Zalanej marnie w tak ogromnej fali...
Za to — ach! jakżeż cudownie się mieni —
Zwłaszcza, gdy zachód ognie swe zapali!...
Lecz choć po wierzchu pieni się i miota,
Ale tam — w głębi — potworna martwota!«

XX.

Lecz Pan miast owej żądanej pomocy,
(Prawdziwie — dziwne są pomysły Boże!)
Kazał mu spieszyć jako kuli z procy,
Dając mu w rączkę coś znowu jak zboże...
I rzekł: »Tą ikrę rzuć na morza wody!...
Nie bój się jeśli morze ją pochłonie!«
A w drugą dał mu — owadów zarody...

Coś, jakby proso, by rzucił na błonie...
Cherubinkowi łza błysła w źrenicy:
»Tak! to znów kwiaty! a gdzież pomocnicy?!«

XXI.

Dawniej, Cherubin, choć pilny w robocie,
Zgarniał, gromadził, co mu w rękę dano,
Nie był więc nigdy w trosce, ni kłopocie...
Bawił się nawet białą mgławic pianą,
Potem lepieniem w jeden okrąg kuli:
Słońca i planet — a wreszcie księżyca...
A tu?... co ziarnko: inną formę tuli
A każda inna — a każda zachwyca —
Słowem, co jaki wyłoni się kwiatek:
Coraz to inny, najdziwniejszy światek!

XXII.

Gdy każdy kwiatek pory czasu słucha
I każde ciało ma swój zegar własny;
Inna się miara stosuje do ducha!!
Przez wieki całe duch ulata jasny...
Dzieciństwo swoje zachowując długo;
Naraz się troski uchwycą biedaka —
Dotąd swobodny, gdy trosk stał się sługą;
Od razu w męża zmienia się z dzieciaka —
Tak nasz Cherubin, widać było z noska,
Że coś spoważniał — to zrobiła troska! —

XXIII

Spełniwszy rozkaz — stanął — no i — wzdycha!...
Czując konieczność wywnętrzyć się trocha,
Przypadł do białej lilii kielicha
I nagle poczuł, że ją strasznie kocha!!
Tak, jako student, gdy po egzaminie,
Aby zagłuszyć wyrzut z kiepskiej noty,
Na gwałt się kocha, (że kiepski w łacinie,)

Pannie łacińskie wciąż przytacza zwroty...
A panna wzdycha — wzdycha lilja biała,
Choć Cherubina nic nie zrozumiała!

XXIV.

Toż w tem miłosnem lilji uwielbieniu
O swojej trosce zapomniał na wieki — —
Bo w każdem szczerem ducha uniesieniu
Na nędze życia najpewniejsze leki...
Stał zakochany — rzewny i pokorny
I sam się zdziwił tej odmianie ducha...
Gdy w tem — mu owad brzęknął niepozorny
I arogancko zabrzęczał do ucha:
»Bzik!... bzik... bzik!...« Aż drgnął — ha! nawet anioła
Takie przezwisko wskroś oburzyć zdoła!

XXV.

Właśnie jął mówić (lecz w lilii mowie:)
»O uwielbiona moja powiernico!!...«
Gdy, wtem coś siadło na lilii głowie...
On spojrzał wielce zdziwioną źrenicą...
A to — »coś — owo« objęło skrzydłami
Policzki kwiatu i całuje w usta...
»Ty romansujesz tylko z lilijami,
»A ja?...« to była — drobna muszka pusta,
Która się w czułe nie bawiąc zachody,
Wyssała pierwsze lilijowe miody!

XXVI.

Ten pocałunek otrzeźwił Cheruba
I do żywego duszę mu rozdrażniał...
Zdradliwa miłość — to dla wielu zguba!
Ale nasz Cherub zmężniał i spoważniał...
Zrazu chciał gniewnie udusić owada —
Wszak pierwsze prawo miał on do miłości,
Ale gdy zoczył, że lilija rada —

Ochłonął nagle ze swej porywczości
I jak filozof zamknął boleść w duchu,
Krzyknąwszy: »Liljo! o ty marny puchu!!«

XXVII.

Umilkł, założył ponuro ramiona,
Boleść go żarła dzika i ponura...
»Skądżeś się wzięła mucho uprzykrzona?...«
»Nie wiem! odbrzękła, pewnie mię natura
Wywiodła ponoś — gdzieś z błotniska świata!...«
Lecz jej Cherubin rzekł zgryźliwie głucho:
»Myśl twoja — jak ty — drobnem skrzydłem lata!
Niema natury, lecz Bóg, głupia mucho!«
Toż się odwrócił głupstwem much wzburzony —
Patrzy — — a tu już muszek miliony!...

XXVIII.

Widok ten zrazu był mu bardzo przykry,
Że tyle głupstwa ugania po świecie.
Spojrzał na morze — ani śladu ikry!
Myślał, że zoczy pływające kwiecie?...
»A no? znać, że się Bogu nie udało!?«
Morze jak dawniej huczy i faluje —
Patrzy? — coś w fali się zamigotało
I rącza rybka rącze fale pruje
A tam w głębinach życie i pluskanie —
A Cherub krzyknął: »Takżeś wielki Panie!!«

XXIX.

Spojrzał na ziemię: tu owad, tam pszczoła,
Dalej motylków rój barwny, skrzydlaty,
Wszystko to leci na rozkwitłe zioła,
Pada w kielichy, na barwiste kwiaty;
Strzepując pyłki na słupki kwiatuszka...
A jak ruchliwe i pilne w robocie —
Każdy owadzik, jak najlepsza służka,

Wypełnia łatwo, co on w czoła pocie
Ledwie dokładnie był wypełnić w stanie!!
Ukląkł więc kornie i rzekł: »Dzięki Panie!!«

XXX.

Długo więc patrzy i duma i słucha:
»Małe to, drobne, więc i niedorzeczne...
Ha! nie we wszystkiem potrzebna moc ducha;
Małe to, głupie — a tak pożyteczne!
A co za dziwne? jakie samoistne?!
Co za przedziwne barwy i skrzydełka!?
Toż to cudziątka, arcydziełka istne!!
Jakie ciekawe? — istne pieścidełka...«
Dość — że much oczko bardziej go zachwyca
Niż promyk gwiazdy — niźli blask księżyca!

XXXI.

A kiedy zajrzał do kopca mrowiska —
Kiedy zobaczył — jak pracuje pszczoła,
Kiedy oglądnął wszystko dobrze zblizka,
Kiedy obaczył ten ład dookoła:
Te ich budowle — sztuczne plastry miodu...
Tę pracowitość, tę przemyślność wielką...
Tę niestrudzoność pracy i zachodu...
To wygnał z serca do nich niechęć wszelką
I rzekł z zachwytem: »Niema na to rady!
Od roślin jednak dziwniejsze owady!«

. . . . . .

XXXII.

Całą już ziemię okryły rośliny —
Jakby wzorzysta, najcudniejsza szata:
Nad nią się błękit rozkołysał siny,
W powietrzu tylko drobny owad lata,
Brzęcząc skrzydełkiem po nieba przestworze...
Wokoło fala z szumem się kołysze...

Tylko więc owad i ruchliwe morze,
Lub lotny wicher przerwie wielką ciszę...
Boży ekonom znów chciał biedz do Pana
I zameldować, że ziemia obsiana!

XXXIII.

Już chciał pospieszać, gdy wtem wszystkie zioła
I cała ziemia, wskróś uradowana,
Drgnęła do głębi korna i wesoła:
Na powitanie wszystkich stworzeń Pana!
Pospieszył anioł i skłonił się nizko...
Pan rzekł z uznaniem: »No! mój Cherubinie!
Obszedłem całe już ziemi kolisko:
Dobrześ się sprawił; za to, w tej godzinie,
Żeś tu pracował z szczerym animuszem,
Mianuję ciebie ziemi Genijuszem!...«

XXXIV.

Lecz nowe trudy daje godność nowa!
Wkoło zasiana ta rodzajna gleba...
Nowe więc twory przyjąć już gotowa,
A dla nich strawy będzie tej potrzeba;
Toż cię obdarzam czworonożnym zwierzem,
Daję ci gady na te ziemskie błota,
Daję ci ptaków z lotnem, barwnem pierzem...
Głos ich krzykliwy — czasem piosnka złota,
Żywem się echem w górze rozkołysze
I pieśnią przerwie tę ogromą ciszę...«

XXXV.

Cherubin wielce podziwiał te twory
I porządkując je po ziemskim raju,
Uznał, że wszystkie kształty i kolory
Są doskonałe — każde w swym rodzaju!!!
A cóż dopiero, gdy przyszła godzina,
Kiedy zadrgnęła w Bożych, twórczych dłoniach:

Ta bezrozumna, lecz podatna glina
I tchnieniem ducha zalśniła na skroniach...
Aż łzą zdziwienia zaszła mu powieka,
Gdy zoczył kształty pierwszego człowieka!

XXXVI.

I pełne żaru, jak dwie błyskawice,
Padły na ziemi dwa rajskie spojrzenia,
Jedno człowiecze w świętę Boże lice,
Drugie anielskie w nową twarz stworzenia!...
O któż wypowie!? Ja się darmo kuszę,
By wypowiedzieć ten zachwyt anioła,
Kiedy w tych kształtach dojrzał także — duszę,
Co z niewinnego wyglądając czoła:
Świadoma siebie — wolna, w pięknem ciele —
Jak drugi anioł lśniła przy aniele!!

XXXVII.

Nie ciesz się! nie ciesz Cherubinie Boży!
Nie ciesz się! nie ciesz nową pracą Boską!
Dziś człek cudowny — lecz, gdy się rozmnoży —
To cię napełni nieustanną troską;
Bo z tem stworzeniem rzecz nie będzie łatwą!
Gdy ziemię schwyci w chciwe swe ramiona,
To tak ci ład twój na świecie zagmatwa,
Że ziemia bratnią krwią ludzi skrwawiona
I krwią tych bydląt — wskroś mieczem orana:
Wyda się tobie: jako jedna rana!

. . . . . .

XXXVIII.

Naprożno geniusz serce gorejące
Ludzkości nędznej położył w ofierze,
Próżno pracuje lat całe tysiące...
Jak dotąd?!... z człeka: pół-człeka, pół-zwierzę!...
Próżno mu wszczepia: do serca, do ducha,

Miłość serdeczną i piękna poczucie;
Ludzkość go jednak dotąd mało słucha!
Dotąd ją nęcą: nie piękno, lecz chucie...
Geniusz już Boga wzywał do porady;
Ale jak dotąd nie dał sobie rady!...

XXXIX.

Toż nieraz jemu opadały skrzydła
I zadumane opuszczał źrenice,
Aby nie widzieć ziemi, co mu zbrzydła...
Czuł w tem ogromną, Bożą tajemnicę!
W tem szamotaniu, w tej człowieka doli,
Jaką wypisał krwawe swoje dzieje
Widział i karę za tyle swawoli,
Lecz widział także daleką nadzieję —
Jednak czasami uciekłszy za chmury,
Wołał samotny, gorzki i ponury:

XL.

Gdy patrzę na świat, na Bożą naturę,
Zawsze się we mnie wielki pokój budzi;
Lecz wraz mnie myśli owładną ponure,
Gdy mnie otoczy: ruch i wrzawa ludzi!
Wtedy się pytam, choć czuję myśl Boga,
Jaka z ludzkości wyziera potężnie:
Czemu dziecinna mnie owłada trwoga?
Czemu mi serce tak drży niedołężnie
I czemu, chociaż czuję nędzną trwogę:
Nie śmię się cofnąć, — nie chcę — i nie mogę!?«
. . . . . .
. . . . . .

XLI.

Tak wszyscy wielcy świata geniusze,
Które wychował ów geniusz ludzkości,
Widząc te ludzkie tak ułomne dusze,

Tak skoszlawione brudami podłości;
Choć cierpią wiele — jak święci prorocy,
Choć nieuznani często i po śmierci,
Lecz ile tylko mają w sobie mocy,
Choćby i serce rozdarli na ćwierci:
Nigdy nie zejdą z swego piedestału,
Lecz niecą w ludziach iskry ideału!!

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

I. Lwicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z nowszych powieści polskich.

M. Rodziewiczówna: »Rupiecie«. — M. Raczyńska: »Moizes«. — A. Gruszecki: »Kolejarze«. — H. Zbierzchowski: »Literat«. — B. Halicka: »Ostatni Stuart«. — A. Maszkowska: »Złamane kwiaty«. — J. Ogiński-Kontrymowicz: »Węzeł gordyjski«. — Tenże: »Tragedya w Glinianach«. — E. Żmijewska: »Dola«. — A. Świderska: »Trudno inaczej...« — T. Jeske-Choiński: »Po czerwonem zwycięstwie«. — A. Schiffman: »Pankracy August I.« — B. Kostecki: »Jak oni«. — A. Strug: »Jutro...« — B. Prus: »Dzieci«. — W. Sieroszewski: »Małżeństwo«. — Tenże: »Jan-Guj-Tzy. Zamorski dyabeł«. — A. E. Balicki: »Dla ludzi«. — Tenże: »Chaos«. — K. Gliński: »Zaloty króla jegomości«. — Klewe: »Lwowskie perły«. — W. Orkan: »Miłość pasterska«. — J. German: »W gospodzie pod trzema zbójami«. — E. Jeleńska: »Kobieto, puchu marny...« — G. Zapolska: »O czem się nie mówi«.

Od pierwszej, najlepiej i serdecznie napisanej noweli »Rupiecie« [1], otrzymał nazwę cały zbiorek. Właściwych nowel w tym tomie niewiele; są to częściej alegoryczne obrazki, służące do uwydatnienia jakiejś myśli i mieszczące w sobie naukę moralną. Ta nauka nie zawsze występuje plastycznie; czasami zadrga w niej zgrzytem fałszywa nuta, skądinąd zupełnie niepotrzebna, np. w obrazku »Bagno«, poza tem są to rzeczy o dobrej etyce. W oryginalną formę ujmują myśli, których przestrzeganie byłoby zbawienne dla społeczeństwa, podczas gdy ich pominięcie prowadzi za sobą nieszczęście i ból; czuć w nich serce,

[1] Marya Rodziewiczówna: »Rupiecie«. Nowele. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1908. Str. 223.

nie brak i gryzącej satyry, a charakterystyka, gdzie występują jakieś konkretne typy, choć tylko jako pewien rodzaj symbolu, nie zostawia wiele do życzenia i jest trafną. Takie nowele i obrazki jak »Rupiecie«, »Tryumfator«, »Tak zwani ‚głupi'«, »Ciotka«, »Hryć«, »Lamus« pozostaną pewnie w miłej pamięci.

Jakiemi zasadami kierowała się »Biblioteka dzieł wyborowych« gdy przyjęła do swego wydawnictwa »Opowieść o czynach duszy« [1], trudno zrozumieć. Tło tej powieści jest historyczne o tyle, o ile przedstawia kilka faktów dziejowych i parę osób znanych z historyi; poza tem operuje prawie wyłącznie wyobraźnia, gdyż trudno nazwać historycznym przyczynkiem do odtworzenia epoki szczegółowy opis, jak córka królewska rozbiera się do kąpieli, jak Setis podaje następcy tronu zatrute kwiaty, które go zabijają i t. d. Najważniejsza w powieści postać, Mojżesz, jest chybiona. Nikt nie odmawia autorce prawa, by postaci historycznej przypisała pewne przymioty, nieznane z historyi a wysnute z wyobraźni; ale te rysy, stworzone przez wyobraźnię, muszą się z charakterem postaci, z historyi danym, łączyć w harmonijną całość i nie mogą z nim stać w sprzeczności. Ten jednak błąd popełniła autorka. Jej Mojżesz jest w jednem tylko prawdziwy: w wewnętrznej walce, przez jaką przechodzi, widząc złość i niewdzięczność Żydów za świadczone dobrodziejstwa. Pierwiastka nadprzyrodzonego w Mojżeszu prawie niema. Momenty nadprzyrodzone, o których opowiada Biblia, bierze autorka metaforycznie, jak np. kierz gorejący; inne zupełnie pomija, jak znaki w Egipcie przed wyprowadzeniem Żydów z niewoli, lub pojmuje je czasami naturalnie, to znowu mówi o nich, jako o czemś już dokonanem, pomijając jednak pytanie, co i jak się stało — przedstawia jednem słowem Mojżesza według zasad racyonalistycznej egzegezy protestanckiej. Mojżesz autorki nie jest tą potężną postacią, daną przez Biblię a odtworzoną tak silnie przez Michała Anioła, lecz człowiekiem, kierującym się aż za często zbyt ziemskiemi pobudkami a pod względem moralnym istotą dość lichą, która potrafi się nawet uganiać za nagą dziewczyną i na którą nieświetne światło rzuca np. wzmianka o »nocach rozkoszy« przeżytych z tą, którą uważał za swoją matkę. Jeden, drugi piękny opis lub

[1] Marya Raczyńska: »Moizes«. Opowieść o czynach duszy. Warszawa. Biblioteka dzieł wyborowych. Nr. 573. Str. 154.

trafny ustęp powieści nie ratuje i nie odbiera jej charakteru niebezpiecznego utworu.

Warto czytać powieści p. Gruszeckiego choćby dlatego tylko, aby poznać, jak jego poglądy i zapatrywania się zmieniają. W »Bojownikach« objawiało się jeszcze pewne wahanie się; w »Na wulkanie« wystąpiła na jaw gloryfikacya rewolucyi w jej najgorszym przejawie, w rozbojach i mordach; »Kolejarze« [1] sławią socyalizm jako taki a czynią to *a contrario*. Wszyscy wyżsi urzędnicy, to gromada wyzyskiwaczy, gromada ludzi obojętnych na ból i niedolę, pamiętających jedynie o własnej kieszeni. Alfą i omegą dla nich regulamin, w imię którego zatruwają życie drugim. Niżsi urzędnicy także dosyć liche indywidua; płaszczą się i lękają, nie mogą się zorganizować, zdradzają, ale potrafią narzekać. Zgodzi się każdy z autorem, że życie tych ludzi jest istotnie ciężkie i cierniowe, że dużo w niem ciemnych chwil i wyzysku, trudno jednak przyznać, że każdy przełożony jest już tem samem wrogiem swoich podwładnych. Pod wpływem miłości do idealistki socyalizmu, Janki, zmienia się tylko inspektor Lerche, ale i tej zmianie, pomijając już, że stosunek trąci trochę wolną miłością, gdyż Lerche był przecież żonaty, choć z żoną nie żył, możnaby wiele zarzucić. Ta zmiana wypłynęła nie z przekonania o obowiązku, ale z chęci przypodobania się Jance; socyalizm tu niewiele zdziałał, tem bardziej, że i urzędnicy socyaliści nieświetnie również w powieści wychodzą. Dobrą stroną »Kolejarzy« to ta, że poruszyli ciemną kartę życia; słabą, że nie umieli zachować miary i sprawiedliwości a wystarczającego lekarstwa nie podali.

Rzeczywiście tylko »Literat« [2] mógł tak postąpić, jak bohater powieści Zbierzchowskiego. Forma tej powieści dość ciekawa: systematyczne zapiski Adama i okolicznościowe zapiski Neli. Treść także niecodzienna. Adam ma wszystkie dane, aby być szczęśliwym. Jest znany i głośny, nie zna niedostatku a przytem posiada młodą, piękną i kochającą żonę. Szuka jednak wrażeń i przeceniając swoją wartość, robi eksperyment, który się nie udaje. Zaniedbuje pozornie żonę, zbliża ją do swego przyjaciela, Zarudzkiego, ułatwia nawiązanie stosunków,

---

[1] Artur Gruszecki: »Kolejarze«. Powieść współczesna. Kraków—Warszawa. G. Gebethner i Sp. — L. Biernacki i Sp. 1909. Str. 446.

[2] Henryk Zbierzchowski: »Literat«. Powieść. Warszawa — Kraków. G. Gebethner i Sp. 1909. Str. 277.

zapisuje dokładnie każdy objaw budzącego się uczucia a pełen zarozumiałości nie dostrzega, jak zbliża się i następuje wreszcie katastrofa. Teraz już za późno. Z pamięci nie wymazują tej strasznej chwili rozrywki, prace i podróże i kończy się wszystko po długich walkach, podwójnem samobójstwem. W języku żywym, pełnym obrazów i niezwykłych porównań, rysuje się ta tragedya, w której wszystkie sympatye stoją po stronie biednej Neli, co pod wpływem cierpienia z dziecka przemienia się w kobietę a w samym nawet upadku mniej jest winna od własnego, także częściowo sprzeniewierzającego się męża, i od uwodziciela, prawie że gwałtem do wiarołomstwa ją zmuszającego. Szkoda tylko, że autor, jak to np. wykazuje śmierć Neli, nie ma lepszych pojęć o religii i większej znajomości zasad wiary! Lepiej mu znany budaizm i »etyka czynu« od etyki chrześcijańskiej i od dogmatów. Lecz w takim razie po cóż pisać o rzeczach, których się nie rozumie i tak długo, jak długo się ich nie rozumie i poznać nie pragnie!

W ośmnastym wieku rozgrywa się powieść »Ostatni Stuart« [1], kiedy to Szkocya powstała przeciwko Hanowerczykowi Jerzemu III, a pod wodzą Stuarta Karola Edwarda mianowała królem Anglii, Szkocyi i Irlandyi jego ojca, Jakóba III. Początkowe zwycięstwa przemieniły się powoli w straszne klęski, powstanie zduszono krwią i pożogą, Karol Edward po długiej tułaczce i niebezpieczeństwach przedarł się do Francyi, stracił raz na zawsze nadzieję osiągnięcia tronu, stoczył się w życiu bardzo nizko i dopiero po jego śmierci w Rzymie położono mu na grobowcu w kościele św. Piotra napis: Karol III, król Anglii i Szkocyi. Powieść działa nie całością, lecz pojedyńczemi scenami. Całość nie jest opanowana i wyzyskana, za to pojedyncze ustępy są prześliczne. Zebranie na dolinie Glenfinnan — Stuart przy łożu umierającego Dunkana Mac Donalda, — męczeństwo Kennetha, który nie zdradził tajemnicy pobytu Stuarta, choć ten odebrał mu serce narzeczonej: to sceny na prawdę piękne. Szkoda, że gubią się w chaosie wypadków, opisanych dość długo a niedość żywo i plastycznie i rozłożonych niedość równomiernie.

Trochę pretensyonalny tytuł »Złamane kwiaty« [2], ale rzecz wcale uczciwa. Są to raczej pomysły lub szkice do powieści, bo temat taki,

[1] Blanka Halicka (Helena Zborowska): »Ostatni Stuart«. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1908. Str. 156.

[2] Aniela Maszkowska: »Złamane kwiaty«. Brody. F. West. 1909. Str. 60.

jak rozwinięty np. w obrazku »Chiarina« lub »Kometa« starczyłby na całą i do tego na niecodzienną powieść. Treść tych obrazków, z wyjątkiem pierwszej części »Błędnych ogników«, poważna, zaczerpnięta z życia artystów i artystek. »Chiarina« np. rozwijająca myśl, jak tryumfy artysty, jego rozgłos i sława sprowadzają go na manowce a nie dają wymarzonego szczęścia, lecz przynoszą niesmak i nudę i prowadzą, choć za późno, tam, gdzie go szczęście, przynajmniej częściowe, czekać mogło, robi dodatnie wrażenie a znowu »Kometa« przedstawiająca sprzeczność między życiem a sztuką i to ze wszystkiemi konsekwencyami, choć trochę może w tem przesady, również interesuje. Dużo wogóle w tych szkicach serca i szlachetności i wyższego poglądu na życie.

Prawdziwą jest myśl, jaką przeprowadza »Węzeł gordyjski« [1]: zbrodnia ciąży ciągłą klątwą na zbrodniarzu, nim jednak sprawiedliwość zwycięży, zbrodniarz drugim morze łez z oczu wyciśnie. Myśl ta jest przeprowadzona logicznie, sposób jednak tego przeprowadzenia czytelnikowi nie bardzo przypadnie do smaku. Powieść trąci mocno sensacyą. Wykazują to już nagłówki rozdziałów, jak »Tajemnicza postać«, »Przyjazd matki«, »Pierwsza scena tragedyi«, »Dwa miliony w kasie ogniotrwałej«, »U akrobaty«; wykazuje to jeszcze więcej treść, czasami fantastyczna choć nie bardzo prawdopodobna, czasami groźna i straszna, to znów tajemniczą, a często przejmująca dreszczem i oburzeniem. Mimo wszystko, nie da się jednak zaprzeczyć, że to piekło, które powieść przedstawia, przedstawia w ciekawych barwach i działa na nerwy.

»Tragedya w Glinianach« [2], to skazanie na śmierć i stracenie siedmiu senatorów polskich przez szlachtę zebraną na wiecu, ponieważ razem z królem Ludwikiem dążyli do oderwania od Polski Ziem ruskich na korzyść Węgier a przyłączenia w zamian Ziemi spiskiej do Polski. Szersze tło, uwydatniające wcale ciekawie ducha czasu, stanowią dla tej powieści losy córek króla Kazimierza Wielkiego, Anny i Jadwigi, które zmuszono do wyrzeczenia się wszelkich praw do tronu,

[1] Jan Ogiński-Kontrymowicz: »Węzeł gordyjski«. Powieść. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1908. Str. 313.

[2] Tenże: »Tragedya w Glinianach«. Legenda historyczna z XIV w. na starych szpargałach oparta. Kraków. Spółka Wyd. Polska. 1908. Str. 338.

a których dumę i cześć żywioną dla zmarłego ojca dotknięto, ogłaszając, że pochodzą ze związku nielegalnego. Wrażenie ogólne powieści jest smutne. Buta i swawola magnatów, ucisk ubogich, sprzeniewierzanie się obowiązkom dla prywatnej korzyści, nieprzebieranie w środkach, coraz szerzej rozlewające się zepsucie — to ciemne karty tej legendy, na które, choć dobra sprawa ostatecznie zwycięża, nie rzuca wystarczającego światła obóz przeciwny, żyjący w prostocie, szczerej miłości kraju i twardem staniu przy przyrodzonych obowiązkach. I chociaż dobra sprawa zwycięża, to kończy się ona udzieleniem panującej klasie tylu przywilejów, »że były dostateczne do wykopania mogiły dla Rzeczypospolitej« (str. 338); więc i tu, choć w dobrym zamiarze, przeważyła prywata. Rozmaitość w ten ostatecznie dość ponury obraz wprowadzają, jak to juz zaznaczyliśmy, sceny, malujące losy córek Kazimierzowych. Są tam karty zanadto sielankowe, gdzie uczucie przemienia się w uczuciowość i sentymentalizm i w zbytni romantyzm, jest jednak dużo życia, dużo rozmaitości, dużo poezyi i niespodzianych powikłań; o ile boli złamane na długo życie Anny, o tyle cieszy układające się pogodnie życie Jadwigi i jej tak upragniony związek z kasztelanem sieradzkim, Römerem.

Przez morze udręczeń prowadzi Żmijewska swego dawnego »Płomyka«, dzisiejszą »Dolę« [1]. Przyczyną tych ciężkich przejść jest nieprzygotowanie Doli do walk i trudów życia. Wychowana przez poczciwych, lecz trochę po staremu myślących rodziców, w nieznajomości twardych warunków życiowych, w nieuświadomieniu i w naiwnej wierze w dobroć ludzi, znajduje się w środku niebezpieczeństw a wychodzi z nich względnie cało tylko dzięki swej skromności a czasami i dzięki czysto zewnętrznym okolicznościom. Okupuje jednak to wszystko ciężkiemi ofiarami: zawodem w miłości, powolnem przeświadczeniem, że kobieta pracująca jest dla mężczyzn tylko przedmiotem pożądania, nieporadnością w pracy, spotęgowaną przez małostkowe dokuczania i szykany, co wszystko sprzysięgło się, by ją ściągnąć na samo dno przepaści. I jakby dla ironii, smagana przez swoich, znajduje długi czas jedną jedyną, jej szczerze oddaną duszę w osobie rosyjskiego oficera, którego jej jednak, jako Polce, kochać nie wolno. Kończy się ostatecznie wszystko dobrze i ku zadowoleniu tak Doli,

[1] Eugenia Żmijewska: »Dola«. Powieść. Z przedmową E. Orzeszkowej. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1909. Str. XIV, 358.

jak i czytelnika, mimowoli jednak nasuwa się pytanie, czy tylko samo nieprzygotowanie tak, jak je autorka pojmuje, jest przyczyną tych cierpień; czy w pewnej mierze nie przyczynia się do tego także brak wyrobionych zasad moralnych. Ostatecznie wobec *la bête humaine* i realnych wymagań życia najbardziej nawet uświadomione dziewczę stanie często bezbronne i tem więcej bezbronne, im więcej jej zabraknie tych w życiu tak koniecznych moralnych podstaw. Przy czytaniu tej z talentem, dobrą wolą i szczerą dla ludzi życzliwością, choć czasami i ze zgrzytem w poglądach lub sytuacyach napisanej powieści, powstaje życzenie, aby jako *pendant* do »Płomyka« i »Doli« autorka dała nowy utwór, przedstawiający losy dziewczyny przygotowanej do walki i uświadomionej. Byłoby to studyum bardzo ciekawe!

Młoda nauczycielka zostaje matką. Przedwczesna i nieprzewidziana śmierć narzeczonego nie pozwala jej połączyć się z nim węzłem małżeńskim. Rzuca rękawicę opinii i chce pozostać na zawsze wierną zmarłemu, lecz nie mogąc tej walce podołać, wychodzi za mąż za człowieka podejrzanej wartości, ale mimo, że wszystko mu wiadomo, do Anielusi szczerze przywiązanego. »Trudno inaczej...« [1] Powieść spotkała się i ze surową krytyką, odsądzającą ją od wszelkiej wartości, i z pochlebną oceną. Wartości jej odmówić nie można. Zaciekawia, zajmuje, obudza nawet sympatyę, daje kilka ciekawych postaci i niekoniecznie silny, ale dość wierny obraz trudności i walk, które Anielusię, wbrew nawet jej woli, zmuszają do zamążpójścia. Trudno jednak czytelnikowi pogodzić się z tezą autorki i niełatwo zrozumieć, że musiało się skończyć tak, a nie inaczej, a raczej można zrozumieć, lecz tylko w tym wypadku, gdzie się ma do czynienia z takim charakterem, jak charakter bohaterki. Znajdują się w nim dziwne przymioty: idealizm posunięty do niemożliwych prawie granic a połączony z również niemożliwą naiwnością i nieznajomością życia; świadomość, czego narzeczony od niej żąda, boć daje mu świadomie i dobrowolnie wszystko, a niewinność, która zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie będą następstwa; radość z macierzyństwa a zapoznanie konkretnych warunków życia. W tym wypadku rzeczywiście trudno było inaczej postąpić, ale to nie jest ta ogólna teza, którą zapowiadał tytuł. Autorka dotyka wprawdzie dość delikatnie drażli-

[1] Alina Świderska: »Trudno inaczej...« Powieść. Lwów. Towarzystwo Wydawnicze. 1909. Str. 287.

wych stron, lecz rozrzucone po różnych miejscach powieści niepotrzebne wspomnienia fatalnej chwili i takie poglądy, jak o odziedziczonych zasadach moralności, o pozostałości pojęć stale narzuconych wychowaniem, o rozgrzeszeniu samej siebie i sama zbyt świetlana postać bohaterki, wywrą na niedojrzałego czytelnika raczej ujemne wrażenie i kto wie, czy ktoś nie byłby w podobnym wypadku również gotów siebie samego rozgrzeszyć.

Treścią i ostatecznym rezultatem przypomina »Po czerwonem zwycięstwie« [1] głośne obrazki Eugeniusza Richtera »Pod czerwonym sztandarem«, tylko że polski autor pozostawił niemieckiego daleko za sobą. W organicznej całości przedstawia powieść zwycięstwo socyalizmu i ostateczne tego zwycięstwa konsekwencye, któreby można streścić w słowach samego utworu: »Rewolucyę sialiśmy, rewolucyę zbierać będziemy« (str. 78), a raczej zbieramy. Wszystko, co trzeźwo myślący i naturę ludzką znający człowiek mógłby powiedzieć o losach utopii socyalistycznej, znajduje swój wyraz w tej powieści: budzące się zwierzę ludzkie, bo wyzwolone z pod wszelkich praw i przepisów; stłumione tak samo, jak za czasów burżujów objawy niezadowolenia i pragnienie wolności; rodzące się powoli, lecz z żelazną konsekwencyą, nieukontentowanie, które się ostatecznie kończy krwawą rewolucyą i rozprzęgnięciem się państwa socyalistycznego, a główną rolę w tem wszystkiem odgrywają kobiety i wiejski lud. Powieść napisana ze zwykłą Choińskiemu werwą, z humorem, który te ciemne chwile trochę rozjaśnia, z logiką, która się nie cofa przed wyciągnięciem ostatecznych konsekwencyi i z realizmem, który odbiera jej charakter doktrynerski, a czyni z niej natomiast lekturę drgającą życiem.

Podobny do powyższego temat rozwija »Pankracy August I« [2]. Jest to również obraz przyszłości, raczej satyra, jak powieść. August XXVII rozwija socyalistyczny program swych rządów i skutkiem tego właśnie programu musi z kraju uchodzić, gdyż socyaliści, nie mogąc się zgodzić na ten program, który im broń z ręki wytrącał, wywołują rewolucyę. Królem zostaje towarzysz Pankracy, zjadliwie, ale z humorem w różnych miejscach przez autora scharakteryzowany. Ten król,

[1] Teodor Jeske-Choiński: »Po czerwonem zwycięstwie«. Obraz przyszłości. Warszawa. J. Fiszer. 1909. Str. 237.

[2] Arnold Schifman: »Pankracy August I«. Powieść. Warszawa—Kraków. Biernacki—Gebethner. 1909. Str. 155.

w którym można tu i ówdzie dopatrzeć się rysów niektórych dzisiejszych monarchów, przemienia się od razu w najzupełniejszego burżujskiego króla; zaprowadza domową pompę na dworze, rozdaje urzędy i godności, ściga opozycyę czyli radykalnych socyalistów, staje się jednem słowem autokratą w najczystszem tego słowa znaczeniu. Ostatecznie, mimo zmienionej nazwy, wszystko zostaje po dawnemu. Utworowi brak scen dramatycznych, wywołujących silne napięcie, jakie znajdują się u Choińskiego; brak mu ruchu i jednolitej akcyi w znaczeniu prawdziwie powieściowem, różne charaktery są raczej narzucone, jak rozwinięte, jednak posiada on, jako teza, swoją wartość.

Szereg napadów na rosyjskich urzędników, na prowokatorów i pociągi, kilka scen ze śledztwa i więzienia, opisują Kosteckiego: »Jak oni« [1]. Smutnem, choć z powodu niesłychanego napięcia i rozdrażnienia zrozumiałem jest, że takie rzeczy się działy; mniej zrozumiałem, dlaczego takie rzeczy się pisze. Opracowanie źródłowe tych bolesnych lat byłoby ciekawym przyczynkiem do charakterystyki czasu; ujęcie tych faktów w obrazki, które swoją drogą z literaturą nie wiele mają wspólnego, może w umyśle egzaltowanym a zasad etycznych pozbawionym, wywołać co najwyżej te same skutki, jakie w życiu wywołał przykład bojowców, kiedy to wszystkie rozwydrzone i niesforne elementy bandyckie wypłynęły na widownię. Gdyby przynajmniej tło było narysowane, możnaby łatwiej pojąć psychologiczną racyę tych mordowań na własną rękę! Lecz tego tła tu niema a gdzie jest, jak np. w obrazkach »W śledztwie u Grüna« lub »W warszawskiej ochranie«, jest z pewnością słabsze, jak było w rzeczywistości, i terroru nie tłumaczy. Jedynym utworem, który robi dodatnie wrażenie i z pewnym talentem jest napisany, to ostatni obrazek »Wigilia«.

Ostatnie godziny bojownika za wolność przedstawia Struga »Jutro...« [2] Jest to powieść psychologiczna, uwydatniająca prawdziwy talent. Jutro czeka szubienica, a tyle myśli przesuwa się w tych kilku godzinach wieczornych i nocnych przez umysł. Myśli smutne i bolesne; myśli jasne, wywołujące z przeszłości marzenia pierwszej, czystej miłości; myśli o walkach i bojach; myśli przygnębiające o blizkiej śmierci

[1] Brunon Kostecki: »Jak oni«. Kraków. Wydawn. »Życie«. Str. 104.
[2] Andrzej Strug: »Jutro...« Kraków. Spółka Nakładowa »Książka«. Str. 143.

i jakby senne widziadła i majaczenia o uwolnieniu, które już jednak nie jest możliwe. Przychodzą i myśli poważne o przyszłości, i to jest ujemna strona powieści: zwątpienie o wszystkiem. Czy »tam« co jest, nie wiem; pewnie nic. Stąd odmówienie spowiedzi, bo jakżeż potępić to, co się całe życie robiło! Stąd taka ujemna postać kapłana, który jednak wierzy przynajmniej w to, co mówi, czego o innych kapłanach powiedzieć nie można (str. 25), lecz nie może się przystosować do ludzi i na zapytanie skazańca: Za co »mam żałować? Za to, że walczyłem o wolność?« nie ma słowa odpowiedzi. Stąd, jako równocześnie charakterystyka autora, taka ortografia, jak: d u c h ś w i ę t y, m a t k a n a j ś w i ę t s z a i t. d. Stąd też w tej najważniejszej chwili, w której rzeczy z pewnością inaczej się przedstawiają, jak w życiu, brak wszelkiego zastanowienia się nad pytaniem, czy te bomby i strzały i trupy nie miały przypadkiem w sobie czegoś niedozwolonego, czy one były etyczne? Może ktoś ostatecznie w tem przekonaniu działać, ale i to przekonanie oparte będzie na braku podstaw moralnych i dlatego, choć, powtarzamy raz jeszcze, powieść napisana jest z talentem, wpływ jej zgubnym nazwać musimy.

Tematem »Dzieci« [1] jest rewolucya, bohaterami młodzież; młodzież latami, lecz sercem i rozumem zupełne prawie dzieci. Zapaleńcy i idealiści, idący na lep chwilowych haseł, nie umiejący myśleć na trzeźwo. Dlatego rozwiewają się ich marzenia, przeciwny skutek odnoszą ich usiłowania, giną marnie i bez celu. Jako charakterystyka stosunków i charakterystyka gorących młodzieńczych serc, które siła wypadków a raczej brak spokoju i równowagi prowadzą na drogę, z której już trudno zawrócić, ma powieść swoją wartość. Pojedyncze sceny z tułaczego życia bojowców czy bandytów, bomby i zamachy i naprężenie rewolucyą wywołane, pokazują również przebłysk dawnego talentu; niema jednak w tych rzeczach nic nowego, a wszystkie momenty były już mniej lub więcej szczęśliwie przez innych opracowane. Czyta się powieść, jak każdą Prusa, z satysfakcyą, ostatecznie jednak powiedzieć trzeba, że wielkie tragedye ludzkiego serca nie zostały w niej, jak się tego czytelnik spodziewał, wyzyskane.

Czytelnik nie będzie się solidaryzował we wszystkiem z nowym

[1] Bolesław Prus: »Dzieci«. Powieść. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1909. Str. 384.

utworem Sieroszewskiego »Małżeństwo« [1], odłoży jednak książkę z przekonaniem, że nie zmarnował czasu. Te trzy nowele są między sobą o tyle połączone, że zaczerpnęły tematu swego z rewolucyi rosyjskiej i jej następstw, każda jednak przedstawia inny moment. »Małżeństwo« opisuje losy wygnańca i wygnanki wśród Jakutów, trudy, z jakimi walczą, miłość, która wśród nich się rodzi i dochodzi do najdalszych konsekwencyi a wreszcie rozwód. Ta nowela odznacza się pełnemi poezyi i uroku opisami tak mało znanych tamtejszych okolic, pod względem jednak etycznym stoi, naszem zdaniem, nizko. Ta »wolna miłość« kończy się smutnie, co mógłby może ktoś uważać, jako jej potępienie ze strony autora. Tak nie jest. Potępienia stosunku w noweli niema; owszem można się dowiedzieć, że »zaręczyny, śluby, wesela są niezmiernie brutalne, tchną barbarzyństwem czasów, w których powstały« (str. 65); przyczyną smutnego zakończenia stosunku to z jednej strony niedobranie się charakterów i nadmierna i niezdrowa wrażliwość dziewczyny, spotęgowana przez samobójczą śmierć Zerowicza, zakochanego bez wzajemności w Zofii, z drugiej brutalna niepowściągliwość Stefana. To jednak nie wypływa z samej natury wolnego związku i byłoby możliwem również w legalnym związku małżeńskim.

»Być albo nie być« to z wielką siłą a serdeczną krwią opisane prześladowanie spiskowców w więzieniach rosyjskich, którego grozę jeszcze powiększają wplecione w ciemne tło jaśniejsze chwile, jak np. marzenia Zaremby. Z głębokim bólem z powodu takiego niezawinionego męczeństwa kończy się tę nowelę.

»Tułacze« prowadzą znowu na daleki Wschód i dają obraz wygnańca, który wśród tysiącznych trudności przedziera się do kraju i tu na samym wstępie ginie od kuli żołdackiej, patrząc wpierw na gwałtowną śmierć narzeczonej. Wielką rolę odgrywa w tej noweli element liryczny, przejawiający się w licznych opisach i obrazach sielankowych, realistycznych i tragicznych a nie potrzeba chyba dodawać, że we wszystkich nowelach sympatye autora znajdują się po stronie socyalistów.

Na Sybirze z początku, później na stepach Mongolii, w Pekinie i głębokich Chinach rozgrywa się druga powieść Sieroszewskiego »Za-

[1] Wacław Sieroszewski: »Małżeństwo. Być albo nie być. Tułacze«. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1909. Str. 410.

morski dyabeł«[1]. Treścią jej smutne losy młodziutkiego Polaka, którego walka o byt prowadzi aż do krwawych Chin. W tej walce mnogie grożą niebezpieczeństwa. Najpierw od samej pustyni, która całą sasko-koburg-gocką ekspedycyę naukowo-handlową nieomal o śmierć przyprawiła i była źródłem udręczeń dla wszystkich; potem od Europejczyków, których w oczy kłuła prawość młodzieńca i jego możliwe objęcie dyrekcyi fabryki, będącej własnością jego wuja; wreszcie przeniewierczość Chińczyków, którzy niepomni usług przez młodego Polaka im wyświadczonych, postanowili nie tylko zgładzić wszystkich zamorskich dyabłów t. j. Europejczyków, ale i samego Brzeskiego, któremu udało się jednak w czasie powstania bokserów z trudem całą kolonię europejską miasta In-kou uratować. Siła tej powieści leży w niezwykle barwnym i zaciekawiającym opisie tego mało znanego świata i jego zwyczajów i w wiernej charakterystyce osób i stosunków; zwraca tu też uwagę rzecz u Sieroszewskiego niecodzienna, sympatyczna postać polskiego kapłana w Pekinie, ks. Płońskiego, któremu jednak od razu jest przeciwstawiony, ujemnie się przedstawiający, ksiądz Paolo. Egzotyczne illustracye dodają powieści rozmaitości.

Może za poważną lekturę tworzy Balickiego »Dla ludzi«[2]. Ten sposób pisania rozstrzelony, gdzie czasami na jednej karcie naturalny tok myśli zostaje kilka razy rozerwany, jest wprawdzie dobrą charakterystyką rozwichrzonej postaci bohatera, ale on męczy, odwraca uwagę, z trudnością tylko pozwala objąć całość a to się w powieści nie bardzo podoba. Wyłącznym, na powieści wyciśniętym rysem, jest straszny pesymizm. Praca dla drugich ma dać szczęście, a ona tymczasem daje niedolę i nie przynosi żadnego owocu. Składa się na to i zepsuta natura ludzka, która tylko podejrzywa a wdzięczności nie zna, i wichrzenia innych, przywłaszczających sobie monopol tej pracy, bierna obojętność lub przeszkody z tej strony, skąd powinna iść pomoc i zachęta. Opadają więc skrzydła i zniechęcenie ogarnia. Czy jednak słusznie? Wszak owa nauczycielka, Janka, osiąga pewien owoc swej pracy! Wina leży, zdaje się, więcej w osobach, pracę tę podejmujących, jak w rzeczy samej. Takie charaktery, jak Napoleonista,

---

[1] Tenże: »Jan-Guj-Tzy. Zamorski dyabeł«. Powieść. Kraków. Spółka nakładowa »Książka«. Str. 246.

[2] Antoni Euzebiusz Balicki: »Dla ludzi«. (Luźne kartki współczesnego rękopisu). Kraków. Spółka Wyd. Polska. 1908. Str. 261.

Zagórski a przedewszystkiem Żniatyński, choć mają dużo rysów szlachetnych i sympatycznych, są, zdaje się, chybione. Napoleonista, który we wszystkiem jednego tylko szuka rysu, tego mianowicie, co wielcy ludzie czuli i cierpieli, gdy widzieli rozwiane swoje marzenia i sypiące się w gruzy zamiary, nie mógł do pracy dla ludzi zachęcić Żniatyńskiego, a swoją drogą niedocenianie tego momentu, o ile ono może być i będzie prawdziwem w różnych postaciach historycznych powieści, nie jest prawdziwem, jak powieść twierdzi, odnośnie do Chrystusa. Wystarczy przeczytać w jakimś lepszym żywocie Zbawiciela szczegóły cierpień na Górze Oliwnej — tam znajdzie się odpowiedź wystarczającą. Zagórski znowu, w gruncie szlachetny, choć wypaczony charakter, pełen przesady we wszystkiem, nie mógł również wywrzeć dodatniego wpływu. Sam zaś Żniatyński, przejmujący w siebie, może być że czasami nawet bezwiednie ich wpływy, wydaje się tak samo postacią niedobrze dobraną. To idealista i poeta, w którego mózgu panuje wielkie zamieszanie pojęć, który rwie się do pracy, lecz bez systemu, pozwala się owładnąć zniechęceniu, które przy takiem zadaniu życia, jak on je pojmuje, jest wprost zabójczem, i który zawody i ból przeważnie sam sobie stwarza. Trudności w pracy zawsze będą, lecz ten zwycięży, kto przebojem pójdzie naprzód; kto jednak cofa się choćby przed wielkiemi trudnościami, traci odwagę, gdy się spotka, jeżeli już nie z uzasadnionym, to przynajmniej ze zrozumiałym oporem jednego lub drugiego z kapłanów, do których dla tego czuje niechęć, przeradzającą się w lekceważenie, — ten dziwić się nie powinien, że widzi wszystko na ziemi czarno i że w pracy ulega. Wobec tego wpływ powieści będzie, naszem zdaniem, niekoniecznie dodatni. Autor sam odczuł potrzebę zastrzedz się w jednem miejscu powieści, że bluźnierstwa zawarte w poemacie »Noe«, nie są bluźnierstwami względem Boga lub religii, lecz illustracyą walk duszy, rodzących się dzisiaj w sercu. Czy jednak każdy to zrozumie, tem bardziej, że na wątpliwości autora powieść nie daje odpowiedzi ani rozwiązania, a odpowiedź znalazłby Żniatyński, gdyby nie zadawalniał się samemi wątpliwościami, lecz na nie w nauce wiary odpowiedzi poszukał. Tę odpowiedź, przypuszczamy wystarczającą, dałby mu choćby i »Trzeci wieczór nad Lemanem«, a wówczas może wszystko innąby się potoczyło drogą.

Na wiele ważnych momentów poprzedzającej powieści, np. na stanowisko Boga w świecie, Jego rządy i stosunek do ludzi, nie rzuca

żadnego światła tegoż autora »Chaos« [1], owszem ten stosunek jeszcze zaciemnia, podnosząc znowu różne wątpliwości i zostawiając je bez odpowiedzi. A chociaż te wątpliwości włożone są w usta osoby umysłowo chorej a przynajmniej mocno anormalnej, złe i ujemne wrażenie pozostaje. Za to pada jaśniejsze światło na pesymizm, uwydatniony w powieści »Dla ludzi«. Ludzie przeszkadzają sobie wzajemnie. Chęć odegrania roli w świecie, nienawiść przeszłości, pragnienie by ukształtować wszystko według zapatrywań choćby szalonych swego mózgu i swoich namiętności, to owa zapora, o którą się łamią usiłowania szlachetnych idealistów, nie liczących się z twardą rzeczywistością dnia. Czytelnik odłoży powieść z pewnem uczuciem niezadowolenia. Podoba mu się autor, traktujący życie poważnie i rozwijający kwestye naszej belletrystyce wogóle obce, ale ich rozwiązanie, a raczej brak tego rozwiązania, każe nam powiedzieć, że autor omijając Scyllę, nie ominął jednak Charybdy, i mimo najlepszej woli, o której ani na chwilę nie wątpimy, będzie przez czytelników niestety, opacznie zrozumiany.

Jak prawie w każdym ze swych utworów, tak i w ostatnim »Zaloty króla jegomości« [2] jest p. Gliński romantykiem, zabłąkanym w nasze pozytywne czasy. Pełno tu śpiewu słowików i dźwięków gitary, pełno księżycowego światła i letnich nocy, woni bzów i jaśminów, pełno niemożliwych sytuacyi i rzeczowego nieprawdopodobieństwa — romantyka jednem słowem. A jednak, choć to niekoniecznie silna strona powieści, ona pociąga do czytania i daje dużo przyjemności, może dlatego właśnie, że przypomina te dalekie, dobre czasy, które się już nie wracają. Humor, jaki na kartach powieści wszędzie się pojawia, a który występuje nie tylko w komicznych sytuacyach, lecz i w ich wyrażeniu przez styl zwięzły a jędrny, dodaje również utworowi wartości — niektóre ustępy, to doskonała humoreska. Pojedyncze sceny, czy to opisów przyrody czy współczesnego życia, dawnych pragnień, radości i smutków, są także nie najgorsze. Trudno za to pogodzić się z treścią samą. Jakiż-bo cel może mieć przedstawienie polskiego króla w roli trefnisia i Don Juana, grywającego ciemną nocą pod oknami upatrzonej

[1] Tenże: »Chaos«. Część druga powieści »Dla ludzi«. Kraków. Spółka Wyd. Polska. 1909. Str. 254.

[2] Kazimierz Gliński: »Zaloty króla jegomości«. Powieść obyczajowa z czasów Jana Olbrachta. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1909. Str. 381

bogdanki, polującego za taniemi miłostkami i przebierającego się dla niepoznaki w strój duchownego rektora Uniwersytetu, który potem za błędy pana pokutuje. Taki król nie potrafi wzbudzić do siebie sympatyi a przedstawianie, choćby i humorystyczne, podobnych słabostek, powagę przeszłości tylko obniża.

Trochę niesmaczny obrazek na okładce, coś *à la Głęboka miłość* Guillaume'a, i tytuł »Lwowskie perły« [1], mogłyby nasunąć komuś myśl, że znajdzie w ładnie wydanym tomiku trochę pieprzu. Tymczasem to rzeczy pieprzne, ale w zupełnie innym rodzaju, migawkowe zdjęcia różnych typów i objawów Lwowa i blizkiej prowincyi. Stąd charakter tych obrazków przeważnie satyryczny, podpatrujący różne słabostki ludzkie i smagający je, niby niewinnie, a jednak bez litości. Inne znowu pełne zdrowego, niewymuszonego humoru, który pobudza do śmiechu; w niektórych wreszcie te dwa pierwiastki łączą się w harmonijną całość i dają lekturę równocześnie przyjemną i pożyteczną, gdyż *ridendo castigant mores*. Z prawdziwą satysfakcyą przeczyta chyba każdy obrazki: »O czem myśli motorowy«, »Lwowianie na Walkiryi«, »Przeprowadzka studentów«, »Dwie panie«, »Fabryka doktorów« i inne.

Ujemne wrażenie wywołuje Orkana »Miłość pasterska« [2]. Oryginalny to wprawdzie świat, który na tych kartach się roztacza; ciekawe życie górskich pasterzów i pasterek; język w miarę przybrany prowincyonalizmami; świeżość w obrazach i opisach — ale też to wszystko. Treścią tych nowel czy obrazków ludzie tacy, jakimi być nie powinni; celem i zadaniem ich erotyzm, który mocno błotem trąci. Wyższa myśl, zdaje się, nigdy w tych mózgach nie powstała; na świat patrzą się okiem tylko lubieżnem, a to wszystko takie naturalne, że aż odstręcza. Być może, że koło tej osi obraca się życie pewnej części tych ludzi, ale to jeszcze nie racya, żeby o tem książkę pisać. Talent Orkana z dawnych utworów przebija chyba w noweli »Schronisko«, która dziwnie delikatnem przedstawieniem i sielankowością wywołuje przeważnie dodatnie wrażenie.

---

[1] Klewe: »Lwowskie perły«. Brody. F. West. 1909. Str. 172.

[2] Władysław Orkan: »Miłość pasterska«. Lwów. Towarzystwo Wyd. 1908. Str. 142.

»W gospodzie pod trzema zbójami« [1] nie jest, jakby ktoś może z tytułu sądził, powieścią senzacyjną lub nawet kryminalną, lecz zbiorem różnych nowel i obrazków, mających z tą gospodą to chyba wspólnego, że, według słów przedmowy, są »wyśnione w chwilach, z tamtej chwili, z tego wieczoru w Rzymie, zrodzonych«. Treścią czy motywem lub tłem tych nowel jest miłość, często fatalna w następstwach, czasem niezrozumiała a prawie zawsze zmysłowa, grzeszna, niezdrowa i wyidealizowana. W tem też leży słaba strona tych utworów, które z pewnością rozkoszy estetycznej wiele nie dadzą, a mogą wypaczyć niejeden niewyrobiony umysł. Taka np. wiarołomna miłość, która »czyni niewinną« i którą »Bóg raz tylko w sto lat zsyła na ziemię« tak, że »zbrodniąby było kochanie to skrzywdzić«, albo taki Chrystus, który błogosławi wolnej miłości, to zanadto postępowy pogląd. A szkoda, bo styl autora w tym utworze, w przeciwieństwie do dawniejszych, jest wcale pięknym i przez świeżość obrazów i pewną serdeczność wyrażenia jeszcze udoskonalonym.

Jak sam tytuł »Kobieto, puchu marny« [2] wskazuje, wystawiła p. Jeleńska kobiecie nieświetny pomnik. Dużo kobiecych postaci w powieści. Dodatnią między niemi, to postępowa Mańka, choć tę doskonałość dziwnie oświetlają niektóre jej zapatrywania; częściowo dodatnią, za to bardzo bierną, to matka Konrada; wszystkie inne postacie— ujemne. A więc ograniczone i głupie emancypantki, nie wiedzące, czego żądają; kwaśne i obłudne dewotki, co ma być zdaje się równoznaczne z kobietą religijną; narwane, rozumie się, arystokratki i najgorsza ze wszystkich bohaterka, lalka, która rujnuje męża majątkowo, zdradza go z żonatym przyjacielem i ma na sumieniu samobójczą śmierć męża. Ten mąż robi jeszcze najlepsze wrażenie i zyskuje sympatyę czytelnika, choć gdyby to był charakter więcej konsekwentny i swych celów świadomy a przytem silniejszy i mający jakieś oparcie moralne, nie byłby z pewnością tak skończył, jak mu autorka kazała. Sympatyi p. Jeleńskiej ta nowa powieść, przynajmniej ze strony czytelniczek, nie przysporzy.

---

[1] Juliusz German: »W gospodzie pod trzema zbójami«. Lwów. Tow. Wydawnicze. 1909. Str. 336.

[2] Emma Jeleńska: »Kobieto, puchu marny...« Powieść. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1909. Str. 364.

Bolesnej i krwawiącej rany prostytucyi dotyka »O czem się nie mówi« [1], tylko jest to dla nas zupełnie jasnem, że trzeba było innego pióra, a nie p. Zapolskiej, aby na tę ranę znaleźć lekarstwo. Nietrudno ostatecznie pogrzebać w błocie i gnoju, trudniej jednak to błoto osuszyć, aby ono nie plamiło i zarazkami dokoła nie siało. Część krytyki dziennikarskiej pochwaliła powieść, co nasuwa mimowoli przypuszczenie, że ta krytyka była wprost lub nie wprost obstalowana; zaznaczyła tylko, że powieść nie jest dla młodych panienek. A dla starszych panienek lub dla chłopców? Gdyby »O czem się nie mówi« miało osiągnąć swój cel, musiałoby być napisane poważniej bez drastycznych scen, bez frazesów, idealizujących występek, jak frazes o »kielichu ciała« i t. d. Postacie męskie tej powieści to samce, ogromnie rozpustne a jeszcze więcej głupie. Przecież bohater powieści nie poznaje się na najprostszych wykrętach prostytutki i martwi go, że ona nie ma wiary; gdyby ją bowiem miała, oddawałaby się tylko jemu, nie innym. Czy autorka rozumie, co to jest wiara? A ta Frania (inaczej Irena), nie budzi również tej sympatyi, jaką autorka wywołać pragnęła. Jej nie martwi podeptana godność ludzka, tylko rozwiązłe przywiązanie do Krajewskiego, która to miłość czasami jej mówi, że nie na dobrej znajduje się drodze, sprzedając się wszystkim. To także moralność i swego rodzaju podniesienie kobiety! Poważnie myślący człowiek wie, co ma sądzić o prostytucyi, jaką ona zakałą dla społeczeństw, co do niej prowadzi i w niej utrzymuje; dla niego nie potrzeba takiej powieści. Młody całkiem inną rzecz w niej wyczyta, a że ta powieść go nie naprawi, raczej tylko zachęci do »zesumowania miłosnych dreszczów«, to chyba także nie ulega wątpliwości.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z piśmiennictw obcych.

Les yeux qui s'ouvrent *Henri Bordeaux.* Paris. Librairie Plon 1908.

Drukowana najpierw w *Revue des Deux Mondes* powieść ta zasługuje na rozpowszechnienie i tłumaczenie. Autor ślicznej książki *La peur de vivre*, *Les Roquevillard* i całego szeregu studyów, należy do najwięcej czytanych pisarzy we Francyi. Jest to człowiek o duszy

[1] Gabryela Zapolska; »O czem się nie mówi«. Powieść współczesna. Warszawa-Kraków. G. Gebethner i Sp. 1909. Str. 368.

zdrowej, pełnej zapału: umysł jego dźwięczy, jak dobrze nastrojona i delikatna struna, która wibruje pełnym czystym tonem pod dotknięciem smyczka — życia. Bordeaux niesie przez utwory swoje wielką usługę słabemu, zepsutemu przez dyletantyzm społeczeństwu, bo nie ogranicza się tylko na odczuwaniu i wrażliwości: ton, do którego dostraja swe dzieła, to wysoki nastrój odpowiedzialności i obowiązku; uczucie podporządkowuje prawu. Jest to szkielet moralny jego powieści; zaś atmosfera czystych wyżyn Sabaudzkich Alp, (które są ojczyzną autora), przenika jego utwory zdrowym, ostrym, świeżym powiewem przyrody, nieskażonej dusznością przecywilizowanych środowisk. *Nul effort n'est perdu* — ten aforyzm Pasteur'a wziął sobie Bordeaux za motto swej książki; możnaby mu łatwo przeciwstawić inny: *nulle souffrance ne se perd.*

Temat powieści bardzo zwykły; bo wiarołomstwo, które burzy spokojną egzystencyę państwa Derize. Oboje młodzi, zdrowi, bogaci uczciwi; on uczony sławny i życia czystego, oddany nauce i rodzinie; jego żona Elżbieta, piękna, miła, spokojna, prawa, apatyczna, wcale nawet nie wiedząca czem jest zdrada — wreszcie dwoje dzieci siedmio- i sześcioletnich. Ale to jasne niebo ma w sobie coś niebezpiecznego, ta pogoda jest nużąca. Alberta męczy banalność i brak życia intellektualnego u żony, zaczyna się nudzić i przestaje być odpornym na pokusę. Spotyka dawną znajomą: Anna posiada w wysokim stopniu urok bystrej intelligencyi i żywość wyobraźni. Jest niełądna, ale ma w sobie czar niezwykłej jakiejś wyzywającej melancholii, mówiącej o poznaniu niejednej goryczy. Natężenie życia stanowi w niej niebezpieczny kontrast z indolencyą Elżbiety. Derize spragniony zrozumienia i porywu ulega uczuciu, które opanowuje i jego i Annę po niedługim czasie i z zapamiętaniem oddaje się tej miłości.

Następuje to, co się zwykle dzieje: odkrycie zdrady przez żonę i podanie o rozwód. Elżbieta z dziećmi wraca do rodziców. Wspólny przyjaciel Philippe Langier pośredniczy między małżonkami; uzyskuje tyle, że pani Derize zgadza się na ciche rozstanie w zamian za zatrzymanie dzieci: jest ona jak pierwej spokojna i apatyczna, mówi z przekonaniem, że z chwilą zdrady męża, kochać go przestała, Filip na to się odzywa: to znaczy, że »pani nie kochała go nigdy! Kochać wtedy, gdy nas kochają, gdy nam oszczędzają każdego wysiłku i przykrości, czyniąc drogę życia jaknajwygodniejszą, nie jest żadną sztuką! Ale kochać, gdy się jest opuszczonym i zapomnianym, rzuconym na

łup trudności, gdy się doznaje złamania serca, a jednak nie zapominać, to wtedy znaczy: kochać prawdziwie!«

— To znaczy upodlić się! Ja znam moją godność! — odpowiada Elżbieta.

Ciężkie to przejście zrazu nie zmienia pani Derize — zawsze ładna, apatyczna, bezmyślnie idzie za biegiem dni, które jej schodzą nieznaczące i banalne w domu rodziców oddanych życiu światowemu. Ale powoli rozumie, że wszystko się dla niej zmieniło w treści, jeśli nie w formie; odczuwa po zachowaniu ludzi i po zetknięciu z światem, że patrzą na nią i ona na nich inaczej. Razi ją ludzka ciekawość i niemile dotykają zbyt śmiałe hołdy składane jej piękności, wreszcie zadziwiają oświadczyny Filipa, wskazującego jej możność unieważnienia dawniejszych ślubów i zaczęcia nowego z nim życia. Pani Derize zdobywa się na pierwszą decyzyę stanowczą, rozłącza się z rodzicami, usuwa się w ciszę ustronną: tutaj dopiero odczytuje zapiski swego męża. Są to trzy grube zeszyty, którym powierzał swe wrażenia, nie mogąc ich dzielić z żoną, a później przelewając na papier nadmiar uczucia przez Annę wzbudzonego. Te zeszyty, które się dostały niespodzianą drogą w ręce Elżbiety, były dla niej objawieniem... Odkryły jej nagle, że jeśli mąż ją zdradził, to ona przygotowała ku temu drogę: była niewidoma, była niedbała i nie rozumiała tego, że najgorszą i najniebezpieczniejszą z separacyi jest rozłąka moralna, zobojętnienie i niedbanie o szczęście i spójnię myśli i życia dusz dwojga.

»Elżbieta przewracała kartki zeszytu aż do końca — goniąc za tym nadmiarem boleści, któryby ją uwolnił od zdolności myślenia. Była trzecia rano: cała w gorączce, dowlekła się do okna i cała omdlała otworzyła je — znalazła się wobec głębokiej ciemności, na tle której zarysowała się niewyraźnie i ponuro masa gór. Na czarnem jak aksamit miękkiem niebie, błyszczały niezliczone gwiazdy. Elżbieta widziała już takie noce, ale po raz pierwszy odczuwała tę świeżą, ostrą, ale orzeźwiającą ciszę pokoju w kontraście do burzy i bólu jej serca«.

Teraz dopiero, cała gorycz utraconego szczęścia, zazdrość namiętna zaczęły szarpać jej biednem sercem, budząc je z uśpienia. Czuła, że rozbiła z winy własnej czarę szczęścia, bo przy ognisku rodzinnem brakło kapłanki, bo zamiast strzedz pełni życia, była tam martwota i chłód i nuda.

Życie dla niej było dotąd tylko biernością. Indolencya, obojętność,

apatya, nieumiejętność utrzymania miłości męża przez pilne i staranne dzielenie z nim jego interesów, jego życia intellektualnego. Wszak sam się na to skarżył w swym pamiętniku, bo w tem szukał podstawy trwałej w związku dwojga ludzi: zachwyt zmysłów trwa krótko.

»Ach! czemuż nie uczą młodych panien, że każdy musi sam swój dom budować i sam swego ogniska strzedz. Z kamieni przypadkiem zbieranych tworzą nietrwałe fundamenta, to też pierwszy lepszy je burzy« — takie były gorzkie myśli Elżbiety.

To wielkie wstrząśnienie stało się początkiem wielkiej odmiany w życiu młodej kobiety: postanowiła już nie dla siebie, ale dla swoich dzieci, dla ich dobra i dla ich wyrobienia naprawić dawne zaniedbania. Zbliżyła się najpierw do matki swego męża, którą zawsze wysoko szanowała dla dziwnie wyrozumiałego, spokojnego i szlachetnego charakteru. Śliczna to postać tej starej kobiety, dzielnej wobec trudności życia, ufnej w zwycięstwo dobrego, wyrozumiałej i przebaczającej. Głęboka wiara i ciężkie doświadczenia nie złamały, ale pogłębiły jej duszę, przenosząc punkt widzenia z zwykłych nizin na wyższy poziom, skąd ogarniała szerokie horyzonty: najpokorniejsze szczegóły życia rozświecała pogoda duszy wysoko nastrojonej. Kochała syna nad wyraz, ale stała po stronie synowej, oceniając jej wysiłki, delikatnem słowem krzepiła nieraz jej zniechęcenie, wskazywała na dzieci, jako na tę siłę, która zapewni wkońcu odzyskanie zbłąkanego, byle czekać wytrwale i spokojnie. A tymczasem dawała radę: »Bądź ciągle czynną, ciągle pracuj. Umęczaj się do znużenia przez dzień cały. A przytem módl się«.

Tymczasem mijały bez zmiany miesiące; upływało już półtora roku od rozłączenia. Pani Derize daremno wyglądała syna — to cierpienie skrywane podkopało jej siły. Bóg przyjął ofiarę jej życia: umiera błogosławiąc synowę, ufna, że pogrzeb da sposobność spotkania się obojga. Elżbieta z spokojną godnością przebywa tę próbę razem z mężem wobec świata, oddając ostatnią posługę zmarłej matce. Albert Derize ze zdziwieniem widzi, jak jego żona się zmieniła pod względem charakteru, pewności postępowania, energii, jak dobrze wychowuje dzieci. Te dzieci, które go pierwej uwielbiały, i teraz dużo z ojcem mówią, ale co chwila słyszy słowa: »Ależ ojciec o tem nie może wiedzieć! nie był z nami, mama wie lepiej«.

Stał się im obcym. Gorzko to odczuwa Albert. Matka jego umarła na rękach synowej w nieobecności syna, a on czuje, że już

niema ogniska, ani żony, ani dzieci. Namiętna miłość dla Anny doznaje silnego uszczerbku.

Odtąd powieść dąży do końca łatwo przewidzianego. Tęsknota za domem i dziećmi dokonuje swego. Derize pisze dzieło bardzo gruntowne o warunkach życia robotniczego i przeprowadził dobitnie tezę, że podstawą odrodzenia społecznego — jest rodzina. Przekonywując drugich, sam siebie przekonywuje o konieczności porządku i prawa w ustroju życia. Smutny i niespokojny, już nie odczuwa dla Anny miłości takiej jak pierwej, i ona to widzi. Postanowienie jej szybko dojrzewa. Jednego dnia Elżbieta otrzymuje list, w którym Anna oddaje jej niejako męża zabranego — sama zniknie z horyzontu, bo jako infirmerka udaje się do Indyi. Lecz choć główna przeszkoda się usuwa, dużo jeszcze czasu upływa nim Albert wróci do rodziny. Egoizm, upór i duma fałszywa, to wszystko składa się na dalszą zaporę. Lecz Elżbieta pamiętna nauk i rad matki męża, śmiało podejmuje walkę z trudnościami; mówi sobie: miłość niema granic — i podtrzymana duchem ofiary, wielkoduszna nie waha się czynić pierwszych kroków, by uprzystępnić pojednanie. I ten trud, ofiara i ciężkie chwile zawodu i zniechęcenie zostają wynagrodzone odzyskaniem ojca dla dzieci, a ukoronowane zdobyciem po raz drugi serca ukochanego męża. Teraz szczęście ona potrafi zachować. »Oczy jej się otwarły« na to, że trzeba umieć skarb życia strzedz i pielęgnować.

Powieść ta jest śliczna, szlachetna i pięknie napisana. Odnajdujemy w niej ciągle nowoczesne pojęcie o konieczności wyzyskania życia, utrzymania jego napięcia i wzrostu, i natężenia sił wszystkich zawartych w nas. Bardzo są też słuszne uwagi o wychowaniu kobiet; autor widzi dwa błędne kontrasty. Kierunek jeden, czyni z młodej dziewczyny istotę ciasnego umysłu, sentymentalną, ograniczającą cały swój horyzont do porządnego prowadzenia domu: ta nigdy nie pojmie i nie zrozumie męża pracującego i żyjącego intellektualnie.

Drugi typ, to emancypantka, rywalka mężczyzny, ale nie towarzyszka. A człowiek każdy tęskni za duszą pokrewną, dającą mu pokój, siłę i ufność. Dopiero oczy, które się otworzą na zrozumienie tego, ujrzą drogę do prawdziwego pojęcia życia dwojga ludzi, przysięgających sobie wierność i miłość dozgonną.

Marya Harsdorf.

La Congregazione Camaldolese degli Eremiti di Montecorona. *Placido T. Lugano.* Roma — Frascati. 1908. Str. 543.

Jest to dość obszerne dzieło, podające dokładnie rozwój Kongregacyi OO. Kamedułów z Monte Corona, założonej przez znakomitego Wenecyanina, B. Piotra Giustiniano, aż po dni nasze. Autor wzbogacił dzieło ważnymi dokumentami, zebranymi ze wszystkich źródeł, odnoszących się do Kamedułów, i uczynił je tak dalece zajmującem, iż trudno oderwać się od lektury.

Życie eremitów traktowane z nadzwyczajną znajomością i pociągającą prostotą. Czytelnik widzi się wobec ludzi, którzy pomimo, iż żyją na ziemi, bardzo od świata są oddaleni.

Życie założyciela, jasno nam przedstawia człowieka napełnionego duchem Bożym, który głęboko zna życie zakonne i wielką odznacza się roztropnością.

Wszystko szeroko opisane: początki życia Kamedułów, rozmaite rozgałęzienia Zakonu; podziały nieraz zupełnem zerwaniem stosunków się kończące, jak to wykazuje np. historya eremu Kamedułów toskańskich, który się wreszcie zakończył zupełną autonomią Kongregacyi z Monte Corona.

Zajmującą jest historya fundacyi eremu na Bielanach pod Krakowem. Autor rozwodzi się nad wielką hojnością fundatora, marszałka Wolskiego i nad jego miłością względem Kamedułów z Monte Corona. Zresztą i nasze czasy świadczą o wielkiej ofiarności Polaków dla sprawy Bożej. Na miejscu obecnego eremu wznosiła się niegdyś willa, Bielany, własność kasztelana Sebastyana Lubomirskiego. Eremitom darował ją marszałek Wolski. Ciekawą jest rzeczą, na jaki pomysł wpadł marszałek razem ze swą małżonką, by kasztelana opierającego się temu planowi, dla siebie pozyskać. Wsie Mnichów i Mnichówek już dawniej był ofiarował, okazały się one jednak nieodpowiednie.

Otóż zaprosiła p. Wolska na uroczystą biesiadę księcia biskupa krakowskiego, oraz kasztelana. Wśród uczty, zwrócił marszałek rozmowę na zamierzoną fundacyę eremu, przyczem wyraził obawę, iż rzecz do skutku nie przyjdzie, gdyż w rozległych swych dobrach nigdzie odpowiedniego na to miejsca znaleźć nie mógł. Na to tak książę, jak i biskup ofiarowali na ten cel którąkolwiek ze swych wil. Marszałek jednak serdecznie podziękował, gdyż jak twierdził, żadna z nich po dokładnem obejrzeniu, nie okazała się odpowiednią do wymagań życia i samotności zakonnej. Wreszcie kasztelan, by nie zostać w tyle, wy-

rąził, choć nie zbyt chętnie, gotowość odstąpienia Bielan na ten cel. Żona marszałka nie pominęła tak pięknej sposobności. Podczas gdy inni wychwalali i unosili się nad jego wielkodusznością, ona natychmiast z nadzwyczajną słodyczą poprosiła go, by podpisał akt cesyi. Kasztelan się zgodził, a marszałek, by mu wynagrodzić ów dar, przysłał mu w podarunku tyle drogocennych naczyń srebrnych, ile wartość owej posiadłości wynosiła. Od tej chwili ta góra, ze względu na ów wspaniały dar, otrzymała nazwę srebrnej. I erem otrzymał wkrótce tę samą nazwę, a nabożny marszałek Wolski ujrzał jeszcze swój zamiar doprowadzony do skutku, mianowicie kościół bogato wyposażony i ozdobiony marmurami. W ten sposób powstawały i inne liczne fundacye na rzecz Zakonu w Polsce. Dzieło zakończone zestawieniem eremów i chronologicznym spisem opatów, prokuratorów generalnych, a wreszcie porządkiem dziennym Eremitów z Monte Corona.

G. Aromatisi.

Handbuch der Geschichte des Franziskanerordens. *P. Dr. H. Holzapfel O. S. F.* Herder in Freiburg u. Wien 1909. Str. XXII, 732.

Książka ta wydana z okazyi 700-letniego jubileuszu założenia zakonu franciszkańskiego, a napisana z rozporządzenia najwyższego przełożonego zakonu, nie jest właściwie historyą zakonu w całem tego słowa znaczeniu — trudnoby ją umieścić na kilkuset stronach tylko — jest to podręcznik raczej, któryby mógł służyć równocześnie i jako zachęta do dalszego dokładniejszego jeszcze badania, a zarazem dawałby i pogląd na ubiegłe wieki zakonów franciszkańskich.

Praca dzieli się na dwie części. W pierwszej mamy historyę zakonu od r. 1209, — który to rok uważają OO. Franciszkanie za rok swego założenia, chociaż w tym roku otrzymali od Innocentego III tylko ustne pozwolenie na opowiadanie pokuty — aż do roku 1517, t. j. do rozdziału na dwie gałęzie: »konwentualnych« i »Braci mniejszych«.

Autor trzymał się tej metody, że najprzód dał przebieg chronologiczny dziejów franciszkańskich; następnie krótki przegląd statystyczny rozwoju poszczególnych prowincyi zakonnych; potem omawia rozwój ustawodawstwa czyli rozwój wewnętrzny zakonu, wreszcie działalność jego w Europie i poza Europą, czy to w dziedzinie duszpasterstwa, pracy misyjnej, czy w nauce, sztuce i t. d.

W drugiej części zajmuje się autor wewnętrzną historyą zakonu gałęzi Fr. Minorum od r. 1517 aż do połączenia zakonów w r. 1897;

następnie znowu w tym samym porządku statystyką, rozwojem ustawodawstwa i pracami tejże gałęzi.

Historyi Franciszkanów t. zw. konwentualnych, Kapucynów, Klarysek, oraz Trzeciemu zakonowi poświęca kilka paragrafów.

Na końcu mamy jedenaście tablic chronologicznych: wszystkich przełożonych generalnych, kapituł, tak Franciszkanów konwentualnych jak i Braci Mniejszych i Kapucynów, generalnych komisarzy, kardynałów, protektorów tychże zakonów, wreszcie spis papieży od czasów założenia zakonu i Świętych ze wszystkich zakonów franciszkańskich.

Dokładny spis osób i miejscowości — jak zwykle w niemieckich wydawnictwach — ułatwia korzystanie z tej książki.

Naturalnie dzieło oparte jest na źródłach archiwalnych, jakich dostarczały archiwa zakonu, po całym świecie rozrzuconego. Nie ukrywał też autor czarnych chwil, jakie się kilkakrotnie pojawiały w dziejach zakonu — uznanie za tę objektywność zarówno jak i za niezmiernie ciężką pracę w zbieraniu archiwalnych wiadomości.

Ale wobec żalów samego autora na żmudną pracę, gdy nie mając żadnego opracowania, musiał sam obrabiać materyał archiwalny — dziwnym się wydaje sposób, jaki obrał: przecież najprzód należałoby napisać źródłową, obszerną historyę, a potem dopiero podręcznik.

W ten sposób możnaby wykorzystać to mnóstwo wypisków archiwalnych, jakie autor zebrał, i lepiej zestawić obraz franciszkańskich dziejów w szerokich ramach, na podstawie których możnaby dopiero opracować szczuplejsze kompendyum.

Dziwnem także musi się wydać układ książki, który sam wskazuje od razu, do jakiego odłamu franciszkańskiej familii należy nasz autor: nadzwyczaj obszernie opisuje on bowiem dzieje zakonu Braci Mniejszych (od str. 303—586) w stosunku do opisu dziejów innych czterech gałęzi zakonu św. Franciszka (str. 589—687). A przecież i one mają swoją, równie świetną przeszłość.

Szkoda także, że autor wie tak mało o przeszłości zakonów franciszkańskich w Polsce. I w tej książce spotkał nas zwykły los, że Polaków wymienia się — częstokroć ze szkodą dla samej nauki — na ostatniem miejscu. I tak tylko raz wspomina autor obszerniej o nas, na str. 388: *die ausgedehnte Provinz Polen wurde im J. 1630 geteilt...* i mówi o jej podziale w kilkunastu wierszach. A przecież o tych tylko czasach, t. j. od podziału prowincyi polskich aż do roku 1722 mamy całe dzieło in folio, liczące str. 244, ks. A. Koralewicza zak. św. Fr.: »Additament do kroniki Br. Mniejszych, albo Genealogia Re-

formy do Królestwa Polskiego wprowadzonej... Warszawa 1722«, i w nim przedstawione bardzo dobrze dzieje wewnętrzne zakonu w Polsce, gdy tymczasem wszystko to, co Holzapfel powiedział o naszych Franciszkanach, możnaby zredukować do suchej wzmianki samego tylko nazwiska *Polen* wśród wyliczania innych krajów, oraz do spisu naszych polskich Świętych zakonu św. Franciszka. Lecz i tutaj dziwną się wydaje ta klasyfikacya autora: np. jeżeli się wymieniło *sel. Salomea aus Krakau, sel. Cunegundis aus Ungarn* (dlaczego tak?), to nie wiadomo, dla jakiej przyczyny czytamy przy *sel. Yolenta* tylko *vidua?* (str. 708).

Są to uwagi, które się nasuwają Polakowi przy czytaniu niniejszego podręcznika: uwagi te jednak nie ujmują wartości książki, która jako podręcznik tak obszernych dziejów średniowiecza franciszkańskiego zakonu daje rzeczywisty obraz przeżytych czasów i działalności Franciszkanów. A jeżeli autor prawie że pominął polskie klasztory, to i może nawet lepiej, bo pozostawił sposobność naszym polskim Franciszkanom, by sami opracowali swe dzieje w Polsce: materyałów nie brak — ubogie klasztorki franciszkańskie mają swe kroniki — a więcej wartościowe papiery, które kiedyś przypadkiem, lub może z okazyi skasowania jakiego klasztoru zaginęły, te Bogu dzięki, odnalazły się w jakiejś bibliotece. I jest ich dosyć — czy to we wiedeńskiej, czy Czartoryskich, czy indziej. Są tam akta bardzo ważne, sprawozdania z kapituł, inwentarze, a nawet archiwalne akta, całe archiwa, korespondencye, np. klasztoru przeworskiego, krakowskiego, oraz archiwa prowincyonalne i t. d. Czekają one tylko na naukowe opracowanie [1].

Ks. K. Konopka.

---

[1] Już po napisaniu niniejszych uwag, dowiedzieliśmy się, że we Lwowie ukazała się książka pod tytułem »700-letni jubileusz założenia zakonu św. Franciszka« przełożył O. M. T. zak. Br. Mn. Jest to tłumaczenie dziełka napisanego przez O. Seeböcka. Tłumacz uzupełnił broszurkę bardzo dobrymi rysami z działalności zakonu franciszkańskiego w Polsce, które jednak nie zmniejszają potrzeby napisania wyczerpującej historyi Franciszkanów na ziemiach polskich.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Co się działo na świecie od najdawniejszych do teraźniejszych czasów. Dzieje powszechne. *Ebrem.* Warsz. 1909. Str. 274.

Roi się od nazw i faktów; czytanie nuży, a po przeczytaniu książki można się łatwo spotkać z tym objawem, że się pamięta na to lub owo nazwisko i przyczepia się do obcego faktu — czyli, że cel książki nie osiągnięty. Popularną przecież historyę przeznacza się chyba nie dla specyalistów? Pokarm z niej mają czerpać tacy, którym wolno dużo nie wiedzieć. A czy po przeczytaniu powyższej książki wyrobią sobie oni pojęcie, jak to ludzie dawni — bliżsi nam lub dalsi — żyli? A gałęzie owego życia były również jak dziś różnorakie — i popularyzator winien się był zdobyć na ową wszechstronność. Czy nie lepiejby było ten lub ów fakt ważniejszy, charakterystyczny z tłumu innych wydobyć, szerzej opowiedzieć, illustracyą upamiętnić? Jeżeli zaś co, to już bezwarunkowo w popularnej historyi znajdować się powinno kilka map. I jeszcze jedno: popularyzator ma się oprzeć na najświeższych wynikach badań naukowych, by uniknąć błędów, z którymi wiedza dawno zerwała. Może jednak autora celem było, napisać rodzaj treściwego podręcznika dla uczącej się młodzieży? Jeżeli tak, to młodzież nie ułatwi sobie nauki, nie zoryentuje się w dziejach biorąc do ręki powyższą książkę. *W. B.*

Maria der Weg zu Christus. Gebet- u. Andachtsbuch. *J. Hilgers S. J.* B. Herder. Freiburg. Str. X, 606.

Książka ta jest jednem z lepszych dzieł, mówiących o Matce N. Samo ujęcie przedmiotu oryginalne. Nauka fachowa, bogata w teksty z dzieł Ojców Kościoła, koncyliów, ascetycznych pisarzy i Pisma św. Przedstawienie, ożywione duchem dziecięcej pobożności, jest barwne, obrazowe, często poetyczne, zawsze jednak ze smakiem i z miarą. Część pierwsza przedstawia naukę katolicką o N. Pannie a głównie jej odwieczne wybranie na Matkę Boga. Część druga, zatytułowana: »Naśladowanie Maryi«, daje często prześliczne rozważania o życiu Maryi, rozłożone na uroczystości maryańskie. Część trzecia zawiera cenny zbiór najpiękniejszych modlitw do Matki N., zebranych z rozlicznych źródeł; nie brak w niej jednak modlitw o ogólniejszym charakterze, np. przygotowania do spowiedzi, drogi krzyżowej i innych. Na uroczystości majowe książka ta może oddać kaznodziejom niejedną przysługę.

W. W.

Erste Unterweisungen in der Wissenschaft der Heiligen. Der Mensch, so wie er ist. *R. J. Meyer S. J.—J. Jansen S. J.* Nach dem Englischen. B. Herder. Freiburg i. Br. Str. XIV, 358.

Tłumaczenie niemieckie, włoskie i hiszpańskie angielskiego oryginału świadczy chyba najlepiej o wartości książki. Treść, chociaż była pisana dla katolików Ameryki Północnej, ma jednak wartość ogólną i, jak sam tytuł domyślać się każe, bardzo urozmaiconą. Poznanie siebie samego, pokusy, namiętności, namiętność główna, umartwienie, pokora, sumienie, wyrabianie charakteru, niepokój duszy, energia — to wszystko znalazło gruntowne, rzeczowe, na powadze pisarzy

kościelnych oparte opracowanie, zastosowywane na każdem miejscu do życia praktycznego. Świeżość i barwność wyrażenia, doskonałe porównania i uzmysłowienia, życie bijące z tych kart tworzą lekturę na prawdę miłą. Z książki korzystać mogą przedewszystkiem księża, zakonnicy i zakonnice, znajdą w niej jednak dużo korzyści dla siebie i ludzie świeccy. Za zasługę poczytujemy tłumaczowi, że więcej od samego autora podał powag, uzasadniających jego twierdzenie i że za surowe czasami zdania złagodził.

W. W.

Kurzer Wegweiser in der apologetischen Literatur. *Dr. S. Weber.* II. Aufl. B. Herder. Freiburg i. Br. 1909. Str. XII, 67.

Od dawna odczuwanej potrzebie, brakowi mianowicie katalogu, zaznamiającego z katolicką literaturą apologetyczną, uczynił częściowo zadość dr. Weber. Częściowo tylko, gdyż spis jego obejmuje prawie wyłącznie dzieła niemieckie i łacińskie a pomija dzieła pisane w innych językach. Układ jest przejrzysty: zasadnicze dzieła filozoficzne; dzieła apologetyczne ogólne; wiara i wiedza; istnienie Boga; życie i Bóstwo Jezusa; historya i filozofia religii; wiara i psychologia; chrześcijaństwo, biblia i nauki przyrodnicze; biblia, chrześcijaństwo i historya; chrześcijańska etyka i kwestya socyalna; Kościół, chrześcijaństwo i historya kultury; Kościół i historya współczesna, biografia; Kościół i wyznania; apologetyczne pisma, roczniki i t. d.; lexika; pojedyncze kwestye specyalnej apologii; życie religijne.

Pod każdą rubryką znajduje się po kilkadziesiąt prawie wyłącznie najnowszych dzieł o odpowiedniej, wogóle gruntownie opracowanej treści. Księżom katechetom, kierownikom kongregacyi maryańskich i związków studenckich oddać może ten katalog nieocenione usługi.

Ks. W. W.

Federalizm. *Korf S. A. prof. bar.* St. Pitierburg 1908. 8-ka, Str. 92.

Cechą polityków rosyjskich ostatniej doby bez różnicy stronnictw politycznych był tradycyjny brak szczerości. Zwłaszcza w kwestyach narodowościowych kłamano co chwilę, jakby na zamówienie. Już bowiem w pierwszej Izbie państwowej, która objawiała pozornie najwięcej liberalizmu w stosunku do postulatów, jakie stawiali »obcoplemieńcy«, można było doskonale zauważyć i to niejednokrotnie wykręcanie się sianem przywódców stronnictw nawet najpostępowszymi ogłaszających się, ile razy chciano ze strony kompetentnej dowiedzieć się, jakie koncesye możnaby otrzymać w zamian za poparcie? Wówczas uchylano się dyskretnie od dania jasnej i stanowczej odpowiedzi, na którą możnaby liczyć i wejść w sojusz lub nie. Ile razy przyszło do kwestyi polskiej, czy ormiańskiej na przykład, niepodobieństwem było dowiedzieć się prawdy. Przewrotny bizantynizm przejawiał się nawet z oświadczeń ludzi, liczących się do stronnictw najbardziej postępowych. Półsłówkami bąkali »kadeci« ze skrajnej lewicy i socyaliści wszystkich odcieni.

Z tem większem tedy zaciekawieniem wziąłem do przeglądnięcia enuncyacye bar. Korfa, z których okazał się mnie on, jako zasadniczy zwolennik systemu federacyjnego pomiędzy narodami, zamieszkałymi w granicach jednego państwa, chociaż może zbyt optymistycznie zapatruje się na najbliższą przyszłość. Ale nie o to mi teraz

chodzi, boć o niespodzianki nie tak trudno znowu.

Poparciem najsilniejszem, atutem walnym wywodów bar. Korfa, ma być Anglia, która musi oprzeć się na systemie federacyjnym w stosunku do swoich kolonii zamorskich, jeżeli nie chce ich utracić. Podobną skłonność spostrzega autor wśród rzeczypospolitych południowo-amerykańskich, w których zlanie się w państwo federacyjne wierzy niezłomnie. Z pośród państw europejskich za konieczność dalszego rozwoju, a bodaj czy nie istnienia nawet, uważa autor zaprowadzenie ustroju federacyjnego w Austro-Węgrzech, na półwyspie bałkańskim oraz między państwami skandynawskiemi. Celem zaś uchronienia się przed walkami narodowościowemi koniecznem jest oparcie się o zasady autonomiczne, o decentralizacyę jak najszerszą, jeżeli fermenty wzajemnej nienawiści pomiędzy narodowościami mają uciszyć się.

O kwestyę polską potrącono tutaj w polemice z *Moskowskim Jeżeniedielnikiem*. A przecież uczyniłbym jeden zarzut, ale zasadniczy. Bar. Korf nie powiada nigdzie w swojej pracy, jakie cechy są, jego zdaniem, konieczne dla stworzenia związku federacyjnego? Czy rozstrzygałyby w danym wypadku cechy: terytoryalne, geograficzne, narodowe czy rasowe? Bo gdybyśmy wstąpili na punkt r a s o w y c h skłonności i antypatyi, możnaby mnóstwo ciekawych wniosków wysnuć w zastosowaniu do sporu polsko-rosyjskiego.

Dr. St. Z.

Kniżnaja Lietopiś Gławnawo Uprawlenija po dielam pieczati. St. Pitierburg. 1908.

Brak dokładnych wykazów bibliograficznych na wzór takich, jakie podaje nasz *Przewodnik bibliograficzny* lub *Książka* warszawska, dawał się do niedawna odczuwać dobitnie wszystkim, interesującym się nowościami wydawniczemi rosyjskiemi. *Kniżnyj wiestnik* daleki był od kompletności, katalogi księgarń poszczególnych lub antykwarskie podawały wiadomości o książkach zbyt późno, czasopisma wreszcie naukowe czy literackie robiły to niedokładnie i bardzo nieregularnie. Jakby dla ironii — to, co jest obowiązkiem specyalisty, ma za zadanie wypełnić dawny komitet cenzury, przekształcony po nadaniu »konstytucyi« (?!) w »Komitet dla spraw prasowych«. Ale bodaj nareszcie w ten sposób dostaje się w *Lietopisi* spis alfabetyczny wszystkich książek, wydawanych w Rosyi, podzielony na grupy językowe. Niedokładności bibliograficznej w nim wiele, układali go bowiem urzędnicy, nie mający pojęcia o bibliografii naukowej. Bo często daje się spostrzedz przy tytule dzieła danego brak nakładcy, co stanowi dla księgarstwa rosyjskiego, nie wspominając już o zagranicznem, ogromną krzywdę. Oprócz spisu alfabetycznego mamy w każdym zeszycie wzmianki o ważniejszych artykułach dziennikarskich oraz spis treści czasopism peryodycznych. Brak jedynie tytułów publikacyi t. z. »nielegalnych«, choć one są lepiej znane panom z Komitetu, niźli komu innemu! Ha, nie od razu Kraków zbudowano. Nie dano też Rosyi konstytucyi w europejskiem znaczeniu tego wyrazu... Dlaczego jednak ma stąd cierpieć niemająca niczego wspólnego z »niebezpieczeństwem państwowem« nauka, tego chyba mędrcy z »Komitetu« nie potrafią wytłumaczyć.

Dr. St. Zdz.

Materiały do istorii ukrainśkoji Kozaczczyny, wydani pid zahalnoju redakcijeju Mychajła Hruszewskoho. Tom I. Dokumenty po rik 1631 zibraw i wydaw *Iwan Krypiakewycz*. (Żereła do istoriji Ukrajiny-Rusy, wydaje archeograficzna Komisia Naukowoho Towaristwa im. Szewczenka. Tom XIII). Lwów 1908. (8-ka, str. XI, 46 i 408).

Jak się dowiadujemy ze słowa wstępnego, w pracach Komisyi archeograficznej nastąpił zwrot poważny. Dotychczas bowiem w zakres przedsiębranych przez nią wydawnictw wchodziły niemal wyłącznie materyały, odnoszące się do bytu ekonomicznego i życia społecznego Ukrainy zachodniej. Na przyszłość zaś komisya postanowiła zająć się przedewszystkiem historyą polityczną Kozaczyzny. Wprawdzie nie będzie zamknięty przystęp do publikacyi »Źródeł« dla materyałów ekonomicznych, jednakowoż pierwszeństwo pozostanie przy historyi politycznej Ukrainy. Plan taki zasługuje na uznanie ze wszech miar, bez dokładnego bowiem zbadania życia politycznego niepodobna pisać o rozwoju kulturalnym czy ekonomicznym narodu. Główny zaś nacisk będzie położony na wydanie »Corpusu« takiego od wieków najdawniejszych do wieku XVIII włącznie. Że przedsięwzięcie musi ciągnąć się szereg lat, na to niema rady.

Na tom, wydany obecnie, złożył się tylko materyał, wyciągnięty z pyłu trzech bibliotek galicyjskich. Najstarszy dokument pochodzi z roku 1531. Pod względem cyfrowym — do pierwszej połowy wieku XVI odnosi się 16 aktów, do drugiej połowy XVI wieku 55, reszta zaś w liczbie 162 pochodzi z pierwszego trzydziestolecia wieku XVII. Mamy tedy: listy królewskie do Kozaków, listy i nakazy hetmanów wojska kozackiego, uniwersały królewskie, instrukcye sejmikowe, dyaryusze sejmowe, korespondencyę dyplomatyczną i t. p.

Tom cały został poprzedzony rozprawą wydawcy p. t. »Kozaczyzna i swobody Batorego«, jako pendant do wydrukowanej tutaj słynnej hramoty Batorego w sprawie przywilejów kozackich. *s-i.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pocieszający objaw

Redakcya wychodzącego w Krakowie czasopisma *Łan młodzieży, dwutygodnik kształcącej się młodzieży polskiej,* rozpisała w grudniu zeszłego roku ankietę na temat, jaki jest ideał polskiego studenta względnie polskiej studentki. Ankieta przyniosła dodatni wynik; odpowiedzi napływały ze wszystkich stron Polski, z emigracyi, z gubernii permskiej nawet. Niektóre z nich odrzucono, gdyż były zbyt jednostronne lub powierzchowne, mimo to zebrało się czterdzieści z górą prac, które *Łan młodzieży* obecnie kolejno ogłasza.

Nie naszem zadaniem, zająć się obszerniej całością ankiety i wyciąganiem z niej wniosków, choć takie studyum mogłoby być wcale ciekawem. Jedna tylko nuta i jeden objaw zasługują, naszem zdaniem, w zupełności na to, by na nie zwrócić uwagę. Są to głosy, które określają stanowisko polskiego studenta czy studentki wobec religii.

Z temi zapatrywaniami, można się mniej więcej zgodzić. Mniej więcej, gdyż nie wszędzie i nie zawsze jest ten stosunek konkretnie oświetlony; jest on czasami zaznaczony trochę teoretycznie i abstrakcyjnie, czasami znowu trochę niejasno i z pewnem zamieszaniem pojęć — dobra wola jednak w tem wszystkiem przebija, a to już wiele.

»Osią, — pisze jeden w numerze z 1 kwietnia — dokoła której obraca się całe życie ludzkie, jest uczucie religijne [1]. Niema człowieka, któryby nie wyznawał jakiejś religii, gdyż natura ludzka szuka Boga, aby Mu złożyć swą ofiarę. Wiara w Boga prawdziwego i uczucia religijne, przez Niego sąmego nam przekazane, dają nam spokój wewnętrzny i zadowolenie, jeśli tylko tych przykazań ściśle się trzymamy. Nie należy się więc dziwić, jeżeli wychowawcy nakazują dziecku od modlitwy rozpoczynać swą naukę i pracę, do której go Bóg stworzył... Od ucznia, względnie uczenicy Polki, wymaga się przyswojenia sobie... (także) religii. Nauka religii kładzie fundament pod życie uczciwe. Wiernie trzymali się nasi ojcowie religii katolickiej i ku jej obronie wiele krwi w walce z poganami przelali. Ta stałość religii i trzymanie się praw Bożych, do dziś u nas pozostała, bo też wiedzą wszyscy, że ‚Bóg sam może świat zniszczyć i drugi wystawić, a bez naszej pomocy nie może nas zbawić'«.

Inny znowu pisze w zeszycie z 15 kwietnia: »Jak mylnem jest mniemanie, jakoby nauka miała odwracać od Boga i religii, dowodzić chyba nawet nie potrzeba. Zarzut ten po części ściągnęli na naukę ludzie złej woli, którzy, ponieważ im zawadzała etyka i moralność chrześcijańska, zwrócili się do nauki, aby jej nadużyć jako broni przeciwko religii i usprawiedliwić swe odstępstwo. Z drugiej strony może wiarę stracić łatwowierna osoba o niewytrawnym sądzie, która idzie na lep pierwszego lepszego paradoksu pisarza antyreligijnego, który jej nie pozwolił odeprzeć zarzutów religii czynionych. Owszem myśl, nauka, tylko wiarę pogłębia i silne podstawy jej daje«.

Prawie programowo rozwija swoje na tę kwestyę zapatrywania inny młody autor w zeszycie z 15 maja a jego wywody zasługują na tem większe uznanie, że poruszają myśli i mówią słowa prawdy, które zwykle padają z ambony lub z konfesyonału,

---

[1] Wyrażenie »uczucie religijne«, wzięte w kontekscie, robi na nas wrażenie raczej niejasnego oddania pojęcia, aniżeli upatrywania istoty religii tylko w uczuciu religijnem.

rzadziej z pisma lub książki a najrzadziej pewnie z młodzieńczego, gorącego serca.

»Wiara stanowi podstawę doskonałości tak, że mówiąc o ideale ucznia polskiego wystarczyłoby powiedzieć o jego religii; młodzieniec prawdziwie wierzący będzie z natury swej idealnym Polakiem. — Ale wiara ta powinna być żywa i czynna. Dzisiaj szczególnie wśród studentów niezmiernie mało jest takich, którzy z wiary czerpią siłę i wytrwałość w pracy nad sobą i którzy wiary się nie wstydzą. Dzisiaj jest to mniemaniem ogólnem, że nauka z czynną wiarą zgodzić się nie może, a praktyki religijne są w powszechnej prawie u ludzi nauki pogardzie. Stawiać wierze coraz wyszukańsze zarzuty jest rzeczą modną i imponującą szczególnie wśród kształcącej się młodzieży, a w najlepszym razie w parze z kształceniem umysłu stoi zupełny indyferentyzm religijny. Młodzież nasza może nie tak łatwo i prędko, ale przecież ulega zgubnym wpływom szerzącego się ateizmu. Ten prąd może najbardziej smucić, bo on podmywa fundamenta naszego duchowego rozwoju. — Więc idealny uczeń tem się od innych wyróżnia, że wierzy z pokorą, wiary swej nie wystawia na publiczny widok jak faryzeusz, ale się jej nie wstydzi; wiara nie jest u niego martwą literą na paszporcie, lecz ta wiara podnosi go i doskonali. Idealny polski uczeń nie waha się w towarzystwie stanąć w obronie swej wiary, gdy ją atakują. Może zresztą ma niejeden siłę na to, żeby wbrew opinii się oświadczyć, ale rzadko kto potrafi na najprostszy zarzut odpowiedzieć. Nic dziwnego, bo wykształcenie religijne stoi w dzisiejszych szkołach najniżej; przecież kształcenie charakteru powinno w szkołach postępować równolegle z kształceniem umysłu, tymczasem w gimnazyum naprzykład poświęca się drugiemu kierunkowi godzin 28, a pierwszemu 2 na tydzień. Czyż nie z tym większym zapałem powinna się młodzież do tej nauki religii garnąć? Tymczasem któż widział uczyć się kiedy religii! Są uczniowie, którzy przez całe wyższe gimnazyum książki z zakresu nauki religii nie mieli w ręce. Skądże więc czerpie młodzież wykształcenie religijne, najpotrzebniejsze w życiu? Może z czytania odpowiednich książek? Gdzietam! Niech mi kto wskaże studenta, który przez cały czas studyów gimnazyalnych

przeczytał jedną tylko książkę, mogącą wiarę jego ugruntować. Znajdzie się taki jeden na stu. Jeżeli pogłębia się inne nauki, a religia zostanie za niemi w tyle, nic dziwnego, że słaby nawet wicher obali to drzewko wiary, które tak płytko korzenie swe zapuściło. Co więcej dzieła przeciwne religii czyta wielu. Jasnem jest, że umysł studenta chwyta zarzuty, stawia rozmaite pytania, na które z powodu braku najelementarniejszych podstaw wykształcenia religijnego odpowiedzieć sobie nie umie. – Smutne to fakta i potrzeba gwałtownie przykładów młodych; kolega wierzący i praktykujący więcej może zdziałać, niż najgorętsze nauki katechety. Student wierzący powinien życiem swem stwierdzać, że w doskonałości znajduje rozwiązanie wszystkich życiowych zagadek. Wiarę traci młodzież najczęściej nie z powodu jej rzekomej niezgodności z rozumem, lecz dlatego, że wola każe się pozbyć tego, co nakłada na nią jakiekolwiek moralne obowiązki. Łatwo przejmujemy najskrajniejsze nawet filozoficzne systemy dlatego, że ich uznanie nic nas nie kosztuje, nie pociąga za sobą żadnych konsekwencyi w stosunku do życia. – Wiara każe nam być dobrymi, każe nam pracować i modlić się, każe pozbyć się pychy i egoizmu, a oddać się w pokorze ducha na usługi braciom, — i to właśnie odstręcza od niej wielu leniwych. Wśród młodzieży już niestety rozpowszechnione są różne nałogi, które tak nieraz opanowują biedną duszę, że woli ona wiarę odrzucić, sumienie podeptać, niż pozbyć się pychy lub rozkoszy zmysłowych. I wtedy od razu nasuwa się olbrzymia ilość pozornych sprzeczności w wierze. Młodzieniec wierzący ma stawiać przed oczy upadłym, że najlepszą radą na odbicie zarzutów przeciwko wierze i znalezienie światła w ciemnej drodze życia, jest zrzucenie brudów duszy i usłuchanie wewnętrznego głosu nawołującego ku doskonaleniu. Kto za tym głosem pójdzie, będzie szedł ciągle w górę i w światło. Co do Mszy św. w niedziele np. trzeba zaprowadzać czytanie katalogu; a 3 spowiedzi na rok to jedne z najcięższych przejść studentów. Tymczasem chodzi tu o treść praktyk religijnych, które tak mało kto na prawdę wykonywać umie. Zwyczajnie rozpoczyna »intelligentny uczeń« od porzucenia codziennego bezmyślnego »klepania pacierzy«; może to nawet lepiej.

Praktyki religijne porzuca się często dlatego, że z formalnej tylko strony widziane wydają się rzeczywiście pozbawionemi treści. Ale na zawsze pozostanie przy nich ten, kto raz uczuje, że z nich czerpać można siłę i wytrwałość. Student polski powinien umieć obcować z Bogiem, patrzyć w Niego i przez to podnosić się wzwyż ku potędze, ku doskonałości«.

Poważne również zapatrywania na znaczenie religii w życiu głosi miesięcznik dla młodzieży z Królestwa *Prąd*, który w programowych artykułach zwraca uwagę na bankructwo wolnej myśli, co szczyciła się tem, że niezadługo przyjdzie czas, »kiedy będziem nie wierzyli, lecz wiedzieli«, a tymczasem poznała ku swemu przerażeniu, że to wszystko nie wystarcza i serca ludzkiego nie zaspokaja. Stąd świadomy lub nieświadomy, lecz coraz większy zwrot do religii wogóle a do katolicyzmu w szczególności.

Jakie w tym ruchu jest zadanie młodzieży? »Obecnie — pisze *Prąd* — młodzież w masie swej daleką jest jeszcze od zajmowania się ideałami religijnymi; jednak i w tym kierunku daje się już zauważyć pewna zmiana na lepsze, a niekiedy spotyka się już nawet jednostki, oryentujące się w sytuacyi i pragnące przygotować się należycie do nowych zadań, jakie obok dawnych i już dobrze znanych ukazują się na horyzoncie życia umysłowego i społecznego«.

Zadaniem młodzieży, według *Prądu*, będzie pamiętać o tem, że religia to życie i że nią winna być przesiąknięta i na niej oparta działalność w sferze rodzinnej, politycznej i społecznej,— innemi słowy: »Każdy katolik to żołnierz Chrystusowy, nie tylko w słowie, lecz przedewszystkiem w czynie i w życiu«. Religia w czynie i w życiu, to nie tylko własne doskonalenie się na wierze i jej zasadach oparte, to także apostolstwo przejawiające się czy to w formie pracy naukowej czy to w działalności wychowawczej, czy to w ekonomicznej, bardzo obecnie ważnej, czy wreszcie w jakiejkolwiek innej, apostolstwo, które »nie burzy lecz buduje, nie dzieli lecz łączy, nie poniża lecz podnosi«.

To apostolstwo powinno się już na ławie szkolnej zacząć. Gorąco i szczerze rozwija *Prąd* myśl, jak do tego apostolstwa się przygotować i podobnie jak *Łan młodzieży* stawia jako naj-

ważniejszy postulat większą i głębszą znajomość religii i apologetyki; nietrudno już wówczas będzie siebie udoskonalić, drugich pociągnąć, uprzedzenia rozwiać i dla społeczeństwa wydatnie pracować.

Jest w tych zapatrywaniach *Prądu* — swoją drogą nie zajmujemy się tu całym programem, lecz tylko tym, który bezpośrednio do religii się odnosi — i w poglądach *Łanu młodzieży* dużo idealistycznego optymizmu, i sporo jeszcze pewnie upłynie czasu, nim przepaść rozdzielająca teoryę od praktyki się wyrówna— w każdym razie są te wynurzenia pocieszającym objawem. Uczciwe słowa, które z łona młodzieży padają, młodzież łatwiej zrozumie i prędzej przyjmie, bo nieufność nie przesłoni jej bystrości wzroku. Fakt, że tak jasno i bez ogródek wypowiedziano pogląd na najważniejsze sprawy życia, jest już wielkim krokiem naprzód na drodze odrodzenia. Łączy się i organizuje młodzież zagraniczna na podstawie zasady katolickiej lub pozytywnie chrześcijańskiej,— ufać wolno, że i dla ogółu młodzieży polskiej przyjdzie prędzej czy później ta tak gorąco pożądana chwila.

Niewygodne wyznania

»Walka religijna, pisał niedawno austryacki socyalista, dr. Renner, w czasopiśmie *Der Kampf,* jest zajęciem wyłącznie mieszczańsko-liberalnych stronnictw; walka jedynie klasowa jest udziałem socyalistów, dla których religia tworzy istotnie rzecz prywatną«. Tak głosili zawsze socyaliści, tak też i dziś głoszą często z pośród katolików ci, którzy nie rozumieją socyalizmu w jego obecnej formie, w jego przywódcach i zasadach. Ostatnie tygodnie przyniosły jednak z obozu socyalistycznego autentyczną deklaracyę, wykazującą, jak stronnictwo socyalistyczne zasadę: »religia jest rzeczą prywatną«, rozumie.

Skutkiem zamieszania, jakie w politycznych partyach włoskich panuje i które wszelką wydatną pracę uniemożliwia, spodziewały się niektóre chrześcijańskie koła we Włoszech, żyjące z dala od całego ruchu i zapatrujące się dlatego na stronnictwa liberalne i socyalistyczne przez różowe szkiełka oderwanych teoryi i idealistycznych frazesów, jeżeli już nie ratunku, to przynajmniej pewnej pomocy w zrealizowaniu ekonomicznego programu. Tak,

między innymi, sądzili też »chrześcijańscy socyaliści« z obozu ks. Murri'ego, którzy zwrócili się do zarządu socyalistycznego w Rzymie z prośbą o przyjęcie ich do partyi, zaznaczyli jednak, że jak dawniej, tak i teraz stać pragną na podstawie pozytywnego chrześcijaństwa. O ile ta propozycya pogłaskała z jednej strony miłość własną i zadowolniła uczucie próżności, o tyle z drugiej była bardzo niewygodną, gdyż zmuszała do wypowiedzenia się i zajęcia określonego stanowiska.

Stanowisko to określono na zgromadzeniu zarządu w Rzymie 7 lipca. Dwóch socyalistów, skłaniających się do reformizmu, Bidoli i Pignatari, było za przyjęciem, ponieważ »religia jest u socyalistów rzeczą prywatną a trwanie przy podstawowych zasadach socyalizmu jest poręczone kontraktem przyjęcia ‚socyalistów chrześcijańskich', niema więc żadnej przeszkody, aby w poczet stronnictwa zaliczyć ludzi, którzy należeli do chrześcijańskiej demokracyi a którzy swoje przekonania socyalistyczne wywodzą ze swoich indywidualnych przekonań religijnych«.

To zapatrywanie zostało odrzucone i wszystkimi głosami przeciwko jednemu przyjęto następujący wniosek: »Zarząd partyi socyalistycznej, powołując się na tradycyę socyalistycznej propagandy, która razem z zasadami ekonomicznemi rozszerzała równocześnie i zasady filozoficzne socyalizmu, oświadcza, że nie może należeć do partyi ten, kto głosi zapatrywania sprzeczne z temi, które dotychczas towarzyszyły ruchowi socyalistycznemu proletaryatu i które partya dotychczas głosiła i nadal głosić będzie; zarząd nie zgadza się dlatego na przyjęcie do stronnictwa osób, które chcą szerzyć socyalizm chrześcijański lub wogóle oparty na jakiejkolwiek podstawie religijnej«.

Tak więc stwierdził sam zarząd, że »filozoficzna podstawa« socyalizmu stoi w oczywistej sprzeczności z zasadą chrześcijańską a »filozofia« socyalistyczna nie da się pogodzić z chrześcijańską nauką. To zapatrywanie zarządu będzie miało ten dobry skutek, że niejednemu otworzy oczy. Od siódmego lipca nie tylko katolicy, ale i socyaliści muszą przyznać, że katolik i wogóle człowiek wierzący nie może być socyalistą.

Podobnie niewygodnym dla stronnictwa socyalistycznego był

także występ Adolfa Elma w *Sozialistische Monatshefte*. Jesteśmy już przyzwyczajeni do tego, że słyszymy ciągle o absolutnej jedności panującej wśród stronnictw socyalistycznych, o wolności zdania, której nikt nigdy nie narusza i t. d. Elm oskarża tymczasem socyalistów o nietolerancyę i niezgodę a wodzom socyalistycznym rzuca w oczy zarzut, że uważają się za nieomylnych, brutalnie stłumiają wszelkie odmienne zapatrywania i z fanatyczną namiętnością zwalczają się wzajemnie.

»Z kultu dla własnych osób, który to zarzut każdy z nich wprawdzie z oburzeniem odeprze, ale który mimo to w tysiącach głów pokutuje, wypływają wstrętne walki, toczone pozornie dla zasady, w gruncie jednak w obronie osobistych zapatrywań. Każde odmienne zdanie piętnuje się od razu jako naruszenie zasady i zwalcza z nietolerancyą, niezrozumiałą wprost między ludźmi, zdążającymi do tego samego celu. Wielka radość powstaje wśród tych stróżów zasad, gdy pojedynczy członek przeciwnego kierunku zejdzie na bezdroża; bez litości rzuca się za to odpowiedzialność na cały kierunek, wówczas nawet, gdy właśni towarzysze przeciwko temu błędnemu krokowi wystąpią. Stróże zasad nierzadko też nie bardzo im się nadające zapatrywania przemilczają, tak że wyjaśnienie kwestyi, przedewszystkiem w polemikach dziennikarskich, jest uniemożliwione. W gorączce walki podstawia się nawet przeciwnikom nieszlachetne motywa«.

Nie kładlibyśmy takiego nacisku na to drugie wyznanie, bo i w innych stronnnictwach politycznych podobne objawy spotkać można, lecz te stronnictwa nie przypisują sobie monopolu wolności. Te dwa wynurzenia, płynące z czerwonego obozu, wykazują raz jeszcze, że odmiennemi drogami idą: teorya i praktyka.

W jakim celu?

Po najodleglejszych zakątkach Krakowa połyskują z murów i parkanów kolorowe afisze z bijącym w oczy napisem: »Zbrodnia w klasztorze«. To pewnie *Naprzód* lub *Prawo ludu?* Im z tem do twarzy! Nie! to *Gazeta powszechna*, organ stronnictwa ludowego i wiceprezesa Koła polskiego w Wiedniu, p. Stapińskiego, przypomina ludowi epokowy fakt, popełnioną przed czterdziestu laty w klasztorze Karmelitanek w Krakowie

»zbrodnię« na Barbarze Ubryk. Nam się zdawało, że polska prasa, ta przedewszystkiem, która chce za poważną uchodzić, ma dziś wobec tylu gromów, na biedny nasz kraj zewsząd spadających, inne zadania, aniżeli judzić, podburzać i z przeszłości naszej wywłóczyć chwilę, która tę przeszłość plami, bo *Gazeta powszechna* wie z pewnością dobrze, ile w całej tej »zbrodni« było prawdy i po czyjej stronie była istotna wina.

Potępilibyśmy bez zastrzeżeń i bez ogródki każde pismo katolickie, które bez celu, bo tylko dla senzacyi, dla szerzenia nieufności i niezgody i dla zwrócenia na siebie uwagi, przypomniałoby stronnictwu ludowemu bolesne chwile z końca drugiej połowy ubiegłego wieku. Potępilibyśmy to, choć to smutna, nie pozorna, lecz istotna prawda, bo jedynem każdego prawego człowieka życzeniem jest, wymazać te chwile z pamięci, wymazać je z naszej przeszłości dziejowej. Potępić też musimy, i jako katolicy i jako Polacy, dziennik, wydawany dla stojącego, mimo wszelkich wichrzeń i usiłowań, wiernie przy Kościele ludu, a przypominający również tylko dla senzacyi, dla szerzenia nieufności i niezgody i dla zwrócenia na siebie uwagi, nie prawdziwą, lecz fałszywą »zbrodnię«. Współpracownicy *Gazety powszechnej* zasłużyli sobie wprawdzie podobnem wystąpieniem na poklask ulicy i bezmyślnego tłumu — nie zazdrościmy im jednak tego, poświęceniem godności własnej i poświęceniem etyki dziennikarskiej, okupionego tryumfu.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z ruchu kobiet katolickich w Anglii.

Silnie rozwijający się ruch katolicki w Anglii objawia się nie tylko w ciągłym wzroście liczebnym nawróconych, ale i w stałych zorganizowanych formach działalności.

Kościół katolicki roztropnie unika chwalenia się swymi tryumfami, nie wysuwa nazwisk rozgłośnych swych wyznawców wtedy, gdy tego jedynym owocem byłoby rozdrażnienie anglikańskiej sekty. Ale gdy zachodzi rzeczywista potrzeba, umie wiara katolicka zaznaczyć

swoją siłę. Zeszłoroczny Kongres Eucharystyczny był tego wymownym dowodem: powaga takich ludzi jak ks. Norfolk i wspaniałość tych dni uroczystych dały blask niezwykły Kongresowi. Zakaz publicznej procesyi z Przenajśw. Sakramentem, wywołał oburzenie nie tylko u katolików, ale u różnowierców jako naruszenie — wolności! Okazało się dowodnie, że wszystkie dawne prawa z czasów prześladowania są już przeżytkami, że ze strony rządu i opinii publicznej nic wzrostowi Kościoła katolickiego nie może stanąć na przeszkodzie. Co więcej, w jednym odłamie anglikanizmu coraz więcej się zaznacza tendencya zbliżenia się do form »Rzymskiej Wiary« — Kościół wyższy *High-Church*, przyjmuje wielkie mnóstwo obrzędów katolickich, utwierdza przeświadczenie o potędze modlitwy, zaprowadza żywy różaniec, pilnuje życia duchowego przez rozmyślanie, ofiarę mszalną. W jednym z niedawnych numerów *Przegl. Pow.* czytaliśmy o tem szczegółowe sprawozdanie w dziale »Sprawy Kościoła«. Dzisiaj chcemy kilkoma wiadomościami o ruchu kobiet katolickich podzielić się z czytelnikami *Przeglądu*.

Gdy księżna Norfolk w imieniu swych sióstr współwyznawczych składała u stóp Piusa X wspaniały kielich i liczne dary z szat pontyfikalnych, papież mógł śmiało powiedzieć: krzyż Chrystusa zajaśniał nad Anglią w pełni zwycięstwa: bo oto matki w rodzinach swoich budują mu fundament z serc dzieci — z przekonań własnych — z mocy, woli mężów i braci dla wiary prawdziwej zdobytych!

Katolickie kobiety angielskie obecnie przystąpiły do zorganizowania swej pracy zewnętrznej, społecznej, zakładają Ligę Katolickich Kobiet, pod protektoratem arcybiskupa z Westminsteru.

The Catholic women's League, założona w r. 1907, bardzo szybko się rozrosła pod hasłem: Miłość, Praca, Wierność. Szeroko rozrzucone broszury obznajamiają z jej zadaniem zorganizowania kobiet katolickich, a to dla uniknięcia straty czasu, przepracowania i osamotnienia, powiększenia wpływu, znaczenia pracy społecznej w duchu katolickim, wyzyskania praw istniejących, zdobycia nowych i potrzebnych zmian w ustawach.

Liga zaczęła prace swoje od założenia Biura informacyjnego dla celów następujących:

1. Zebrania przeglądu i spisu dobrowolnych i chętnych pracownic dla miłosiernej i społecznej pracy w duchu katolickim.

2. Utrzymania przeglądu dzieł i prac przystępnych dla kobiet

katolickich, i dawania wskazówek w celu przygotowania się dla tego celu.

3. Dawania informacyi w sprawach wychowania, przygotowania do poszczególnych zawodów i prac społecznych.

4. Zbierania i uporządkowania dat dotyczących Kościoła i Stowarzyszeń miłosiernych i społecznych, oraz śledzenia innych niekatolickich stowarzyszeń, gdzie jednakże katolicy powinni być reprezentowani.

Dalsze cele Ligi są:

Urządzać kursa, konferencye i dyskusye dla wyświecenia kwestyi filozoficznych, historycznych, społecznych, ekonomicznych, literackich. Zakładać nowe koła Ligi na prowincyi, gdzie się tylko okaże możliwość tego.

Liga wyklucza wszelkie kwestye polityczne; jej celem nie jest zakładanie nowych dzieł miłosierdzia, ale raczej stworzenie komunikacyi pomiędzy istniejącemi już formami działalności katolickiej, dla powiększenia jej wpływu i potęgi.

Liga żąda od członków swoich:

1. Ażeby wszyscy modlili się o powodzenie idei przewodniej Ligi, starali się o przejęcie jej hasłami.

2. Ażeby pracowali nad rozszerzeniem i ugruntowaniem solidarności między swymi członkami, uświadamiając sobie jasno, że każde położenie ma swoją sferę użyteczności i wpływu, którą należy wyzyskać dla umocnienia wiary w Anglii.

3. Powiększania znajomości wiary u siebie i u innych; wyzyskiwanie najmniejszych choćby zdolności w tym celu, wreszcie wspomaganie materyalne celów Ligi jest też obowiązkiem członków.

W przeciągu roku bieżącego Liga okazuje ogromny rozrost; największym tego dowodem, to praca Biura Informacyjnego zwiększona tak bardzo, że musiano postarać się o inny odpowiedniejszy lokal, oraz oglądnąć się za pomnożeniem funduszów. Wydatki Ligi wzrosły o 100 f. st. t. j. o 2400 K. w porównaniu z r. 1908.

Ilość zaś żądanych informacyi wzrosła w takim stosunku, że przez 18 pierwszych miesięcy istnienia Biura wynosiła 800 numerów; zaś przez 3 miesiące: marzec, kwiecień, maj 1909, udzielono 290 odpowiedzi. To też obecnie proponują podniesienie wkładki z 1 sh. (1 K. 20 h.) do 5 sh., zostawiając to jednak dobrej woli członków Ligi. Co do prac Ligi zaznaczyć należy rozwój jej. Na prowincyi powstały nowe oddziały w Bath, Boscombe, Bowinemoth, Brighton, Clifton,

Manchester. Wszędzie odbywają się konferencye i odczyty, zaś potrzeby miejscowe oryentują działalność praktyczną członków. *The Band of Voluntary Wodkers* oddaje przytem wielkie usługi proboszczom parafii katolickich, wspomagając poszczególne działy miłosierdzia lub też spełniając dzieła misyjne tam, gdzie kapłan dotrzeć nie może. Dla ożywienia pracy umysłowej Liga rozpisuje konkursa na dany temat; jedna z pań ofiarowała znaczny fundusz jako premię dla nagrodzonych prac. W konkursie brały udział nie tylko Angielki europejskie, ale i wychowanki szkół indyjskich. Temat dotyczył: Postępu ruchu kobiecego za panowania królowej Wiktoryi; prace nagrodzone były drukowane w organie Ligi *The Crucible*. Jest to kwartalnik, który zajmuje się sprawami wyższego wykształcenia kobiet i zarazem informuje o życiu Ligi i daje krótkie notatki o ruchu kobiecym. Jest to pismo małe rozmiarami, ale pełne wartości i szczerze należy je popierać dla wielce ciekawej treści. (Adres Administracyi: The Editor 89 Woodstock Road, Oxford. 1 s. 3 d. za jeden numer).

Dowiadujemy się z ostatniego numeru z 20 czerwca 1909 r. o wspaniałem zebraniu dorocznem Ligi odbytem w lutym 1909 r., oraz czytamy wyjątek z przepięknej odpowiedzi Ojca św. na adres przesłany przez *Catholic Women's Union:* »Mężczyźni apostołować mogą w parlamencie i pracy publicznej — kobietom zarezerwowana działalność miłosierna i apostolstwo domowe. Ale przytem muszą w czasach dzisiejszych posiadać wiarę oświeconą, by wychować synów, a mężom być towarzyszką, społeczeństwu podporą« ...

Długo przed zawiązaniem Ligi kobiety katolickie Anglii brały czynny udział w pracy społecznej. Jedną z jej form to są *setllements'y*. Jak wiadomo początek dał im Alfred Toynbee, wykazując dowodnie, że dopiero współżycie z ubogimi mieszkańcami na pół zdziczałych przedmieść Londynu może skutecznie wpłynąć na ich podniesienie moralne. Takie osiedlanie się czasowe rezydentek wprowadza osoby należące do klas zamożnych w ten osobny świat, który stanowi kontrast niezwykle ostry z bogatemi dzielnicami Londynu. Kobiety protestanckie wiele w tej mierze położyły już zasług, ale i katoliczki wzięły się do tejże pracy z zapałem i wytrwałością zarazem. Obecnie jest sześć takich setllement'ów katolickich. Pani X. de Beauriez w bardzo pobieżnych szkicach swoich z Londynu p. t. *Quelques pages sur le mouvement catholique chez les femmes en Angleterre*, wprowadza nas do »rezydencyi«, którą zamieszkuje większą część roku księżna-wdowa Newcastle z sześciu innemi paniami, które nie zrywając ze światem

są jednak nawpół już oddane życiu wyrzeczenia się, ofiary. Dom księżny jest jak ul pszczelny — dziewczęta różnych zawodów, podzielone na dwie kategorye towarzyskie, zbierają się w obszernych salach, gdzie godziwa rozrywka, czytanie, muzyka, to znowu kursa kucharstwa, kroju i szycia kształcą i podnoszą tę młodzież, z ufnością i miłością spieszącą pod skrzydła opiekunki, dobrej księżnej, wabiącej uśmiechem słodkiej wesołości te niesforne często istoty.

W tej samej książce pani Beauriez znajdujemy też kilka wiadomości o Angielkach pracujących umysłowo, jak autorki. Wśród bardzo małej liczby nowych informacyi najciekawsza to wiadomość o znanej i u nas pobożnej i światłej zakonnicy Mother Mary Loyola du *Bar Convent* d'York. Wiele matek zna i korzysta z jej książek uczących »uczyć« religii dzieci. *The first Communion*, później *Home for God*, to źródło niewyczerpane ślicznych i wzniosłych myśli. Inna autorka świecka, pani Enuly Hiskey, poświęciła broszurę p. t. *Aux incroyantes*, Lady Talbot i inne, umieją gorącem słowem poruszyć serca: »Zaczynać i ciągle zaczynać!« — woła jedna z nich. — »Jakżeż długo?« »Dopóki usiłowania nasze nie zostaną uwieńczone powodzeniem« — brzmi odpowiedź zdecydowana.

I prawdziwie warto zakończyć na tem słowie, które może stać się hasłem każdej pracy szlachetnej.

M. Harsdorf.

Przegląd muzyczny.

(Trzeci międzynarodowy kongres muzyczny w Wiedniu — Józef Haydn).

Od 25—29 maja b. r. odbywał się w Wiedniu naukowy kongres muzyczny międzynarodowy z okazyi 100-letniej rocznicy śmierci Józefa Haydna. Oprócz naukowych odczytów i dyskusyi, które odbywały się w nowym uniwersytecie, gdzie obradowały pojedyncze sekcye w liczbie 13, urządził komitet (z prof. d-rem Gwidonem Adlerem na czele) szereg koncertów i przedstawień w operze, na które złożyły się dzieła J. Haydna, oraz M. Haydna (brata Józefa), J. I. Fuxa (1660—1741), G. M. Monna (1717—1750, jednego z poprzedników J. Haydna w symfonii), G. Muffata (1645—1704), J. Handla (Gallusa 1560—1591), O. Benevolego (1602—1672, twórcy mszy na 53 głosy!!!), J. J. Frobergera (1600—1667), A. Pogliettiego († 1683), J. Starzera (również poprzednika Haydna, 1727—1787), Pergolese'go i Palestriny. Prócz dwóch ostatnich wszyscy są kompozytorami, którzy bądź uro-

dzili się w Austryi, bądź działali tamże. Koncerty stały przeważnie na wysokości trudnego zadania; te zwłaszcza produkcye, któremi dyrygował Feliks Weingartner wzbudziły entuzyazm, przyczem zauważono, że wiele dzieł z dawnych czasów nie straciło bynajmniej na świeżości. Rozchodzi się jednakże tylko o to, aby wykonawcy przestrzegali właściwości stylistycznych i nie kierowali się uprzedzeniem. Podnieść należy piękną mowę prof. d-ra G. Adlera, wolną od balastu naukowego, a jednak pełną bardzo bystrych i podniosłych myśli; nie był to hymn, ale wyniki gruntownych badań i rozmyślań, ubrane w piękny, kwiecisty i wolny od patetycznych hyperbol styl. Ponieważ sekcye obradowały równocześnie, przeto oczywiście członkowie kongresu dowiedzą się dopiero ze sprawozdania o tem, co mówiono i czytano w tych sekcyach, w których nie mogli brać udziału. O sprawozdaniu napiszemy osobny referat. Obecnie pomówimy nieco o udziale Polaków w kongresie, oraz o doniosłem znaczeniu tego kongresu dla muzyki polskiej. Czynny udział w kongresie brali: ks. dr. Józef Surzyński (dyskusya nad akcydencyami w muzyce XV i XVI wieku), p. Alicya Simonówna (referat: »O tabulaturach lutnianych w król. bibliotece w Berlinie«, oraz dyskusya w sekcyi bibliograficznej i lutnianej), dr. Zdzisław Jachimecki (referat o wpływach włoskich na muzykę polską między r. 1580 i 1620, nadto obrady w międzynarodowej komisyi dla wydania *Corpus scriptorum de musica*), dr. Adolf Chybiński (referat: »Rozwój muzyki polskiej w XVI stuleciu« oraz obrady w sekcyi bibliograficznej i lutnianej), p. Henryk Opieński (dyskusya w sekcyi lutnianej) i p. Czesław Linda-Lipaczyński z Warszawy (odczyt— jeden z trzech zapowiedzianych). Odczyty te w skróceniu ukażą się w *Kongressbericht*, odczyt zaś p. Chybińskiego w *Riemann-festschrift*, *in extenso* wraz z pracą p. H. Opieńskiego o lutniście Jakóbie Polaku z XVII wieku. Z odczytów polskich dowiedział się świat zagraniczny o stanie i rozwoju muzyki polskiej od XV—XVII wieku. Zainteresowanie musiało być wielkie, gdyż jeden z wielkich uczonych prof. dr. Johannes Wolf, (Berlin), wyraził wdzięczność i uznanie dla polskich historyków muzyki, że podjęli pracę równie trudną jak i wdzięczną, gdyż pracę nad renesansem dawnej muzyki ojczystej. Polacy wzięli udział w posiedzeniach sekcyi bibliograficznej i lutnianej. Są to sekcye, których zadanie jest nawskróś organizatorskie w celach udogodnień dla wspólnej pracy naukowej. Sekcya lutniana postanowiła zbierać materyał dla wydania bibliografii lutnianej od najdawniejszych do najnowszych czasów i czynić jak najdalej idące poszukiwania nad

tabulaturami, o których istnieniu świat naukowy z jakichkolwiek względów (np. braku bibliotecznych katalogów drukowanych) nie wie. Sekcya obrała komisyę dla poszczególnych krajów; terenem działania pana H. Opieńskiego i p. A. Simonówny jest Królestwo Polskie, zaś pana A. Chybińskiego, Galicya. Od lat kilku istnieje międzynarodowa bibliograficzna komisya, do której należą wybitni uczeni historycy i bibliografowie muzyczni, jak dyr. dr. Kopfermann, dr. H. Springer, dyr. Ch. Malherbe, dr. Ecorcheville, dr. J. Mantuani, dr. G. Prodhomme, J. Tiersot, dyr. Barcley-Squire, dr. Sonneck i t. d. Sekcya obradowała nad wydaniem monumentalnej kilkudziesięciotomowej bibliografii muzycznej, od najdawniejszych do najnowszych czasów, dotyczącej zarówno rękopisów jak i druków. Mają być zinwentaryzowane muzyczne materyały bibliotek publicznych i prywatnych, archiwów państwowych, autonomicznych, kościelnych i t. d. Centralną siedzibą zebranych materyałów jest biblioteka berlińska.

Gdy materyał będzie przygotowany, wtedy ministerya oświaty wszystkich państw przystąpią do druku. Na wniosek d-ra Hermana Springera, powierzyła komisya d-rowi Adolfowi Chybińskiemu opracowanie polskiej bibliografii muzycznej. Oczywiście wiele trudności jest u nas w tym kierunku do zwalczenia, ale wytrwała praca może przynieść przy tej sposobności niespodzianki także dla historyka muzyki polskiej, nie tylko dla bibliografa. Przed kongresem obradowała komisya międzynarodowa dla wydania *Corpus scriptorum de musica*, do której między innymi należą: prof. dr. G. Adler, prof. dr. H. Kretzschmar, prof. dr. P. Wagner i inni. W naradach wziął udział także dr. Jachimecki. Mają być zaproszone Akademie Umiejętności dla wzięcia finansowego udziału i współpracownictwa w tej wielkiej publikacyi. Czy jednakże wszystkie Akademie udział ten przyjmą, jest wątpliwem, gdyż mimo wszelkiego zbratania się kongresowego, rywalizacye narodowo-polityczne nie dadzą się usunąć. Podczas kongresu omawiał prof. dr. Gwido Adler, któremu ministeryum oświaty powierzyło kierownictwo wydawanych przez min. *Denkmäler der Tonkunst in Oesterreich*, wraz z d-rem Zdzisławem Jachimeckim i d-rem Adolfem Chybińskim sprawę wydania dwóch tomów zawierających wyłącznie wybór najcelniejszych kompozycyi polskich od XIV wieku do połowy XVII stulecia i wstępy historyczno-krytyczne. Jest to dla muzyki polskiej sprawa o tyle doniosłego znaczenia, że wydawnictwo takie w naszych warunkach finansowych i osobistych, nigdy zapewne nie doszłoby do realizacyi. W każdym razie prof. Adlerowi należy się od społeczeń-

stwa polskiego wdzięczność za to, że dzięki jego inicyatywie historycy muzyczni polscy przedstawią światu materyał muzyczny, który da obcym możność poznania polskiej muzyki minionych wieków, oraz podniesie naszą kulturalną reputacyę wobec obcych.

Tylko niewielu mistrzów jubileusze obchodzono z takim spontanicznym zapałem i tak ogólnem zainteresowaniem, jak jubileusz Haydnowski w dniu 31 maja b. r., a więc rocznicę śmierci Haydna († 1908). Nie tylko kongres wiedeński był wyrazem hołdu dla nieśmiertelnego twórcy, który wywarł tak potężny wpływ na współczesną mu twórczość, a nawet na następców (Brahms). Świat cały, skojarzył swe sentymenty w jeden potężny hymn na cześć »papy Haydna«, a austryackie ministeryum oświaty zapoczątkowało pomnikowe wydanie zbiorowe dzieł Haydna, których tyle (i jakich!) leży w rękopisach, porozrzucanych po prywatnych i publicznych zbiorach wielu krajów. Znaczenie Haydna dla muzyki jest pierwszorzędne: zwłaszcza w muzyce symfonicznej i kameralnej, oraz w oratoryach i koncertach równa się ono znaczeniu Beethovena dla XIX stulecia, tego samego Beethovena, który nie wahał się raz postawić ponad sobą Haydna obok Bacha, Händla i Mozarta. Dziś, gdy skrajnie pessymistyczny pierwiastek pochłonął twórczą myśl muzyczną, gdy komponujący »młodzi« sądzą, że jest to dowodem głębi myśli, jeśli się usiłuje »wyrazić« muzycznie czarny »światopogląd« — dziś, wobec takich tendencyi niema jeszcze należytego zrozumienia dla sztuki Haydna i Mozarta, dwóch poetów słońca i radości, tych mistrzów, których możnaby nazwać geniuszami optymizmu w muzyce. Wspomniałem już, na czem polega znaczenie Haydna. Oprócz muzyki kościelnej i wybornych a pełnych dowcipu świeckich madrygałów, Haydn tworzył także opery. Najlepszą z nich jest »Aptekarz« *(Lo speciale,* 1768), wznowiony z niezwykłem powodzeniem w Wiedniu podczas kongresowych uroczystości. Wskrzesicielem tej opery w r. 1892 był dr. R. Hirschfeld. Sukces tegoroczny udowodnił nie tylko to, że »Aptekarz« jest zupełnie trwałem dziełem, ale i najlepszą operą Haydna. Inne są tylko dokumentami historycznymi. Haydna nazywano przez dłuższy czas »ojcem symfonii«. Dzięki nowszym badaniom (głównie Riemana) należy nieco zmodyfikować ten epitet, zresztą bynajmniej nie niezasłużony ze względu na geniusz symfoniczny Haydna. Miał H. poprzedników w dziedzinie symfonii, a byli to wiedeńscy i mannhejmscy symfoniści. Z pierwszych należy wymienić Monna i Starzera, z drugich zaś Stamitza, Richtera, Fascha i Cannabicha, u których znajdziemy wiele pierwiastków, właściwych także

symfoniom i kameralnym dziełom Haydna. Potęga twórcza tego ostatniego, przyćmiła jednakże niezaprzeczoną wielkość talentów Wiedeńczyków i Mannhejmczyków, którzy wprowadzili do symfonii efekt kontrastowania tematycznego, dynamicznego, wysubtelniony i przeprowadzony w najwyższym stopniu artystycznego wyrazu przez Haydna. Wypowiadany dość często sąd, jakoby Haydn wprowadził menuet do symfonii lub rozszerzył sonatową formę, jest również mylny. Wszystko to jednakże doprowadził po raz pierwszy do wielkiej doskonałości. Wraz z Mozartem posiada zasługę przygotowania Beethovenowi orkiestry symfonicznej, której technikę doprowadził do wielkiego rozkwitu, dając np. dętym instrumentom znaczny udział w tematycznem przeprowadzeniu i przenosząc prawo kontrastowania na wzajemny stosunek barw i grup instrumentalnych. Haydn uprawiał »muzykę dla muzyki«; jednakże nie tylko w absolutnej, lecz i w poetycznej, programowej muzyce ma Haydn swe wielkie zasługi i znaczenie. Dowodzą tego np. instrumentalne ustępy z oratoryów. Te ostatnie należą do najwybitniejszych od czasów Bacha i na równi z kilkoma symfoniami utrzymują się dziś jeszcze z niezachwianą siłą. Komuż nie są znane »Cztery pory roku« lub »Stworzenie świata«? Techniczne środki są już dla nas nieco naiwne, również jak ich zastosowanie, ale wrażenie jest niemniej silne. Koncerty fortepianowe, skrzypcowe i inne nie posiadają większej wartości ponad historyczną. Natomiast z 6 wiolonczelowych koncertów jeden, w tonacyi d-dur, zachował zupełną świeżość; jest »pełen wdzięku, świeżości i mistrzowskiego opracowania formy«. Obok oratoryów i symfonii, z których wiele zapomnianych zaczynają zagraniczni dyrygenci wznawiać, najwyższym jako kompozytor okazał się Haydn w swej kameralnej muzyce, zwłaszcza w kwartetach, z których wiele jest trwałą ozdobą zespołów kameralnych. Często bywają pojedyncze części powtarzane. Haydn doprowadził fakturę kameralną do najwyższej doskonałości. Ten dział kompozycyi jest u niego wyższy ponad wszelkie słowa zachwytów. Elegancya i spryt w traktowaniu każdego instrumentu, dowcip, swoboda, wyborne opracowanie — wszystko to kojarzy się u niego z niewyczerpanem bogactwem inwencyi, płynącej bez troski i wysiłku. Sonaty i waryacye fortepianowe są i dziś mimo pewnego zaniedbania bardzo popularne. Któż nie zna słynnych czterech sonat: c-dur, d-dur, a-dur i b-dur, oraz waryacyi f-mol, »które się gra jakby poezyą«?! Rubinstein wyraził się słusznie, że daje się je do grania małym dzieciom, »ale należałoby je polecić wielkim, dorosłym dzieciom do grania«; słowa te

odnoszą się do Mozarta, ale zastosować można je z całym spokojem i do Haydna. Prócz motetów, z »Requiem«, z »Te Deum«, offertoryów i t. p. tworzył Haydn także msze, z których najbardziej śpiewane są *Mariazeller Messe* i mniejsze msze. Nie posiadają one zbyt wiele kościelnego pierwiastku. Są na pół operowe, na pół świecko-liryczne, ale zarazem noszą na sobie cechy naiwności i bezpośredniości religijnie czującego twórcy.

Naiwność, szczerość, swoboda słoneczna, spokój, nawet romantyczne marzycielstwo, obok tego wesołość posunięta często do wyzbycia się wszelkiej konwencyonalnej układności, bardzo często dowcip i spryt wysłowienia się — oto cechy Haydna jako człowieka i jako genialnego twórcy.

Adolf Chybiński.

Konkursy Akademii Umiejętności w Krakowie.

Akademia Umiejętności w Krakowie przypomina dawniejsze, względnie ogłasza nowe konkursy.

1) Konkurs z zapisu ś. p. jenerała Oktawiusza Augustynowicza:

»Dzieje zniesienia zależności poddańczej i uwłaszczenia włościan w krajach, które niegdyś w skład byłej Rzeczypospolitej Polskiej wchodziły, poprzedzone historycznym poglądem na wytworzenie się klasy włościańskiej w dawnej Polsce, jej rozwój i stopniowy upadek, z uwzględnieniem wszelkich objawów tak w literaturze naszej, jak i w samem społeczeństwie, mających na celu polepszenie losu tej klasy«.

Temat powyższy rozdziela się na następujących pięć części:

1) Dzieje ludności włościańskiej w dawnej Polsce Piastowskiej, mianowicie w Wielkopolsce, Małopolsce, na Mazowszu, Kujawach i na Śląsku;

2) Dzieje ludności włościańskiej na Rusi i Litwie;

3) Dzieje zniesienia zależności poddańczej w krajach byłej Rzeczypospolitej, przyłączonych do cesarstwa rosyjskiego, z uwzględnieniem także Inflant i Kurlandyi;

4) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do Królestwa pruskiego, mianowicie w Prusach królewskich i w W. Ks. Poznańskiem; wreszcie

5) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do Cesarstwa austryackiego.

W części czwartej i piątej należy uwzględnić także Śląsk, jako integralną część Polski Piastowskiej.

W części pierwszej i drugiej, obejmującej historyę ludności wieśniaczej w dawnej Polsce, winny być dokładnie wyjaśnione fakty, z których wywiązała się zależność poddańcza, oraz stosunek wieśniaka do gruntu przezeń posiadanego, jaki istniał pierwiastkowo. Literaturę, odnoszącą się do kwestyi rozwiązania i uregulowania stosunków włościańskich, należy uwzględnić w trzech ostatnich częściach.

Temat powyższy może być opracowany bądź w całości, bądź też każda część osobno. Jednolite opracowania, bądź całego tematu, bądź też pierwszych dwóch lub trzech ostatnich części razem, przedewszystkiem zaś pierwszych dwóch razem, będą mieć pierwszeństwo do nagrody przed równie dobremi opracowaniami osobnemi pojedyńczych części.

Za najlepsze opracowania uznane będą tylko takie, które nie tylko celować będą między innemi pracami nadesłanemi, ale nadto będą odpowiadać dzisiejszym wymaganiom nauki.

Nagrody ustanawia się, jak następuje:

a) za część 1 i 2-gą po 2.000 K;

b) za część 3-cią 3.200 K;

c) za część 4-tą 2.400 K;

d) za część 5-tą 2.800 K.

Nagrodzone opracowania winny być ogłoszone drukiem. Na ten cel przeznacza się fundusz 2.600 K; gdyby ten fundusz nie wystarczał na pokrycie kosztów druku, autorowie winni pokryć nadwyżkę ze swego, w stosunku do objętości swoich prac.

Opracowania należy nadsyłać do Akademii Umiejętności najdalej do końca grudnia 1909 r.

2) Akademia Umiejętności ogłasza konkurs im. Lindego.

Do konkursu tego dopuszcza się prace z zakresu języka polskiego, a mianowicie: prace leksykograficzne z zakresu gramatyki, historyi języka i dyalektologii polskiej, oraz rozprawy odnoszące się do związku języka polskiego z innymi słowiańskimi. Prace te mogą być, według aktu fundacyi, drukowane lub też w rękopisie nadesłane do Akademii; powinny odznaczać się metodą ściśle naukową i każda ma stanowić zaokrągloną i skończoną całość.

Nagroda 675 rubli.

Termin konkursu 31 grudnia 1909 r.

3) Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem konkurs im. Józefa Majera na następujący temat:

»Monografia krakowskiej jury brunatnej«.

Nagroda wynosi 2.000 K.

Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1909 roku (Nr. Dz. pod. 156/08).

4) Akademia Umiejętności ogłasza niniejszem konkurs im. Mikołaja Kopernika a mianowicie:

a) »Opracować stosunki klimatyczne jednej z większych dzielnic Ziem polskich, albo porównać pod względem klimatycznym którąkolwiek z kolonii zamorskich, do których emigruje gromadnie ludność polska, z klimatem rodzinnym«.

Nagroda wynosi 1.200 K.

Termin konkursu 31 grudnia 1913 r. (Nr. Dz. pod. 388/07, 98/08 i 410/09).

Autor pracy uwieńczonej nagrodą zatrzymuje jej własność. Gdyby jednak w przeciągu roku od wypłacenia mu nagrody pracy uwieńczonej drukiem nie ogłosił, natenczas uczynić to może sama Akademia, ale autor traci prawo własności swej pracy na rzecz Akademii.

Zarówno autor, jak i Akademia, składają po cztery egzemplarze wydrukowanej pracy gminie miasta Krakowa.

5) Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem konkurs im. Czerwińskiego na napisanie »Historyi sztuki w Polsce«. Warunki konkursu są następujące:

1. Historya sztuki w Polsce ma uwzględnić wszystkie Ziemie dawnej Polski łącznie z Litwą i Rusią.

2. Powinna objąć czas od przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę aż po koniec stylu empire.

3. Ma być syntezą dotychczasowych badań na tem polu; samodzielnych rezultatów się nie wymaga, są jednak pożądane.

4. Układ i rozmiary dzieła pozostawia się autorowi.

5. Fotografii ani rysunków autor nie jest obowiązanym dołączyć do rękopisu.

6. Do konkursu dopuszczone mogą być prace zbiorowe, ewentualnie przez kilku autorów wykonane, jednakże jednolitej redakcyi.

7. Termin konkursu upływa z dn. 31 grudnia 1909 r.

Nagroda wynosi 1.000 rubli (Nr. Dz. pod. 2828/04, 119/08 i Nr. 390/09).

6) Akademia Umiejętności przedłuża niniejszem konkurs im. Juliana Ursyna Niemcewicza na dwa następujące tematy:

1. »Historya ustroju Król. Kongresowego« (1815—1830). Nagroda 2.500 franków.

Termin: 31 grudnia 1909 r.

2. »Historya obyczajów społeczeństwa szlacheckiego w Polsce w końcu XVI i na początku XVII w. w obrębie obranego terytoryum (co najmniej województwa) Rzeczypospolitej«.

Nagroda 2.500 franków.

Termin: 31 grudnia 1909 r.

Nagroda może być podzieloną na dwie, niekoniecznie równe części. (Nr. Dz. podaw. 2944/04, 120/08 i Nr. 391/09).

7) Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem konkurs z fund. ks. Adama Jakubowskiego na następujące dwa tematy:

1. »Historya ustroju Księstwa Warszawskiego«.

2. »Monografia jednej z wybitnych osobistości polskich z epoki porozbiorowej«.

Nagroda wynosi 1.400 K. i może być podzieloną na dwie, niekoniecznie równe części.

Termin konkursu 31 grudnia 1909 r. (Nr. Dz. pod. 121/08 i Nr. 392/09.

Druk ukończono 4 sierpnia 1909 r.

„CHŁOPI“ REYMONTA.[1]

I.

Kiedy w początkach prądu romantycznego około 1820 roku, literatura piękna zainteresowała się ludowością i użyła jej za materyał twórczych pomysłów, nie przypuszczano zapewne, że w przeciągu wieku lud w literaturze naszej posiędzie taką dużą i bogatą kartę. Ani Brodziński, wymyślając szereg zgrabnych figurek porcelanowych w »Wiesławie«, ani Mickiewicz, dekorując swe ballady mnóstwem obrazków ludowej fantazyi, nie docierali do głębin szarego życia tej warstwy społecznej. Zrozumienie roli jej po listopadowej rewolucyi skłoniło Wincentego Pola, naówczas jeszcze rzetelnego demokratę, do połączenia krajobrazu polskiego z wizerunkami ludu w »Pieśni o Ziemi naszej«; ale dopiero po roku 1840, kiedy w Wielkopolsce prawie się już dokonało uwłaszczenie, kiedy na Wołyniu i Podolu zaczęto o niem myśleć, dzięki żarliwej akcyi filodemicznej Konarskiego, w literaturze jeden z pierwszych Józef Ignacy Kraszewski ośmielił się proste dzieje duszy chłopskiej uczynić przedmiotem powieści. Ponieważ atoli i w »Ulanie«, i w »Budniku«, i w »Ostapie Bondarczuku«, i w »Jarynie« broni Kraszewski idei różnych praw do życia czy to u szlachty, czy u ludu, przeto tendencya wymagała pewnych zamilczeń, pewnych wyostrzeń konturowych rysunku; lud Kraszewskiego

[1] Wł. St. Reymont: »Chłopi«, powieść współczesna. I. Jesień. II. Zima. Warszawa 1904. III. Wiosna. Warszawa 1906. IV. Lato. Warszawa 1909.

ma się tak do rzeczywistego ludu, jak stylizowane kwiaty Wyspiańskiego mają się do rzeczywistych kwiatów. Sentyment i sympatya powieściopisarza sprawiły, że Ulana, marząca przy blasku księżyca lub Julisia, subtelna jak mimoza, stanowią rzadki wyjątek w swojej sferze. Wszelako i w powieści jak w poezyi tego czasu (1840—1850) chodziło o wyrównanie antagonizmów, o rozszerzenie praw i przywilejów obywatelstwa na miliony bezwolnego ludu, o wyjednanie nieodzownych ustępstw od szlachty; to też i dziwić się nie należy, że wzniośli w swych założeniach, szlachetni w swych uczuciach poeci i powieściopisarze, w tonie rozjemczym malowali lud, pragnąc dlań zjednać serca ogółu. Czy weźmiemy do ręki »Lalkę« Kondratowicza, napisaną w 1851 r., czy »Za służbą« Ujejskiego, gawędę z 1856 r., czy ludowe poematy Lenartowicza z »Lirenki« lub »Nowej lirenki« w tym czasie wydanej, — wszędzie spotkamy się z rozjemczem stanowiskiem poety, z nawoływaniem do zgodnej akcyi w narodowym duchu. O wiele rzadsze były głosy nienawiści, jak np. w »Ojcu Hilarym« i te nie rozbrzmiewały zbyt głośnem echem w społeczeństwie.

Ale oto znów upłynęło ćwierć wieku; staliśmy się bogatsi o jedno krwawe doświadczenie; powiedziało nam ono z nową mocą, że dopóki lud nie poczuje się narodem, dopóty daremne będą próby odrodzenia. Uświadamiali to sobie stańczycy, skoro Szujski wśród »Kilku prawd z dziejów naszych« i tę prawdę umieścił, że grzechem narodu było uciemiężenie ludu. Zgadzali się z tem pozytywiści, boć Świętochowski w 1882 r., formułując swój program, domagał się demokratyzacyi społeczeństwa przez powołanie do pracy w niem pierwiastków nierozbudzonych. Wtedy to z pomocą nam przyszedł twardy wróg nasz Bismark, który przez swe dzikie rugi i przez niekulturalne hasło *ausrotten* podniósł w opinii ogółu znaczenie ludu, jako czynnika narodowego odrodzenia. Literatura zajęła się znowu z upodobaniem ludem: to już było trzecie stadyum w literaturze XIX wieku. Nie chodziło teraz o zdobienie poezyi wytworami ludowej fantazyi, ani też o roztkliwianie się nad niedolą ludu, ażeby przyjść z pomocą uwłaszczeniu. Wszak stało się już ono faktem spełnionym.

Po r. 1880 o roli chłopa dwojakie uwydatniło się zapatry-

wanie. Jedni oświadczyli się przeciw otaczaniu chłopa aureolą. Potrzeba go dokładnie poznać: jego myśli i uczucia, jego troski i potrzeby. Domagał się tego zwłaszcza publicysta Ludwik Straszewicz w Ateneum w 1886 r. (t. 4) w artykule p. t. »Dwie cywilizacye«. Nazwałbym stanowisko takie wśród zastarzałych antagonizmów dwu warstw społecznych — ugodowem. Najpiękniejszy wyraz dała mu w 1888 r. powieściopisarka Eliza Orzeszkowa w poświęconej odwiecznym waśniom ludu i szlachty powieści p. t. »Nad Niemnem«. Wkłada ona o tym rozbracie w usta Witolda Korczyńskiego słowa, które brzmią jak hasło: »zrodziły mię omamienia i nienawiści wieków; zagłada moja w świetle i miłości«.

Drudzy — na czele ich w publicystyce stanął warszawski tygodnik *Głos*, założony w 1886 r. — uważali, że lud dąży do obywatelskiej samowiedzy. Rozum dziejowy każe połączyć z tem dążeniem żywotne interesy kraju — a zatem potrzeby ludu powinny być górującym akcentem w pracy społecznej. »Stojąc na gruncie realnych interesów ludu — pisał w programie *Głos* — będziemy stanowczo potępiać samozwańcze pretensye do kierowania nawą społeczną tych sterników, co występując w imię naszej tysiącoletniej kultury i tradycyi, nie chcą wiedzieć, że ideały tej tradycyi i formy tej kultury są obce większości narodu« [1]. Było to pojmowanie rzeczy radykalne, odziedziczone wprost po Centralizacyi emigracyjnej z jej hasłem: wszystko dla ludu przez lud.

W poezyi stanowisko to przejęli Konopnicka i Kasprowicz. W licznych swoich obrazkach ludowych — jak »Chłopskie serce«, »Jaś nie doczekał«, »Czy zginie«, »Z szopką«, »Przed sądem«, »Wolny najmita«, »W piwnicznej izbie«, »Do granicy« — ze szlachetnem współczuciem dla niedoli wieśniaka, ale jednostronnie i nie bez uprzedzenia oświetla poetka sprawę ludu w myśl zasad *Głosu*. Słusznie powiedziano, że obrazki jej są jakoby artykułami wstępnymi. Należy podług Konopnickiej czcić dolę kmiecą i zgrzebną sukmanę, należy uchylić czoła przed tym, co się krwawo

[1] Czytaj narodu = ludu.

znoi, gdyż »lud i praca — to są siły, a świat cały niemi stoi«. Wzywa nas tedy poetka, abyśmy szli do roboty na zagon tej ornej ziemi, bośmy dziedzicami klęsk, a te klęski, to martwota łanów, to stary ból i stare krzywdy. Trud na zagonie nie przysporzy nam zasługi — nie łudźmy się. Tylko dla ludu i dla robotnika świt zabłyśnie, z niego wyjdzie wszystko, co będzie, lud jeno osiągnie łaskę u Boga. Bóg otworzy wrota jutrzenki nad światem i spyta: czy są przed drzwiami setniki i namiestne moje? Lecz ujrzy rzesze ciche, jak łan żyta I nieodziane żelazem ni złotem, Rzesze, co we lnach chodzą zlane potem; więc się zdumieje i onym otworzy wrota [1].

Mniej więcej z taką samą miłością dla chłopa malował los jego Kasprowicz, czy to w szeregu sonetów »Z chałupy« w 1889 r. czy też w szeregu gawęd ludowych, jak »Rumianek«, »Na rozdrożu«, »W karczmisku«, »Król Lear z Biedaczewa«, »Maciej Kosarczyk«, »Hanka Olpińska«, »Marcin Szafran« i inne.

Szare chaty! — Nędzne chłopskie chaty!
Tak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy proste, jak wy bez rozkoszy...
Dziś — wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej, czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!

Lecz oto kilka lat zaledwie upływa od tych nieco sentymentalnych malowideł wiejskiej niedoli, od tego niepozbawionego brawury przeceniania ludu w narodzie, gdy ukazywać się poczynają wydarte życiu ludowemu z niepospolitą siłą szkice, jak »Suka«, »Śmierć«, »Sprawiedliwie«, a wnet na wielkie rozmiary zakrojona powieść p. t. »Chłopi« — wszystko Reymonta. Z tych szkiców można było wnosić, że Reymont zgoła się nie roztkliwia, malując lud. W pierwszym matka-kobieta znęca się bez litości nad swem dziecięciem; w drugim córka konającego ojca wywleka na dwudziestostopniowy mróz do chlewa, a gdy tam skostniał zamarłszy — ograbia. W trzecim z dużym epickim rozmachem maluje chłopską wybitną indywidualność Jasia Winciorka, który, szczuty przez tłum z zemsty i nienawiści zapala wieś, a tłum go

[1] Z mojej biblii, IV, 241. 1900.

porywa i żywcem ciska w płonącą chatę. Gra bujnych i nieokiełznanych instynktów decyduje o losach ludzkich. Teraz dopiero Reymont kilka lat poświęcił wielkiemu obrazowi wsi i ludu naszego. Nie chodziło mu o jakąś specyalną wieś Lipce koło Tymowej: równie dobrze mogła to być każda inna wieś koło innego miasteczka. Podobnie jak w »Ziemi obiecanej« skupił w soczewkę zawikłany splot interesów, żądz, czynów, występków, intryg wielkomiejskiego środowiska, wirującego na bagnistym i niezdrowym gruncie kosmopolitycznym, — tak w »Chłopach« uczynił to samo z rodzimą polską wsią.

Bez tendencyi z góry uplanowanej?

Przeciwnie. Przedewszystkiem z obrębu szczegółowej obserwacyi prawie usunął dziedzica, Żyda, nauczyciela, pisarza, księdza t. j. czynniki, które w życiu każdej wsi niemałą odgrywają rolę. Niektóre z tych osobistości np. księdza lub Żyda poznajemy wprawdzie, ale powierzchownie i w niewyraźnym szkicu.

Pozostało tedy chłopskie społeczeństwo wsi dzisiejszej, wsi z początku wieku dwudziestego. Mądry chłop lipiecki wie doskonale to, co przed laty kilkunastu pisał warszawski *Głos* o znaczeniu mas ludowych, umie siebie cenić, a zmierza prostą drogą do wyodrębnienia własnych interesów z pośród zbiorowych interesów narodu. O starym Borynie po jego śmierci wspomina pan Jacek: »Dobry to był człowiek i prawy Polak. Był z nami w powstaniu, przystał do partyi dobrowolnie i gnatów nie żałował. Widziałem go przy robocie«. Tak, ale ten Mohikanin pod koniec życia swego gruntownie się przeistoczył. Nie słyszał pan Jacek, jak ten dobry Boryna klął, zanim poszedł po własną śmierć do spornego lasu. »Pan ścierwo — wołał Boryna (II, 169) — na chłopskich ziemiach siedzi, chłopski las sprzedaje, z chłopskiej łaski żyje, a będzie się tu naród zmawiał. Ścierwa, nie baczy, że i pańskiej skóry tak samo imają się cepy, jak i kuždego«. Podobnie stary Płoszka niedwuznacznie się zastrzega: »Ja dobrze baczę, co się działo w tę wojnę panów, jak za bele co chłopów krajali batami. Nie nasza to sprawa« (III, 445). A na owej charakterystycznej naradzie, czy szkoła w Lipcach ma być rządowa czy polska, dzielą się wyraźnie opinie: starzy są za rządową, młodsi za polską,

własną szkołą. Gospodarz z Przyłęka ostro występuje przeciwko panom. »Panowie się buntują, naród judzą, do nieszczęścia prowadzą, ale jak przyjdzie za to płacić, to kto płaci? chłopi! Panowie się za wami nie upomną, wyprą się wszystkiego kiej Judasze — i jeszcze starszyznę będą ugaszczali po dworach. Zaś na ostatku to wam jeszcze rzeknę — swoją ano stronę trzymajmy. A drą się między sobą panowie, nie nasza sprawa, niech się ta kłyśnią i zagryzają, takie nam braty jedne i drugie, że niech ta ich morówka nie minie« (IV, 45). Wtedy to stary gospodarz ze wspomnień o r. 1863 snuje taki wywód: »Pod te roki, kiej się to panowie buntowały, dobrze baczę, jak nas tumaniły a przysięgały, że jak Polska będzie, to i wolę nam dadzą i gronta z lasami i wszystko. Obiecywały, mówiły, a cysarz dał, co tera mamy i jeszczek musiał ich za to pokarać, co nie chciały w niczem ulżyć narodowi. Słuchajta panów, kiedyśta głupie, ale mnie na plewy nie weźmie, wiem ja, co znaczy ta ich Polska: że to jeno bat na nasze plecy, pańszczyzna i uciemiężenie. Tam mi Polska, kaj mi dobrze«.

Wskutek podobnych opinii dwieście głosów pada za szkołą rządową, t. j. rosyjską, ośmdziesiąt głosów przeciwko niej, a zatem za szkołą polską.

Stąd wniosek, że lud polski podług Reymonta czuje się narodem, ale dawne szlacheckie ideały są mu nienawistne, co najmniej zaś obce; że może część zaledwie śród młodszych rozumie przynależność swą do Polski, a dwie siły są tu głównie czynne: religia i ziemia.

Nie ksiądz w Lipcach jest duszpasterzem w prawdziwem tego słowa znaczeniu; bywa on częściej figurą komiczną, zwłaszcza gdy na cudzym gruncie wypasa swoje bydło i boi się, by go nie ujęto. Apostołem jest niejaki Rocho, rodzaj ascety-fanatyka, wędrującego po wsiach i uczącego w chatach etyki i religii. Postać nieoryginalna, znana z powieści Orzeszkowej, z »Kostki Napierskiego« Kasprowicza, postać jednak w dzisiejszych czasach zamętu religijnego pomyślana przez Reymonta nader szczęśliwie i z upodobaniem w drobnych rysach wystudyowana. Rocho wspiera się na kiju, z podniesioną głową, w szarej kapocie, z różańcami

na szyi, włosy ma siwe, twarz chuda jaśnieje dziwną dobrocią i weselem. Całe dni wędruje po okolicy z książeczkami, uczy dzieci czytać, rozdaje ludziom polskie gazety i książki, zaleca zakazane pod zaborem nabożeństwo do serca Jezusowego, wspomaga radą i czynem. On wprawdzie nie szerzy stanowej nienawiści, lecz sprzyja wyodrębnieniu chłopów i pragnie ich wszechwładzy. »Naród przyjdzie do rozumu, pomiarkuje, że niema się na kogo inszego oglądać, że nikto mu nie pomoże, jeno on sam sobie. A rozrośnie się wtenczas po wszystkie ziemie, kiej ten bór niezmożony i nieprzyjacioły jego szczezną niby śniegi« (III, 248).

Zdaje się atoli, że główną siłą Rocha nie jest propaganda społeczna, lecz apostolstwo religijne. Gotów dać życie dla udokumentowania prawdy swych wiar i zasad. »Przyjdzie pora — wróży Rocho (IV, 57 *Nowa Reforma)* — że jawi się takich tysiące, przyjdą z miast, przyjdą z chałup, przyjdą ze dworów i położą głowy swoje, dadzą krew swoją, aż póki z nich nie wyniesie się ów święty Kościół«. Chłopi go nadzwyczajnie cenią, otaczają czcią i uwielbieniem, kryją i bronią przed żandarmami, ilekroć go tropią. »Widział się chłopom jako ten świątek z ową białą brodą i wzniesionemi oczyma, któren wszędy niósł słowa pociechy, a kaj wstąpił, to jakby jasnością napełniały się izby, a w sercach zakwitały nadzieje i dufność krzepiła chwiejne, ale i łzy rzęsiściej płynęły« (III, 65).

Drugą czynną siłą, działającą dodatnio na uczucia współplemienne, jest umiłowanie ziemi — piastunki i karmicielki. Powieść daje dość w tym względzie wskazówek, ale najpiękniejszym jest obraz, kiedy Antek po powrocie z więzienia jako gospodarz idzie oglądać swą rolę i siada wypocząć w cieniu brzózek pod krzyżem (III, 65).

Siedział zasłuchany w głosy, a wszelki stwór zuchwale ciągnął do niego. Mrówki łaziły mu po plecach, boże krówki szukały czegoś po twarzy, zielone spasłe liszki pięły się skwapnie na buty, leśne ptaszki cosik zaświergoliły nad głową, a on grążył się w czemściś, co buchało z tych ziem nieobjętych, sycąc mu duszę upojoną, żywiącą i zgoła niewypowiedzianą słodkością. Zdało mu się, jakoby z tym wiatrem przewalał się po zbożach, jakoby

polśniewał mięciuśką, wilgotną runią traw, jakoby toczył się strumieniem po wygrzanych piachach śród łąk, przejętych zapachem sianokosów; to jakby z ptakami leciał kajś wysoko, górnie nad światem i krzyczał z mocą niepojętą do słońca; to znowu jakby się stawał szumem pól, kolebaniem się borów, siłą i pędem wszelakiego rostu i wszystką potęgą tej ziemi świętej, rodzącej w śpiewaniach i weselu. Na ziemi się poczuł, na ojcowej i praojcowej grudzi, między swoimi...

II.

Takie pojęcie o roli ludu w zadaniach naszego społeczeństwa da się wyczytać z obrazu wsi Lipiec Reymonta. Ale skoro z tej ideowej sfery zstąpimy do życia, skoro się rozglądniemy w Lipcach, przekonamy się niebawem, że dwie głównie jego strony malował powieściopisarz: ludzi i naturę. Widać już z podwójnego tytułu, jak mu bardzo zależało na uwydatnieniu zespołu tych dwóch przedmiotów. Każda z czterech książek ma dwojaki tytuł: *a)* Chłopi. Jesień; *b)* Chłopi. Zima; *c)* Chłopi. Wiosna; *d)* Chłopi. Lato. Pierwsza część odnosi się do ludzi, druga do natury. I chodziło właśnie o wskazanie ścisłego związku pomiędzy ludem wiejskim a przyrodą. I chodziło nadto o usprawiedliwienie może owej pierwotnej, natur ludzkich bujności, jakiej przykładów dostarcza dzieło Reymonta. Bo trzeba z góry powiedzieć, że powieść »Chłopi« nie jest zgoła sielanką, pełną łaskawego sentymentu dla wsi, a zwłaszcza dla jej mieszkańców. Chłop lipiecki — to istota dzika, plotkarska, zła i złośliwa, przesądna, łakoma grosza i nie przebierająca w środkach, byle go dostać. Pomimo pozorów mędrkowania i praktycznego rozumu, istota owa kulturę umysłową ma nizką, w kulturze moralnej zdumiewa nieposzanowaniem prawa własności, niechlujstwem i obżarstwem, rozpustą i brakiem miłości bliźniego lub rodziny. Ilekroć rodzice oddadzą dzieciom grunt, a sami na łaskawy chleb do nich pójdą, dzieci — jak Jagustynkę — pędzą od siebie w świat — precz. Antek Boryna pobił się z ojcem. Ale cóż w tem dziwnego? Czy to Józek Wachnik nie bije się co dni parę? Czy to Stach Płoszka nie przetrącił kulasa swojemu? (II, 15). Czy to nawet jeden z najlepszych Szymon Pacześ nie

pobił i nie poparzył swej rodzonej matki? Czemuż się też i dziwić, że gdy Antek ze strzelbą do domu nadbiegł w chwili, kiedy ojciec zmagał się w śmiertelnych zapasach z borowym, wyciągnął flintę, przykucnął i przeżegnawszy się bezwiednie, zmierzył do głowy ojcowej... (II, 381).

Bywają też ci chłopi nielitościwi i okrutni. U organisty służyła Magda i miała dziecko. Gdy wypędzili, poszła do młynarza i tam jakiś czas żyła pod opieką Franka, ale i stamtąd wygnali: porodziła je w nocy zimą w kruchcie kościelnej. Dziecko zmarzło, ona ciężko zaniemogła, ale nikt nie chciał jej pomódz. Żyje też we wsi rodzina Kozłów. Stary jest zawodowym złodziejem, ona z Warszawy ze szpitala zabiera podrzutki, które u niej giną: raz głodem zamorzy, drugi raz na śmierć oparzy... Nie traci na tem, bo dają »na pochowek« i płacą za utrzymanie, a lud sobie tłumaczy: »nie wiedzie się jej ze znajdami«.

Chciwość nabytku materyalnego, skąpstwo i zazdrość, obmowy i oszczerstwa, gwałtowność i popędliwość, skora do śmiertelnej bójki, łączą się tu z religią grubą, pełną zabobonów, z obżarstwem, pijaństwem i rozpustą. Modlą się w kościele, słuchają wprawdzie kazań, lecz w kwietnią niedzielę »społecznie« łykają poświęcone kotki, bo one chronią od bólów gardzieli (III, 62).

Po chrzcinach wróciwszy do domu, Dominikowa bierze dziecko, obchodzi dom, przystając na węgłach i przy każdym mówiąc:

— na wschodzie: tu wieje;
— na północy: tu ziębi;
— na zachodzie: tu ciemno;
— na południu: tu grzeje.

»A wszędy strzeż się złego, duszo ludzka, i jeno w Bogu miej nadzieję«.

Niemal przy każdym ważniejszym religijnym obrzędzie spotykamy się z jakąś przesądną praktyką bab lipieckich.

A już nigdy bydle ludzkie nie wyraża się z większą otwartością i bezwstydem, jak w chwilach nasycania się. Powieściopisarz nieraz i zupełnie świadomie jaskrawemi barwami maluje

obrazki żarcia i warto tu choć jeden przytoczyć [1]. Zasiedli wszyscy w chacie Boryny około święconego »i pojedali zwolna w cichości smakując święconego, że to bez tyle tygodni niezgorzej się wypościli. Kiełbasy czujne były, czosnkiem dobrze przyprawione, gdyż po izbie rozniesły się zapachy, jaże psy się wierciły między ludźmi, skamlając żałośnie. Nikto się nie ozwał, póki pierwszego głodu nie zapchali, tęgo pracując, że ino w onej uroczystej cichości spożywania glamania się rozchodziły, przysapki a bulgoty gorzałki. I znowu jedli, aż niejednemu ślepie wyłaziły z onej lubości, twarze czerwieniały i sytność rozpierała serca gorącem i głęboką radością. Wolniuśko pojedali, nadziewając się z rozmysłem, by jak najwięcej zmieścić i jak najdłużej czuć w gębie smakowitości« (III, 172).

Ponad tym tłumem atoli, licznym i różnorodnym, złożonym z mnóstwa głów sędziwych, starych, młodzieńczych i dziecinnych, z mnóstwa temperamentów i uzdolnień, ponad tłumem takich chłopów, jak Maciej Boryna, Grzela, Mateusz, Kłąb, Stacho Płoszka, Szymon Pacześ, Jambroży, Kowal, Wojtek Kobus, Kuba, Dominikowa, Jagustynka, Agata, Hanka, Józka, Witek i t. d. górują dwie indywidualności, niezwykłe i wybitne, a każda w swoim rodzaju: Antek Boryna i Jagusia Paczesiówna. Pierwszy — natura demoniczna, skryta, głęboka, szatańsko zawzięta i nieustępliwa do zapamiętałości, skłonna do zemsty, natura o sile fizycznej ogromnej, lecz o moralnem wyrobieniu w duchu chrześcijańskiej etyki nikłem. Antek, porwany szałem, goreje jak snop objęty płomieniem, miota się i w rozbestwieniu ojca własnego zabić gotów; przy robocie za trzech wystarczy; rozumem innych przesięga; ustatkowawszy się i dziedzictwo po ojcu objąwszy naczelną rolę zaczyna odgrywać w Lipcach. Jest on wprawdzie uosobieniem wad społeczeństwa lipieckiego, lecz jest także najdoskonalszym wyobrazicielem tęgości fizycznej i nieuświadomionej potęgi ich.

Jagusia natomiast jest upostaciowaniem wszystkiego, co

[1] Odpowiednik znaleźć chyba można u Sieroszewskiego w opisach wiosennych uczt Jakutów.

piękne i ponętne; porywa czarem, kusi, ulega, czuje rozkosz i udziela rozkoszy. Płacze, słuchając muzyki. »Duszę miała wielce czującą, jako ten kwiat niektóry, co niech jeno ziąb nań chuchnie, a wnet owarzy się i rozdygocze z bolenia« (II, 206). Nie dba zgoła o »gronta, o zapisy, o majątki«, — uczuciem cała żyje, choć w tem uczuciu miłosnem żądza zmysłowa stanowi ton główny. Walczy ze sobą — prawda, lecz zawsze ulega. Dusza jej rwie się do Antka, jak później do kleryka — syna organisty. Ale boi się grzechu.

Dlaczego atoli staje się miłośnicą starego wójta? »Jagusina dusza, jako ta ziemia — tłumaczy Reymont — leżała w jakichś głębokościach nierozeznanych przez nikogo, w bezładzie marzeń sennych — ogromna, a nieświadoma siebie — potężna, a bez woli, bez chcenia, bez pragnień — martwa, a nieśmiertelna, i jako tę ziemię brał wicher każdy, obtulał sobą i kołysał, i niósł tam, gdzie chciał... i jako tę ziemię o wiośnie budziło ciepłe słońce, zapładniało życiem, wstrząsało dreszczem ognia, pożądania, miłości — a ona rodzi, bo musi; żyje, śpiewa, panuje, tworzy i unicestwia, bo musi — jest, bo musi... bo jako ta ziemia święta, taką była Jagusina dusza — jako ta ziemia« (I, 167).

Brzydki choć zasłużony koniec sprawek Jagusi cokolwiek ściera gorące barwy tego hymnu na cześć jej: złośliwe a oburzone niemoralnością Jagusi niewiasty lipieckie napadły na nią, pobiły i pokaleczyły, rzuciły na wóz z gnojem i wywiozły do lasu. Obrót rzeczy pospolitszy, może nawet nieco trywialny, ale odczuwa się powiew sprawiedliwości za to, że »dusza nieśmiertelna« Jagusi za długo była »martwa«.

Podobnie zresztą jak u Jagusi w całym ludzie lipieckim drga w głębi niespożyta pierwotna moc, jeszcze nieświadoma swych zadań i celów. Kiedy Boryna pomarł, cała wieś wyległa na jego pogrzeb. Szli »kwardzi, szarzy i mocni, kiej te głazy, widne na miedzach, gotowi na wszystko a nieulękli« (IV, Lato). Martwość ich dusz atoli nawiewa na owe rozłogi życia tchnienie smutku; słychać je wyraźnie w bolesnym jęku: »o dolo nieustępliwa, dolo człowiekowa! O boskich przeznaczeń mocy, która się jawisz, kiej

się nikto nie spodzieje, czy w dzień biały, czy też li w noc ciemną, a jednako kruszynę ludzką mieciesz w gorzkiej śmierci strony« (III, 62).

III.

Nie idea główna wszelako i nie same postaci ludowe dostarczyły artyście motywów do czterotomowego dzieła o wsi polskiej. Najpiękniejsze i najbogatsze karty jaśnieją widokami krajobrazu naszego. Z tych niezliczonych, z wielkiem umiłowaniem i subtelnem wyczuciem malowanych pejsaży nastrojowych, które jak gwiazdy rozsiane na paru tysiącach stronic Reymontowego dzieła, dałby się ułożyć wspaniały rok polski z każdą niemal chwilą dnia czy nocy. Przyroda nie tylko daje przepyszne tło życiu, lecz równoważy jego brudy i niegodziwości. Czysta i szlachetna, dobroczynna i wiecznie odradzająca się, bezinteresowna i wiekuistym niezmiennym prawom poddana, stanowi ona dla człowieka kryształowe źródło, w którem, jak w życiodajnej krynicy skąpana, odradza się także dusza ludzka. Przyroda Reymonta lśni blaskiem i barwami tęczy, równocześnie zaś czuje, cierpi, walczy, gniewa się, tęskni, trudzi się i wypoczywa. Zdolność wyzbycia się w toku twórczej czynności własnych uczuć i myśli a całkowitego przenoszenia się w myśli i uczucia tworzonych osób nazwano u Żeromskiego »czującem widzeniem«. Zdolność tę posiada w bardzo wysokim stopniu i Reymont wtedy, gdy maluje naturę i wtedy, gdy do dna ludzkiej duszy przenika. Pozwolę sobie zaregestrować w tem sprawozdaniu osobiste wrażenie, że najpiękniejsze, najgłębiej odczute są obrazy jesienne i zimowe. Tom wiosenny wprost przesycony tymi obrazkami. Obok bardzo ładnych, jak np. obrazek wiosny na str. 256 (III), na każdej niemal stronie zalewa powieściopisarz czytelnika błyskotliwymi szkicami wiosny tak dalece, że równowaga pomiędzy przyrodą a życiem ginie i linie kompozycyjne dzieła zatracają konturową wyrazistość. W tomie letnim zachwycające są obrazy wieczorów a zwłaszcza głębokich letnich nocy, lecz nie równają się dramatycznym obrazom jesieni lub zimowych wichrów. Parę przykładów niech służy za ilustracyę.

»Co świtanie dzień wstawał leniwiej stężały od chłodu i cały w szronach i w bolesnej cichości ziemi zamierającej; słońce blade i ciężkie wykwitało z głębin w wieńcach wron i kawek, co się zrywały gdzieś z nad zórz, leciały nizko nad polami i krakały głucho, długo, żałośnie... a za niemi biegł ostry, zimny wiatr, mącił wody stężałe, warzył resztki zieleni i rwał ostatnie liście topolom, pochylonym nad drogami, że spływały cicho niby łzy, krwawe łzy umarłego lata i padały ciężko na ziemię« (I, 112). Nastały jesienne zimne słoty. »Szara kurzawa deszczów przysłoniła świat, wypiła barwy, zgasiła światła i zatopiła w mrokach ziemię, że wszystko wydało się jakby sennem majaczeniem, a smutek wstawał z pól przegniłych, z borów zdrętwiałych, z pustek obumarłych i wlókł się ciężkim tumanem; przystawał na głuchych rozstajach, pod krzyżami, co wyciągały rozpacznie ramiona, na pustych drogach, gdzie nagie drzewa trzęsły się z zimna i łkały w męce, do opuszczonych gwiazd zaglądał pustemi oczami, do rozwalonych chałup, na umarłych cmentarzach tłukł się wśród mogił zapomnianych i krzyży pogniłych i płynął światem całym: przez nagie, odarte, splugawione pola, przez wsie zapadłe, i zaglądał do chat, do obór, do sadów, aż bydło ryczało z trwogi, drzewa się przeginały z głuchym jękiem, a ludzie wzdychali żałośnie w strasznej tęsknocie, w nieutulonej tęsknocie za słońcem« (I, 151).

Nareszcie zerwały się wichry przedmroźne. »Jakoś wnet po św. Barbarze, patronce dobrej śmierci, o cichem omdlałem zaraniu spadły pierwsze krótkie, trzepotliwe wiatry; obleciały ziemię ze skowytem, jako te psy, węszące tropu, gryzły zagony, warczały w krzakach, poszarpały śniegi, potarmosiły sady, poomiatały ogonami drogi, wytarzały się po wodach, milczkiem urwały kajś niekajś co starszych strzech i ogrodzeń — i jęły się zwijać, a ze skomleniem uciekać na bory, a po nich zaraz na odwieczerzu zaczęły się wysuwać z mroków długie, świszczące i jakby kolczaste jęzory wichrów...

»Świat znagła poczerniał, cisza się uczyniła głucha, przygasły światłości, sine oczy wód pomdlały, wszystko jakby zdrę-

twiało i stanęło w zdumieniu z przytajonym tchem, lęk wionął po ziemi, mróz przenikał kości, strach chycił za gardziele, dusze padły w proch, lute przerażenie załopotało nad wszelkiem stworzeniem: widać było, jak zając gnał przez wieś z rozwianą szerścią, to wrony z krzykiem przejmującym wpadały do stodół albo i zgoła do sieni, psy wyły po przyzbach, jak oszalałe, ludzie chyłkiem uciekali do chałup, a nad stawem biegała ślepa kobyła z resztką wozu, tłukła się o płoty, o drzewa i z dzikim kwikiem szukała stajni« (II, 4).

Z tych prób widać, jak Reymont subjektywnie traktuje naturę, jak podkłada pod jej objawy uczucia i wrażenia istot organicznych, jak zapomocą porównań bardzo trafnych i poetycznych a dokładnie w drobnych szczegółach przeprowadzonych uzmysławia i uplastycznia pełne kipiącego ruchu obrazy.

Energiczny ruch, zdolność zaobserwowania, owładnięcia wyobraźnią i wyzyskania w odpowiednim momencie wielkiej ilości objawów życia, przedmiotów, ludzi i rzeczy, doskonała znajomość zwyczajów i obyczajów, bogata i łatwa pamięć, która dopomogła powieściopisarzowi do zgromadzenia wielkiego materyału rzeczowego i językowego z dziedziny życia, biegłość we władaniu narzeczem, — wszystko to sprawiło, że »Chłopi« są niezmiernie skomplikowanym, barwnym, niezmiernie plastycznym i zajmującym obrazem. W naszej powieściowej literaturze XIX wieku niema drugiej powieści, któraby zawierała tak bogaty skarbiec folklorystyczny. Niezliczona ilość drobnych obrazków czy to obyczajowych, czy okolicznościowych, kreślonych żywem, gorącem piórem, setki przysłowi, zagadek, obrzędów, przelotnych sylwetek postaci, które znikają z widnokręgu, napełniają powieść ciągłym zmiennym i urozmaiconym gwarem życia.

Kopanie kartofli (I, 2), miądlenie lnu (I, 78), cięcie kapusty (I, 152), obieranie kapusty, swaty (I, 206), zaduszki (I, 230), wesele (I, 285), Boże Narodzenie (II, 88 i i.), chowanie żuru i grzebanie śledzia (III, 154), pokładanka na kopcach (III, 296), nauczanie pacierza (I, 81), nabożeństwo niedzielne w wiejskim kościółku (I, 85), jarmark (I, 130), wilia u Boryny (II, 90), pasterka

(II, 116), swaty w karczmie (II, 175), taniec (II, 199), ksiądz po kolendzie (II, 215), niedźwiedniki we wsi (II, 264), pogrzeb Boryny (IV) i wiele innych obrazków przesuwa się jak w kalejdoskopie.

Autor uwzględnił też skłonność naszego ludu do popierania myśli przysłowiami, jako argumentami. Liczyli się z tem wszyscy pisarze lud przedstawiający — od Szymonowicza począwszy. Reymont setki przysłowi zebrał, może czasem wynalazł: w nich maluje się istotnie praktyczna, prostolinijna, pierwotna, czasem osobliwa w swej wykrętności etycznej filozofia chłopa. Komu smakuje, nie pyta, czyje (III, 147). Kto borguje, ten się z butów zzuje (I, 101). Kto jeno o drugich stoi, tegō bieda wydoi (III, 349). Gęsią orze, piaskiem sieje i niezgorzej im się dzieje (III, 86). Spiesz się flisie, póki jest na misie (I, 184). Przysięgał, jak sięgał, a dostał — zaprzestał (II, 130).

Czy się czytelnikowi nie przypomina sławetny Ryków, najlepszy z Moskali, amator niezrównany i znawca przysłowi, w których głosi złote prawdy:

»Przysłowie ruskie: wszystko można, lecz ostrożnie,
I to przysłowie: sobie piecz na carskim rożnie,
I to przysłowie: lepsza zgoda od niezgody,
Zaplątaj dobrze węzeł, końce wsadź do wody.
Bóg dał ręce, żeby brać... to ruskie przysłowie«.

Ale »Chłopi« przysłowiami zdobią sobie i tłumaczą niezliczone zjawiska życia, troski i dolegliwości. Jak się człowiek nie przyłoży, to mu i Pan Jezus nie dołoży (III, 41). U wdowca, to kiej między wilkami owca (III, 82). Kogo nie boli, temu wszystko powoli (II, 25). Kto na zwiesnę za czem bryka, od tego zimą umyka (II, 83). Jak kto na śmierć chory, na nic mu i doktory (II, 142) i wiele innych.

Nakoniec parę słów o języku powieści. Kiedy przed kilku laty ukazał się początek »Chłopów«, czytelnicy podziwiali, żywość i bogactwo narzecza. Mnóstwo osobliwych słów, jak zakatrupię, nakłyśnić się, we wątpiach, jazgotać, skrzytwa, drujkosa, stergnąć, karwas drogi, orzydle,

w sercu drujko, niezguła, krzekorzyć, zgudka, przykardzać i t. p. zabarwiło styl powieści w jaskrawy, niezwykły sposób. Reymont nie tylko narzeczem odtwarzał mowę i myśli swych chłopskich postaci, ale i własne swe czy refleksye, czy opisy tem samem narzeczem wyrażał. Wątpię, czy to dobrze. Bardziej ludową powieść się przez to nie stała. Chłop lipiecki, gdy ją będzie czytał, nieraz autora wyłapie na literackich ornamentach, które dla niego obco i nienaturalnie zabrzmią. Który to chłop powie, że »gęsi rozlewają dziobami sznury krwawych pereł«, że »cienkie strugi wody opadały z krowich gembul, niby bicze opali«, który to chłop tak pięknie i poetycznie będzie marzył, jak poeta w tomie I, str. 26, albo II, 13?

Bogaty, silny, pełen męskiego hartu i dzielnego temperamentu styl nie wiele na tem zyskał, że Reymont ujednostajnił narzecze w powieści. Nie wymagał też tego realizm metody powieściowej. Owszem — realizm wymaga rozmaitości. Faktem jest, że każda postać ludzka ma w stylu swoje specyficzne właściwości. Odgadnąć je i uwydatnić — byłby to realizm. Tymczasem w »Chłopach« usiłowań podobnych nie znajduję. Najwięksi nasi realiści w stylu — Mickiewicz i Sienkiewicz umieli zastosować mowę jakiejś postaci do charakteru postaci. Dlaczego Reymont, tak lubiący w powieściach swych operować tłumem ludzi — wszystkich i wszystko w »Chłopach« podciągnął pod jeden strychulec narzecza, — nie pojmuję.

W każdym razie jest to obok »Ziemi obiecanej« największe dzieło Reymonta. Mówię obok »Ziemi« nie dlatego, abym »Chłopów« nie uważał za dzieło wyższe; owszem, uważam za wyższe, ale też za jednorodne z tamtem, za odpowiednik tamtego. »Ziemia« maluje fragment wielkomiejskiego życia w natłoku wydarzeń, intryg i naiwności, szubrawstwa i bohaterstwa, w giełdzie szachrajstwa i obłudy, milionowych zysków i krwawej nędzy, w śmietniku, gdzie obok kupy gnoju, robactwa, stęchlizny i zaraźliwych miazmatów — znajdzie się cenna perła; »Chłopi« malują fragment życia wsi rodzimej z odradzającą, pełną krasy naturą, z mrowiskiem pracowitego i na dnie swej duszy dobrego

i dobrodusznego, ale w kulturze moralnej i umysłowej napół dzikiego ludu, który atoli dzięki wpływom prze do wyodrębnienia swych interesów i mało poczuwa się narodem. Co do mnie — bądź co bądź — wolę Antka Borynę, jako gospodarza naszej przyszłości, niż Karola Borowieckiego Łodzermenscha »bez więzów przeszłości, szlachectwa i tym podobnych przesądów«.

Antoni Mazanowski.

Z MYŚLI WIECZORNYCH.

Nad brzegiem Renu stali...

Wspomnienie z dalekiego świata niegdyś przywiezione i nie wiem czemu w pamięci trwające. Tak drobny, tak drobny bohater wspomnienia, że nie wiem czemu...

Ginie mi czasem i znowu powraca, w mrokach zadumy przelatuje najczęściej i słyszę wtedy łoskot, krzyk, szumy, naprzeciw którym leci.

Choć w pyle skier złotych widziałam go niegdyś i choć z oczu mi zniknął w lśnieniu połamanych tęcz, w mrokach zadumy widuję go najczęściej, nie wiem czemu. . . . . .

. . . . . .

. . . . Nad brzegiem Renu stali widzowie zdumieni, w słynny wodospad schaffhouski zapatrzeni, wsłuchani.

Dzień był letni, gorący. W upale, w blasku słońca stały pałace białe, ogrody kwietne, ulice ludne, drzewa rozłożyste, — Ren płynął wstęgą roztopionego srebra i po roztopionem srebrze, z puszczonemi na wiatr pióropuszami dymów-olbrzymów, nadpływały, przepływały, rozmijały się, turkotały statki wodne.

Ale to wszystko było niczem; to wszystko, jak atomy w bezmiarze tonęło, ginęło, w widoku i w głosie cudu przyrody, ogromu przyrody.

Z wysoka, z wysoka ogrom ten na srebrną rzekę spada. Zanim spadnie wody swe w powietrzu na alabastry twarde, na przeźroczyste kryształy przerabia, budując z nich kolumny, wieżyce, zamczyska, puszcze kształtów w alabaster i kryształ stężałych, a wiecznie ruchomych. Wszystko jak alabaster białe, albo jak kryształ przeźrocze; na wszystko piany śnieżyste kładą koronki królewskie, ciężkie i kwiaty wielkie, bajeczne, a naokół rozpyla się kurzawa wodna lekka, leciuchna, złotemi skierkami świecąca i przez kurzawę, złotych skierek, w kolumny, w wieżyce, w zamczyska, strzały słoneczne wstępują, zapalając tu, ówdzie, wyżej, niżej, — fragmenty połamanych tęcz.

Z wysoka, z wysoka ogrom ten spada — i krzyczy. Z innych wiecznie cząstek te same wiecznie kształty budując, szumem straszliwym, gwałtem piekielnym, krzykiem obłędnym, przestrzeń od ziemi do nieba napełnia.

Jakby dwa morza w przypływach przeciwległych łonami rozszalałemi wzajem o siebie uderzały, jakby dwa niebieskie globy ścierały się w boju śmiertelnym. Szum, łoskot, grzmoty, zgiełk, — gwizdania, turkoty, bełkoty rozełkane, ryki bolów ponurych bez nadziei, ani odpoczynku.

Jakiś bez odpoczynku gwałt rzeczy wściekłych, które od nieba do ziemi ścigają się i druzgocą, — jakaś nieśmiertelna męka rzeczy, które z piorunnym pędem w unicestwienie lecąc szumią szałem, huczą rozpaczą, bełkocą od bólu i w każdem mgnieniu unicestwiane, odnawiają się z każdem mgnieniem, wiecznie inne, wiecznie takie same.

I wiecznie je wokół oblatuje leciuchny pył skierek złotych — i wiecznie na paletach z alabastru i kryształu, siedm barw lśniących przelewa w nich tu, ówdzie, fragmenty tęcz...

Stali nad brzegiem Renu widzowie zdumieni. . . . . .

. . . . . .

Wtem, z nad głów ich wyleciało i falującym, drżącym lotem w powietrzu pływać zaczęło coś małego, błękitnego, tak małego i błękitnego jak kwiat lnu.

Był to mały, błękitny motyl.

Skąd się tu wziął? Z nad jakich traw spokojnych, z jakich cienistych, kwiecistych ogrodów zerwał się, aby tu lecieć?

Co ku tej grozie i ku tej potędze, ku odmętowi pędu i krzyku gnało to drobne, to wątłe stworzenie?

Co tę słodką idylę pociągało do tej straszliwej tragedyi?

Co zadzierzgnęło nić pociągu niewidzialną pomiędzy małością tą a tym ogromem?

Czy do tęcz leciał? Czy do słonecznych strzał, co w kryształowych kolumnach gorzały?

Leciał. Mrugały mu skrzydełka szybko, szybko, jak mrugają powieki nad oczyma człowieka przestraszonego. Wzlatywał ku górze i ku dołowi się opuszczał; pomykał naprzód i wstecz się cofał. Lękał się. Leciał przecież. Chłodem bolesnym biła wodna kurzawa. Leciał. Nad ból, nad lęk, silniejszą bywa nić pociągu tajemnicza.

Już w leciuchnej kurzawie wodnej drobiną błękitną migoce, już obleciały go skierki złote i drobne skrzydła walczą...

Walka skrzydlatej drobiny błękitu z ogromami przelewających się kryształów i alabastrów, cichego mieszkańca pól i ogrodów, z odmętem, szałem, wrzaskiem wodospadu.

I stało się, że przed oczyma widzów ta małość zasłoniła tę ogromność. Ścigały ją oczy...

Przebył mgławicę złotą, zleciał na tęczę, w czaszy śnieżystego kwiatu migocącą, — zniknął.

Nadaremnie szukały go oczy. Może w męczarni skrzydełek roztarganych żył i walczył jeszcze w toniach alabastrowej wieżycy? Może ze śnieżystego kwiatu wylały go piany wzburzone i razem z tęczą, na której był osiadł, w otchłań huczących nurtów runął?

Nie było go nigdzie.

Wodospad zaś piętrzył kryształy na alabastry, alabastry na kryształy i grzmiał, szumiał, płakał, szalał nieśmiertelną męką rzeczy, które pędem piorunowym w unicestwienie lecą i w każdem mgnieniu unicestwiane, odnawiają się z każdem mgnieniem, wiecznie inne, wiecznie takie same . . . . . .

. . . . . O duszo, z niebieskich otchłani błękitnych zlatująca pomiędzy ziemskie wrzawy, pościgi, piany wzburzone i tęcze znikome!

O dolo, któraś zerwała się z nad traw spokojnych, z cienistych, kwiecistych ogrodów, aby lecieć ku niebotycznym kolumnom i wieżycom, ku niezgłębionemu odmętowi i nieśmiertelnej męce — rzeczy wielkich!

Eliza Orzeszkowa.

O NAJPOPULARNIEJSZEJ KSIĄŻCE ANGIELSKIEJ.

Purytanizm — ten wielki ruch odrodzenia religijnego, który po dobie Odrodzenia artystycznego i literackiego przeniknął społeczeństwo angielskie w XVII wieku — wielokrotnymi znaki zapisał się po wszystkie czasy w historyi cywilizacyi narodu. Nie tylko więc, że nadał charakterowi narodowemu angielskiemu kilka z jego najistotniejszych cech i znamion; nie tylko że wszedł jako decydujący czynnik w tę wielką walkę polityczną, jaka się wtedy rozgrywać poczynała między autokratyzmem królów a swobodami parlamentu, i swoją siłą wywalczył te wielkie przewroty konstytucyjne, które stały się początkiem nowożytnego państwowego ustroju Anglii, lecz pozostawił także wiekopomne ślady swej władzy nad umysłami w piśmiennictwie angielskiem. W poezyi narodu angielskiego nieśmiertelnem wcieleniem dziejowej idei purytanizmu jest genialny piewca »Raju utraconego«, Jan Milton; zaś w dziejach prozy angielskiej jako wieczną pamiątkę pozostawiło stulecie purytańskie tę właśnie najpopularniejszą książkę kiedykolwiek w języku angielskim napisaną, o jakiej tu mówić zamierzam: »Wędrówkę pielgrzyma« *(The Pilgrim's Progress)* przez Jana Bunyana. O uzasadnieniu tego określenia »najpopularniejsza książka angielska« niech świadczy fakt, że z wszelką pewnością nie było i niema Anglika umiejącego czytać, któryby tej książki już od wczesnej młodości nie znał; że na całej kuli ziemskiej, gdziekolwiek mówią po angielsku, niema rodziny, w której biblioteczce domowej obok książki nad książkami, Biblii, nie

stałaby ta religijno-allegoryczna opowieść Bunyana. Poszczególne wypadki i postacie tego opowiadania weszły w język i wyobraźnię ludu do tego stopnia, że stały się niemal przysłowiowe; śmiało rzec można, że mało którą książkę, a nawet mało który numer pierwszej lepszej gazety angielskiej czytać można, nie spotykając się z ciągłemi alluzyami do figur bunyanowskich, które podobnie jak różne alluzye biblijne są dla każdego czytelnika angielskiego bez objaśnień zrozumiałe. Jedno tylko zjawisko w późniejszej literaturze angielskiej co do rozpowszechnienia i niewygasającej popularności z tą książką da się porównać: tem jest »Robinson Krusoe« Daniela De Foe.

Ale podczas gdy »Robinson« jako utwór przedstawiający allegorycznie rozwój całej ludzkości a nie wyłącznie życie religijne człowieka, w niezliczonych parafrazach i naśladowaniach powtórzył się i powtarza we wszystkich literaturach europejskich, to dzieło Bunyana, choć rozgłos jego po całym świecie się rozszedł i na wiele języków tłumaczone było [1], jednak z powodu swej wyłącznie religijnej treści tej ogólno-europejskiej poczytności co »Robinson« nigdy nie zyskało, a przynajmniej tylko w Anglii, nigdzie indziej, zajęło to stanowisko, które dziś zajmuje »Robinson« w świadomości literackiej całego wykształconego świata; to znaczy, że dla Anglika należy do tych dzieł, które przedstawiają się ogółowi czytających w zupełnem oderwaniu od wszelkich kwestyi specyalnie literackich, od wszelkich zagadnień o osobę autora, jego poglądy i stanowisko, warunki historyczne, wśród których utwór powstał, i datę jego napisania. Z tą szczęśliwą naiwnością, nie troszczącą się o te wszystkie dodatkowe wiadomości, czytają »Robinsona« miliony dzieci na całym świecie; w podobny zupełnie

[1] Tłumaczenie polskie, obejmujące tylko pierwszą z dwóch części dzieła, drukowane było u Driesta w Królewcu w r. 1764 p. t.: »Droga Pielgrzymuiącego Chreścianina do Wieczności Błogosławioney, przez Jana Bunian Sługę Bożego w Angliey okazana, z Francuzkiego ku Zabawie pobożney Polskiemu Światu przez Kawalera w Manheymie na Polski Ięzyk Roku 1728 przetłumaczona, ale teraz dopioro przez X. Dawida Behra, Kaznodzieję Nadwornego I. K. Mci K. P., do Druku podana.

Jako *curiosum* posiada biblioteka Jagiellońska także litewskie tłumaczenie całego dzieła (obu części), drukowane w Królewcu w roku 1860.

nie literacki sposób poznawały i poznają całe generacye ludu angielskiego dzieło Bunyana. My jednak, dla których ono nie należy do owych niejako absolutnych, objektywnych jak ziemia i słońce przedmiotów świata duchowego, nie możemy się obyć bez pewnych wiadomości o życiu i osobie autora, by zrozumieć, wśród jakich okoliczności książka powstała i jaką treść chciał autor w nią włożyć.

We wsi Elstow w hrabstwie Bedfordshire w środkowej Anglii z końcem listopada roku 1628 ochrzczono imieniem Jana dziecko ubogiego rzemieślnika, który dzierżył z bratem na poły odziedziczony po dziadku sklepik, ale oprócz tego dla utrzymania siebie i rodziny zajmował się naprawianiem garnków i kotłów, wędrując za zamówieniami po okolicy. Tę profesyę odziedziczył po ojcu Jan Bunyan, najznakomitszy druciarz w literaturze powszechnej; zanim się jednak poświęcił rzemiosłu, odbył szkołę elementarną w rodzinnej wiosce, gdzie nauczono go czytać i pisać. Wyższych elementów wykształcenia nigdy nie posiadł; dla niego jak dla całej purytańskiej generacyi narodu angielskiego sumą wszystkiej mądrości i źródłem wszelkich natchnień literackich pozostała przez całe życie jedna jedyna książka: Biblia.

Krajem targała wtedy rozsrożona do ostateczności wojna domowa między królem Karolem I a parlamentem, który walczył o swe swobody konstytucyjne. Obie strony wystawiły wojska i cały naród podzielony był na dwa wrogie obozy. Czynnego udziału w wojnie Bunyan z własnej inicyatywy może nie byłby wziął; ale pchnęły go do tego motywy osobiste: w dwa miesiące po śmierci matki weszła do domu macocha, i z przed jej niechętnych oczu zapewne szesnastoletni chłopak chciał się usunąć, wstępując do wojska. Czy służył po stronie królewskiej czy parlamentarnej, nie wiadomo: prawdopodobnem jest to ostatnie, nie tylko dlatego, że przecież to była strona purytanizmu i wszystkich ideałów, którym później Bunyan służył, ale przedewszystkiem z tego prostszego powodu, że hrabstwo Bedfordshire w całości stało po stronie parlamentu.

Z karyery żołnierskiej Bunyana zachował nam się jeden szczegół, który rzuca charakterystyczne światło na psychologię

tego odrodzenia uczuć religijnych, jakie się w owem pokoleniu dokonywało. Tak samo mianowicie jak rzymski katolicyzm, gdy się z początkiem XIII stulecia obudził do nowego życia pod potężnym wpływem żebraczych zakonów (Dominikanów, Franciszkanów, Karmelitów i Augustyanów), tak samo, zresztą powiedzmy, jak każda religia w takim okresie intenzywnego rozbudzenia, tak i protestantyzm w tych czasach, gdy purytanizm wyniósł religię nad wszystkie inne dziedziny życia umysłowego, okazał od razu skłonność do mistycyzmu, do wiary w czynny udział sił nadprzyrodzonych we wszystkich najpospolitszych zdarzeniach codziennego życia.

Na tych dwóch latach służby wojskowej kończył się zarazem wszelki czynny udział, jaki Bunyan wziął kiedykolwiek w tych wielkich wypadkach politycznych, które wtedy przeobrażały całe oblicze państwowości angielskiej. Odtąd zajmują umysł jego i całą energię absorbują wyłącznie problemy religijne.

W roku 1646 armia parlamentarna, dokonawszy swego zadania przeciwko siłom królewskim, otrzymała od parlamentu rozkaz rozwiązania się, i Bunyan wrócił do domu i do swego rzemiosła. W dwudziestu latach ubożuchno się ożenił; miski i łyżki, powiada, brakło w urządzeniu domowem młodego gospodarstwa. Jednak to małżeństwo doprowadziło zarazem do wielkiego zwrotu w życiu wewnętrznem Bunyana; jakkolwiek ubogą była żona, jednak w wyprawie, jaką z domu ojca ze sobą przyniosła, znalazły się dwie książki pobożne, i te zrobiły z Bunyana całkiem nowego człowieka.

Dotychczas przyszły autor »Wędrówki Pielgrzyma« niewiele się usposobieniem różnił od swojego otoczenia; był sobie typowym wiejskim młodzieńcem angielskim dawnego autoramentu, a więc żywy i wesoły, rozmiłowany w tych tradycyjnych tańcach i zabawach, na które średniowiecznym jeszcze zwyczajem gromadził się lud wiejski w niedzielę po południu na łące gminnej. Nie gardził też wtedy, jak to czyniły wszystkie skrajne sekty protestanckie, zewnętrznym przepychem ceremoniału religijnego; w szczególności rozkochany był od dziecka w uroczystej harmonii dzwonów kościelnych, i długo im się nieraz przysłuchiwał.

Na tę całą zdrową, młodą radość życia padła teraz szara zasłona purytańskiej pogardy świata i jego uciech. Bunyan grzesznikiem wielkim nigdy nie był; pijaństwu ani innym nadużyciom nigdy się nie oddawał; jedyny zły zwyczaj, o który też może w szczerości swych skrupułów nazbyt się oskarża, była to rzecz pospolita u ludności wiejskiej wszystkich czasów i krajów: skłonność do przeklinania. Ale nie tylko to, lecz wszystkie te rozrywki towarzyskie, które do niedawna tak miłował, ukazały mu się teraz jako grzech i sprawa szatańska. Nie od razu się od nich oderwał; wracał do nich mimo ostrzeżeń, jakie słyszał w kazaniach; odrywał go dopiero wewnętrzny krzyk sumienia; tak raz podczas jakiejś wesołej gry towarzyskiej zdawało mu się, że nagle usłyszał głos z nieba: »Czy chcesz porzucić swe grzechy i iść do nieba, czy pozostać przy nich i iść do piekła?« — i ujrzał stojącą na niebie postać samego Pana Jezusa z twarzą czerwoną od gniewu; innym razem znowu zasłuchał się swoim zwyczajem w głos dzwonów, aż przeszedł go strach, że za karę dzwon z wieży spadnie i zabije go na miejscu. Tak więc wkońcu zarzucił to wszystko, i ku niemałemu zdumieniu całego otoczenia stał się fanatycznie gorliwym w praktykach religijnych. Ale dość powierzchowne było to pierwsze nawrócenie. Rozczytywał się wprawdzie w Biblii, ale jedynie w opowiadających jej częściach; dogmatyczno-moralne, jak listy świętego Pawła lub Objawienie św. Jana, nic mu jeszcze nie mówiły. Przedewszystkiem zaś ta pewność swej cnoty, to zupełne zadowolenie z siebie, które zawsze jest cechą faryzeusza, napełniały go jeszcze. Na tym stopniu wielu purytan pozostało; dalej i głębiej jednak poszedł Bunyan. Z przypadkowo podsłuchanej rozmowy kilku prostych kobiet, które z całą naiwnością opowiadały sobie o swych osobistych doświadczeniach religijnych, uświadomił sobie Bunyan, że nie był dotąd niczem lepszem jak zwykłym hipokrytą. Odtąd zaczyna się, i trwa przez kilka lat, najboleśniejszy okres w jego rozwoju duchowym: długie zmagania się zwątpień i skrupułów, obawy i nadziei, rozpaczy i radości naprzemian. Te same męczarnie srożyły się w niejednej duszy purytańskiej: młody szlachcic ziemski Oliver Cromwell, późniejszy dyktator purytańskiej Anglii, cierpiał na nie w młodości

tak samo jak biedny druciarz w Elstow, który nam te przejścia później ze wstrząsającym realizmem opisał w swem dziele »Łaska obfita dla największego z grzeszników« *(Grace abounding to the chief of sinners)*.

Wyszedł wreszcie Bunyan z tego czyśca duchowego. Pokój i ukojenie znalazł w łonie tej sekty religijnej, której odtąd do końca życia wierny pozostał.

Była nią sekta Baptystów. Należała ona do wielkiej grupy drobnych sekt, od których wówczas poczynało się roić w Anglii wskutek rozbudzonego zainteresowania sprawami religijnemi, a które nazywano i nazywa się po dziś dzień łącznem mianem nonkonformistów czyli kongregacyonalistów: nonkonformistami dlatego, że nie konformowali czyli nie stosowali się w wierzeniach i obrzędach do panującego Kościoła państwowego, zaś kongregacyonalistami dlatego, że według naczelnego ich dogmatu każda kongregacya czyli gmina wiernych miała prawo być zupełnie niezależną w rzeczach wiary i rytuału. Nie uznawali zatem żadnego jednolitego ustroju Kościoła narodowego, żadnej hierarchii kościelnej: przez to stawali w przeciwieństwie zarówno do wysokiego Kościoła anglikańskiego jak i do jego przeciwników prezbiteryanów, którzy obalili i zdetronizowali wtedy ten Kościół: bo i prezbiteryanie, choć wprawdzie byli przeciwni dotychczasowej hierarchii kościelnej, ufundowanej na autorytecie biskupim, jednak ze swojej strony przynosili projekt bardzo zwartej i silnej organizacyi kościelnej, mianowicie kalwińskiej, która polegała na republikańskiej zasadzie wyboru ministrów przez lud i żelazną siecią tak wybieranych komisyi kościelnych, jedna drugiej podlegających, opasywała całe społeczeństwo. Z nonkonformistami pod dawnym porządkiem załatwiano się dość sumarycznie, wypędzając ich przeważnie do Hollandyi; gdy zaś w wojnie domowej z królem zwyciężył parlament i nastał system prezbyteryański, nonkonformiści w nadziei lepszych stosunków poczęli gromadnie wracać z Hollandyi i Ameryki; byliby ich zapewnie prezbiteryanie tak samo prześladowali jak dawniej anglikanie; ale przeciwko prezbiteryanizmowi, którego środowiskiem był rządzący parlament, powstała potężna nowa siła w postaci armii: ta dotychczas była na usługach

parlamentu przeciwko królowi, ale nie mogąc przy doborze swych ludzi oglądać się na ścisłą zgodność ich przekonań religijnych z systemem prezbiteryańskim, stała się naturalnem ogniskiem swobody i tolerancyi wyznaniowej, czyli, jak wtedy mówiono, przekonań independenckich t. j. niezależnych. Independenci przez swój dogmat osobistej wolności sumienia byli oczywiście najbardziej zbliżeni do nonkonformistów; to też gdy Cromwell, głowa armii i independentyzmu, rozpędził prezbiteryański parlament i stał się na szereg lat samowładnym panem Anglii, nonkonformiści pod jego rządami mogli swobodnie wykonywać publicznie swe praktyki religijne.

W tym właśnie czasie wstąpił między nonkonformistów Bunyan. Sekta Baptystów, do której należał, wyrobiła się w obozie nonkonformistycznym na wygnaniu w Leyden w Hollandyi i była po prostu skrajną, radykalną jego frakcyą. Głównym ich dogmatem, jak mówi nazwa, był chrzest dorosłych.

W chwili przystąpienia do tej sekty Bunyan mieszkał jeszcze we wsi rodzinnej, gdzie urodziła mu się ślepa córeczka Mary, o której we wzruszających słowach opowiada w swem autobiograficznem dziele *Grace abounding;* niebawem jednak przeniósł się do poblizkiego miasta Bedford, aby być bliżej swej kongregacyi baptystycznej, która tam się właśnie gromadziła. Stracił tu żonę, a po niej także swego dotychczasowego przewodnika duchowego, baptystę Gifforda; sam też ucierpiał na zdrowiu. Z drugiej strony tu raz pierwszy występuje na forum publiczne: poznając niepospolity umysł, baptyści, którzy w obrębie każdej ze swych niezależnych kongregacyi rządzili się po republikańsku podobnie jak prezbiteryanie, wybierają go w r. 1655 członkiem wydziału czyli jednym z t. zw. dziekanów swej gminy. Wkrótce jednak okazało się wyraźnie, na jakiem polu leżało najwyższe uzdolnienie Bunyana: był urodzonym kaznodzieją. To też w r. 1657 zwolniono go z obowiązków dziekana, i odtąd prawienie kazań do ludu po różnych miejscach kraju, najpierw prywatnie, potem publicznie, stało się właściwem powołaniem jego życia.

W tym samym też czasie rozpoczął swą karyerę jako publicysta religijny przez dwie broszury; jedna z nich »Odsłonięcie

kilku prawd ewangelicznych« zwracała się przeciwko drobnej i pogardzanej wtedy sekcie kwakrów, która później miała się wznieść do tak potężnego znaczenia w życiu religijnem narodu; druga zaś pod przejmującym tytułem »Westchnienia z piekła, czyli jęki potępionej duszy«, traktuje o temacie już w średniowiecznem kaznodziejstwie najpopularniejszym, bo największe wywierającym wrażenie na wyobraźnię szerokich mas ludu: o karach piekielnych. Już w tem pisemku daje się dostrzedz owa silna realistyczna dosadność wyrażenia, która jest główną autorską zaletą Bunyana i zdrowy humor, którym zawsze celuje, poczyna się odzywać.

Pod independenckimi rządami Cromwella, jak się rzekło, nie potrzebował się Bunyan ukrywać ze swą działalnością baptystyczną. Wprawdzie spotykała go wszędzie prawie niechęć ze strony ministrów panującego wyznania, raz nawet musiał stawać przed sądem, ale do prześladowań za przekonania religijne administracya cromwellowska nie dopuszczała.

Całkiem inne czasy nastały, gdy po śmierci Cromwella wkrótce wróciła na tron wygnana królewska dynastya Stuartów, a z nią Wysoki Kościół anglikański, który wtedy skłaniał się ku połączeniu z rzymskim katolicyzmem. Poczęło się prześladowanie nonkonformistów; wydano przeciw nim szereg rozporządzeń, wymagających pod surowemi karami ścisłego zastosowania się do obrządku anglikańskiego, uczęszczania na nabożeństwa Kościoła panującego i zaniechania swoich odrębnych praktyk. Wbrew temu wszystkiemu Bunyan dalej prawił swoje kazania po stodołach, domach prywatnych i lasach. Wydano list gończy przeciwko niemu; że jednak, uciekając, byłby odebrał otuchę młodszej braci, która spoglądała na niego jako wytrwałego wyznawcę, więc i teraz nie ustał w swej działalności, i tak się stało, że jeszcze w pierwszym roku nowych rządów, 1660, został schwytany i odstawiony do więzienia okręgowego w Bedford. Nie przewidywał zapewne, że w tem więzieniu spędzić będzie musiał dwanaście lat! Tak jednak się stało. Uporczywa wytrwałość, z jaką odmawiał żądanego przyrzeczenia, że zaprzestanie swej czynności kaznodziejskiej, utrudniała zadanie sędziom, którzy z początku przynajmniej byli skłonni uwolnić go. Gdy w roku 1661 z okazyi koronacyi

króla Karola II ogłoszono ogólną amnestyę, Bunyanowi sumienie nie pozwoliło dopełnić jedynego warunku, do jakiego była przywiązana, t. j. wnieść osobistą prośbę o przebaczenie. Wszelkie zaś wysiłki jego drugiej żony, która z całem poświęceniem zaopiekowała się czworgiem drobnych sierót i z prawdziwym heroizmem przechodzi przez te ciężkie czasy, pozostały bezskuteczne. Z początku uwalniano go czasem chwilowo na odwiedziny u znajomych, z których oczywiście korzystał znowu w celach kaznodziejskich; później jednak doniosło się to do Londynu i obostrzono rygor więzienny. W roku 1666 wypuszczono go na wolność zupełnie, ale był to epizod zaledwie kilkutygodniowy, bo wkrótce znowu schwytano go na kazaniu i ponownie uwięziono.

We więzieniu Bunyan zajmował się sznurkarstwem, by coś zarobić na utrzymanie rodziny. W wolnych chwilach mówił kazania do współwięźniów, nie ustała także czynność literacka. Cały zasób lektury jaki miał ze sobą, składał się z Biblii, która sama w sobie zawsze i wszędzie byłaby mu wystarczyła, i z drugiego jeszcze źródła natchnienia religijnego, książki także po dziś dzień jednej z najpospolitszych w biblioteczkach domowych rodzin angielskich, mianowicie Jana Foxa »Historyi męczenników Kościoła angielskiego« (t. j. głównie tych wyznawców protestantyzmu w XVI wieku, którzy padli ofiarą tyrańskich humorów Henryka VIII w sprawach kościelnych, oraz rzymsko-katolickiej reakcyi pod panowaniem jego córki królowej Maryi, 1553—1558)[1] Głównem zajęciem Bunyana jednak nie było czytanie, lecz pisanie: w tych dwunastu latach powstał cały szereg traktatów religijnych, wśród nich pierwsze z trzech największych dzieł Bunyana, wspomniany już kilkakrotnie utwór autobiograficzny »Obfita łaska dla największego z grzeszników«, gdzie z całą szczerością, potężną siłą uczucia i nazbyt głęboką może pokorą opowiada nam całe swe życie wewnętrzne od pierwszej młodości, tę drogę rozwoju umysłowego, po której doszedł do swego pojęcia religii. Działo to — ogłoszone drukiem podczas chwilowej wolności w r. 1666 —

[1] John Fox: *Acts and Monuments* etc., 1563, in folio; zwykle zwane *Book of Martyrs.*

krytyka literacka porównała nie bez słuszności z tym arcywzorem tego rodzaju autobiografii, jakim po wszystkie wieki pozostaną »Wyznania« św. Augustyna.

Gdy nareszcie w r. 1672 Bunyan opuścił więzienie, zawdzięczał swe wyzwolenie nowemu zwrotowi w polityce kościelnej, Król Karol II, który pod wpływem dworu francuskiego był z całym swym domem zwolennikiem rzymskiego katolicyzmu, pragnął wysoki kościół anglikańskj pozbawić dominującego stanowiska w państwie i w tym celu zniósł wszelkie ustawy wyjątkowe przeciwko innowiercom; uwolnił z więzienia zarówno t. zw. katolickich rekuzantów — t. j. katolików odmawiających udziału w nabożeństwach anglikańskich — jako też non-konformistów. Bunyan teraz otrzymał królewski patent pozwalający mu na kazania, i niebawem z całą energią na nowo rozpoczął dawną działalność w hrabstwie Bedford, które żartobliwie jego »dyecezyą« nazywano. Równocześnie też niezmordowanie pracował piórem.

Tymczasem przeciwko katolickim skłonnościom króla obudziła się silna reakcya u narodu, do której przyłączyło się niezadowolenie z haniebnej zależności od francuskiego Ludwika XIV w polityce zewnętrznej, tak, że wreszcie, by się utrzymać na tronie, Karol II, który nigdy nie okazał ani krzty charakteru, odwołał znowu amnestyę i przywrócił wszystkie dawne statuty karne przeciw dyssydentom. Wskutek tego w r. 1675 Bunyan znowu dostał się do więzienia, tym razem jednak tylko na sześć miesięcy. Owocem tych sześciu miesięcy prawdopodobnie jest to jego największe dzieło, którem się tu bliżej zająć zamierzamy: »Wędrówka pielgrzyma«.

W tych samych latach powstało kilka innych z pośród najlepszych i najcharakterystyczniejszych dzieł Bunyana; np. jako *pendant* niejako do »Wędrówki pielgrzyma«, która przedstawia w allegoryi żywot doskonałego chrześcijanina, mamy nakreślony ze świetnym realizmem typ człowieka złego w postaci chciwego kupca, pana Badman *(Life and Death of Mr. Badman);* mamy dalej utwór allegoryczny, jednej tylko »Wędrówce pielgrzyma« w doskonałości artystycznej ustępujący; jest to opowiadanie

o »świętej wojnie« *(The Holy War)*, jaka się bezustannie toczy między pierwiastkiem dobrym a złym na świecie. Mamy wreszcie drugą część »Wędrówki pielgrzyma«, podróż chrześcijanki i jej dzieci, napisaną w dziewięć lat po pierwszej.

Walki ówczesne w łonie narodu, choć około haseł religijnych się toczące, miały jednak w istocie treść czysto polityczną; Bunyan zaś, jak wiemy, nigdy się polityką nie zajmował. Temu więc przypisać należy, że tym razem, w r. 1675, wyszedł już po krótkim czasie z więzienia i odtąd z całą swobodą działał, nie doznając już nigdy ze strony rządu żadnych przeszkód ani prześladowań. Nastała teraz epoka jego największej chwały i popularności; na kazania jego, szczególnie w Londynie, gromadziły się tłumy ludu; najznakomitsi uczeni teologowie nie wstydzili się wyznać, że z korzyścią słuchali druciarza z Elstow; w roku śmierci spotkał go nawet ten zaszczyt, że był — nieoficyalnie co prawda — kapelanem domowym lorda-majora Londynu. Rząd, który go niegdyś więził, sam starał się teraz pozyskać go dla siebie ofiarowując mu posady, których jednak Bunyan nie przyjmował. Umarł, jak żył, w największem ubóstwie. Rok jego śmierci, 1688, to rok pamiętny w dziejach Anglii sławną bezkrwawą rewolucyą, która przywiodła na tron dom orański i położyła podstawę pod prawdziwie swobodny i postępowy rozwój konstytucyjny państwa. Tego wielkiego wypadku jednak już Bunyan nie dożył. Śmierć znalazł w tem, czemu poświęcił całe życie: w usłudze bliźnich. By pogodzić jakiegoś zwaśnionego ojca z synem, odbył konno wśród ulewnego deszczu podróż z Londynu do Reading i zaziębił się śmiertelnie. Śmierć zastała go przy zwykłej pracy! Dziewięć dni przed zgonem miał ostatnie kazanie, a na łożu choroby jeszcze ukończył ostatnią z czterech książek, które puścił w świat w tym jednym roku 1688. Serdeczny przyjaciel ostatnich dni jego, prosty grzebieniarz londyński Charles Doe, »jako najlepszą zasługę jaką mógł położyć przed Bogiem«, przedsięwziął mozolną pracę zebrania wszystkich dzieł Bunyana w jednem pośmiertnem wydaniu, które wyszło jako gruby foliał w r. 1691.

Ogółem jest jego utworów około 60. Bardzo rozmaity los spotkał je u potomnych: niektóre spoczywają w zapomnieniu

wraz z całym nieprzejrzanym ogromem tej drobnej codziennej literatury polemiczno-religijnej, którą zrodziły walki wewnętrzne XVI i XVII wieku; inne znowu, pełne realizmu w opowiadaniu wypadków codziennego życia, są nieocenioną skarbnicą szczegółów charakterystycznych tej epoki i jej kultury dla historyka; jeszcze inne wreszcie zdobyły sobie uznanie jako arcydzieła literatury angielskiej, przedewszystkiem »Łaska obfita«, »Święta wojna« i »Wędrówka pielgrzyma«; z tych trzech jednak tylko to jedno ostatnie stało się i będzie na zawsze jednym z najistotniejszych składników całego mienia materyalnego i duchowego każdej rodziny, każdej na świecie duszy angielskiej; i dlatego tem dziełem teraz szczegółowo się zajmiemy.

(Dok. nast.).

Dr. Roman Dyboski.

GENEZA KULTU RELIKWII ŚW.

Skąd się wziął w Kościele katolickim kult relikwii, wogóle kult Świętych? — oto pytanie, żywo dziś roztrząsane w tak licznych pracach chrześcijańskiej hagiografii, znajdującej się obecnie w całej pełni swego rozwoju. Uczeni protestanccy nie wahają się twierdzić, że jest on owocem masowej chrystyanizacyi pogaństwa w. IV i następnych, które wniosło ze sobą wiele dawnych form religijnych. Chrześcijaństwo, zdaniem tych uczonych, poczęło od w. IV coraz bardziej przesiąkać wierzeniami i zwyczajami pogańskimi. Przedewszystkiem ucierpieć miała przez to idea monoteizmu, bo przyzwyczajone w pogaństwie do tysięcznych bóstw i pół-bóstw masy, potworzyły sobie, w miejsce dawnych heroów, Świętych i Święte, które im bliższe były, jak sam Bóg. Głosy te znalazły słabe echo nawet u niektórych uczonych katolickich. Słowem, teza ta stała się dość modną w dzisiejszej hagiografii i studyach nad kulturą pogańską i starochrześcijańską [1].

Nie zamierzamy obecnie zbijać tego zarzutu, o ile odnosi się do kultu Świętych wogólności; chcemy tylko oczyścić z niego jeden moment z tak różnorakiego w swych objawach kultu Świę-

[1] Oto kilka przykładów. »Beide Religionen sind sich hier in einer wichtigen Concession begegnet, doch so, dass die christliche Anschauung sich die einschneidensten Abzüge gefallen lassen musste; sie erlag der Gegenwirkung des antiken Manenkultus und des Polyteismus. Das erste Moment war der Manenkultus; zu ihm ist das andere erst hinzugetreten«. Schultze: *Untergang des griechisch-römischen Heidentums,* II, 348.

»Die Heiligen der christlichen Kirchen, vor allem die der griechischen

tych, mianowicie: kult ich relikwii. Oczywistą jest rzeczą, że częstokroć będzie nam się trzeba uciec także do uwag ogólniejszej natury, które rzucą wiele światła na początki i powstanie kultu Świętych wogóle.

To, co jest głównym punktem oparcia dla twierdzeń naszych przeciwników w kwestyi genezy chrześcijańskiego kultu relikwii, jest analogia, jaką spotykamy już w pogaństwie. Istotnie, podobieństwo zachodzi tu uderzające. Miejscem, w którem się ześrodkowywał cały kult heroa, był jego grób [1]. Znajdywał się on często na rynku miasta, jak np. grób Adrasta w Sykionie, często w bramach miasta lub na pograniczu kraju, który doznawał zato szczególniejszej opieki herosa. Tak np. w bramach Elidy miał grób Aetolos, syn Oxylosa, w bramach miasta Temenos w górnej Lydyi miał swój grób Geryon. Ponieważ, w myśli i przekonaniach starożytnych, grób heroa był źródłem szczęścia i dobrobytu dla miasta, przeto posiadacze jego nierzadko ukrywali tajemnie relikwie heroa przed obcymi; czasem nawet palono i rozpraszano po rynku kości heroa, by kradzież ich zupełnie uniemożliwić. Również w tych przekonaniach o opiekuńczej działalności relikwii heroa mają swój początek przenoszenia relikwii heroów, tak podobne do średniowiecznych przenoszeń relikwii Świętych. Tak np. przeniesiono relikwie Orestesa z Tegei do Sparty, relikwie Hektora z Ilionu do Teb, relikwie Hesyoda z Naupaktos do Orchomenos, Aristomenesa z Rhodos do Messeny i t. d. Klasyczny, podawany

---

Kirche, stellen die gerade Fortentwicklung des griechischen Heroenkultus dar«. Wobbermin: *Religionsgeschichtliche Studien*. Berlin 1896, str. 18.

»Les saints prenaient la place des ces petites divinités domestiques et locales qu'on priait de si bon coeur, dans les religions antiques«. G. Boissier: *La fin du paganisme*, II, 145. Paryż 1891.

»Das heidnische Fetisch- und Amulettenwesen lebte in dem Todten- und Reliquiencultus wieder auf«. Harnack: *Dogmengeschichte*, II, 443, wyd. III.

Przedewszystkiem należy tu uwzględnić dwa, napisane w tym duchu w ostatnich latach, dzieła: E. Lucius-Anrich: *Die Anfänge des Heiligenkults*. Tübingen 1904. P. Saintyves: *Les Saints Successeurs des Dieux*. Paryż 1907.

[1] Rohde: *Psyche* t. I, str. 159 sqq. Tübingen 1907. N. Sepp: *Heidentum und dessen Bedeutung für das Christentum*. II, str. 194 sqq. Regensburg 1853.

powszechnie przykład przeniesienia relikwii, zapisał nam Plutarch [1], mianowicie przeniesienie relikwii Thezeusza ze Scyros do Aten. Wyrocznia delficka orzekła, że dopóty los Aten będzie niepewny, póki Atheńczycy nie dostaną w swe posiadanie pomienionych relikwii. Jakoż istotnie, Cymon, syn Milcyadesa, wylądował na wyspie Scyros, by szukać grobu Thezeusza. Na miejscu, wskazanem dzióbem i szponami orła, znalazł w grobie szkielet olbrzymiej wielkości z dzidą i mieczem. Wprawdzie mieszkańcy miejscowi ukrywali starannie grób swego heroa, ale Cymon nie wątpił, że znalazł prawdziwe szczątki Thezeusza. Na trójwiosłowcu przewiózł je do Athen, a Ateńczycy, wśród uroczystych obrzędów, złożyli je na rynku miasta, gdzie czcili je odtąd stale ofiarami.

Podobnie jak na grobach męczenników w chrześcijaństwie, stawiano również w pogaństwie ołtarze i świątynie na grobach heroów. Owszem, jak w czasach chrześcijańskich, tak również i dawniej przedmiotem czci były, oprócz całych zwłok heroa, także i części, choćby małe, jego szczątek, wogóle wszystko, co z nim w bliższej pozostawało styczności. Tak np. w Tegei pokazywano skórę i zęby pewnego heroa, w Egipcie wielkie obuwie Perseusza [2], w Rzymie w Regia, czyli dawnym pałacu królewskim święte włócznie Marsa [3] i spadłe z nieba tarcze [4]. W starej kapitolińskiej świątyni przechowywano berło Pryama, zasłonę *(velum)* Heleny [5], znów indziej pokazywano lirę Orpheusza, cytrę Parysa i t. d. [6].

Nieda się zatem zaprzeczyć, że i pogańska starożytność miała coś analogicznego do chrześcijańskiego kultu relikwii Świętych. Mimo to nie możemy się zgodzić na zapatrywania wyżej wymienionych uczonych, jakoby chrześcijański kult relikwii zależał w początkach swego rozwoju od wpływów pogańskich, lub jakoby ów kult był pewnem ustępstwem chrześcijaństwa na korzyść na-

---

[1] *Cimon*, 8; *Thes.*, 36.
[2] Sepp. l. c. str. 193.
[3] Wissowa: *Religion und Kultus der Römer*. München 1902, str. 431.
[4] Ibidem str. 131. 481.
[5] Döllinger: *Heidentum und Judentum*. Regensburg 1857, str. 472.
[6] Saintyves, l. c. str. 44.

wracającego się licznie w IV wieku pogaństwa. Gdyby nam chodziło li tylko o polemikę, łatwoby nam było odeprzeć powyższy zarzut. Mówi się bowiem powszechnie, że kult Świętych i ich relikwii powstał w Kościele dopiero w wieku IV, kiedy chrześcijaństwo, pod wpływem nawracającego się gromadnie bez należytego uprzedniego przekształcenia serc pogaństwa, uległo zabarwieniu politeistycznemu. Kościół dawniejszy, ożywiony gorącą i nieskalaną wiarą w jednego Boga miał nie znać wcale kultu Świętych. Ale oto właśnie to twierdzenie mija się najzupełniej z rzeczywistemi historycznemi danemi. Kościół przed IV w., mimo, że na wskróś monoteistyczny, znał jednak i kult Świętych i kult ich relikwii, jakeśmy to już wykazali gdzieindziej [1]. Kult ten jest już w połowie wieku II faktem dokonanym. Wprawdzie w w. IV rozwinął się on o wiele potężniej, ale nie stało się to bynajmniej kosztem dawnych czystych idei chrześcijańskich, lecz głównie dzięki większej politycznej i społecznej swobodzie chrześcijan, jakoteż dzięki wrodzonej człowiekowi dążności do coraz wyższego doskonalenia swych form religijnych.

Pozostawiamy atoli polemikę na boku, a będziemy się starali wprost przypatrzeć owej pozornej zależności chrześcijańskiego kultu relikwii od pogańskiego.

Najpierw musimy tu podnieść bardzo doniosłą w naszym przedmiocie okoliczność, że analogiczne te zjawiska przedzielone są od siebie niezmiernie wielką odległością czasu. Jak większość wypadków przeniesienia relikwii heroów [2], tak wogóle cały kult relikwii, we wszystkich swych objawach, należy do dalekiej przeszłości. Pogaństwo czasów, w których chrześcijański kult relikwii Świętych się rozwijał, już go wcale nie znało. Słusznie mógł wyrzucać Teodoret (w. V), współczesnym sobie Grekom, potępiającym chrześcijański kult, że pobożniejsi ich przodkowie znali także podobny kult. Ale dziś to wszystko jest już nieznanem. Nawet groby cesarzy, których za bogów uważano, pozbawione dziś wszelkiej czci, nawet takiej, jaką się groby pry-

[1] Cf. *Ateneum kapłańskie*, maj 1909. Włocławek.
[2] Rohde: *Psyche* I, 161.

watne otacza [1]. Zaginęła dziś wszelka pamięć o dawnych bogach, świątynie ich leżą w gruzach [2]. A dodajmy, że nie jest to tylko obraz czasów Teodoreta. Stan rozkładu religijnego trwał u Greków i u Rzymian od wieków. U Greków od czasów hellenizmu rozpowszechnia się potężnie zanik religii [3]. Dawne narodowe bóstwa, herosy nie doznają czci od nikogo; jeszcze tylko abstrakcyjną Τύχη błaga się czasem o pomoc lub się i nią gardzi. Zdaniem Wendlanda, do całej helleńsko-rzymskiej epoki można odnieść, słowa Pliniusza (Nat. hist. II, 22): *toto quippe mundo et omnibus locis omnibusque horis omnium vocibus Fortuna sola invocatur ac nominatur*... Owszem, wcale poważnie zastanawiano się wówczas, czy Aleksander i Rzymianie zawdzięczają swe powodzenie τῇ Τύχῃ, czy raczej swemu męstwu. Od Aleksandra ożywia się na jakiś czas kult władców i wielkich żyjących wodzów, ale wnet wypierają go mysterye, zwłaszcza frygijskie, z całą swą rozpustą i bezwstydnemi orgiami. Cicerońskie *nusquam colitur*, wypowiedziane o czczonym niegdyś w Amphipolis Rhesosie [4], dokąd przeniesiono jego zwłoki z Troas — to zwykły los wszystkich dawnych heroów w czasach chrześcijaństwa. Bardzo charakterystycznym dla owych stosunków jest pean, jakim witali Ateńczycy Demetriosa Poliorketesa (307): Inni bogowie albo wcale nie istnieją, albo nas nie słuchają. Na ciebie atoli patrzymy twarzą w twarz; dlatego modlimy się do ciebie... [5]

Nie inaczej było u Rzymian. Z chwilą ich hellenizacyi zamierał wszelki kult bóstw dawnych. Pod koniec republiki ateizm tak był wielkim, iż Varro pisał swe *Antiquitates rerum divinarum*, by przynajmniej pamięć o dawnych bóstwach nie zaginęła skutkiem niedbalstwa rzymskich obywateli [6]. Usiłowania Augusta wznowienia dawnych kultów nie wiele miały powodze-

---

[1] *Graecarum affectionum curatio*, VIII, Migne: *Patr. gr.* 83, 1031.

[2] Ibid. col. 1034.

[3] Paul Wendland: *Hellenistisch-römische Kultur in ihren Beziehungen zu Judentum und Christentum.* Tübingen, str. 59 sqq.

[4] *De natura deorum* 3, § 45.

[5] Wendland l. c. str. 75.

[6] Wissowa: *Religion und Kultus der Römer.* München 1902, str. 65.

nia; czasy cesarstwa to czasy rozkwitu kultu cesarzy, który prawie wszędzie zdusił wszelki inny kult [1]. Kollegia kapłanów najrozmaitszych bóstw zmieniały się zwolna w kollegia kapłanów bogów-cesarzy. Tak np. w Pompei *ministri Mercurii Maiae* nazwali się *ministri Augusti* [2]. Później i ów kult stał się prostem dworactwem i podchlebianiem się żyjącym władcom; stąd też po śmierci cesarza burzono zazwyczaj wszystkie, jemu poświęcone pomniki, a stawiano następcy [3]. Słusznie mógł zatem mówić Teodoret, że groby cesarzy-bogów nie doznają nawet takiej czci, jaką się oddaje grobom prywatnym, że kult cesarzy kończył się z ich śmiercią. Ostatnim momentem rozkładu religijnego u Rzymian były również jak u Greków liczne, rozpustne wschodnie mysterye.

A zatem u tych mas trudno mówić o jakichś religijnych skarbach, bez którychby się one i po wstąpieniu do obozu chrześcijańskiego nie mogły obejść. Oneby były zapewne nie zapoczątkowały kultu relikwii Świętych, gdyby go były w Kościele już nie zastały. Trudno przeto powiedzieć, że kult relikwii jest jedną z nawyczek i przesądów pogańskich, których Kościół stłumić nie mógł lub nie chciał, by masom nie utrudniać przejścia do wiary św.

Co więcej! Kult relikwii nie tylko nie był już zwyczajem pogan, w czasie pierwszych wieków Kościoła, ale owszem był wprost przeciwny ich religijnym przekonaniom o ciałach zmarłych. Pod tym względem nastąpiło w pogaństwie wielkie przeobrażenie pojęć. W oczach pogaństwa z czasów chrześcijańskich i przedchrześcijańskich dotknięcie się trupa kalało i pociągało za sobą konieczność oczyszczenia religijnego. Pojęcia te nie były znane dawniejszemu pogaństwu, stąd też dawniej istniał i u pogan kult relikwii heroów. Zmianę tych wierzeń w pogaństwie starszem i młodszem wyraźnie notuje w swej apologii Teodoret [4]. Dzisiej-

---

[1] Wendland: *Hellenistisch-römische Kultur*, str. 93.

[2] Wissowa, l. c. str. 72.

[3] Radimsky: *Die Ausgrabungen von Domavia in Gradina. Wissensch. Mitteilungen aus Bosnien u. der Hercegovina.* Wien 1893, t. I, str. 224.

[4] *Graec. aff. cur.* VIII. M. P. gr. 83, 1018.

sze badania wykazują to również. Podczas gdy dawniej grzebano zwłoki zmarłych nawet w domach mieszkalnych, to czasy późniejsze przestrzegały rytualnej czystości aż do przesady [1]. Trup w oczach późniejszego pogaństwa był nieczysty i kalał wszystko, co się koło niego znajdowało.

Obecność trupa w domu kalała ogień i wodę; stąd trzeba było przynosić czystą wodę i ogień z innego domu. Nieczystym stawał się każdy, co się dotknął trupa lub grobu [2]. Dlatego też przed każdym domem ze zwłokami nieboszczyka stały naczynia z wodą dla celów rytualnych, a cypresowe gałązki, zawieszone u drzwi, ostrzegały przechodniów przed niebezpieczeństwem skalania się. Po pogrzebie poddawali się wszyscy członkowie rodziny zmarłego obrzędowi rytualnego oczyszczenia [3]. Nieczystem było nawet samo miejsce, w którem znajdowały się groby. Stąd np. Ateńczycy, oczyszczając wyspę Delos, pousuwali z niej wszystkie grobowce i pośmiertne pomniki [4].

Owszem, ciało w oczach Greków było czemś tak nieczystem, że nawet palenie zwłok uważano powszechnie za obrzęd oczyszczenia duszy, skalanej przez zetknięcie się z ciałem [5], choć dawniej obrzęd ten zupełnie inne miał znaczenie.

Tak przedstawiają się greckie poglądy na stosunek żywych; do zmarłych; były one atoli nie tylko własnością Greków, ale i Rzymian [6]. Słowem całe środowisko, w którem rozwijało się i rosło chrześcijaństwo, unika wszelkiego zetknięcia się z ciałem zmarłego, boi się na nie spoglądnąć, bo uważa je za nieczyste. Jakże inny świat pod tym względem przedstawia nam chrześcijaństwo! Tu całuje się nieoschłe jeszcze z krwi zwłoki męczennika, zbiera się skrzętnie krew jego w gąbki i płótna, by ją przechowywać jako największy skarb w domu. Tu zawiesza się

---

[1] Rohde: *Psyche,* I, 229.
[2] Rohde: *Psyche,* II, 73.
[3] Rohde, l. c. I, 219. 231.
[4] Döllinger: *Heidentum und Judentum,* str. 198.
[5] Rohde: *Psyche,* II, 101.
[6] Wissowa: *Rel. u. Kult. der Römer,* str. 367; Döllinger, l. c. 541; Sepp: *Heidentum u. dessen Bedeutung für Christentum,* II, 358.

na szyi drobne czątki zwłok męczenników, zwiedza się nieustannie i zrasza łzami ich grobowce, pielgrzymuje się do nich z najodleglejszych stron. Ciało męczennika, to nie ciało nieczyste, ale ciało święte, dawna świątynia Ducha św. Zetknięcie się z niem, zbliżenie się do niego tylko uświęca, gasi grzechową namiętność.

Istotnie, kult relikwii św. to roślina, która nie mogła zakiełkować na gruncie pogańskim, bo tam brakowało jej niezbędnych do życia warunków. Trzebaby najpierw przekształcić do głębi duszę pogańską, tchnąć w nią inną wiarę, przenieść ją w inny zupełnie świat pojęć i wierzeń, by w niej rozbudzić cześć dla krwi i zwłok poległych na prześladowczej arenie. Ale ten nowy świat pojęć i wierzeń stworzyło dopiero chrześcijaństwo. Dlatego też kult relikwii jest bezsprzecznie płodem rdzennie chrześcijańskim. Tak też nań patrzało współczesne chrześcijaństwu pogaństwo.

Kult relikwii był zbyt charakterystyczną cechą pierwszego chrześcijaństwa, by się utaił przed okiem pogan. Istotnie, znali poganie ten kult. Ale stwierdzić musimy, że był on jednym z punktów najbardziej zaczepianych przez pogaństwo. W pisarzach chrześcijańskich wyczytujemy bardzo częste o tem wzmianki. Tak np. skarży się w swej apologii Teodoret, że poganie w rozmowach prywatnych z nim, wyśmiewali chrześcijański kult męczenników [1], zbliżanie się do grobów męczenników nazywali z pogardą odrażającą zbrodnią [2]. Żali się również Asteryusz, że poganie oburzają się na kult grobów chrześcijan [3]. Szkoda, że wielka część pamfletów na chrześcijaństwo, obiegających zwłaszcza w IV w. wśród szerokich mas zamierającego społeczeństwa, nie doszła do rąk naszych; moglibyśmy byli z bezpośredniego źródła zaczerpnąć wiadomości o zapatrywaniach pogan na chrześcijański kult relikwii. Przechowały się atoli do dziś niektóre dokumenty literatury pogańskiej, w których niejednokrotnie jest mowa o owym kulcie, a i te mogą nam dać poznać, jak wiele i w jakim duchu pisało się wtedy o nim lub mówiło.

---

[1] *Graec. aff. cur., prolog.*, M. Patr. gr. 83, 784.
[2] Ibid., col. 1012.
[3] *Hom. X. in SS. Martyres*, M. Patr. gr. 40, 321.

Tak np. czytany bardzo w IV w. *Dialogus Asclepii* ubolewa rozpaczliwie nad zanikiem ołtarzy »żywych« bóstw dawnych, których miejsce zajęły ołtarze z martwemi ciałami; nieszczęśliwym wydaje mu się Egipt, w którym wnet będzie więcej grobów jak żywych [1]. Nie skąpił przedewszystkiem szyderstw Julian Odstępca. Kult relikwii u chrześcijan nazywa jedną z największych zbrodni [2], a chrześcijan zowie krążącymi nieustannie koło grobów rakami [3]. Szerzej rozpisał się o kulcie relikwii w dziele przeciw chrześcijaństwu, które w urywkach znamy z pism św. Cyryla aleksandryjskiego. Uwagi w niem zamieszczone, uwzględnimy poniżej, gdzie również zapoznamy się z dalszą literaturą pogańską o chrześcijańskim kulcie relikwii.

Potępienie więc chrześcijańskiego kultu relikwii słyszało się wówczas wcale często z ust pogańskich. Pisarze chrześcijańscy byli zmuszeni bardzo często odpowiadać na owe zarzuty tak w książkach, jakoteż w ustnych naukach. Jedną z najbardziej używanych przez nich broni było proste przypomnienie poganom, że i oni kiedyś ten kult mieli. »A choćby już wszystkim ludziom było to obrazą — pisze o kulcie relikwii Teodoret, — to już napewne Grekom przystoi najmniej na to się oburzać: i oni bowiem mają swe libacye, ofiary, heroów, pół-bogów i ludzi, policzonych do rzędu bogów« [4]. Następnie przytacza kilka przykładów, pogańskiego kultu grobów i zwłok heroów. Podobnie wyraża swe zdziwienie św. Cyryl aleks., iż Juliana oburza chrześcijański kult relikwii, mimo, że dzieje greków pełne są podobnych przykładów [5]. Toż i Asteryusz w mowie o męczennikach wytyka poganom, iż oni nie są wolni od tej zbrodni, jak nazywali kult relikwii [6].

Widoczna przeto, że pogaństwo nie uważało kultu relikwii w chrześcijaństwie za naśladownictwo swych własnych zwycza-

[1] Cfr. Boissier: *La fin du paganisme,* II, 229.

[2] *Epist.* 52, Fr. C. Hertlein: *Iuliani imperatoris quae supersunt praeter reliquias apud Cyrillum omnia,* vol. II, str. 562. Lipsk 1875.

[3] *Misopogon,* 344. ibid. str. 443. περὶ τοὺς τάφους καλινδουμένοις γραδίοις.

[4] *Graec. aff. cur.* VIII, M. P. gr. 83, 1012.

[5] *Contra Iulianum* l. X, M. P. gr. 76, 1025.

[6] *Hom. X in SS. Martyres,* M. P. gr. 40, 324.

jów. To, co powiedział Julian Odstępca o wierze chrześcijańskiej i wszystkich jej obrzędach, że są nowością i dalekiem odstępstwem od wierzeń i zwyczajów tak Greków, jak Żydów [1], można zarówno powiedzieć o kulcie relikwii. Jest to bowiem niezaprzeczalnym faktem, że kult ten w oczach pogan był zbrodnią, był czemś sromotnem.

Lecz cóż to było, co w oczach pogan, wybijało piętno tak wielkiej zbrodni na chrześcijańskim kulcie relikwii? Stawiamy z naciskiem to pytanie, bo ono, oddalając o całe niebo duszę pogańską od chrześcijańskiej, rzuci nam bardzo wiele światła na kwestyę genezy kultu relikwii Świętych. Otóż najpierw chrześcijański kult relikwii był niezwykłem pogwałceniem zakorzenionych bardzo w pogaństwie pojęć o rytualnej czystości. Z całą siłą, powołując się nawet na naukę Chrystusa, zaznacza to cesarz Julian. »Grobami zapełniliście wszystko, mimo, że u was nie powiedziano nigdzie, byście obchodzili groby i czcili je. Nawet do tego stopnia posunęliście się w swej niegodziwości, iż sądzicie, że nie należy się oglądać na słowa, wypowiedziane o tem przez Jezusa, owego Nazarejczyka«. Następnie przytacza tekst z ewangelii, w którym Chrystus przyrównuje faryzeuszów do grobów pobielanych, pełnych wewnątrz wszelkiej nieczystości i kończy: »Jeżeli więc Jezus powiedział, że groby są pełne nieczystości, dlaczegóż wy przy nich Boga wzywacie?« [2]. Oczywistą jest rzeczą, że niezręczne to powołanie się na powagę Chrystusa jest tylko ironiczną, polemiczną sztuczką. Właściwe bowiem źródło ma ów zarzut w zasadniczych pojęciach pogańskich o nieczystości zwłok. Podnosił go nie tylko Julian, ale całe pogaństwo. Częste tego ślady u pisarzy chrześcijańskich. »Czemuż sądzicie — mówi Teodoret, — że stają się nieczystymi ci, co do grobów zmarłych się zbliżają... Tylko wy sami tego zdania jesteście, bo przodkowie wcale tak nie myśleli« [3]. Z tym samym przesądem pogańskim walczy również w swej mowie o męczennikach Asteryusz [4]. Świa-

[1] S. Cyrill. al., *Contra Iulianum*, l. I, M. P. gr. 76, 512.
[2] S. Cyrill al., *Contra Iulianum*, l. X, M. P. gr. 76, 1016.
[3] *Graec. aff. cur.* VIII, M. P. gr. 83, 1017.
[4] *Hom. X in Martyres*, M. P. gr. 40, 324.

dectwa te wcale wymownie zaprzeczają twierdzeniom, jakoby kult relikwii wniosło do chrześcijaństwa nawracające się tłumnie w IV w. pogaństwo.

Zbrodnią, prócz tego, był w oczach pogan kult relikwii, bo chrześcijanie czcili relikwie męczenników bez najmniejszego względu na ich klasowe i społeczne stanowisko. Szeregi męczenników składały się nie tylko z ludzi wysoce urodzonych i bogatych, ale z ubogich, nawet z żołnierzy zwykłych i niewolników[1]. Ależ właśnie tego nie mogło zrozumieć pogaństwo, jak można tak wielką cześć oddawać zwłokom ludzi, stojących na najniższym szczeblu hierarchii społecznej, pozbawionych wszelkiego blasku, wielkości. Cześć, oddawana zmarłym niewolnikom, była dla pogan przedmiotem największego zdziwienia[2] i oburzenia zarazem. Tak np. sofista Eunapiusz wymawia chrześcijanom, że klękają przed grobami niewolników i ludzi najniższego pochodzenia[3]; Maksym z Medaury, w liście do św. Augustyna, szydzi z chrześcijan, że nad kult Jowisza, Junony, Minerwy przenieśli kult ludzi o nizkich punickich nazwiskach, kult ludzi, karanych za swe zbrodnie śmiercią[4]; Julian Odstępca naśmiewa się z nawróconych do chrześcijaństwa Greków, że porzucili święty i czysty kult bogów, a przyjęli kult nędzarzy i nieszczęśliwców[5]. Czczonemu powszechnie św. Piotrowi wytykano również w obozie pogan jego ubóstwo[6].

Oto więc tak religijne wierzenia o nieczystości zwłok, jak i społeczne przekonania o zupełnej bezwartościowości niewolnika i ubogiego nie pozwalały pogaństwu na tak wysoce rozwinięty w chrześcijaństwie kult relikwii. Zwłaszcza ostatni moment pozwala nam twierdzić, że gdyby nawet mogła być mowa o zależności chrześcijańskiego kultu relikwii od pogańskiego, to jednak chrześcijański kult byłby wielkim odskokiem od kultu pogańskiego. Już sam ów moment ubóstwa nadwereża bardzo analogię obydwu

---

[1] Theodoret., ibid. col. 1032.
[2] P. Allard: *Les esclaves chrétiens,* Paryż 1900, str. 250.
[3] *Vita Aedesii.*
[4] Augustin., *epp. I ep.* 16, M. P. l. 33, 82.
[5] Cyrill. al., *Contra Iul.,* l. VI, M. P. gr. 76, 808 sq.
[6] Asterius: *Hom. in SS. Petrum et Paulum,* M. P. gr. 40, 276.

kultów, jaką się zwykle tak skrzętnie przeprowadza, w celu wykazania wzajemnej ich zależności. Nie jest to jednak jedyny tylko punkt, który psuje ową analogię. Owszem, jest ich tak wiele, iż, zdaniem naszem, drogą analogii nie wykaże się nigdy zależności i wewnętrznego pokrewieństwa obydwu tych kultów.

Teologiczne podstawy kultu heroów i Świętych.

Dotychczas usiłowaliśmy wykazać, że pogaństwo, współczesne starożytnemu chrześcijaństwo nie miało koniecznych do rozkwitu kultu relikwii warunków. Teraz zwrócimy uwagę na samą naturę kultu heroów i ich relikwii a uwagi te wykażą nam naocznie, iż nie mogło być mowy o zależności i wewnętrznem pokrewieństwie pogańskiego i chrześcijańskiego kultu relikwii nawet w razie, gdyby pogański kult był w całej pełni swego rozwoju w czasach pojawiania się tego kultu w chrześcijaństwie. Cały charakter i istota pogańskiego kultu heroów i ich relikwii różni się zasadniczo i wewnętrznie od kultu świętych.

Czem byli heroowie w oczach Greków i Rzymian?

Heros to istota, ὃ μήτε ἄνθρωπος ἐστιν, μήτε θεὸς καὶ συναμφότερόν ἐστιν (*Lucian diall. mort.* 3, 2). A więc heros [1], to istota dwoistej natury: ma coś z natury człowieka, ale ma również coś z natury bóstwa. I oto właśnie ten element boży w naturze heroa jest teologiczną podstawą jego kultu. Owszem, zwłaszcza w późniejszych czasach, heros coraz mniej jest człowiekiem, staje się bogiem [2]. W tych wypadkach składa mu się również ofiary te same, jakie składano bogom. Stąd też heroowie, prócz nielicznych wyjątków, nie są wcale pośrednikami między ludźmi a bogami, ale tworzą potęgę samodzielną, która może człowiekowi pomagać lub szkodzić zupełnie niezależnie od woli bogów. Przeto też pogaństwo z reguły nie zasyłało swych próśb do heroów, jako orędowników człowieka przed bogami, lecz jako do istot samodzielnych, mających w sobie moc do świadczenia dobrodziejstw [3].

---

[1] Zobacz wyczerpujący artykuł Deneken'a o heroach, Roscher: *Mytholog. Lexikon,* str. 2462. 2465.

[2] Rohde: *Psyche,* I, 183 sq.

[3] Roscher: *Mytholog. Lexikon,* str. 2476 sq.

Po stronie przeciwnej bardzo często podnosi się zarzut, jakoby i chrześcijaństwo uważało Świętych za bogów, jakoby groby męczenników były w oczach chrześcijan grobami bogów. Jest to atoli twierdzenie zgoła bezpodstawne. Chrześcijaństwo od początków zdawało sobie jasno sprawę z natury kultu Świętych. Męczennicy, jak za życia, tak i po bohaterskiej swej śmierci, byli dla chrześcijan tylko ludźmi, równymi pod względem fizycznej swej natury żyjącym. Już opis męczeństwa św. Polykarpa zaznacza, że Ukrzyżowanemu oddaje się cześć jako Bogu, męczenników zaś czci się jako uczni i naśladowców Jego za miłość ich ku Chrystusowi [1].

Kiedy później w obozie pogan poczęto i chrześcijaństwu z okazyi kultu Świętych robić zarzut politeizmu, pojawiały się coraz liczniejsze głosy protestu w literaturze chrześcijańskiej. »Świętych zaś męczenników — odpowiada Julianowi Cyryl aleks. — ani za bogów nie mamy, ani im czci, Bogu właściwej nie oddajemy« [2]. Podobnie mówi Asteryusz [3], Hieronim [4], Augustyn [5] i wielu innych. Podczas gdy na oznaczenie czci, właściwej Bogu, używa się powszechnie słowa προσκυνεῖν, *adorare*, to na oznaczenie czci, oddawanej Świętym używa się słowa τιμᾶν, *honorare*. Co więcej! Jak dalekim był Kościół w swym kulcie Świętych od politeizmu, widoczna stąd, że kult Świętych był właściwie tylko jednym z licznych sposobów czczenia Boga, Chrystusa. I w kulcie Świętych właściwie Chrystus był pierwszorzędnym przedmiotem czci. Uzasadnimy to zapatrywanie poniżej.

Stąd też chrześcijaństwo, w przeciwieństwie do pogaństwa, nie znało ofiar, całopaleń, składanych samym Świętym. »My — mówił do wiernych św. Augustyn — męczenników naszych... nie czcimy tak, jak bogów. Nie składamy... im całopaleń... Słyszeliście kiedy, abym albo ja, albo jakiś brat i towarzysz mój, albo

---

[1] *Martyrium S. Polycarpi*, c. XVII; Funk: *Die apostolischen Väter*, str. 123. Tübingen 1901.

[2] *Contra Iulian.*, l. VI, Migne P. gr. 76, 812.

[3] *Hom. X in SS. Martyres.* Migne P. gr. 40, 321.

[4] *Ep. ad Riparium*, n. 1, M. P. l. 22, 907.

[5] *Contr. Faust.* XX, 21, M. P. l. 42, 385.

jaki kapłan mówił przy grobie św. Teogenesa: Ofiaruję ci, św. Teogenesie? albo: ofiaruję ci, Piotrze? albo: ofiaruję ci, Pawle? Nigdyście tego nie słyszeli« [1].

Następstwem tych poglądów na istotę Świętych było, że Święci nie przedstawiali się bynajmniej chrześcijaństwu jako potęgi samodzielne i od Boga niezależne. Zródłem jedynem, z którego człowiek może czerpać pomoc i błogosławieństwo dla siebie, jest tylko Bóg. Cała rola Świętych ogranicza się do pośrednictwa i wstawiennictwa do Boga. Święci są tylko orędownikami człowieka przed Bogiem. Tę rolę pośredniczenia Świętych między Bogiem a ludźmi wyrażają one, tak często spotykane obrazy sądu, w których męczennicy są przedstawieni jako *assessores* lub *advocati* dusz wobec Boga [2]. Rozliczne napisy na grobach męczenników potwierdzają nam to samo. Niemal cały stosunek Świętych do ziemi wyobrażało sobie chrześcijaństwo jako nieustanną modlitwę ich do Boga za żyjących i zmarłych, którzy jeszcze pomocy i miłosierdzia Boga potrzebują. Cała zatem moc Świętych ma źródło swe w samym Bogu. Jeżeli męczennicy, w przekonaniu chrześcijaństwa, wiele bardzo mogą, to tylko dzięki temu, że Chrystus patrzy na zasyłane przez nich modlitwy tak, jak patrzy król na prośby żołnierzy, pokazujących mu swe rany, poniesione w walce [3].

Istotnie, jakże bardzo różnią się te zasadnicze poglądy chrześcijan na Świętych a pogan na heroów.

Ale postąpmy o krok dalej. Boska natura heroów objawiała się w sposób najróżnorodniejszy. Wszystko, co było niezwykłem, więcej nadzwyczajnem, było zarazem przejawem bóstwa, obowiązywało żyjących do kultu istot, odznaczających się ową niezwykłością. I oto odsłania się przed nami szereg licznych pobudek i podstaw kultu u pogan, tak różnych od pobudek i podstaw kultu u chrześcijan.

Heros, w najdawniejszych czasach kultu heroów, to bohater wojny [4]. Później jednak pojęcie heroa rozszerzało się coraz więcej,

---

[1] *Sermo 273, n. 7,* Migne P. l. 38, 1251; cfr. *Contr. Faust.* l. c.

[2] Wilpert: *Ein Cyclus christologischer Gemälde,* str. 46 [1891].

[3] S. Chrysostom.: *Hom. in Iuvent. et Max. MM.,* Migne P. gr. 50, 576.

[4] Roscher: *Mytholog. Lexikon,* str. 2464.

przybierało cechy, nieraz bardzo dziwaczne. Tak np. niezwykła siła fizyczna, zręczność była już wystarczającym tytułem heroizowania. Z tego powodu doznawał czci heroa siłacz Dyognet na Krecie, atleta Eutymos u Lokrów [1]. Inni, jak np. Ateńczyk Arystomachos, zawdzięczali swój kult jedynie swemu olbrzymiemu wzrostowi [2]; stąd nierzadko odnalezione, choćby przypadkiem, zwłoki nadzwyczajnej wielkości, uważano za zwłoki heroów i oddawano im cześć należną. Wyrocznia zazwyczaj odgadywała nazwiska zapomnianych tych heroów [3].

Również nagła śmierć przez uderzenie piorunem przenosiła zwykłych nieraz ludzi w szeregi heroów. Historya kultu heroów zna bardzo liczne tego rodzaju przykłady [4]. Co więcej! Nawet fizyczna piękność ciała, piękność zewnętrznych kształtów była jednym z wcale częstych w pogaństwie tytułów kultu heroów [5]. Piękność, zdaniem pogan, była nieomylną jakby oznaką bóstwa. Piękne obrazy, piękne rzeźby uważano już tem samem za bóstwa a nie za ich tylko wyobrażenia [6]. W dokonanej przez Hadryana, cesarza, kreacyi Antinoosa na boga odgrywała jego młodzieńcza piękność pierwszorzędną rolę [7]. Filipowi z Kroton, zwycięzcy olympijskiemu postawiono na Sycylii świątynię heroa, właśnie dla jego niezwykłej piękności [8]

Skrzętne archeologiczne studya ostatnich czasów odsłaniają przed nami bardzo liczne przykłady innego jeszcze sposobu dojścia do godności heroa. Mamy tu na myśli heroizowanie siebie lub innych drogą pieniędzy, drogą testamentu. Bywało często, że umierający Grek lub Rzymianin zostawiał fundusz na zorganizowanie stowarzyszenia, któreby mu nieustannie, jako heroowi, składało ofiary. Wybitny tego przykład widzimy w t. zw. testamencie Epiktety, znajdującym się w Weronie w *Museo lapidario*. Z cha-

[1] Döllinger: *Heidentum und Iudentum*, str. 91 sq.
[2] Roscher, l. c. str. 2471.
[3] Rohde: *Psyche*, I, 161.
[4] Rohde l. c. I, 320 sqq.
[5] Döllinger: *Heidentum und Iudentum*, str. 90.
[6] Ld. Le Blant: *Les persécuteurs et les martyrs*, str. 45 sqq. Paryż 1893.
[7] Clemens alex.: *Cohortatio ad gentes*, c. IV, M. P. gr. 8, 140 sq.
[8] Rohde: *Psyche*, I, 177.

rakteru pisma sądzą uczeni, że pochodzi z końca III lub początku II wieku przed Chr.[1] Utworzone zostawionym przez nią funduszem stowarzyszenie miało dorocznie składać szczegółowo opisane w testamencie ofiary jej i dwom synom, jako heroom. Podobny testament, przechowany w fragmentach, zostawiła po sobie niejaka Argea. Stosunki rzymskie objaśnia nam testament nieznanego właściciela z czasów cesarstwa. Właściciel ów rozporządził, by mu wystawiono *heroon*, czyli świątynię z ołtarzem, w którymby były złożone jego popioły. Na ołtarzu miano mu corocznie składać należne ofiary.

Zapewne zjawiska te świadczą bardzo wymownie o obniżeniu pierwotnego znaczenia i wartości heroów. Nie zapominajmy jednak, że testamenty owe, zwłaszcza w czasach późniejszych, nie tyle były środkiem do dopięcia godności heroa, jak raczej środkiem dłuższego przechowania kultu wśród potomnych, który w zwykłych warunkach wygasał wraz z wymarciem rodziny. Godność bowiem heroa i kult jemu właściwy były w czasach nowszych udziałem wszystkich niemal nieboszczyków[2]. Dokonywało się heroizowania już nie za poradą wyroczni, ale powagą czysto prywatną. Nie tylko miasto ogłasza za heroów swych obywateli zmarłych, lub jakieś stowarzyszenie swych członków, ale nawet rodzina. Często ojciec ogłasza za heroa swego syna, syn ojca, małżonek swą żonę i t. d.[3].

Oto więc ów olbrzymi świat heroów pogańskich. W tego rodzaju ludziach upatrywało pogaństwo coś z natury bożej, owszem, później bogów samych. Bez wątpienia grubo się na tym punkcie pomyliła filozofia pogańska i idące za nią wierzenia ludowe. Nie mamy jednak zamiaru zastanawiać się obszerniej nad spaczeniem i wykoszlawieniem idei bóstwa w głowach pogaństwa; stawiamy

---

[1] Roscher: *Mythol. Lexikon*, str. 2530 sqq. art. *Heros*. Deneken podaje tu jeszcze wiele innych przykładów, które pomijamy. Cfr. Rohde: *Psyche*, II, 344 sq.

[2] M. Kaufman: *Die sepulcralen Jenseitsdenkmäler der Antike und des Urchristentums*, str. 4 (1900).

[3] Rohde: *Psyche*, II, 358 sq.; E. Maass: *Orpheus*, str. 241 (1895).

natomiast pytanie, które nam w najjaskrawszem świetle odsłoni istotę kultu heroów. Pytamy więc, co było bezpośrednim motywem kultu heroów? Oczywistą jest rzeczą, że pierwszorzędną psychologiczną podstawą wszelkiego kultu są uczucia podziwu i miłości czczonej osoby. Serce ludzkie tylko na tych uczuciach zdolne jest oprzeć kult właściwy, czysty i szczery a nie udany tylko lub wymuszony. Musimy atoli stanowczo zaprzeczyć, jakoby w kulcie heroów uczucia te odgrywały jakąkolwiek rolę. Wypadki, któreby zaprzeczały powyższemu zapatrywaniu, są, zdaniem wszystkich, tylko wyjątkami. Motywem bezpośrednim, zmuszającym do oddawania czci heroom, był w pogaństwie wzgląd na zapewnienie sobie ich pomocy, najczęściej lęk przed ich potężną mściwością w razie zaniedbania ich kultu [1]. Lęk przed gniewem heroa — oto uczucie, które podtrzymywało przez długie czasy ów kult. Powszechnem było nawet przekonanie, że od heroów nie można się niczego dobrego spodziewać. Heros z bajki Babriosa, ukazujący się swemu czcicielowi, zapewnia go, że herosowie są tylko sprawcami nieszczęścia; dlatego może się modlić do niego jedynie w tym wypadku, kiedy pragnie jakiego nieszczęścia (εἰ κακῶν χρήζεις, εὔχου). Stąd koło świątyni heroa przechodziło się milcząco i z odwróconemi oczyma, by nie ściągnąć czemś na siebie gniewu heroa. Stąd bardzo często zaprowadzano kult heroa nieprzyjaciół, by uśmierzyć gniew jego; stąd niemniej często ogłaszano heroem zwykłego śmiertelnika, zabitego niesłusznie, by się zabezpieczyć przed jego mściwością. W ten sposób doszedł do czci Orfeusz, zabity przez niewiasty, to znów zabite przez Koryntyan dzieci Medei i ukamionowane przez własnych rodziców dzieci w Kaphyai w Arkadyi. Stąd w czasie klęsk i nieszczęść publicznych zapytywano wyrocznię, jakiego heroa należałoby czcić, by miastu lub krajowi spokój i szczęście zapewnić [2].

Określimy zatem najdokładniej istotę pogańskiego kultu heroów i ich grobów, jeżeli go nazwiemy wykwitem najprostszego

---

[1] Döllinger: *Heidentum und Iudentum*, str. 92; Roscher: *Mytholog. Lex.*, art. Heros, str. 2478. 2488.

[2] Roscher: l. c. str. 2489.

wyrachowania i interesu. Wszystko inne, co w chrześcijaństwie ożywiało kult Świętych, było nieznane pogaństwu. Nieznanym zatem był kult za ideał etyczny, za cnotę, za świętość, choćby przyrodzoną. Lucius w swych *Anfänge des Heiligenkults* zaznacza, że w II i III w. naszej ery dawny kult heroów począł się przeradzać w kult za ideał etyczny [1]. Jako na najwybitniejszy przykład zwraca uwagę na Aleksandra Sewera, który czcił obrazy osobistości etycznie podniosłych, np. Apolloniusza z Tyany, Abrahama, Chrystusa, Orfeusza i t. d. Pomijamy ten wzgląd, że tego rodzaju prądy religijne w pogaństwie powstawały w tym czasie w przeważnej części pod wpływem nowej wiary, chrześcijaństwa. Stwierdzić natomiast musimy, na co zresztą godzi się i Lucius, że zjawisk tych nie można zbyt uogólniać, że są one nawet w erze chrześcijańskiej wyjątkami, bardzo nielicznymi. W całej długiej historyi kultu heroów ideał etyczny nie był nigdy uwzględniony. Pogaństwo nie miało i nie czciło heroów etycznie wielkich. Co do tego punktu niema różnicy i rozdwojenia zapatrywań między uczonymi jakiegokolwiek obozu [2]. Życie, pod względem etycznym najniższe, nie było nigdy przeszkodą do dopięcia godności i kultu heroa. Owszem, heroowie pogańscy, to w największej części istoty w najwyższym stopniu niemoralne. Np. w Temezie w Lukanii doznawał czci heroa, gwałciciel niewiasty [3]. Wiele również niepochlebnych szczegółów wiedziano o życiu Herkulesa, Eskulapa, ale mimo to stawiano im świątynie, ołtarze [4]. Niepięknie też przedstawiało się życie policzonego w poczet bogów za Hadryana Antinoosa [5], jak również jednego z najpopularniejszych heroów, Heraklesa [6]. Słowem, by nie wchodzić bardziej w szczegóły, można tu bez wahania powtórzyć zdanie Teodoreta z Cyru, że aż wstyd mówić, jakich to ludzi czcili Grecy [7].

---

[1] Str. 24 sq.

[2] H. Leclerq: *Apothéoses privées;* art. w *Dictionnaire d'archéologie chrétienne et de liturgie,* t. I, str. 2630. — Rohde: *Psyche,* I, 198.

[3] Rohde: *Psyche* I, 192.

[4] Theodoret: *Graec. aff. cur.* VIII, M. P. gr. 83, 1013.

[5] Clemens al: *Cohortatio ad gentes,* M. P. gr. 8, 140.

[6] Roscher: *Mythol. Lex.* str. 2181, art. *Herakles.*

[7] *Graec. aff. cur.* VIII, M. P. gr. 83, 1016.

Nic zatem dziwnego, że w całym kulcie pogańskim nie było wcale mowy o jakiemś etycznem oddziaływaniu kultu na duszę, serce człowieka, jak to ma miejsce w chrześcijaństwie. Najpobożniejszy względem swoich heroów poganin mógł bez przekroczenia najmniejszego postulatu swego kultu, stać na najniższym szczeblu etycznego wyrobienia. Obowiązek etycznego doskonalenia się, który jest tak istotnem następstwem wszelkiego kultu chrześcijańskiego, nie istniał w pogaństwie, nawet jako czysto teoretyczna zasada.

Oto więc właściwy charakter kultu grobów heroów. Ciała heroów, to mieszkanie potężnych duchów, których czciło pogaństwo, by sobie zapewnić ich opiekę, a przedewszystkiem, by odwrócić od siebie ich gniew.

Wstąpmy teraz na cmentarzyska męczenników chrześcijańskich, zapytajmy zgromadzonych koło ich grobów pierwszych chrześcijan, za co oni mają one martwe ciała i szczątki, czemu je tak wielką czcią darzą?

(Dok. nast.)

Ks. Karol Feliś.

Z HISTORYI MISYI POLSKIEJ NA KRYMIE.

MISYA KS. PIOTRA BOROWSKIEGO T. J. (1743—1747).

(Dokończenie).

W podróż do Stambułu, dla zyskania fermanu sułtańskiego na misyę Krymską, mógł się ks. Borowski wybrać już jesienią 1744 r., skoro w połowie września tegoż roku miał już listy polecające od króla i od hetmana Józefa Potockiego — tymczasem oficyalnie wybrał się w podróż dopiero na wiosnę 1745 roku i w maju przez Mołdawię przejeżdżał, jak to wyraźnie zapisał ks. Ręgarski, ówczesny przełożony rezydencyi jezuickiej w Jassach.

Tę długą zwłokę w wyjeździe możnaby jeszcze wytłumaczyć jakiemiś nieprzewidzianemi trudnościami, np. trudnością wydobycia ze skarbu Rzeczypospolitej zasiłku pieniężnego na podróż, uchwalonego przez Radę senatu, gdyby nie dwa dokumenta historyczne, które każą przypuszczać, że ks. Borowski przed oficyalnym wyjazdem w maju 1745 r. był już w Stambule z początkiem tegoż roku, w lutym i marcu, że jeździł tam *incognito* i że dlatego w kronice misyi mołdawskiej nie znalazła się żadna zapiska o tej jego podróży.

Za tem przypuszczeniem przemawia oryginalny dokument— mianowicie świadectwo samegoż ks. Borowskiego, opatrzone jego podpisem i pieczęcią, wystawione 19 lutego 1745 bez oznaczenia miejsca, ale w każdym razie za granicami Rzeczypospolitej. Jest to świadectwo dla jakiegoś Teodora, Polaka pochodzącego ze

Żwańca, którego ks. Borowski do swych usług przyjął i który miał z nim jechać nazad do Polski [1].

Czy owego Teodora przyjął na służbę w Stambule, tego na podstawie przytoczonego świadectwa nie można z całą pewnością powiedzieć, ale też nie można na pewno zaprzeczyć, bo istnieje także inna zapiska, z której wynikałoby, że ks. Borowski jeszcze około 18 marca tegoż roku w Stambule przebywał.

Wiadomość o tem mamy w późniejszym liście Giulianiego, tłumacza Rzeczypospolitej w Stambule, który pośredniczył przy zaciągnięciu pożyczki na rzecz ks. Borowskiego u angielskiego kupca Barkera. Pożyczka została zaciągnięta w Stambule 18 marca 1745 roku, bo od tego czasu ów kupiec domagał się później opłaty procentów [2].

Możnaby wprawdzie przypuścić, że sprawę pożyczki załatwił sam Giuliani, za wiedzą ks. Borowskiego, a nie koniecznie za jego w Stambule pobytu, ale przypuszczenie to nieda się utrzymać wobec przytoczonego wyżej świadectwa dla Teodora ze Żwańca, a poniekąd także wobec listu samego ks. Borowskiego do kanclerza koronnego, pisanego kilka miesięcy później, w którym tenże powołuje się na pierwszy swój pobyt w Stambule i mówi wyraźnie, że wówczas przez pierwsze trzy tygodnie mieszkał tam prywatnie nie dając się poznać, i że przez to udało mu się uniknąć jakichś intryg francuskich [3].

Ponieważ wzmianki tej nie można odnieść do podróży Borowskiego w roku 1743, mimo, że także wówczas przejeżdżał przez Mołdawię *incognito*, — bo w Stambule występował otwarcie jako ksiądz należący do orszaku posła Pawła Benoego, a wracał z nim nie do Polski, ale tylko do Kilii, skąd na Krym się udał, zatem trzeba ją odnieść do pobytu ks. Borowskiego w Stambule

---

[1] Rkp. Cz. 619, str. 577. Pieczęć przedstawia orła polskiego z jabłkiem koronnem i mieczem w szponach. Na piersiach orła jest znak zakonny I H S. Obok głowy P C B M — R C S I.

[2] Rkp. Cz. 620, str. 43.

[3] »Tribus septimanis privatus non declarato meo charactere latui, quousque me bene non fundavi apud Portam et sic perspicaces Gallorum elusi versutias«. Rkp. 619, str. 429.

w miesiącach lutym i marcu 1745, gdzie udało mu się zachować *incognito*, dopóki spraw swych nie załatwił.

Zasłyszał coś o tej podróży antagonista hetmana Józefa Potockiego, wojewoda mazowiecki, Stanisław Poniatowski, a *incognito*, jakie ks. Borowski starał się zachować, podsunęło mu domysł, że ks. Borowski jeździł do Stambułu jako emisaryusz Potockiego, którego jeszcze wówczas o knowania konfederackie podejrzywał.

Echo tych podejrzeń znajdujemy w notatce K. Kanteckiego, który na podstawie listu wojewody z 18 marca 1745 tak sprawę przedstawia:

»Z pośród ówczesnych listów wojewody — pisze Kantecki— najobfitszem w ciekawe wiadomości jest pismo z dnia 18 marca, w którem donosi, że w Załościach u hetmana w. kor. zgromadziła się cała rodzina Potockich na naradę w sprawie spodziewanej konfederacyi, którą mają zawiązać w razie, gdyby przyszła do skutku, jak już nawet głoszą w Stambule, liga między Rosyą, królową węgierską i Rzecząpospolitą; że dalej dla porozumienia się z Portą wyprawił Józef Potocki do Turcyi Jezuitę, imieniem Borowskiego, otoczonego licznym orszakiem towarzystwa. Aby w drodze nie doznać przeszkód, jechał zręczny ojciec pod przybranym tytułem nadzwyczajnego królewskiego posła, ale nieszczęście chciało, że w Chocimiu bystry basza pod świeckim strojem odkrył zakonnika i domyślając się podstępu, uwięził go aż do rezolucyi Porty. Jaki los spotkał później biednego Jezuitę, nie wiemy« [1].

Co w tej notatce jest domysłem autora, a co opiera się na liście wojewody z 18 marca trudno wyrozumieć, bo tekstu listu Kantecki nie przytacza; trudno przedewszystkiem oznaczyć, do której podróży ks. Borowskiego odnoszą się podane przez Kanteckiego okoliczności, czy do podróży Borowskiego przed ową radą familijną Potockich, czy do podróży, która dopiero po tej naradzie i wskutek niej miała nastąpić.

Prawdopodobnie odnosi się ta relacya do podróży przed ową

[1] »Stanisław Poniatowski« tom II, str. 113.

radą familijną, bo okoliczności w jakich się miała odbyć, a zwłaszcza staranie ks. Borowskiego o zachowanie *incognito* dałyby się pogodzić tylko z jego pobytem w Stambule w lutym i marcu 1745 r. i stwierdzałyby tem samem wniosek, na jaki naprowadza świadectwo ks. Borowskiego dla Teodora ze Żwańca i notatka kupiecka o zaciągniętym długu 18 marca — w przeciwnym razie, t. j. jeżeliby się miały odnosić do podróży późniejszej, okazałyby się zupełnie fałszywe i polegałyby tylko na skombinowanych pogłoskach i podejrzeniach mazowieckiego wojewody.

O przejeździe bowiem ks. Borowskiego do Stambułu w maju 1745 r. mamy zupełnie pewne wiadomości, zapisane przez ówczesnego superyora misyi polskiej, — wiadomości, których nie można pogodzić z opowiadaniem Kanteckiego. W czasie tego przejazdu nie zachowywał ks. Borowski żadnego *incognito*, ale zgodnie z polecającymi listami występował jako misyonarz wiozący listy królewskie do Porty, zatem i basza chocimski nie potrzebował wysilać się na nadzwyczajną bystrość, żeby w Borowskim odkryć »pod świeckim strojem zakonnika« skoro to było wyraźnie zaznaczone w liście polecającym hetmana do baszy.

Także szczegół o przytrzymaniu w Chocimiu Borowskiego »otoczonego licznym orszakiem towarzystwa« wygląda raczej na pogłoskę, bo o takim fakcie musieliby się dowiedzieć Jezuici w Jassach, jeżeliby już nie od samego ks. Borowskiego, to od kogoś z owego licznego orszaku towarzystwa, — a nie dowiedzieli się i nie zapisał tego szczegółu superyor rezydencyi, ks. Ręgarski, mimo że inne drobniejsze szczegóły o przejazdach Borowskiego zapisywał.

Jeżeli więc w owem przytrzymaniu ks. Borowskiego przez chocimskiego baszę jest jakaś część prawdy, to należy ją odnieść tylko do d a w n i e j s z e g o jego przejazdu, oczywiście bez »licznego orszaku towarzystwa«, coby stało na przeszkodzie zachowania *incognito* i o przytrzymaniu chwilowem, skoro już w połowie marca, a może już w połowie lutego był Borowski w Stambule.

Całą więc narracyę Kanteckiego należy odnieść do podróży ks. Borowskiego w początku 1745 r. w celu wybadania sytuacyi

w Stambule, a może także dla zaopatrzenia się w pieniądze (pożyczka u kupca Barkera), — do podróży, którą Borowski odbył *incognito*, a tem samem naraził się na podejrzenia wojewody mazowieckiego, że jeździł do Stambułu jako emisaryusz Józefa Potockiego, żeby u Porty starać się o poparcie dla konfederackich zamysłów hetmana. Oficyalnie jako oddawca listów królewskich wybrał się ks. Borowski do Stambułu dopiero na wiosnę 1745 r.

Jaką instrukcyę dostał na drogę od kanclerza koronnego, niewiadomo; zdaje się, że instrukcya nie była dość jasna i że dlatego ks. Borowski za radą rezydenta sycylijskiego w Stambule, od którego otrzymywał listy, musiał już z drogi, po przebyciu granic polskich, pisać do kanclerza o rozszerzenie instrukcyi, a na razie postępować tak, jak wymagały okoliczności i jak mu doradzał rezydent sycylijski p. de Majo. Jak widać z tego listu szło ks. Borowskiemu głównie o to, w jakim charakterze występować ma w drodze i zwłaszcza w jakim charakterze ma oddać listy w Stambule. Rekomendacya hetmana, w której było powiedziane, że Borowski jedzie z ekspedycyą od króla do W. Porty widocznie nie wystarczała, a przekonał się o tem Borowski już w Mołdawii, gdzie ten niejasny jego charakter poselski naraził go na zawód i małą nieprzyjemność u hospodara. Ks. Borowski chciał po drodze wstąpić do Jass, gdzie spodziewał się być przyjętym jako ablegat królewski, tymczasem hospodar nie zgodził się na to i przez wysłańca tureckiego kazał mu Jassy ominąć, mimo, że w ciągu całej drogi przez Mołdawię wyznaczył i dla ks. Borowskiego i dla jego orszaku dostateczne utrzymanie [1].

Żeby uniknąć dalszych kłopotów i niepotrzebnych drażliwości co do przyjęć po drodze, nie zaznaczał już Borowski swego charakteru ablegata, ale starał się trzymać charakteru pośredniego, t. j. postępować tak, żeby w razie potrzeby mógł wystąpić czy to w charakterze urzędowym czy prywatnym [2], ponieważ jednak prędzej czy później mogła zajść potrzeba zdecydowania się na

[1] Ks. Ręgarski. *Hist. Mission. Mold.* maj 1745.

[2] »Constantinopolim descendo, ut ex me si tale beneplacitum fuerit Sacrae Regiae Maiestatis possim et publicam et privatam formare personam«. List do kancl. bez daty. Rkp. 619, str. 885.

jedno lub drugie, prosił kanclerza, żeby mu pozwolił, jeżeli tego sprawa będzie wymagała, wystąpić w charakterze mniejszego ablegata albo rezydenta, bo inaczej mógłby nie znaleźć dostępu do Porty wskutek intryg schizmatyckich tłumaczów [1].

Prosił także kanclerza o wytłumaczenie mu woli królewskiej, jak ma się zachować przy publicznem oddaniu listów i przy załatwieniu sprawy w listach zawartej [2].

Tymczasem, ponieważ na odpowiedź musiał długo czekać, dał znać rezydentowi sycyliskiemu, a przez niego Porcie, że z listami króla przybędzie do W. wezyra, ale bez charakteru ablegata lub rezydenta, czekając na objaw woli królewskiej [3].

Jaką i kiedy otrzymał na ten list odpowiedź, nie wiadomo, w każdym razie kanclerz na list odpisał, a odpowiedź ta nie bardzo musiała ucieszyć ks. Borowskiego, jak wnosić można z następującego dopisku kanclerza na kopii listu ks. Borowskiego: »Tego listu, na który odpisałem i ks. misyonarza dużo połajałem i pogroziłem, że się tego domyślił, możesz WPan kopię komunikować ks. Gwaryniemu (Jezuita na dworze Augusta III).

Do czego się odnosiła »połajanka« tego także na pewno wiedzieć nie można, skoro tekstu listu kanclerskiego niema; być może, że kanclerz nie zgadzał się na przyznanie ks. Borowskiemu oficyalnego tytułu królewskiego posła; ale chociażby nawet tak było, odpowiedź kanclerska, jeżeli ją Borowski na czas jeszcze otrzymał, niewiele wpłynęła na dalsze jego postępowanie, skoro w charakterze jakby ablegata wystąpił w Stambule i otrzymał od

---

[1] »Ut si negotium ita postulat... possim consignatum mihi ad aliquod tempus characterem minorem sive ablegati sive residentis ad tempus breve induere, ne fores mihi persecutione schismaticorum interpretum astutiis plene claudantur Constantinopoli«.

[2] «Supplico proinde Suae Celsitudini, ut suis gratiosius ad me datis (litteris) interpretare voluntatem S. R. Maiestatis dignetur, quatenus favore Domini mei Clementissimi in tempore necessario tum de portatione publica litterarum, tum promotione negotii in litteris Serenissimi contenti, liberum passum habeam«.

[3] »Nunc notitia per me descripta Residenti Siciliae... quod pergam cum litteris S. Maiestatis ad magnum Vesirium Portae Praefulgidae, sed absque charactere ablegati sive residentis, ulteriorem voluntatem Serenissimae Maiestatis Polonae expectaturus«.

W. wezyra publiczne posłuchanie, na którem wręczył mu listy królewskie.

O odpowiednie przyjęcie w Stambule starał się ks. Borowski przez rezydenta sycylijskiego, który miał zawiadomić wezyra o jego przybyciu, wystarać się o pomieszczenie ks. Borowskiego i jego orszaku na Galacie, niedaleko rezydencyi francuskich Jezuitów, jako gościa wysłanego od jednego monarchy do drugiego [1] i postarać się o wysłanie naprzeciw kilku ludzi i dobrze przybranego konia, jeśli się nie uda dostać jakiegoś większego pojazdu.

Czy wszystko odbyło się po myśli ks. Borowskiego, nie wiadomo; to pewna, że udało mu się pokonać rozmaite trudności i zyskać dość rychło, bo już 28 czerwca posłuchanie u W. wezyra.

Trudności te, jak się dowiadujemy z listu do kanclerza, pochodziły głównie z ambasady francuskiej, i były widocznie takie same, jakich już raz uniknął ks. Borowski dzięki swemu *incognito* w czasie ostatniego pobytu w Stambule. Ambasador francuski widział w misyi ks. Borowskiego dążenie do rozciągnięcia patronatu polskiego na katolików krymskich, a urażony tem, że Borowski nie przywiózł mu żadnych listów od króla, starał się tę misyę udaremnić, uzurpując sobie protektorat nad Krymem w imię protektoratu Francyi nad katolikami, zamieszkałymi na Wschodzie.

Żeby nie dopuścić Borowskiego z listami królewskimi do W. wezyra rozdawał bogate podarki dygnitarzom u Porty (miał wydać na to przeszło cztery kiesy t. j. 2000 talarów lewkowych) a równocześnie rozpuszczał uwłaczające Borowskiemu pogłoski i podawał go za szpiega polskiego.

Przeciw tym intrygom francuskiego ambasadora szukał ks. Borowski poparcia u innych posłów, zwłaszcza u posła sycylijskiego, który go ochotnie i z wielką usłużnością popierał i u posła węgierskiego, który robił to samo mniej otwarcie ale skuteczniej a nadto przez pocztę wiedeńską posyłał i odbierał różne przesyłki z Polski do Borowskiego, — bo ta droga wydawała mu się najbezpieczniejszą. Bardzo gorliwie chodził około sprawy Borow-

[1] »Tanquam hospiti ab uno monarcha ad alium delegato et characterisato«. List do sekretarza poselstwa. Rkp. 619, str. 951.

skiego także tłumacz Rzeczypospolitej, Giuliani, i nie szczędził zabiegów u dygnitarzy tureckich, żeby sprawie nadać korzystny obrót.

Dzięki temu poparciu nie udała się akcya francuskiego ambasadora, a ks. Borowski zyskał publiczne posłuchanie u wezyra 28 czerwca.

Przyjmowano go z ceremoniałem takim, z jakim przyjmowano inne mniejsze poselstwa.

Po ks. Borowskiego wysłał wezyr siedmiu czauszów z siedmiu przybranymi bogato końmi, z których jeden, ze stajen sułtańskich, był przeznaczony dla ks. Borowskiego. Czauszom towarzyszyło dwunastu janczarów, nadto dwunastu hajduków przysłanych przez posła sycyliskiego dla większego splendoru.

Orszak poselski ks. Borowskiego składał się z siedmiu jego ludzi i z ludzi tłumacza Giulianiego. W sali przyjęć zastał przygotowane dla siebie miejsce, tuż obok miejsca przeznaczonego dla wezyra, a zająwszy je miał do wezyra przemowę, na którą dostał przychylną odprawę [1].

Innych szczegółów przyjęcia nie podaje, zaznacza tylko, że otrzymał od wezyra bogato wyszywany kaftan a jedenastu towarzyszących mu ludzi dostało pośledniejsze kaftany. Nie wspomina jednak, czy podczas owej audyencyi miał zastosowanie inny szczegół ceremoniału, jakiemu się musieli poddać towarzyszący posłowi ludzie przebrani w owe kaftany, a który jako objaw »przygrubszej polityki« czauszów przystawów, tak opisuje ks. Gościecki z własnego doświadczenia:

Jedną ręką pod pachy z stron obu trzymali,
Drugą za kraj kaftana na dół pociągali
Ile razy postrzegli, że pan poseł głowy
Skłonił ku sułtanowi w trakcie swojej mowy.
I tak mało powagi, bardziej godne figi
Czyniliśmy na pozór im szacowne dygi [2].

Przemowę swoją do wezyra i odpowiedź, jaką otrzymał, przesłał ks. Borowski w osobnym odpisie do kanclerza, ale tej

[1] List do kanclerza z 29 czerwca. Rkp. 619, str. 881.
[2] »Poselstwo wielkie JW. Chomentowskiego«... str. 270.

relacyi niema między zapiskami odnoszącymi się do audyencyi i dlatego nie można stwierdzić, czy Borowski poruszył formalnie sprawę protektoratu polskiego nad katolikami na Krymie. Zdaje się, że była jednak o tem mowa, bo w innym liście z dnia 1 lipca rozwodzi się Borowski nad tą sprawą, a chociaż samą audyencyę uważa za wielki sukces, tem większy, że otrzymał ją nie mając urzędowego charakteru [1], przyznaje, że trudności jeszcze nie całkiem usunięte i obawia się, żeby mimo tego sukcesu ambasador francuski sprawy nie pokrzyżował. Z obawy przed francuskim ambasadorem, niedowierzał nawet francuskim Jezuitom, którzy trzymali stronę ambasadora i dlatego na drugi dzień po audyencyi, za radą sycylijskiego posła, opuścił dotychczasowe mieszkanie i przeniósł się na dzielnicę Pera, gdzie zamieszkał obok rezydenta sycylijskiego.

Główną teraz troską ks. Borowskiego było wydostanie sułtańskiego fermanu na misyę krymską. Wezyr obiecał mu, że ferman dostanie, obiecywali także to samo inni dygnitarze tureccy, a zwłaszcza basza hr. Bonneval, renegat Francuz, który ze służby wojskowej francuskiej przeszedł do cesarskiej a wkońcu ofiarował swe usługi sułtanowi, zreorganizował turecką armię i wielki miał wpływ na dworze. Basza Bonneval obiecał Borowskiemu poparcie na przyszłej wielkiej radzie dywanu i oświadczył mu, że protektorat nad katolikami na Krymie powinien mieć król polski tak ze względu na blizkie sąsiedztwo, jak i na wielką tamże liczbę Polaków, którymi od dawna zajmowali się polscy misyonarze.

Te obietnice wpływowego baszy pocieszyły bardzo ks. Borowskiego, ale nie wystarczały do uzyskania fermanu, bo prócz obietnic potrzeba było na to pieniędzy, a tych ks. misyonarz nie posiadał. Na różne honorarya i podarki wydał już przeszło 400 zł. (aureos), a była to, jak obliczał, zaledwie trzecia część wydatków potrzebnych do ukończenia sprawy. Pieniądze, jakie przywiózł z Polski, już się rozeszły, na podarki musiał zaciągnąć dług 150 złotych, a za otrzymanie wielkiego fermanu trzeba było za-

[1] »Habui audientiam publicam et splendidam licet non characterisatus a Maiestate publico charactere«. Rkp. 619, str. 859.

płacić sześć kies t. j. 3000 talarów. Nie dziw więc, że wobec takiej perspektywy zbierał ks. Borowskiego lęk, żeby cała sprawa nie utknęła i błagał kanclerza o przysłanie przez najbliższą pocztę wiedeńską zlecenia do bankiera Hybscha na wypłatę tej sumy [1].

Czy dostał ten przekaz od kanclerza, tego z przechowanych zapisków dojść nie można, to pewna, że musiał zaciągnąć długi w Stambule u kupca Benjamina Barkera, a może także u Hybscha, że przy zaciągnięciu pożyczki był mu pomocny tłumacz Giuliani, który za jakąś część pożyczki poręczył, że długi były względnie wielkie, bo, według obliczeń Barkera, urosły wraz z procentami do grudnia 1747 na sumę 638 dukatów węgierskich [2] i że nie mógł ich prędko spłacić a przez to naraził się na bardzo wielkie kłopoty i nieprzyjemności.

Na razie miał przynajmniej tę pociechę, że mógł opłacić koszta za wystawienie fermanu sułtańskiego otrzymanego przy poparciu baszy Bonnewala i tłumacza Giulianiego, któremu za to bardzo dziękował jenerał Zakonu ks. Franciszek Retz i o relikwie Krzyża św. postarać się obiecał [3].

Wydostaniem fermanu na misyę krymską ukończył ks. Borowski swoje dyplomatyczne zabiegi w Stambule, czekała go już tylko podróż na Krym do hana Selim-Gereja i zakończenie sprawy w Polsce, gdzie się miał postarać o pieniądze na spłatę długów.

W drogę na Krym wybrał się ks. Borowski w połowie marca 1746 r. Był dobrej myśli, i z pierwszego poblizkiego miasteczka Kuczuk-Czekmedzi wysłał 18 marca do któregoś z dygnitarzy tureckich, zapewne do baszy Bonnevala, ostatnie podziękowanie za wszystkie względy i łaski, jakie od W. Porty otrzymał [4].

Wkrótce potem, bo już 20 marca, przekonał się, że podróż krymska nie będzie zbyt przyjemną, a to wskutek złego stosunku do tureckiego konwoju a zwłaszcza do towarzyszącego mu czausza. Winę tego przypisywał po części Giulianiemu, dlatego, że tenże

---

[1] List z 29 czerwca. l. c.

[2] Rkp. Cz. 620, str. 43.

[3] List ks. Retza z 25 kwietnia 1746. Rkp. 619, str. 991.

[4] Rkp. 619, str. 977. »Pro abundantibus gratiis et favoribus a Praefulgida Porta mihi collatis«.

nie odczytał czauszowi w obecności Borowskiego odpowiednich rozkazów co do konwoju i wypłaty dziennej dla orszaku ks. Borowskiego, t. zw. *tain*. O wypłatę tego tainu miał Borowski najwięcej nieprzyjemności z czauszem. Ks. Borowski utrzymywał, że ma pobierać dziennie przynajmniej po dwa piastry tainu, czausz był innego zdania, mówił że tain wynosi dziennie tylko 92 para [1].

Wobec uporu czausza musiał się ks. Borowski i na to zgodzić, musiał także sam dawać bakczysz woźnicom i dopłacać na utrzymanie swych ludzi. W ciągu dalszej drogi stosunki między ks. Borowskim a czauszem stawały się coraz gorsze, bo czausz był panem położenia a jako urzędowy »przystaw« robił coraz większe oszczędności kosztem orszaku, którym się miał opiekować. Z listu ks. Borowskiego, pisanego w Ismaiłowie 14 kwietnia do Giulianiego [2] dowiadujemy się, że w ciągu całego miesiąca wypłacił mu czausz tylko siedem razy tain w gotówce i to trzy razy po 50 para, dwa razy po 60 a dwa po 70. Poza tem dostarczał tylko wiktuałów, przyczem wykazał specyalny spryt »administracyjny«. W ciągu wielkiego postu np. chciał dostarczać mięsa na utrzymanie orszaku ks. Borowskiego, po Wielkiejnocy za to dostarczał tylko oliwy, tak że pobierane w ciągu podróży wiktuały składały się jedynie z chleba, soli, cebuli i oliwy, co kosztowało zwykle około 10 para a często i połowy tego nie było warte. Według rachunku ks. Borowskiego, na całe utrzymanie orszaku wydał czausz w ciągu miesiąca nie więcej jak 15 piastrów, resztę musiał pokryć ks. Borowski z własnej kieszeni i wydał na to przeszło sto piastrów.

Innym przymiotem owego czausza-przystawa była wielka gburowatość i popędliwość, zwłaszcza gdy był w stanie nietrzeźwym, co mu się często zdarzało. Wtedy lżył swoich Turków a nieraz także poturbował ludzi ks. Borowskiego.

Dla samego ks. misyonarza nie tylko nie okazywał respektu, ale i ubliżał mu nieraz; nie chciał go zwłaszcza uznawać za »ab-

[1] List do Giulianiego. Tamże str. 979. Para — była to moneta turecka podobna do polskiego trojaka, wartości półpięta grosza. Ks. Gościecki l. c.

[2] Tamże str. 987.

legata« ani nawet za *jołdżi* t. j. uczonego, tylko za zwykłego księdza *(papas)*.

Nic dziwnego, że ks. Borowski pozbyłby się chętnie takiego opiekuna, ale w drodze nie mógł już dostać innego przystawa musiał więc znosić wszystkie jego kaprysy, chociaż i czausz ze swej strony okazywał ochotę pozbycia się ks. Borowskiego a w jakiemś miasteczku, porozumiawszy się z naczelnikami miejscowymi, przez trzy dni próbował zastraszyć go i zmusić do dalszej podróży bez tureckiego konwoju [1]. Innym razem oświadczył ks. Borowskiemu, że go wprost na Krym poprowadzi ale bez żadnego »tainu« i dopiero z wielką biedą dał się namówić do skierowania drogi do Benderu nad Dniestrem.

Jakie były dalsze losy i przygody ks. Borowskiego w podróży na Krym, o tem w późniejszych jego listach niema wzmianki; znajdujemy o tem krótką tylko zapiskę u ks. Parzechowskiego, mianowicie, że ks. Borowski w asystencyi tureckiej dostał się na Krym, że oddał hanowi polecające listy z Polski i Stambułu, że został dobrze przyjęty przez hana i jego dygnitarzy i że dostał ferman na budowę i restauracyę kościołów [2].

Z krymskiej legacyi ks. Borowskiego znaleźliśmy tylko jedną zapiskę — krótki szkic przemowy do hana. Rozwodzi się w niej nad korzyściami przyjaźni między Polską a Krymem. W imię tej przyjaźni poleca król polski opiece hańskiej katolików zamieszkałych na Krymie i spodziewa się, że ta opieka nie tylko się przyczyni do utrwalenia dobrych wzajemnych stosunków, ale zapewni także Krymowi znaczne korzyści, zwłaszcza handlowe, bo kupcy katoliccy mając zapewnioną swobodę dla swej religii coraz liczniej do Krymu będą przybywać. Wkońcu prosi o życzliwą odprawę i zapewnia, że gorliwie wypełni wszystko, co mu będzie zlecone [3].

---

[1] »Per spatium trium dierum luctam mecum fecit, etiam cum duobus bustandżi misit copiosam guardiam ad me, volendo terrefacere, ut statim hinc discederem, cum et vicarios huius loci traxerat in suam sententiam«.

[2] *Persecutio tartarica.* «Quem politice excepit hanus, vesirius et procéres Tartariae, et cum fermano expedierunt in Poloniam, praebendo annutum, ut fundetur restauraturque ecclesia catholica in Tartaria«.

[3] Rkp. 619, str. 1055.

Załatwiwszy się pomyślnie z legacyą, na którą wydał resztę pieniędzy i nowy dług 200 piastrów zaciągnął, wracał pospiesznie do Polski i stanął z końcem czerwca pod Kamieńcem, gdzie go już czekały listy wierzycieli ze Stambułu. Uspokajał ich jak mógł i zapewniał, że w ciągu trzech tygodni pretensye ich zaspokoi, przyczem liczył nie tylko na protektorów u dworu królewskiego ale także na hetmana Potockiego, do którego z Kamieńca się wybierał, a może także na jenerała Zakonu i na papieża, któremu jakieś sprawy przez znajomego sobie arcybiskupa polecał [1].

O przyjęciu w Polsce i na dworze królewskim dowiadujemy się z dwu listów ks. Borowskiego: z listu do Giulianiego pisanego 8 października z Warszawy i z listu do jakiegoś prałata w Rzymie z dnia 10 października [2].

W Warszawie przyjęto ks. Borowskiego dobrze, a przyjęcie to utrwaliło w nim nadzieję, że i sprawa misyi krymskiej pomyślnie zostanie ukończona i długi zaciągnięte w Stambule rychło będzie mógł spłacić.

Z dygnitarzy duchownych okazywali mu życzliwość prymas, biskupi i dawniejszy kanclerz ks. biskup Andrzej Załuski. Jego następca, kanclerz Jan Małachowski, okazał się niemniej życzliwym od poprzednika. Sprawę Borowskiego u króla poparł ks. Liegieritz, spowiednik królewski i nuncyusz apostolski dla Saksonii, popierał go także ks. Guarini, chociaż nie tak gorliwie, jak się ks. Borowski spodziewał.

Z posłuchania, jakie miał u króla Augusta III 8 października, był bardzo zadowolony. Król przyjął wdzięcznie listy ze Stambułu i Krymu, był rad z pomyślnego obrotu sprawy i zapewnił ks. Borowskiego, że jak ją podjął dla dobra religii katolickiej tak dla jej zakończenia zrobi wszystko, co będzie mógł. Przyjął także podanie ks. Borowskiego w sprawie nowej jakiejś fundacyi na Krymie, prawdopodobnie szpitala dla Polaków, który ks. Borowski jeszcze w pierwszym swym memoryale stanom Rzeczypospolitej polecał.

---

[1] List z 29 czerwca. Rkp. 619, str. 1021.

[2] Tamże str. 1045 i 1051.

Także przyjęcie u ministra Brühla chwali sobie ks. Borowski, zwłaszcza że otrzymał zapewnienie, iż dostanie pieniądze wyznaczone przez radę senatu [1].

Po dygnitarzach świeckich i różnych panach u dworu niewiele się ks. Borowski spodziewał; żali się nawet w liście do Rzymu, że każdy z nich tylko około swoich spraw chodzi i własnych szuka korzyści; żali się, że oprócz obojętnych napotkał także na nieżyczliwych *(gelosi)*. Jacy to byli panowie, tego nie pisze, wymienia tylko jednego i to dawnego swego protektora— hetmana Józefa Potockiego. Dlaczego Potocki był nań urażony, tego z listów Borowskiego wyrozumieć dokładnie nie można; raz bowiem przypuszcza, że hetman chyba dlatego jest mu niechętny, że całe powodzenie sprawy nie było dziełem świeckiego człowieka, innym razem przypisuje to jakimś złym językom, które go oczerniły przed hetmanem.

Do jakich spraw odnosiły się te oszczerstwa i podejrzenia i kto je rozsiewał, tego także dokładnie oznaczyć nie można, to tylko zdaje się pewnem, że miały one związek z jakąś akcyą ks. Borowskiego w Stambule, skoro starał się oczyścić z podejrzeń powołaniem się na świadectwo wracającego przez Polskę rezydenta szwedzkiego, które mu tenże wystawił, a które miało otworzyć oczy i hetmanowi i innym nieprzychylnie dla ks. Borowskiego usposobionym [2].

Czy świadectwo poskutkowało i czy Borowskiemu udało się odzyskać łaskę hetmana, tego nie wiemy [3], ale że i później jeszcze jakieś uwłaczające sławie ks. Borowskiego pogłoski chodziły po

---

[1] List z 10 października l. c. »Che haverò designata per il senatus conseglio certa somma denari«.

[2] List do Rzymu z 10 października l. c. »Egli e vero, que prima vuolta da Gran Generale ero sforzato di far miei spiegge et consultamente ho andato al Residente di Suecia, chi passava per la Polonia, e da ello ho preso il testimonio chiaro in tutto, nelle tutte circonstanze, quello apri gli occhi a tutti l'ignoranti... questa scrittura fara senza dubio il suo onore nella Nostra Corte e gran stimma a tutti«.

[3] »Magnus Dux licet erat praeventus aliter, ceterum et hic spero resipiscet et aperiet oculos ad videndam veritatem«. List do Giulianiego l. c.

Polsce, że go bardzo bolały i że za ich źródło uważał tłumacza Giulianiego, to widoczne z jego dalszych listów.

Giuliani, dawniej gorliwy promotor sprawy misyi, występuje w nich nie tylko jako człowiek rozżalony na ks. Borowskiego osobiście, ale także jako szkodzący sprawie misyi krymskiej.

Przyczyną tej zmiany w usposobieniu Giulianiego były sprawy pieniężne, mianowicie sprawa długu zaciągniętego w Stambule, którego ks. Borowski nie mógł dość rychło spłacić. Za dług poręczył Giuliani a napierany przez wierzycieli, pisał skargi na ks. Borowskiego do jenerała Zakonu [1], do prowincyała i do ministra Brühla. Tymczasem mimo zapewnień Brühla, że Borowski dostanie wyznaczone przez radę senatu pieniądzie — i że te pieniądze zostaną wysłane do Stambułu albo przez przekaz albo przez okazyę [2], sprawa spłaty długu przeciągała się, tak że dopiero w lecie 1747 r. mógł ks. Borowski przesłać na ręce rektora kolegium w Gdańsku 555 dukatów dla zaspokojenia kupca Benjamina Barkera [3], sumę zebraną, jak się zdaje, przeważnie jeśli nie wyłącznie, drogą prywatną od różnych dobrodziejów Zakonu i prowincyała polskiego, którego jenerał Zakonu do spłaty tego długu przynaglał.

Oprócz spłaty głównego wierzyciela miał ks. Borowski kłopoty z Giulianim o jakieś 400 piastrów, które tenże miał wydać w interesie Borowskiego po jego wyjeździe ze Stambułu. Ks. Borowski pretensyi tej nie uznawał, a chociaż starał się wywdzięczyć Giulianiemu przez popieranie jego sprawy u dworu, zwłaszcza przez zabiegi, żeby Giulianiemu wypłacono obciętą i zatrzymaną pensyę, zaznaczył, że czyni to tylko z przyjaźni a nie tytułem rekompensaty za owych 400 piastrów, powołując się na swoje rachunki, wedle których, gdyby szło o ścisłą sprawiedliwość, nie on Giulianiemu ale Giuliani jemu powinienby być dłużny i to nie czterysta piastrów, ale wiele, wiele więcej [4].

---

[1] Listy ks. Retza do Giulianiego z 21 sierpnia 1746. Rkp. 619, str. 1027, z 24 kwietnia i 19 czerwca 1747. Rkp. 620, str. 57, 63.

[2] List do ks. Mandorffa. Rkp. 619, str. 981.

[3] Giuliani do ks. Retza 5 września 1747. Rkp. 620, str. 43 i 111.

[4] List do Giulianiego z 8 października 1746 l. c.

Czy te argumenta trafiły do przekonania Giulianiego i skłoniły go do zredukowania swoich pretensyi, tego nie wiemy, dość że Borowski wypłaciwszy w sierpniu 1747 r. trzy kiesy (1500 talarów) z procentami, uważał sprawę za ostatecznie załatwioną a pisząc o tem do Giulianiego [1], zarzucał mu, że i stu kiesami nie potrafi nagrodzić krzywdy, jaką wyrządził sprawie religii, której nie tylko nie popierał, jak przyrzekł, ale nawet przeciw niej występował. Swoją osobistą krzywdę, mianowicie uwłaczające jego sławie wieści, rozsiewane przez Giulianiego, składał, jak pisze, u stóp Ukrzyżowanego, ale równocześnie przemawia mu do sumienia i przypomina, że wszystko co robił w Stambule, robił za jego radą i wedle jego wskazówek.

Długi, jakie pozaciągał, były tylko następstwem porady Giulianiego, który wmawiał w niego, że potrzeba koniecznie rozdawać podarki różnym urzędnikom Porty i że trzeba się na nie zapożyczyć. Długów tych nie mógł później sam spłacić, chociażby wyprzedał wszystkie zakupione w Stambule rzeczy, które wcale nie miały takiej wartości, jak to Giuliani rozgłaszał.

W sprawie akcyi dyplomatycznej w Stambule robił tylko to, co mu Giuliani doradzał, oświadczał mu wyraźnie, iż nie ma żadnego urzędowego charakteru ani pełnomocnictwa, że ma tylko jako oddawca listów królewskich rekomendacye do posła cesarskiego i sycylijskiego — wszystko inne wymyślił sam Giuliani wbrew własnemu sumieniu [2], a poparcie, jakiego użyczył sprawie misyi można było inną drogą i łatwiej uzyskać.

Odpowiedzi Giulianiego na ten list nie znaleźliśmy, także żadnego późniejszego listu ks. Borowskiego nie znamy; do przedstawienia epilogu misyi krymskiej pozostaje więc jedno tylko źródło, mianowicie historya o prześladowaniu katolików na Krymie, spisana przez ks. Parzechowskiego.

Z narracyi tej pokazuje się, że wszystkie zabiegi i starania ks. Borowskiego ostatecznie poszły na marne i że mimo przy-

[1] List z Ostroga 15 sierpnia 1747. Rkp. 620, str. 45.

[2] »Configit M. Dominatio publice, quod ego tractaverim negotia Constantinopoli extra commisionem, et qua conscientia potest id dicere?... utinam non esset sponsor et promotor negotii, quod alia via facilius evenisset«.

krości wielkich i kłopotów na jakie się naraził, katolicy krymscy nie tylko żadnej z nich korzyści nie odnieśli, ale popadli w stan o wiele gorszy, niż ten w jakim byli przed wyjazdem ks. Borowskiego na Krym.

Ks. Borowski takiego obrotu rzeczy oczywiście nie przeczuwał; ufny w ferman sułtana i hana nie obawiał się dla katolików na Krymie żadnego niebezpieczeństwa, bał się raczej, żeby jego starania o misyę polskich Jezuitów na Krymie nie napotkały na trudności w Rzymie, u jenerała zakonu, który wprawdzie pochwalał starania ks. Borowskiego, ale mógł zmienić zdanie pod wpływem misyonarzy francuskich ze Stambułu, trzymających stronę swego ambasadora, tembardziej, że i prowincyał ks. Tomasz Dunin, lubo mu życzliwy i zgadzający się na jego projekta, za wiele okazywał dla Francuzów sympatyi [1].

Tymczasem niebezpieczeństwo misyi krymskiej zagrażało z innej strony.

Przeciw misyonarzom jezuickim pod panowaniem tureckiem występowali wtedy bardzo gwałtownie schizmatycy, obawiając się katolickiej propagandy, zwłaszcza między Ormianami, których wielką liczbę długoletni misyonarz w Stambule ks. Józef Sadowski dla Kościoła katolickiego pozyskał.

Agitacya była skuteczną, bo ówczesny przełożony misyi wschodnich, tytularny arcybiskup Kartaginy, spowodował odwołanie ks. Sadowskiego ze Stambułu, bojąc się, żeby jego gorliwość nie zaszkodziła sprawie misyi na wschodzie.

Tryumf przeciwników nie trwał jednak długo. Ks. Sadowski przedstawił osobiście w 1745 roku całą sprawę papieżowi i wygrał ją, a opatrzony bulą papieską do księży z Propagandy, żeby mu nie utrudniali pracy misyjnej, wrócił na dawną placówkę misyjną [2].

Tym razem przeciwnicy misyi katolickich innej chwycili się metody, a zwrócili się głównie przeciw polskim Jezuitom na wschodzie, przedstawiając ich jako szpiegów, którzy w interesie

[1] List z Warszawy 10 października 1746 r. l. c. »Temo... che ancora Franciessi o altri qualchi gelosi non farano qualche imbroglio a Roma«.

[2] List Borowskiego do Rzymu z 10 października 1746 l. c.

Rosyi (bo Rosyi się Turcy już wtedy obawiali), pod pozorem misyi wypatrują, co się dzieje w Mołdawii, na Krymie i w Turcyi, i dlatego należy im zabronić przebywania na terytoryum otomańskiem.

Do rozsiewaczy takich pogłosek należał między innymi także niejaki Stahl, sekretarz hospodara mołdawskiego, strasząc go, że narazi się na gniew Turków, jeżeli jezuickich misyonarzy będzie cierpiał w Jassach lub będzie im pozwalał przez Mołdawię przejeżdżać.

Oszczerstwa te, mimo całej swej niedorzeczności, zaszkodziły bardzo polskim misyom na wschodzie; dla misyi mołdawskiej wytworzyły położenie bardzo krytyczne, na misyę krymską sprowadziły katastrofę w roku 1747.

Han Selim-Gerej, po dłuższym pobycie w Stambule, dokąd go sułtan zaprosił i hojnie podejmował, powracał wiosną tegoż roku przez Mołdawię na Krym. Na dłuższy wypoczynek zatrzymał się w Kałuszanach, blizko Benderu. W jego otoczeniu, jak pisze ks. Parzechowski, znaleźli się jacyś nieprzyjaciele polskich misyonarzy, (między nimi prawdopodobnie i sekretarz Stahl), którzy mu opowiadali o rzekomem ich szpiegostwie, powołując się na to, co wojewoda mazowiecki, Stanisław Poniatowski, a za nim jacyś inni panowie rozgłaszali o ks. Borowskim, mianowicie, że Borowski udawał królewskiego posła, że podrobił królewskie listy i pieczęci, że podrobił także inne listy panów polskich do hana i jego urzędników [1].

Poniatowski, który jak wiemy z przytoczonej wyżej opowieści Kanteckiego, uważał ks. Borowskiego za emisaryusza hetmana Józefa Potockiego, rozgłaszając podobne wieści o podrobieniu listów królewskich, zamierzał chyba udaremnić w ten sposób misyę polityczną ks. Borowskiego, o którą go podejrzywał, bo trudno przypuścić, żeby z umysłu chciał zaszkodzić misyi dla

[1] »P. Borowski ad Kałuszany delatus est Hano a malevolis qualiter ipsum reducem confuderit Illmus Poniatowski, palatinus Masoviae et alii proceres, quod se finxerit legatum, quod falsificaverit litteras et sigillum regis, confingendo epistulas, quasi ab iisdem ad Hanum et proceres Tartariae essent directae«. Parzechowski. *Hist. mis. Mold.* kwiecień 1747 i *Persecutio Tart.*

Polaków na Krymie, faktycznie jednak przez swe oszczerstwo udaremnił wszystko to, co dla misyi krymskiej ks. Borowski i w Stambule i u Selim-Gereja już był uzyskał.

Selim-Gerej nie zadał sobie trudu, żeby się przekonać o prawdzie, uwierzył, że go ks. Borowski oszukał, zawrzał gniewem, a dowiedziawszy się, że w Jassach przebywają Jezuici, wysłał do superyora pułkownika swego Mirowicza (katolika, którego czasem także do Polski wysyłał) z zakazem, żeby ani ks. Borowski ani żaden inny Jezuita nie ważył się pokazać na Krymie, boby i jego i katolików spotkała wielka konfuzya. Nie dość na tem. Żeby zapobiedz radykalnie jezuickim machinacyom, kazał zburzyć wkrótce po swym powrocie na Krym misyjną rezydencyę i kaplicę w Bakczyseraju[1]

W ten sposób katolicy na Krymie zostali pozbawieni zupełnie obsługi kapłańskiej, bo krótko przedtem umarł także ostatni misyonarz z prowincyi francuskiej ks. Latur Kafe, Grek z pochodzenia, który przez 30 lat na Krymie pracował z wielką korzyścią dla katolików, a zyskał sobie także wielkie uznanie i szacunek u ludności tatarskiej, której służył poradą lekarską, jako znający się na medycynie.

O akcyi polskiej, w celu wznowienia misyi krymskiej albo przynajmniej o jakimś proteście przeciw zburzeniu kaplicy w Bakczyseraju niema śladu, może dlatego, że nie było na to czasu, bo prześladowca katolików Selim-Gerej wkrótce potem umarł.

Nie wniesiono także żadnego protestu do Porty, i jak się zdaje poniechano zupełnie sprawę misyi krymskiej, skoro w instrukcyi dla posła do Stambułu, Jana Mniszcha w roku 1755, niema o niej mowy, mimo że poseł miał się domagać swobody

[1] »Subvertit itaque Hanus residentiam et sacellum Bakszyszarai in Crimea et expulit nostros patres et persecutus est ecclesiam in suo dominio«. Parzechowski w *Persecutio Tartarica.* «Crimea residentia nostrorum a Hano subversa, ab fabulas et sinistras oblocutiones, quasi nostri pro exploratoribus in Tartariam descenderent... Itaque Illmus senex Poniatowski innocenter interfecit famam Crimeae missionis et Tartariae, quia P. Borowski certas a rege habuit litteras et a Duce supremo ad Portam et Hanum, et verus erat a dicta Maiestate portator litterarum, non fictus«. Tenże, w »Hist. mis. mołdawskiej« l. c.

religijnej dla zakonników misyonarzy pod panowaniem tureckim, przyczem wymieniono wyraźnie Jerozolimę i domagano się zwrotu katolikom zabranych kościołów w Multanach [1].

O zabiegach prywatnych w sprawie wznowienia misyi polskiej na Krymie także niema śladu. Ks. Borowski zniechęcony niepowodzeniami nie próbował już chyba nowych starań o wysłanie go na Krym; umarł w Krakowie w Kolegium św. Piotra 23 lipca 1761 r., a późniejsze wypadki polityczne na Krymie, jak chwilowa niezależność od Turcyi po roku 1774 i przejście Krymu pod panowanie rosyjskie w 1783 r. udaremniły na długo wszelką katolicką tamże propagandę.

Ks. Józef Sas.

---

[1] Rkp. 593, str. 599. Instrukcya poselska:

Punkt 4. .... »instabit o to urodzony poseł, aby wszędzie osobliwie w Jerozolimie i po inszych miejscach ciż religiosi geudeant suis privilegiis«.

Punkt 6. .... »aby kościoły katolickie, które antiquitus (na Multanach) były a nie są, ut restituantur catholicis«.

JOANNA GRUDZIŃSKA.

EPIZOD NOCY BELWEDERSKIEJ W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

WIELKI KSIĄŻĘ KONSTANTY PAWŁOWICZ.
KSIĘŻNA JOANNA GRUDZIŃSKA, jego żona.
GENDRE, generał rosyjski.
HR. WINCENTY KRASIŃSKI, generał wojsk polskich.
LUBOWIDZKI, wice-prezydent Warszawy.
FRISE, KOCHANOWSKI } kamerdynerzy W. Księcia.
SIERŻANT.
CZTEREJ ŻOŁNIERZE KRASIŃSKIEGO.
NABIELAK LUDWIK.
GOSZCZYŃSKI SEWERYN.
TRZASKOWSKI, podchorąży.
BELWEDERCZYCY.

Rzecz dzieje się dnia 29 listopada 1830 r. Jedna z komnat pałacu belwederskiego. Na wprost widza drzwi wiodące do komnat Księżnej i fraucymeru, po lewej drzwi do apartamentów Wielkiego Księcia. Po prawej drzwi wiodące do sal poczekalnych i do kancelaryi Wielkiego Księcia. Po tejże samej stronie okno wychodzące na podworzec pałacu, po lewej okno wychodzące do parku. Godzina wieczorna. W kandelabrach zapalone światła. Księżyc świeci. Przez okno z lewej strony wpada smuga księżycowego światła na meble i na posadzkę.

SCENA I.

JOANNA

(Piękna, dwudziestokilkoletnia kobieta. Siedzi przy jednym stoliku zajęta czytaniem książki. Po chwili przestaje czytać, opada w tył fotelu i pogrąża się w zamyśleniu).

Niestety, w książce jest tak tylko,
w pisarza fantastycznym świecie,
u Walter-Scotta lub Jean-Pau'la —
bo tam króluje twórcy wola — —
ale tu, w życiu...
(po chwili)
Tutaj rwie cię
los swymi szpony tak, że chwilką
pierzchliwą, nikłą szczęście bywa,
a władną zasię dola mściwa — — —
(zamyśla się głęboko)

(Nagle rozlega się za sceną, po prawej stronie, przeraźliwy sygnał trąbek strażackich, a niemal równocześnie dobiega stłumiony turkot beczkowozów i sikawek pożarnych. JOANNA zrywa się przerażona)

Ach, co to, co to?... Co się stało?...
(Zbiera myśli, opanowuje przestrach, podchodzi do okna po prawej stronie)
Pożar gdzieś w mieście... Straż ogniowa
zbiera się... Pędzi...
(wstrząsając się)
Tyle chowa
przerażeń w sobie wrzask sygnałów,
że mróz przejmuje całe ciało — —
Ha, widzę, widzę — — Tam, na przedzie
żołnierz z pochodnią smolną wiedzie
strażaków — — Żagiew iskry sypie — —
(dalekie, niknące sygnały trąbki)
Wypadli bramą... Giną w mroku — —
Niekiedy tylko tam, z za wałów
mgieł blask pochodni krwawo świeci — —
(odstępuje od okna)
I dziwne, dziwne... Jako dzieci

lękliwam dzisiaj... Jakąś trwogą
piersi zdławione pełną znoi — —
(przechodząc ku oknu z lewej strony)
Już cisza... Jasno... Blask księżyca
aż tutaj wpływa... Czemuż roi
myśl moja trwożnie? — i przesyca
duszę lękami — — Zda się z mroczy
coś straszliwego zajrzy w oczy — —
(wstrząsa się, przechodzi do stołu i dzwoni dzwonkiem na nim się znajdującym)

SCENA II.

KOCHANOWSKI
(Wchodzi drzwiami od prawej strony. W liberyi. Lat około sześćdziesiąt. Kłania się)

JOANNA
Czy pożar jaki?...

KOCHANOWSKI
Gdzieś w przedmieście
straż popędziła, Księżno Pani — —
Pono na Solcu browar stary — —
Zwyczajny ogień — —

JOANNA
Nie do wiary
jak się przelękłam...

KOCHANOWSKI
(zaniepokojony)
Prosić może
której z pań, Księżno, z fraucymeru?...

JOANNA
Po balach wszystkie prawie w mieście
dzisiaj... Nie trzeba... Czasem trwożę
się niepotrzebnie... Harmideru
po co z drobnostki... Efekt tani...
Nie lubię tego — —
(po chwili)

Wielki Książę
czy dotąd jeszcze jest u siebie?
Czy wie o ogniu?...

KOCHANOWSKI

Książę Pan w przyjęć gabinecie
jeszcze zajęty...

JOANNA

Czy nie wiecie
kogo u siebie ma w tej chwili?

KOCHANOWSKI

Jeśli się sługa wasz nie myli
był, zda się, Mackrot, co na chlebie
jest policyjnym. Dosyć długo
bawił... A potem zaś na drugą
audyencyę poszła snać niewiasta
leciwa... Potem przyszedł miasta
wice-prezydent. Dotąd jeszcze
na posłuchaniu — — Gdy zaś krążę
po poczekalni, zewsząd pyły
otrzepujący i rozjaśnię
światła w lichtarzach, przyszedł właśnie
ten, ten — — a niech go! — — Zandr, generał,
co to z przepicia ma wciąż dreszcze...
Czeka kolei...

JOANNA

(uśmiechając się)

Idź, mój miły,
poproś go tutaj... Mieszka w mieście,
pewno dość nowin ponazbierał...

KOCHANOWSKI

O, ten wie dużo... Jak po kweście
chodzi po wszystkich jadłodajniach,
cukierniach, szambrach... no, i stajniach,
by tylko znaleźć mógł kamrata,

z którym przy szklance się pobrata — —
Zaraz tu będzie...
(kłania się głęboko i wychodzi)

SCENA III.

JOANNA

Dziwne mnie myśli dziś opadły
i jakieś trwożne niepokoje,
czegoś się lękam, czegoś boję,
i sama nie wiem nawet czego — —
Jakiś korowód mar wybladły
przed okiem duszy mej się winie,
patrzę nań, ale tajemnicy
przejrzeć nie mogę — —
(po chwili)
Może z tego
trwożnam, że teraz o me uszy
częściej się zdanie to obija:
Wolnej Polacy chcą krainy!
Pragną wolności! — — A tu rączy
w gwałcie Mikołaj, jako żmija
ciągle zagładą Polsce syczy,
i ukazami gwałci ninie
dawne ustawy, dawne prawa,
które zaprzysiągł, i dwulicy
gdzie miłość kraju, widzi winy —
i on, król Polski, chce być carem
by w Petersburgu tu, w Warszawie — —
(po chwili)
Tak, tak... Od lęku ginę prawie — —
Wolność czerwonej krwi jest darem — —
Wolność, to z gwałtem krwawa sprawa —
i przeto — Boże! — lęk mnie bierze —
krew może być tu, w Belwederze — — —
(po chwili)
Tak, to przyczyna mojej trwogi,

że nieraz gwałcę ją li siłą
woli... Uleciał spokój błogi,
ufność — — To wszystko się zmieniło
w lęki — — Ach! zda się widzę lepiej
niżeli inni... Polką jestem...
Kraj chce wolności! — i krwi chrzestem
będzie jej wołał... Wokół ślepi
śmieją się ze mnie... Nawet Książę
nie daje słowom szpiegów wiary,
drwi, że urojeń drogą dążę,
nie wierząc wcale, by Polacy
porwać się mogli dziś na cary — —
A ja się boję, boję kary
za jego gwałty nad żołnierzem —
i próżno bronię się pacierzem
i modlitwami przed tą trwogą,
że ciosy pomsty dobiedz mogą
aż w te podwoje; że obroże
zerwą ci, którzy dziś żołdacy
korni, ulegli w oczach Księcia — —
(zamyśla się)
Wszak pochwycone w zemście noże
do wszelakiego zdolne pchnięcia — — —

SCENA IV.

GENDRE

(Wchodzi od strony prawej. Mundur rosyjskiego generała. Średniego wzrostu, barczysty. Nos płaski, twarz rozlana)

Jestem, by służyć, Księżno Pani...

JOANNA

(Zwraca się, GENDRE podchodzi, kłania się i całuje ją z uszanowaniem w rękę)

Bon soir... Wybacz generale,
że was trudziłam teraz, ale
chciałam zapytać... Wy wśród ludzi
ciągle i dużo przeto wiecie,
i to ciekawość moją budzi...

bo ja z pałacu nieraz ani
na krok dnie całe nie wychodzę — —
Ciekawa jestem... Plotek trocha...
Co tam nowego jest na świecie?
Może mój humor wypogodzę...

GENDRE

Subordynacyę znam wojskową — —
Od carewicza my naszego
słyszym: Niech żołnierz rozkaz kocha!...
Być nieposłusznym, to niezdrowo —
mawiają w Moskwie... Ale Księżno
jakież nowiny?... Nic nowego...
Znam tolko takie, których uszy,
princesse, nie ścierpią ponoś wasze...

JOANNA

(wskazując ruchem ręki)

Usiądźmy...

(siada na jednym z foteli, GENDRE po drugiej stronie stołu naprzeciw niej)

Możem niedołężną
w słowach. Wszak wie pan, skandaliki
mnie nie ciekawią, dosyć o tem
szeptają dworki...

GENDRE

Z całej duszy
radbym... Nowiny?... Cóż opowiem?

(namyśla się)

Aha, ciekawe może... Błotem
dzisiaj w południe jakieś chwaty
Mackrota z piętra zlały, szpiona...

JOANNA

Vraiment, to kara zasłużona...

GENDRE

Da, da, pomyje na psubraty — —
No, no, a jeszcze — — Na pałasze
był pojedynek oficerski,

naszego zwalił Lach rycerski
przez pysk – wybaczcie mi — po twarzy...

JOANNA

O cóż im poszło?

GENDRE

Ponoś piki
przy grze w ferbelka nasz zamieni
za wyrzucone... To się zdarzy...
A tu się z Lacha czort wyleni,
kłótnia, wygawor... no, i sprawa
w szaszki, że w złości, przeto krwawa...
Nasz to przepłaci swojem zdrowiem — —

JOANNA

Cóż więcej jeszcze, generale?...
Coś ciekawszego.

GENDRE

Da ospale
myślę...
(po chwili)
Wypadek jest ciekawy,
ale nie ruszam ja tej sprawy...
Wybaczcie, Księżno, mówią nasi:
Milczenie diengi, słowa plewa — —
Da, to nam, rabom, żywot krasi — — —

JOANNA

Lecz księżna na was się pogniewa...
Czemuż milczycie, generale?...

GENDRE

Bo może przykrem trochę będzie,
duchesse, (mnie także), kiedy mowa
o śmierci... Mówią: Śmierć niezdrowa...

JOANNA

(poruszona)
O jakiej śmierci?...

GENDRE
(zakłopotany)

Durność... Wcale
nic ciekawego... Śmierć po grzędzie
chodzi i kosi... Po co gadać
i w sercu jeszcze głupio biadać — —
Durak był — — zczeznął, nic dziwnego — —
Da, od dziś durnia mniej jednego — —

JOANNA
(silnie)

Mówcież nareszcie! Czekam długo — —

GENDRE
(ociągając się)

Każecie, Księżno, jestem sługą — —
Czorty pobrali znów młodego
oficerzyka przy paradzie...
W łeb sobie strzelił — —

JOANNA
(zalękniona)

Co, przez męża?...

GENDRE

Da, da... Carewicz był na mustrze — —
Czort wie!... Jej Bohu, gdyby w lustrze
słońce świeciło tak na złocie
guzików, kasków, epoletów — —
Książę był chmurny... Ta parada
najlepszy humor przezwyciężą — —
Lecz było dobrze... Wtem na zadzie
oficerzynie szkapa siada...
Spłoszył się... Chłopiec się zakiwał...
Ujrzał to Książę... Skoczy... Krocie
ogni miał w oczach... Wpadł. Sprzezywał
od sobak chłopca, z lazaretów
służbą go zrównał, i za karę
kazał osadzić go w areszcie — — —

JOANNA

A ów oficer? Kończcież wreszcie!

GENDRE

Wściekł się, czy w Boga stracił wiarę — —
W łeb sobie strzelił!... Tak po drodze
kiedy do koszar powracano — —
Widziałem — — Głową roztrzaskaną
O ziemię runął...
(po chwili)
Da, niebodze
teraz już dobrze...

JOANNA

(wzburzona)
Boże, Boże,
oto mi nowe znowu noże
wnikają w serce... Nowa zbrodnia!...

GENDRE

(niespokojny)
Ach, bariń, Księżno!... Jej Boh, co dnia
pochwyca ludzi śmierć-matuszka,
na mieście chwyci, i do łóżka
chorego przyjdzie — —

JOANNA

(opanowując się)
Już spokojna
jestem...
(uśmiechając się sztucznie)
Tak, kobieta
lękliwsza od was Marsa synów — —

GENDRE

No da... a życie to jest wojna,
a wszyscy ludzie to są raby
Boga i cara... Gdzieś z za tynów,
princesse, wypadnie jak rakieta
śmierć, i już jesteś wrażej łupem — —

Da, żyjesz dzisiaj, jutroś trupem — —
No, ale tęskno... Chłopak krasy
był, i przez głupstwo poszedł marnie — —
Da, życie młódki, a śmierć asy,
a Boh, to gracz jest, który garnie
jak chce — a człowiek każdy słaby — —

JOANNA

Pan, generale, też wzruszony —
A mnie dziwicie się kobiecie
żem się przelękła — —
(po chwili)
Czy nie wiecie
co w mieście mówią z tej przyczyny,
w czem samobójstwa szuka winy
miasto? — Tłum nieraz jest szalony — —

GENDRE

No da, Palaki wszyscy inni — —
My wiemy: górą carska wola —
Cierpieć, to nasza tutaj dola —
da, my spokojni i bezczynni — —
A Lachy zawsze klęli władzę,
więc carskiej teraz też powadze
pewno przeciwni... Ale Lachy
li w słowach mocne... Próżne strachy...

JOANNA

Więc znowu, znowu narzekania,
znowu przekleństwa pełno gniewu — —
Pewnam, ach, pewnam — z tego siewu
wzróść może burza, co pochłania
wszystko gwałtownie, wali, niszczy — —

GENDRE
(uśmiechając się)

Da, da — — kobieta zawsze zgliszczy
dojrzy tam, kędy świeczka świeci — —
Princesse, strach marny, jako dzieci

posłuszne wojsko polskie Księciu —
przecie on prawie mu korolem — —

JOANNA

A jednak serce ściska bolem
myśl, że przekleństwa coraz nowe,
spadają ciągle mu na głowę — —

GENDRE

(powstając, dumnie)

A zresztą Lachów przedsięwzięciu
przeciwko stanie nasza szpada,
nasza, rosyjskich wiernych synów,
i ona z Lachem wraz pogada,
jeźliby przyszło do złych czynów — —

SCENA V.

KONSTANTY

(Wchodzi od strony prawej, w mundurze generalskim, krzyże i ordery liczne. Zły, nachmurzony. »Silnej budowy, twarzy płaskiej, nosa wklęsłego, prawie niepołączonego z czołem. Oczy niebieskie, ruchliwe, zakryte gęstą, długą, sterczącą brwią. Twarz ciemna, gdyby ogorzała. Popędliwy do szaleństwa, gwałtowny do wściekłości. Tchórz z urodzenia a pełen manii wojskowości i żołnierstwa«. GENDRE ujrzawszy go blednie, wyprostowuje się jak struna, i przez cały czas, aż do odejścia, stoi milczący, sztywny jak posąg. KONSTANTY wchodząc, spostrzega go, idzie ku niemu i staje o trzy kroki przed nim).

Wy tutaj?... Pewno znów z prośbami — —
Pewno zasiłek z carskiej kasy
potrzebny — — Zgrał się pewno w karty — —
Wy, wy, generał wzór, jak — z Sparty — —
A może przepił wszystko z gaży? —
No tak, moskiewska wy natura — —
No co?

(postępując bliżej)

To teraz idź z torbami
lub do policyi — —

(szyderczo)

Nie da wiary
nikt ile carskich ma bumaży

szpion każdy — — Hej! nie lura
ale by szampan był za diengi! — —
(tupiąc nogą)
Wont drań, sobaki, niedołęgi! — —.

JOANNA

Generał przyszedł na wezwanie
tu moje Książę, i z mej winy
słyszy twe ostre słowa, panie — —

KONSTANTY
(opanowując się nieco)

Da... Calusieńkie trzy godziny
słuchałem tylko psich donosów — —
Dość mam na dzisiaj, do wsiech czortów,
próśb, skarg, wyroków i raportów!
(do GENDRA)
Jeźli chcesz czego, czekaj — — Muszę
odetchnąć nieco — — Z łba, jak z trzosów
wysypać śmiecie podłe, które
w mózg mi wrzucili Mackrot — jucha
i Lubowidzki — Potem ucha
dam twym skomleniom — —
(łagodniej)
No i burę,
boś wart mi tego, naprzód tuszę — —
A teraz precz mi! — —

GENDRE
(wyprostowuje się jak struna, kłania się po wojskowemu, zwraca na miejscu i wychodzi)

SCENA VI.

KONSTANTY
(Chodzi gwałtownie przez chwilę po komnacie tam i napowrót, nagle staje przed JOANNĄ)

Podłych bredni
słuchałem dzisiaj trzy godziny,
które donieśli sukin-syny — —

pardon — — ten Mackrot i szef miasta — —
Psy, niech się każdy, gdy chce, szasta
po mieście, za to niepośledni
grosz biorą — — Ale mych żołnierzy
czernić, skowyczeć, że wymierzy
każdy z nich chętnie w piersi moje,
by w nie wpakować swe naboje — —

JOANNA

Cóż ci donieśli znów nowego?

KONSTANTY

Niech ich czort porwie, łotry przedni! —
Mieli mnie chwycić — — Mackrot gada —
ot, miesiąc temu — — Jakonini — —
I wiesz jak, kiedy? — — Gdy parada
wojskowa będzie — — Oszaleli! —
A potem schować, aż uczyni
car czego zechcą buntoszczyki — —
Lecz ja nie wierzę, nie, nie wierzę!

JOANNA

Może mówili jednak szczerze — —

KONSTANTY

(podbiegając ku niej, gwałtownie)

Wiesz co? Mów! Powiedz!

JOANNA

Nie, lecz trwoga
nęka mnie ciągle, słabą czyni — —

KONSTANTY

(trzęsąc nią)

Mów prawdę! Gadaj! — Ja, na piki
kozackie wezmę ich. Pod pletnie
każę sołdatom — — Ja szlachetnie
poigram z nimi — — Ja ich siłą
zmuszę, by im się nic nie śniło — —

JOANNA

Nie wiem nic... Puszczaj!... Świadczę Bogiem!— —
(po chwili)
Lecz niespokojna jestem bardzo,
a nuż środkami nie pogardzą,
które im rozpacz podyktuje — —

KONSTANTY
(odstępuje krok wstecz)
Cóż to? — czy ja im jestem wrogiem? — —

JOANNA

Wrogiem? Nie. Wcale. — Ty w Warszawie
chcesz być — — Ty nawet lubisz prawie
polskie ułany pełne krasy,
strzelców pułk czwarty, co zuchwale
wszystko wykona na mustr placu — —

KONSTANTY
(przerywając)
Tak, ja ich lubię!... Bo ich sławie
nikt nie dorówna — — Choćbym dale
całego świata zdeptał wokół — —
Takich nie znają nasze czasy — —

JOANNA

Ale gdy zejdziesz k'nim z pałacu,
nie jesteś dla nich jako sokół,
za którym oniby pognali,
boś jest im srogi, jak ze stali.
Patrzysz w ich ruchy, a nie w serca,
i przeto — wybacz — tyś morderca
ich przywiązania, które może
li miłujący zdobyć szczere —
bo ty w nich kochasz swą chimerę — —

KONSTANTY

Przez dyscypliny li obroże,
ma chere, mój żołnierz jest żołnierzem — —

JOANNA

Gdy w honor godzisz, to pokorę
w mściwość przemieniasz ukrywaną — —

KONSTANTY

Głupie zwidzenia jakieś chore
widzisz, miast bronić się pacierzem — —

JOANNA

Tak? — A dziś jeszcze, dzisiaj rano
oficer jakiś w żalu, w szale,
zabił się przez cię, nieszczęśliwy — —

KONSTANTY

Ha, wiesz już o tem! — Ty oliwy
do ognia lejesz twem krakaniem! —
Jam temu winien? — Doskonale!
Da, ja nie bawię się głaskaniem — —
(w pasyi)
Lecz któż to Lachy zawsze broni
przed zamysłami Mikołaja,
lubczyka brata mego, cara? —
Kiedy on w myśli ich uzbraja,
by szli wojować pod Dybiczem,
jam niepozwolił — — Wrócił z niczem
posłaniec carski! — Któż się stara
Nowosilcowa psie raporty —
niechaj go wszystkie porwą czorty —
w których tak stoi, jak na dłoni,
że oni wszyscy miatieżniki,
nazywać brechnią? Kto to szyki
psuje, gdy pragnie bratczyk miły,
by się w szeregi polskie wryły
nasze Mongoły, przez co moje
wojsko by była — carska służba? —
Czyż nie przez ciebie i przez Lachy
Aleksandrowi pismo dałem,
że ja, Konstanty, sam uznałem,

że carem nie chcę być, nie mogę —
(miotając się)
że aby wstąpić na tę drogę,
mam um za mały, nizką duszę — —
(po chwili)
Tak, bo nie dla mnie ciągłe strachy
na carskim tronie. Nad nim wróżba
śmierci Pawłowej wisi mieczem,
co na niteczce zawieszony! — —
I przetom uciekł w lackie strony,
życiem nie carskiem żyć, lecz człeczem —
bom nie chciał czuć, tu
(wskazując na szyję)
jak owinie,
mnie szarfa straszna, szarfa zbirów — —
(cicho, sycząc)
A czy rozumiesz? słyszysz? Ręce
brata też były przy tym czynie —
syn życie ojca swego kruszy —
przy śmierci ojca ręce syna —
a ojciec może w konań męce
widział to — — charczy — — i przeklina — —
(po chwili)
I nie chcę, nie chcę, by twarz sina
moja tak była jako brata
starszego w trumnie, w Taganrogu — —
Da, da — — ty nie wiesz czyja wina —
kto znowu jego z śmiercią swata — —
Ha, ha... utruli go — — jej Bogu! — —
(cicho)
Wiesz... Tajemnica... Ja raporty
dokładne miałem... w tajemnicy...
Mikołajowi najemnicy,
ci najstraszniejsi, carskiej sorty,
struli go cicho — — I caruje
ten, który brata swego truje — —
(po chwili przerażony)

A ja się śmierci ojca boję —
a ja się boję śmierci brata —
i strach za szyję mnie oplata,
i mrozi, mrozi serce moje — —
I to jest, to jest w tem przyczyna
żem jest w Warszawie, że mi strata
carstwa jest niczem — Niech przymierze
z piekłem ma bratczyk mój, car mity — —
ja do carowań nie mam siły — —

(po chwili)

I mnie i ciebie śmierć zabierze
cicho — — bo przecież nie mam syna — —

(po chwili)

Tak, ja się śmierci carskiej boję — —

(wstrząsając się)

Br, szarfa dławi zwolna, dusi —
albo trucizna ciało moje
rozkłada żywcem — — Oko kusi
przepaść straszliwa i niezgłębiona —
i serce cichnie... kona... kona...

(krzycząc)

Nie, nie chcę, nie chcę! — —

JOANNA

Czyliż taki
musi być koniec twego życia? —
Posłuchaj tylko. — Lackiej duszy
ty nie znasz wcale. Ty z ukrycia
serca wypędzaj złość i srogość.
Polacy zawsze jako ptaki
wolni być pragną, ich nie skruszy
tyrańskich więzów żadna mnogość.
Pomnij: Mikołaj sam dokoła
pędzi cię, w którem ty z narodem
szarpać się musisz, zamiast przodem
iść im, świadomy, że gdzie woła

głos twój tam oni pójdą zgodnie
Mikołajowe karać zbrodnie — —

KONSTANTY
(uspokajając się powoli)

Da... słusznie... słuszność masz, zaiste — —

JOANNA

Dla nich mieć trzeba serce czyste —
trzeba być wodzem, a nie carem,
a wtedy w sercach im pożarem
zapłonie miłość wraz ku tobie.

KONSTANTY

Da, da — — Ja nieraz dumam sobie....
Zerwę te chresty i ordery,
podepczę — potem stanę szczery
geroj przed wojskiem, w górę szpada:
Król lacki! teraz niech car gada! — —
(po chwili)
Da, ty masz słusznie... Twe pomysły
naprawdę dobre, lubko moja —
tylko, żem ja jest człowiek dziki — —
Chcę — — a tu nagle chęci prysły — —
dobrym — — i naraz wilcze krzyki
złość we mnie czyni... I ostoja,
mir dla mej duszy, gdy pod knutem
jęki usłyszę, kiedy butem
tych kopię, którzy głowę w górę
wznoszą, miast skomleć u mej nogi — —
Da, ja z natury jestem srogi — —
da... czyż przemieni wilk naturę? —
(po chwili)
Ale spróbuję — — Twoje słowa,
lubko ma, pamięć ma zachowa,
na długo, długo — —

JOANNA

A wyniki
tego, bądź pewien, dobre będą.

KONSTANTY

Familii tego, co w łeb sobie
strzelił dziś rano, dam czerwieńców
sporo. Niech mają czem na grobie
łzy otrzeć — — Jutro, kiedy szyki
przeglądać będę, wojsku zrzędą
złym ja nie będę, — nawet zwolnię
od kar trzech sądu potępieńców — —
Pochwalisz. Powiesz: pojął zdolnie — —

JOANNA

Ja modlić będę się do Boga,
by ci udzielił Swej pomocy — —

KONSTANTY

A teraz idę spocząć, droga —
okam nie zmrużył nawet w nocy,
widziałem jakieś krwawe mary,
zabójce, mordujące cary — —
(po chwili zbliżając się do JOANNY)
Pójdź i ty lubko.

JOANNA

(z ukrywanym wstrętem, uwalniając się łagodnie z jego objęć)
Muszę jeszcze
listy napisać — — Przyjdę potem — —
(KONSTANTY wychodzi drzwiami na lewo)

(Dok. nast.)

Adam Stodor.

OLYMPIA.

(Dokończenie).

Wieczorem.

W uzupełnieniu tego, co nam Derpföld mówił, rozczytuję się przez cały wieczór w książce Pausaniasa, szczególnie zaś w rozdziałach poświęconych posągom atletów. Pełno tam zajmujących wiadomości i charakterystycznych anegdot.

Dwa najstarsze posągi, jeszcze drewniane, pochodziły z 59 i 61 Ol. czyli 544 i 536 r. Odtąd, więc od połowy prawie VI w. przed Chr. ciągną się już nieprzerwanie wizerunki olympioników aż do zaniechania uroczystości i upadku miejsca świętego. Pausanias wymienia ich bez mała 250, a wśród nich dzieła najświetniejszych mistrzów. Z prawa do wzniesienia posągu nie zawsze korzystał sam zwycięsca, zastępowali go w tem często krewni albo współobywatele, na których spływała także chluba olympijskiego wieńca. Zdarzały się wypadki, że inne miasta pozyskiwały sobie za pieniądze sławnych olympioników, aby zamiast własnej ojczyzny ich miano podali do spisu zwycięsców i ryli na podstawie posągów. Niejaki Astylos, rodem z Krotony, przekupiony przez Hierona, syrakuzańskiego tyrana, dał się obwołać zwycięscą jako Syrakuzanin; Krotoniaci tak się tem czuli dotknięci, że za karę dom jego zamienili na więzienie, a posąg jego stojący w świątyni Hery Lakinijskiej, obalili. Nie dziw, że się pogodzić nie mogli z takim postępkiem wyrodnego ziomka: wszak miasto ich słynęło pod koniec VI stulecia jako gniazdo rodzinne Milona, syna Dio-

timowego, co siłą przewyższał niemal wszystkich śmiertelników. Swój własny posąg zaniósł on na barkach do Altis bez niczyjej pomocy; jabłko granatu w palcach tak potężnie trzymał, że nikt wyrwać mu go nie zdołał, mimo, że skórki nawet nie nadwyrężył na owocu. Na dysku posmarowanym oliwą stanąwszy, śmiał się z wszystkich, co go zeń strącić usiłowali; opasywał sobie czoło struną i zatrzymując w sobie powietrze, zrywał ją pod naporem żył nabrzmiewających na głowie; wspierał się łokciem o biodro, i rękę pod kątem prostym wyciągał, a wtedy nikt nie mógł zgiąć mu nawet małego palca. Zgubiło jednak mocarnego Milona zbytnie zaufanie w nadludzką siłę. W okolicach Krotony, gdzieś na pustkowiu znalazł on suche drzewo rozszczepione za pomocą klinów i przyszła mu ochota rozerwać pień rękoma, lecz kliny wypadły przytem a drzewo przyskrzyniło mu nagle obie ręce; tak ubezwładnionego siłacza rozdarły w nocy wilki.

Później w IV wieku za czasów Aleksandra W. dorównywał siłą Milonowi olbrzymowi Pulydamas, syn Nikiasów, pochodzący ze Skotusy w Thessalii. Dokazywał on sztuk niemniej wyjątkowych: gdy na pastwisku buhaja chwycił za racicę i to jedną ręką, zwierzę nie mogło mu się wyrwać i na miejscu osadzone póty się szamotało, póki racica nie została w garści Pulydama. Innym razem, uczepiwszy się wasąga, wóz w pędzie zatrzymał. Zasłyszał o sile nadzwyczajnej Pulydamasa król Darejos II, zwany Nothos i na dwór go swój sprowadził. Tam zmagał się potężny Skotusyjczyk z trzema naraz Persami z przybocznej straży królewskiej, którą hufcem nieśmiertelnych zowią, i wszystkich trzech na ziemi rozciągnął. Lecz wkońcu jego także o zgon przyprawiła nadmierna dufność i chęć popisania się ogromną siłą. Z kilkoma przyjaciółmi był raz w jaskini skalnej, której sklepienie zarysowało się nagle. Wszycy uciekli, Polydamas jeden tylko został umyślnie i wyciągnął ramiona do góry, jak gdyby w pysze swej mógł istotnie powstrzymać walące się głazy, które zuchwalca na śmierć przytłukły. Niekiedy znów atleta, widząc iż go na starość opuszczają siły, pogodzić się z tem nie może i w rozpacz głuchą popada. Tak stało się z Kleonajczykiem Timanthesem. Syty chwały w podeszłym wieku zaniechał zapasów, ale sił swoich doświadczał

codzień, wielki łuk napinając. Wypadło mu wyjechać z domu, skutkiem czego zaniedbał ćwiczeń z łukiem. Po powrocie, gdy go już napiąć nie zdołał, tak mu życie zbrzydło, że stos własną ręką ułożył i dowolnie na nim spłonął. Wszystkie te anegdoty i wiele innych rozsianych u Pausaniasa, rzucają pełne światło na helleńską atletykę i jej znaczenie w życiu greckiem. Czytając je rozumie się dopiero, czem dla tych ludzi był rozwój ciała i jaką cenę miał dla nich oliwny wieniec z Olympii.

Wtorek 9 kwietnia.

Do południa kończy Dörpfeld oprowadzanie nas po świętym Gaju i po sąsiednich budynkach świeckich, które już poza obrębem Altis leżały. Stajemy w pobliżu Buleuteryonu, gdzie przerwaliśmy wczoraj naszą wędrówkę. Na południu od Radnicy ciągnie się ze wschodu na zachód kolumnowy krużganek, zbudowany w późno doryckim stylu pod koniec III lub z początkiem II w. przed Chr. Wewnętrzny rząd kolumn jest może jeszcze późniejszy i zdaje się pochodzić z epoki Hadryana. Budowla ta, w braku starożytnej nazwy, nosi miano *południowego portyku*. Wznosił się on wzdłuż drogi, po której orszaki uroczyste zmierzały do Gaju. Przy tej samej drodze, tylko bardziej ku zachodowi cofnięty, stał wielki gmach zwany Leonidajonem, od imienia swego założyciela Leonidasa Naxyjczyka. Było to jedno z piękniejszych dzieł IV wieku, współczesne z wielką świątynią Asklepiosa i z prześlicznym Tholosem w Epidauros. Leonidajon zbudowane było prawdopobnie celem godnego pomieszczenia najdostojniejszych gości, przybywających na igrzyska. Zarys gmachu tego przedstawia się jako prostokąt bardzo zbliżony do kwadratu, boki wynoszą 80 i 74 m. Wewnątrz było podwórze, którego ściany mierzyły po 30 m. bez mała. Budynek otaczała zewnątrz kolumnada jońska. Jej formy stylistyczne miały wszystkie cechy, jakie przybrał porządek joński w Peloponezie. Dokoła podwórza biegła również kolumnada, lecz w stylu doryckim, wyraźnie przekwitłym, czego najwidoczniejszem znamieniem są głowice nazbyt małe i jakby spłaszczone. W czasach rzymskich Leonidajon uległo dwukrotnym przebudowom, które miały na celu przystosowanie we-

wnętrznego rozkładu komnat do wymagań prokonsulów, zajeżdżających tutaj z całym dworem na igrzyska.

Po wyjściu z Leonidajonu zwracamy się ku północy, gdzie stoją ruiny wcale dobrze zachowanej budowli. Przechodziła ona różne koleje: w V w. po Chr. służyła byzantyjskiej osadzie za kościół. Czem jednak była pierwotnie? Najpoważniejsze głosy odzywają się za tem, że w niej mieściła się, wspomniana u Pausaniasa, pracownia Fejdiasowa. Przemawiają za tem rozmiary zupełnie odpowiadające naosowi świątyni Zeusa i oświetlenie padające tutaj również od wschodu. Dzięki temu w pracowni swej mistrz miał te same warunki, wśród których jego Zeus ostatecznie znajdzie się w swoim przybytku. Są tu nawet ślady podziału trójnawowego i dowody istnienia bocznych galeryi piętrowych. Otwory w długich ścianach, niezbyt wysoko rozmieszczone, dają się wytłumaczyć tem chyba, że w nich zapuszczane były silne podpory, na których spoczywały półki, zdolne udźwignąć nielada ciężar czy to przyrządów czy skończonych już części posągu. Wnętrze budynku mogło być w poprzek przedzielone drewnianą, dowolnie rozsuwalną ścianą. Wszystkie te urządzenia w pracowni wielce dogodne przemawiają za przypuszczeniem, iż tutaj się ona mieściła, zwłaszcza iż Pausanias w najbliższem sąsiedztwie z Leonidajonem wspomina Fejdiasową pracownię. Domyślano się jej w bardzo długim a wązkim budynku tuż obok byzantyjskiego kościoła, zdaje się jednak, iż były tam warsztaty pomocnicze i składy narzędzi.

Z kościołem byzantyńskim, niemal bezpośrednio styka się Theokoleon, czyli pomieszkanie kapłanów. Czas jego powstania trudno podać dokładnie, w każdym razie datować ono może w pierwotnym swoim kształcie najpóźniej z pierwszej połowy IV stulecia. Jeszcze w greckich czasach rozszerzono je znacznie, a w epoce rzymskiej przebudowano ponownie. Na zachód przypiera do Theokoleonu maleńki przybytek, poświęcony nie wiadomo jakiemu herosowi. Szczególnie zajmujące, że zachował się tam jeden z tych pieców, które Byzantyńcom służyły do przerabiania marmurów starożytnych na tak użyteczne wapno.

Dörpfeld prowadzi nas napowrót do Altis przez mur obwodowy zachodni; są w nim trzy wejścia: w środku furtka prze-

znaczona prawdopodobnie dla kapłanów, mieszkających w pobliskim Theokoleonie, a po dwóch stronach na północy i na południu otwierały się dwie bramy architektonicznie przyozdobione kolumnami. Powstały obie współcześnie z tryumfalnym łukiem Neronowym. I mur sam pochodzi oczywiście z tych czasów. Poprzednio granicę Gaju po zachodniej stronie przesunął był już raz Filip Makedoński, aby uzyskać miejsce pod budowę t. z. Filippejonu.

Była to krągła, niezbyt wielka budowla, przypominająca śliczny Theolos epidauryjski. Zwaliska jej leżą między murem Altis a Herajonem. Na trzechstopniowym stereobacie, stały kołem jońskie kolumny w liczbie ośmnastu. W pośrodku wznosiła się cella okrągła. Wyrastała ona ponad okalającą kolumnadę i nakryta była osobnym, okrągłym dachem. Wewnątrz otaczało cellę dziewięć półkolumn korynckich, a na ich głowicach wznosił się drugi, piątrowy szereg półkolumn przypuszczalnie także w tym stylu. Oba dachy, zarówno niższy nad kolumnadą, jak wyższy nad cellą kryte były płytami z paryjskiego marmuru, a na samym wierzchu błyszczała makówka z pozłacanego bronzu. Filippejon pochodzi z tych czasów, co Stoa Echa; Pausanias twierdzi, że zbudowane było po bitwie pod Cheroneją, jako dziękczynny dar króla za zwycięstwo. Ma tedy Filippejon znaczenie skarbca, który mieścił w sobie wykonane przez Leocharesa w złocie i kości słoniowej posągi makedońskiego domu. Stali tam: Filip i królowa Olympias i rodzice Filipa, Amyntas i Eurydike i syn, Aleksander.

Na północ od Filippejonu, już u stóp Kronosa, wznosiło się Prytanejon w miejscu, gdzie stały przedtem jakieś dawniejsze budowy. Znajdowała się w Prytanejonie, według Pausaniasa, jadalnia, »w której goszczą wszystkich, co zwycięstwa olympijskie odnieśli«; przed wejściem do niej miała Hestia swój przybytek i ołtarz z wiecznym ogniem. Dodaje Pausanias, iż w Prytanejonie śpiewają stare pieśni, wszystkie w narzeczu doryckiem, lecz nie wiadomo przez kogo ułożone.

Na tem skończyliśmy wędrówkę po Gaju świętym. Poza obrębem jego, nad Kladeosem, na północ od Theokoleonu, leżały jeszcze dwie budowle, mające pokrewny charakter i przeznaczenie:

Palajstra i Gymnasyon. Pierwsza z nich była obszernym gmachem kwadratowym o bokach długich na 66 m. Część najważniejszą stanowiło wielkie podwórze, przeznaczone do ćwiczeń i otoczone doryckiem podcieniem, które od strony południowej ma kolumnadę podwójną. Podwórze na znacznej przestrzeni miało posadzkę z płyt rowkowanych, nie wiadomo jednak do czego służyło takie urządzenie, potrzebne widocznie przy jakimś rodzaju ćwiczeń gimnastycznych. Na podwórze wychodzą niewielkie salki otwarte na krużganek dorycki i oddzielone odeń kolumnami jońskiemi; były to miejsca wypoczynku, łazienki i tym podobne izby. W niektórych zachowały się pod ścianami kamienne ławy.

Z gymnasyonu zamulonego przez Kladeos, odkopano tylko dwie kolumnady. Południowa stykała się bezpośrednio z palajstrą i łączyła te oba gmachy. Podcienie zbudowane wzdłuż wschodniej ściany Gymnasyonu było dwunawowe, podparte podwójnym rzędem kolumn doryckich. Ślady szranków i odległość od nich do końca kolumnady wynosząca 192 czyli 1 stadion, świadczy wymownie, że cały ten portyk przeznaczony był do ćwiczeń w biegu pieszym.

. . . . . .

Odchodząc, rzucamy jeszcze jedno spojrzenie na to miejsce jedyne w całej Helladzie, pełne tyluwiekowej chwały i świetności. A dziś tu rozwaliny, cisza i pustka. Na zboczu Kronosa, w gęstwinie, pasą się krowy, a mały pastuch pod smukłemi kolumnami Herajonu stojący wyciąga na drewnianej piszczałce żałosną jakąś nutę. Ta melodya brzmi jak płacz za czemś umarłem na zawsze. Do wtóru z nią budzą się w mojej duszy i podzwaniają mi jak spiż, królewskie rytmy Pindara:

Olympio, igrzysk Rodzico,
Co wieńcem złotym się szczycą,
Prawdy Królowo!
Gdzie z żertw płonących na żarze
Wróżb dociekają wieszczbiarze
I Zeusa hucznego burzą piorunową
Badają, zali jakie wyroczne ma słowo
Dla tych, którzy całą duszą
O zacną chlubę się kuszą
I o wytchnienie po trudów ciężarze.

Wieczorem.

Popołudnie spędziłem w muzeum przed Hermesem Praxitelesa. W osobnej zacisznej sali stoi sam, od progu już olśniewający pięknością. Znałem go, jak zna go każdy, a przecie stanął przede mną jak niespodziane i zdumiewające objawienie geniuszu greckiego. Cudna pieśń radości życia, zaklęta w złotawy, połyskliwy marmur; tryumfalny czar młodości wiecznej, niepokalana doskonałość twarzy i zadumana uśmiechu słoneczność — wszystko tak nowe i tak jest przedziwne, że się zakochać muszą ludzkie oczy.

Wysmukły, w biodrach przegięty niedbale, wsparł się ramieniem o suchy pień drzewa i szatę na nim zwiesił powłóczystą, co w sutych fałdach aż ku ziemi spływa. Dionysosa piastując małego na lewem ręku, w prawicy wzniesionej dziecinie grono winne ukazywał. I malec, przyszły opiekun winnicy, do winogradu chciwe rączki ciągnie, a Hermes patrzy, uśmiechnięty cicho, bo go dziecięca bawi pożądliwość.

Ta moc tajemna, co kwiatów kielichy rozwija z pąka w noc jedną wiosenną; tęsknota, która pierś ptaków leśnych śpiewem napełnia, i nieświadome przeczucie rozkoszy rozlanej w całym podsłonecznym świecie — oto czem żywy marmur ten oddycha. W tem ciele gibkiem jak stal, zda się tętnić krew bujna, ciepła; pod skórą jędrną, jak atłasy gładką, gra każdy mięsień lekko naprężony i każde ścięgno przeziera napięte. Na kształtnej głowie swobodnie się wiją kędziory włosów, jak runo puszyste. Włosy te, niegdyś czerwonawo-płowe, otaczał wianek pozłocistych liści; oczy patrzyły ciemną barwą źrenic; wargi różanym śmiały się kolorem. Lewica, która podtrzymuje dziecko, dzierżyła w garści złoty kaduceus, ale sandałów nie uskrzydlił rzeźbiarz: na białych stopach ma Hermes obuwie purpurowymi ściągnięte rzemyki, drobnym wyciskiem złotym przystrojone.

*

Kiedy po dziesiątkach wieków, dnia 8 maja 1877 r. Hermes wyszedł znowu na słońce z pod glinianych ścian Herajonu, które przykryły go były warstwą miękkiego mułu, cień zaledwie pozostał z owej harmonii barw podkreślonej złotem. Nie zatarła się tylko

różnica między nagiem ciałem a tkanką szaty: nagość jest lśniąca, wypolerowana i ciepłą przepojona złocistością, a draperya z pod szorstkich ciosów dłuta wyszła w surowej białości marmuru i nawet osnowę nici powtarza łudząco, a tak się miękko fałduje i łamie, tak zwisa, gnie się i opada wiotko, żem rękę ściągnął ku niej mimowoli, by się przekonać, czy nie ustąpi pod palców dotknięciem.

— Niech mi pan wierzy, kamienna jest! — zaśmiał się za mną p. Stanisław, którego nie zauważyłem w sali zapatrzywszy się w Hermesa. — Ja także nie mogłem się powstrzymać, by jej nie dotknąć: prawda? że miałoby się ochotę zerwać tę draperyę, miąć ją i rozkładać; odkąd istnieje rzeźba nikt chyba nigdy w kawał tkaniny nie włożył więcej życia i rzeczywistości. Ta szata sama przez się ma własną treść artystyczną i mogłaby stanowić osobne dzieło sztuki niezależnie od Hermesa. W stosunku doń ma ona tworzyć przeciwwagę do jego nagości.

— U dawniejszych mistrzów — odrzekłem — draperya miewała zwykle to samo zadanie, lecz pojawiała się zawsze tylko jako przyodziewa w bezpośrednim związku z ciałem i służyła przedewszystkiem do tego, by rzutem fałdów swoich uwydatnić kształt i ruch ludzkiej postaci. Prawa do samoistnego bytu nie posiadała dotąd w sztuce greckiej.

— Tak, Praxiteles dopiero nadał tkaninie samoistność i przeciwstawił ją postaci ludzkiej, jako motyw odrębny, mający własną plastykę i wartość artystyczną. Draperya odgrywa zupełnie podobną rolę w Afrodycie Knidyjskiej: bogini przed wnijściem do kąpieli składa właśnie odzież zdjętą z siebie.

— Lecz Knidyjka nie doszła nas w Praxytelejskim oryginale, gdy Hermes, jedyne własnoręczne dzieło mistrza, pokazuje nam w całej pełni, co z draperyi umiał zrobić Praxiteles.

— Wszystkie znamienne cechy jego twórczości łączy w sobie ten posąg — mówił p. Stanisław — i gdyby nawet nie świadectwo tak wyraźne Pausaniasa, że w Herajonie »jest Praxitelesa marmurowy Hermes, który piastuje Dionysosa pacholę — to i tak niewątpliwie tylko temu rzeźbiarzowi musianoby go przypisać. Jak Apollo Watykański zabijający jaszczurkę, jak Satyr Ludovisi, co wino z dzbana leje, i ten drugi z muzeum na Kapitolu, spoczywający

niedbale, jak sama wreszcie Afrodite Knidyjska, tak i Hermes postawę ma w biodrach wygiętą i odchyloną od pionu, wbrew tradycyom dawnej sztuki. Jest to jeden z najcharakterystyczniejszych rysów u Praxitelesa. Linia pionowa, od której odgięły się figury, zaznacza się w tych dziełach, jako dodatek służący równocześnie za podporę. Zadanie to spełnia zazwyczaj pień drzewny, czasami — jak w Hermesie — przyrzucony draperyą, której fałdy z góry na dół płynąc, podkreślają tem silniej kierunek pionowy. W Afrodycie Knidyjskiej szata, którą bogini na bok odkłada, w Satyrze Ludovisi strumień wina tworzy tę oś pionową, jest ona bowiem artyście niezbędnie potrzebna, jako przeciwstawienie do giętkiej, falistej linii, rysującej się w całym układzie postaci.

— Mnie jednak — odpowiedziałem — jeszcze bardziej u Praxitelesa uderza fizyczny typ i duchowa strona jego figur, tak odmiennych od wszystkiego, co było treścią starszej rzeźby. W rozrosłych, barczystych, nieco krępych mężach Polykleta jest jakaś mocarna tężyzna; w suchych, żylastych siłaczach Myrona jest zwinność obrotna i krzepka; Fejdias — o ile dziś odgadnąć można jego twórczość — dzierżył berło w królestwie najczystszej, najdostojniejszej piękności. Natomiast Praxiteles to geniusz najwytworniejszego wdzięku, na który kiedykolwiek zdobyło się dłuto. Nie szukać u niego siły, potęgi, wzniosłości. Owszem, jego zachwyca młodociany powab niedojrzałych, rozkwitających dopiero ciał ludzkich: jego Satyrowie czy Eros Borghese, to śliczne pacholęta i cudne podrostki, Afrodyte Knidyjska ma omal że dziewczęce, jeszcze niepełne kształty, a w Sauroktona całej budowie, ruchu i wyrazie, gdy się do jaszczurki podkrada, jest zniewieściałość wręcz uderzająca; to też wobec niego zwłaszcza trudno się oprzeć domysłowi, że Praxiteles miękkie, płynne, krągłe linie swych męskich postaci wzorował niekiedy na kobiecych ciałach. Nawet Hermes choć najbardziej męski ze wszystkich, mężnego w sobie nic nie ma: dojrzały wprawdzie młodzieniec, ale znać po nim, że nie w palajstrze i nie w gymnasionie dorastał. To cechuje Praxitelesa.

— Czyliż mogło być inaczej?! — zawołał pan Stanisław. Musiał być, jak każdy, i był synem swej epoki. Wszak wtedy w bu-

downictwie greckiem styl joński tak lekki, wdzięczny, taki żeński, bierze górę nad wzniosłą, surową, logiczną i tak męską pięknością doryzmu. W dziejopisarstwie, po ścisłym, zwięzłym i głębokim psychologu Thukidydesie występuje bogaty, świetny, malowniczy, ale nieporównanie płytszy talent Xenofonta, pamiętnikarza.

— Ja też nie robię Praxitelesowi zarzutu z tego, że był taki, jak całe jego społeczeństwo: praojcowie przed stu laty perską nawałę rozgromili; ojcowie namiętni i zadzierzyści przez ćwierć wieku zmagali się z sobą w peloponneskiej wojnie; synowie wycieńczeni, wykwintni, nerwowi nie zdołali już oporu stawić Filippowi, aż dożyli Cheronejskiej klęski.

— Poza tem nie można jednak pominąć ogromnego wpływu, który wywierali na Praxitelesa dwaj rzeźbiarze z poprzedniego pokolenia, ojciec jego Kefisodotes i Alkamenes. Sztuka grecka nie znała przełomów ni przeskoków, tylko ciągły stopniowy rozwój. A w tym rozwoju dwaj ci mistrze dawniejsi, ogniwami są żywemi pomiędzy Fejdiasem a Praxitelesem. Zna pan Afrodkę w ogrodach, arcydzieło Alkamenesa; jej wdzięk ujmujący odnaleźć można rozwinięty i spotęgowany w czarownej Knidyja Praxitelesa. Związek duchowy Kefisodota z wielkim jego synem, uwydatnia się przez porównanie Ejreny piastującej małego Plutosa z Hermesem, który na ręku trzyma Dionysosa dziecinę. Obaj malcy są do siebie tak podobni, że pomieniać możnaby ich prawie. W Ejrene wyraz olympijskiego majestatu, boskiego dostojeństwa ustępuje na bok przed ludzkiem zupełnie uczuciem, macierzyństwem, a z dzieł Praxitelesa ulatnia się już doszczętnie. Jego bóstwa promienieją ziemskim tylko wdziękiem, daleko poza nimi został świat prastarych mytów, drogi nawet na Olymp odnaleźćby już nie umiały. O Knidyjskiej Afrodite przechowała się anegdota, iż ją wzorował Praxiteles na swej prześlicznej kochance, na Fryne, słynnej heterze ówczesnych Athen. Ale chyba na kolana nie upadł potem przed posągiem bogini, jak Fejdias przed swoim Zeusem. W marmurowej piersi Hermesa bije ludzkie serce, a nad głową jego zaziemskie blaski zagasły, bo twórca jego piękność tylko uwielbiał, ale nie miał już wiary zdolnej rodzić bogów.

— Kto wie — dorzuciłem — czy nie w tem oddaleniu się od

świata mytów dałoby się w psychologii twórczej Praxitelesa wytłumaczyć owo zamknięcie się w zakresie figur pojedynczych. Taki mistrz i tak płodny nie rzuca się na szersze przedsięwzięcia, nie rzeźbi wielkich grup monumentalnych, na które stać było pierwotnych artystów atheńskiego Hekatompodonu i świątyni Ajgineckiej i tych, co w Olympii wypełnili przyczoły świątyni Zeusowej i tylu innych, aż do Fejdiasa roztaczającego swój geniusz na szczytach Parthenonu. Wszystkim tym dziełom dostarczał treści myt religijny, Praxitelesowi obojętny. Więc tylko pojedynczo przedstawiał postaci bogów po ludzku pojęte i ułożone w jaknajpiękniejszą postawę; monumentalność stylu, zastąpił malowniczem ujęciem przedmiotu i łudzącym realizmem szczegółów; polot i rozmach — pogłębieniem psychologicznej strony; wielkość i wzniosłość, potęgę i dostojeństwo — wdziękiem wykwintnym i przykuwającym...

Mój towarzysz dumał przez chwilę, a potem odezwał się powoli jakby ważąc każde słowo:

— To dziwne... Przychodzi mi oto na myśl, że wszystko cośmy tu mówili o Praxitelesie stosuje się najzupełniej do Euripidesa. Jego także nie stać na boskość, która bije z gigantycznych postaci Ajschylosa, ani na dostojną męskość heroicznych figur Sofoklesa. I on z wyżyny mytów religijnych sprowadził tragedyę do poziomu ludzkiego. Ten żeński pierwiastek cechujący twórczość Praxitelesa znamionuje również poezyę autora Fajdry, Ifigenii, Medei, poezyę przemawiającą do zmysłów i nerwów, która z niezrównaną psychologią tworzy zwłaszcza postaci kobiece. Gdy świat Ajschylosa przejmuje tajemniczą grozą i przeraża nadludzkim ogromem; gdy świat Sofoklesa zdumiewa idealną prawdą i zachwyca dostojną pięknością, to świat Euripidesa odzwierciedla w sobie rzeczywistość, na gorącym uczynku schwytaną, pełną twarzy zmiętych i zoranych piętnem gwałtownej, krewkiej namiętności, czasem nawet poziomej żądzy. Naprożno po wątek swojej tragedyi sięga on do świętych pradziadowych mytów, naprożno postaciom swoim nadaje wielkie imiona herosów i półbogów: zawsze czuć ich ciałem ulepionem z gliny ziemskiej, krwią ich czuć, która w żyłach tak samo im krąży, jak nam, zwykłym

śmiertelnikom, zawsze to ludzie, tylko ludzie i nic więcej jak ludzie! W tem Euripidesa talent, nowość i wartość.

— Szkoda jednak — dorzuciłem — że tych ludzi tak żywych i rzeczywistych przebierał w heroiczne pozory, że im dawał olbrzymie bohaterskie imiona i postawy. Nie śmiał zerwać doreszty z dawną teatralną tradycyą, z wielkimi poprzednikami, z którymi narażał się niepotrzebnie na porównanie, z ich mytycznym, nadludzkim światem i przez to zatrzymał się w pół drogi, która byłaby go prosto zaprowadziła do dramatu współczesnego. Nie miał odwagi zostać starożytnym... Ibsenem.

— Cóż pan chce! I tak daleko przecie odchylił się od tradycyi dramato-pisarskiej: formę dawną zatrzymał jedynie, lecz napełnił ją zgoła nową treścią. Istotę samą tragedyi, bo walkę człowieka z tajemniczą, nieokreśloną fatalną potęgą Musu, pojął po prostu jako wewnętrzną konieczność popędu i namiętności, która nie z zewnątrz, z ślepego przeznaczenia wypływa, ale wewnątrz ludzkiej duszy się lęgnie, z niej wypełza jak wąż, oplata człowieka i z nieubłaganą siłą dławi go jak węże w Watykańskiej grupie Laokoona. Mytyczna Ananke przeistoczona jawnie i wyraźnie w nieuchronną i nieprzepartą moc psychologiczną własnych żądz naszych i szałów — czy to jeszcze mało? Właściwie, mimo klasycznych pozorów jego tragizm jest wręcz nowożytny i w swej istocie bliższy raczej Shakespaere'a niźli Sofoklesa, nie mówiąc już o Ajschylu.

— Kto wie — zauważyłem — czy nie tem tłumaczy się wzięłość Euripidesa w nowożytnym świecie począwszy od czasów Odrodzenia, aż pod koniec XVIII wieku? Wszak z niego wyszedł cały klasyczny teatr francuski, Corneille, Racine, Voltaire, dla których naprawdę grecka tragedya fatalnego Przeznaczenia, tragedya Ajschylosa i Sofoklesa, zanadto była daleka i obca; więc brali z dramatu starożytnego to, co najbardziej odpowiadało ich nowoczesnym pojęciom i poczuciom. Tak samo do Euripidesa sięgali Göthe i Schiller po swoje Ifigenie, Taurydzką i Aulidzką.

— I to z dobrym skutkiem — wtrącił p. Stanisław, — gdy przeciwnie Schillerowska *Narzeczona z Messyny* może chyba posłużyć za dowód, że fatalistyczna tragedya w duchu prawdzi-

wie antycznym wskrzesić nieda się już w nowoczesnej sztuce, bo nie odpowiada naszemu zasadniczemu pojęciu moralnej odpowiedzialności: jesteśmy zdolni zrozumieć taki tragizm u Ajschylosa czy Sofoklesa, ale czemś wymarzonem, nieszczerem i sztucznem, razi nas on u nowoczesnego pisarza jak Schiller. — Ale przepraszam, odbiegłem zupełnie od przedmiotu.

— Nie tak bardzo. Mówiliśmy o pewnem pokrewieństwie i podobieństwie między Praxitelesem a Euripidesem i zeszliśmy na ich modernizm w stosunku do poprzedników, na zastąpienie pierwiastku mytycznego analizą psychologiczną, która w Euripidesa tragedyach dawny Mus fatalistyczny przetwarza w przymus psychologiczny, mający źródło w namiętnościach własnych człowieka. Stąd u niego dążenie ciągłe, by namiętnościom bohaterów dać jak najsilniejszy wyraz, który dochodzi aż do najwyższego napięcia, do bolesnego rozdarcia całej ludzkiej istoty. Tak powstaje u niego patetyczność, która jest jego znamienną cechą. W tem Praxiteles różni się od niego zasadniczo: pogodny, przyciszony, patetyczności niema w sobie ani śladu.

Słusznie. Gdy o podobieństwach mówimy, trzeba podkreślić i różnice. Ale w rzeźbie Praxitelesowi współczesnej *pathos* ma już swego przedstawiciela, który pod tym względem z Euripidesem iść może o lepsze.

— Skopas, rzeźbiarz cierpienia; jego pan chyba ma na myśli?

— Jego — i cały ten kierunek, co przez Niobę i Niobidów strętwiałych w niemej boleści, dochodzi później do nieludzkiego wrzasku męczarni Laokonowych. Wracam jednak do Euripidesa. Zstąpiwszy z heroicznych wyżyn do ziemskich padołów, ściągnąwszy fatalistyczną wiarę w Anankę do racyonalistycznej analizy człowieka, zdarłszy z mytu zasłonę tajemniczą, musiał tem samem wyrzec się kolosalnych wizyi, które natchnieniom jego poprzedników dawały szeroki lot, a w ich twórczości, rozsnuwały się takie gigantyczne cykle dramatów jak *Prometeusz, Oresteja* lub *Ojdip*. Im obu, — ale zwłaszcza Ajschylosowi, przeniknionemu na wskróś religijną wiarą — trzeba do pełnego wypowiedzenia się nie pojedynczej sztuki, ale łańcucha tragicznych obrazów,

trylogii całej, która w teatrze greckim jest czemś takiem, jak w rzeźbie owe bogate i bujne grupy szczytowe, rozwinięte na całą szerokość greckiej świątyni. Jak Praxiteles nie porywa się już na takie monumentalne kompozycye, tak Euripides już nie tyka trylogii, przynajmniej żadna po nim nie pozostała na tyle dzieł jego zachowanych. Synowie karlejącego pokolenia poprzestają na mniejszych zadaniach; brak im tchu na tak olbrzymie kreacye.

— Aby dopełnić podobieństwa pomiędzy nimi — rzekłem — dodajmy chyba to jeszcze, iż bogowie, gdy ich na scenę wyprowada Euripides, nie więcej mają boskości, niż gdy ich rzeźbi Praxiteles. Dla rzeźbiarza są »szczęśliwi niebianie« pretekstem jedynie do pokazania uroczego wdzięku młodych, cudnych ciał ludzkich, dla tragika sposobnością do wywołania teatralnych efektów, gdy który z nich zjawia się z przyborem wymyślnej maszyneryi teatralnej, by rozwiązać końcową scenę jako *deus ex machina.* A jak o nich mówi Euripides! Z jakim krytycznym sceptycyzmem patrzy na Olymp helleński. Pamięta pan, jakie zuchwałe słowa wkłada w usta swojemu Ionowi?

Godziż się, iż wy — którzyście pisali
Prawa, co nami rządzą na tym świecie —
Iż wy je sami bezkarnie łamiecie?
Gdyby... wiem, że to niemożliwe rzeczy —
Lecz gdyby karać miał was ród człowieczy
Za gwałty wasze i wyrodne chuci,
Wnetbyście byli z chramów swych wyzuci
I ty, Apollu i ty, Posejdonie
I ty, o Zeusie, który wziąłeś w dłonie
Rząd niebios, swoje spełniając zachcianki
I łamiąc — które Mądrość stawia — szranki!

— Czy to jeden taki ustęp w Euripidesie! — zawołał mój towarzysz — Od podobnych zuchwalstw roi się w jego sztukach. Możnaby niejedno wymowniejsze i śmielsze przytoczyć.

— Śmielsze powiada pan? Przecie na to nie było trzeba w ówczesnych Athenach wielkiej śmiałości: oklaski zbierał i sławę szczególnie wśród młodszych żywiołów.

— Oczywiście — zaśmiał się mój towarzysz — pamiętać trzeba,

że to pokolenie, równie jak sam Euripides, przeszło przez naukę Sokratesa, Gorgiasa i tylu sofistów. Dawny duch Athen zamierał.

— I protestował komedyami Arystofanesa.

*

Tak rozprawialiśmy w zacisznej sali muzealnej, ostatniego naszego popołudnia w Olympii. Przez wielkie okno padało zimne szarawe światło z chmurnego nieba. Zwolna mrok przedwieczorny zaczynał wypełzać z kątów. Tylko przed nami blaskiem złotawych marmurów jaśniał wysmukły, gibki, cicho uśmiechnięty Hermes.

Więceśmy zamilkli, bo więcej niż można słowami powiedzieć o dawnej Grecyi, mówiło naszym rozkochanym oczom to rozkoszne marmurowe ciało.

Lucyan Rydel.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Monsalwat. Rzecz o Adamie Mickiewiczu. *Artur Górski.*

Książka od dawna pożądana i bardzo, bardzo na czasie — książka o Mickiewiczu-człowieku, bohaterze ducha.

O Mickiewiczu poecie genialnym dość dużo u nas pisano, dość wszechstronnie z różnych stanowisk uwydatniono znaczenie jego twórczości, ale znaczenie jego życia, tak bohaterskiego w swych walkach, tak wzniosłego, świątobliwego nieomal w swych czynach i dążeniach dotąd przez ogół narodu raczej intuicyjnie jest przeczuwane aniżeli świadomie uznane i uwydatnione przez tych, co drogi myśli narodowi mają oświecać.

Intuicyjne odczucie przez naród duchowego przodownictwa Mickiewicza okazało się i stwierdziło w wielu pamiętnych nam wszystkim chwilach uroczystych: przy złożeniu zwłok jego na Wawelu, przy odsłonięciu jego pomników w Krakowie i w Warszawie, z okazyi licznych pamiątkowych ku czci jego obchodów, odbywających się wszędzie, gdzie mowa polska się odzywa gdzie uczucie polskie nie wygasło.

Jest w tych wszystkich uczczeniach coś więcej, niż sam tylko hołd złożony wielkiemu poecie, jest jakby żywiołowy wybuch miłości narodu dla jednego z naczelnych jego duchów, dla jednego z wodzów-duchów, dokoła których idealnie się skupia w okropnem realnem swem rozbiciu.

Owóż dotąd ta tak ważna i tak dla naszego społeczeństwa charakterystyczna strona kultu Mickiewicza w dotyczącej go literaturze krytycznej i biograficznej nie znalazła odpowiedniego wyrazu, czasem

nawet nie była w niej należycie odczuta i zrozumiana. Tu i owdzie napotykaliśmy tylko częściowe lub przelotne jej odbicia, — szersze, wyraźniejsze jej odtworzenie znajdujemy po raz pierwszy w wymienionej powyżej pracy p. Artura Górskiego. Z tego względu już jest ona bardzo pożądana i bardzo na czasie. Ukazując nam w wielkim poecie wielkiego, szlachetnego i czystego człowieka, przyczynić się może do wyjaśnienia pewnych, nader zamąconych pojęć dzisiejszych, wynikających z bałwochwalczo-sekciarskiego wynoszenia sztuki ponad życie, talentu ponad człowieka.

Nie można jednak powiedzieć, aby książka p. Górskiego wyczerpywała przedmiot. Jest on tak doniosły i rozległy, iż wymagałby głębszych badań, wszechstronniejszych oświetleń aniżeli te, które daje nam autor »Monsalwatu«; niemniej jednak godna jest uwagi ta świetna pod względem formy a bogata pod względem treści próba ukazania nam genialnego wieszcza w pełni szlachetnej, szczeroludzkiej jego indywidualności.

Tytuł dzieła, a zarazem przewodni jego symbol wzięty jest ze średniowiecznego podania o górze Monsalwatem zwanej, gdzie we wspaniałej świątyni pod strażą najdoskonalszych rycerzy ukryte jest cudowne naczynie z krwią Chrystusa, Gral święty, znak widomy zbawczej łaski Bożej.

Monsalwatem zowie autor idealny cel zwróconych ku najwyższej doskonałości życiowych dążeń Mickiewicza. Zarysowany w pracy swej ich rozwój w trzech częściach rozpatruje, z których, jak sam objaśnia, pierwsza szuka rytmu życia Mickiewicza, druga dochodzi budowy jednego momentu, trzecia dotyka granic.

W pierwszej części zatytułowanej »Korona geniuszu«, przedstawia autor zwięźle i dość ogólnikowo główne momenty duchowego życia poety: naprzód przełom w więzieniu Bazyliańskiem, kres zawiedzionych pragnień szczęścia osobistego, początek ofiary całego jestestwa poety dla dobra i szczęścia narodu; — następnie niemożność ujęcia zrazu sprawy narodowej w jej istotnej, najgłębszej treści. Poeta poznaje na wygnaniu całą bezmierną potęgę ciążącej na nim przemocy materyalnej, a niema sposobu, przez brak bezpośredniego zetknięcia z narodem, zgłębienia tkwiących w nim olbrzymich sił moralnych.

Stąd zwątpienie znajdujące swój wyraz w »Konradzie Walenrodzie«, a potem za granicą w nieokreślonem i chwiejnem stanowisku wobec wybuchu powstania listopadowego i toczącej się walki.

Wskutek nadto pobieżnego przedstawienia rzeczy ukazuje nam tu

autor stanowisko Mickiewicza jednostronnie, a zatem niewiernie. »Wszedł, mówi, między wątpiących i bezideowych, którzy to wszyscy z Chłopickim, Skrzyneckim i innymi, słabymi po prostu ludźmi, niezdecydowaniem swojem i niewiarą w siły narodowe kierunek losów naszych na fatalną dla nas stronę zagięli«.

Nie mam tu miejsca na wyczerpujące kwestyi tej rozpatrzenie, ale pytam: czy można tak ogólnikowo stawiać Mickiewicza w jednym rzędzie z naszymi szlachetnymi niewątpliwie, ale skosmopolityzowanymi w armii napoleońskiej generałami? Inne tu działały pobudki i wpływy, inne skłonności i usposobienia.

To pewna, że tragiczny koniec powstania wstrząsające na Mickiewiczu uczynił wrażenie, które p. Górski słusznie zupełnie podaje jako początek nowego zwrotu, prowadzące przez najwyższe wzniesienie się geniuszu wieszczego w Improwizacyi Konrada do wyrzeczenia się ducha pychy, czyli, jak się wyraża autor, do »ofiary z ducha«, uzupełniającej poprzednio dokonaną w więzieniu Bazyliańskiem »ofiarę z ziemi«, osobistego ziemskiego szczęścia.

Następuje teraz okres pokory, rezygnacyi, dobrowolnego ograniczenia sfery życia i twórczości — aż do pojawienia się Towiańskiego i początku »sprawy Bożej«, trzecim i ostatnim zwrotem zaznaczającej się w życiu poety — zwrotem, w którym duch jego najwyżej się wznosi i dąży wprost do zbawczego Monsalwatu doskonałości, nieśmiertelnym narodowi całemu w tym dążeniu świecąc wzorem.

Taki jest w ogólnym zarysie »rytm życia« Mickiewicza w pierwszej części pracy p. Górskiego ukazany. W dwóch następnych częściach (»Improwizacya« i »Monsalwat«) daje nam autor poznać główny, przełomowy moment całego tego rozwoju oraz cel i kres jego ostateczny.

Rozbiór Improwizacyi to najlepsza, najbardziej wykończona część dzieła: zawiera wiele cennych spostrzeżeń i głębokich myśli wyrażonych w niepospolicie pięknej i świetnej formie stylowej. Godne jest szczególnie uwagi bardzo głębokie ujęcie i jasne przedstawienie tego szczytowego momentu genialnych natchnień poety w związku z odwieczną, duchową tradycyą narodu jak ona się uwydatniła w tem, co było najwznioślejsze i najczystsze w dążeniach konfederatów barskich oraz z duchową tradycyą całej ludzkości, uwiecznioną szczególnie w dwóch genialnych tworach wszechludzkiego natchnienia: w »Księdze Hioba« i w »Prometeuszu« Eschylosa.

W trzeciej części przedstawia nam autor ostatni w życiu Mic-

kiewicza okres heroicznych walk i dążeń: walk o najwyższy, najczystszy ideał człowieczeństwa, który poeta pragnął w rozwoju własnego narodu zrealizować, z odrodzonej, spotęgowanej wewnętrznie moralnej jego istoty wykrzesać — dążeń i wysiłków, przez które niezmordowaną, nieomal nadludzką pracą wewnętrzną uzdolnić chciał siebie samego i grono wybranych współbojowników sprawy do przodowania narodowi w wielkiem i trudnem zadaniu.

Autor wszakże w niczem nie wyświetlił, ani nawet nie starał się wyświetlić znaczenia i istoty owej »Sprawy«, która w rozwoju duchowym Mickiewicza taką ogromną odegrała rolę. Towiańskiego i towianizm zupełnie pozostawił na stronie, ogólnikową tylko zbył wzmianką. Nie przesądzam czy i o ile słusznie tak postąpił ze względu na bardzo niezupełny stan naszych wiadomości o towianizmie, czy mógł wniknąć w wewnętrzne jego jestestwo — utrzymuję tylko, że bez tego wniknięcia, bez należytego oświetlenia nauki mistrza Andrzeja niepodobna zgłębić należycie przez nią pobudzonych i na niej opartych dążeń Mickiewicza.

Nie zdołał też wniknąć w wewnętrzną ich istotę autor »Monsalwatu«, dał nam tylko zewnętrzny ich zarys, bardzo świetny pod względem formy, tu i owdzie bardzo pogłębiony w swej treści myślowej, ale w całokształcie swym dość ogólnikowy, niekiedy nawet dość pobieżny. Silnie uwydatniona w nim została wzniosłość etycznego ideału poety, ale słabo zaznaczona głębia jego mistyczno-religijnej samowiedzy; a tą ostatnia strona dążeń jego życiowych większe jeszcze aniżeli tamta, najistotniejsze, ostateczne źródło ich stanowi.

Ideowy dążeń owych obraz, któremu źródło to w znacznej części pozostało obce, nie może być uznany za wszechstronny i wyczerpujący, pomimo wielkich skądinąd swych zalet — jest to raczej piękny, śmiało nakreślony zarys próbny przyszłych w tej dziedzinie badań nad życiem i twórczością naszego wieszcza i wodza duchowego.

Piękny jest ten zarys przez swą świetną formę stylową, sądzę wszakże, że mogłaby ona mieć nieco więcej prostoty i naturalności w studyum o jednym z najprostszych i najnaturalniejszych geniuszów poezyi wszechświatowej. Sądzę też, że tytuł pracy i zawarty w nim symbol przewodni, choć podniosły i głęboki bardzo, zbyt nam jest obcy i daleki; w odniesieniu do tak na wskroś narodowego poety, do tak blizkiego, swojskiego nam ducha mógłby być z korzyścią zastąpiony przez inny, z bardziej rodzimej, narodowej zaczerpnięty sfery.

Uzupełnieniem niejako pięknej pracy p. Górskiego jest równocześnie ogłoszony przez niego p. t. »Nadeszły inne czasy« zbiór poglądów i opinii Mickiewicza, wyciągniętych z »Kursu literatury słowiańskiej«, z artykułów politycznych, oraz listów i przemówień poety z ostatniego okresu jego życia. Jest zbiór bardzo pouczający, na jak największe zasługujący rozpowszechnienie. Zawiera wiele drogocennych pereł myśli Mickiewiczowskiej, wybranych umiejętnie z nader ważnych pism poety, a niestety, tak mało znanych i czytanych, nawet przez czytającą i oczytaną wielce naszą intelligencyę.

W. Gostomski.

Do genezy poematu Mikołaja Reja »Wizerunek Żywota poczciwego Człowieka«. *Dr. Zbigniew Kniaziołucki.* W Krakowie 1908.

Jeżeli pominiemy dawniejszą literaturę o Reju, to o »Wizerunku« (w szczególności zaś o jego zależności od Zodyaku Palingeniusza) znajdziemy cztery studya: uwagi Ptaszyckiego przy wydaniu »Wizerunku« (1881—1886), Pyszkowskiego dysertacyę (1901), Brücknera obszerny rozdział w jego monografii o Reju (1905) i wreszcie rozprawę Kniaziołuckiego. Ta ostatnia, wyszła z druku w r. 1908, napisaną została znacznie wcześniej (1897), poprzedza więc prace Pyszkowskiego i Brücknera. Nie jest zaś wobec tamtych zbędną, owszem bardzo dobrze zrobiła Akademia, pracę tę po śmierci autora wydając, bo uzupełnia ona tamte wybornie; ten sam temat podejmując opracowuje go jednak inaczej — dość powiedzieć, że w ustępie czysto materyalnym, podającym zestawienia odpowiednich miejsc w obu poematach, a więc w pracy, którą Pyszkowski i Brückner wykonali tak szczegółowo, przynosi dużo rzeczy nowych. Słowem, do zrozumienia i oceny »Wizerunku«, tak ważnego dla poznania Reja, rozprawa Kniaziołuckiego w walnej mierze się przyczynia.

Podzieloną jest ona na dwie części. Druga, której zawartość stanowi »Wykaz porównawczy tekstu polskiego Wizerunku z łacińskim Zodyaku«, ma wielką wagę dla historyka literatury, jako materyał, z którego wysnuły się wnioski i wywody części pierwszej; umieszczona w całości w rozprawie ułatwia ogromnie skontrolowanie spostrzeżeń ogólnych autora i ich sprawdzenie. Zaznaczmy przytem od razu, że może nawet ma ona większą wartość od pierwszej, choć jest tylko zbiorem materyału, a tamta syntezą. W literaturze Rejowskiej pozostanie pozycyą stałą, podczas gdy pierwsza (napisana zresztą doskonale, zajmująco, pokazująca wybornie różnicę dwóch umysłów) może

jednak czasem uledz modyfikacyom, może być pogłębioną, rozszerzoną, dokładniej uzasadnioną i t. p.

Pyszkowski przy końcu swej dysertacyi umieścił tablicę, bardzo szczegółowo zestawiającą analogiczne miejsca obu poematów. Otóż pierwsza część rozprawy Kniaziołuckiego jest jakby taką tablicą, ale ma nad tamtą wyższość w tem najpierw, że podając wiersze, równocześnie podaje krótko ich treść, następnie wymienia osobno ustępy Zodyaku pominięte w »Wizerunku«; następnie zbiera w osobnych ustępach ślady innej lektury Reja, poza Zodyakiem; wreszcie grupuje osobno ustępy, odnoszące się do kultury, obyczajów, życia Polski w epoce Reja. Tym sposobem ułatwia bardzo pracę nad stosunkiem »Wizerunku« do »Zodyaku«. Zestawienia analogicznych ustępów obu utworów są u Pyszkowskiego liczniejsze, rozbija on dzieło Reja na ustępy mniejsze, przez to jest szczegółowszy — przypomnijmy tu choćby zestawienia księgi XII Palingeniusza z XII i X Reja, XI Zodyaku z X »Wizerunku«. Naodwrót znowu Kniaziołucki jest w swych wywodach dokładniejszy, lepiej może wybiera ustępy — przypomnijmy np. uwagi o I i II księdze Rejowskiej. Naturalnie trzeba o tem pamiętać, że o zupełnej dokładności takiej, któraby wszystkich zadowoliła, nie może tu być mowy; zbyt często musi tu rozstrzygać upodobanie czy sąd czysto osobisty. Nie zapominajmy bowiem o tem, że »Wizerunek« nie jest przekładem wiernym; w jednem miejscu Rej powtarza wierniej myśl Palingeniusza, w drugiem myśl tę wyrazi po swojemu, w innem myśl Palingeniusza będzie dlań tylko punktem wyjścia dla własnych jego wywodów, w innem wreszcie Rej powie coś wprost przeciwnego, aniżeli jego wzór, albo poruszać będzie sprawy, jakich w Zodyaku nie było. Nadto musimy się liczyć z gadatliwością i rozwlekłością Reja, z jego zupełnym brakiem poczucia formy i kompozycyi; stąd ta sama myśl będzie u niego powracać po kilka razy. Wobec tych dwóch faktów jesteśmy w wielkim kłopocie, komu przyznać racyę, rozprawie Pyszkowskiego czy Kniaziołuckiego, gdy się z sobą nie zgadzają, co zachodzi zwłaszcza w poglądach na stopień zależności i na jej kierunek w księdze IV, V, VI i XI »Wizerunku«. Zbyt często ma się uczucie, że może obaj nie mają racyi. Ostatecznie jednak ma się wrażenie, że częściej Kniaziołucki jest bliższym prawdy [1].

[1] Szczegóły należą do specyalnej literatury Rejowskiej. Tutaj, aby choć w części zdanie powyższe uzasadnić, podaję kilka przykładów. Zdaniem Pyszkowskiego (str. 31), X ks. Zodyaku nie pozostawiła śladów w »Wi-

Że zaś, jak zaznaczyliśmy poprzednio, grupuje on swój materyał bardzo przejrzyście, że układa go tak, iż można wprost od materyałów jego przechodzić do wniosków ogólniejszych, przeto jego zestawienie, jego druga część rozprawy nie tylko nie jest wobec Pyszkowskiego zbyteczną, ale stanowi cenne jego sprostowanie i uzupełnienie.

Część pierwsza rozprawy nie odpowiada właściwie jej tytułowi. Nie jest to, ściśle mówiąc, przyczynek do genezy »Wizerunku«, ale porównanie Reja z Palingeniuszem, na podstawie »Wizerunku« i »Zodyaku«. To zestawienie zaś wykazuje niemal wyłącznie momenty, różniące obu poetów nadzwyczaj silnie. Tembardziej więc nie może ono nam wyjaśniać genezy »Wizerunku« — właśnie tutaj musimy sięgnąć do źródeł innych i innych wpływów, aby Reja zrozumieć i ocenić. Tytuł rozprawy może się odnosić prawie wyłącznie do części drugiej. Ale to ostatecznie rzecz drobna — nie wiem zresztą, czy sam autor taki dał tytuł, czy też wydawcy; w pierwszym razie nie można wiedzieć, czyby autor go nie zmienił, gdyby mógł rozprawie nadać formę ostateczną. O tytuł mniejsza, bo rzecz sama bardzo jest ciekawa i bardzo dobrze napisana. Autor, po krótkim wstępie, w którym podkreśla wielką wagę, jaką ma »Wizerunek« dla zrozumienia Reja, przechodzi w trzech rozdziałach filozofię i religię Palingeniusza i Reja, ich dogmatykę, pojęcie Boga, duszy, świata, ich etykę, i ich pojmowanie przyrody, świata fizycznego. Nie obchodzą go więc tu, ściśle rzecz biorąc, poematy jako utwory sztuki, nie obchodzą poeci jako twórcy, ale obchodzą ludzie. Jest to paralela psychologiczna, pokazująca po jednej stronie nowożytnego humanistę włoskiego, po drugiej polskiego ziemianina, który choć żyje w epoce Renesansu i jego wpływom bądź co bądź ulega, to jednak duchowością swoją należy raczej do wieków średnich. Ostatecznie rzecz ta jest nam — od czasu monografii prof. Brücknera — wiadomą, ale mimo to rozprawa Kniaziołuckiego wartości nie traci. Pod względem formy wzorowa, spokojna i wytworna, pięknie wywody swe grupująca, pod względem

---

zerunku; Kniaziołucki trafniej dostrzega (str. 325 i nast.) kilku szczegółów, dosyć nawet ważnych. Księga VI »Wizerunku« jest dla P. zupełnie samodzielną (ibid.), K. odkrywa w jej drugiej części analogie do IX księgi Zodyaku (str. 306 i nast.). Księgę IV »Wizerunku« Pyszkowski opiera wyłącznie na księdze IV Zodyaku, Kniaziołucki (str. 291 i nast.) odkrywa (trafnie) analogie między IV ks. »Wizerunku« a III i V »Zodyaku« (np. wiersze 1—74 i 743—770, o których P. milczy). Naturalnie w większej części obaj autorowie się zgadzają z sobą.

rzeczowym fakta, o które jej chodzi, wyodrębnia z kompleksu wszystkich kwestyi Rejowskich, więc demonstruje je lepiej, dokładniej, więcej się wraża w pamięć. Z bardzo ciekawą rozprawą prof. Bruchnalskiego o Reju schodzi się znowu na jednym zwłaszcza punkcie: jest to akcentowanie moralizatorskiej tendencyi w pismach Reja, tendencyi, która nie jest czemś przypadkowem, dorywczem, narzuconem niejako poecie z zewnątrz, ale faktem, wypływającym organicznie z jego ducha i usposobienia, i będącym ideą zasadniczą, podstawą i osią jego działalności i twórczości polskiej.

Na wyniki tego zestawienia dwóch osobistości zgodzić się można wogóle; w szczegóły wchodzić tu nie będziemy, choć zaznaczmy, że dyskusya jest możliwą. Tak naprzykład w rozprawie Kniaziołuckiego Rej jest dosyć oderwany od tła swojego; tym sposobem tłumaczenie jego umysłowości nie jest zupełne, jest właściwie tylko fragmentem. Pokazuje autor i uwydatnia bardzo dobrze moralizatorską stronę jego twórczości (z ograniczeniem się do »Wizerunku«); ale gdyby był spojrzał na Polskę ówczesną, na to, co się w niej działo, na jej prądy umysłowe, znalazłby dla dydaktyzmu poety, dla jego pasyi moralizowania, oprócz pokładów duchowych czysto osobistych, także przyczyny ogólniejsze, społeczne niejako; niewątpliwie usposobienie takie, a nie inne było Rejowi wrodzone, ale potrzeba było koniecznie warunków odpowiednich, aby się ono mogło w całej pełni rozwinąć i ujawnić.

Ale znowu, gdy zrobimy to zastrzeżenie, nasuwa się uwaga, że rozprawa nie jest przecież kompletną, zupełną monografią o Reju, i nie miała taką być w zamiarze autora. Więc nie będziemy jej robili zarzutów z tego, że nie jest całością; zato z drugiej strony, podkreśliwszy jeszcze raz to, że jest napisana doskonale, że się ją czyta z wielkiem zajęciem, że może być z korzyścią wielką czytana przez szersze koła czytelników, dodajmy, że jest to tylko studyum częściowe, że jest to tylko jeden z przyczynków do poznania Reja. Że zaś ostoi się wobec tak bogatej w ostatnich czasach literatury Rejowskiej, np. wobec studyów prof. Bruchnalskiego i Brücknera, to świadczy chyba dobrze o jej wartości.

Dlatego to, i dlatego, że jej część pierwszą każdy wykształcony czytać może, staraliśmy się tutaj zdać z niej sprawę.

St. Dobrzycki.

Matejko. *Stanisław Witkiewicz.* Wydawnictwo Tow. Nauczycieli szkół wyższych we Lwowie. Nauka i sztuka, w 8-ce, stron 273, ill. 175.

Matejko w historyi porozbiorowej Polski jest »jednym z tych ludzi, którzy jak słupy ogniste wśród mroku niewoli, wiodą naród wzniosłemi drogami i nie dają mu ani spodleć, ani zginąć w rozpaczy, ani zapomnieć nadziei«.

Najbezwzględniejszym z krytyków Matejki był p. Stanisław Witkiewicz w swej książce »Sztuka i Krytyka u nas«. W nowem dziele miał być jego komentatorem. Pan Witkiewicz jest pisarzem niepowszedniej miary, polemista namiętny, w swoich określeniach niezmiernie wyrazisty, dosadny, bezwzględny, jednem słowem dyalektyk jakich niewielu. Obdarzony niezwykłą łatwością słowa, sam malarz, więc rozumiejący zadania sztuki napisał rzecz o Matejce wielce znamienną i doniosłą. Jakby silny snop promienisty światła padł na tajniki bujnej, olbrzymiej twórczości najgenialszego z polskich artystów. Nikt bardziej nie byłby powołany, jako malarz i pisarz zarazem, do objaśnienia wspaniałej spuścizny artystycznej Matejki. Ale oto pisarz, który nigdy nie umiał być objektywnym, światło rzucone na twórczość Matejki, zabarwił równocześnie czerwienią własnego skrajnego kierunku myślenia. Chorobliwa rozbujałość indywidualizmu jest autora zaletą i wadą. Wlecze się ona, jak ciężka u nogi kula żelazna, ciąży mu, w locie myśli przeszkadza i wypierając z równowagi umysł i serce, powoduje upadki. Zamiast imać rękojeść, chwyta za klingę, a wymierzone w ten sposób ciosy w genialność Matejki ranią jego samego, nie czyniąc geniuszowi szkody. Ta bujność, a może raczej przekwit indywidualizmu Witkiewiczowskiego, rodzi pewność siebie i to rozumienie w swoją równorzędność, ba wyższość nawet wobec genialności zmarłego artysty. Ona to każe mu być surowym sędzią jego cech charakterystycznych, każe mu być apostołem nowych idei historyozoficznych, nowych kierunków religijnych. »Mędrkuje«, że użyjemy jego wyrażenia i dworuje sobie nierzadko z form artystycznych, z poglądów ideowych i religijności Matejki. Oburza się, że te uczucia wielkiego mistrza pałają takim idealizmem, taką głębią szczerości, że jak w krynicy odzwierciadlają jego dziecinną ufność i żywą wiarę w jego dziełach.

Pan Witkiewicz żąda wprawdzie szczerości, bo powiada, że: »artysta musi być bezwzględnie szczerym. To co czuje i jak czuje w pewnej chwili, w której w jego umyśle powstaje obraz, to musi

on wypowiedzieć bez żadnych zastrzeżeń, żadnych zboczeń, z całą żywiołową bezwzględnością«. Twierdzenie to jednak ma dla p. Witkiewicza tylko na tak długo swój walor, jak długo jego zapatrywania zgadzają się z Matejkowskiemi. W tej chwili, gdy dostrzega różnicę poglądów, walczy do zapamiętania, z zaślepieniem i namiętnością. Witkiewicz żąda więc szczerości jedynie takiej, którąby godziła się z jego skrajnością. Omawiając np. obraz »Kościuszko pod Racławicami« woła zapamiętale: »Dantonów nam potrzeba było, nie szeregu uczciwych ludzi!« W tym okrzyku słychać cały groźny rozdźwięk, widać całą olbrzymią przepaść, jaka legła między uczuciem miłości a nienawiści, między wiarą Matejki, a zaciekłością komentatora, między organizacyą umysłową jednego a drugiego. W. powiada, że całość sztuki, dając pełnię objawów życia, daje też najistotniejszy obraz tego, jakim był dany naród i dana epoka jego bytu«. Matejko był też najwierniejszem odzwierciedleniem narodowej myśli i uczuć, i w tym właściwie należy dopatrywać źródła jego wielkiej potęgi i oryginalności. Wypowiadał to, co czuł naród, był plastycznym wyrazem jego marzeń i aspiracyi. Jeżeli więc ta strona twórczości Matejki jest powodem ataków na jego szczerość, to nic dziwnego, że autor popada w ciągłe konflikta. Sąd p. W. jest dorywczy, nie przemyślany, chwiejny, bo nie płynie z głębi serca, lecz z doktrynerstwa, które ma być kluczem rozwiązania sytuacyi w najzawilszych kwestyach społecznych obecnej chwili, a zarazem podstawą do wydania orzeczeń, dotyczących artystycznej formy. Powiedzmy otwarcie, że doktrynerstwo braci naszej z Królestwa jest bielmem, przysłaniającem im oczy, bielmem, które im każe patrzeć inaczej na świat niż nam, wyznawać zasady mgliste i błędne, jak utopistów rosyjskich z powieści Mereszkowskiego. Nie ich to ani nasza wina, że ich młoda i wrażliwa dusza formowała się w wieku młodzieńczym, pod wpływem pedagogów rosyjskich i w rezultacie ostatecznym wydała szeregi bojowców.

»Matejki artyzm pętała idea Ojczyzny«, twierdzi p. Witkiewicz. Tymczasem my widzimy, że była mu dźwignią w pracy twórczej, była gwiazdą przewodnią, która go wiodła ku najszczytniejszym wyżynom myśli i zjawy. Nie będziemy omawiali długiego szeregu kwestyi spornych, jakie tworzy politykomania p. Witkiewicza. Jego polemika z Matejką, to o Sobieskiego, to o Joannę d'Arc, Possewina lub Kościuszkę, dowodzi tylko niesłychanej stronniczości, niewyrobienia politycznego, która przechodzi wszelką miarę i jest wyrazem braku zrównoważenia. W. powiada, że »umysłowość Matejki była ograni-

czona religijnością, prostą, naiwną wiarą, która się zamykała w granicach nauki religii, będącej w powszechnym obiegu«. Jest to osądzenie uczucia religijnego Matejki. Pan W. wyznaje inne poglądy, które wydają mu się bardzo górne i nie zniża się ze swego stanowiska przeciwnika katolicyzmu do założenia wielkiego artysty, którego serce ożywiała wiara głęboka i wzniosła, acz będąca »w powszechnym obiegu«. Oto słowa Witkiewicza charakteryzujące go, jako alianta walki z Rzymem, walki którą prowadzi gorliwie prawosławie i pruska polityka po hasłem: *Los von Rom!* »Doktryna o zależności losów Polski od jej związku z katolicyzmem, powstała w w. XVI wśród walki katolickiej reakcyi z ruchem reformacyjnym, przetrwała do naszych czasów, wbrew potwornemu doświadczeniu historyi, wbrew oczywistemu faktowi, że Polska, zawrócona z drogi, na którą ją wprowadził ruch reformacyjny, skuta w pęta katolickiej reakcyi, skonała w ciemnocie i upodleniu, i że będąc przedmurzem chrześcijaństwa, nie dostawała od tego chrześcijaństwa uosobionego w katolicyzmie, nic, oprócz zachęty do walki, do poświęceń, do mordowania innych i oddawania siebie na rzeź i oprócz błogosławieństw papieskich...« To jest wyznanie wiary, jakiegoby się nie powstydził ani Krzyżak germanizator, ani rosyjski pedagog.

Witkiewicz jak widzimy nie wnika w intencye Matejki, nie staje na stanowisku uczuć i poruszeń głębi jego duszy, ale wiedzie z nieboszczykiem spór polityczno-religijny. Ale nie tylko to, bo i pod względem artystycznym poucza nieprzerwanie śp. Matejkę, jak on to powinien zrobić, aby było dobrze. Mentorskim obyczajem znęca się ten pedagog nad przymusowym uczniem, a robi to tak wyzywająco, jakby go miał przed sobą, jakby wołał ku niemu: broń się! A znów z drugiej strony co chwila zmiana pozycyi, z jednej ostateczności rzuca się w drugą, wysławia jego artyzm, niezrównaną charakteryzacyę postaci, samodzielność, plastykę, ruch i typ w stworzonych postaciach, przyczem napotyka się na mnóstwo niesłychanie bystrych, niewymownie trafnych spostrzeżeń pod względem malarskim. Ocena p. Witkiewicza Matejkowskiego koloru i światła, gestu lub kompozycyi pozostanie na zawsze zdobyczą trwałą dla historyi sztuki polskiej. Sformułowanie artystycznych zalet Matejkowskiej twórczości jest jego niezaprzeczoną zasługą, przeciwnie przeniesienie walk społecznych i ducha anarchii w poglądy historyozoficzne czynią ujmę wielkiemu talentowi pisarskiemu p. Witkiewicza.

Leonard Lepszy.

Wtóra podróż do Ciemnogrodu. *Ks. I. Charszewski.* Z powodu zamachu na katechizm. Warszawa, 1909. Nakładem księgarni M. Szczepkowskiego, stron XXXIII + 316.

Zuchwały zamach autora bluźnierczych »Legend« na katechizm chrześcijański wywołał ze strony katolickiej kilka dzielnych obron naszych wierzeń. Rozmiarami i pomysłowością wyróżnia się z pomiędzy nich książka ks. Ch. — 88 lat temu ministrowi oświaty w Kongresówce — Potockiemu wydało się, że odkrył »Ciemnogród« w obozie katolickim, co dało mu pochop do napisania »Podróży do Ciemnogrodu«. Ks. Ch. prawdziwy Ciemnogród odnajduje w masońskiem państwie Wolnej Myśli i pisze swoją »Podróż Wtórą«.

Charakteryzuje w niej urządzenia tego osobliwego państwa i jego stolicy, której przemysłem jest wytwarzanie dymu jak najczarniejszego i jak najgęstszego, żeby nie widać było słońca, którego szczególni obywatele ciemnogrodzcy nienawidzą i nieznoszą. Kreśli upodobania i obyczaje ciemnogrodzian. Ale to tak tylko, dla wstępu. Głównem zadaniem autora obrona katechizmu przeciw dymom ciemnogrodzkim. I obronę tę autor zakreślił szeroko. Zajmuje się w niej takiemi zagadnieniami, jak o początku życia, początku materyi, o teoryi transformizmu, celu stworzenia, przymiotach Bożych i Opatrzności, o rzeczach ostatecznych, o grzechu i Odkupieniu, o bóstwie Chrystusa i dziewictwie Maryi, o Kościele nauczającym. Jest to zatem cała popularna apologia wiary chrześcijańskiej ze szczególnem uwzględnieniem zarzutów Niepodległej Myśli i odparciem ciemnogrodzkich oszczerstw. Nie można powiedzieć, żeby autor miał przed sobą zbyt trudne zadanie. Rzekomy bowiem »pogromca« katechizmu, roszczący sobie pretensyę do zasługi wobec ludzkości, że on pierwszy dopiero po XX wiekach wykazał niedorzeczność i sprzeczności katechizmowe, w rzeczywistości nie wysunął ani jednego poważnego lub nowego zarzutu przeciwko wierze. »Objaśnienia katechizmu« p. Niem., to niewyczerpana kopalnia głupoty, złej, przewrotnej woli, niesumienności w przytaczaniu nauki chrześcijańskiej i płaskich ulicznych konceptów. Dlatego ks. Ch., wyjawiając autentyczną katolicką, chwyta ustawicznie p. N. na jej fałszowaniu, na sprzecznościach ze samym sobą, a złą wolę i niesmaczne koncepty biczuje szpicrutą swego humoru. Bo też, właściwie mówiąc, nie na co innego zasługuje p. N., jak na publiczną chłostę, jak niedowarzony i źle wychowany żak, drwiący z rzeczy, które ludzie poważni za święte mają.

Poczytując książkę ks. Ch. za wielce pożyteczną zwłaszcza dla polskich rodzin, do których i literatura niedowiarcza wciska się, nie możemy nie zaznaczyć pewnych jej usterek. Ze stanowiska estetyki— charakterystyki fantazyjnego »Ciemnogrodu« we wstępach do wszystkich rozdziałów uważamy za zbyt długie, częste wycieczki uboczne w stronę to narodowców, to »częstochowskiego katolicyzmu«, to wogóle inteligencyi, psują zdaje się nam, jedność artystyczną i rozpraszają uwagę czytelnika. Wybierając się na niedźwiedzia, nie warto po drodze strzelać zajęcy. Dowcip tu i owdzie trochę jest wymuszony i przechodzi w manierę, choć nierównie częściej jest zupełnie naturalny, samorodny, jędrny. Co się tyczy samej treści, to trochę ryzykowną rzeczą podawać w wątpliwość, jak to czyni autor na str. 116 i nast., możliwość piekła za jeden tylko grzech. Prawda, że piekło sprowadza upór woli w złem, grzech habitualny, ale taki grzech habitualny może się trafić i po jednym grzechu nieodpokutowanym. Weźmy przypadek nagłej śmierci podczas snu po pierwszym grzechu śmiertelnym z zupełną świadomością popełnionym. Wymagać zaś w danym razie miłosierdzia Bożego, aby oczekiwało nawrócenia grzesznika i dopóki ono nie nastąpi, aby odwracało odeń możliwe przypadki — nie mamy prawa. Wykład za O. Lagrangem, jak należy rozumieć historyę raju i grzechu należałoby opatrzeć jakiemś zastrzeżeniem, by mniej biegły w tych rzeczach czytelnik nie wziął poglądów uczonego egzegety za autentyczne twierdzenie Kościoła. Tłumaczenie powodów, dlaczego Odkupienie przyszło dopiero po 4000 lat, jest za słabe. W takich razach może lepiej powiedzieć: *ignoramus*. Wyraz »synoptyk« w nauce biblijnej nie znaczy tego, kto »streszcza« drugiego pisarza (str. 148), lecz służy na oznaczenie tych ewangelistów, którzy tak do siebie są podobni, że jednym niejako rzutem oka razem czytać ich można. Dla uniknięcia nieporozumień należałoby rozszerzyć i opisać twierdzenie: kusił dyabeł nie Boga, lecz Chrystusa (str. 232)... ściśle rzecz biorąc, nie można powiedzieć o kuszeniu Chrystusa, że kuszony był Bóg (str. 283) i t. p. Znawca chrystologii bowiem może zauważyć, że można powiedzieć iż kuszony był Bóg, nawet ściśle rzeczy biorąc.

Ks. Ch. w sporze p. N. nie z katechizmem, lecz z »katechizmami« niekiedy staje po stronie pierwszego, wytykając poszczególnym autorom błędy i niedokładności, dające broń do ręki przeciwnikom katechizmu. I dobrze robi. Otóż w jednym punkcie, natury czysto metodycznej, my staniemy po stronie p. Niem. przeciw ks. Ch. Mianowicie zarzuca ks. Ch. autorowi »Objaśnień« sprzeczność i błędne koło, że

np. przymioty Boże obala nawzajem jedne przez drugie. Otóż metodycznego błędu p. N. w danym razie się nie dopuścił. On, pragnąc wykazać sprzeczności katechizmu i występując w roli »bluźniercy Boga« miał logiczne prawo obalać jakieś dwa przymioty np. sprawiedliwość i miłosierdzie jedno przez drugie i nawzajem, skoro sprzeczność w nich upatrywał. Pan N. chciał może naśladować metodę Kanta, wyszukującego »antynomie« rozumu, w celu wykazania jego niemocy. Inna rzecz, że sprzeczność, upatrywana w katechizmie, jest tylko powierzchowną i pozorną, co ks. Ch. doskonale wytłumaczył.

Na zakończenie jeszcze jedno spostrzeżenie nad Objaśnieniami katechizmu p. N. Zdaje się, że kształcił się on, pomijając inne źródła i na racyonaliźmie rosyjskim. Zdradzają go częste rusycyzmy, a cała osnowa i poziom dowodzeń mocno przypomina Tołstojowską »Krytykę teologi«.

Ks. J. Urban.

Opis powiatu jasielskiego. *Ks. Władysław Sarna.* Jasło 1908. Nakład autora. Str. VI, 743 z mapą.

Dziesięć lat temu wydał pracowity proboszcz szebnieński, obecnie kanonik katedralny przemyski »Opis powiatu krośnieńskiego«, teraz druga jego praca z tego zakresu pojawiła się na półkach księgarskich.

Praca omawiana dzieli się na dwie części: ogólną i szczególną.

Autor zaczyna od utworzenia starostwa jasielskiego w r. 1867, omawiając przytem stosunki administracyjne, sądowe i kościelne w poprzednich czasach. Jest to jak gdyby zakreślenie granic powiatu jasielskiego (rozdz. I). Następnie według Szajnochy (Atlas geologiczny Galicyi), Rehmana (Karpaty pod wzgl. fiz.-geog.) oraz sprawozdań biura hydrograficznego w Wiedniu opisuje powiat pod względem orohydrograficznym i klimatycznym, jego ustrój pionowy i poziomy (rozdział II). W krótkim rozdziale III podaje ks. Sarna zaludnienie powiatu, wedle »sprawozdań lekarzy powiatowych«. Dziwnym wydaje się może nieco ten sposób zbierania statystycznych cyfr: czy nie dokładniejszemi byłyby cyfry urzędowe w »Podręczniku statystycznym Galicyi«, którego tom VI jest znanym autorowi, jak widać np. ze str. 33 i innych? Albo jeżeli chodziło o najświeższe cyfry, to powinienby ich dostarczyć *Schematismus cleri dioecesani.* W rozdz. IV omawia osadownictwo (dlaczego nie osadnictwo?) na podstawie teoryi prof. Piekosińskiego, zaznaczając przytem jednak wyraźnie, że to tylko hipoteza — zna przytem i Stadnickiego pracę o wsiach wołoskich i Bu-

jaka »Studya nad osadnictwem Małopolski«, które kilkakrotnie przytacza (np. na str. 25, 365, 366), widać, że nie obce mu i badania Kutrzeby — szkoda tylko może, że nie oparł się więcej na »Studyach«, niż na »Piekosińskim«. Wprawdzie celem książki jest opis powiatu a nie rozbiór teoryi o prawie osadniczem w wiekach średnich, ale należałoby tutaj może wspomnieć w przypiskach o odpowiednich badaniach (przynajmniej prof. Potkańskiego, a może i Bobrzyńskiego, Szelągowskiego i Ulanowskiego), choć tylko dlatego, aby się nie narazić na zarzut zbyt wymagającego krytyka. Całkiem słusznie zaś można zarzucić ks. Sarnie, że omówił wprawdzie rolnictwo (rozdz. V), ale zupełnie prawie pominął milczeniem handel i przemysł powiatu jasielskiego, który przecież należy do jednego z najwięcej przemysłowych powiatów Galicyi. A można było to uczynić bardzo łatwo, posługując się publikacyami krajowego biura statystycznego we Lwowie. Tymczasem zamiast obszerniejszego poglądu na te stosunki w powiecie, mamy tutaj tylko jedną stronicę (173) o handlu, z wymienieniem jarmarków oraz ilości sprzedanego bydła i to z jednego tylko roku i drugą jeszcze stronicę poświęconą przemysłowi naftowemu a wogóle fabrycznemu: wygląda to, jak gdyby autor uważał stosunki ekonomiczne za rzecz podrzędniejszej wagi.

Za to nadzwyczaj korzystnie odbija rozdział VI i VII, w których zawiera się etnografia powiatu, przeprowadzona bardzo obszernie na stu przeszło stronach, a tak żywo, iż ze sposobu przedstawienia widać, iż te rozdziały, chociaż posiłkowane odpowiednią fachową literaturą, pisane jednak były na podstawie autopsyi, tego nieocenionego czynnika etnografii.

Druga część książki, to szczegółowy już opis powiatu, po którym ułatwia oryentacyę doskonała mapa, wykonana w wojskowym instytucie geograficznym w Wiedniu. Najprzód ciekawy i cenny przegląd historyczny dziejów samego Jasła i jego mieszkańców. Wymienić tu należy przedewszystkiem bardzo ważne szczegóły do historyi cechów, jakie wydobył z archiwów pierwszy ks. Sarna. Przedstawiwszy siedmiowiekową historyę miasta, przechodzi autor do naszych czasów i daje pogląd na obecny stan miasta pod względem religijnym, administracyjnym, oświatowym, sanitarnym i t. d., kończąc na wymienieniu osobliwości Jasła, gdzie umieścił też obszerniejsze wiadomości o ważniejszych gmachach i pomnikach jasielskich oraz o historycznych postaciach związanych z tem miastem. Wreszcie na ostatku (str. 294—680) przesuwają się przez książkę po kolei wszystkie 33 parafie powiatu

jasielskiego. Opisana tu ich przeszłość — o ile pozostały jej ślady bądź w źródłach archiwalnych bądź w pomnikach i napisach, na końcu podane statystyczne cyfry co do obszaru i zaludnienia każdej parafii.

Za opracowanie tej również części należy się głębokie uznanie szan. autorowi, bo tu wykorzystał on odpowiednią literaturę monograficzną, a nawet sięgnął do samych źródeł: w czem właściwa zasługa ks. Sarny, że nie tylko zadowolił się Długoszem, Metryką koronną, wydanymi dotąd kodeksami, małopolskim, tynieckim, krakowskim i t. d., nie tylko czerpał z archiwum dyecezyalnego — którego jest doskonałym znawcą — z aktów grodzkich i ziemskich okolicznych grodów i ziem, ale nadto wydobył wiele wiadomości nieznanych z archiwów parafialnych, dekanalnych, a nawet prywatnych, szlachty w powiecie osiadłej.

Wyliczenie wszystkich gmin powiatu jasielskiego i oprócz spisu rozdziałów podwójny indeks osób i miejscowości — tak mało u nas jeszcze w wydawnictwach naukowych uwzględniany — uzupełnia tę książkę i ułatwia jej użycie.

Mimo tak wielkich zalet, znać przy czytaniu tej książki, że pożądanąby była inna metoda w opracowaniu dzieła.

Należałoby może nieco uporządkować materyał: np. do historyi powraca autor raz po raz nie przeprowadzając ścisłego ugrupowania jej w jednem lub kilku, ale odpowiednich miejscach. To samo możnaby powiedzieć i o innych działach: np. poczty i koleje znalazły się w rozdziale etnograficznym. Najwięcej może razi sposób kronikarski korzystania nawet ze źródeł, przedewszystkiem w części szczegółowej brak pragmatycznego poglądu, przy opisie parafii, dawnych stosunków; również nie może dać wiernego obrazu o prawdziwym rozwoju powiatu posługiwanie się cyframi z jednego tylko roku. Zasługą jednak autora jest, że mimo licznych zajęć duszpasterskich i równocześnie kilku prac historycznych, zbierał skrzętnie notatki do dziejów powiatu a przedewszystkiem przy każdej sposobności obserwował lud okoliczny, aby nam dać z jasielskiego znakomity obraz etnograficzny, jakiego dotychczas nigdzie nie mieliśmy, że uratował od zapomnienia to mnóstwo pieśni ludowych i oryginalną gwarę, a to wszystko nakreślił piórem i stylem wprawionem już na tylu dziełach i dziełkach poprzednio wydanych i uznanych.

Ks. K. Konopka.

Z piśmiennictw obcych.

Gerhart Hauptmanns Naturalismus und das Drama. Von *Sigmund Bytkowski.* Beiträge zur Aestetik, herausgeg. von T. Lipps u. R. M. Werner XI. Hamburg u. Leipzig. 1908. Leopold Voss. Str. 208.

Jakkolwiek naturalizm, panujący w ostatnich 20 latach powszechnie w literaturze i sztuce, w teoryi został zwyciężony, to jednak nie zaginął on dotąd w praktyce. Wiele sprzeczano się za i przeciw i w obydwóch obozach przesadzano niemało. Z radością więc należy powitać dzieło, które już po skończonej bitwie pragnie dać spokojny i przedmiotowy pogląd na bojowisko, oraz krytycznie i bezstronnie wykazać zarówno słabe strony, jak i zalety zwyciężonego przeciwnika. Taką to książką ma być powyższe dzieło według zeznania samego autora (str. 2). Obrał on sobie za tło rozprawy dramatyczne utwory Hauptmanna, nie tylko dlatego, że jest on głównym przedstawicielem tego kierunku w Niemczech, ale przedewszystkiem dlatego, ponieważ u Hauptmanna najjaskrawiej się uwydatniają światła i cienie naturalizmu.

W pierwszych dwóch rozdziałach obznajamia nas autor z rozwojem talentu Hauptmanna i z genezą jego twórczości, która nie wyrosła na czysto niemieckim gruncie, lecz znalazła oparcie na wzorach Ibsena a zwłaszcza Zoli. Rozdział trzeci wyjaśnia na konkretnych przykładach technikę naturalistycznego dramatu i wykazuje w szczególności, jak wkradał się doń element nowelistyczny, tak obcy prawdziwemu dramatowi dla drobiazgowego opisywania jego bohaterów. Następnie podaje nam autor treściwą i krytyczną analizę najbardziej popularnych dramatów Hauptmanna pod tyt. »Przed wschodem słońca«, »Święto pokoju«, »Samotni ludzie«, »Tkacze« i t. d., by na podstawie tych utworów snuć ogólniejsze refleksye nad charakterami, poetyczną formą i akcyą naturalistycznego dramatu. Warto tu podnieść główne idee autora.

Charakterystyka osób w naturalistycznym dramacie polega głównie na opisywaniu zewnętrznych cech działających osób z wykluczeniem ich auto-charakterystyki za pomocą akcyi. W dawnym dramacie nieraz spotykamy podobną charakterystykę za pomocą monologu, w którym bohater w chwili spotęgowanego uczucia wyjawiał tajniki swej duszy. Prawda, że tego monologu, który psychologicznie był zupełnie uzasa-

dniony, niejednokrotnie nadużywano, ale i to prawda, że reakcya naturalizmu posuwa się zbyt daleko, rugując monolog zupełnie z techniki dramatycznej.

Podobnie pokazuje autor zapomocą konkretnych przykładów, że pod względem językowym naturalistyczny dramat nie wystrzegał się przesady w dążeniu do jak najwierniejszego odtwarzania rzeczywistości. Owocem tej dążności był język zupełnie zaniedbany i prowincyonalizmami wykrzywiony. Przy tej sposobności potępia autor także powszechne posługiwanie się dyalektem w ciągu całego dramatu.

Akcya naturalistycznego dramatu przypomina już to greckie tragedye, w których jakiś *deus ex machina* musiał rozwiązać węzeł dramatyczny, już to nowoczesne nowele i obrazki obyczajowe, które wprowadzają nas nagle w przygotowaną z góry i zaostrzoną sytuacyę, pozwalają nam przyglądać się jakiejś mniejszej lub większej katastrofie a potem każą się nam oddalić bez właściwego zakończenia akcyi. Dramat naturalistyczny rozwija przed nami obrazy, — obrazy bardzo wspaniałe i wierne, owszem często wzruszające i podniecające, ale zawsze tylko obrazy. Odpowiada to zupełnie duchowi naszej ery, która lubuje się w szczegółach, a ucieka od ujmowania rzeczy w harmonijną, wykończoną całość.

Po tych wszystkich wywodach dochodzi autor w ósmym rozdziale do wniosku, że »naturalistyczny i poglądowy element dramatyczny, który lubi rozwlekłe opisy stanów duszy oraz ubiega się o jak największą wierność w odtwarzaniu powierzchni zjawisk, oddziaływa tylko szkodliwie, hamuje i nawet niszczy rozwój dramatu, jeśli się nie podporządkowuje zupełnie wyższemu elementowi, mianowicie dramatycznej zasadzie ruchu, akcyi i koncentracyi, że nie ma pretensyi być czemś więcej, aniżeli jedną tylko formą komunikacyi obok drugich, równie uprawnionych (str. 179).

Rozdział ostatni, w którym autor podaje uzasadnienie swojej teoryi sztuki ze stanowiska ogólnej estetyki, udał się może najlepiej. Zaprowadziłoby nas za daleko, gdybyśmy tu chcieli wejść w szczegóły: wystarczy zauważyć, że autor usiłuje dać określenie sztuki wogóle i podział poszczególnych sztuk. Jakkolwiek nie we wszystkiem zgodzi się każdy z autorem, to jednak nie odmówi uznania jasności i spokojnej przedmiotowości jego wywodów. Może nieraz niedosyć ocenił zalety naturalizmu, może zbyt silny położył nacisk na ujemne jego strony, — to jednak jest pewne, że nawet zwolennicy tego kierunku

nie będą mogli pominąć tej pracy milczeniem. Nawet ci, co dotąd mało się zajmowali tą kwestyą, nauczą się z tej książki wiele, tak, że możemy ją śmiało polecić wszystkim miłośnikom sztuki.

J. Hahn.

Weltenmorgen. Dramatisches Gedicht in drei Handlungen von *Eduard Hlatky.* Vierte und fünfte Auflage. Herder. Freiburg im Breisgau. Str. 433.

Wspaniały ten dramatyczny poemat Edwarda Hlatky'ego, wydany po raz pierwszy w latach 1896—1897, świadczy wymownie, że w katolicyzmie nie minęły czasy prawdziwie poetyckiego natchnienia, jakiem przesiąknięte są utwory nieśmiertelnych geniuszów Dantego i Miltona. »Zaranie świata« Hlatkye'go, można to śmiało powiedzieć, należy do najznakomitszych utworów niemieckiej literatury, chociaż przyznać musimy, że nie jest arcydziełem, któremuby nic już nie można zarzucić.

W trzech aktach rozwija poeta przed nami historyę upadku aniołów, upadku pierwszych rodziców i pierwszego zabójstwa na ziemi. Nie ulega wątpliwości, że nie brak momentów tragicznych w tych zdarzeniach — ale brak dramatycznego interesu, gdyż z natury rzeczy wysuwa się naprzód akcya psychologiczna, rozwój idei, podczas gdy dla właściwego działania ledwie pozostaje miejsce. Bardziej stosuje się to jeszcze do pierwszej i drugiej części trylogii, niż do części trzeciej, w której bratobójstwo Kaina więcej nastręcza dramatycznych motywów. Mamy stąd raczej poetyczny dyalog, niż dramat właściwy w utworze Hlatky'ego. Pod względem treści zaliczylibyśmy »Zaranie świata« do kategoryi poematów filozoficzno-religijnych. Nie sądźmy jednak, że Hlatky ułożył tylko dogmat w wierszach, jak to zarzucono poecie. Dogmat w wierszach zapewne nie jest jeszcze poezyą; ale słusznie zauważył O. Kreiten T. J., znany krytyk i poeta, że określenie piękna jako *splendor veri* — odbłysk prawdy — stosuje się bez wątpienia do utworu, w którym dogmat występuje w najróżnorodniejszych, najwyższych i najgłębszych swoich stosunkach do Boga i ludzkości oraz w harmonijnym związku poszczególnych prawd ze sobą i w jedności ich w Bogu i Chrystusie. Oczywiście bez pewnego wykształcenia filozoficznego i teologicznego niepodobna ocenić należycie poematu i zasmakować w nim.

Dla nie-teologów bardziej zrozumiałe będą ostatnie dwie części trylogii, w których już nie świat duchów, ale ludzie stają przed nami

Przedewszystkiem uderza nas głęboka psychologia w przeprowadzeniu charakterów.

Jeśli zwrócimy uwagę na ogromne trudności w przedstawieniu dogmatycznych i filozoficznych prawd w poetyckiej szacie, to musimy podziwiać mistrzowski talent poety, który się zdobył na taki stopień literackiego wykończenia swego utworu. Samo już głębokie zrozumienie trudnych dogmatycznych zagadnień daje nam wyobrażenie o uzdolnieniu autora.

Prawda, że niewielka będzie liczba tych, którzy pojmą poemat Hlatky'ego w zupełności, — ba nawet niewielu przeczyta do końca z powodu umysłowej pracy, której się zrozumienie jego domaga, ale wartości dzieła nie wolno sądzić według popularności jego w szerokich warstwach, karmiących się chciwie lekką literaturą powieściową, lecz na podstawie tkwiącego w niem artyzmu poety — a tego artyzmu spotykamy tu wiele tak pod względem formy jak treści.

»Zaranie świata« Hlatky'ego — to prawdziwe dzieło sztuki, zasługujące na to, aby się niem więcej zajmowano, jak dotąd. Rozszerzenie tego poematu w szerszych kołach intelligencyi przyczyni się bez wątpienia do ożywienia i udoskonalenia zdrowego i uszlachetniającego zmysłu dla prawdziwej sztuki.

Ks. Ernest Matzel.

The fourth generation by *Walter Besant.* I vol. Tauchnitz ed.

Autor poprzedził powieść przedmową, tłumaczącą w jakim ją celu napisał. Zamierzał pogodzić pozorną sprzeczność między słowami Pisma świętego a tem, na co każdy z nas codzień w życiu spogląda. Prorok Ezechiel, uzbrojony potęgą objawienia, protestuje przeciw dziedzictwu zbrodni (rozdz. XVIII), przeciw pojęciu, że Bóg karze dzieci za winy rodziców a przecież stare izraelskie przysłowie o cierpnięciu zębów dzieci z powodu kwaśnych winogron, jakie jedli ojcowie, urzeczywistnia się co chwila czy na nas samych czy przed naszemi oczyma. I wtedy człowiek staje między dwoma świadectwami, które się zdają jedno drugiemu zadawać kłam. Autor dowodzi, że tak nie jest, że cierpienia dzieci, które bywają przypisywane karze Boskiej, są w istocie tylko naturalnym wynikiem zbrodni popełnionej przez jednego lub kilku członków rodziny z poprzednich pokoleń. Nieraz trzebaby cudu, aby te smutne skutki usunąć. Stąd też pochodzi pozornie niesprawiedliwa nierówność w tem, co ludzie mniemają być karą: czasem się widzi dzieci zbrodniarza u szczytu pomyślności a potomstwo stokroć

mniej winnego człowieka w nieszczęściu i wstydzie, zawsze dla tej samej przyczyny, że nie od stopnia winy ale od jej rodzaju i okoliczności zależą jej skutki spadające na głowę niewinnych. Za grzech odpowiada przed sądem Bożym sam winowajca, bo »dusza ojca podobnie jak i dusza syna należy do Boga«, a »ten, który grzech popełnił zginie sam jeden«.

Wychodząc z tego punktu widzenia należałoby również stwierdzić, że krom kilku biblijnych wydarzeń, zbrodnie narodów mszczą się na takowych tylko w miarę politycznego błędu, który towarzyszył złym czynom. Bóg każdego z tych co popełnili te zbrodnie sądzi osobno, ale nie karze masowo ich wnuków i prawnuków: ci wraz z ojczyzną swoją muszą za to znosić naturalne skutki ojcowskich błędów. Teorya to niesłychanie ponętna zwłaszcza dla nas Polaków, którzy cierpimy za polityczne błędy praojców i musimy patrzeć na pomyślność i tryumf potomków tych, co nam rozdarli ojczyznę. Sprawiedliwość Boża dokonała się już nad duszą każdego z winowajców a my patrząc tylko cielesnemi oczyma krzyczymy, że jej nie było i niema!

Być może, iż tak się dzieje istotnie w sprawach całych narodów. Ale prywatnie? Argumentu przeciwnego dostarcza sam grzech pierworodny, którego dziedzictwo w najgorszym ze swych skutków zmazane wodą chrztu, zachowuje przecież dość mocy, aby nas po tylu tysiącach lat czynić kalekami na duszy i ciele i zamieniać świat w wielką salę tortur, gdzie wszystko co ma życie musi cierpieć a wszystko co ma wolę naturalnym popędem chyli się ku złemu. Czy to także naturalne następstwo grzechu, czy kara? Zapewne jedno i drugie, a to co się dzieje dla całej ludzkości, dzieje się i w drobniejszych rozmiarach dla poszczególnych narodów, rodzin lub pojedynczych ludzi. Walter Besant więc odrzuca zupełnie pojęcie kary za zbrodnię jednego, rozciągającej się na pokolenia następne i usiłuje tezę swoją uzasadnić przykładem wyjętym z życia prywatnego. Czyni to wszakże w sposób niedoskonały tak, iż czytelnikowi sypią się parękroć na myśl zarzuty, na które autor możeby z trudnością mógł odpowiedzieć. Główną osobistością powieści jest niemal stuletni starzec, który przed 70 laty w chwilowem uniesieniu powalił trupem brata swej żony, najlepszego swego przyjaciela. Dramat rozegrał się w małym gaju bez świadków, jedynie chłopczyk oganiający od wróbli sąsiednie pole zajmujące szczyt pagórka, pod którym rozciągał się gaik, mógł stwierdzić, że prócz obu panów nikt nie wszedł między drzewa

ani mógł być wśród nich ukryty. Po spełnieniu czynu Algernon Campaign powrócił do domu blady, milczący; wkrótce potem jednak przyniesiono zwłoki zabitego. Wstrząśnięta zgonem brata pani Campaign urodziła przedwcześnie dziewczynkę i skonała; tak więc w przeciągu godziny Algernon stracił szwagra i żonę. Przy śledztwie żadne podejrzenie nie padło na niego; przeciwnie, oskarżono człowieka, który odkrył trupa i pierwszy zawołał o pomoc. Algeron obronił go a gdy go potem we wsi nie przestawano molestować, wyprawił go z rodziną do Australii. Sam zaś — zamiast wyznać swą niemal mimowolną zbrodnię, co było logicznem i chrześcijańskiem — postanowił dla odpokutowania jej oddzielić się zupełnie od ludzi. W tym celu troje dzieci odesłał do krewnych, zarząd majątku powierzył w uczciwe ręce, oddalił służbę prócz jednej gospodyni, która mu gotowała obiad — zawsze jednakowy — i krom treściwej korespondencyi z prawnikiem, dotyczącej lokacyi kapitałów, pogrążył się w całkowite milczenie. Konie pozdychały w stajniach, psy w psiarniach, w ogrodzie kwiatowym, w parku i sadach rozpanoszyła się dzika roślinność, dom jął opadać z tynku, dach z dachówek, cała piękna posiadłość zamieniała się zwolna w ruinę. Wewnątrz zaś pokoje, nie tknięte ręką ludzką, pozostały w stanie, w jakim zastała je katastrofa... Ten ostatni szczegół, w rzeczywistości absolutnie niemożliwy, bywał już używanym i zużytym przez mnogich powieściopisarzy: znamy już na pamięć robótkę zostawioną na stole, otwarte nuty na otwartym fortepianie, otwartą książkę i rozpoczęty list na biurku. Autor dodaje jeszcze rzecz mniej prawdopodobną, to jest w sypialni zmarłej otwartą szkatułkę pełną klejnotów, których nikt nie tknął, pomimo że każdy mógł swobodnie spacerować po pustym domu! Znamy również skądinąd postać ponurego starca, chodzącego ciężkim krokiem przez godziny całe po komnacie lub ganku; tu pradziadek chodzi po terasie a następnie siedzi przy kominie i drzemie. Minęły lata: starszy syn ożenił się, wstąpił do parlamentu i wkrótce potem zastrzelił się dla nieznanych na razie powodów; młodszy wstąpił do marynarki i wraz z okrętem swoim utonął; córka, zostawiona bez opieki, uciekła z młodym przemysłowcem, który ożenił się z nią licząc na posag dla ocalenia firmy, a zawiódłszy się zbankrutował i umarł zostawiając nieszczęśliwą żonę i dzieci w ubóstwie. To wszystko jednak działo się dawniej: w chwili rozpoczęcia się powieści widzimy wnuka i dwóch synów młodego samobójcy a przeto wnuków i prawnuka starego pokutnika. Ów prawnuk jest jedynym istotnie porządnym człowiekiem z rodziny; obaj jego stryjowie po burzliwej młodości żyją

z niezbyt prawidłowych zysków. Młody Leonard jednak długo o tem nie wie, stąpa przez życie nie dotykając ziemi, dumny z wybitnych zdolności, szczytnego stanowiska, urody, siły, niezależnej fortuny i, jak mniema, nieskalanego od wieków nazwiska. Żyje nie sercem lecz głową, niebaczny na prawdy nadprzyrodzone, ślepy na nędze ludzkości. Cały ten gmach wszakże poczyna nagle ze wszystkich stron rysować się i walić: hańba rodzinna z różnych kątów wypełza na jaw. Leonard czuje ciążące jakoby przekleństwo, czuje jakąś moc niewidzialną zmuszającą go do wygrzebania tegoż początku. Wpadłszy na trop morderstwa dokonanego przed 70 laty, dochodzi po długich a bolesnych poszukiwaniach do pewności, że winowajcą jest jego milczący pradziadek; zbrodnia przodka wydaje się nieszczęsnym rogiem obfitości, z którego wysypały się na cały ród przeróżne nieszczęścia: samobójstwo syna okazuje się bowiem skutkiem rozpaczy po odkryciu fatalnej prawdy. Leonard, któremu zetknięcie z cierpieniem powróciło wiarę, męczy się czas jakiś między orzeczeniem Pisma św. a tem, co mieni być rzeczywistością. Dopiero ochłonąwszy, zdoła przy pomocy kobiety, którą kocha, rozwikłać zamotaną nić faktów. Widzi, że każdy osobny fakt z długiego szeregu nieszczęść był logicznem następstwem poprzednich, że zatem nie może być mowy o skutkach przekleństwa zbrodni, o karze Boskiej spadającej do czwartego pokolenia na dzieci winowajcy — bo zbrodnię pradziad jego dobrowolną męczarnią już sam odkupił, »sam sobie przebaczył« stoi w tekście — jak gdyby chodziło nie o sąd Boski ale o wyrok własnego sumienia. Czytelnik rad jest, że się Leonard nareszcie uspokoił; ma jednak ochotę powiedzieć autorowi, że ta cała litania klęsk była w istocie nie skutkiem zbrodni, ale dziwacznej a samowolnej pokuty zabójcy: gdyby Algeron był wyznał winę lub wewnętrznie upokorzył się i po katolicku wyspowiadał a potem usiłował zmazać grzech przykładnem spełnianiem obowiązków, nie byłby syn jego się zastrzelił, ani córka poszła na marne, ani wnuki, pozbawione ojca, rzuciły się w życie rozpustne. Ale to jest błędem w konstrukcyi powieści i nie zmienia myśli jej twórcy. Obok zaś głównego tematu spotyka się w niej bardzo udane typy i dobre koncepta; jest np. człowiek uchodzący za bardzo wziętego prawnika; posiada kancelacyę adwokacką i osobny dom, gdzie rodzina jego żyje dostatnio. Trwa tak przez lat 30 aż wskutek przypadkowej pomyłki odsłania się fakt, iż prawdziwem a grubo płatnem jego rzemiosłem było redagowanie oracyi poważnych lub krotochwilnych, które różni ludzie wygłaszali po świecie a zbyt mało zdolni lub zbyt leniwi,

woleli kupować gotowe, niż się sami nad niemi mordować. Charakterystycznem też dla naszych czasów, że główną postacią niewieścią w opowiadaniu jest panna — nie tylko bez matki jak wszystkie niemal heroiny romansów XIX wieku, ale żyjąca zupełnie sama z dwojgiem sług, zapraszająca do siebie na herbatki młodego sąsiada rodzaju męskiego i co gorzej chodząca do niego jakoby do brata. I to panna na wskroś uczciwa, dobrze wychowana i pobożna: *Tempora mutantur.*

Teresa Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Pierwsza polska pielgrzymka do Ziemi św. r. 1907. *O. Zygmunt Janicki Zak. Br. Mn.* Nakładem Komitetu pielgrzymki. Str. 63 z illustr.

Jest to opis pielgrzymki polskiej (pierwszej), która w czterech grupach wyruszyła z Krakowa dnia 30 sierpnia 1907 r. Przedstawiwszy krótko przygotowania do pielgrzymki, kreśli czcig. autor obrazy pielgrzymki, które żywym bardzo stylem a barwnem piórem przypominają czytelnikowi miłe chwile, jakie przebył podczas tej podniosłej pielgrzymki. Książkę zdobi mnóstwo zdjęć fotograficznych z samej pielgrzymki. Ryciny te są prawdziwą ozdobą książki, której artystyczny wygląd podnoszą przez to do wysokości albumu, a chlubę przynoszą i wydawcy nieznanemu i zakładowi drukarskiemu, w którym je odbito.

k.

Ewolucya czy trwałość gatunków? *Ks. Aleksander Mohl.* Poznań 1909. Str. 75.

Rozprawka ta naukowa skierowana jest przeciw uczniowi Darwina Haecklowi i innym jemu podobnym. Haeckel to teoryę ewolucyi wzniósł na ten poziom, na jakim ona się dzisiaj znajduje. Słusznie więc nazywa go autor głównym reprezentantem teoryi ewolucyi. Występując przeciw niej wykazuje autor na jak kruchych jest oparta podstawach, a dowody swoje popiera orzeczeniami innych sławnych uczonych. Rzecz nadaje się bardzo do publicznych odczytów.

W. B.

Pułkownik Berek Joselowicz. *Łuniński Ernest.* Lwów 1908. Str. 38.

W tej popularnie napisanej broszurce pragnął autor skreślić bohaterskie czyny owego Żyda, który do tych należał, co to i Kościuszkowskie pamiętali czasy i kampanię przeszli Napoleońską. Tendencya szlachetna, ale winien był autor nie tak dosadnie z nią występować. Razi nadto patos jak również nieproporcyonalny układ, a przedewszystkiem ów wstęp nieszczęśliwy prawiący o wszystkiem, a właściwie o niczem. Przyjemniej się czyta artykuł, jaki o tej samej rzeczy zamieścił tenże autor w *Tygodniku illustrowanym* w tegorocznym 19 nrze.

W. B.

Widhuki duszi. Poeziji. *Pidhirjanka Marijka*. Lwiw 1908.

Autorka omawianego zbiorku utworów poetyckich, znana nam od lat kilku z rzeczy drukowanych w paru czasopismach literackich, zbliżona jest wielce pod względem szczerości i prostoty w wypowiadaniu swoich uczuć i wrażeń do Bohdana Łepkiego, którego uważamy za jeden z najtęższych talentów na młodym Parnasie małoruskim. Ta cecha właśnie wynagrodzić jest w stanie niejednokrotnie zdarzającą się monotonię formy, wprawdzie nienagannej, ale bądź co bądź wobec wymagań współczesnych nielicującej z godnością prawdziwego poety. Na częściowe usprawiedliwienie autorki jednakowoż należy zauważyć, że jest ona, jak się sama wyraziła w jednem miejscu »nieśmiałem dzieckiem Podgórza«. (Stąd też widocznie powstał obrany przez nią pseudonim).

Nasłuchawszy się do woli melodyi, jaką jej poszumy leśne wygrywały, odezwała się, jak struna czułego instrumentu, skoro w pobliżu jej odezwą się tony muzyki. To też w duszy jej gra ciągle jakaś pieśń bez słów dźwiękiem, podobnym do tego, jaki wydają kłosy srebrzyste na łanie, kiedy je wiatr kłoni ku ziemi, jaki wydaje dzwonek polny, kołysany leciuchnym podmuchem zefiru.

Dla przykładu postaram się odtworzyć jedną bodaj strofkę w tłumaczeniu dosłownem zupełnie:

W mojej duszy, w sercu mojem
Odgłosy z pól
Wygrały cichy, żałosny poemat
I żal i ból.
I ni to jęczy zamęczona wola
W niemej tęsknocie
I gorzko płacze Ukrainy dola...

Tę szczerość i prostotę w wypowiedzeniu się uważam za pierwszorzędną zaletę utworów młodocianej autorki, która — na szczęście — nie uległa przejawiającym się coraz to gęściej w najmłodszej literaturze małoruskiej echom przebrzmiałym dawno pseudomodernizmu, co wywołał parę dziwolągów na tak nawet niepodatnym gruncie, jakim jest z natury swojej — grunt »ukraińskim« zwany.

Dr. St. Z.

Unsere Zukunft in Bosnien. *P. A. Puntigam S. J.* Graz—Wien 1909. »Styria«. Str. 32, 16-ka. Z rycinami.

Właściwym celem tej broszurki jest obudzić zainteresowanie się losem katolików w Bośni. Autor czyni to w sposób przekonywający. Na mocy autopsyi — przez długie lata pracował w Bośni — kreśli upośledzenie tamtejszych katolików przez rząd austryacki, gdy tymczasem katolicki Kościół to jedyna podpora, na jakiej opierać się on tam może. Serbska agitacya nie szczędzi pieniędzy, Turcy nienawidzą Austryaków jako chrześcijan, katolicy, wdzięczni Austryi za zniesione przez okupacyę a obecnie i aneksyę, stosunki niewolnicze, są rzeczywiście przywiązani do rządu. Niestety, liczebnie i ekonomicznie najsłabsi, nie mogą się absolutnie ostać wobec przewagi Serbów i Turków, nie mają też żadnej rękojmi — znowu dla braku poparcia ze strony rządu a braku środków własnych — że potrafią sobie wychować młodzież na intelligencyę, któraby kiedyś zajęła miejsce w reprezentacyi kraju i wywalczyła chrześcijańskiej ludności jakieś znośniejsze warunki egzystencyi.

Spodziewać się jednak należy, że broszura ta zwróci uwagę sfer rządowych — przynajmniej zwrócićby ją powinna — w interesie nie mówię katolickiego Kościoła, ale samego rządu, który teraz już patrzy w niepewną

przyszłość, a niepewność ta wzrastać będzie w miarę wzrastającego zaniedbania o rozwój katolicyzmu i katolików jako takich.

K.

Bitwa pod Połtawoj 27 junija 1709 goda i jeja pamiatniki. *Pawłowskij I. Fr.* Połtawa 1908. 8-ka, str. VII, 243 i XXXIII.

Dzieło to właściwie wychodzi już w trzeciem wydaniu. Pod względem tekstu nie różni się ono z poprzedniem. Różnica cała polega na dodaniu całego mnóstwa illustracyi, które autor powyszukiwał w archiwach petersburskich i moskiewskich, jak niemniej w sztokholmskiem. Pomimo całej swojej naukowości rzeczy tej daleko do objektywizmu, a co najgorsza — do ścisłości w rozumowaniu. Za zasadniczy błąd należy poczytać zupełną nieznajomość (czy czasem może umyślną?) prac tyczących tego samego przedmiotu, wydanych przez historyków galicyjskich.

To też cała wartość książki sprowadza się do dokumentów, ogłoszonych w »anneksach«, a wydobytych z tak zwanego Archiwum Mienszikowa, mieszczącego się w petersburskiej Akademii Nauk, archiwum Ministerstwa Spraw zagranicznych i paru innych. Tendencyjne przedstawienie faktów miało niewątpliwie swój cel. Ale czyż nauka ma iść w służbę jakichkolwiek względów ubocznych?...

L. B.

De frequenti usu sanctissimi Eucharistiae sacramenti, libellus per *R. P. Christophorum Madridium S. I.* denuo, praemissa praefatione .... editus a P. Ioanne Bock S. I. Vienna Austriae 1909. Str. XXXV i 79.

Szereg badań podjętych po wydaniu dekretów papieskich o częstej komunii świętej, przynosi tym dekretom coraz pełniejsze usprawiedliwienie i w coraz jaśniejszem świetle stawia prawdę, że częsta komunia święta odpowiada duchowi i pragnieniom Kościoła. O. Bock T. J. wziął sobie za zadanie źródłowo udowodnić, że św. Ignacy Loyola wraz z gronem pierwszych swych towarzyszy wyznawał co do częstej Komunii św. prawie identycznie te same zasady, których trzymać się każe Pius X. Na dowód tej tezy składa się długi i na źródłach oparty wstęp, który przedstawia wysiłki podejmowane wszędzie przez pierwszych Jezuitów celem wprowadzenia w zwyczaj częstej Komunii św., a dalej, mało znane, z namowy i pod okiem św. Ignacego pisane dziełko o tym samym przedmiocie przez głośnego Ojca Krzysztofa de Madrid. Powtórne wydanie tego dziełka jest prawdziwą zasługą O. Bock, bo ma ono interes nie tylko historyczny, ale i rzeczowy. Zwłaszcza odpowiedzi na zarzuty przeciw częstej Komunii św. napisane są tak jasno a miejscami i cięto, że do dziś dnia zachowują pożyteczność i świeżość. Polecamy to dziełko wszystkim, którzy dla sprawy częstej Komunii św. żywią interes.

J. R.

Kolloquien über die heilige Regel. Von *Dr. Benedictus Santer O. S. B.* Abt von Emaus in Prag. Dem Druck übergeben von seinen Mönchen. Dritte verbesserte Auflage. (X u. 384). Freiburg 1907. Herder.

Rzadko spotkać się można w nowszych czasach z dziełem ascetycznem takiej wybitnej oryginalności a zarazem prostoty, nie mówiąc już nic o wzniosłości. I nie dziw, bo ta praca wyszła z pod pióra męża, co długie lata strawił na walce duchownej a pod koniec życia z łoża boleści pragnął podzielić się długoletniem do-

świadczeniem z bracią swoją zakonną. Ponieważ jednak dzieło to nie jest w ścisłem słowa tego znaczeniu komentarzem lub podręcznikiem dla lepszego zrozumienia reguły św. Benedykta, lecz zawiera nauki mogące posłużyć ku nauce i zbudowaniu jak najszerszych kół osób pobożnych tak zakonnych jako też świeckich, przeto postarano się, aby takowe uczynić przystępnymi dla wszystkich pragnących z nich korzystać, za co współbraciom zakonnym szanownego autora należy się szczere uznanie.

Dzieło to ma tę obok wyż wspomnianej prostoty zaletę, że ma styl niezwykły, odzwierciedlający gorącą duszę autora i zatrzymujący uwagę czytelnika przy poszczególnych rozdziałach z wielkiem zainteresowaniem. Przyczyną tego wielkie mnóstwo cennych uwag, oświetlanie przedmiotu przez trafnie dobrane porównania a nadewszystko praktyczne zastosowanie niektórych części tekstu reguły benedyktyńskiej do życia i to z prawdziwą naturalnością i z prawdziwem uchwyceniem i pogłębieniem ducha św. zakonodawcy Benedykta.

Niema tu uczonych określeń, owszem przeciw temu się autor nawet wyraźnie zastrzega, niema owych subtelnych dystynkcyi co do granic, czyniących pewne akty indywidualnego życia zakonników dozwolonymi lub nie, ale jest ideał życia zakonnego w całej pełni i sile, uchwytny dla każdego, co chce prostem sercem służyć Bogu i wykonalny dla każdego co ma dość szerokie serce, aby się wznieść ponad trudności codziennego życia. Dodać należy, że szczegółów codziennego życia autor wcale nie idealizuje, ale za to ukazuje w jaki sposób z pomocą tych szczegółów osiągnąć ów ideał czyli tajemnicę świętości.

Cierpienia fizyczne, a szczególniej utrata wzroku nie dozwoliła autorowi własnoręcznie przelewać swych myśli na papier, co jednak dyktował, to wszystko nosi cechę gruntowności, głębokiej znajomości serca ludzkiego, zaczerpniętej z długoletniego kierownictwa duszami. Objaśnienia np. 7 rozdziału reguły o pokorze są skreślone prawdziwie po mistrzowsku. Z innych rozdziałów zasługują na szczególniejszą wzmiankę rozdziały o posłuszeństwie, milczeniu, pracy, gościnności, rozdziały zaś traktujące o obowiązkach ściśle zakonników dotyczących, jak np. chóru, rzucają wiele światła na ważność i pożyteczność życia kontemplacyjnego. Dla wygody czytelnika dodany jest na końcu łaciński tekst reguły św. Benedykta; każdy zaś rozdział czyli kollokwium kończy się modlitwą.

B. M.

Kapłani sztuki. *Adam Stodor.* Księgarnia Jasielskiego. Stanisławów 1909. Str. 57.

Jest to satyra na system protekcyjny, jaki panuje na polu krytyki dziennikarskiej, gdzie za pieniądze uzyskać można uznanie recenzentów laików, gdzie rzecz dobra i głęboka a nie opłacona spotyka się z potępieniem i upada, gdzie ludzie bezstronni uważani są za głupców, słowem gdzie tylko ten jest dobry, który ma pieniądze. Jako satyra przedstawia ona w zbyt jaskrawem i złośliwem świetle stosunki dziennikarskiej krytyki.

St. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kongres eucharystyczny w Kolonii

Niejeden podróżny w pociągu kolei kolońskiej słyszał zdumiony od towarzyszów przedziału, że ci przybywają z dalekich krańców Europy, i jeszcze z dalszych stron: z Azyi i Afryki, na eucharystyczny kongres międzynarodowy. Niejeden katolik przywykł ostrożnie postępować z wiarą i oględnie o niej wspominać: przybywa z okolicy, gdzie przed grozą prądów przeciwkościelnych przez lata trzymał na wodzy katolickie serce i słowo, a podjeżdża do Kolonii, gdzie słyszy, że Kościół nie oglądnie się na przeciwne potęgi i wypowie uroczyście, co czuje. Zdumiony podróżny łatwo zmieni rozkład czasu na dalszą podróż, aby w Kolonii przebyć taką chwilę, o jakiej nie marzył.

Nie marzył, żeby najświętsza Tajemnica wiary miała być najjawniej podnoszona wobec całego świata. Czyż wiara kościelna tak potężnie, tak doniośle opanowała umysły, że już mogła na wszechświatowej widowni występować jak dziejowy wypadek? żeby głośno rozprawiała o swoich potrzebach? Więc zdoła już Kościół w obliczu narodów radzić o swoim rozwoju? roztrząsać najtajniejsze myśli swoje i poddawać je pod uchwały głośne rzeszy zgromadzonej z półkuli północnej i południowej?

Wjeżdża tedy do Kolonii przygodny uczestnik kongresu, ściągnięty zapowiedzią śmiałego występu wiary, z trwogą jednak ciekaw, czy przebieg kongresu odpowie wspaniałym nadziejom

Przy wjeździe na dworzec spostrzega znajomego dziennikarza, przydzielonego do oddziału wywiadowczego: oddział ten zbiera statystykę uczestników zjazdu i tak rozłożył między sobą pracę, że jednym polecił wywiady o przybyłych książętach Kościoła, innym przydzielił przedstawicieli kapituł, tamtym związki młodzieży, rzemieślników, robotnicze związki i zarobkowe, obywatelskie, kupieckie, parafialne bractwa, narodowe poselstwa... Każdy wywiadowca żyje przez parę dni i nocy ciągłym wysiłkiem woli: ma tyle rozpoznać osób i drużyn, tyle w spisie umieścić nazwisk nieznanych: więc liczą kardynałów i biskupów do dziesięciu z Włoch, Francyi, Hollandyi, Niemiec, Szwajcaryi i Anglii; biskupów ordynaryuszów i sufraganów do sześćdziesięciu z rzeczonych krajów a nadto z Indyi, z Belgii, z Palestyny, z Węgier, z Chin, z Hiszpanii, z Irlandyi, z Sudanu, z Siedmiogrodu, z Małej Azyi, ze Szkocyi, z przylądka południowej Afryki, z Danii, ze słowiańskich dyecezyi w Karyntyi, w Slawonii, na Morawii, z polskich w Gnieznie, na Warmii, w Krakowie; z nieznanych, ledwo po najdokładniejszych geografiach wymienionych kresów i wysp w Azyi i Afryce, z Archelaidy, z Alindy, z Adchonry, z Elphinu: to wszelakie narody i szczepy, z twarzą białą albo żółtą, albo na brunatno zapieczoną na słońcu, to z całej ziemi Kościół zjeżdża się w osobie biskupiej, to przy boku wodzów naczelna rada albo przywódcy zastępów pomocniczych: członkowie kapituł, zakonni opaci i przełożeni prowincyi, zwierzchnicy seminaryów i spracowane po parafiach duszpasterskie zastępy. I ci znowu z miejsc rozrzuconych po całej kuli ziemskiej przynoszą swoje nazwiska: nie do europejskiej przydatne pisowni albo wymowy, najwymowniej głoszą, że to nic innego, tylko część świata jedna za drugą spieszy za przedstawicielem Głowy Kościoła, za kardynałem Vanutellim zasiąść do obrad nad najgłębszą prawdą wiary, nad treścią nadprzyrodzonego życia, nad skarbem mocy chrześcijańskiej zamkniętym w Eucharystyi.

A związki, i cechy, i zgromadzenia, i bractwa, i stowarzyszenia i wszelakiej nazwy chorągwie z rzeszą ludzi, nie z imienia katolickich, ale z czynu i walki i nauki i poświęceń: tłum za tłumem zapełnia w Kolonii dworzec, zasypuje ulice i zatłacza

sobą domy, zakłada na kilka dni obozowisko, różnobarwnym ubiorem i różnodźwięcznym dziesiątkiem języków wypowiada myśl wielką... a Kolonia w odświętnym stroju najzdobniejszym, wita i gości i ten natłok świadków o wielkiej myśli Kościoła.

Idą na eucharystyczne obrady.

Usłyszą o wszystkiem, co Kościół w sobie i w świecie zdobyć może walką zwycięską, bo walczy zbrojny Bogiem, który w człowieku zwycięża. Tego wszystkiego usłyszą część jedną na obradach wspólnych, toczonych w języku niemieckim dla obeznanych z tym językiem słuchaczy; usłyszą drugą część na którejś z obrad poszczególnych, bo i taką znajdą poszczególne narody prowadzoną w ich mowie rodzinnej.

Usłyszą najprzód przypomnianą prawdę zasadniczą: czy w samej rzeczy sam to Bóg nam zastawia ze Siebie ucztę na zasiłek w chrześcijańskie boje?

Odpowiada na to profesor wszechnicy w Bonn odczytem o latreustycznej czci Eucharystyi: wezwie na świadectwo dzieje i okaże w ich świetle Boską cześć oddawaną Pokarmowi Tajemniczemu, przedstawi rozwój tej czci stosownie do potrzeb i stosunków Kościoła w biegu wieków, zaspokoi słuchacza odpowiedzią naukową na bluźnierstwa, zwłaszcza najnowsze.

I na wniosek, związany najbliżej z podstawną prawdą, zwróci zaraz umiejętnie uwagę uczony Douders z Monasteru: przyzna, że Bóg-Człowiek, odarty nawet już z ludzkiej postaci i pozostawiony w bezwładnym stanie niemego pokarmu, wystawiony bezbronnie na wszelką zniewagę: to widok zdolny po ludzku zamieszać pojęcie o majestacie, w jakim Bóg panuje nad światem śród chwały nieogarnionej niczem. To też chwila, kiedy sługa ołtarza mieczem słowa odziera Boga z wszelkich pozorów choćby człowieczego bytu i podnosi przed ludem nikłe postacie pokarmu: ta chwila stanowi istotę Ofiary.

Tak! to Bóg prawdziwy drogą Ofiary niepojęcie cennej idzie człowieka zasilać na zapasy nadludzkie! Tak dodaje ksiądz Maksymilian saski i naukę obu poprzednich mowców streszcza odczytem wysnutym z dzieł Cyryla.

Więc Eucharystya, zbrojownia chrześcijanina i skarbiec jego na wydatki wojenne, do jakich przyda się walk?

Odpowiadają różne odczyty i wyświecają, że Eucharystyą zbrojni zwycięsko toczyć możemy każdą walkę o szczęście: i własne, i rodzinne, i społeczne, i narodowe i powszechne dla całego na ziemi chrześcijaństwa, rozerwanego dziś na tyle Kościołów, Cerkwi i Zborów.

Więc o żywotnym posiłku z Eucharystyi na osobistą walkę człowieka ze sobą głosili wspaniałe prawdy profesorowie teologii nadreńscy. Ten roztrząsał, jak działa Eucharystya, i wykrywał w Niej środowisko i ogniwo łączne dla skutków każdego Sakramentu. Inny rozbierał skutki Eucharystyi, jako posiewu i rosy, która wydaje plon i rozwój cnót doskonałych. Inni w kilku odczytach brali pod szczególną uwagę cnoty należne stanowi kapłańskiemu: w Eucharystyi dawali widzieć, jak tryska źródło tych cnót. Również na inne stany różne odczyty zwracały uwagę: więc i na niwę pracy chrześcijańskiej w kobiecych zawodach, i na cnotę w tych zawodach potrzebną, i na rozkwit tej cnoty przez Eucharystyę.

Za szczęściem jednostek szczęście rodzinne żąda swojego okupu bolów znoszonych mężnie, ustępstw wzajemnych, łez cicho przełkanych. Tu między innymi świecki mąż wybitny w Luksemburgii, członek izby poselskiej zachwycił odczytem o Eucharystyi, jako o lekarstwie na choroby w rodzinnem stadle, i sięgnął dalej: przez uzdrowioną rodzinę wprowadził Eucharystyę w jej skutki na budowę społeczeństwa, wznoszoną z cegiełek rodzinnych. Z innego znów względu na rodzinne szczęście rzucił strasburski profesor wszechnicy światło z Eucharystyi: po myśli staropolskiego przysłowia wspomniał o jednym węgle domu, opartym na ojcu rodziny, ale o trzech, które matka podtrzymuje: więc zasługę tej matki opisał, którą uświęca Eucharystya siłą nadludzką w pracy przy szczęśliwem ognisku.

I na widnokrąg coraz szerszy i dalszy słuchacze odczytów podnosili wzrok. Wysoko i śmiało prowadził ich skromny Kapucyn przed obraz barwny, wspaniały, w którym na tle stosunków ekonomicznych stanęły warstwy społeczne, przez socyalizm dziś po-

różnione, przez łącznię eucharystyczną związane znowu i wspólnie podtrzymywane w pracy o chleb powszedni. I jeszcze dalej, aż na rozległe obszary międzynarodowych stosunków wkroczył kardynał medyolański, aby zachwyconym słuchaczom dać przeczuć, ile narody dni jasnych zaznać mogą w chrześcijańskiej rzeczypospolitej, odtworzonej przy łączni eucharystycznej. Tak dostojnik kościelny o świeckim stosunku państw, a świecki Szwajcar znów świetnie przemówił o jadowitych stosunkach międzywyznaniowych, jakie dziś rozszarpują chrześcijaństwo, a wobec tego rozstroju wykazał zadatek szczęścia dla rodu ludzkiego w łączni serc eucharystycznej.

Z takiemi słowami występowali przeważnie Europejczycy duchowni i świeccy, inne części świata dostarczyły tylko wyjątkowo mowców, liczniej słuchacza, który w pierwszej chwili nie zdawał sobie sprawy, czy nie marzy tylko o takim występie Prawdy Chrystusowej, uroczystym i bezwzględnie otwartym na ziemi podległej berłu innowiercy. Ale telegramy powitalne z podpisem króla pruskiego i kancelaryi Rzeszy brzmiały zupełnie stanowczo, jako dowód, że Kościół stanowi potęgę, która śmie głosić jasne zasady swojej walki z potęgami ciemnémi, że dalej Kościół wypowiada otwarcie, jaką walkę toczy wewnętrzną w duszy jednostek i zewnętrzną przeciw stosunkom złym w świecie, że Kościół nakoniec wyznaje bez obłudy niemoc własną w ludzkiem sercu każdem bez wyjątku, a zwycięską dla siebie siłę widzi w Eucharystyi i okazuje tę Tajemnicę swoją przed światem.

Więc radził dalej kongres otwarcie nad tem, jak tego trzeba Posiłku używać, który rodzi zwycięsców. Czytali tedy przedstawiciele różnych narodów, co dziś myślą o Komunii po latach we walce ze sobą i w duszpasterskich zawodach. Często używajmy tego Posiłku!: to treść odczytów paru, w części na ascezie opartych, w części na najnowszych wyrokach papieskich. Więc wychowujmy na tym Chlebie młode pokolenie! brzmiało hasło innego odczytu. Za tym poszły uchwytne wskazówki w paru innych odczytach, które zachwycały zasobem wiedzy pedagogicznej. Ten opisywał, jak można święcie przygotować dzieci do pierwszej Komunii św., tamten podniósł szczegół, na pozór jałowy: o obraz-

kach dawanych na pamiątkę pierwszej Komunii; i tę osnowę przetkał wątkiem tylu cennych uwag, że słuchacz pojął, jak pilnie godzi się zwracać uwagę na wszystko, co w ludzkiem sercu zaszczepi i rozwinie cześć dla Eucharystyi. Inny znów doskonale przeprowadził: jak utrwalić i ustalić trzeba w młodych duszach głód do tego Pokarmu. Proboszcz z Akwisgramu wystąpił z katechetycznym wykładem, niesłychanie ważnym, jak wypada pouczać szkolną młodzież o Eucharystyi: słuchacze widzieli, co za skarbnicę uchwytnych wskazówek może zebrać, kto tak szczerze z młodzieżą pracuje, jak ów zacny przewodnik związków młodzieńczych. Inny proboszcz wykrywał, co za siłę w Eucharystyi znalazł dla młodzieży zwłaszcza robotniczej w jej bojach dzisiejszych o czyste sumienie. Prowincyał Redemptorystów opisał zwycięstwa, przez Eucharystyę odnoszone w młodzieży nad jej wybrykami. Ogromnie ujął odczyt profesorki w seminaryum nauczycielskiem o potrzebnej i skutecznej pracy nauczycielstwa, aby młodzież korzystała z Eucharystyi. Dalej odczyty, pełne śmiałych a zdrowych poglądów, poruszały sprawę częstej Komunii w warsztatach i w koszarach oraz gromadną komunię mężczyzn. I prócz pożytków dla żywota duchowego, dla ściśle wyznaniowego dobra jednostek i ludów, kongres poruszał także dalszy, na pozór nieprzewidywany wpływ Eucharystyi na stosunki ludzkie. Jeden z Dominikanów znakomicie opisał zapoznaną potęgę Eucharystyi w rozwoju zakładów humanitarnych, a paru myślicieli znakomitych, między nimi z Gniezna profesor akademii, poruszyło niesłychanie piękną myśl w odczytach o Eucharystyi i sztuce.

Myślałby kto, że równie bogata, jak urozmaicona treść tylu odczytów wyczerpała już całą prawdę, przydatną do narad kongresu. Ale całą jeszcze drugą połowę myśli na kongresie poruszonych znajdziemy w rozprawach, jak przechować mamy w kościele Skarbiec ten nieoceniony siły i zdrowia dla dusz i społeczeństw. Kongres nie był na czcze widowisko obliczonym, ale na wszechstronny rozbiór żywotnych spraw, których dotyczy Bóg w postaci Pokarmu.

Nie kongresowi treści brakło, ale *Przeglądowi* brakować miejsca zaczyna, aby dalej przed czytelnikiem rozsuwać doniosłe

w dalszych następstwach poglądy, z którymi odczyty występowały w sprawie czci i troski należnej Bogu w ołtarzu. Codzień odwiedzaj Jego przybytek! wzywali Opat Benedyktyn i ks. van Duerm. Codzień Mszy słuchajmy! wzywał inny wymowny Benedyktyn; a znów kobieta, pani Despois, Holenderka, obrobiła sprawę, na której zna się wybornie, o praktycznie a estetycznie wykonanych szatach kościelnych. Do stosunków przyjętych na Wschodzie nawiązywał rzecz tamtejszy misyonarz, a inni mówili o liturgicznej budowie kościołów w Anglii jeszcze katolickiej, o pieśniach eucharystycznych w średniowieczu i dziś, o przystępnem dla ogółu piśmiennictwie eucharystycznem, o bractwie, albo o bezustannej adoracyi; kilku czytało uwagi o uroczystych pochodach z Najświętszym Sakramentem, inni o czterdziestogodzinnem nabożeństwie; kilku o mszy codziennej, jak jej słuchać, jak przy niej śpiewać chorálnie, jak ją Irlandya odprawiała tajemnie w dobie ucisku anglikańskiego.

I to jeszcze nie koniec odczytów, ale już od nich można przejść do innych objawów myśli eucharystycznej podczas kongresu.

Pięknym jej objawem były nabożeństwa wieczorne... wszystkie kościoły w Kolonii pozapełniane narodem miejscowym i zamorskim, tymi co z północy lądem jechali i tymi co płynęli z pod zwrotników: ich biskupi w ich języku, jedni przewodzili nabożeństwom, modlitwom i pieśniom, inni na kazalnicach stawali.

I z naszej ziemi stali tam w swoich zastępach, ze swoimi chorągwiami rodacy nad Renem zamieszkali i z ojczyzny przybyli. W kościele św. Jędrzeja we czwartek 5 sierpnia odprawili swoje nieszpory polskie, zachwyceni kazaniem krakowskiego biskupa.

Nakoniec uroczysty pochód z Najświętszym Sakramentem. O nim wspomnieć łatwo, ale dobrze co opowiedzieć dla tych czytelników nie można, którzy nic podobnego nie widywali. A widzieć podobnego pochodu nie można, chyba raz na całe stulecia.

Najprzód liczba uczestników sprawiła, że wypadło nie tylko z katedry jednej ruszyć pochodem, ale gromadzić się przy różnych kościołach i z całego miasta z różnych stron w zastępy wielotysięczne uroczyście ze śpiewem przechodzić ulice miasta, aby spłynąć nakoniec w jedną olbrzymią powódź głów ludzkich, prowa-

dzonych przez kardynała przedstawiciela głowy Kościoła. Przy nim mitr bez mała sto biskupich albo infułackich czy opacich, związki młodzieży z chorągwiami przeszło czterdziestoma, związki czeladników w liczbie chorągwi z górą dziewięćdziesięciu, związki robotnicze z chorągwiami dwustu pięćdziesięciu ośmioma, trzydzieści kilka chorągwi nad związkami obywateli, do czterdziestu związków kupieckich z tyluż chorągwiami, blizko półtora sta innych związków katolickich z samej archidyecezyi kolońskiej z chorągwiami; z innych okolic związki katolickie już ze swoimi chorągwiami nie dały się obliczyć.

A przy szeleście lekkiego wiatru śród niezliczonych sztandarów, niekiedy gromki śpiew ucichał między jedną pieśnią a drugą... ucho słyszało tylko miarowy krok wielu narodów w pochodzie... oko liczyło, ile stanów, zawodów i warstw społecznych z daleka słało do Kolonii grona swoich przedstawicieli, ile wszechnic i zakładów naukowych wyprawiło tu mistrzów sławnych, ile barwnych strojów błyszczy śród zastępu czy to maltańskich rycerzy, czy w nieprzejrzanych szeregach studentów, czy w polskich oddziałach, które malowniczo odziane w narodowe sukmany, w krakuskach na głowie szły za chorągwiami najpiękniejszymi ze wszystkich, gęsto zbite w zastępach ze sobą złączonych.

Taki pochód, po takim płodnym w poważne narady kongresie: to nie widowisko marne, nie manifestacya zewnętrznego nabożeństwa, ale to objaw ducha, to rewelacya wewnętrznej potęgi, która po kongresie ruszyła w pochód... i zaczęła ten swój pochód krokiem poważnym po ulicach Kolonii, ale na jednem mieście nie kończy... krokiem bojowym idzie dalej od krajów bliższych bieguna po skwarny Sudan, po wybrzeża chińskie, i po krańce świata czynem powtarzać, co powiedziała głosem potężnym w Kolonii.

Ks. K. Czaykowski.

Zarobki kobiet w domu pracujących.

Znany ze swego zainteresowania sprawami społecznemi hr. de Hansonville, autor wybornego dzieła p. t. *Misères et salaires de femmes,*

ogłosił w *Revue des deux mondes* w nrze z 1 lutego 1909 r. ciekawy artykuł p. t.: *Celles que travaillent à domicile.* Pisząc go opiera się on głównie na wyczerpującej ankiecie urządzonej przez *Office du Travail* w Paryżu pod kierownictwem dyrektora p. Fontaine przeprowadzonej przez p. Alfassa. Według odpowiedzi 540 robotnic, 29 przedsiębiorczyń, 18 fabrykantów złożono materyał informacyjny pełen interesu dla tych, którzy się zajmują warunkami życia klas pracujących. Jako okazowy typ pracy domowej wybrano białe szycie; jest to gałąź zarobku najwięcej rozpowszechnioną, uważana za najłatwiejszą, wskutek czego już zaraz po ukończeniu szkoły dziewczęta 13 i 14 letnie biorą się do szycia. Zresztą bielizna jest ciągle przez cały rok przedmiotem pokupnym i dlatego wielkie magazyny nie znają miesięcy zastoju; wielka łatwość taniej pracy pomaga im do zdobywania wielkich zysków. Na prowincyi bardzo często żony urzędników zarabiają dzierganiem: za metr zapłata wynosi 60 do 70 centimów. Prawo podaży i pokupu czyni, że zapłaty stają się coraz niższe, zwłaszcza tam, gdzie kobiety przyciśnięte biedą i warunkami życia domowego nie mogą chodzić do pracowni: zręczne robotnice zarabiają tam znacznie więcej. Można tutaj jeszcze raz skonstatować, jak wszelkie teorye są niewyczerpujące: niedawno jeszcze za jedynie pomyślne warunki pracy dla kobiety uznawano zarobek w domu. Tymczasem bliższe wejrzenie w nędzę robotnic pracujących poza fabryką i pracownią, wykazało, że jej zapłata jest wprost śmiesznie nizką; a raczej tragiczną! Nowe określenie powstało: *starvation wages* — zapłata głodowa! lub *sweating system* — wyciśnięcie sił do ostatniej kropli! Cyfry zebrane przez ankietę są wprost przerażające: za 10—12 godzin pracy 1 fr. 25 cent. Robotnica żyje na poddaszu, żywi się zupą, która ją kosztuje 35 cent. Inna utrzymuje siebie i 11-letnią córeczkę zarobkiem 1 fr. 75 c.; ich pożywienie jest najprostsze, podstawą jego ser Brie, które to dziewczątko nazywa *la cotelette de la chemisière.* Szwaczka 62 lat licząca gotuje co trzy dni zupę z mięsem na maszynce, w inne dni spożywa ją na zimno; czyż nie słuszne powiedzenie jakiejś młodej szwaczki: zapewne, że jest ciężko młodo umierać ale jeszcze ciężej — żyć... Jakąż wobec tego ironią są te afisze pełne reklamy, układane w winiarni między tuzinem ostryg a butelką wina, przez robotników zarabiających po 8—9 franków i którzy się skarżą na »zapłaty głodowe«.... Nie można się wtedy wstrzymać od porównania, czem są zarobki kobiet — i musi się sobie powiedzieć, że jednak zanadto »rządzi światem pracy prawo przez mężczyzn układane«.

Wogóle niemałą trudnością było zebranie wiadomości o zapłatach za pracę w domu. Zależy ona od zręczności, od ilości godzin w dniu i od firmy; z wielką i cierpliwą dokładnością wypytano 417 robotnic by dojść, ile im przynosi godzina pracy: wahanie cyfr tych jest znaczne od 0.5 do 50 centimów — przeciętnie zarobek wynosi od 16 do 20 centimów za godzinę. Roczny zarobek od 200 fr. sięga do 900 fr., przechodząc całą skalę pośrednią najwięcej zwykłą cyfrą jest 600 fr., jednak trzeba zauważyć, że wiele szwaczek uważa szycie za zarobek nie wyłączny tylko i innym sposobem sobie pomaga; — są również między niemi kobiety zamężne, które tą pracą starają się dopomódz zarabianym przez męża środkom na utrzymanie domu. Na 510 szwaczek przez ankietę przepytanych, 258 było zamężnych, 169 wdów lub rozwódek, 83 niezamężnych. Ale te dwie kategorye pracownic były zwykle obciążonych dziećmi. Kobiety zamężne przez połowę były żonami robotników, inne należały do klasy urzędników *(employes)*.

Najnieszczęśliwsze warunki życia mają kobiety samotne: to też każda z nich, co sama na sobie opierać się musi, wita z radością możność choćby jakiejś ulgi w urządzeniu życia. Te kuchnie i restauracye, »domy rodzinne«, hotele dla kobiet — choćby tylko drobnej liczbie przynosiły pomoc, już są warte uznania, mimo ironicznego lekceważenia przez ludzi marzących o wielkich i dalekich reformach... Od tych też ludzi pochodziły zarzuty, że klasztory obniżały skalę zarobków przyjmując wiele zamówień dla swych wychowanic po cenach nizkich — tymczasem wynik ankiety obalił tę legendę. Zwykle miejscowe ceny regulowały te żądania, a kilku fabrykantów stwierdziło, że woleli płacić c e n ę w y ż s z ą klasztorom, bo ich robota była dokładna przez wprawę tych samych rąk — tak, że i później wychowanki klasztorne były uważane za najzdolniejsze szwaczki. Po zamknięciu i rozprószeniu klasztorów okazuje się, że nie tylko upadać zaczyna znajomość szycia w niektórych miastach, ale że te dawne zakonnice przenosząc się do Belgii, Anglii, Kanady, wytwarzają tam nowe uczennice, które stają się konkurencyą dla Francyi. Zbyt jej bielizny umniejsza się przez to, że nowo wykształcone siły zaspakajają potrzeby miejscowe. Tego nie przewidziała ustawa z r. 1901 — »trudno o wszystkiem naraz myśleć!« dodaje hr. Hanssonville.

Te kobiety pracujące po 10 do 12 godzin przeciętnie są zwykle zostawione własnym siłom. Niektóre odpowiedzi są przerażające:

Ile godzin pani pracuje? — Póki mi sił starczy! — Już od świtu w zimnym pokoju biedne te istoty zaczynają swą pracę.

Robotę dostają zwykle przez ręce przedsiębiorczyń — które są dostarczycielkami wielkich magazynów. Opinia oskarża je o wyzysk, ale i tu nie trzeba generalizować faktów. I te kobiety w wielkiej części nie są zamożne. Ankieta twierdzi, że i ich warunki są twarde; przeważna liczba szwaczek tegoż jest zdania, że »życie też niezabawne«. Są fakta dość częste przyjaznych obopólnych stosunków — pochwały dla względności pośredniczek były nie rzadkie. Eksploatacyi systematycznej nigdzie nie spotkano w tych rozmiarach, jak się o tem mówi. Hr. Hanssonville stwierdza, że nie zawsze rzeczy drogo sprzedawane były i drogo za wykonanie zapłacone — w tem wszystkiem należy unikać wszelkich teoryi *a priori* stawianych.

Wykazawszy smutny stan pracy w domu hr. Hanssonville przechodzi szereg środków, które mają go poprawić. Sprawą tą zajmują się we Francyi gorliwie; w czasach ostatnich stała się ona kwestyą, będącą na porządku dziennym w Anglii i Australii. W Paryżu znany ze swej rozumnej, społecznej działalności p. Edward Lefebure prezydent syndykatu tkanin *(Chambre syndicale des tissus)* właściciel wielkiego przedsiębiorstwa koronek, popiera myśl ustanowienia stałej taryfy zapłaty *minimum* wedle różnych warunków miast wielkich, mniejszych i wsi. Te tak zwane taryfy syndykatu ustanowione przez Izby przemysłowe i syndykaty przedsiębiorców mogłyby skutecznie wpłynąć na unormowanie cen. Drugi system zaradczy to tworzenie syndykatów robotnic. Ale tutaj nasuwa się trudność porozumienia między kobietami należącemi do najróżnorodniejszych klas społecznych, często wstydzących się swej pracy. W Lyonie jednakże dzięki energii i wytrwałości panny Rochebillard został stworzony syndykat robotnic pod nazwą: *Federation nationale des syndicats independants de femmes*, który obejmuje wszystkie gałęzie przemysłu krawiectwa i ubrania. Panna Rochebillard zwracając się do właścicieli firm, doprowadziła do ustanowienia stałej taryfy *minimum* 1 fr. dziennie w miasteczkach i po wsiach 1 fr. 50 cent. w miastach od 10 do 100.000 mieszkańców, 2 fr. w miastach wyżej 100.000 ludności. Ten przykład i te doświadczenia z Lyonu pochodzące zwróciły uwagę Izby Paryskiej. Pisemko będące organem lyońskiej federacyi nosi tytuł *Travael de la femme et de la feune fille* (8 Rue Boissac Lyon) i obznajamia bliżej z tą kwestyą. Wogóle jednak przeprowadzenie idei stowarzyszenia natrafia

na ogromne trudności. *Przegląd Powszechny* drukował w roku zeszłym ciekawy w tej mierze artykuł. Przypomnąć warto jeszcze daty niektóre: w r. 1907 na 5.322 syndykatów męskich, liczących 896.000 robotników było tylko 79.260 kobiet stowarzyszonych, należących do różnych zawodów. Najniższe płace pobierają szwaczki — to też słuszna jest uwaga p. Lefebure, że należy przeciwdziałać nadmiarowi podaży: i całą siłą skierować młode dziewczęta ku innym gałęziom zarobków, wszakże kobiety t. zw. *femmes de menage* zarabiają w Paryżu 4 do 5 fr. na dzień, przychodząc do dwóch tylko domów na parę godzin co dzień.

Pierwszem państwem, które zabrało się do uregulowania prawnego *minimum* zapłaty, jest Stan Wiktorya w Australii, gdzie parlament wprowadził w r. 1896 specyalny urząd do ustanawiania płac, do regulowania stosunków między przedsiębiorcami a robotnikami, co do ilości godzin i t. p. Jednak ta ustawa na pozór tak użyteczna miała dziwny skutek: pogorszyła położenie kobiet i robotników starych i mniej zdolnych, bo wobec podwyższonych przez prawo zarobków, przedsiębiorcy usuwają tych mało zdolnych do wydatnej pracy *slaw worker*.

W Anglii istnieje od lat: *National Anti sweating Leage*, o której znajdujemy kilka szczegółów w numerze styczniowym pisma *Action sociale* — dzięki silnej agitacyi i systematycznie prowadzonym ankietom. Liga ta utrzymuje w ciągłem naprężeniu opinię publiczną. Dzięki też jej inicyatywie wszedł do parlamentu projekt t. zw. *Sweated Industries Bill*, który przeszedł w r. 1908 już w drugiem czytaniu, a propozycya stworzenia rady przemysłowej co do ustalenia płac też została przyjęta przez Izbę pod nazwą *Wages board*. Wszelkie gałęzie konfekcyi podpadają pod kompetencyę tych rad zależnych od sekretarza stanu, a *minimum* zapłaty ustanowione przez radę staje się obowiązującą taryfą dla danej miejscowości.

I we Francyi parlament przez usta pp. Presense i Jaures starał się zyskać opinię publiczną projektem opartym na iluzorycznej podstawie: ustanowienia taryfy zapłat wedle potrzeb robotnika.

Szkoda, że ani p. Hanssonville, ani artykuł w *Action sociale*, nie daje bliższych wiadomości o tem, co w Niemczech się czyni dla dobra t. zw. *Heimarbeit*. Pani Böhme zorganizowała 8.000 robotnic w syndykaty — jest osobne stowarzyszenie, które w całych Niemczech ma swe koła, łącząc robotnice w domu pracujące.

Wystawa t. zw. *Heimarbeit* przed paru laty w Berlinie urządzona, wykazała krzywdzące nadużycia — pisma socyalistyczne używały jej

jako środka propagandy. Wystawa zeszłoroczna w Frankfurcie n. M. dała mniej smutny obraz warunków tej pracy. W każdym razie jest to kwestya, nad którą i u nas zastanowićby się warto.

Marya Horsdorf.

Przegląd muzyczny.

Kilka uwag o pietyzmie u nas dla muzyki kościelnej. — Dwie msze księdza dra Józefa Surzyńskiego.

Jeśli się porównuje programy muzyczne uroczystości kościelnych (zwłaszcza uroczystych nabożeństw), podczas których śpiewają chóry mniej lub więcej poprawnie wykonujące objęte programem utwory, wtedy dochodzi się do konkluzyi bardzo przykrych. Możnaby je ująć w następujące pewniki: 1) Niemal stale bywają wykonywane jedne i te same utwory. 2) Śpiewane bywają utwory o miernej wartości artystycznej. 3) Rzadko słyszy się utwory z epoki rozkwitu klasycznej muzyki kościelnej (głównie XVI i XVII wiek). 4) Nie brak i popisów tego rodzaju, który nadaje się raczej do estrady koncertowej (mniej wybrednej) lub do salonu; a mam na myśli popisy samych instrumentalistów oraz wokalnych solistów, popisujących się dla popisu samego (t. j. dla swego »pięknego« głosu lub techniki instrumentalnej... »eleganckiej«), przyczem brak pietyzmu nie tylko dla istoty muzyki kościelnej, ale i dla samegoż dzieła wykonywanego — bez względu na jego wartość, przeznaczenie i charakter. Msze wykonywane przez chóry w naszych kościołach należą niemal wyłącznie do tej pseudo-kościelnej muzyki, która trąci duchem opery lub »Liedertafelton«, pełnej tanich, lecz niezawodzących u przeciętnej publiczności efektów, którym najodpowiedniej wszędzie lecz nie w kościele. Wiele tu zawiniło małe wykształcenie organistów i dyrygentów chórów, a w każdym razie ich wielka dbałość o niewielką pracę. Słyszy się wprawdzie narzekania, że dla wykonywania dawnej muzyki kościelnej potrzebne są chóry chłopców, i to dobrze wyćwiczone, ale czyż brak jest arcydzieł dawnej muzyki kościelnej, napisanych wyłącznie na chór męski? To jedno. A powtóre, jeśli już istnieje niewłaściwy zwyczaj posługiwania się chórami kobiecymi, to w każdym razie przez to samo usunięta jest niemożność wykonywania tych klasycznych kościelnych utworów, które są napisane na chór mieszany, Nie ulega wątpiwości, że

jest to muzyka niełatwa, ale przy energii można 4-głosowe msze, motety, hymny, psalmy i t. d. wykonywać. Nie żąda się odśpiewania dzieł na 8, 12, 16, 24, 32 i 48 głosów, co więcej — istnieje nawet mnogi zasób dawnych 3-głosowych utworów, nie sprawiających żadnych trudności. Niestety — brak pietyzmu pochodzi stąd, że nasze konserwatorya nie dają organistom i dyrygentom chórów żadnego w tym kierunku wykształcenia, ci zaś nie mogą zdobyć się na to, aby zapytać się w miarodajnych sferach o kompozycye tego rodzaju. Kroplą w morzu są dobre usiłowania kilku polskich dyrygentów wobec powszechnej ospałości, jaka ciąży na naszej, kościelno-muzycznej kulturze. Wobec takich stosunków nie można mieć zbyt wielkich nadziei, że te czynniki przyczynią się do odrodzenia dawnej wspaniałej muzyki polskiej kościelnej. Pierwej ona odżyje w pracowniach historyków muzyki. Co więcej — ignoruje się u nas i polską nowszą muzykę kościelną, która wprawdzie nie obfituje w dzieła niezwykłe liczebnie, ale posiada tak wybitnego kompozytora, jak np. ks. dr Józef Surzyński, znany zaszczytnie wydawca publikacyi *Monumenta musices sacre in Polonia* (4 zeszyty), cenionej u obcych niemniej jak i u nas. Twórczość tego kompozytora będzie przedmiotem obszerniejszej pracy; na razie zadowolnijmy się recenzyą z jego ostatnio wydanych dwóch mszy (u Fr. Pusteta w Ratysbonie), o których pisma fachowe zagraniczne wyrażają się z bardzo wielkiem uznaniem, u nas zaś — milczy się i nie notuje nawet faktu ukazania się tychże. Analiza tych dzieł wykazuje sumienność opracowania także w szczegółach, bardzo interesujących i dowodzących, że ks. dr. J. Surzyński jest bezsprzecznie najwybitniejszym polskim kompozytorem kościelnym. Widzimy w ks. d-rze Surzyńskim wiernego ucznia klasycznej kościelnej muzyki, znawcę czystego stylu kościelnego; zdaje mi się, że szczególny sentyment żywi kompozytor dla Pękiela, którego łagodny i sympatyczny ton przejął ks. dr Surzyński. Jeśli chodzi o wzory, to wskazałbym na włoskich kompozytorów XVII stulecia, których nasz muzyk darzy sympatyą obok umiłowanego Palestriny i jego szkoły. Znajdziemy też w mszach ks. Surzyńskiego dowody rzymsko-włoskich wpływów, które chronią go od naleciałości niekościelnych, od których też wielu bardzo wybitnych muzyków nie zdołało się uwolnić. Cecyliański kierunek jest zatem hasłem estetycznem księdza-artysty. Osobiście jest mi ten kierunek, tak zresztą zjadliwie w Niemczech zwalczany, a u nas (z innych, »głębszych« powodów) ignorowany — bardzo sympatycznym. Interesują nas tematyczne opracowania i przeróbki w mszach naszego kom-

pozytora. I to pierwszorzędne wzory wycisnęły swe piętno w kierunku technicznym. Nie widzimy żadnych wprawdzie komplikacyi, ale zręczność wielką. Inwencya tych wartościowych mszy ujmuje i prostotą i szczerością; jak wyżej już wspomniałem — styl kościelny jest zachowany ściśle. Trudnem byłoby roztrzygnięcie, która z dwóch mszy jest piękniejsza: *Missa in honorem Immaculatae Conceptionis Beate Virginis Mariae* (op. 21, na 5 głosów mieszanych), czy *In adorationem Sacratissimi Cordis Jesu* (op. 26, na 4 głosy miesz.). Osobiście wyżej stawiam tę ostatnią z powodu bardzo pięknego *Sanctus* i kto wie, czy nie jeszcze piękniejszego *Kyrie*. Opracowanie w jednej i drugiej mszy jest równie wartościowe. Wkrótce, gdy wypadnie nam objąć całokształt twórczości ks. dra Surzyńskiego, weźmiemy pod uwagę i dawniejsze kompozycye. Dość wspomnieć, że słynny znawca muzyki kościelnej ks. prof. dr Haberl (Ratysbona) nazwał ostatnią mszę naszego kompozytora *ein kleines Kunstwerk*. Jest obecnie dla naszych chórów sposobność zapoznania się z temi dziełami, odznaczającemi się także wybornem wokalnem brzmieniem.

Dr. Adolf Chybiński.

Z pism czasowych.

Naše Slovensko. Měsíčník pro hájení zájmů uherských Slováků. Vychází v druhé polovici každého měsíce. Předpl. v Rak. Uh. celoročně K. 12. Ročník I. 1907/8 (říjen-září) i II. sešit 1—6. Vydavatel a zodpovědný redaktor Ant. Reis. Praha II. Vyšehradská třída 39.

Samo imię tego miesięcznika w ustach Czecha wyraża gotowy program. »Słowaczyzna *(Slovensko)* jest nasza, a więc pracujmy, żeby rzeczywiście była naszą, zupełnie naszą«. To tkwi w samem imieniu. Drogą do celu: »hájení zájmů uherských Slováků« t. j. »obrona interesów słowackich na Węgrzech«. Zupełne zrealizowanie tego programu dziś jeszcze wisi w mglistej przyszłości — kto wie kiedy nastąpi i czy wogóle nastąpi. Praktyczny Czech więc o tem ani nie mówi. Wytknął sobie za zadanie tylko zadzierzgnąć jak najściślejszy węzeł braterstwa pomiędzy Czechami i Słowakami. Chce to osiągnąć przez zaznajamianie Czechów ze Słowaczyzną, mianowicie jaką była, jaką jest i jaką »bohda« będzie i zarazem przez dzielną i niezmordowaną materyalną i moralną obronę interesów słowackich na Węgrzech.

Zdaje nam się, że nie od rzeczy będzie zaznajomić naszych czy-

telników z ideą przewodnią i pracą realną tego czasopisma. I Polak nie będzie obojętnym, czy poza kresami tatrzańskimi zostanie przy życiu życzliwy słowiański naród, czy zniknie z widowni dziejowej; bo i niejeden z Polaków coraz więcej zwraca oczy na gorącą walkę, jaka wre poza Tatrami.

Właśnie mamy przed sobą pierwszy rocznik (1907/08 paźdz.— paźdz.) i pierwszą połowę drugiego tego wydawnictwa, rozwijającego się świetnie tak pod względem formy jak i treści, dzięki niezmordowanym zabiegom wydawcy Ant. Reisa. *N. Slovensko* nie ma pretensyi być przeglądem czysto naukowym, ale dąży do celu najwłaściwszą drogą, łącząc pożyteczne z przyjemnem. Dlatego też poezya i beletrystyka mają swoje stałe miejsce, nadto upiększają czasopismo bardzo liczne, starannie wykończone illustracye, fotografie i barwne reprodukcye.

Ciekawy to i nowy kierunek a zarazem stanowisko *Našego Slovenska* w czesko słowackiem pytaniu. Zainteresowanie się Słowakami ze strony czeskiej miało do niedawna charakter, powiedzmy, sportowy, pomocy stałej, zorganizowanej nie było. Najczęściej — na sposób dogmatu — zarzucano Słowakom przy każdem zetknięciu się, że są sami winni swojej biedzie: »A proč jste se od nás odtrhnuli?« (A dlaczegoście się od nas odłączyli?) *Naše Slovensko* obrało sobie metodę wręcz przeciwną: nie tylko że się wstrzymuje od niewłaściwych zarzutów, co raczej odstręczają — ale wogóle nie omawia kwestyi drażliwych z dziedziny wzajemności czesko-słowackiej, jako to kwestyi języka, narodowości i t. p. Te kwestye zostawia się czasowi do rozwiązania. Ale za to szuka wspólnego gruntu, na którymby mogli stanąć Czesi i Słowacy: wspólna, stała i zorganizowana praca nad ratowaniem Słowaczyzny. Ten kierunek przyjawia się i w tem, że *N. Slovensko* nie jest redagowane wyłącznie w czeskim języku ale i po słowacku. W jakim języku autor artykuł napisze, w takim się publikuje. Jedynie mniejszym drukiem drukowane rubryki, przegląd spraw politycznych, społecznych i kulturalnych za przeciąg jednego miesiąca, są zawsze po czesku. Za to poezya i beletrystyka — zgodnie z celem — jest wyłącznie słowacką (oprócz kilku czeskich okolicznościowych wierszy). Jeszcze jedną dodatnią stronę kierunku *Našego Slovenska* trzeba podnieść: usiłuje nie służyć żadnej partyi politycznej (a to w czeskich stosunkach niełatwa sprawa!) Zupełnie słusznie: bo żadne czeskie stronnictwo nie może pomódz Słowakom, ale tylko cały naród. Pozyskanie Słowaczyzny, jako wspólny punkt wszystkich stronnictw

może nawet na odwrót dodatnio działać na skonsolidowanie samego czeskiego społeczeństwa, dziś niestety tak rozbitego!

Wglądnijmy teraz w treść, aby się przekonać, o ile odpowiada zapowiedzianemu programowi. Żeby poznać jakiś kraj dokładnie i wszechstronnie, trzeba się zapoznać z jego szczegółową statystyką. I tak Rudolf Pilát zaznajamia nas w większym artykule z »narodową statystyką Węgier«, według urzędowej statystyki z r, 1900. Prawda, statystyka urzędowa Węgier nie jest bynajmniej bez zarzutu, ale innej niema. W niniejszej zaś pracy uwzględnia autor szczegółową statystykę, a tak łatwiej widnieją wszelkie niedokładności. Podaje statystykę narodowościową, wyznaniową i kulturalną »stolic« (komitatów), powiatów i miast zachodnio-słowackich i wschodnio-słowackich. Wszędzie uwzględnia i podział na wyborcze okręgi, ich przedstawicielstwo w parlamencie węgierskim i przynależność do stronnictwa. Tu się dopiero żywo czuje, ile pracy na Słowaczyznie jeszcze potrzeba. Z przeszło 50 istotnie słowackich wyborczych okręgów posiadają Słowacy dopiero 6!

Podobną obszerną pracę napisał Stanisław Klíma »O narodowości miast węgierskich« (i chorwackich), w której wykazuje, jak ogromnie się szerzy madiaryzacya po miastach. Szybkim tempem postępuje ona zwłaszcza w niemieckich miastach, jak np.: w Preszporku (Pressburg) liczącym 66.000 mieszkańców, wzrośli Madziarzy od r. 1890 z 19·9% na 30·5%: w Szopronie (Oedenburg, 33.000 mieszk.) z 29·8% na 38·5%; w Temeszwarze (53·000 mieszk.) z 26·7% na 36%. Tak samo dzieje się na kresach słowacko-madziarskich: w Koszycach np, (liczących 40.000 mieszk.) wzrośli Madziarzy w tym samym dziesiątku lat z $^1/_2$ na $^2/_3$, z 49·9% na 66·3%, za to Słowacy spadli z 33·6% na 22·9%, Niemcy z 13·5% aż na 8·1%. Ta dla Słowaków na wschodzie ważna pozycya zdaje się chyba na zawsze straconą, jeżeli się wkrótce stosunki nie zmienią. Rezultat badania wprost przerażający: z 125 miast, które liczą ponad 10.000 mieszk. (wliczając chorwackie miasta z Rieką w liczbie 7), posiadają Madziarzy 90 miast (72%)! Niemcy 17 (13%), Słowacy 8 (7%), Serbochorw. 8 (7%), Rumuni 1 i Włosi 1 miasto, Rusini ani jednego. A przecież Madziarów jest wszystkiego (razem z Chorwacyą) tylko 45·4%, Rumunów zaś 14·6%, Serbo-chorwatów 14·2%, Niemców 11%, Słowaków 10·5%, Rusinów 2·2%. Na samej Słowaczyznie jest 48 miast liczących przynajmniej 5000 mieszk.; z pomiędzy nich słowackich tylko 28, madziarskich 16 (prawda po większej części na samych kresach słowacko-madziarskich), a 4 nie-

mieckie. Ciekawe, miasta niemieckie na Słowaczyznie slawizują się i to dosyć szybko. W Dobszynej np. powiększyła się liczba Słowaków za dziesięć lat 1890—1900 o 250, liczba Niemców zaś zmniejszyła się o 200, ale jeszcze posiadają większość (w r. 1900 było z 5115 mieszk. 2790 Niemców a 1500 Słowaków, reszta Madziaroni). Stare zaś górnicze miasto Kremnice (Złote doły), pierwej czysto niemieckie, dziś już niemal nawpół zamieszkują Słowacy; niezadługo utracą Niemcy swoją większość. Tak samo postępują Słowacy w Keżmarku (Käsmark) na Spiżu. Po innych miastach, gdzie Niemcy już stracili swoją większość na rzecz Słowaków, liczba ich stale maleje, jak np. w Lewoczy, w Spiżskiej Nowej Wsi, w Modrze, w Pukańcu i t. d. Całe to studyum o narodowości miast bardzo jest pouczające, jasno pokazuje najsłabsze strony Słowaczyzny. Dodam jeszcze jeden charakterystyczny szczegół, który pokazuje, jak sumienna jest rządowa węgierska statystyka. Według niej miasteczko Sered niesłychanie się zeslawizowało! Roku 1890 znalazła statystyka tylko 2270 Słowaków a 2157 Madziarów, a r. 1900 między 5095 mieszkańców 3450 Słowaków a tylko 732 Madziarów. Zupełnie nie do uwierzenia, żeby przez 10 lat niemal półtora tysiąca Madziarów przy teraźniejszej polityce, teraźniejszym ucisku, zeslawizowało się i to na samym kresie słowacko-madziarskim! Miasto Sered miało i r. 1890 większość słowacką, tak jak r. 1900; tamtejsi ludzie nic nie wiedzą o takich ogromnych zmianach. Ale właśnie owa wielka różnica jest jaskrawym dowodem, jak nieobjektywne są daty urzędowej statystyki. Bardzo to podkopuje wiarę w całą statystykę.

Stosunki społeczno-prawne omawiają następujący autorowie: Kazimierz Konšel pokazuje, jak się odmawia Słowakom ludzkich praw; Jarosław Tůna pisze o »słowackiej gminie« według prawa z r. 1886; bp. o węgierskiej autonomii w »stolicach« (komitatach). W obu tych instytucyach panuje średniowieczny, wyrafinowanie skomplikowany feudalizm, wskutek którego ludowa większość jest prawie niemożliwą albo obezwładnioną, powtóre panuje dosyć szerokie samowładztwo urzędników. Jakie rzeczywiście azyatyckie prawo ma np. »okresný slúžny« (powiatowy starosta) przy wyborach »notarów«, »lekarzy obwodowych« i t. d., kiedy ma prawo ze wszystkich kandydatów »najmniej trech« wybrać, a głosy na innych oddane są zupełnie nieważne! A zauważyć trzeba, że niemal wszyscy są zdeklarowanymi wrogami Słowaków. Zwyczajny jest już manewr, że jeżeli uświadomiona gmina słowacka wybiera — wypuszcza się tych kandydatów,

których właśnie gmina chce a narzuca się innych. I ustawodawstwo daje prawo na to!! A to prawo nazywa się jeszcze szumnie »kandydaturą«, »wyborami«, tylko żeby Europie oczy zamydlić. To jest prawdziwa ironia konstytucyi!

Przerażający wprost obraz »parasytyzmu w życiu węgierskiem« rysuje p. Čambursky (szkoda tylko że artykuł nie podaje rzeczy więcej węzłowato). Parasytyzm grasuje wszędzie w socyalnem, gospodárskiem i politycznem życiu: w opodatkowaniu, w wyborczym censusie, w gminie i w »stolicy«, w centralizacyi (Peszt nadewszystko!) w ogromnych subwencyach przemysłowi udzielanych (artykuł wyszedł w 3 numerach, jeszcze nie jest skończony). »Niewolnictwo na Węgrzech« (anonimowe) pokazuje, że na Słowaczyźnie jest jeszcze dosyć miejsc, gdzie panuje chłopska niewola i pańszczyzna. Np. kikulski »kopaničiari« muszą pracować na pańszczyznie 60, 80 aż do 100 dni w roku! W Drietomej płaci im się za pańszczyznę na dzień 45 halerzy — jeżeli zaś który nie przyjdzie, to musi płacić jako odszkodowanie 1 koronę! A przytem i egzekucyą wymuszają te pieniądze! A gdyby to jeszcze mieli za co tak pracować — ale chałupy biedne, malenkie, na pół zrujnowane... Ciemnota i »przyzwyczajenie« tylko przykuwa tych niewolników do roli, inaczej byliby już dawno uciekli... O nowem »węgierskiem prawie dla wychodźtwa« pisze M. F.: pokazuje, że celem jego jest zatrzymać siły robocze na Węgrzech dla latyfundyów i tem zniżyć dzienną płacę, a nie żeby się starać o lud... bo bez Ameryki będzie głodem mrzeć, a którzy się wydostają z Węgier bez pozwolenia (a to jest bardzo utrudnione), nie wrócą więcej, bo przecież za to czekają ich grzywny. O »prawnem postawieniu obcych handlowych związków na Węgrzech« pisze ten sam autor, Anonimus o »reformie prawa wyborczego na Węgrzech« ze szczegółową statystyką, i znowu o »madziarskim podwodzie« przy tem.

O m a d z i a r y z a c y i i p r z e ś l a d o w a n i u tych, co się jej opierają, znajduje się cały szereg artykułów. »Madziaryzacya w świetle prawdy« (M. F.) rysuje ją krótko historycznie od początku t. j. od Józefa II aż do dnia dzisiejszego — nader smutna kronika. Zaznacza ona nawet przymusowe odbieranie słowackich dzieci i jawne targowanie niemi. S. Halla omawia »węgierską politykę szkolną«. Dowiadujemy się, że według rozporządzenia ministra Wlassitsa i Berzewiczego powinien nauczyciel w szkołach niemadziarskich wyznaniowych (więc nierządowych!) poświęcać p r z y n a j m n i e j 17 — 24 godzin tygodniowo madziarskiemu językowi. Zauważyć trzeba, że ogólna liczba

godzin wynosi tylko 27. Jeżeli z tych ma się na madziarski język 24 godzin obrócić, cóż zostaje, dla Boga! na wszystkie inne przedmioty?! Ale nie dosyć na tem. »Apponyowe szkolne propozycye« przynoszą pod pięknymi frazesami i pod szyldem postępowości powolną zagładę szkołom narodowościowym.

O prześladowaniu tych, co się madziaryzacyi opierają, mówi wymownie artykuł: »Przed madziarskiemi sądami«. Jest to registracya kar od końca sierpnia 1906 do końca sierpnia 1907. W tym jednym jedynym roku zasądzono 79-ciu Słowaków; z nich 34 kobiet(!), 3 katolickich proboszczów (Hlinka 2 lata i 1500 K., drugi raz: 1 miesiąc i 500 K., później jeszcze $1^1/_2$ roku; Juriga 2 lata i 1200 K.; Tomík 4 miesiące i 300 K) Wszystkich razem osądzono na 204 miesięcy więzienia i niemal na 11.000 K. grzywny. Jeszcze jaskrawiej pokazuje prześladowanie artykuł »Černová« (M. T.) »Mordowanie Słowaków w Czernowej« (16 zabitych i 80 rannych), »Czernowski proces«: 59 oskarżonych. Wyrok: siostra proboszcza Hlinki Anna Tulová (zamężna, chorowita) osądzona na trzy lata ciężkiego więzienia; trzech innych na 2 lata, trzech na 18 miesięcy ciężkiego więzienia; jedenastu na 1 rok, siedmiu na 8 miesięcy, czternastu na 6 miesięcy, jeden na 4 miesięcy zwyczajnego więzienia. I to ludzie niewinni według ogólnego przekonania. Pereszlényiego urzędnika, który kazał strzelać bez przyczyny, uwolniono – jego zaś przełożonego, Andaházyego, który świadczył przeciwko niemu, usunięto! nawet samego Pereszlényego posunięto na jego miejsce!

O pomocnikach madziaryzacyjnej polityki o »węgierskich żydach« i »ich posiadłościach na Węgrzech« pisze Žilinský. W kilku zeszytach czytamy i wyjątki z książki p. t. »The ratial problems in Hungary« (Rasowe kwestye na Węgrzech) Anglika Scotus Viatora (Setton Wattsona prof. wszechnicy edynburskiej), który się bardzo zajął sprawą Słowaków przeciwko szowinizmowi madziarskiemu; nadto wyjątki z artykułów Björnsona w niemieckiej gazecie *März*, w której częściej pisze o Słowakach.

(Dok. nast.)

I. M.

Druk ukończono 31 sierpnia 1909 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

W SPRAWIE ŚW. STANISŁAWA. Dyskusya: Zebranie rezultatów i uzupełnienie. *Prof. dr. St. Smolka* 1 210

MAŁEGO FRANKA WIELKA TROSKA. Nowela. Przez *Krystynę Saryusz Zaleską* 21

PRÓBA WSTĘPU DO KRYTYKI POZNANIA. (C. d.) Przez *ks. Stanisława Kobyleckiego T. J.* 33

DZIEJE FILOMATÓW W ZARYSIE. (C. d.) Przez *Stanisławę Pietraszkiewiczównę* 48 236

OLYMPIA. Przez *Lucyana Rydla* 73 192 409

OBJAWIENIE I DOGMAT W TEOLOGII KATOLICKIEJ A W TEOLOGII MODERNIZMU. (C. d.) Przez *ks. J. Rostworowskiego T. J.* 89

RUCH KATOLICKI WŚRÓD SŁOWEŃCÓW. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 157

HISTORYA MISYI POLSKIEJ NA KRYMIE. Misya ks. Piotra Borowskiego T. J. (1743—1748). Przez *ks. Józefa Sasa T. J.* 174 369

GENESIS. Poemat fantastyczny. Przez *T. Lwicza* . . . 252

»CHŁOPI« REYMONTA. Przez *prof. A. Mazanowskiego* 317

Z MYŚLI WIECZORNYCH. Nad brzegiem Renu stali... Przez *Elizę Orzeszkową* 334

O NAJPOPULARNIEJSZEJ KSIĄŻCE ANGIELSKIEJ. Przez *d-ra Romana Dyboskiego* 338

GENEZA KULTU RELIKWII ŚW. Przez *ks. Karola Felisia T. J.* 350

JOANNA GRUDZIŃSKA. Epizod nocy belwederskiej w jednym akcie. Przez *Adama Stodora* 389

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Z HISTORYI SZTUKI. Dr. St. Tomkowicz: »Wawel«. — Graf Wilczek: »Meine Ansichten über Konservierung und Restaurirung alter Kunstwerke«. *(Leonard Lepszy)* 103

STROMATA IN HONOREM CASIMIRI MORAWSKI. Cracoviae MCMVIII. (Księga jubileuszowa ku uczczeniu 30-letniej pracy prof. Kazimierza Morawskiego). *(Ks. I. Nowakowski)* 109

OGRÓD FRASZEK. Wacław z Potoka Potocki. Wydanie zupełne Aleks. Brücknera. *(St. Dobrzycki)* 114

Z NOWSZYCH POWIEŚCI POLSKICH. M. Rodziewiczówna: »Rupiecie«. M. Raczyńska: »Moizes«. A. Gruszecki: »Kolejarze«. H. Zbierzchowski: »Literat«. B. Halicka: »Ostatni Stuart«. A. Maszkowska: »Złamane kwiaty«. J. Ogiński-Kontrymowicz: »Węzeł gordyjski«. Tenże: »Tragedya w Glinianach«. E. Żmijewska: »Dola«. A. Świderska: »Trudno inaczej...« T. Jeske-Choiński: »Po czerwonem zwycięstwie«. A. Schifman: »Pankracy August I.« B. Kostecki: »Jak oni«. A. Strug: »Jutro...« B. Prus: »Dzieci«. W. Sieroszewski: »Małżeństwo«. Tenże: »Zamorski dyabeł«. A. E. Balicki »Dla ludzi«. Tenże: »Chaos«. K. Gliński: »Zaloty króla jegomości«. Klewe: »Lwowskie perły«. W. Orkan: »Miłość pasterska«. J. German: »W gospodzie pod trzema zbójami«. E. Jeleńska: »Kobieto, puchu marny...« G. Zapolska: »O czem się nie mówi«. *(Ks. W. Wiecki T. J.)* 267

MONSALWAT Rzecz o Adamie Mickiewiczu. Artur Górski. *(W. Gostomski)* 424

DO GENEZY POEMATU MIKOŁAJA REJA »WIZERUNEK ŻYWOTA POCZCIWEGO CZŁOWIEKA. Dr. Zbigniew Kniaziołucki. *(Dr. St. Dobrzycki)* 428

MATEJKO. Stanisław Witkiewicz. *(Leonard Lepszy)* 432

WTÓRA PODRÓŻ DO CIEMNOGRODU. Ks. I. Charszewski. Z powodu zamachu na katechizm. *(Ks. J. Urban T. J.)* 435

OPIS POWIATU JASIELSKIEGO. Ks. Wł. Sarna. *(Ks. K. Konopka T. J.)* 437

Z piśmiennictw obcych.

Z BELLETRYSTYKI ANGIELSKIEJ. »Mid the thick arrows« by Max Pemberton. II vol.—»Sheaves« by E. F. Benson. II vol.—»Interplay« by Beatrice Harraden. II. vol. *(T. Wodzicka)* 119

GRUNDZÜGE DES KATH. KIRCHENRECHTS. Von Dr. Theol. et Iur. Johann B. Haring. Zweite Abteilung. *(Ks. J. Roth T. J.)* 124

WITELO, ein Philosoph und Naturforscher des XIII Jahrhunderts. Dr. Clemens Baeumker (Beiträge zur Geschichte der Philosophie des Mittelalters. Band III, Heft. 2). *(R. Malotta T. J.)* 125

LES YEUX QUI S'OUVRENT. Henri Bordeaux. *(Marya Harsdorf)* 283

LA CONGREGAZIONE CAMALDOLESE DEGLI EREMITI DI MONTECORONA. Placido T. Lugano. *(G. Aromatisi T. J.)* 288

HANDBUCH DER GESCHICHTE DES FRANZISKANERORDENS. P. Dr. H. Holzapfel O. S. F. *(Ks. K. Konopka T. J.)* 289

GERHART HAUPTMANNS NATURALISMUS UND DAS DRAMA. Von Sigmund Bytkowski. Beiträge zur Aestetik. *(J. Hahn T. J.)* . . . 440

WELTENMORGEN. Dramatisches Gedicht in drei Handlungen von Eduard Hlatky. *(Ks. Ernest Matzel T. J.)* 442

THE FOURTH GENERATION by Walter Besant. *(Teresa Wodzicka)* . . 443

Str.

Zapiski bibliograficzne.

HISTORYA POWSZECHNA na klasy niższe szkół średnich. Tom I: Historya starożytna. Dr. Kazimierz Krotoski. *(Ks. J. S.)* 128
MONUMENTA ECCLESIASTICA PETROPOLITANA. M. Godlewski. Vol. 3. *(J. U.)* 129
THE DAZZLING MISS DAVISON by Florence Warden. *(T. W.)* 129
DRIEWNIAJA CERKOWNO-SŁOWIANSKAJA LITIERATURA I JEJA ZNACZENIJE. A. Sobolewskij. *(Dr. St. Zdz.)* 130
LIDOVÉ POWESTI O PUVODU TABAKU. J. Polivka. *(D. St. Zdz.)* . . 130
GESCHICHTE DER ÄLTEREN SÜDSLAVISCHEN LITTERATUREN. Dr. M. Murko. *(W. I.)* 131
CO SIĘ DZIAŁO NA ŚWIECIE OD NAJDAWNIEJSZYCH DO TERAŹNIEJSZYCH CZASÓW. Dzieje powszechne. Ebrem. *(W. B.)* 292
MARIA DER WEG ZU CHRISTUS. Gebet- u. Andachtsbuch. J. Hilgers S. J. *(W. W.)* 292
ERSTE UNTERWEISUNGEN IN DER WISSENSCHAFT DER HEILIGEN. Der Mensch, so wie er ist. R. J. Meyer S. J.—J. Jansen S. J. *(W. W.)* 292
KURZER WEGWEISER IN DER APOLOGETISCHEN LITERATUR. Dr. S. Weber. *(Ks. W. W.)* 293
FEDERALIZM. Korf S. A. prof. bar. *(Dr. St. Z.)* 293
KNIŻNAJA LIETOPIŚ GŁAWNAWO UPRAWLENIJA PO DIEŁAM PIECZATI. *(Dr. St. Zdz.)* 294
MATERIAŁY DO ISTORII UKRAIŃSKOJI KOZACZCZYNY. Tom I. Dokumenty po rik 1631 zibraw i wydaw Iwan Krypiakewycz. *(s-i)* . 295
PIERWSZA POLSKA PIELGRZYMKA DO ZIEMI ŚW. R. 1907. O. Zygmunt Janicki Zak. Br. Mn. *(k.)* 447
EWOLUCYA CZY TRWAŁOŚĆ GATUNKÓW? Ks. Aleksander Mohl. *(W. B.)* 447
PUŁKOWNIK BEREK JOSELOWICZ. Łuniński Ernest. *(W. B.)* 447
WIDHUKI DUSZI. Podhirjanka Marijka. *(Dr. St. Z.)* 448
UNSERE ZUKUNFT IN BOSNIEN. P. A. Puntigam S. J. *(K.)* 448
BITWA POD POŁTAWOJ 27 JUNIJA 1709 GODA I JEJA PAMIATNIKI. Pawłowskij I. F. *(L. B.)* 449
DE FREQUENTI USU SANCTISSIMI EUCHARISTIAE SACRAMENTI libellus per R. P. Christophorum Madridium S. I. *(J. R.)* 449
KOLLOQUIEN ÜBER DIE HEILIGE REGEL. Von Dr. Benedictus Santer O. S. B. *(B. M.)* 449
KAPŁANI SZTUKI. Adam Stodor. *(St. B.)* 450

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA. Z naszych spraw. — Kilka słów o katolickiej Belgii.— Ze stosunków katolickich w Bośni. — Duma o zmianie wyznania. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 132
KRONIKA IRLANDZKA. Przez *Ch. Schoonjansa* 141
LISTY Z WARSZAWY. Erazm Piltz o położeniu chwili obecnej. — Rezygnacya p. Korwin-Milewskiego. — Neoslawizm. — Chciwość. — Demoralizacya. — Ciągle kabarety. — Samobójstwa. — Prowincya Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 148

SIERPIEŃ.

Str.

Sprawy Kościoła: Pocieszający objaw. — Niewygodne wyznania. — W jakim celu? Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 296
Z ruchu kobiet katolickich w Anglii. Przez *Maryę Harsdorf* . 304
Przegląd muzyczny. Trzeci międzynarodowy kongres muzyczny w Wiedniu — Józef Haydn. Przez *Adolfa Chybińskiego* . . . 308
Konkursy Akademii Umiejętności w Krakowie 313

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła. Kongres eucharystyczny w Kolonii. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 451
Zarobki kobiet w domu pracujących. Przez *Maryę Harsdorf* . . 458
Przegląd muzyczny. Przez *d-ra Adolfa Chybińskiego* 463
Z pism czasowych. Przez *I. M.* 465

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.